Ludzie Sierpnia ’80 w Gdyni – Kobiety Solidarności
TOM VII

Małgorzata
Zwiercan

Ludzie Sierpnia ’80 w Gdyni – Kobiety Solidarności

TOM VII

Gdynia 2019

Zdjęcia pochodzą ze zbiorów:

Andrzeja Kołodzieja, Danuty Sadowskiej, z Instytutu Pamięci Narodowej, Muzeum Miasta Gdyni, Archiwum Komisji Krajowej Solidarności, zbiorów Fundacji Pomorska Inicjatywa Historyczna, zbiorów własnych autora oraz od osób udostępniających wspomnienia.

Nagrania materiałów do transkrypcji dokonali wolontariusze i asystenci programu ASOS realizowanego przez Fundację Pomorska Inicjatywa Historyczna oraz Mariusz Sieraczkiewicz.

Wybór i opracowanie Małgorzata Zwiercan

Korekta Danuta Sadowska

PREZYDENT
MIASTA
GDYNI

Publikacja została wydana dzięki wsparciu finansowemu Gminy Miasta Gdyni

URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH

Zadanie publiczne jest współfinansowane
ze środków Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

Wydawca

Fundacja
Pomorska Inicjatywa Historyczna

http://www.fundacja-pih.pl

ISBN 978-83-62631-16-2

Copyright Małgorzata Zwiercan

Copyright Fundacja Pomorska Inicjatywa Historyczna

Gdynia 2019

Album wydany z okazji obchodów 39. rocznicy podpisania Porozumień Sierpniowych

Szanowni Państwo,

Do rąk Państwa trafia właśnie siódmy tom wydawnictwa „Ludzie Sierpnia '80" przygotowany przez Fundację Pomorska Inicjatywa Historyczna. Jest to kolejna publikacja, opracowana przez niestrudzony zespół fundacji, przedstawiająca narodziny i działalność Solidarności w Gdyni, przebieg strajku w sierpniu 1980 roku oraz fragmenty biografii biorących w nim udział osób. Z opowieści, które wypełniają książkę, wyłania się obraz życia gdynian w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i późniejszych, tło rozgrywających się wydarzeń, a przede wszystkim losy zwykłych ludzi skonfrontowane z dziejącą się na ich oczach historią.

Ciekawym, a zarazem niezwykle ważnym wyróżnikiem tegorocznej publikacji jest jej motyw przewodni poświęcony kobietom Sierpnia '80. Zbyt rzadko, często niesprawiedliwie, opisujemy i wspominamy historię, nawet tę nieodległą, jako historię pisaną z męskiego punktu widzenia, nierzadko przez mężczyzn, którzy co prawda stali w pierwszej linii, ale z pewnością nie byli tam sami. Obok nich, wraz z nimi i za nimi stały kobiety. Łatwo i często zapominamy, że Solidarność to także 5 milionów kobiet, które były członkiniami i aktywnymi działaczkami tego ruchu. Oprócz nich istotnym wsparciem ruchu były żony, matki, córki i siostry tych, którzy uczestniczyli w strajku. To ważne, że możemy wreszcie spojrzeć na Solidarność oczami tych, bez których pracy, zaangażowania i pomocy nie byłoby możliwe doprowadzenie do zwycięstwa demokratycznych idei. Dzięki temu słyszymy głos postrzeganych wciąż jako postaci drugiego planu bohaterek sierpniowego zrywu i późniejszego okresu stanu wojennego oraz cichych uczestniczek tych wydarzeń. To kobiety stanowiły w tym czasie niewidzialne dla wielu, a przecież niezbędne, zaplecze ruchu niepodległościowego. Tym samym oddajmy im także sprawiedliwość i należne miejsce w historii ostatnich dziesięcioleci. Pielęgnujmy i chrońmy pamięć o wszystkich ludziach Sierpnia '80, aby ich imiona i dokonania nie zostały zapomniane.

Z wyrazami szacunku,

Prezydent Gdyni

Wojciech Szczurek

Bez tych kobiet nie byłoby Solidarności

Z przyjemnością oddaję w państwa ręce kolejny, 7 tom albumu „Ludzie Sierpnia 80' w Gdyni". Pomysł na jego realizację zgłosiłam cztery lata temu i pierwotnie planowałam, że gotowa publikacja ukaże się w 2018 roku. Niestety nie udało się tego terminu dotrzymać. W pracę nad jego realizacją zaangażowałam kilkanaście osób. Nagraliśmy przez ten czas ponad 300 rozmów w ośrodku w Jastrzębiej Górze i około 30, które realizował Mariusz Sieraczkiewicz w Gdyni. Nagrania zostały spisane i poddane opracowaniu redakcyjnemu, przy czym zależało mi na nie zatraceniu oryginalnej formy przekazu, co wcale nie było łatwe. Spośród nich musiałam wybrać wspomnienia, których łączna objętość nie przekroczy 500 stron maszynopisu. Było to zadanie trudne. Ostatecznie udało mi się przekonać kolegów, że umieszczę relacje 70 osób o objętości 600 stron. Mają one wspólny mianownik – osoba składająca notacje w latach 80' pracowała lub mieszkała w Gdyni. Wszystkie wypowiedzi są bardzo wartościowym materiałem źródłowym i mam nadzieję, że pozostałe, dla których nie znalazło się miejsce w niniejszym tomie wykorzystane zostaną w kolejnych publikacjach Fundacji.

Niniejszy tom serii „Ludzie Sierpnia '80 w Gdyni" ma charakter szczególny. Zbieg okoliczności sprawił też, że jest on nieco okazalszy od poprzednich. Myślę, że ta większa objętość ma rangę ważnego, wymownego symbolu. Wolumin ten poświęcony jest bowiem tym, o których zwykle pamięta się najmniej – cichym „bohaterkom drugiego planu". Tym, które jakże rzadko znajdywały się w kadrach fotogramów, utrwalających bieg przełomowych wydarzeń. Osobom najczęściej nie wymienianym w książkach historycznych, nie pokazywanych w filmach dokumentalnych i w materiałach okolicznościowych wystaw. Do nich najrzadziej zwracano się o złożenie własnych relacji, o przedstawienie wydarzeń z punktu widzenia ich życia, zwykle pełnego trudu oraz ich emocji, których jakże uzasadnionym składnikiem był codzienny lęk o los ich rodzin, o życie najbliższych.

Skutkiem dominacji w III RP postkomunistycznych mediów, ułomności historycznej edukacji i triumfu narracji zafałszowujących wiedzę o realiach PRL –u jest dziś powszechne wśród młodego pokolenia niezrozumienie tego, czym był Sierpień 1980 i co wówczas oznaczało zdobycie się na jakąkolwiek formę protestu. Dziesiątki roczników młodzieży, którym de facto odebrano lekcje historii, poświęcone dziejom najnowszym, demonstracje czy strajki kojarzą z wydarzeniami współczesnymi. Nie znającym PRL-u a wyedukowanym w III RP strajk może się kojarzyć z happeningiem, toczącym się w bogatej i często satyrycznej scenografii. Absolwentom szkół, w których krok po kroku likwidowano lekcje o polskich doświadczeniach – protest jawić się może jako barwne zgromadzenie, wyposażone w mobilne sceny, profesjonalne nagłośnie, catering i toczące się przy nieustannej asyście rzeczników ich praw oraz kamer przynajmniej kilku telewizji. Wyobrażenie o proteście w ostatnich latach musi też nasuwać asocjacje z absolutną nietykalnością uczestników i to nawet wtedy, gdy okupują oni kluczowe węzły komunikacyjne lub gmachy najbardziej strategiczne z punktu widzenia funkcjonowania państwa. W następstwie powszechnego upośledza-

nia wiedzy o realiach PRL-u na pytania o Sierpień 1980 widzimy dziś wzruszanie ramion i odpowiedzi w rodzaju: „Strajk jak strajk, cóż w tym mogło być nadzwyczajnego?"

Stefan Żeromski pisał o potrzebie rozrywania polskich ran, by nie zabliźniły się błonami podłości. Pamiętajmy o tym zaleceniu, kiedy paradę ekscentrycznej mniejszości interpretuje się dziś jako kontynuację walki o narodową wolność. Wszak dziś uliczną hucpę z dymami wytwarzanymi aparaturą znaną z dyskotek i komediantem, kładącym się na bruku, w celu zrobienia wstrząsającej fotografii, sam przewodniczący Rady Europejskiej nie wstydzi się zestawiać z masakrą Grudnia 1970. Żyjemy w czasach, w których wielcy tego świata i najpotężniejsze media dla triumfu nikczemnego kłamstwa nie cofają się przed żadną podłością. Dlatego głęboki pokłon składam wszystkim, którzy na przekór jakże potężnym we współczesnej Polsce, siłom fałszującym obraz ojczystych dziejów, mocom kreującym miernoty i spotwarzającym bohaterów, prowadzą niestrudzoną walkę o oddanie sprawiedliwości rzeczywistym matkom i ojcom naszej wolności. Największą wdzięczność wyrażam wytrwale pracującym na rzecz zwycięstwa prawdy o polskiej historii. A w związku z rozmiarami skutków dominacji toksycznych mediów, celujących w formatowaniu wizji przeszłości i teraźniejszości, czuję się w obowiązku przypomnieć, co oznaczało uczestnictwo w proteście w czasach tzw. Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej.

W Sierpniu 1980 pamięć o wydarzeniach protestu niespełna dziesięć lat wcześniejszego ciągle była bardzo świeża. Wg oficjalnych (co jest równoznaczne z określeniem – dalece niepełnych) danych zginęło wówczas 49 osób a 1165 odniosło rany. Tysiące uczestników strajków i demonstracji przeszło przez areszty i więzienia, co w każdym przypadku oznaczało dziesiątki ciosów pałkami a często prawdziwe tortury i katowanie, skutkujące ciężkimi urazami i nieodwracalną utratą zdrowia. Tylko wielkiemu przesileniu w elitach PZPR należy zawdzięczać, że pobyt tych ludzi za kratami trwał tygodnie a nie długie lata, że nie zakończył się jeszcze większym żniwem śmierci. By w Grudniu 1970 ponieść śmierć nie trzeba było zresztą uczestniczyć w strajku. Miejscem jednej z największych tragedii była stacja kolejowa Gdynia Stocznia, na której ogień z karabinów maszynowych otwarto do robotników, spieszących do pracy. Pociski dosięgały pasażerów pociągów, wpadały do mieszkań, sklepów, szkół, warsztatów a miotane były nawet z helikopterów. Przeciw bezbronnym ludziom komunistyczne władze wysłały kilka tysięcy milicjantów i kilka dywizji wojska (oficjalnie – 27 tysięcy żołnierzy), wyposażonego w 550 czołgów, transportery opancerzone i śmigłowce. Ilości gazów, użytych w celu rozpraszania demonstracji, w wielu miejscach oznaczały stężenie zagrażające zdrowiu i życiu. W szpitalach ewakuowano oddziały z ciężko chorymi i noworodkami. Zabitych grzebano w płytkich grobach, pod osłoną nocy, do pospiesznych ceremonii pogrzebowych dopuszczając jedynie paru członków najbliższej rodziny. Kolejne lata okazywały się potem gehenną najbliższych ofiar. Komunistyczni zbrodniarze nigdy nie zapominali o nikim, kto raz ośmielił się stanąć na ich drodze. Dotyczyło to żywych, umarłych i ich rodzin. Groby zabitych potrafiły znikać bez śladu a terroryzowanym rodzinom nie oszczędzano żadnej z szykan. Na próbujących w jakikolwiek sposób upamiętniać komunistyczną zbrodnię polowali tzw. „nieznani sprawcy", w rzeczywistości – reżimowi siepacze, potrafiący pobić lub za-

bić, upozorować wypadek, sfabrykować „dowody", umożliwiające skazywanie i więzienie kolejnych ofiar. Każda forma sprzeciwu wobec władz PRL-u kończyć się mogła jeśli nie wyrokiem to utratą pracy i niemożnością znalezienia innego źródła utrzymania. Standardową karą dla uczniów, zatrzymanych na nielegalnej demonstracji była, oprócz kary orzeczonej przez Kolegium d.s. Wykroczeń, dyscyplinarna relegacja z zamknięciem możliwości dalszego kształcenia. Często oznaczało to też powołanie do służby wojskowej w jednostce o zaostrzonym rygorze. Na miarę jego możliwości schronieniem zawsze był Kościół. Trudno jednak stwierdzić, by był on schronieniem pewnym, gdyż na wielu kapłanów spadały represje a w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych kilku księży, spieszących z pomocą prześladowanym, zostało zamordowanych. Inni ofiarni kapłani – czasem ledwo uchodzili z życiem.

Nie wolno zapominać, co oznaczał każdy akt protestu w Polsce, rządzonej przez komunistów. Brak tej pamięci oznacza całkowite zatracenie miary rzeczy. Niedostatek takiej wiedzy odbiera zdolność rozumienia tamtych czasów, w tym zdolność pojmowania tego, czym wówczas było uczestnictwo w strajku. Za motto ówczesnego ładu ustrojowego mogłyby posłużyć słowa Zenona Kliszki, członka Biura Politycznego KC PZPR. Dzień po rozpoczętym w roku 1970 strajku, w odpowiedzi na informację o postulatach, przygotowywanych przez jego uczestników, powiedział on: „Z kontrrewolucją się nie rozmawia. Do kontrrewolucji się strzela. Stocznię można zbombardować, zaorać i zbudować nową". Zaraz potem tak, jak w Poznaniu w roku 1956, przeciw strajkującym ruszyły setki czołgów. Padły dziesiątki zabitych i ponad tysiąc rannych. Każdy z przystępujących do strajku w roku 1980 musiał się więc liczyć z tym, że i ten protest zakończy się podobnie, jak poprzednie.

Grudzień 1970 był tragedią dziesiątek matek, którym zabito synów, dziesiątek żon, którym zamordowano mężów a także niewysłowioną gehenną dziesiątek osieroconych dzieci. W Gdyni kobiet, którym za udział w strajku komunistyczni oprawcy zamordowali najbliższych, było wyjątkowo dużo. Dla kobiet Gdyni koszmar, przeżywany przez osierocone matki i wdowy, nie był informacją, która docierała z odległego zakątka kraju. To było doświadczenie znane z losu koleżanek z pracy, krewnych, sąsiadek. To był powszechnie znany los osób, pozbawionych oparcia. To był znany z autopsji los dzieci, którym zamordowano ojców. W świetle tego, ciągle żywego i dojmującego doświadczenia świadomość, że teraz to ich mąż, ojciec, syn czy brat uczestniczy w wydarzeniu mogącym skończyć się tak, jak to w PRL – u kończyło się już nie raz – udział w strajku musiał być postrzegany jako ryzyko naprawdę śmiertelne. Nie będzie żadnej przesady w stwierdzeniu, że wzięcie na siebie ciężaru takiej odpowiedzialności, zalicza się do kategorii bohaterstwa.

Mamy w Polsce wspaniałą, choć często naznaczoną cierpieniem, tradycję wielkiej roli, odgrywanej przez kobiety. Obok wielkich umysłów w rodzaju Elżbiety Łokietkówny czy Marii Skłodowskiej, wojennych bohaterek, zawstydzających towarzyszących jej mężczyzn, jak Anna Chrzanoska z Trembowli lub Emilia Plater, wdzięczna pamięć należna jest wdowom, których mężczyzn zabrała walka o niepodległość. W trudnych dla Polski dziesięcioleciach, które przyszły po Powstaniu Styczniowym, to one dźwigały ciężar pracy organicznej i pracy u podstaw, w następnym pokoleniu uwieńczony powrotem Polski na

mapę Europy. Kobiety zarówno czynnie uczestniczące w wielkim zrywie Sierpnia 1980, jak też ciche bohaterki, w mozolnych latach osiemdziesiątych biorące na siebie całość odpowiedzialności za byt rodzin wystawionych na represje, stanowią kolejne ogniwo tradycji polskiej walki o wolność. Bez wytrwania gdyńskiego strajku w dniach, w których decyzją Lecha Wałęsy zakończony został strajk w Stoczni im. Lenina, Wielki Sierpień zakończyłby się klęską i straszliwymi represjami. W najtrudniejszych dniach Sierpnia 1980 największa część odpowiedzialności za powodzenie narodowego zrywu spoczywała na stoczniowcach gdyńskiej Stoczni im. Komuny Paryskiej. To stoczniowcy Gdyni ponosili wówczas największe ryzyko. Zdaniem wielu – znaleźli się wtedy w naprawdę wielkim niebezpieczeństwie. Wiedziały o tym matki, żony, siostry „gdyńskich komunardów". Drżały o swych najbliższych, często bezsenną nocą nie odstępowały od stoczniowych murów i wsłuchując się w odgłosy odległych pojazdów starały się rozpoznać, czy nie są to dźwięki czołgowych gąsienic. Na wodach Zatoki gromadziły się już wojenne okręty. Naprawdę było się czego bać. W Gdyni wiedziano dobrze, jak bardzo lęk ten może być uzasadniony. Gdyńskie kobiety wiedziały też jednak, o jak wielką sprawę toczy się walka. Nie wezwały więc swych najbliższych, często najukochańszych, by wracali do domu. Nie tylko wytrwały wraz z nimi, ale wspierały ich najmocniej, jak to tylko było możliwe. Bez względu na to, po której stronie fabrycznego muru się znajdowały, ich mężowie, ojcowie, synowie czy bracia wiedzieli, że są one wraz z nimi na dobre i na złe. W wielkiej mierze to im należy więc zawdzięczać przetrwanie najtrudniejszych, kluczowych, przesądzających dni pamiętnego Sierpnia.

Przez dziesięciolecia mało kto pamiętał o wielkiej roli gdyńskich kobiet. Zasługi zostały rozdzielone, „główny obalacz komunizmu" zapamiętywał się w kreowaniu własnej heroicznej postawy i jeszcze bardziej indywidualnej a oczywiście epokowej, przesądzającej roli. Główny nurt przekazu zmarginalizował znaczenie Gdyni. Znaczenie, którego przecież nie sposób przecenić. O gdyńskich kobietach główny nurt narracji III RP nie był zdolny przekazać najbardziej nawet lakonicznego wspomnienia. A w przekonaniu moim, podobnie jak i wielu uczestników tamtych zdarzeń oraz wielu rzetelnych badaczy historii, rola tak bardzo dziś zapomnianych gdyńskich kobiet była ogromna. Być może wręcz przesądzająca o tym, że Sierpień 1980 okazał się być wielkim polskim zwycięstwem. A zarazem pierwszym wielkim krokiem ku zrzuceniu z krajów naszej części Europy okowów sowieckiej niewoli.

Z wielką więc satysfakcją i wdzięcznością dla wszystkich, którzy pomagali mi w zbieraniu relacji, pracach redakcyjnych, składzie i przygotowaniu do druku przychodzi mi zakończyć pracę przy niniejszej publikacji – albumu o kobietach gdyńskiego Sierpnia 1980. Wyjaśnić jeszcze muszę, że przyjęty podtytuł „Kobiety Solidarności" rozumiem nie tylko jako potwierdzenie przynależności do związku zawodowego NSZZ „Solidarność", lecz wskazujący na wagę zwykłej, ale przez duże „S" pisanej, „zwykłej" międzyludzkiej SOLIDARNOŚCI. Dziękuję.

Lipiec 2019 roku, Małgorzata Zwiercan

Uczestnicy strajku sierpnia 1980 w Gdyni uhonorowani Odznaczeniem „Bohaterom Sierpnia ’80 Gdynia” od 2013 do 2019 roku (825 osób)

Abucewicz Józef
Adamietz Roman
Adamski Zbigniew
Albin Roman
Anders Ryszard
Andryskowski Andrzej
Andrzejewska Jadwiga
Andrzejewski Andrzej
Bach Edmund
Bach Jerzy
Baczyński Jan
Baczyński Włodzimierz
Balcer Marian
Banasik Grzegorz
Bańka Leszek Jan
Bańkowski Tomasz
Baranowska Zenona
Baranowski Eugeniusz
Baranowski Gerard
Baranowski Włodzimierz – pośmiertnie
Barański Kazimierz
Barszczewski Tadeusz
Baryło-Ludwichowska Sylwia
Bastian Zdzisław
Bazan Józef
Bejrowski Czesław
Belgrau Jan
Belka Jerzy
Belka Zbigniew
Bemka Jan
Bendyk Andrzej
Benka Zygmunt
Berus Jan
Białk Wiesław
Białoskórski Wojciech
Bielang Zbigniew
Bieliński Marek
Bieszke Edmund
Bieszko Kazimierz
Bińczyk Wojciech
Bisewski Ginter
Blecharz Stanisław
Bluma Grażyna
Błaszczyk Marian
Bławat Marian
Błęcki Leszek
Bochnacki Andrzej
Bodzińska Julita
Bogdanowicz Jolanta
Borek Zbigniew
Borowska Zofia
Borowski Władysław

Borusewicz Bogdan
Brańka Mariusz
Brejwo Grzegorz
Brot Marian
Bryl Stanisław
Brylowski Ryszard
Brylowski Stanisław
Brylowski Zenon
Brzeziński Franciszek
Brzeziński Jerzy
Brzózka Józef
Brzózko Mieczysław
Budzisz Marian
Bugajewski Zdzisław
Bulczak Stefan
Bulczak Zbigniew
Buraczewski Tadeusz
Burda Stanisław
Burzacki Henryk
Butkiewicz Andrzej
Butkiewicz Maciej
Cegła Jerzy
Cerklański Alojzy
Chmielecka - Gumoś Małgorzata
Chmielewski Stanisław
Chodowiec Witold
Chojecki Janusz
Choreń Ryszard
Chrzanowski Antoni
Chrząstek Stanisław
Cirocki Zbigniew
Ciskowska Ludwika
Cmieliński Henryk
Cybulski Jerzy
Cygan Andrzej
Cysewski Henryk
Czaja Albin
Czaja Henryk
Czaja Ludwik
Czajkowski Henryk
Czapiewska Teresa
Czapiewski Bronisław
Czapp Zenon
Czarnojan Jerzy
Czarnowski Bronisław
Czernega Halina
Czerwiński Włodzimierz
Czoska Jerzy
Czuba Tadeusz
Czwiertak Ireneusz
Daleki Andrzej
Damasiewicz Edward
Damasiewicz Ryszard
Dampc Stanisław
Damrath Andrzej
Dankiewicz Jan
Dardziński Kazimierz
Darga Jan
Data Alojzy
Deja Tadeusz
Delikat Stanisław
Delikat Stanisław
Dembek Bolesław
Dembowski Teresa
Demby-Mizgalska Alicja
Derebecki Piotr
Dębski Józef
Dębski Kazimierz
Dietrich Zenon
Długoszewski Władysław
Dmowski Sylwester
Dobek Benedykt
Dobracki Tadeusz
Dobrowolski Romuald
Dobrzyński Ryszard
Dojas Janusz
Domachowski Ryszard
Domagała Henryk
Dopke Zygmunt
Drabik Stanisław
Drapała Kazimierz
Drawczyński Marian
Drawik Marian
Drozak Zygmunt
Dunia Zdzisław
Dunst Elżbieta

Dunst Ireneusz
Dziaduszek Waldemar
Dziembowski Krzysztof
Dzięgielewski Sławomir
Eichelberger Jan
Emilianow Jan
Etmański Benedykt
Filter Stanisław
Flisikowska Elżbieta
Flisikowski Marian
Formela Edward
Formela Marek
Formela Stanisław
Formela Zbigniew
Formella Maria
Frankiewicz Edward
Gadziałowska Anna
Gajewski Tadeusz
Galiński Władysław
Gałuszka Tadeusz
Garstkowiak Krzysztof
Gawin Jan
Gawin Stanisław
Gąska Jan
Gerłachowski Henryk
Giłka Krzysztof
Glabiszewski Tomasz
Gliński Jan
Głąbiowski Kazimierz
Gniba Kazimierz
Gnuszmann Zygmunt
Gocał Jan
Godlewski Mirosław
Gohlike Jerzy
Golec Andrzej
Golec Bogumiła
Gołąbek Rysiek
Gołdyn Franciszek
Goś Bogusław
Gotner Adam
Gozdur Ryszard
Goździewicz Jacek
Goździewicz Józefa
Góra Lech
Górny Ryszard
Górski Zdzisław
Grabarski Roman
Grabczak Ireneusz
Grabczak Ryszard
Grabowicz Zbigniew
Grabowski Jan
Grabowski Marek
Grabowski Roman
Greger Jagoda
Gręda Jadwiga
Grota Wiesław
Gruba Alfons
Grulkowski Ludwik
Gryglewski Wojciech
Grzenia Bruno
Grzenia Zbigniew
Grzenkowicz Bogdan
Grzeszczak Mieczysław
Gutowski Władysław
Guździoł Aleksandra
Haba Jerzy
Hacia Teresa
Hajduk Stanisław
Hamerski Gerhard
Hapke Bernard
Hebel Bolesław
Hebel Kazimierz
Hedrych Marek
Hellak Karol
Henryk Latoszewski
Hensel Mirosław
Hering Jerzy
Herman Edward
Hinc Marian
Hinc Ryszard
Hinc Stanisław
Hinz Bogusław
Hinz Maria
Hirsz Bronisław
Hirsz Zbigniew
Hoffman Zenon

Hujda Stanisław
Iskierski Janusz
Iżyłowski Stefan
Jacek Władysław
Jach Andrzej
Jackowski Waldemar
Jagielski Piotr
Janczurowicz-Czaplic Wanda
Janka Jerzy
Jankowski Krzysztof
Jankowski Marian
Jankowski Roman
Jarosiewicz Ryszard
Jaroszyński Tadeusz
Jarzębiński Kazimierz
Jasiński Jerzy
Jaworska Barbara
Jaworski Jerzy
Jażdżewska Ewa
Jażdżewski Roman
Jeliński Adam
Jendrak Maria
Jerzak Kazimierz
Jesionkowski Tadeusz
Jesionowska Jadwiga
Jewasiński Daniel
Jezior Krystyna – daw. Polak
Jeziorny Marian
Jezusek Mirosław
John Jerzy
Julke Bernard
Jurczyński Władysław
Jurkowska Barbara
Just Anatol
Justyniarski Czesław
Kacik Jan
Kaczkan Hubert
Kaczmarek Franciszek
Kadela Jerzy
Kalinowska Halina
Kalinowski Antoni
Kalinowski Leon
Kaliszuk Jan
Kalkowski Alfons
Kała Włodzimierz
Kałek Tadeusz
Kamieńska Elżbieta
Kamieński Jan
Kamieński Mirosław
Kamińska Krystyna
Kamiński Ryszard
Kantecki Janusz
Karasz Kazimierz
Karczewski Grzegorz
Kardas Henryk
Kardas Zbigniew
Karkoszka Róża
Karolin Witold
Karsznia Józef
Karwowski Tadeusz
Kasprowska Elżbieta
Kaszuba Grażyna
Kaszubowski Czesław
Kaszubowski Stanisław
Kawiński Aleksander
Kazimierczak Jerzy
Kazyaka Janina
Kaźmierski Zdzisław
Kiesz Tadeusz
Kila Henryk
Kin Henryk
Kisielewski Tadeusz
Kiżewska Blanka
Klahs Witold
Klein Mieczysław
Klein Włodzimierz
Kleinszmidt Piotr
Knapiak Stanisław
Knop Roman
Kobierowski Stanisław
Kohnke Wojciech
Koleniec Helena
Kolp Zygmunt
Kołatka Jan
Kołodziej Andrzej
Kołodziejczyk Piotr

Komasiński Edward
Konkel Jan
Konkol Ireneusz
Konkol Paweł
Kopczyński Roman
Korczyńska Anna
Kordecki Władysław
Korsak Mirosław
Kosiedowski Janusz
Kosk Józef
Kosowska Krystyna
Kosz Jan Ludwig
Koszarska Maria
Kościuk Jan
Kotecki Janusz
Kotowski Edmund
Kotowski Edward
Kotowski Wacław
Kowal Jarosław
Kowalczuk Bogdan
Kowalczyk Jerzy
Kowalczyk Juliusz
Kowalczyk Mieczysław
Kowalczyk Ryszard
Kowalewski Gerard
Kowalewski Roman
Kowalewski Zbigniew
Kowalska Elżbieta
Kowalski Gerard
Kowalski Leszek
Kowalski Romuald
Kowalski Wiktor
Kozicka Gertruda
Kozicki Andrzej
Koziczkowski Jan
Kozielski Witold
Kozubski Jerzy
Kralewski Stanisław
Kramp Jan
Krasiński Stanisław
Krause Janus
Krawczyk Czesław
Kreft Stanisław
Kreft Zbigniew
Kriesel Jan
Krol Władysław
Król Eugeniusz
Król Grzegorz
Król Zdzisław
Królczyk Tadeusz
Kryger Tadeusz
Krzebietke Edmund
Krzewicki Jan
Krzyżanowski Andrzej
Jastak Hilary Ksiądz Prałat – pośmiertnie
Książek Włodzimierz
Księżopolski Zbigniew
Kubasiewicz Ewa
Kuchnowski Stanisław
Kuchta Bożena
Kuchta Władysław
Kujawa Elżbieta
Kujawiński Józef
Kulaszewicz Piotr
Kulawczuk Henryk
Kulawik Andrzej
Kullas Jan
Kulwikowski Tadeusz
Kummer Andrzej
Kupc Jerzy
Kupczyński Leszek
Kurant Jan
Kurczewicz Marek
Kurowski Zbigniew
Kurpiewska Ewa
Kuster Jolanta
Kutnik Szczepan
Kuzimski Roman
Kwiatkowski Edmund
Kwiatkowski Mieczysław
Kwiatkowski Stefan
Kwoka Zenon
Lademann Michał
Lanc Józef
Lasek Ryszard
Lekner Jerzy

Lenartowicz Jan
Leoniak Tadeusz
Lesiak Adam
Leszczyk Krzysztof
Leszczyński Antoni
Leszczyński Bogdan
Lewandowski Andrzej
Lewandowski Henryk
Lewiński Tadeusz
Leyk Dionizy
Libera
Liberski Jarosław
Licau Andrzej
Lidzbarski Leon
Lidzbarski Zygmunt
Linde Eugeniusz
Lis Jan
Lisiński Ryszard
Liszewski Franciszek
Lorenc – Celińska Danuta
Lotczyk Andrzej
Łonyszyn Michał
Łosiński Piotr
Łuba Jerzy
Łuczak Mirosław
Łydka Kazimierz
Machnicki Stanisław
Macholl Jan
Macholl Stanisław
Maciejewski Józef
Madej Władysław
Magalski Grzegorz
Majcher Zdzisław
Majewski Grzegorz
Majka Stanisław
Majorkiewicz Jan
Malczewska Alicja
Malczewski Przemysław
Malinowski Waldemar
Mańkowski Ryszard
Mański Czesław
Marciniak Mieczysław
Marczak Tadeusz
Marczyński Jerzy
Marecki Wojciech
Markuszewski Zbigniew
Maruszczak Anna
Matela Zenon
Mazurkiewicz Kazimierz
Mądry Stefan
Mechell Władysław
Mechliński Leon
Megger Jerzy Bolesław
Mehring Edmund
Meller Roman
Merchel Jan
Messerszmidt Eugeniusz
Michalak Stanisław
Michalak Tadeusz
Michalski Janusz
Michewicz Stanisław
Michna Henryk
Michniewicz Stefan
Michulec Józef
Mientki Zdzisław
Mierzejewski Henryk
Mikołajczyk Krzysztof
Miłecki Witold
Miłostek Stanisław
Miłosz Leonard
Mioskowski Jan
Miotke Jerzy
Miotke Józef
Miotke Lucjan
Miotke Stanisław
Miotke Zygmunt
Mirecki Zbigniew
Mironowicz Marian
Mizgalska Alicja
Moneta Mirosław
Moneta Mirosław Marek
Mordul Jan
Mościcki Zygmunt
Możejewski Eugeniusz
Możuch Tadeusz
Mrozowski Zbigniew

Mróz Marian
Mróz-Lisowska Danuta
Muller Aleksander
Murawski Adam
Murdzia Stanisław
Musiał Lech
Myschker Jurgen
Myszker Wiesław
Myszkiewicz Elżbieta
Mytkowski Piotr
Naczk Jan
Nadolny Tadeusz
Narloch Stanisław
Narojczyk Stanisław
Natucki Stanisław
Niedek Henryk
Niedzielski Wojciech
Nikiel Janusz
Nikielski Tadeusz
Noske Zygmunt
Nowacki Andrzej
Nowacki Julian
Nowak Daniel
Nowakowski Ryszard
Nowosielski Roman
Nowotnik Tadeusz
Nowy Józef
Nykiel Zygmunt
O. Jan Szczepański
O. Kwiecień Jan
Ojciec Edward Ryba - pośmiertnie
Okrój Bronisław
Okrój Marian
Olejnik Grzegorz
Olkowski Janusz
Olszewski Andrzej
Olszyna Michał
Ołtarzewski Grzegorz
Ordziniak Leszek
Orlikowski Zbigniew
Orłowski Maciej
Orłowski Michał
Osiński Teodor
Osowska Wiesława
Ossowski Stanisław
Ostalski Michał
Ostrowska Janina
Owczarski Włodzimierz
Pacholec Marek
Pacholec Stanisław
Pactwa Tadeusz
Palczewski Henryk
Pałasz Jan
Pałasz Zygmunt
Panek Jan
Papke Jerzy
Parszyk Henryk
Pasturczak Waldemar
Paszak Władysław
Pawelec Władysław
Pawlicki Szymon
Pawlik Jan
Pawluczyk Romuald
Pawluć Witold
Pawłowska Zofia
Pecyna Czesław
Pełka Bogusław
Pepliński Marian
Perlicka Anna
Perlicki Zygfryd
Peta Zenon
Petkowski Józef
Piątek Sylwester
Piątkiewicz Stanisław
Piątkowski Ryszard
Piekarski Maciej
Pieper Mirosław
Pietryk Henryk
Pietrzka Ewa
Pietrzka Zbigniew pośmiertnie
Pionk Ryszard
Piontke Józef
Piotrowski Edmund
Piotrowski Lechosław
Piotrowski Marian
Piotrowski Tadeusz

Piór Edmund
Pitter Stefan
Piwko Tadeusz
Pławiński Tadeusz
Płotka Jerzy
Polański Marian
Polejowski Roman
Połom Mariusz
Poniewozik Marek
Postek Janusz
Potrykus Władysław
Pranczk Tadeusz
Prażych Stefan
Prill Piotr
Przerada Mieczysław
Pstrąg Kazimierz
Puchowski Edward
Puła Aleksander
Puzdrowski Mieczysław
Radke Grzegorz
Radzimiński Marian
Radziuk Wojciech
Raguza Jan
Rak Zdzisław
Raszkowski Karol
Ratajczak Edwin
Ratajczak Zbigniew
Ratkiewicz Wiesław
Rauchfleisch Ryszard
Rechmal Ryszard
Rećko Janusz
Reinhardt Jan
Rekowski Jerzy
Rekwardt Marian
Remiszewski Andrzej
Richter Anna
Rinc Andrzej
Robakowski Leszek
Rogalski Zdzisław
Rogowski Zygmunt
Romaniec Stanisław
Rosal Kazimierz
Roserngart Tadeusz
Rożański Henryk Tadeusz
Różański Mariusz
Rusinek Mirosław
Ruszkowski Remigiusz
Rutkowska Maryla
Rutkowski Maciej
Rybacki Jerzy
Rybicki Leszek
Ryga Henryk
Ryszard Mańkowski
Rząsa Mieczysław
Rzepa Stanisław
Rzeszótko Andrzej
Rzeszótko Franciszek
Sabatowski Zygmunt
Sabiniarz Stanisław
Sadowski Eugeniusz
Sadowski Lech
Sałaciński Sebastian
Samson Kazimierz
Samula Jerzy
Samurajski Tadeusz
Sandach Zbigniew
Schmidt Bogumił
Schmidt Jan
Schulz Andrzej
Schulz Czesław
Schwan Franciszek
Schwann Wojciech
Selin Krystian
Selin Mieczysław
Sellin Brunon
Sellin Henryk
Sentkowska Sabina
Seruec Genowefa
Sędziak Józef
Sęk Edward
Sidorowicz Jerzy
Siejka Stanisław
Sielakow Jan
Siemieńczuk Jan
Sienkiewicz Tadeusz
Sierżęga Ryszard

Sikora Henryk
Sikorski Zygfryd
Sińczak Jerzy
Siwiński Ryszard
Siwołowski Jerzy
Skibiński Bogdan
Skowroński Kazimierz
Slezyngier Paweł
Słabuszewski Jerzy
Słowik Wojciech
Smóżyński Krzysztof
Sobczak Józefa
Sobczak Stanisław
Socha Henryk
Sokołowski Kazimierz
Sondej Stanisław
Sorek Henryk
Spisak Piotr
Stachowski Kazimierz
Stachura Marian
Staniewicz Jolanta
Stankiewicz Wojciech
Stańczyk Teresa
Starosta Stanisław
Starszyk Stanisław
Stefan Roman
Stefanowski Marian
Stefański Stanisław
Stegart Roman
Stojański Jan
Stokarski Edward
Strumiłło Bogusława
Strzelecka–Fiutak Mirosława
Strzelecki Stanisław
Stubiński Alfons
Stukan Kazimierz
Stypuła Ryszard
Sulewski Edward
Sulikowski Józef
Suzga Tadeusz
Syldatk Andrzej
Szaj Kazimierz
Szambelan Piotr
Szarafiński Tadeusz
Szczeciński Zbigniew
Szczepański Marian
Szczerba Andrzej
Szczęsny Stanisław
Szlaga Gerhard
Szmit Edward
Szmuda Tadeusz
Szostak Marian
Szpinda Czesław
Szponar Andrzej
Szulc Eugeniusz
Szwarc Ryszard
Szweda Czesław
Szymańska Elżbieta
Szymański Marek
Szymerowski Franciszek
Śleszyński Ryszard - pośmiertnie
Śliwiński Edward
Śliwiński Ireneusz
Śmiechowska Maria
Średziński Piotr
Świder Jerzy
Świnoga Jan
Świst Ryszard
Tabor Jerzy
Tajl Leon
Talaśka Jan
Tarasiewicz Henryk
Tarnacki Andrzej
Tempski Ludwik
Teresa Zajdel
Toczko Michał
Tojza Andrzej
Tomaszewski Edward
Tomczak Jan Maria
Tomczak Stanisław
Toporski Marian
Trocki Gerard
Trocki Marian
Trzciński Jerzy
Tulibecka Zofia
Tworkowski Zygmunt

Tyrka Andrzej
Tyszko Marian
Uciński Stanisław
Urbaniak Tadeusz
Uściłło Mirosław
Wajda Józef
Waldowski Kazimierz
Waldowski Ryszard
Wareris Wiesław
Warmowska Agnieszka
Wasilczuk Henryk
Wasilewski Tadeusz
Wenta Zenon
Wertyński Lech
Wesołowski Henryk
Wesołowski Stanisław
Wiater Walerian
Wierzbicki Eugeniusz
Wierzchowski Jan
Wiktorska Albina
Wilczewski Marian
Wilczyński Zygmunt
Winiewski Roman
Winniewski Piotr
Winniewski Roman
Wiszowaty Wiesław
Wiszowaty Zenon
Wiśniewski Roman
Wiśniewski Stanisław
Wiśniowska Krystyna
Witkowska Stanisława
Witkowski Edmund
Witt Bożena
Wittbrodt Jan
Wittbrodt Jerzy
Wittstock Henryk
Witusik Marek
Wodniak Henryk
Wodyk Wiesław
Wojciechowski Józef
Wojewski Jan
Wojtacha Jerzy
Wojtarowicz Aleksandra
Wolszon Roman
Wolter Antoni
Wołowski Piotr
Woś Stanisław
Woźniak Czesław - pośmiertnie
Woźniak Eugenia
Woźniak Henryk
Wronowski Julian
Wróbel Jacek
Wróbel Łucja
Wróblewski Andrzej
Wróblewski Lech
Wruk Kazimierz
Wrzesińska Bożena
Wrześniak Franciszek
Wydrowski Jan
Wyrzykowski Jerzy
Wysiecki Włodzimierz
Wysocki Zenon
Zajdel Teresa
Zalasiński Henryk
Zarwalski Józef
Zarzecki Czesław
Zbieć Mariusz
Zbudzki Zenon
Zębko Jan
Zielazek Andrzej
Zieliński Bogdan
Zięba Marian
Ziętek Józef
Zinke Ryszard
Ziółkowski Zbigniew Kazimierz
Zofka Zbigniew
Zuchowska Zefiryna
Zwiercan Małgorzata
Zych Stanisław
Żabicki Stefan
Żelewski Edmund
Żelewski Tadeusz
Żmich Janusz
Żołnowski Stanisław
Żuchowska Grażyna

KOBIETY SOLIDARNOŚCI

Jadwiga Andrzejewska

Polonistka, Przewodnicząca Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" w Zasadniczej Szkoły Budowy Okrętów przy Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Działaczka katolicka i oświatowa.

Żeby mówić o Sierpniu '80, nie można pominąć Grudnia 1970 roku. Nie byłoby takiego Sierpnia, gdyby właśnie nie Grudzień 10 lat wcześniej. Wydarzenia z '70 zdeterminowały to, co zaczęło się w wakacje '80 na Wybrzeżu.

Grudzień '70 wspominam jako czas bardzo tragiczny. Miałam wtedy półrocznego synka. Mocno przeżywałam tamte wydarzenia, myśląc, co czeka moje dziecko w przyszłości. Widziałam nie tylko tragedię, która rozgrywała się na gdyńskich ulicach, ale również te puste sklepy, szarość dnia i beznadzieję. To mi się wtedy wymieszało i dawało straszny obraz naszej, a zwłaszcza syna, przyszłości.

Wtedy mieszkałam w Gdyni przy Batalionów Chłopskich. Rano widziałam czołgi jadące ówczesną ulicą Dzierżyńskiego (obecnie Legionów). Później, popołudniu, oglądaliśmy ślady po gąsienicach, które zniszczyły nawierzchnię ulicy.

Musiałam dostać się do pracy, czyli do Zasadniczej Szkoły Budowy Okrętów przy Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Poszłam na przystanek. Od strony centrum Gdyni biegły grupki ludzi, a za nimi – zomowcy. Wyglądało to na jakąś walkę.

Byłam świadkiem tragicznego zdarzenia. Biegł człowiek z zabandażowaną głową – widziałam krew na jego ubraniu – i krzyczał: – Strzelają do polskiego robotnika!

Widok biegnącego rannego mnie zmroził... Dziś nie wiem, czy on był bardziej zdenerwowany, czy bardziej się bał. To było straszne. Za nim gnała grupa zomowców z pałkami.

Postanowiłam wrócić do domu. Tego dnia już nie próbowałam dostać się do szkoły. Zdałam sobie sprawę z tego, że na ulicach Gdyni trwa regularna walka, w której władza poluje na ludzi i katuje ich.

Później relację z tego, co się działo, dostałam od męża i brata, którzy tego dnia też próbowali przemieszczać się po Gdyni.

Z klasy mojego męża został bardzo pobity jego uczeń – Wiesław Kasprzycki, skatowany przez milicję w budynku urzędu miasta. Grudzień '70 był więc tragedią naszej szkoły. Po jakimś czasie jego matka przyszła do szkoły i długo rozmawialiśmy z nią w pokoju nauczycielskim.

Kilkoro uczniów zostało zabitych podczas demonstracji. Generalnie bardzo przeżyłam tragedię naszych podopiecznych. Był to bardzo emocjonalny okres. Praktycznie cały czas, rok w rok, wspominaliśmy tych pomordowanych. Zakazywano nam tej pamięci, ale i upór uczniów, i determinacja niektórych nauczycieli były silniejsze. Najważniejsze było to, by o nich pamiętać!

Później, kiedy już stanął pomnik Poległych Stoczniowców przy kolejce, chodziliśmy tam z uczniami i nawet stan wojenny tego nie przerwał. To było ważne dla nas, by pamięć o nich przetrwała. Przy pomniku opowiadaliśmy o zamordowanych uczniach i absolwentach. Zdaję sobie sprawę, że zarówno w latach 70., jak i później oddziaływaliśmy na młodzież i kształtowaliśmy tych, którzy w sierpniu 1980 roku strajkowali w „Komunie Paryskiej", a w stanie wojennym działali w podziemiu.

Po Grudniu '70, kiedy nastała ekipa Edwarda Gierka, wcale nie dałam się nabrać na jego obietnicę lepszego życia. Docierały do mnie informacje od rodzin pomordowanych o dziwnych pogrzebach, prześladowaniach, wilczych biletach, zastraszaniu. Jak więc miałam zaufać nowej władzy? Zmieniły się tylko nazwiska, a zły ustrój pozostał, przybierając nową szatę. Pod spodem jednak cały czas była to komuna, która w Grudniu '70 strzelała do ludzi.

Tragedia grudniowa zaszczepiła w nas bunt. Baliśmy się jednak, że za naszego życia nie uda się pokonać wielkiego radzieckiego kolosa, że jest zbyt mocny, a przez to silni są też polscy komuniści. Liczyliśmy jednak na to, że ofiara Grudnia zaowocuje i w końcu naród dojrzeje do politycznej rewolucji, która zmieni wszystko.

Pierwszy sygnał przyszedł w czerwcu 1976 roku, kiedy przeciwko władzy wystąpili robotnicy Ursusa, Radomia i Płocka. Poczuliśmy wtedy, że znów polski robotnik mówi „dość!".

Wiemy, jak to się skończyło. Było bardzo podobnie jak u nas na Wybrzeżu w 1970 roku. Kolejne gorzkie polskie doświadczenie...

Nastał rok 1978. Dla mnie bardzo ważny prywatnie. W lipcu tego roku pojechaliśmy na rekolekcje dla nauczycieli do Częstochowy. Podczas mszy podsumowującej nauki homilię wygłosił kardynał Karol Wojtyła, który przyjechał z Krakowa.

Nie był to dla mnie wtedy ktoś znaczący, po prostu jeden z polskich kardynałów. Zapamiętałam to, że – by podkreślić siłę swoich wypowiedzi – mówił podniesionym głosem, co zresztą często czynił, jak już został papieżem. Zapamiętałam słowa: – Nie wolno wam kłamać! Nie wolno wam kłamać! Pamiętajcie, jakiej historii uczycie.

To wezwanie zrobiło na mnie duże wrażenie. Poczułam, że uczestniczę w spotkaniu z bardzo wyjątkowym człowiekiem. Wtedy pomyślałam, trochę egoistycznie: „Jak to dobrze, że nie uczę historii". Jak dotarła do mnie informa-

cja o jego wyborze, na stolicę Piotrową, trochę nie dowierzałam, że z kimś takim miałam styczność.

W szkole zaczęły się pełne wiary rozmowy, że stało się faktem coś, co było niemożliwe. Czuło się Ducha Świętego w tym wszystkim. W moich rozmowach z Bogusławą Strumiłłą przewijały się nadzieje, że teraz nastąpi odnowienie narodu polskiego, że papież Polak wpłynie na komunistów, że Polacy zrozumieją swoją rolę w świecie i zbuntują się przeciwko komunistycznej władzy.

Potem rozmowy zaczęły nabierać nowego charakteru. Wiara znów wróciła do przestrzeni publicznej. Ugruntował to swoim wystąpieniem Jan Paweł II rok później, na placu Defilad. Wtedy chyba do wielu dotarło, ilu nas jest. Ta pierwsza pielgrzymka to było takie swoiste policzenie się.

Liczyliśmy na to, że niebawem coś naprawdę się wydarzy, nie tylko na Wybrzeżu, ale w całym kraju. Znamienne było to, że w pewnym momencie o Ojcu Świętym i jego wpływie na Polskę zaczęliśmy rozmawiać z uczniami.

Tak wszystko płynęło. W lipcu 1980 roku, wracając z wczasów, jechaliśmy przez Lublin. Tam dowiedzieliśmy się, że kolejarze przyspawali wagony do szyn, że na całej Lubelszczyźnie coś się dzieje. Nie łączyłam tego z masowym protestem robotników. „Coś się dzieje i pewnie władza szybko to załatwi" – myślałam.

Ale jak wróciliśmy do Gdyni, poczułam, że szykuje się coś naprawdę niezwykłego, że coś wisi w powietrzu. Nie był to jednak smutny czy negatywny nastrój. Raczej czuło się pozytywne napięcie – jakby ludzie na coś czekali.

I stało się: stanęły stocznie – jedna po drugiej. Najpierw – Gdańsk, a na drugi dzień – Gdynia. Od samego początku zapanował ogromny entuzjazm i to poczucie, że tym razem chodzi nie tylko o płacę i reformę związków zawodowych, że wreszcie Polacy upomnieli się o prawa człowieka, swoje prawa.

Dotarło do mnie, że tym razem dla społeczeństwa liczy się przede wszystkim poczucie wolności. Nastąpił ogromny wybuch entuzjazmu i ludzkiej solidarności. Tego nie było dotychczas w żadnym proteście. Być może okres letni miał na to wpływ, być może forma? Protestujący zostali w zakładach, które znali, i byli gotowi się tam bronić. Od samego początku strajku jeździliśmy z mężem na zmianę pod obie stocznie.

Z naszej szkoły wyniesiono ławki, żeby zbudować ołtarz do mszy, którą celebrował ks. Hilary Jastak. Byliśmy na tej eucharystii. Wtedy zobaczyłam, że nasz uczeń służy do niej, byliśmy bardzo dumni. Wspieraliśmy strajkujących jedzeniem. Dla mnie miłe też było to, że na czele strajku stanął Andrzej Kołodziej. Znam Zagórz, z którego on pochodzi.

Cechowała nas wtedy wielka nadzieja, taka świadomość jakby się coś odradzało. Dlatego nie mogło nas zabraknąć pod stocznią.

Po podpisaniu porozumień sierpniowych szłam do pracy w nowej rzeczywistości. Chciałam nawet zmienić rotę ślubowania uczniów klas pierwszych i wyrzucić z niej akapit o wierności socjalizmowi. Wówczas się to nie udało. Władza bała się trochę naszych podopiecznych, bo oni mieli przecież praktyki w stoczni, a uczniowie wieczorówki byli jej normalnymi pracownikami. Dużo in-

formacji nam przekazywali. Wiele wiadomości dostarczali również inżynierowie ze stoczni, którzy wykładali u nas przedmioty zawodowe.

Pewnego dnia poprosiliśmy o spotkanie szefa stoczniowej „Solidarności" Andrzeja Kozickiego, który wyjaśnił nam i opowiedział o bieżących działaniach związku. Była też mowa o budowie pomnika Ofiar Grudnia '70.

3 października odbył się ogólnopolski strajk nauczycieli. Była to jednogodzinna akcja, w trakcie której nie prowadziliśmy zajęć. Miałam wtedy lekcję z klasą spawalniczą. W dziennika wpisałam „strajk solidarnościowy". Uczniom natomiast przeczytałam opowiadanie Ksawerego Pruszyńskiego „Trębacz z Samarkandy". Jest to bardzo ciekawy tekst pokazujący lustrzane odbicie legendy o krakowskim Lajkoniku i hejnale z wieży mariackiej. Uczniów to zainteresowało.

Jako komisja zakładowa przynależąca do sekcji oświaty nawiązaliśmy kontakt ze strukturami w Gdańsku. Do szkoły docierały różne gazetki i wydawnictwa, coraz częściej mówiło się o rzeczywistej niepodległości.

Nasi adwersarze, zwolennicy Jaruzelskiego, w okresie legalnej „Solidarności" zamilkli, nie wchodzili nam w paradę. Wiedzieliśmy również o tym, że na terenie naszej placówki działają tajni współpracownicy Służby Bezpieczeństwa. Ale nie baliśmy się ich. Generalnie wierzyliśmy w wielką zmianę. Działaliśmy tak, by nastąpiła ona jak najszybciej.

Aż przyszedł 13 grudnia 1981. Rano, nic jeszcze nie wiedząc, poszliśmy do kościoła. Tam, jak grom z jasnego nieba, spadła na nas wiadomość o wprowadzeniu stanu wojennego.

Był to bardzo trudny moment w moim życiu. Zaczęły się rodzić obawy. Zdjęto mnie ze stanowiska kierownika wydziału i zostałam zesłana do biblioteki szkolnej.

Dzięki temu nie rzucałam się w oczy, co dawało wiele możliwości. Przede wszystkim ułatwiało kolportaż prasy podziemnej, ulotek i książek. Co prawda co jakiś czas ktoś zwracał mi uwagę, że nauczyciele i uczniowie przebywają u mnie za długo, jednak dyrekcja chyba uznała moją działalność za mało szkodliwą.

Przeżyłam również weryfikację nauczycieli. Zwołana została specjalna komisja, w czasie której przesłuchiwanym zadawano pytania w stylu „jak pani wciela w życie ideały socjalistycznego wychowania?". Odpowiedziałam, że uczę kulturalnego przebywania w bibliotece, namawiam do czytania czasopism.

Nie chciałam być bierna, więc szukałam kontaktu z nauczycielami z innych szkół. W 1985 roku trafiłam do Ogniska Wychowawczego im. Kazimierza Lisieckiego przy ul. Zygmunta Augusta. Odbywały się tam zajęcia z etyki chrześcijańskiej pod kątem dydaktycznym i pedagogicznym. Poznałam tam wiele koleżanek i kolegów po fachu. Z jednaj strony sami się edukowaliśmy, a z drugiej mogliśmy wymieniać informacjami, gazetkami.

Wtedy też z inicjatywy biskupa Gocłowskiego rozpoczęły się spotkania nauczycieli w ramach Uniwersytetu Wychowania Chrześcijańskiego w domu parafialnym w Oliwie. Jeździliśmy tam regularnie. Przy okazji spotykaliśmy się z ludźmi podziemia, np. Maciejem Płażyńskim.

Okres ten obfitował w samokształcenie. Część z nas weszła do KIK-u. Wyglądało to tak, jakbyśmy przygotowywali się do pracy w nowej Polsce, bo byliśmy przekonani, że ten realny socjalizm musi się skończyć.

Z inicjatywy biskupa Gocłowskiego nawiązaliśmy kontakt również z nauczycielami z Norwegii. Oni przysyłali nam paczki, w których znajdowało się dużo lekarstw i witamin.

W tamtym czasie miałam dobre relacje z panem Dubielą, działaczem „Solidarności" w Stoczni Gdynia. On uczył u nas w szkole. Na bieżąco przekazywał informacje o tym, co dzieje się w podziemiu.

Kiedy uczniowie zaczęli nosić oporniki, dyrekcja kazała nam interweniować. Nie zrobiłam tego. Zresztą wielu naszych podopiecznych weszło do różnych konspiracyjnych struktur, które powstały w stanie wojennym. Były to m.in. Federacja Młodzieży Walczącej, Solidarność Młodych, Solidarność Walcząca. Co ciekawe, młodzi zachowywali większą ostrożność od dorosłych. Nie chwalili się, gdzie kto działa. Dochodziły do nas informacje, że uczestniczą w demonstracjach, że mają swoją podziemną prasę.

1987 rok znów wyzwolił w nas entuzjazm. Przyjazd Jana Pawła II dał nam nadzieję. Moje dzieci były w obsłudze mszy. Gdy się patrzyło na ten ogromny tłum wiernych, czuło się, że wraca nadzieja. Tak jak na początku stanu wojennego załamałam się, to po pielgrzymce Ojca Świętego uwierzyłam, że koniec komuny jest już blisko.

W tamtym czasie zaangażowałam się w działania w Kościele. Wraz z uczniami robiliśmy montaże słowno-muzyczne, które przyciągały tłumy. Ludzie bardzo żywo reagowali na nasze przedstawienia.

W szkole też wystawiałam takie mini-spektakle. Wielkim przeżyciem były jasełka na podstawie wierszy Ernesta Brylla.

Młodzi także poczuli misję. Nieoficjalnie wyjeżdżaliśmy z nimi w góry. Były to takie lekcje patriotyzmu. W ten sposób jako polonistka uwrażliwiałam ich na wartość polskiej poezji.

Tak doczekaliśmy strajków w 1988 roku, które niby przeszły bez echa, ale jednak stały się iskrą. A potem wszystko potoczyło się bardzo szybko: negocjacje władzy z „Solidarnością", okrągły stół i w konsekwencji wybory czerwcowe.

Do '88 roku wierzyłam Wałęsie. Wiele wątpliwości nabrałam właśnie po strajkach majowych i sierpniowych. Zaczęły pojawiać się informacje o jego kontaktach z drugą stroną.

W latach 80. życie nas nie rozpieszczało. Ja praktycznie wszystko zawdzięczam rodzicom, ich pomocy. Mama stała w kolejkach, robiła zakupy, doglądała dzieci. Bez rodziców nie dałabym rady. Ale z drugiej strony muszę przyznać, że stan wojenny mnie zahartował.

Zenona Baranowska

Farmaceutka. Obecnie na emeryturze. Członek Klubu Gazety Polskiej w Gdyni.

Pracowałam w aptece na Obłużu. Była czynna do 20. Kiedyś koło 19 przyszedł mężczyzna i powiedział, że ma blok serca i żebym wezwała pogotowie. Zadzwoniłam, przedstawiłam powód wezwania, a dyspozytorka na to:

– Proszę pani, blok serca to my mamy wszyscy!

– Zgoda, ale człowiek mi tu prawie że umiera. Zamykam aptekę za godzinę i co mam z tym mężczyzną zrobić? – pytam.

Przysłali pogotowie, zabrała go karetka. Na drugi dzień znów przyszedł. –Wie pani co? Zatrzymali nas, jak jechaliśmy do szpitala i przeszukali karetkę. Ale ratownicy nic nie mieli – powiedział.

Początek strajków sierpniowych trochę przegapiłam. Nie wiedziałam, że stanął Lublin, Świdnik i Stalowa Wola, dlatego że w tym czasie byłam w delegacji w Ustce. Tam nic się o tym nie mówiło. Nie pamiętam też, skąd dowiedziałam się, że stoi Gdańsk.

W sobotę 15 sierpnia, kiedy pani Walentynowicz z panią Pieńkowską zatrzymały wychodzących robotników, mój mąż wracał z córką z urlopu. Przyjechali koło dziewiątej wieczorem.

– Wiesz, że jest strajk? – powiedziałam do męża. Popatrzył na mnie zdziwiony.

– Jaki strajk? Co się dzieje? – zapytał.

– Toż cała stocznia stoi!

– A ja się tak dziwiłem, że cały biurowiec jest oświetlony….

W poniedziałek poszedł do stoczni, ale pilnujący bramy nie chcieli go wpuścić. Wytłumaczył im, że był na urlopie. Chyba na drugi dzień już wszedł. Przesiedział tam dwa tygodnie.

Byliśmy umówieni, że jeśli nie wróci za trzy-cztery godziny, to znaczy, że jest w stoczni. Nie pamiętam, jak się komunikowaliśmy.

Chodziłam z córką do bramy, która kiedyś znajdowała się od strony ul. Energetyków. Szliśmy gromadkami, po kilka osób, bo zawsze to raźniej. Umawialiśmy się na konkretną godzinę. Mąż w międzyczasie skądś przychodził i czekał na nas. Popatrzeliśmy na siebie, chwilę potrzymaliśmy za ręce i trzeba było

przepuszczać następnych. Nie pamiętam, żebym nosiła mu jedzenie, bo oni tam prowiant mieli. Dostałam nawet od męża dwie paczki z masłem.

Czy rozmawiałam na temat bieżącej sytuacji z przyjaciółkami, sąsiadami? Nie bardzo miałam z kim.

Jedna z koleżanek miała w rodzinie bardzo, bardzo pro-partyjnych ludzi. Jej brat, jak tylko wybuchła wojna, natychmiast został rektorem ówczesnej Państwowej Szkoły Morskiej. A jej mąż był kierownikiem w stoczni i po rozpoczęciu strajku robotnicy go stamtąd wyrzucili, bo go nie chcieli.

Druga znajoma była żoną komandora pracującego w Stoczni Marynarki Wojennej, więc siłą rzeczy z nią też na ten temat nie rozmawiałam. To był chyba listopad 1981 roku, gdy ona któregoś dnia przyszła i powiedziała, że będzie stan wojenny. Potem się już z nią o polityce czy aktualnych wydarzeniach nie mówiło.

Zatem nie miałam z kim porozmawiać. Wracałam z pracy, siadałam, patrzyłam na balkon. Panowała taka przeraźliwa cisza. Zawsze się zastanawiałam, którędy uciekać, jakby się coś działo… Za sobą mam przecież lotnisko! *(śmiech)*

Choć przez męża i brata ten strajk mnie również niejako dotyczył, to nie znałam Andrzeja Kołodzieja. Wiedziałam tylko, że to bardzo młody człowiek. Mąż mi powiedział, że protest prowadzi 21-letni chłopak. Byłam strasznie zdziwiona. Wiedziałam, że jest przywódcą akcji, jak się nazywa i ile ma lat. To wszystko.

Mój mąż strajkował w Stoczni im. Komuny Paryskiej, a jego brat, mieszkający w Gdańsku, strajkował w komunikacji miejskiej.

Bodajże 22 sierpnia urodził mu się syn. Skończyły się strajki i w niedzielę pojechaliśmy oglądać nowego członka rodziny. Po *ochach* i *achach* zaczęły się rozmowy „co u nas, co u was".

– Słuchaj, ale u nas mówili, że w Gdańsku nie kursuje komunikacja – powiedział w pewnym momencie mąż do brata

– Tak, jakaś baba z Nowego Portu powiedziała, że nie będzie jeździć – odparł.

Tutaj padło nazwisko, którego nie pamiętam. No i – relacjonował mąż brata – ta osoba przełożyła wajchę, wyłączyła prąd i zatrzymawszy się przy operze, stwierdziła, że dalej nie pojedzie.

Szwagier opowiadał, że pojechał na piątą rano do pracy. Przy bramie stał autobus, a Wojewoda zakazał wyjazdu. – Jak to? Sam wojewoda do was przyjechał? – zapytałam naiwnie. Okazało się, że tak nazywał się kierownik w zajezdni. Dlatego to nazwisko zapamiętałam.

Nie uczestniczyłam w mszach, które pod stocznią odprawiał ks. Jastak. Byłam zastępcą kierownika w aptece. Kierowniczka przebywała na urlopie i w ogóle nie wiedziała, że coś się dzieje. Zresztą, to była żona komandora, który pracował w sztabie, więc nie musiała znać prawdy.

Mój dzień sprowadzał się głównie do kursowania między domem i apteką. Jak udało mi się coś po drodze kupić, to fajnie. Później szłam po córkę. Gdy miałam pierwszą zmianę, ona jeszcze była w domu, a potem tuptała do mnie.

Bałam się, że coś się może zdarzyć i ją stracę. A jak szłam do pracy na drugą, zabierałam ją ze sobą. Nie interesowało mnie, co się wokół dzieje.

Krótko po strajkach mąż zaczął chorować i to wszystko, co było wcześniej, zupełnie mi uciekło z pamięci. Miał niewydolność nerek i potrzebował dializ. Jakimś cudem się na nie zakwalifikował, chociaż nikomu grosika nie dałam, nigdzie nie chodziłam ani po rękach nie całowałam. Ale znajomi pytali, ile dolarów mnie to kosztowało.

No i przez tę chorobę wspomnienia o wydarzeniach sierpniowych i późniejszych czasach jakoś mi uleciały. Pewnie się z kimś spotykaliśmy. Najpewniej ze stoczniowcami, bo mój mąż skończył budowę okrętów. Zapewne były jakieś rozmowy o tym, co się dzieje, ale zupełnie uciekło mi to z głowy.

Jednak pamiętam takie wydarzenie. To było już po tym, jak wprowadzili kartki. Byłam u znajomych. – Zrób sobie zapas mydła, bo nie będzie – powiedziała koleżanka. Pomyślałam, że opowiada bzdury.

Miałam taki zwyczaj, że gdy rano wstawałam, włączałam radio – zawsze na Program I. Tak dobrze znałam ramówkę, że po aktualnej audycji wiedziałam, która godzina – nie musiałam patrzeć na zegarek.

Pamiętam, że szłam wtedy na ranną zmianę. W pewnym momencie usłyszałam, jak jakaś kobieta z Polleny mówi, że nie będą wytwarzać mydła, bo nakazano im produkować Cypiska, żeby było w czym prać pieluchy. Tego dnia wraz z trzema koleżankami z pracy wykupiłyśmy prawie całe mydło, każda po 10 kostek.

Na drugi czy trzeci dzień przyszła ekspedientka z tego sklepu, w którym kupowałyśmy.

– A skąd pani wiedziała, że mydła nie będzie? – zapytała.

– Moja tajemnica – jakoś ją zbyłam.

Jak wspominam 13 grudnia 1981 roku? Było przed dziewiątą. Ja chyba leżałam, córka jeszcze spała. Przyszedł mąż i powiedział, że telewizor się zepsuł. Nigdy nie byliśmy tacy, że jak tylko otworzymy oko, to od razu patrzymy w telewizor. Pomyślałam więc, że rzeczywiście, coś mogło w nim nawalić. Ale później wstała Wanda i oczywiście była zdziwiona, że jak to, nie ma „Teleranka".

Tego dnia obiad jedliśmy chyba o piątej wieczorem, bośmy z wrażenia posiedzieli, posłuchali i zaniemówili… No i pojawiło się pytanie: „Co dalej?".

Boże Narodzenie 1981 to w całym moim długim życiu były najbardziej przykre święta. Zawsze spędzałam je z moimi rodzicami, a wtedy nie mogliśmy wyjechać. Mówiłam mężowi o tym, co w listopadzie powiedziała moja kierowniczka.

– Widzisz? Oni to wszystko już wiedzieli! – powiedział.

Pamiętam słowa tej mojej kierowniczki, żony komandora. Opowiadała, że wejdą wojska radzieckie i tak dalej.

– Kiedy ci Ruscy wejdą? – zapytałam wtedy pół żartem, pół serio, jak to zawsze przy takich tematach.

– Zenka, a po co mają wchodzić? Przecież oni tu są!

Robiłam specjalizację w szpitalu miejskim w momencie, kiedy w Dalmorze trwał strajk. Nie pamiętam, który to był rok. W pewnym momencie do pokoju wpadła kobieta.

– Słuchajcie, na podwórzu stoi samochód, a na nim jest napisane „Ryga". Czyli co, Ruskie już są? – mówiła podekscytowana.

Inna koleżanka poszła spojrzeć na to auto. – Słuchajcie, tam jest napisane „Borygo"!

Gdy wprowadzili stan wojenny, myślałam o świętach i jak to dalej będzie. Wykorzystałam wszystkie przydziałowe bony, jakie miałam. Myślałam przecież, że pojedziemy do rodziców, tam dostaniemy jeść i jeszcze przyjedziemy z wałówką. Chociaż rodzice mieszkali w śródmieściu Łodzi i nie hodowali żadnych kurcząt ani świniaków, zawsze nas sowicie obdarowywali przy takich okazjach.

Nie wiedziałam, jak mam urządzić te święta. To był dla mnie problem. Ale jakoś udało mi się kupić żołądki i zrobiłam à la flaki w szarym sosie! Jeden jedyny raz w życiu zrobiłam szary sos, żeby jakoś ten świąteczny stół wyglądał.

Za to karpia nie było. Poszliśmy do kolegi męża na Chylonię, ale dostaliśmy tylko kostki fileta z morszczuka. Człowiek był młody, to też na to wszystko inaczej patrzył. To było na zasadzie „zobaczymy, co będzie dalej".

Kiedy „Solidarność" powstała, u mnie w aptece pojawiły się pytania o to, kto się zapisuje. Wstąpiłam pierwsza. Na 10 osób trzy nie podpisały deklaracji: ta od kierownika, którego nie wpuścili do stoczni, moja kierowniczka (żona komandora) i koleżanka, której mąż prawdopodobnie też był mocno partyjny, bo w stanie wojennym wysłali go na stanowisko dyrektora do stoczni w Świnoujściu. Powiedział jej, że jak podpisze, to się z nią rozwiedzie.

Długo, długo byłam członkiem „Solidarności", ale dopiero na początku lat 90. znalazłam się w komisji zakładowej. Parę razy zazgrzytałam zębami na dyrektora, ale byłam zwykłym członkiem i nie wychylałam się.

W stanie wojennym wiedziałam coś o internowaniach. Z tym że to były wiadomości przyniesione przez męża ze stoczni. W pracy, jeśli chodzi o tematy polityczne, nie miałam o czym pogadać z tymi moimi babami.

W tamtych czasach członkostwo w partii dawało pewne przywileje. Mimo przeżywanych trudności nie wstąpiłam do PZPR-u. Nigdy też nie bałam się przyznać do tego, że z tymi czy z tamtymi nie jest mi po drodze.

Kiedy mąż chorował, była taka sytuacja, że czegoś nie mogłam załatwić.

– Wiesz co? Chyba się zapiszę do tego PZPR-u! Wiesz, jakie będę miała z tego profity?! – powiedziałam do niego.

– No tak. Ale będziesz miała te dwie osoby, które cię wprowadzą?

– Jedną bym miała, a ona znajdzie drugą.

– No to się zapisz!

Na tym zostało *(śmiech)*. Oczywiście nie miałam zamiaru się zapisywać.

Jak wspominam pierwszą pielgrzymkę ojca świętego do Polski? Papież przyjechał w czerwcu. Chciałam iść z córką na skwer Kościuszki prosto przez Kwiatkowskiego. W miejscu, gdzie autobus skręca w Wiśniewskiego, stała milicja i blokowała drogę. Nie mam pojęcia, dlaczego chcieliśmy akurat tamtędy.

Księża chodzili i powtarzali: – Nie dajmy się sprowokować, nie dajmy się sprowokować.

Na szczęście dotarłyśmy na miejsce mszy. Mąż był wtedy na dializie. Karetka zawoziła go szpitala i odwoziła. Tego dnia ambulans został przy dworcu, dlatego mąż nie zdążył na skwer Kościuszki i stał na wysokości PLO. Mówił, że robił zdjęcia [*córka pani Zenony, Wanda Olkowicz przypomniała sobie, że jej tata miał specjalną przepustkę dla chorych na spotkanie z papieżem; jest o tym mowa w rozmowie z nią* – przyp. red.].

Byłyśmy też na spotkaniu z papieżem na Zaspie. Ogromnie to przeżyłam. Dobrze widziałam Ojca Świętego, bo miałam wojskową lornetkę. Pamiętam jego słowa, że nie będzie jechał do Gdańska papa-mobilem, tylko popłynie statkiem. Wtedy miałam wrażenie, że coś się zmieni. Nie umiałabym określić, czego oczekiwałam, ale wiedziałam, że musi być inaczej.

Z tamtego okresu pamiętam jeszcze jedno zdarzenie. Na ulicy Armii Krajowej znajdowała się apteka. Pracowała tam koleżanka. Opowiadała mi, jak któregoś dnia w okolicy panowało ogromne poruszenie. Pracownice zamknęły aptekę, stały przy oknach i obserwowały, co się dzieje. Obok niej stała sprzątaczka, której mąż był ormowcem. Tam biegali m.in. właśnie ormowcy. Ta sprzątaczka powiedziała sama do siebie: – A on mi co innego opowiadał... To oni jednak biją!

W stanie wojennym generalnie ciężko było się poruszać poza miejsce zamieszkania. Jednak któregoś dnia wybraliśmy się do rodziców, do Łodzi.

Ulica Sienkiewicza, centrum Łodzi. Ta arteria jest dość długa. Zatrzymali nas. Stoimy. Nagle ze stojącej przed nami wielgaśnej budy wyskoczyli milicjanci. Byłam przerażona. Pomyślałam sobie: „Mnie niech tłuką, starego niech tłuką, ale co z moim biednym dzieckiem? Gdzie je schować?".

– Masz coś [chodziło o bibułę–red.]?– zapytałam męża. Powiedział, że nie.

Pomyślałam: „No to dobrze. Skoro nic nie mamy, nic nam nie zrobią. A że inna rejestracja? Przecież wolno nam przyjechać".

Jak nas zatrzymali, była trzecia popołudniu, a puścili po trzech godzinach. 200 metrów od domu rodziców. Kazali nam się zatrzymać, ale nie pozwolili wysiąść, więc siedzieliśmy w środku. Ulica była zupełnie puściuteńka, przez ten czas nie przejechał nią ani jeden samochód. Mąż powiedział, żebym szła z Wandą do mieszkania, a on zostanie. Powiedziałam, że nie pójdę, bo nie będę wiedziała, co się z nim dzieje. Wandę też się bałam puścić samą. Co prawda trafiłaby do dziadków, ale gdyby powiedziała im, że nas zatrzymali, dziadek zaraz by przyleciał. Wszczął by awanturę i dopiero by nam narobił bałaganu.

– Siedzimy razem i koniec. Jak nas mają zamykać, to całą trójkę – zadecydowałam.

Do męża podszedł taki młody funkcjonariusz. – Panie, po co nas tu trzymacie? – zapytał go.

– Ja to bym was już dawno puścił ale szef nie pozwala.

Potem tak się z mężem zastanawialiśmy, czy ten milicjant przypadkiem nie liczył na to, że w pewnym momencie wyjdziemy i zaczniemy pyszczyć. Bo z Gdyni to pewnie naładowani wolnościowymi ideami… Mieliby powód, by nas zamknąć i się czymś wykazać. A my cicho i grzecznie siedzieliśmy i czekaliśmy na to, kiedy nas wypuszczą.

Drugi wyjazd do Łodzi w stanie wojennym mieliśmy w okolicach 1 maja. Była godzina 11. Wyszłam z domu, stanęłam przed bramą. Gdyby poprosili mnie o dowód, to pewnie znalazłabym się na dołku. Przecież w dowodzie miałam meldunek gdyński. Zapewne pytaliby, co tam robię.

Nagle na jednym i drugim krańcu ulicy z wielkiej budy wyskoczyli milicjanci. Pomyślałam: „Co to się będzie działo…". Zamiast się cofnąć, skręciłam w prawo i poszłam dalej. Doszłam do ulicy Tuwima. Tam znajdował się kościół. W jego wielkich drzwiach stała gromada 20-30 osób, które śpiewały „Boże, coś Polskę" albo hymn Polski, już nie pamiętam.

Już później dowiedziałam się, że naprzeciwko kościoła stała przedwojenna pięcio – albo sześciopiętrowa kamienica. Podobno z mieszkania na pierwszym piętrze wysiedlono ludzi, by cały czas obserwować tę świątynię.

Szłam spokojnie, pierwsza naiwna. Skręciłam w prawo. Tam stali młodzi milicjanci, których minęłam. Za nimi zauważyłam większą grupę ludzi. Przeszłam Piotrkowską, kupiłam na rogu kwiaty, skręciłam w prawo. Rozejrzałam się i dostrzegłam, że idzie tłum. Podążał w tym samym kierunku co ja, więc niejako przypadkowo szłam z tą rzeszą. Ja jezdnią, a pozostali chodnikiem.

Jestem osobą, która nie lubi tłumów i jeżeli znajduję się w jakimś zgromadzeniu, zawsze staram się iść albo pierwsza, albo na samym końcu. Nie lubię być w środku.

Szłam więc chodnikiem i w pewnym momencie zorientowałam się, że to zbiorowisko za mną jest już naprawdę duże. Na wysokości ulicy Moniuszki suka milicyjna chciała rozpędzić to towarzystwo, próbując wjechać między ludzi. Samochód zatrzymał się i wycofał. Podejrzewam, że dostali rozkaz odwrotu.

Doszłam do bramy, gdzie mieszkała moja ciotka, skręciłam i weszłam na drugie piętro. Zdążyłam wejść do jej mieszkania i przywitać się. Po chwili zadzwonił dzwonek. Ciotka poszła otworzyć.

Okazało się, że to milicjanci. Szukali jakiejś kobiety, która podobno wpadła tu z dzieckiem. Nie widziałam nikogo takiego. Poszli ich szukać nawet do piwnicy, ale tam też nie znaleźli. A tamten pochód poszedł dalej, na plac Wolności.

Sylwia Baryło-Ludwichowska

w latach '80 pracownik Polskich Linii Oceanicznych. Współzałożycielka NSZZ „Solidarność" i wiceprzewodnicząca Komisji Zakładowej ds. pracowników lądowych. W stanie wojennym kurierka i kolporterka.

Mój mąż pływał na statkach. W tamtym środowisku nie czuło się tego, że nadchodzi fala protestów. Miałam przyjaciółkę, Bogumiłę Małkowską. Jej mąż, Rysio, był inżynierem w Stoczni im. Komuny Paryskiej i wieczorami rozmawialiśmy o tym, że coś się w Polsce dzieje, że jest źle. Każdy miał obawy, że powtórzy się 1970 rok. Jednak mieliśmy też nadzieję, że niemożliwym jest, żeby to się drugi raz wydarzyło, ponieważ nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Z Polski docierały różne informacje, ale napięcia nie było. Zapewne wynikało to z żywej pamięci o Grudniu '70. Panowało raczej przeświadczenie, że jeśli już do czegoś dojdzie, to będą to drobne manifestacje w zakładach pracy, dlatego że w tamtym czasie były to duże skupiska ludzi.

Weźmy na przykład taki Dalmor. Kiedy przypływał statek, wysiadało z niego 100 chłopa. Przecież w razie ewentualnego protestu nie byłoby tak, że przyszłoby 20 osób, nie mówiąc już o stoczni.

Wszyscy uważali, że coś się dzieje. Z tym że na tle innych miast Gdynia była bogatszym ośrodkiem. Bogactwo powoduje większy komfort. Tu można było dostać czekoladę, a w pozostałych regionach to nie wiem, jak to wyglądało. Kakao – to samo, kto ile chciał, tyle mógł dostać. Kawa, dobra herbata – też. Dzisiaj to jest śmieszne, ale wtedy to były swoiste dobra rzadkie. Tam gdzie panuje większy dostatek materialny i łatwiejszy dostęp do niego, nie ma takiego napięcia.

Słyszeliśmy, że coś się dzieje, ale ani ja, ani nikt z moich bliskich nie miał kontaktów z ludźmi, którzy się do czegoś przygotowywali. Dlatego wybuch strajku wprawił nas w zdziwienie.

Sierpień '80 zaskoczył mnie, mojego męża i wielu naszych zagranicznych znajomych w Wernigerode. W Dalmorze funkcjonowało coś takiego jak tzw. wczasy wymienne. NRD-owcy przyjeżdżali do Polski, a my, jeśli ktoś był zmotoryzowany, jeździliśmy w góry do Harz. Właśnie wtedy przebywaliśmy tam na urlopie, gdzie zaskoczył nas protest w Stoczni Gdynia. Ale wieść o nim dotarła nie pierwszego czy drugiego dnia, a dopiero 17 sierpnia 1980 roku, czyli na trzeci dzień.

Dlaczego tak późno? Nie słuchaliśmy przecież żadnego niemieckiego radia. Jeśli już, większość znała angielski. W pensjonacie mieszkaliśmy pięcioma rodzinami – trzema z Gdyni, a dwiema spoza Gdyni. Myśmy mieli dwoje dzieci. Były takie małżeństwa Niebrzydowskich i Kurzajczyków. Ci pierwsi mieli córkę, a drudzy – syna i córkę w wieku moich dzieci. Interesowało nas, żeby pojechać, coś zobaczyć. Na przykład występujące dookoła miasteczka jaskinie, stalaktyty, stalagmity. Codziennie organizowaliśmy jakieś wyprawy.

W pensjonacie była dobra obsługa i dobre warunki, jak na tamte czasy – nawet bardzo dobre. Znaliśmy kilka słów po niemiecku. Poza tym muzyka niemiecka nie jest raczej do słuchania. W pokojach stały radioodbiorniki. Ale kto by je włączał? To nie miało sensu. Dopiero 17 sierpnia Niemiec powiedział nam przy kolacji, że w Polsce jest wojna. Włączyliśmy anglojęzyczne stacje, żeby móc uzyskać informacje inne niż niemieckie, bo one w NRD i tak były „przefiltrowane". Każdy wiedział, że rozgłośnie enerdowskie, radzieckie czy czechosłowackie nie są wiarygodne.

Pierwsza myśl – jak to sprawdzić? Nie było nawet mowy o telefonie i połączeniu się z kimkolwiek. Nikt nie próbował, bo ten Niemiec był bardzo zasadniczy, szorstki w stosunku do nas. Jego żona tak samo. Poza tym, jeśli coś się w Polsce działo, to telefon i tak był na podsłuchu. Kiedy coś ważnego działo się w rodzinach, trzeba było łączyć się przez Gdynia Radio (połączenie przez sieć marynarki handlowej). Inaczej się nie dało. To jak mieliśmy telefonować gdzieś z NRD do Polski? Nikt nie był tak szalony. Jedyne rozwiązanie stanowiły stacje anglojęzyczne.

Okazało się, że są strajki w Gdańsku, w Gdyni. Wieczorem panowie przy kolacji stwierdzili, że następnego dnia wszyscy wracamy do Polski – pięć małżeństw ze swoim majątkiem życia. W latach 80' samochód był wart tyle co mieszkanie, dawał odrobinę niezależności. Żadnemu z tych pięciu małżeństw nie przyszło do głowy, żeby jechać gdzieś dalej albo nie wracać. Z tym że jedna z tych rodzin miała bliskich w RFN.

Panowie do rana słuchali anglojęzycznych stacji. Rozgłośnie z Europy Zachodniej na bieżąco relacjonowały, co działo się w Polsce. Nie było tak, że jakaś informacja do nich dopłynęła i dopiero ją przekazywali – mieli bezpośrednich korespondentów. Rano 18 sierpnia było już wiadomo, że do protestu przyłączają się inne zakłady pracy i że to nie jest żadna wojna, tylko strajki. Że są postulaty. „No to trzeba wracać" – stwierdziliśmy zgodnie. Mieliśmy te wczasy bodajże do 22 sierpnia, ale wszyscy je skróciliśmy.

Mieliśmy przyjaciół Małkowskich, którzy pracowali w stoczni. Wiadomo, że ten zakład – największe skupisko ludzi – był najlepiej poinformowany. Po powrocie pojechaliśmy do tej mojej koleżanki i ona zaczęła nam opowiadać, że Rysiek jest w stoczni, że nie mogą nigdzie kupić benzyny. Zaczęliśmy się zastanawiać, co ona wie, co zrobić, co Ryśkowi jest potrzebne. Mogła z nim rozmawiać i dostarczać jedzenie – przez płot.

Okazało się, że w Gdyni jest róg obfitości. Prowiantu było tyle, że stoczniowcy nie byli w stanie tego skonsumować. Co mężczyzna musi jeść? Coś porządnego – kawałek kiełbasy, masło… Czyli to, czego wtedy brakowało. – Rysiek lubi drożdżówkę, ale ja nie mam głowy do pieczenia – powiedziała.

Tak się złożyło, że mama mojej przyjaciółki, która pracowała z mężem na oddziale – babcia Kowalska – codziennie piekła blachę drożdżówki. To było dla stoczniowców. Bogusia powiedziała, że skończyła jej się benzyna, więc przelaliśmy z naszego samochodu. Nie było „zapłać mi" albo „ile kosztuje?".

W tamtych czasach nikt nikomu nie zadawał w ogóle takich pytań. Dlaczego się o tym pamięta? Bo takiej otwartości, serdeczności i solidarności między ludźmi dzisiaj już nie ma. Jeśli ktoś ma trudną sytuację, wrót na oścież specjalnie nikt przed nim nie otwiera. Co najwyżej uchyla się furtkę, ale wrót od razu to nie, chyba że jest to podyktowane chęcią zdobycia jakiejś tam popularności.

Mąż ciągnął paliwo z naszego samochodu takim wężykiem do jej moskwicza. Ten nie chciał zapalić. Mąż miał kolegę taksówkarza. – On na pewno ma lewą benzynę – stwierdził. Taryfiarz powiedział, że nie ma sprawy, odstąpi. Taksówkarze pomagali stoczniowcom, których rodziny miały samochody. Mówili im, że będą miały tyle benzyny, ile będą chciały. Nikt nikogo nie pytał, skąd ta benzyna. Polak potrafi – tak było i jest. Moja przyjaciółka kontaktowała się ze znajomymi ze strony jej męża. Jeśli ktoś potrzebował benzyny, mój mąż zawoził. Oczywiście dzisiaj to jest nie do pomyślenia, żeby wozić kanistry z paliwem w bagażniku. Ale wtedy nikt się nad tym w ogóle się nie zastanawiał. Trzeba było dostarczyć zbiorniki, to się jechało.

To była taka wspólnota, więź… Ja to określam tak, że ludzie lądu zbliżyli się do ludzi morza. Liczyło się tylko to, jakie oni mają problemy, jak do nich dotrzeć i pomóc.

Chodziłam pod stocznię z dziećmi z blachami tych drożdżówek, bo maluchy są przecież wszystkiego ciekawe. Dziewczyna moich znajomych była w wieku mojego starszego syna. Oboje mieli po 15 lat. Uznaliśmy, że w ten sposób najlepiej nauczą się historii. Mój młodszy syn miał wtedy 8-9 lat i koniecznie chciał iść do wujka Rysia, bo wujek Rysio mu machał. Nie rozumiał, dlaczego nie może wejść tam, gdzie znajduje się tylu panów. Jak takiemu wytłumaczyć, że dzieje się coś przełomowego?

Ta moja przyjaciółka była nauczycielką, uczyła chemii w „Dwójce", w wieczorówce. Staraliśmy się pokazywać te strajki dzieciom, bo już wtedy czuliśmy, że dochodzi do wiekopomnych zdarzeń. Kolejne zakłady zaczęły przyłączać się do Stoczni Gdańskiej. Z przedsiębiorstw płynęły deklaracje o poparciu, więc dla nas było to oczywiste, że dzieje się historia i trzeba było ją tak podać dzieciom, żeby ją zapamiętali.

Na tym stałym wspieraniu strajkujących dobrnęliśmy do końca protestu, aż podpisano porozumienie. Jednak wtedy dla wielu rodzin najważniejszy był początek nowego roku szkolnego. Moja przyjaciółka, nauczycielka Lila Małkowska, której mąż był w stoczni, 1 września poszła do pracy. Mój mąż był na statku. Ja z dwójką dzieci. Starszy syn zaczynał liceum, młodszy szedł do podstawówki. Bliźniaki Małkowskich tak samo. Życie zaczynało wracać do normy. Lecz cały czas podczas spotkań ze znajomymi pobrzmiewał jeden temat: Polakowi nie da się długo trzymać głowy przy ziemi.

Wielu straszyło, że Sowieci nie pozwolą na niezależne od partii związki zawodowe. Można dyskutować, czy panował strach wzbudzany pytaniem „wej-

dą czy nie wejdą?". Moim zdaniem nie było takich obaw. Dlaczego? Wiedzieliśmy, że przyłączyła się cała Polska. Wszyscy nasłuchiwali anglojęzycznych stacji i oczywiście Wolnej Europy – tam nadawano prawdziwe wiadomości. Było wiadomo, że sprawę popierają miliony. A jeżeli miliony, to nie wytłuką wszystkich. Gdyby chodziło o samą Gdynię i stocznię, mogło sprawdzić się najczarniejszy scenariusz. Znam Adama Gotnera, który w grudniu 1970 dostał na pomoście siedem kul. Ale w przypadku strajków 1980 roku mówimy o ogromnej masie ludzi. Ten sierpień, wrzesień to też był dobry czas – w sensie kalendarzowym – do takiego spokojnego przejścia, uspokojenia nastrojów.

Oczywiście, mieliśmy świadomość, że tkwimy pod sowieckim butem i jeżeli nastąpi jakakolwiek agresja, to ze strony Ruskich. Jednak uważaliśmy, że na tylu Polaków Ruskich nie wyślą. Nie daliby rady. Byliśmy przeświadczeni, że choć w 1970 roku udało im się stłumić bunt w Gdyni i w Gdańsku, to w skali całego kraju nie zdołają tego zrobić.

Ta pewność wynikała też z doświadczenia. Doświadczenia roku '70 wpływały na naszą świadomość po strajkach. Z jednej strony nigdy nie było wiadomo, czy i kiedy Ruscy mogliby wkroczyć. Z drugiej strony tylu ludzi w tylu zakładach pracy nie dało się ujarzmić. To było niemożliwe.

Polacy potrafią sobie radzić w każdej sytuacji. Wiadomo, zaopatrzenie wtedy było kiepskie, a czasami wręcz nie było go wcale. Okazało się, że miało się tyle znajomości i funkcjonował taki handel wymienny, że nie wiem, czy młodzi by w to uwierzyli.

Był czas, że nawet buty kupowało się na kartki. Wieści o dostawach przynosiło się do pracy. Pracowałam w dużym biurowcu PLO. Wystarczyło dać znać na jednym piętrze. Drugi poziom, gdzie działał pion pracowniczy, był wyłączony. Wiadomo, że tam pracowała sama esbecja, żony wojskowych i agentów. Do nich informacja nie szła, bo oni i tak mieli swoje sklepy. Z tej poczty pantoflowej wyłączone było również siódme piętro, na którym istniał wydział wojskowy.

Zaczęłam pracę w maju 1981 roku. Choć kartki wprowadzano na kolejne produkty, wszystko dało się zorganizować. Oczywiście, że nie jadło się tak jak teraz. Nie było codziennie szynki, nie mówiło się: – Idź, weź sobie szynkę z lodówki, weź sobie przegryzkę. Nikt by nawet nie chciał codziennie tej szynki. Ale to, co funkcjonowało w ramach systemu reglamentacyjnego, było do zdobycia.

Pomagały w tym stare znajomości. Kiedyś zupełnie przypadkowo spotkałam moją koleżankę ze szkoły podstawowej, z którą mieszkałyśmy w Oliwie przy jednej ulicy. Wychowałyśmy się na tym samym podwórku, chodziłyśmy razem na jagody, na cmentarz czy do szkoły. Powiedziała, że wyszła drugi raz za mąż, ma dwójkę dzieci i jej mąż jest kierownikiem sklepu mięsnego. Prosiła o zrealizowanie tych bonów. Ja od niej też coś dostawałam.

Tu muszę nadmienić, że w stanie wojennym firmy były duże i zmilitaryzowane, więc nie można było sobie, ot tak wychodzić z budynków w tę i z powrotem. Przy wejściach, głównie od piwnicy, stało ZOMO. Ale u nas zastępcą naczelnika tego działu była pani Zofia. Powiedziała, że jak jej też przyniosę – cokolwiek – puści mnie na cały dzień.

Staśka, ta koleżanka z jednej ulicy, pochodziła z wielodzietnej rodziny. Nasze dzieciństwo miało potem wpływ na dorosłe życie, ale nie było czegoś takiego, jak widzę teraz. Nie miało znaczenia, jak chodziłyśmy ubrane. Nikomu to wówczas nie przeszkadzało.

Moja mama pochodziła z nizin społecznych, ale wyszła za muzyka. Została wyklęta i wydziedziczona. Ale mój ojciec miał wykształcenie. Niedaleko nas mieszkał dyrektor filharmonii. Ojciec kiedyś w niej grał, a potem udzielał lekcji. Z filharmonii wszyscy podpisali deklarację członkowską PZPR, on nie, więc musiał odejść. Potem mama zaczęła wyjeżdżać za granicę do Czechosłowacji.

Pamiętam, że chodził ze mną do klasy Jerzy Jędykiewicz. On swego czasu [1988-1990 – red.] był wojewodą. Mój ojciec zawsze mówił, że to jest esbecka rodzina. No i rzeczywiście, bo inaczej było niemożliwe, żeby za komuny piastował takie stanowisko.

Kiedy pracowałam już w PLO i byłam przewodniczącą „Solidarności", przyjechało 50 najbogatszych Amerykanów z Maryland. Chcieli nawiązać kontakt z ludźmi „Solidarności". Rajcowało ich, że zaraz zrobią biznes, bo wtedy u nas niczego nie było. Wszystko odbyło się w Sali Lazurowej Hotelu Gdynia. Słabiutko znałam angielski, ale od kolegi z pracy, który nawet dawał korepetycje z tego języka, dowiedziałam się, że na tym spotkaniu z gubernatorem Maryland i 50 milionerami była cała PZPR-owska wierchuszka.

Mój szef to był stary komuch. Był na placówkach w Bangkoku, potem w Londynie. Ci nasi szefowie często byli pijani. Trzeba było uważać, który segregator się bierze, żeby butelek nie potłuc...

Jak miałam możliwość wyjść dzięki mojej szefowej, w sklepie brałam to, co dawali bez kartek. Kupowałam np. za duże buty, a jakaś kobieta nakupowała rajstop. Przychodziłam do biura i obdzwaniałam zaprzyjaźnione osoby. Mówiłam, że gdyby coś było potrzebne, mam to i to, a sama potrzebuję np. trampek dla młodszego syna w odpowiednim numerze, których nigdzie nie mogłam dostać. Puściło się wieści i zawsze ktoś chętny znalazł się na wymianę: majtki, staniki, rajstopy, trampki dla dzieci, podkoszulki… Tak to funkcjonowało.

Z tych bonów w stanie wojennym wystarczyło nam jeszcze na paczki do Strzebielinka i dla tych, których wyciągaliśmy z pomocą lekarzy ze szpitala w Redłowie. Ze Strzebielinka wyciągało się dobrych ludzi do szpitala. Tam mówiliśmy, że nie nadają się z powrotem na internę do Strzebielinka. Oczywiście babcia Kowalska dalej piekła drożdżówki – tym razem dla tych, do których jeździliśmy z ojcem Krokiem, duszpasterzem ludzi morza.

Z grona moich znajomych zatrzymali ośmiu. Andrzej Kozicki siedział w więzieniu, a siedmiu było na internie. Do tego Ania Kolińska, którą osadzili w Bydgoszczy.

Tak więc z tych kartek, co dziwne, wystarczało nam na wszystko. To była wymiana. Wszystko można było załatwić. Wszystko. Ale nie byłoby to możliwe bez życzliwości, mimo że ludzie byli z różnych opcji politycznych. Niby stan wojenny był czytelny, kto jest po czyjej stronie, lecz mimo to w sprawach bytowych, materialnych przełamywało się te uprzedzenia. Nie było problemu np. ze zorganizowaniem rzeczy do szkoły.

Po strajku ta moja Lila Małkowska wróciła do szkoły; pracowała jako nauczycielka. To było liceum wieczorowe, więc uczyła dorosłych. Mówiła, że kiedy oni dowiedzieli się, że jej mąż był wśród strajkujących, codziennie przynosili jej po kilka kostek masła, żeby mąż mógł się podzielić ze współprotestującymi.

W drodze do domu przyjeżdżała do mnie. – Co ja mam z tym masłem zrobić? Nikt nie chce za to pieniędzy. Stoją pod szkołą i mówią: „Pani profesor, to tylko taki drobiazg dla pani męża" – mówiła.

Oczywiście, że te towary szły dalej. Mało tego, nikt nie czerpał z tego zysków. Nikt nie brał pieniędzy za benzynę, pani Kowalska nie brała pieniędzy za pieczenie. Tej mojej znajomej nie chciał raz zapalić samochód. Przysłała tu córkę. Mąż po nią pojechał, zostawił jej swój samochód, bo Lilce był bardziej potrzebny, i wrócił. Nikt nie mówił, że go taki dobry gest coś kosztuje. Wiadomo, że nic nie spadało z nieba i może taki taksówkarz, który dawał benzynę, też musiał za to wyświadczyć komuś przysługę. Ale nikomu do głowy nie przyszło, żeby brać za to kasę. Ni-ko-mu!

Pani Kowalska to była kobieta na rencie inwalidzkiej. Miała dorosłe dzieci. Jej córka i zięć pracowali w Naucie. Potem, jak Lila zebrała tyle tego masła, zawiozłyśmy trochę pani Kowalskiej.

To dobro, które dawało się w trakcie strajku, po jakimś czasie wracało. Po Sierpniu ludzie byli bardzo zmobilizowani. Pod tym względem strajki stanowiły dobrą lekcję. Niektórych obudziły, wstrząsnęły, uświadomiły, że kiedy źle się dzieje, trzeba pomóc bez zadawania pytań. A dzisiaj tego nie ma. Każdy zaraz zaczyna wymieniać, że to kosztuje tyle, a to tyle.

W tej atmosferze nadszedł koniec karnawału. 13 grudnia 1981 roku to była niedziela. Dzieci nie mogły obejrzeć „Teleranka". Zastanawialiśmy się, co się dzieje.

Telefonu jeszcze nie mieliśmy, więc nie miało co nie działać. Podłączyli mi go po 16 latach oczekiwania – w 1983 roku. Jako jedyna w bloku telefon miała Celina, sąsiadka na drugim piętrze. Gdy ktoś musiał zadzwonić na pogotowie albo w innej potrzebie, mógł to zrobić tylko, jak Celina była w domu.

Natomiast po obiedzie zaczęły się odwiedziny. Każdy każdego odwiedzał i dopytywał, czy dobrze słyszał, co się właśnie wydarzyło. Myśleliśmy, że dowiemy się tego dopiero, jak pójdziemy w poniedziałek do pracy.

Najbardziej wstrząsający był dla mnie nie 13 grudnia, ale środek tygodnia – 16 albo 17 grudnia. Przez ciągłe pranie, gotowanie, prasowanie, przygotowywanie dzieciom ubrań, żeby rano niczego nie musiały szukać, dosyć późno chodziłam spać. To było koło 12 w nocy. Z moich okien, za drzewami, widać Szkołę Podstawową nr 10. Za nią biegnie ulica Morska. Kiedy zimą drzewa nie mają liści, dostrzeże się kawałek tej drogi. Byłam w kuchni i usłyszałam dudnienie. Spojrzałam, a tam czołgi z lufami do przodu. Obudziłam starszego syna. Dopiero wtedy pomyślałam: „Stan wojenny – wojna". Zdążyłam naliczyć tych czołgów przynajmniej 20. Jechały na Gdynię od strony Słupska, z zachodu.

W poniedziałek w pracy ta wiadomość postawiła wszystkich na równe nogi. Oczywiście, telefony na biurkach już nie działały, trzeba było dzwonić przez centralę. Moja szefowa miała doświadczenie przedwojenne, więc wie-

działa, że wszystko jest na podsłuchu. Powiedziała, że mamy nie rozmawiać i nie klepać głupot, jeśli chcemy normalnie wrócić do domu. Mądra kobieta była.

W dużych zakładach przepływ wiadomości był szybki. Szliśmy na ósmą do pracy, a o 16 każdy miał już full serwis informacyjny odnośnie tego, co się dzieje w całej Polsce. Ktoś miał znajomą telefonistkę, więc można było się z nią dogadać.

W stanie wojennym spore przedsiębiorstwa zostały zmilitaryzowane. Dyrektor chodził po piętrach z ludźmi z wydziału wojskowego. Mówili, co wolno, czego nie, co jest karalne, w jaki sposób i tak dalej.

– No i dobra. Była wojna, był Niemiec i daliśmy radę, to teraz nie damy? – mawiała moja szefowa.

Oczywiście okazało się, że już ktoś przyniósł jakąś ulotkę. Było internowanie. Zaraz do PLO przyjechały żony zatrzymanych. Na przykład Zdzisia, żona Henia Kuskowskiego, który był wtedy głównym oficerem, przyjechała z Gdańska.

W naszym pokoju pracowała jedna osoba, która w dyskusjach światopoglądowych zawsze przytakiwała i nigdy się nie wychylała. Dlaczego? Jej ojciec był dyrektorem ekonomicznym w porcie, a z kolei jego przyjacielem – nasz dyrektor naczelny, Kazimierz Misiejuk. Obaj przyszli z komitetów wojewódzkich.

Była też Renata, która w czasie wojny widziała Ruskich gwałcących kobiety. Ludzie mają takie wspomnienia i traumy, że jak opowiadają, człowiekowi skóra na grzbiecie cierpnie… Była naocznym świadkiem – jako ośmioletnie dziecko widziała wejście Ruskich.

Do moich najbliższych współpracowniczek należała oczywiście szefowa, której cała rodzina należała do Armii Krajowej. Było wiadomo, że damy radę. Razem dystrybuowałyśmy ulotki, utrzymywałyśmy kontakt z żonami i rodzinami internowanych, żeby wiedzieć, w czym im pomóc.

U nas panowała dobra atmosfera. Politycznie lepszej atmosfery jak w naszym dziale finansowo-walutowym, łącznie z podlegającą pod nas kasą główną, nie było w całym przedsiębiorstwie.

Dobrze miałam w pracy. Moja szefowa, świeć Panie nad jej duszą, to była taka mądra osoba, która potrafiła nam tyle rzeczy wyjaśnić. My byłyśmy młode, zaangażowane, pełne entuzjazmu. Człowiek dawał z siebie wszystko, mobilizowaliśmy się, żeby nikt nas więcej nie skrzywdził.

Internowani z reguły nie dostawali wypłaty. Jednak u nas Misiejuk, ten komuch, zarządził, że będzie inaczej. Ci, co pływali, również pobierali pobory, tyle że bez dodatku dewizowego. Wiadomo, że jak pracownik był na lądzie, dostawał tylko złotówki, gdyż dewizy przysługiwały mu od momentu zarejestrowania w książeczce żeglarskiej.

W PLO kasy znajdowały się na dole, a tam zawsze przebywały tysiące ludzi. Marynarzowe przychodziły pierwszego dnia i przez to generowały duże kolejki. Frania Cegielska ani Zdzisia nie chciały stać z tymi głupimi babami, co gadały o głupotach. Przecież ich chłopy siedziały za niewinność, więc one nie miały głowy ani nerwów do plotek.

Internowanych było siedmiu. Wśród nich: Jasiu Koss z Zakładu Zaopatrzenia, Heniek Kuskowski – oficer, Jacek Cegielski, Tadziu Pietrucha – też oficer, który w zasadzie mieszkał w Łodzi. Jego pobory brałam ja, po czym przyjeżdżał jego syn i je odbierał. Oni nie chcieli się narażać, bo nie wiadomo było, na kogo by trafili.

Rodziny internowanych, ich żony odbierały pensje przez cały stan wojenny. Mało tego, oni wychodzili ze Strzebielinka i pierwsze co robili, to pukali do naszego pokoju.

Również przez moje mieszkanie przewijało się dużo ludzi będących na internie. Taki Tadziu nie miał do kogo wrócić i Zdzisia z Heniem mieli wziąć go do siebie. Pewnego dnia wróciłam z pracy. – Mamuś, pan Tadeusz jest chory – powiedział w drzwiach mój syn Krzyś.

Wcale się nie zrażaliśmy, że PLO było przesiąknięte i esbekami, i czerwonym wojskiem. Ktoś powie, że przecież wprowadzenie stanu wojennego było zwycięstwem komuny. Ależ skąd! W życiu! Traktowaliśmy to jako coś tymczasowego. Tylko trzeba było się tak zorganizować, żeby uniknąć następnego razu.

W pracy wiedzieli, że byłam tylko z dwójką dzieci. – Słuchaj, są dwa kartony ulotek. U ciebie nie ma chłopa. Możemy wrzucić do ciebie? – zaproponował pewnego dnia Juras Zając. Zgodziłam się.

Kiedyś podszedł w pracy. – Idź do Zośki się zwolnij, bo będziesz miała rewizję – powiedział. Myśmy współpracowali z Bankiem Pekao, który zajmował się obsługą dewizową firmy. – Idź, idź, przecież musisz iść do banku. Jak nie będziesz mogła jutro przyjść, też nie ma sprawy – „sprzątaj", ile ci się uda! – powiedziała szefowa.

Jak to się stało, że mieli przeszukać mi mieszkanie? Jeden z prezesów portu gdyńskiego też był internowany. Nie pamiętam już jego nazwiska. Antek, bo tak miał na imię ten człowiek, przyjeżdżał i zostawiał u mnie ulotki. Któregoś razu dokądś jechał i wpadł na czeskiej granicy z notatnikiem, w którym widniały moje nazwisko i adres.

Przyszłam do domu i zastanawiałam się, co mam z tym wszystkim zrobić. Tak „sprzątałam", że kibel mi popękał. Część dało się spalić, ale nie wszystko. Do piwnicy też nie mogłam zanieść, bo przecież nie wypadało podrzucać tych nielegalnych wydawnictw sąsiadom.

Tych broszur zostały mi jeszcze trzy siatki, więc pobiegłam do babci Kowalskiej. Miała serce jak najlepsza babcia na świecie. Przedwojenny człowiek, dobrze wiedziała, że jak się nie pokombinuje, niczego się nie osiągnie. Ona była z pokolenia starych gdynian. Jej ojciec pracował w sądzie. Twierdziła, że Ruskim trzeba się przeciwstawić – nie ma innego wyjścia!

W stanie wojennym chodziła ze mną po nocach i rozlepiała ulotki. Stała na czatach i miała śpiewać. Dlaczego miałaby tego nie robić? Wiele kobiet w tym wieku podśpiewuje na klatce. A to był nasz znak ostrzegawczy.

Powiedziała, że najlepiej będzie, jak zaniesiemy to do piwnicy Narlochowej. To była sąsiadka, dozorczyni w jej bloku. – Przecież kto to będzie biednej wdowie Narlochowej chodził piwnicę sprawdzać? – stwierdziła.

Pani Kowalska wzięła torbę, ja dwie i zaniosłyśmy to do tej znajomej. Ostatecznie nie miałam żadnej rewizji. Okazało się więc, że niepotrzebnie zniszczyłam sobie sedes.

A to były czasy, gdy ZOMO wszędzie się ruszało. W maju wracałyśmy we trzy od koleżanki z imienin, a pod domem zastałyśmy patrol zomowców. Mam po ojcu coś takiego, że w stanie napięcia, strachu wyostrzają mi się wszystkie zmysły, wszystko mi się przypomina i staję się odważniejsza. Ojciec przypłacił taką postawę pobytem w obozie. Odwaga nie zawsze jest dobra, ale strach też nie jest dobrą opcją.

– Dokumenty – rozkazał jeden z tych napotkanych zomowców.

– Panowie, z nieba żeście nam spadli! Tylu bandziorów chodzi, wracamy od koleżanki i modlimy się, żeby nikt na nas nie napadł. Poodprowadzacie nas do domów? – zbiłam go z pantałyku. No i odstawili każdą pod klatkę.

W związku z tymi broszurami pamiętam taką historię. Pewnego dnia stałam na przystanku. Torebka na ramieniu, szpilki, bo chodziłam w nich nawet w zimnie, a w dwóch siatkach pełno ulotek. Przecież ja się w tych szpilkach mogłam wypieprzyć na tym śniegu i wszystko by się wydało.

Zając przywoził mi to wieczorem, a ja musiałam zanosić te druki do pracy, do Zakładu Zaopatrzenia. Myśmy mieli jeszcze oddział na Pułaskiego i Zakład Zaopatrzenia na Wiśniewskiego. Przychodzili ludzie i trzeba było wszystko mieć podzielone, żeby im to powydawać. Trzeba było mieć do tego taki zmysł organizacyjny.

Przez tę bibułę miałam pewne obawy. Dzieciom też nie wierzyłam, czy któryś czegoś nie schował albo nie wziął bibuły na pamiątkę. Niekiedy zastanawiałam się, co mi zrobią, jak złapią mnie albo któregoś ze współpracowników. Wymyśliłam sobie nawet alibi: jak coś znajdą, to powiem, że kochanek spał u mnie i zostawił torbę, i nie wiedziałam, co się w niej znajduje. Przecież byłam samotna, po rozwodzie, mogłam mieć kochanków. A co, nie mogłam? Byłam atrakcyjna, miałam kasztanowe dłuższe włosy.

Jak sobie to przypomnę, nie wiem, czy bym dzisiaj to robiła. Ale do tego trzeba wieku. Pewne pokolenia są do pewnych działań, a niektóre się już do nich nie nadają. Nie wiem, czy dzisiaj bym chodziła po ciemku. Z drugiej strony, jak ktoś raz się zaangażował, dalej będzie to robić...

Te ulotki trzeba było też cały czas rozlepiać. W tej sprawie ktoś się do mnie zawsze zgłaszał. Każdorazowo chodziłam z siatkami, a pod ręką stale miałam jakieś zapasowe buty – że niby idę w jednych szpilkach, więc muszę mieć drugą parę na przebranie.

Strasznie chorowałam na kręgosłup. Na te dolegliwości kiedyś można było kupić skórę kota. Jak kręgosłup mi bardzo dokuczał, przyczepiałam na tasiemkach taką skórę. Nie nosiłam przecież spodni, tylko takie długie majtki, a pod to rajstopy i do tego kozaki na szpilce do kolan.

Na początku zastanawiałam się, jak to będzie. Zając mnie uspokajał. – Przecież chodzicie z tymi torebkami, to co ci raptem o siatkę chodzi? – mówił. Najpierw chodziłam z jedną. Ale potem pomyślałam: „Nie będę się pieprzyć

i latać codziennie z jedną siatką". Byłam silna, to większy ciężar nie stanowił dla mnie problemu.

Myśmy kombinowali, jak wzmocnić się organizacyjnie. Zaczęliśmy robić selekcję między sobą. Nie chodziło o to, że ktoś coś powiedział, bo to było za mało. Raczej coś w stylu – tu się panu nie zgadza, tam się panu nie zgadza.

W Strzebielinku oprócz znajomych przebywał także stary emerytowany kapitan Józef Kubicki, ksywa „Kuba", który zasiadał w zarządzie pierwszej „Solidarności" PLO-wskiej. On pływał w czasie wojny w konwojach. Ożenił się z Angielką, bo po 1945 roku na trochę osiadał na Wyspach. Jeszcze przed wojną skończył Szkołę Morską w Tczewie. W młodości musiał być bardzo przystojny. Nie znam drugiego takiego faceta o jego poziomie kultury osobistej i poczucia humoru.

Traktował mnie trochę jak córcię. Kiedy byłam przewodniczącą zakładowej „Solidarności", nie miałam wiedzy o pewnych rzeczach. To był 1989, a może 1990 rok. „Kuba" na emeryturze lubił przyjść do „Solidarności". Nie lubili się z „Cegłą", ale „Kuba" miał swoje zasady. Kiedyś powiedział mi: – Słuchaj, Sylwia, żaden człowiek w Polsce, który dostał nominację na kapitana, bo skończył kursy i ma dyplom kapitana żeglugi wielkiej, nie dostaje statku do dowodzenia na zasadzie pierwszego czy drugiego oficera.

Podawałam mu nazwiska, prosząc o zaopiniowanie. Mówiłam, że chciałabym tych ludzi trochę włączyć w działalność konspiracyjną, bo „Cegła" się tym nie interesuje. Dobre czasy i dobre koneksje wymagały dużo gorzały, bo wtedy jest z kim gadać. Ja byłam wystawiana jako ta, która ma gadać.

Miałam jednego kandydata. Jednak nie chciałam oddawać mokrej roboty komuś, kto narobi wstydu. Już raz wlokłam z dyrektorem tego człowieka. Kubicki powiedział o nim tak: – Słuchaj, albo był agentem, albo wziął legitymację partyjną. W życiu nie dostałbym statku do dowodzenia w PLO ani żadnym PŻB z moimi dyplomami i historią pływania w konwojach, gdybym nie wziął legitymacji partyjnej. Nikt w PLO ani PŻB nie dostałby statku z majątkiem i bronią w sejfie w kabinie. Nie wierz w to, kiedy ktoś ci powie, że za czasów komuny był święty, do niczego nie należał i został kapitanem. Jeśli tak się stało, od razu wiadomo, że nie tyle był w partii, co działał jako agent pod przykrywką.

Niektórzy robili takie interesy, że powinni już dawno na nich wpaść i aż dziwne, że tak się nie stało. Człowiek później już znał mechanizmy, co od czego zależy. Zrozumiałam, dlaczego jeden marynarz postawił sobie dom, a drugi ledwo opłacał czynsz za mieszkanie. Nie na darmo Orłowo nazywa się Zegarkowo.

Jeździłam do szpitala do tych, którzy byli ranni albo na coś się rozchorowali. W niedziele jeździliśmy na msze odprawiane przez księdza Kroka.

Któregoś razu pielęgniarka powiedziała, że mają jednego ze Strzebielinka, ale on pochodzi ze Szczecina. Nazywał się Jurczyk… Wszystko zagipsowane, połamane, zmasakrowana twarz. Widziałam go na własne oczy. Nie mógł się ruszyć ani mówić. Miał jakieś szyny na szczękach. Tak go skatowali w tym Strzebielinku. Na szczęście w szpitalu wejherowskim pracował super zespół lekarzy, którzy byli powiązani z medykami i służbą zdrowia z Redłowa.

Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego tak potraktowali tego człowieka. Jak Jurczyk był internowany, jego bliski wyskoczył z drugiego piętra, kiedy przyszli do domu na rewizję. To był albo jego syn, albo synowa. Pewnie sam, tj. nieprzymuszony, tego nie zrobił. Ci, którzy angażowali się w podziemie, nie po to się angażowali, żeby z okna skakać. Po prostu ktoś podziękował mu za współpracę.

Po latach dowiedziałam się, że ten Jurczyk od lat 70. był… agentem. Tak władza uwiarygadniała swoich ludzi. No i jak tu sobie żył nie podciąć? A my się przy nim modliliśmy… Jak sobie to przypominam, aż się nóż w kieszeni otwiera.

Cały stan wojenny to była mobilizacja swoich szeregów, przegląd ludzi. Kiedy [2000 r. – red.] Kaczyński został ministrem sprawiedliwości – a też siedział w Strzebielinku z tym znajomym, co był u nas oficerem, Heniem Kuskowskim – zaczął jeździć od Wejherowa do Gdańska po komendach i sprawdzać, kto z list internowanych nie podpisał lojalki. Kiedyś przy wódce na imieninach Henio po pijaku powiedział mi: – Kaczyński nie mógł wyjść z osłupienia, że z tych, którzy siedzieli w Strzebielinku, co trzeci nie podpisał.

No to my potem zaczęliśmy sprawdzać listę, jak się komu powiodło po stanie wojennym, kto dostał awans, a kto nie, komu kazano odejść z roboty, a komu nie, kto podpisał, kto nie podpisał… Jak teraz sobie przypomnę te nazwiska…

Jak byłam przewodniczącą zakładowej „Solidarności", ludzie zdawali sobie sprawę z tego, że sporo wiem. Mój starszy syn zaczął studiować medycynę i odebrałam kilka telefonów w stylu, że mam dwoje dzieci i czy chcę na nie uważać, czy chcę, żeby dalej studiowały. – Pocałujcie mnie w dupę – mówiłam wtedy bezczelnie i odkładałam słuchawkę. Oczywiście, nie znaczy to, że się o synów nie bałam.

Ulotki rozprowadzało nie tylko podziemie, ale też władza. Część z nich dotyczyła Wałęsy. Z czasem było ich coraz więcej. Ale myśmy traktowali je jako prowokację esbecji. Nie braliśmy tego na serio. Człowiek wierzy w to, co chce, a to nie jest dobre.

A propos Wałęsy. On zaczynał konspirację jeszcze w podstawówce. Mówili na niego „kurokrad" (taka informacja widniała u Kozłowskiego w dokumentach). W jego rodzinnym domu panowała taka bieda, że kradli kury. Potem kradł opony w POM-ie.

Mówił o tym na spotkaniach u księdza Jastaka pewien adwokat – nie będę ujawniała nazwiska, bo może sobie nie życzy. Spotykaliśmy się w kilka osób: Adam Gotner, ja, ten mecenas, prałat Jastak i siostrzenica prałata. Wtedy zaczęły się już pojawiać wątpliwości odnośnie wiarygodności Wałęsy: wierzyć czy nie wierzyć, prawda czy nieprawda?

Na tych spotkaniach zawsze musiałam zostać do końca, by usłyszeć jego komentarz na dany temat. Było wiadomo, że jak cokolwiek powie, to powie i koniec – nie było pola do nadinterpretacji.

Ksiądz Jastak był bardzo dociekliwy. Chociaż z Danką żeśmy się zastanawiały, czy on nie miał przypadkiem ADHD.

– Słuchajcie, on musiał tam jakieś brewerie wyprawiać – mówiła Danka.

– Jak wyprawiał brewerie, to musiał mieć ADHD – stwierdził dyrektor *(śmiech)*.

Tak sobie myślę, że gdyby go nie miał, byłby zwyczajnym księdzem, a nie był. Prałat nie miał zaufania do Borusewicza, ale bardzo cenił Płażyńskiego. Jak w 1995 roku dostał Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, Płażyński jako wojewoda wyprawił mu takie małe party.

Jeśli „Borsuk" pojawiał się na tych mityngach, to znaczyło, że przyszło dużo ludzi. Dlaczego? Kiedy odbywały się małe spotkania, Jastak mówił, że nie chce mieć z „Borsukiem" do czynienia. Nigdy nie mówił dlaczego. Swoje musiał wiedzieć, ponieważ miał ludzi, którzy mu różne rzeczy opowiadali. A przecież niejeden mógł mu coś wyznać przy spowiedzi...

Jak w życiu chyba każdego żyjącego wówczas gdynianina, ważne wydarzenie stanowiła dla mnie pielgrzymka ojca świętego w czerwcu 1987 roku.

Mój wydział przeniesiono wtedy na ulicę Pułaskiego. Rada Stella Maris bardzo się szykowała do tej wizyty. Bolek Hutyra – ten, który siedział w Strzebielinku z Kubickim – stał przy ołtarzu w Gdyni; bardzo to przeżywał.

Kiedy papież przyjechał, na dachach wszystkich budynków stojących wokół skweru Kościuszki było czarno od wojska. Jakby siedziały na nich wrony. Nam to w ogóle nie przeszkadzało.

W zakładach pracy mówili nam wcześniej, że z powodu przyjazdu Jana Pawła II Gdynia i Sopot się nie ruszają. Miała być tylko msza pełna godności, zadumy i wsłuchiwania się w to, co powie ojciec święty. Potem schodziliśmy się ze wszystkich parafii na plac naprzeciwko ołtarza. Zakazali śpiewu, nawoływań, krzyków. Gdynia miała być od tego wolna – stanowić sanktuarium gotowe na modlitewne przyjęcie głowy Kościoła katolickiego. Przykazali, że nawet gdyby ktoś obok wykrzykiwał jakieś hasła, mieliśmy wyciszać jakiekolwiek negatywne nastroje i emocje.

Pewnie chodziło o to, żeby nie rozdzielać sił. Wówczas nie byłoby żadnego efektu. Skutki propagandowe mieliśmy osiągnąć dzięki ulotkom.

Wtedy do Stella Maris przyjeżdżali Krzysiek Dowgiałło z Nowakiem oraz Borusewicz. Spotykaliśmy się na Portowej. Wszystko miało być takie ceremonialne, ale wolne od politycznych akcentów. Muszę przyznać, że rzeczywiście tak było. Ludzie się tak zachowywali.

Jan Paweł II jeździł po całej Polsce. Stella Maris organizowało wyjazdy na przywitanie i pożegnanie, m.in. do Niepokalanowa i Częstochowy. Z tej okazji przyjechał Krzyś, mój najstarszy syn, który studiował w Bydgoszczy. Pojechał z moją szefową i babcią Kowalską. Obie miały problemy z sercem, więc jako przyszły medyk miał zapewnić im fachową opiekę. Ostatecznie to one zajmowały się nim, ponieważ zachorował na anginę. Nie mogłam im towarzyszyć. Przedtem byłam z młodszym synem na Błoniach w Krakowie.

Pamiętam, że już podczas pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II, gdy powiedział te słowa „Niech zstąpi Duch Twój…", spłynął na nas spokój, że teraz wszystko będzie dobrze, po naszej myśli. Dlatego jego przyjazd do Trójmiasta musiał być zapowiedzią wielkiej zmiany.

Czesio Nowak i Krzysiek Dowgiałło wozili ulotki do ojca Kroka. Myśmy to brali i rozprowadzali po zakładach pracy. Kiedy przyjechali tu przed wizytą ojca świętego, poszła informacja, że mamy się wyciszyć i przygotować. Byliśmy przekonani, że jak zostaną podjęte następne kroki, komuna już nie będzie miała odwrotu. Wszystko szło ku takiemu rozstrzygnięciu.

Ta msza, na której papież nas pobłogosławił, powodowała, że wszyscy się jakby wyciszyli. Może to i dobrze? Dzięki temu poczuliśmy się tacy... bezpieczni. Dzieciak czuje bezpiecznie, ponieważ wie, że jutro, a jak nie, to pojutrze, na pewno będzie już dobrze. Wtedy czuliśmy się właśnie jak takie maluchy.

Na mszy miałam małe krzesełko. W pewnym momencie znalazł się koło mnie ksiądz, więc mu je odstąpiłam, a on sprezentował mi obrazek Jana Pawła II. Oprawiłam go sobie w ramkę i mam do dzisiaj.

Wokół mnie wszyscy płakali. Młodzi, silni ludzie. Ta pielgrzymka dawała otuchę. Jednak nie nastrajała bojowo, nie była komunikatem „zewrzyjcie siły", tylko uspokajała – na zasadzie wszystko będzie dobrze. Tak jakby papież powiedział do każdego tam obecnego: – Nie martw się synu, wszystko się ułoży.

Tego nam było trzeba. Nie kolejnego zrywu, bo myśmy już byli zwarci i wiedzieli, jak funkcjonować, co i gdzie robić, na kogo uważać.

Irena Bejrowska

W latach ’80 pracowała w Wydziale Komunikacji, najpierw w Wejherowie, potem w Pucku. Działała we wspólnotach katolickich przy parafii p.w. Świętego Mikołaja Biskupa w Gdyni.

W grudniu 1970 roku mieszkałam na Pustkach Cisowskich przy ul. Tarninowej, u teściowej. Byłam wtedy cztery lata po ślubie z Czesławem.

Najpierw dotarła do nas informacja, że w Gdańsku pali się Komitet Wojewódzki PZPR. Nawet radio podawało, że wprowadzono godzinę milicyjną; ostrzegano przed chuliganami i złodziejami. Dla nas to była jakaś abstrakcja. To działo się we wtorek, 15 grudnia.

Podobnie było w środę. Z Gdańska przychodziły same złe wiadomości: o rozruchach, strzelaninie, ofiarach.

W czwartek, 17 grudnia, rano mój mąż poszedł do pracy – tak jak w każdy inny dzień. Zaczynał o 6:30. Parę minut po siódmej przyszedł sąsiad, który pracował na kolei.

– Czesiu poszedł do pracy? – zapytał.

– Tak, a czemu pytasz?

On na to, że w stoczni strzelają. To było jak grom z jasnego nieba. Syn Gracjan już wstał, miał wtedy cztery latka. Wstała również córka, dwuletnia Basia. Była bardzo roztrzęsiona. Jeszcze słabo mówiła, ale już próbowała wypytać, co się dzieje. Moja rozmowa z sąsiadem musiała być tak niezwykła, dramatyczna, że dzieci błyskawicznie zorientowały się, iż stało się coś złego.

Najmłodszy brat męża, który miał 30 lat, również się poderwał na te wieści. W kilkanaście sekund ubrał się i poleciał za sąsiadem.

Pomyślałam: „I co tu robić? Gdzie iść? Kogo pytać? Nic, siedzimy w domu i czekamy.” W radiu nie podawali żadnych informacji. Nie wiedziałam, co się dzieje.

Przypomniałam sobie, że to przecież czwartek i w domu Fossa (sklep mięsny w Chyloni przy ul. Puckiej) miało być mięso, więc postanowiłam pójść na zakupy. Towarzyszyła mi Sylwia, siostrzenica męża.

Stałyśmy tam w kolejce. Nagle Chylońską w stronę Gdyni przejechały czołgi. To była gdzieś godz. 10. Dostałam, co chciałam, i piechotą wróciłyśmy do domu.

Potem dowiedziałam się, że kiedy stałam za mięsem, mąż przedzierał się z kolegą lasami przez Grabówek na Pustki. Zjawił się tam przede mną i siostrzenicą.

Weszłyśmy i zauważyłyśmy, że rzeczy męża wiszą na linkach, dzieci płaczą i straszliwie czymś śmierdzi. No tragedia.

Okazało się, że kiedy mąż dotarł na stację kolejki, milicja rzucała gaz łzawiący. On chwycił jedną z petard i odrzucił, ale ileś tego gazu przedostało mu się do rękawa, więc kiedy przyszedł do domu, ten gaz dostał się dzieciom do oczu i dlatego płakały.

Czesław był na stacji, jeszcze zanim rozpoczęło się strzelanie do ludzi. Nie opowiadał o tym za wiele. W każdym razie w piątek i sobotę też nie poszedł do pracy.

W niedzielę popołudniu odwiedziło nas trzech stoczniowców. Mąż ich znał. Przynieśli przepustkę, która umożliwiała mu wejście do stoczni. Poprosili również Czesława, by poszedł z nimi do hotelu robotniczego, w którym mieszkali pracownicy przyjezdni.

Czesław był rozpoznawalny i miał posłuch, dlatego chcieli, żeby z nimi poszedł. Wrócił wieczorem. Do pracy wrócił dopiero, zresztą jak inni, po nowym roku.

Po tragedii grudniowej Gomułkę odsunięto od władzy. Już jako dziecko miałam go powyżej uszu. W rodzinie nie lubiliśmy towarzysza Wiesława. Mój ojciec zawsze wyłączał radio, jak ten przemawiał. Nie cierpiał go. Stąd już od dziecka kształtowało się moje podejście do realnego socjalizmu.

Gierek opowiadał, że niby będzie lepiej, ale nie uwierzyłam w te zapewnienia. Tak mi zostało do końca lat 80. Przecież to Gierek wprowadził, po wydarzeniach radomskich, kartki na cukier. To było upokarzające: w kraju, który stał uprawą buraka cukrowego, władze wprowadziły ograniczenia w dostępie do tego podstawowego produktu. Absurd! To znaczy, że ten cukier musiał być z Polski wywożony.

Tak płynęły lata 70. Władza udawała, że dba o robotnika. Fundowała wczasy, ale to była taka przykrywka. Mimo wszystko korzystaliśmy z tych dobrodziejstw.

Latem 1978 roku pojechaliśmy na wczasy do Olsztyna. Mieszkaliśmy w akademiku na Kortowie. W naszym budynku mieszkało małżeństwo z Radomia. Któregoś dnia podczas rozmowy pan z Radomia z wielkim bólem i żalem stwierdził: – A nam komitet spalili...

To nam uświadomiło, z kim mamy do czynienia. Mój mąż nie mógł tego przeżyć i cały czas pytał sam siebie: – Co to jest za facet?

Przez kilka dni utrzymywaliśmy znajomość z tymi ludźmi, ale w końcu przestaliśmy się spotykać. Tylko grzecznościowo mówiliśmy sobie „dzień dobry". Zapewne był to jakiś towarzysz.

Do Gdyni wróciliśmy jakby naznaczeni. Dobrze, że po dwóch miesiącach zdarzył się cud. Wybór Karola Wojtyły przeżywaliśmy tak, jakby tę nominację otrzymała najbliższa nam osoba.

Jesteśmy ludźmi bardzo wierzącymi i praktykującymi. Biały dym, który 16 października puszczono z komina Kaplicy Sykstyńskiej w Watykanie, miał dla nas mistyczny wymiar. Polak z Krakowa został papieżem! Nieopisanie wielkie przeżycie.

Czesław bardzo udzielał się w Kościele. Należał do rady parafialnej – najpierw w Cisowej, a potem u św. Mikołaja w Chyloni. Po wyborze Ojca Świętego Czesław zaczął zajmować się dekorowaniem kościoła na uroczystości. Praktycznie każde wydarzenie w parafii św. Mikołaja odbywało się przy scenografii wykonanej przez mojego męża: groby pańskie, żłóbki, komunia święta, Boże Ciało, Wielki Tydzień, bierzmowanie. 22 lata pracował tam społecznie. Ja pomagałam mu przy układaniu kwiatów.

Podczas pierwszej wizyty Jana Pawła II w Polsce byliśmy w Gębarzewie pod Gnieznem. Wtedy przekonałam się, że kardynał Wojtyła został powołany przez Boga do tego, by pomóc uciemiężonej ojczyźnie. Cieszyliśmy się z tego, że został wybrany i przyjechał do swojego kraju. Dał nam nadzieję i wzmocnił naszą wiarę. Od tamtej pielgrzymki mój mąż założył album i dokumentował wszystkie podróże apostolskie ojca świętego do Polski.

Wtedy w Gębarzewie biegłam za samochodem papieża. Przeżywałam to jak nastolatka. Miałam nadzieję, że wreszcie coś się ruszy w naszym kraju. Pamięć tragicznego Grudnia '70 była jeszcze żywa i wołała wręcz o to, by polskiemu robotnikowi wreszcie udało się wywalczyć godziwe życie.

Jak pamiętam atmosferę sprzed Sierpnia '80? Mieliśmy sąsiadów pod nami. Koleżanka tej sąsiadka pochodziła z województwa lubelskiego. Tak dowiedzieliśmy się, że w lipcu 1980 roku kolejarze – na znak protestu – zatrzymali pociągi, które jechały na Wschód. Mówiła o rozruchach i przerwach w pracy.

Dotarły do nas też informacje o krótkich strajkach na kolei w Gdyni. Na początku nie myśleliśmy, że to się rozleje na cały kraj. Ale mąż zawsze mówił, że z małej chmury duży deszcz i że z małej iskry wielki ogień. Zaczęliśmy rozmawiać i zastanawiać się nad tym, nie czy, ale kiedy stanie Wybrzeże.Czesław nie był tym, który pierwszy się zrywał do działania, ale nie był też ostatnim. W piątek, 15 sierpnia, też poszedł do stoczni.

Ta data jest w naszej rodzinie przede wszystkim świętem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Wtedy to jeszcze nie był dzień wolny, dlatego na mszę chodziło się popołudniu. Uszykowałam się i poszłam z dziećmi, bez Czesława. Po eucharystii podszedł do mnie znajmy ksiądz i zapytał: – Pani Bejrowska, przyszedł mąż z pracy?

To było po godz. 19. Odpowiedziałam, że nie i zapytałam wikarego, czy wie, co tam się dzieje.

– Ja pani nic w tej chwili nie powiem – rzekł. – Jest w stoczni – powiedział tylko.

Gdy wracałam z kościoła, zaczepiła mnie sąsiadka z parteru, której mąż tez pracował w stoczni. Ona już wiedziała, że jest strajk. Zaproponowała, byśmy na drugi dzień się tam udały. Przeszły mnie ciarki. Przygotowałam mężowi koszulę na zmianę, przyrządy do golenia, bo Czesław musiał być codziennie ogolony – takie miał zasady. Do tego jakieś jedzenie, w tym suchary.

Na drugi dzień, czyli w sobotę 16 sierpnia, wyruszyłyśmy razem z dziećmi. Poszła z nami jeszcze jedna sąsiadka. Wybrałyśmy się na kolejkę na Leszczynki i pojechałyśmy do stoczni. Po drodze musiałyśmy minąć przejazd. Tam nas skontrolowano, czy nie wnosimy alkoholu. Stamtąd dostrzegłam, że na dachu budynku znajdującego się na terenie portu, leżało wielu robotników. Jakby się opalali. Doszłyśmy do bramy bocznej. Tam stali stoczniowcy pełniący funkcję służby porządkowej. Znów nam sprawdzili siatki i pozwolili iść dalej. Zobaczył nas mąż sąsiadki i szybko zawołał Czesława i drugiego sąsiada. I tak, przez kratę się spotkaliśmy.

W sobotę nie było jeszcze wielu ludzi pod stocznią. Mogliśmy podejść od razu pod sam płot. W niedzielę już było inaczej. Rodzina mogła podejść do ogrodzenia dopiero, kiedy po drugiej stronie pojawił się jej strajkujący stoczniowiec.

W sobotę byliśmy jeszcze drugi raz, popołudniu. Mąż zapowiedział, że w niedzielę odbędzie się msza odprawiana przez ks. Hilarego Jastaka. Trzeba było zrobić ołtarz, a że Czesław pracował w wydziale drzewnym, to zadanie przypadło jemu. Wyszukał odpowiednie płyty, deski i tak przygotował konstrukcję. Również pierwszy krzyż strajkowy on wykonał.

Podczas niedzielnej sumy staliśmy na schodach przed stocznią, na tym pomoście nad torami. Z Sopotu przyjechała także siostra Czesława. Tłum był tak wielki, że tego dnia nie spotkałam się z mężem.

On pracował jako traser. Nad halą miał swój pokoik z telefonem z wyjściem na miasto. U nas w bloku telefon miał sąsiad przez ścianę. Zawiadomił mnie, że mąż będzie dzwonił wieczorem. Tak mogłam kontaktować się z Czesławem bezpośrednio.

Praktycznie codziennie chodziliśmy pod stocznię. W poniedziałek 18 sierpnia mąż powiedział, że w Gdańsku Wałęsa chciał zakończyć strajk, ale ludzie mu na to nie pozwolili. Duża w tym zasługa Anny Walentynowicz i Aliny Pieńkowskiej, które zatrzymały wychodzących ze stoczni robotników.

Ale największe uznanie mam dla Andrzeja Kołodzieja. Jaki on miał posłuch u starszych stoczniowców! Mimo że miał 20 lat, stoczniowcy go słuchali, wierzyli, że z nim może się coś zmienić. Jego energia i odwaga dodawała im sił.

To wszystko opowiadał mi mąż, który cieszył się z tego strajku. Wtedy zrozumiałam, że będą protestować aż do skutku. Choć pojawiał się strach, że może powtórzyć się Grudzień '70, to była też ogromna nadzieja. Społeczeństwo wiedziało już, żeby nie wychodzić na ulice, bo takie narzędzie walki nie przyniesie zakładanego rezultatu.

Tak dotrwaliśmy do końca – mąż w stoczni, a ja z dziećmi. Czesław strajkował 17 dni, czyli tyle, ile trwał strajk w Stoczni Gdynia.

Mnie nie podobał się ten gest Wałęsy z długopisem, którym podpisywał porozumienie. Jakby to dzisiaj powiedzieć, zachował się jak celebryta. Już wtedy nabraliśmy wątpliwości, czy to jest dobry przywódca nowego ruchu związkowego w Polsce. Oczywiście Czesław wstąpił do „Solidarności" od razu po jej

powstaniu. Został przewodniczącym komisji wydziałowej. Włączył się w działalność związkową.

To naprawianie Polski nie szło komunistom za dobrze. W kwietniu 1981 wprowadzili kartki na mięso. Potem tych towarów reglamentowanych przybywało, lecz zaopatrzenie było fatalne.

Kiedyś w Chyloni podjechał samochód ciężarowy z kurczakami. Sprzedawali bez bonów, po jednaj sztuce na osobę. Nie wiem, czy byli z PGR-u, czy jako indywidualni. Podjechali i sprzedawali. Momentalnie powstała ogromna kolejka. Ludzie prawie się pozabijali o te kurczaki. To było upokarzające.

Ja pracowałam w wydziale komunikacji – najpierw w Wejherowie, a potem w Pucku. Tam skończyłam swoją aktywność zawodową. Ustaliliśmy z Czesławem, że ja będę zajmować się domem i dziećmi, a on zapewni utrzymanie. Dorabiał malowaniem obrazów. Miał wielki talent. Wielu stoczniowców ma jego obrazy. Zresztą wielu ludzi, nie tylko ze stoczni, u niego zamawiało te malowidła. Żyliśmy bardzo skromnie. Korzystaliśmy z wczasów pracowniczych. Jak kiedyś pojechaliśmy do Zakopanego, więcej zapłaciliśmy za podróż pociągiem niż za sam pobyt.

Na stan wojenny nie byliśmy przygotowani. „Solidarność" działała. 13 grudnia rano nie włączaliśmy radia, bo na ósmą chodziliśmy do kościoła. Ubraliśmy się i ruszyliśmy na mszę. Ze Starogardzkiej przez Wejherowską do św. Mikołaja.

Na miejscu spotykaliśmy znajomych. Od nich dowiedzieliśmy się, że trwa wojna! Na początku nie wiedziałam, co to oznacza. Chyba nawet nie bardzo uwierzyliśmy z mężem w te słowa. Msza się zaczęła, a ksiądz powiedział:– I stało się! Mamy stan wojenny.

Potem już przez całą mszę o tym nie wspomniał, ale atmosfera była dramatyczna. Dopiero w drodze powrotnej dowiedzieliśmy się, od kolegi pracującego w stoczni Nauta, że Jaruzelski ogłosił stan wojenny.

Wróciliśmy do domu i od razu włączyliśmy telewizor, a w nim non stop „Jaruzel" przemawiał. Zaczęło do nas docierać, co to oznacza w praktyce: godzina milicyjna, zawieszone organizacje, w tym NSZZ „Solidarność", zakaz zgromadzeń itd. Pojawiła się obawa, że wojsko znów będzie strzelać. Wówczas ogarnął nas przeraźliwy strach. Tego dnia mieliśmy jeszcze gości i cały czas rozmawialiśmy, co to jest ten stan wojenny.

Mąż w poniedziałek rano normalnie poszedł do pracy. Dzieci na podwórku zaczęły się bawić w stan wojenny. Swoim zabroniłam wychodzić. Minęła godz. 15, a Czesław nie wrócił normalnie z pracy. Zapytałam o niego sąsiada (tego z telefonem). Odpowiedział, że mąż przyjdzie.

Gdy co jakiś czas ze stoczni wracali inni sąsiedzi, ich też pytałam. Oni także zapewniali mnie, że przyjdzie.

I tak minęła 19. Przez okno widziałam, jak idą kolejni robotnicy. Strzałów nie słyszałam. Siedzieliśmy w oknie w oczekiwaniu na męża. Dzieci bardzo się denerwowały.

Zaczęła się noc. W tamtych czasach nad ranem dostarczano mleko pod drzwi. Dochodziła czwarta. Usłyszałam, jak komuś stłukła się butelka na koryta-

rzu. To sąsiad, który akurat wrócił ze stoczni. Narobił hałasu, bo mu się z zmarzniętej dłoni wyślizgnęło to mleko.

Zapytałam go o męża. Odpowiedział, że zaraz powinien być. Dzieciaki wstały, wróciliśmy do okna i znów przez nie patrzeliśmy.

Po jakiejś godzinie ujrzeliśmy Czesława. Wszedł do mieszkania w kombinezonie, rozebrał się, usiadł i zaczął opowiadać, co działo się w stoczni.

Pracownicy wyszli przed bramę, ustawili się w wielkim półkolu i zaczęli odmawiać pacierz. Milicja wzywała ich do rozejścia, oni jednak modlili się dalej. Część robiło to do rana, dlatego mój mąż przyszedł tak późno. Mówił, że po drodze mijał czołgi.

Potem przyszły bardzo smutne święta. Drugie takie w moim życiu. Poprzednie takie przeżyłam w 1970 roku.

Zaczęły się trudne dni stanu wojennego: przepustki, kolejki, godzina milicyjna. Przed jej końcem nie wolno było wyjść z domu, by zająć miejsce w ogonku – w kolejce do sklepu. Do tego internowali tylu działaczy „Solidarności". Mąż się bał, że przyjdą po niego. Bardzo zamknął się w sobie. Obawiał się o nas, swoją rodzinę. Postanowił dalej działać w kościele św. Mikołaja. W ten sposób chciał walczyć. Czasami przynosił do domu ulotki czy gazetki. My po przeczytaniu przekazywaliśmy je dalej, oczywiście zaufanym ludziom.

Wrócił do pracy w stoczni, wspierał swoich kolegów z podziemia, pomagał przy organizowaniu paczek, ale wszystko robił przez parafię św. Mikołaja. Tak było bezpieczniej. Do kościoła, gdzie odbywały się różne spotkania, milicja nie miała wstępu.

Kiedy dowiedzieliśmy się, że wreszcie komuna przystała na wpuszczenie papieża do Trójmiasta, ogarnęła nas wielka radość. Mąż z synem Gracjanem zostali powołani do Straży Papieskiej. Dostali takie specjalne czapki. Podczas przejazdu ojca świętego z lotniska w Babich Dołach stali na posterunku przy ul. Kwiatkowskiego. Jak papież przejechał, udali się na skwer Kościuszki. Ja już wcześniej dotarłam przed ołtarz, córka natomiast była z grupą młodzieży.

Na drugi dzień pojechaliśmy na spotkanie z papieżem na Zaspie. Wracając po mszy na stację kolejki na Przymorzu, natknęliśmy się na milicjantów. Jeden z nich zauważył w mojej kieszeni, która była z prawie przezroczystego materiału, przypinkę z papieżem i napisem „Solidarność".

– A to z tej kieszonki niech pani mi da – powiedział.

Musiałam oddać. Mąż miał drugą, schowaną, więc pamiątka została, bo rewizji nie robili. Potem rozmawialiśmy o tym, że Jan Paweł II znów wlał w nas nadzieję i wezwał do pracy na rzecz wolności.

– Solidarność to znaczy: jeden i drugi, a skoro brzemię, to brzemię niesione razem, we wspólnocie. A więc nigdy jeden przeciw drugiemu – powiedział.

Dla nas to było wezwanie, by znów wspólne upomnieć się o prawa człowieka. Gdyby wtedy mi ktoś powiedział, że dwa lata później będzie już po komunie, nie uwierzyłabym. Choć dziś pewnie byśmy byli dalej, gdyby nie konszachty Wałęsy...

Nigdy mu nie wierzyłam. Już ten długopis był dla mnie wygłupem i jakimś takim bezsensownym popisem. Czesław go tolerował, bo też był stocz-

niowcem. Nawet jego obraz wisiał u nas w domu pod papieżem i prymasem Glempem, ale jak został prezydentem i odebrał stoczniowcom dodatki, to mój mąż odciął sznurek i tamten spadł za szafkę.

Kiedyś, już w teraźniejszych czasach, odwiedziła nas Wiesia Kwiatkowska. Zbierała materiały do książki o ks. Jastaku. Dlaczego akurat nas?

Mąż od dziecka był związany z ks. Hilarym. Był sierotą, jego rodzice zginęli, i ten wieku 14 lat trafił do Białej Góry, gdzie właśnie ks. Jastak zajmował się edukacją takich dzieci. Czesław skończył tam szkołę podstawową. Właśnie w tej Białej Górze ujawniły się jego talenty artystyczne. On nie tylko ładnie malował, miał również doskonałe zdolności rzeźbiarskie. W wielu kościołach do tej pory stoją jego prace, np. w świątyni Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni – ołtarz św. Antoniego.

Z wielkimi zrywami niepodległościowymi wiążą się również przykre historie rodzinie. Jedna dotyczy Grudnia '70.

Otóż brat mojego męża, który na wiadomość o strzelaniu do robotników wybiegł ratować sąsiada kolejarza, do domu wrócił dopiero późnym wieczorem. Okazało się, że dotarł do centrum i brał udział w demonstracji. Był również jednym z niosących drzwi z martwym Zbigniewem Godlewskim, znanym z pieśni jako Janek Wiśniewski.

Henio, bo tak miał na imię szwagier, pływał na pogłębiarkach. Rok po wydarzeniach grudniowych znaleziono go martwego w parku w Kołobrzegu. Po pracy zawijał do portu, bo pływał od Świnoujścia po Zatokę Gdańską. Niczego mu nie ukradziono. Śledztwo wykazało, że ponoć zmarł na zawał serca. Absurd. Był zdrów jak ryba, inaczej nie dostałby pozwolenia na pracę na morzu. Do dziś nie wierzę w oficjalną przyczynę jego śmierci. Tym bardziej, że jakiś czas później dotarła do nas wiadomość, że gdyby tak nie chwalił się tymi drzwiami, co je niósł 17 grudnia, to by żył…

Męża poznałam w latach 60., kiedy byłam wraz z wieloma innymi ludźmi na uroczystości w Muzeum Stutthof. On też tam był. Spóźnił się na samochód, który miał go zawieźć, dlatego razem z kolegą zabrali się naszym autobusem. Cały czas chodził za mną. Gdy wracaliśmy, wcale nie wysiadł w Gdyni, tylko pojechał ze mną do Wejherowa. I tak się zaczęła się nasza znajomość.

Potem spotykaliśmy się co kilka dni i wręczaliśmy sobie listy. Pierwszy dostałam miesiąc po premierowej randce. Do listu dołączony był rysunek, na którym człowiek biegnie za autobusem. Mam tę korespondencję do dziś, a minęło już ponad 50 lat. Nie wysyłaliśmy ich pocztą, tylko dawaliśmy – raz on mi, raz ja jemu. I tak nam zostało.

W czasie strajku on chciał wiedzieć, co się dzieje w domu, więc usiadłam do pisania listu. Doszłam do wniosku, że dzieci również powinny przekazać ojcu swoje spostrzeżenia, wiadomości i nakłoniłam je do ich spisania. Daliśmy mu te listy w stoczni. On potem nam odpisał. Te wszystkie listy wciąż trzymam. Jest to dla nas wielka pamiątka.

Gabriela Belka

żona działacza konspiracyjnego. Udzielała schronienie i opiekę innym opozycjonistom.

Pobraliśmy się w 1975 roku. Wróciłam do pracy, kiedy Piotruś, nasz pierwszy syn, miał pięć lat. Potem zaszłam w ciążę z drugim dzieckiem. Pracowałam w „Społem".

Jak zaczął się Sierpień 1980, nawet nie wiedziałam, że to jest strajk. Piękna pogoda, lato, wakacje. Pojechałam chyba nawet odwiedzić mamę, bo to były imieniny Marii. Ale długo nie zabawiłam.

– Musisz jechać do domu, bo chyba strajk się zaczął – powiedziała mama.

Kiedy wróciłam, koledzy już na mnie czekali. Dowiedziałam się, że zaczął się protest i mąż zostaje w stoczni. Potrzebował różnych rzeczy i trzeba było mu je przekazać. Rano się ubrałam i poszłam pod stocznię. W ogóle nie docierało do mnie, że to jest strajk. A potem to już tak jakoś poszło…

Mąż wszedł w działalność konspiracyjną, ale ja bardzo się przeciw temu buntowałam. Chciałam to wyprzeć. Wpadłam w depresję, bo mieliśmy dostać mieszkanie, a mąż przyniósł pełno ulotek i układał je z kolegą. Mówił, że rozrzucą je w zakładzie pracy. Istniało poważne ryzyko, że skreślą nas z listy oczekujących na przydział lokalu. Tylko długi staż męża w spółdzielni mieszkaniowej hamował władze przed dokonaniem takiego ruchu.

Zawsze mówili mu, żeby podpisał listę Miodowicza, bo przynależał do Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Ze stoczniowych bloków na Witominie tylko dwóch nie podpisało. Do jednego pojechali do szpitala do Wejherowa.

– Podpisz – powiedzieli mu.

– Nie – odpowiedział.

– Belka podpisał!

– Jak Belka, to ja też.

Potem ten człowiek wyzdrowiał i dowiedział się, że Belka nie podpisał. Był na nich za to strasznie wkurzony.

Mieliśmy na Grabówku domek po teściowej. Ona się z niego wyprowadziła, bo mieli tam budować nowe osiedle. Jednak w końcu inwestycja została wstrzymana. Dlatego myśmy się tam wprowadzili i mieliśmy swoje miejsce.

Ile to mi razy wieczorem przyprowadzał kogoś na nocleg… Kiedy o coś pytałam, mówił tylko: – Mniej wiesz, dłużej żyjesz.

Nawet później, jak rozprowadzał żywność, zamknął wszystko w jednym pokoju. Nieraz żartowałam: – Dałbyś chociaż jedną puszkę.

Nie dał (śmiech). Widziałam wielokrotnie, jak przyjeżdża i coś zabiera. Z tego powodu czasem mi się wydawało, że nasz domek na Grabówku obserwują.

Starałam się odseparować moje dzieci od działalności męża. Nie mówiłam im, co tata robi. Chciałam je chronić i zapewnić im w miarę normalne dzieciństwo. Może dlatego teraz są tacy światowi, dobrze im się wiedzie, kochają wszystkich ludzi. Owszem, przychodziło do nas wielu mężczyzn, ale traktowani byli jak tzw. wujkowie. Dzieciaki miały więc swój normalny czas, a ich tata robił swoje – walczył o wolną Polskę. Skorzystały z tego, bo dzisiaj pracują za granicą. Gdyby nie było tej wolności, siedzieliby tutaj.

Kiedy syn Piotr skończył Politechnikę Gdańską, zapytałam, jak nauczył się fachu stoczniowego jako inspektor na statku. Odparł, że gdy przychodził do gdyńskich i gdańskich stoczniowców, mówił im tak: – Dzień dobry, panowie. Już po śniadaniu? Co pijecie? Kawkę? Dobrze, ja też.

A potem jako inspektor brał latarkę, chodził i oglądał. A oni mówili mu: – Panie Piotrusiu, ten spad będzie poprawiony o tyle milimetrów, a to będzie zrobione. Ci ludzie nauczyli go fachu inspektora.

Robiłam jedzenie, kawę, dawałam nocleg i miałam nic nie wiedzieć. Jak ktoś miał przyjść, w garnku było więcej jedzenia. Pamiętam, że nocowałam takiego jednego, a jak to wszystko minęło, on mnie na ulicy nie poznał, nawet „dzień dobry" nie powiedział. Odwrócili z żoną głowy w drugą stronę. Takie to niemiłe było.

Pewnego razu Zbychu zaprosił żonę i dzieci tego mężczyzny. Zrobiłam dla nich obiad. Ale ona też tego nie doceniła. Myślała, że mój mąż ma worek pieniędzy. Inne żony to doceniały i były bardzo szczęśliwe, do tej pory są. Znalazła się czarna owca, która nie potrafiła uszanować tego, że miała co jeść w stanie wojennym. Że mój mąż wypłacał innym pieniądze i jeszcze jedzenie im przynosił. W domu przed nami to chował. Myśmy tego nie jedli, bo to było dla opozycjonistów.

Ja w konspiracji nie byłam, udzielałam się tylko w nocowaniu i gotowaniu dla znajomych męża. Dawałam im schronienie.

Mąż nie wprowadzał mnie w to środowisko. Tylko tyle, ile musiał i mógł. Kuchnia działała, dom działał i wszystko odbywało się jakoś tak na wesoło. Ale później odchorowałam te ciągłe nerwy, stres, napięcie. W końcu dostaliśmy to mieszkanie i przenieśliśmy się na Witomino.

Miałam koleżankę przy ulicy Partyzantów i z góry patrzyłam na te rozruchy pod prezydium. Mąż czasami mówił, że weźmie jednego z synków i pójdzie na taką demonstrację. Mówiłam, że się nie zgadzam i uciekałam do koleżan-

ki. Potem, gdy od niej wracaliśmy, czuliśmy gaz, mijaliśmy milicjantów, którzy w moim odczuciu byli jak gestapowcy. Wyglądali, jakby byli jacyś pijani albo naćpani. Te ich oczy i pałki, którymi walili...Straszne.

Mam siostrę, która mieszka teraz w Nowym Jorku. W PRL-u była ekspedientką przy Świętojańskiej. Mówiła, że bardzo przeżyła to, jak nieśli na drzwiach tego chłopaka [Zbyszka Godlewskiego zwanego Jankiem Wiśniewskim – red.], że jeszcze w Nowym Jorku ma ciarki na wspomnienie o tamtych wydarzeniach. Śni jej się Gdynia, budzi się w nocy mokra.

Anna Bień

ekonomistka w Polfracht Agencja Żeglugowa. Żona Tadeusza Bienia, organizatora pomocy dla rodzin osób internowanych z ramienia Kurii Arcybiskupiej.

Już na początku wakacji 1980 roku docierały do mnie informacje o strajkach w Lublinie. Była na przykład opowieść o tym, że przyspawali pociąg do szyn i że buntowali się głównie kolejarze. Ale to działo się na drugim krańcu Polski. W dodatku te informacje były szczątkowe, więc zbytnio się tym nie ekscytowałam. Raczej nikt w Trójmieście nie zakładał, że u nas też może dojść do czegoś takiego. W pamięci cały czas pozostawał Grudzień '70 i ludzie mieli sceptyczne nastawienie do wszelkich protestów.

Jednak w drugiej połowie lipca usłyszałam, że na kolei coś się dzieje. Tyle że bez żadnych konkretów. Docierały też jakieś zdawkowe informacje o proteście w Porcie Gdynia. Nie miałam głowy, by się tym mocniej zainteresować.

Rodzina była dość duża i to raczej ona absorbowała moją uwagę i energię. Dzieci były jeszcze stosunkowo małe i musiałam poświęcić im dużo czasu. Poza tym rok wcześniej zmarła moja mama i przejęłam opiekę nad całym domem. Mieszkaliśmy bowiem w rodzinie wielopokoleniowej: rodzice, my, nasze dzieci; była z nami też siostra mojej mamy. W mieszkaniu, w którym nadal żyję, było łącznie dziewięć osób.

Trzeba przyznać, że żyliśmy bardzo zgodne. W naszym domu nigdy nie doszło do żadnej kłótni, mimo że iskrzyło. Między mamą a mną wytworzył się taki podział obowiązków: ona gotowała i zajmowała się sprawami wewnątrz domu, a ja robiłam zakupy i byłam zaabsorbowana m.in. staniem w kolejkach. Najstarsze z dzieci miało wtedy dziewięć lat, a młodsze: siedem, pięć i trzy. To było moje życie.

O strajku w Stoczni im. Lenina w Gdańsku dowiedziałam się tego samego dnia. Prawdopodobnie coś awizowali przyjaciele mojego męża, którzy mieszkali w Gdańsku. W 1980 roku wróciłam już do pracy; na początku na pół etatu. W zakładzie też zaczęły się rozmowy o tym, że w społeczeństwie rodzi się jakiś ferment. Cztery godziny siedziałam w pracy, a później leciałam do domu, bo trzeba było coś robić. Mamy nie było, więc musiałam ogarnąć i tatę, i ciocię, i dzieci – wszystko.

O strajku w naszej stoczni dowiedziałam się w pracy. Jednak głównie mówiło się o Gdańsku i o tym, że tam powstaje takie centrum protestacyjne.

Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy usłyszałam nazwę Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, ale wtedy zrozumiałam, że to już jest coś wielkiego, że protest rozlewa się na cały kraj.

To właśnie w pracy zaczęłam się angażować w działalność solidarnościową. Z drżeniem w sercu i głosie – bo nie było wiadomo, co się będzie dalej działo – przeczytałam głośno na zebraniu 21 postulatów.

To była specyficzna firma: Polfracht – frachtująca statki, więc mająca kontakty z zagranicą. Ludzie w niej byli raczej ustawieni po linii partyjnej. Dzięki tej pracy mieli bowiem możliwość wyjazdów na placówki.

W Polfrachcie prężnie działała komórka PZPR. Mnie zresztą też namawiano do aktywności w niej, ale się migałam; mówiłam, że jeszcze nie dorosłam do takich działań. Pewnego razu wezwał mnie szef.

– Co ty za głupoty gadasz?! Ty się zastanów! – powiedział ostro. Odpowiedziałam, że na razie bardzo dziękuję za propozycję.

W pewnym momencie, może już po 20 sierpnia, zaczęłam bardziej interesować się rozwojem sytuacji. Dużo rozmawiałam z mężem Tadeuszem. Informacje, które do mnie docierały, pochodziły już z wiarygodnych źródeł – od ludzi, którzy byli i w stoczni w Gdyni, i jeździli do MKS-u do Gdańska.

Po podpisaniu porozumień sierpniowych w firmie powstała organizacja związkowa (mam nawet jeszcze legitymację „Solidarności" z tych czasów). Przez pewien czas byłam jej wiceprzewodniczącą. Mówiło się, że przewodniczący był podstawiony, tj. robił za wtyczkę SB.

W tamtym okresie do moich zadań należało w zasadzie ogarnięcie całego domu. Tata przyzwyczaił się do tego, że był zawsze obsługiwany i miał wszystko podane, bo mama nie pracowała. Zatem nim też musiałam się zajmować. W drodze z pracy zdobywałam, co się dało.

W tych obowiązkach, Jak tylko mogła, wspierała mnie samotna siostra. Mieszkała bardzo blisko i włączała się w pomoc naszej rodzinie. Zresztą jest tak do dziś, mimo że ona jest ode mnie starsza osiem lat. Dzieci dają jej kwiaty na Dzień Matki, a na Dzień Babci wnuki przychodzą z laurką – to o czymś świadczy.

Kiedy wprowadzili kartki na mięso, oddawała nam swoje racje. Mówiła, że nie musi jeść mięsa, bo bardziej lubi ser żółty, a ten z kolei można było zdobyć na książeczkę zdrowia dziecka. Pamiętam ten ciemnożółty, pomarańczowy ser.

Tak funkcjonowaliśmy, radziliśmy sobie jakoś wspólnie. Dzieci już dorastały, chodziły do podstawówki przy Krasickiego. Po drodze mijały sklep, a potem przybiegały i raportowały: – Mamo, kawę dali! Kawa jest! Kolejka jest! Dawałam im kasę i mówiłam: – To lećcie!

Po drodze był też sklep papierniczy, gdzie sprzedawali papier toaletowy. Tak się właśnie działało. Dzieci już kojarzyły, że jak stoi kolejka, to coś przywieźli i trzeba mnie zaalarmować *(śmiech)*. Ja dawałam pieniądze, leciały i ustawiały się w kolejce. Biegiem to było dla nich dwie albo trzy minuty. Czasem wracały zawiedzione i mówiły: – Pani nie chce nam dać, bo powiedziała, że dzieci kawy nie piją. Wtedy trzeba było samemu iść.

Handel wymienny prowadziliśmy głównie z krewnymi ze wsi, z Borów Tucholskich. Wiem, że mąż czasem załatwiał im tutaj własnym sumptem jakieś części do maszyn rolniczych. Był inżynierem, więc wiedział, gdzie i do kogo dotrzeć. Natomiast od nich przywoziliśmy jajka, śmietanę, kawał mięsa. Tak to funkcjonowało, dopóki jeszcze można było się przemieszczać.

Okres od sierpnia 1980 do grudnia 1981 pamiętam jako taki radosny czas. Wszyscy czuliśmy, że coś się w tym kraju zmienia na lepsze, że jakieś pozytywne siły zaczynają działać. Tym wtedy żyliśmy. Chcieliśmy zmian, więc angażowaliśmy się w „Solidarność". Choć różni znajomi przestrzegali, że może powtórzyć się Grudzień '70, to ja tak tego nie odbierałam.

Chociaż Grudzień przeżyłam dosyć mocno i on tkwi głęboko w mojej pamięci. Akurat w listopadzie 1970 roku urodziłam pierwszą córkę i te zajścia były dla mnie jako młodej mężatki z malutkim dzieckiem przerażające. Słyszałam tę strzelaninę. Mąż poszedł do pracy. Nie wiedziałam, co się dzieje. Zadzwonił telefon, wyskoczyłam z łóżka, żeby odebrać, walnęłam nogą w krzesło i złamałam sobie palec. Zawieźli mnie na pogotowie.

W Karnawale Solidarności w kraju wiele się działo. Od czasu do czasu odbywały się jakieś protesty czy ogłaszano pogotowie strajkowe, jak np. po prowokacji bydgoskiej. U nas w Polfrachcie nie było żadnych strajków, gdyż to była firma, w której się nie robiło się takich rzeczy.

12 grudnia 1981 położyliśmy się spać tak jak zwykle. Noc przespaliśmy, a rano się obudziliśmy i poszliśmy do kościoła Najświętszej Marii Panny. Tam się dowiedzieliśmy, że został wprowadzony stan wojenny. Niektórzy chyba nawet zaczęli płakać. To było przerażające. Potem – nie wiem, czy jeszcze tego samego dnia – na dziedzińcu szkoły „osiemnastki" stanęły czołgi.

Z tego okresu utkwiło mi w głowie jeszcze zdarzenie z choinką mojej siostry. Ona przed samymi świętami gdzieś to drzewko zdobyła, ale jej ukradli. Mieszkała na parterze, a choinka wisiała na zewnątrz. Mieliśmy swoje podejrzenia, ale nie byliśmy pewni co do sprawców. W każdym razie siostra miała Boże Narodzenie bez choinki.

Bardzo szybko dotarły do nas informacje o internowanych. Z najbliższych znajomych nie aresztowali nikogo. Słyszeliśmy o innych, których znał lub kojarzył głównie mąż. Po pewnym czasie w Gdańsku, przy kościele św. Brygidy, powstało środowisko pomocowe dla internowanych.

Później taka inicjatywa zrodziła się u nas w Gdyni, przy kościele Najświętszej Marii Panny. Takim koordynatorem tego ciała w naszym mieście został mój Tadeusz. Był człowiekiem, który łączył ludzi odpowiedzialnych za pomoc prawną czy zaopatrzenie w żywność z potrzebującymi i ich rodzinami. Miał w poszczególnych dzielnicach Gdyni kilku ludzi i koordynował ich działalność, rozdzielał zadania.

Dary przychodziły głównie ze Szwecji. Przez moją koleżankę nawiązaliśmy kontakt z taką panią Lidią, która już wcześniej wyemigrowała do Szwecji i tam wyszła za mąż. W następnych latach inna Polka pomagała w organizacji transportów. Przyjeżdżały ciężarówki i w magazynach przy Najświętszej Marii Panny – tam, gdzie kiedyś znajdowała się kawiarnia Grand Cafe – te rzeczy się zbierało i sortowało.

Ci ludzie, którzy podlegali mężowi – studenci czy nieraz koledzy – mieli swoje konkretne rodziny, podopiecznych. Wiedzieli, ile jest w nich dzieci, w jakim są wieku. Kiedy przychodziły transporty z żywnością czy ubraniami, oni mieli już rozeznanie, co komu potrzeba.

Rozdawało się też adresy. Koleżanka dała namiary na moją rodzinę jakiejś samotnej pani ze Szwecji i ona też objęła nas taką, można powiedzieć, opieką. Przysyłała paczki głównie na święta: słodycze, pierwsze klocki Lego. Kiedy docierał pakunek od pani Belval, w domu było wielkie święto. Przesyłka stała i czekała, aż wszyscy w domu się zbiorą, dzieci wrócą ze szkoły. Wtedy się ją uroczyście otwierało.

Nie wiem, ile było takich rodzin jak nasza. Mąż miał kiedyś – a może ma do dziś, bo lubi przechowywać takie rzeczy – całe archiwum i był w tym doskonale zorientowany.

Pani, która wysyłała nam prezenty, pisała do mnie listy po angielsku. Znałam trochę ten język, pracując w Polfrachcie. Zauważyła, że one są cenzurowane. Pewnego razu napisała mi, że wysłała pismo do Jaruzelskiego, że sobie nie życzy, żeby jej listy ktoś poza faktycznymi adresatami czytał. Była oburzona faktem, że można czytać czyjąś korespondencję, nie wspominając już o jej cenzurowaniu. Nie wiem, czy dostała odpowiedź. Myślę, że nie *(śmiech)*. Nie mam już tych listów. Trzymałam ją parę lat, ale w końcu wyrzuciłam.

Dziwne było to, że Służba Bezpieczeństwa nie próbowała przeszkadzać czy ingerować w działania męża i ludzi z nim współpracujących. Tadeusz czasem mówił, że w sumie oni wiedzieli, że coś takiego się dzieje. W jakimś sensie widocznie akceptowali jego działalność konspiracyjną. On nie był zaangażowany w politykę, tylko pomoc materialną. Wydawało mi się więc, że to specjalnie niczym nie grozi. Z drugiej strony cały czas utrzymywał kontakt z ludźmi z „Solidarności". Jednak nie odczuwałam lęku, że ta znajomość może go zaprowadzić za kratki.

Za swoją aktywność mąż nigdy nie oczekiwał jakichś podziękowań. Być może kiedyś ktoś mu w jakiś sposób dziękował. Tego nie wiem. Obserwując jego zaangażowanie, byłam dumna, że mam takiego męża.

Dwójka starszych dzieci była świadoma, co się działo. Cieszyły się, że przychodzą paczki. Pamiętam, że dzieci dostały kurtki z tych darów.

Wówczas zimową odzieżą było trudno zdobyć, a wtedy zimy były przecież ostrzejsze niż teraz. Pamiętam te puchowe, bardzo specyficzne, nadmuchane kurtki. Wszyscy w nich chodzili i byli zadowoleni.

Napięcie związane z tamtym okresem odczuwały także dzieci. Po latach młodszy syn, który wtedy miał siedem lat, opowiadał, że się czegoś bał, lecz nie potrafił nam tego przekazać. Czuł, że coś się dzieje, ale nie umiał tego wyartykułować. Moim zdaniem dzieci chyba były za małe, by zrozumieć, co oznacza powstanie „Solidarności" czy wprowadzenie stanu wojennego.

Bardzo przeżywaliśmy tragiczne wydarzenia związane z księdzem Popiełuszką. Nam się to w głowach nie mieściło. Od razu mieliśmy świadomość, że to jest ostra akcja władzy. Od początku uważaliśmy tę śmierć za morderstwo. Z premedytacją pozbawili go życia. To było dla nas niewyobrażalne.

Do dzisiaj nie mogę przejść do porządku dziennego nad myślą, że nikt z wysoko postawionych nie poniósł za to kary. Wyroki dla Piotrowskiego i pozostałych były – powiedzmy sobie to szczerze – śmieszne. Nie mówię już o górze, która zleciła sprawę. Teraz ludzie z najwyższego kierownictwa partyjnego nie żyją i nie można ich pociągnąć do odpowiedzialności. A można było to zrobić, gdyby się chciało...

Bardzo ważna dla naszej rodziny była msza na skwerze Kościuszki, którą 10 czerwca 1987 roku odprawił ojciec święty. Uczestniczyliśmy w niej z dziećmi. To był bardzo wzruszający moment. Czuło się euforię i radość, że nasz człowiek przyjeżdża z wielkiego świata nam pomóc. Każdy chyba czuł tę pozytywną aurę, która się tam unosiła.

Bardzo się cieszyłam, że na budynku Teatru Muzycznego wisiał napis „Jesus Christ Superstar". W tamtym momencie było to bardzo wymowne. Wiem, że kazano tam potem dopisać „Rock Opera", żeby Jan Paweł II nie myślał, że to jest na chwałę Boga.

Byłam też na Zaspie na spotkaniu z papieżem. Stałam nawet pod tym przepięknym ołtarzem. Dostałam specjalne przepustkę, ponieważ trzymałam sztandar delegacji. Nie wiem, dlaczego zostałam w ten sposób wyróżniona. Może ze względu na męża nasza rodzina uchodziła za odpowiednią do takiej posługi?

Po pielgrzymce cały czas panowała radość, że ojciec święty był w naszym mieście – tu, w Gdyni. Czuliśmy, że braliśmy udział w czymś przepięknym. Wydawało nam się, że ta pielgrzymka wzmocni tendencje wolnościowe, że znów nastąpi pójście o kawałek do przodu.

No i rzeczywiście. Po części tak się stało. Potem zaczęły się przygotowania do nowych wyborów. W ludziach pojawiła się nadzieja, że może wydarzy się coś pozytywnego i będzie można stworzyć coś nowego.

Pod koniec PRL-u mój mąż zaangażował się politycznie. Został wybrany na posła w pierwszych częściowo wolnych wyborach. W sumie sprawował mandat z ramienia Stronnictwa Demokratycznego przez dwie skrócone kadencje [1989-91 i 1991-93 – red.].

Mąż był jednym ze współinicjatorów reorientacji programowej tej partii, która w Polsce Ludowej była przecież satelitą PZPR-u. Tadeusz w jakimś momencie się do niej zapisał i próbował rozsadzić ją od środka. Dzieci angażowały się w jego akcję wyborczą, roznosiły ulotki.

Pod koniec PRL-u byłam kurą domową. Życie się toczyło trochę poza mną. Oto jedna z takich historii.

Dzieci potrzebowały tenisówek do przedszkola. Przy Świętojańskiej, koło mojej pracy, działał sklep z takim obuwiem. Ustawiłam się w kolejce, bo rzucili. Poprosiłam o trzy pary, a w sklepie rozległ się wrzask, że za chwilę będę handlować tenisówkami. Trzy pary – jak tak można?! Musiałam wyjąć dowód osobisty, w którym były wpisane dzieci. Wtedy kolejka się uspokoiła i sprzedano mi te trzy pary tenisówek. Każde dziecko musiało mieć swoje, ponieważ te buty przecierały się na palcach i maluchy nie mogły używać ich po sobie.

Wróciłam do pracy na pół etatu, potem na 3/4 etatu i dopiero w 1991 roku, kiedy dzieci były już odchowane, przeszłam na pełny wymiar godzin. Mąż działał w związku i angażował się w inne sprawy. A tutaj zdarzył się rok, że cała nasza czwórka pociech chodziła do ogólniaka. Wywiadówki odbywały się mniej więcej o tej samej godzinie, więc wlatywałam do klasy, w której było najmłodsze dziecko, i pytałam o nie.

– Nie, nie, nie, pani Bień, może pani iść, nic się nie dzieje – mówiła wychowawczyni.

Potem leciałam do maturalnej, a na końcu załatwiałam jeszcze tych środkowych. To była „szóstka" przy Kopernika.

Tak przeleciały lata 80. Trochę w „Solidarności", trochę w domu przy dzieciach i rodzinie, trochę pomagając mężowi.

Barbara Biniewska-Błażko

Architekt. Uczestniczka w stanie wojennym słynnej wycieczki studentów architektury na Dolny Śląsk, która zakończyła się interwencją Służby Bezpieczeństwa. Członek władz Towarzystwa Przyjaciół Orłowa.

Z lat 70. pamiętam tylko trochę wydarzenia w Radomiu. Mówiono, że warchoły z Radomia wszczynają jakieś burdy. Ale mimo tej propagandy ludzie wiedzieli, że robotnicy wystąpili w słusznej sprawie, protestowali przeciw podwyżkom, ciężkim warunkom pracy itd.

Nie zajmowałam się wtedy polityką. Byłam na studiach, miałam chłopaka, chodziłam na rajdy SKPT, dlatego jakoś specjalnie to mną nie wstrząsnęło. Wiedziałam, że to jest słuszne, że tak ma być. Te wydarzenia działy się gdzieś daleko, więc żyło się dalej.

O kartkach na cukier [które zostały wprowadzone po wydarzeniach w Radomiu – red.] dowiedziałam się na wyjeździe z rodzicami w NRD. To był mój pierwszy zagraniczny wyjazd. Mieszkaliśmy w akademiku – to była jakaś wymiana między Wyższą Szkołą Morską a jakąś szkołą niemiecką. Dowiedzieliśmy się z radia albo ktoś zadzwonił czy powiedział, że w Polsce wprowadzili kartki na cukier.

W naszym życiu nastąpiło jakieś tąpnięcie. Właściwie nie wiedzieliśmy, o co tak naprawdę chodzi. Wróciliśmy z tego NRD i zaczęło się zdobywanie tych kartek, ale ja w tym nie uczestniczyłam – tym zajmowali się rodzice. Tyle że specjalnie mną to nie wstrząsnęło. Człowiek był młody, miał różne zainteresowania. Tego roku akurat nie dostałam się na architekturę.

Faktyczne problemy pojawiły się wraz z dziećmi. W 1982 roku urodził się mój syn Maciek. Na szczęście w ciąży miałam przywileje. Pamiętam, że sprzedawali bardzo słone masło. Człowiek się jakoś przystosowywał. Byliśmy bezradni wobec rzeczywistości, ale trzeba było żyć. Mieliśmy grono przyjaciół, z którymi się spotykaliśmy. Potem, jak była godzina milicyjna, siedzieliśmy u nich do piątej rano z oczami na zapałkach. Jakoś przebrnęliśmy przez ten czas.

Pamiętam, że kiedy w 1980 roku wybuchła „Solidarność", dostawaliśmy z grupą znajomych ulotki, które rozdawaliśmy, np. w pociągach. Obserwowaliśmy fajne zjawisko socjologiczne. Niektórzy wyciągali rękę po te broszury. Innym kładło się na stolik, a oni udawali, że nie widzą albo odwracali głowy. Od razu było widać, kto jest kto. Dla mnie, młodego człowieka, to było ekscytujące doświadczenie.

Kiedy rozpoczęły się strajki, jeździłam do Gdańska. Widziałam siedzących na murach robotników, flagi, transparenty. Nie miałam nikogo bliskiego w stoczni. Chodziłam pod bramę, żeby pobyć z ludźmi; posłuchać, co mówią; zobaczyć, co tam się dzieje. Nieraz jeździłam tam z mężem. Wyczuwaliśmy jakaś taką nadzieję na zmianę, że może się uda wkrótce tę komunę obalić. Stocznia to było takie serce tego rodzącego się ruchu, zjawiska – miejsce, w którym ta nadzieja się pojawiła. Czuliśmy, że chcemy tam być. Chodziło o zmiany w systemie, który nas gnębił.

Jak wspominam pierwszą pielgrzymkę Jana Pawła II? Jego przyjazd był bardzo doniosłym wydarzeniem. Słowa „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze Ziemi…" zrobiły na nas ogromne wrażenie. Spotkanie na Zaspie było niezapomniane, kosmiczne, przepiękne. W tym wielotysięcznym tłumie jakimś cudem spotkałam znajomych. Czuliśmy, że jesteśmy razem.

Dzień przed pójściem na Zaspę miałam potworną grypę. Jednak wiedziałam, że tam pójdę niezależnie od tego, jak będę się czuła. Mój teść, który miał pszczoły, poradził, żeby rozwodnić kit pszczeli i przepłukać nos. Zrobiłam to i następnego dnia obudziłam się jak skowronek. To był pierwszy cud Jana Pawła II.

Rano zebraliśmy się i pojechaliśmy na Zaspę. Przebywaliśmy tam cały dzień w niepojętym szczęściu. Jako młody człowiek nie miałam świadomości, że przemiany w Polsce to jego dzieło, że to on je zapoczątkował i że to cud, który się zdarzył. Teraz już wiem, ale wtedy specjalnie się w to nie zagłębiałam.

Większość moich przyjaciół bała bardzo aktywna. Angażowała się w społeczne przedsięwzięcia. Najbardziej wtedy, kiedy zaczął się stan wojenny, a znajomi byli internowani.

Na zjazd „Solidarności" w hali Olivia własnoręcznie zrobiłam wejściówkę. Wyrzeźbiłam identyfikator, napisałam na maszynie swoje nazwisko, wymyśliłam numer.

Skąd pomysł? Z koleżanką chodziłyśmy tam pierwszego dnia i przyglądałyśmy się plakietkom, które delegaci nosili w klapach. Były zielone, z napisami. Dostałam taką od znajomej, która była w „Solidarności". Przyjrzałam się i zrobiłam wzór.

Identyfikator się przydał. Zjazd trwał trzy dni. Któregoś popołudnia się spóźniłam. Pognałam do ochroniarzy. Kazali mi pokazać plakietkę. Wyjęłam i pokazałam ten zrobiony przez siebie. Przepuścili mnie, chociaż wtedy umierałam ze strachu, a nogi miałam jak z waty. Jednak byłam zdeterminowana. Chciałam i koniecznie musiałam tam być i uczestniczyć w tworzącej się na moich oczach historii.

Miałam taką przyjaciółkę, której babcia – wspaniała osoba, chwaliła Piłsudskiego pod niebiosa – przy każdym naszym spotkaniu mówiła, żeby nie dać się omamić komunie i pamiętać, że jesteśmy Polakami. Kapitalna starsza pani. Ola, jej wnuczka, bardzo intensywnie działała w „Solidarności". To właśnie z nią zrobiłyśmy sobie te identyfikatory.

Mój mąż Andrzej uczestniczył później w strajku na politechnice. Ale tutaj nie za bardzo chciał. Moi rodzice chyba nawet nie wiedzieli, że robię taką akcję. Pewnie pochwaliłam się już po fakcie. Byłam zbyt niezależna.

Ale miałam przykład, ponieważ mama pracowała w Wyższej Szkole Morskiej. Też była niepokorna. W bibliotece WSM pracowało kilka kobiet, które gnębiono za przynależność do związku i poglądy. Wtedy jeszcze rektor pochodził z partyjnego nadania, więc one tam łatwego życia nie miały.

W tej bibliotece pracowała jeszcze wspaniała polonistka, która wcześniej uczyła w Tczewie. Pisała fantastyczne wiersze okolicznościowe. Nawet podanie o podwyżkę napisała wierszem. Rewelacyjna Wiktoria Gabriel – kapitalna pani. Niepokorna, z fantastycznym poczuciem humoru, kobieta niezależna. Mówiła przepiękną polszczyzną i pisała piękne wiersze na każdą okazję, nawet na darowanie stanika!

Nawiasem mówiąc, dyrektorem tych niepokornych niewiast był – nomen omen – były ksiądz, który po opuszczeniu stanu duchownego został wykładowcą marksizmu-leninizmu w Wyższej Szkole Morskiej. Walczył z nimi, ale one dawały sobie radę.

W tamtym czasie utrzymywałam bardzo bliski kontakt z Ewą Kubasiewicz. Nie wiem, jak dziś odbiera to Ewa. Byłam z nią w Gdańskim Klubie Wysokogórskim, do którego należał także jej mąż, Marek. To też było miejsce wolności: wyjazdy, spotkania, prace wysokościowe, dzięki którym można było trochę zarobić. Coś pięknego. Pamiętam, jak ze swoich pierwszych robót wysokościowych wróciłam z harmonijką pieniędzy i pokazałam rodzicom. To było budujące.

13 grudnia 1981 roku zaczął się dla mnie od włączenia radia. O godz. 10 nadawali „60 minut na godzinę", a ja słuchałam tego regularnie. Włączyłam, a tam jakieś dziwne gadanie. Poczekałam chwilę. Okazało się, że jest stan wojenny.

To było tąpnięcie, zawieszenie i niepewność zarazem. Pojawił się strach, bo nie było wiadomo, o co chodzi, jakie to będzie mieć skutki. Czy Rosjanie wejdą, czy nie wejdą?

Mieszkaliśmy wtedy przy ulicy Morskiej. Wystarczyło spojrzeć przez okno. Pojawiły się jakieś nietypowe pojazdy. Chyba jechali do stoczni. Pamiętam, że potem z Andrzejem wzięliśmy psa i poszliśmy piechotą pod bramę gdyńskiej stoczni, żeby zobaczyć, co tam się dzieje. Tam chyba już stały jakieś skoty.

Przypomniałam sobie wydarzenia z 1970 roku, które widziałam jako małe dziecko. Mieszkałam przy Morskiej, widziałam wiadukt nad torami, dym, czołgi, latające helikoptery. Tamtędy szli ludzie z tym chłopakiem [Zbyszkiem Godlewskim – red.] na rękach. Zdaje mi się, że nieśli go na rękach, a nie na drzwiach, bo te wzięli dopiero na ul. 10 lutego. Nie pamiętam dokładnie, czy nieśli go na fladze, czy na rękach.

To był pierwszy nieżywy człowiek, jakiego widziałam, więc z ciekawości na niego patrzyłam. Byłam sama w domu, bo rodzice wtedy pracowali. Pamiętam, że patrzyłam z okna, a potem wybiegłam na klatkę schodową. Wiedziałam, że to krew, że człowiek nie żyje, ale ciekawość była silniejsza. Dziecko nie ma jakichś tragicznych przeżyć, w związku z tym w takich sytuacjach jest bardziej ciekawe niż przerażone. To dla niego stanowi nowe doświadczenie. Po latach dowiedziałam się, że pod naszym blokiem strzelali, więc równie dobrze też mogłam oberwać.

Pamiętam również taką scenę: stoję w oknie, mama biegnie z pracy właściwie równolegle do pochodu, żeby zobaczyć, co ze mną, i lata nad nami helikopter.

Faktycznie, w ludziach był strach, ale też złość i wściekłość. To był taki czas, że gdy dzieje się coś dramatycznego, zapada cisza i nie wiadomo, co dalej.

Władza tłumaczyła, że było zagrożenie. Właściwie była jednoznaczna opinia, że istniało zagrożenie wewnętrzne. O ile pamiętam, nie mówiło się o zagrożeniu zewnętrznym. Ale przecież słuchało się Pietrzaka i było wiadomo, że Rosjanie przebierają nogami, by wejść do Polski. Generalnie był strach. Tak odbieram ten czas.

W moim najbliższym otoczeniu były osoby represjonowane. Miedzy innymi Iza Kobzdej, która chodziła rok niżej. Przyjaźniłyśmy się, bo na Wydziale Architektury funkcjonował Klub Studentów Architektury (KSA). Wędrowaliśmy, jeździliśmy, co weekend chodziliśmy sobie po okolicy. Latem były wyjazdy, np. na Śląsk.

W 1982 roku wyjechaliśmy autobusem grupą studentów z profesor Habelą i asystentami. Ktoś wymyślił, żeby napisać świecą na szybie „Uwolnić Lecha". Ktoś napisał „Solidarność". Jechał sobie taki beztroski autobus. W Kamiennej Górze zatrzymał nas esbek i wylegitymował. Kazał usunąć napisy z szyb i pozwolił jechać dalej, ale wiedzieliśmy, że – niestety – wynikną z tego kłopoty.

W dzień zwiedzaliśmy, a wieczorami siadaliśmy i zastanawialiśmy się, co zrobić z tą aferą z napisami na autobusie. Chodziło o to, żeby tak to rozwiązać, by konsekwencje nie spadły na Izę, bo znowu pójdzie siedzieć. Po kilku zebraniach nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że osoby, które pisały po tych szybach, przyznają się, ponieważ tak trzeba. W przeciwnym razie Iza ponownie trafiłaby do więzienia.

W IPN-ie opisali cały proces z tym związany. Byliśmy wzywani na przesłuchania w charakterze pokrzywdzonych przez system. Zostaliśmy uznani za osoby szykanowane przez PRL, z tym że nie znaleziono winnego, bo oczywiście minęło wiele lat od tamtych wydarzeń.

Ale wróćmy do wycieczki i jej konsekwencji. Każdy dostał rzut autobusu, musiał na nim zaznaczyć, gdzie siedział, co widział, kto był przed nim, kto za nim, kto obok.

To wszystko działo się na politechnice. Byliśmy za to cięci na rektora Jerzego Doerffera, że w ogóle dopuszcza do czegoś takiego, że tak nas traktuje. Uważaliśmy, że się nad nami pastwi, robi jakieś kretyńskie dochodzenia i tak dalej.

Jego zastępczyni też była demoniczna. Rektor był zdecydowany, konkretny, bezlitosny. Autorzy napisów na szybach dostali sześciomiesięczny nakaz pracy. Jednak potem w jakiś sposób wrócili do nas na rok. Reszta dostała karę w postaci jakichś wpisów do akt – coś w stylu, że zaburzyliśmy ład współżycia socjalistycznego. Dzisiaj się z tego śmieję.

Później okazało się, że cała historia z tym śledztwem była bardziej skomplikowana, niż nam się w tamtym czasie wydawało. Doerffer jako rektor wziął sprawę na siebie. Chodziło o to, żeby cała procedura tego bezlitosnego dochodzenia odbyła się na politechnice, a nie na milicji, bo wówczas by nas pewnie pozamykali. Doerffer powiedział, że będzie bezwzględny i rozwiąże tę sprawę, ale na swoim terenie, bo sprawcy są studentami i on się nimi zajmie. Faktycznie rektor był rygorystyczny, ale udało nam się zakończyć tę sprawę w miarę bezboleśnie.

Przeczytałam później w IPN-ie jego zeznanie, że zrobił wszystko, żeby to odbyło się na terenie politechniki. Wiedział bowiem, że w ten sposób jakoś nas ochroni. A gdyby sprawa potoczyła się normalnym trybem, byłoby już po nas.

Mimo wszystko Izę potem internowano. Mój chłopak zaproponował, że pojedzie z jej narzeczonym do Gołdapi ją odwiedzić. Najpierw poszli na milicję, żeby dostać kwit, że mogą. Pojechali. Jak stamtąd wychodzili, to dziewczyny śpiewały za Wiśniewskim „wyrwij murom zęby krat" i w ogóle się nie przejmowały.

Sporym szokiem dla wszystkich był wyrok dla Ewy Kubasiewicz. Z tym, że teraz myli mi się to, co o tym opowiadano, a co było w bezpośrednich relacjach. Do tego czytałam jeszcze książki Ewy, więc nie powiem, jak było naprawdę.

Inna sprawa, że do nas informacje nie dochodziły na bieżąco. Wiem, że jej sprawę rozdmuchała prasa podziemna. Pisała, że to jest najwyższy wyrok [10 lat – red.], że to jest nie do przyjęcia. Później, jak czytałam książkę i rozmawiałam ze znajomymi, dowiedziałam się, że syn Ewy brał ślub w innym zakładzie penitencjarnym, ją tam przywieźli, a potem znowu wróciła do kicia. Oczywiście, że byliśmy zbulwersowani karą dla niej. Ale co mogliśmy zrobić…?

W 1982 roku w konspiracji formalnie nie działałam. Nie byłam wielkim działaczem. Bez szału. Nie wiem, czy władza wiedziała o mojej działalności, czy nie wie.

Na pewno z duszą na ramieniu robiłam okładki do „Zeszytów Problemowych". Czasem roznosiłam ulotki. Brałam udział w rozróbach w Gdańsku, do których doszło 3 maja. Ganiali mnie w tę i we w tę. Na pamiątkę tego ganiania wzięłam sobie race po gazie łzawiącym, którymi w nas rzucali. Skryliśmy się

z jakąś grupą w hotelu Monopol. Nie pamiętam, czy Andrzej się gdzieś zgubił, czy był ze mną. Schowaliśmy się do klatki schodowej, tam były szklane drzwi. Najpierw zobaczyłam uciekających, a potem zomowców. Pobiegli dalej i nie weszli do budynku.

Wizyta papieża w Gdyni w 1987 r. była dla mnie olbrzymim przeżyciem. Na Ojca Świętego czekał z nami ks. Stanisław Zawadzki, nasz proboszcz, z którego byliśmy niezwykle dumni. Na bieżąco otrzymywaliśmy informacje, że Jan Paweł II jest już na lotnisku, już jedzie ulicą Morską, już wjechał w 10 lutego. Czekaliśmy tam ładnych kilka godzin – modliliśmy się, śpiewaliśmy. Ks. Zawadzki pięknie to prowadził. Zobaczenie na żywo Ojca Świętego wielu uważa za niezapomniany moment w swoim życiu. Tak też jest ze mną.

Ołtarz przypominający statek był wspaniały. Zaprojektował go artysta Marian Kołodziej. Natomiast całą konstrukcję wykonał Lech Zalewski – nasz profesor, wykładowca, fantastyczny człowiek, który był przyjacielem studentów. Był też recenzentem mojej pracy dyplomowej. Złożyłam mu ją do recenzji i on wtedy ciężko zachorował, a niedługo potem umarł. Miałam duszę na ramieniu, bo nie było wiadomo, gdzie ta dokumentacja się znajduje. Na szczęście po jakimś czasie się odnalazła. Potem był inny recenzent i jakoś udało mi się obronić. Lech Zalewski jest wart zapamiętania. Wiem, że otrzymał komunię świętą z rąk Ojca Świętego.

Dla papieża jeździliśmy również do Warszawy, żeby uczestniczyć w modlitwach na stadionie. Tutaj cały czas stałam w jednym miejscu i brałam udział we mszy.

W trakcie jego przejazdu przez miasto miałam aparat, by robić zdjęcia. Jednak byłam pod takim wrażeniem, że jest tak blisko, że tylko stałam jak sparaliżowana i patrzyłam. Nie zrobiłam żadnego. Trochę żałuję, ale z drugiej strony to uczucie było silniejsze ode mnie. Musiałam na niego patrzeć. Jeszcze mi się wydawało, że na mnie spojrzał. To już w ogóle postrzegałam w kategoriach cudu.

W drugiej połowie lat 80. wybuchł duży strajk w stoczni i na politechnice. Byłam w domu, a Andrzej poszedł strajkować. Pobiegł na uczelnię, a ja patrzyłam, jak leci po schodach taki rozpromieniony, że protestują. Potem opowiadał, że ktoś przyszedł i powiedział, że stocznia padła, że się poddała.

To był 1988 rok. Ja wtedy siedziałam w domu z małymi dziećmi. Maciek urodził się w 1982 roku, a Zośka w 1986. Potem miałam zrobić dyplom, ale nie udało mi się. Córka miała być taką motywacją, że tym razem ten dyplom zrobię, ale nie zdążyłam przed jej narodzinami.

Pamiętam, że w dniu mojej obrony Andrzej został z małą Zosią. Pierwszy raz dostała mleko z butelki. Spóźniłam się 15 minut na egzamin dyplomowy. Szłam z wielkimi planszami, bo na urbanistyce nosiło się takie wielkie plansze. Wpadłam na salę. Komisja już drugi raz weszła i wyszła. Ostatecznie obrona się odbyła, a potem musiałam gnać z powrotem, żeby nakarmić dziecko.

Julita Bodzińska

nauczyciel, bibliotekarz. Jako studentka działała w Sopockim Ośrodku Duszpasterstwa Akademickiego. W sierpniu '80 zakładała NSZZ „Solidarność" w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gdyni. 12-17 XI 1980 uczestniczka strajku okupacyjnego pracowników kultury w Urzędzie Wojewódzkim w Gdańsku. Pod koniec lat '80 rozpoczęła pracę jako nauczyciel. Obecnie kieruje Kołem Emerytów przy Zakładowej Komisji Pracowników Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność". Odznaczona Medalem Komisji Edukacji Narodowej (2001), Krzyżem Wolności i Solidarności (2016).

Jak wspominam wydarzenia grudniowe? Moja siostra pracowała w stoczni. Jak 16 grudnia Kociołek wezwał wszystkich do podjęcia pracy, poszła. Właśnie wysiadała rano z kolejki, kiedy rozległy się pierwsze strzały. Zobaczyła padających ludzi. Jakiś pracownik kolei szedł z bułkami do parowozu. Został trafiony i te bułki mu się rozsypały, a on padł na tory. Wszyscy pędzili w stronę Gdyni i Wzgórza Maksymiliana, wówczas Nowotki.

Moja siostra wcale nie jest jakąś sportsmenką. To bardzo spokojna dziewczyna, a pędem ze stoczni dobiegła do nas do domu. Jak wpadła do mieszkania zdyszana, trzęsąca się, zrozumieliśmy, że wydarzyło się coś bardzo złego. Z daleka słyszeliśmy strzały. Na ich dźwięk wyskoczyliśmy z łóżek i wiedzieliśmy, że dzieje coś się niedobrego.

Jak siostra wpadła przed siódmą, to przez pół godziny nie mogła wydobyć z siebie słowa, ponieważ była tak zdyszana i przestraszona. Dopiero gdy ją uspokoiliśmy, zaczęła mówić: o wojsku, milicji, zabitych stoczniowcach, rozsypanych bułkach i martwym pracowniku kolei.

Później postanowiliśmy odprowadzić siostrę do kolejki. Uważaliśmy, że jak już nią z Gdyni wyjedzie, będzie w miarę bezpieczna. Ja miałam u siebie dwójkę maleńkich dzieci, więc nie mogłam ich zostawić na dłużej. Zeszliśmy do ulicy Piłsudskiego, wtedy Czołgistów, a tam z autobusów wysiadali zomowcy w pełnym uzbrojeniu, więc wyglądali jak ufoludki. Pomyślałam, że jak pójdziemy prosto, to tam będzie ich jeszcze więcej i w pewnym momencie nas zatrzymają. Podeszłam więc do dowódcy, bo ten nie miał tarczy jak inni. Opowiedziałam mu całe zdarzenie związane z moją siostrą: że jest po bardzo ciężkim przeżyciu, musi się dostać do Sopotu. Poprosiłam, by mi powiedział, którędy bezpiecznie przejść. Powiedział, że mam przejść równoległą do Czołgistów,

bo tam jest przejście zabezpieczone. Nie wiedziałam, co to znaczy „zabezpieczone" – pomyślałam, że bezpieczne. Razem z siostrą i mężem poszliśmy tam.

Jednak z daleka widziałam, że zomowcy gonią pod górę za młodzieżą, która uciekała w stronę kościoła franciszkanów. Inni funkcjonariusze odcięli tym chłopakom drogę i tych, którzy nie dobiegli do kościoła, ściągali na dół. Na ul. Partyzantów widzieliśmy, że młodzież była już otoczona ciasnym kręgiem zomowców. I widziałam, jak ich tłuką po nogach.

W tym momencie nie wytrzymałam. Z racji tego, że jestem nauczycielką i matką, wpadłam w ten okrąg i wrzasnęłam:

– Kto tutaj dowodzi?

Jakiś facet odparł, że on. Wsiadłam na niego i zaczęłam wrzeszczeć: – Jak to, to pan bije polskie dzieci!?

Facet się zmieszał. Z odwagą to nie miało nic wspólnego. Ja to zrobiłam odruchowo, z empatii.

On w tym momencie rozkazał: – Ładować ich [do samochodów – red.], potem im dołożymy.

To były te dzieci, które potem w urzędzie miasta przeszły ścieżkę zdrowia, tj. zostały skatowane.

Byłam przeszczęśliwa, że w końcu udało nam się przetransportować siostrę do Sopotu. Ale mój mąż chłodno ocenił sytuację: – Chyba zwariowałaś! Przecież oni tak samo ciebie mogli załadować i wywieźć. I co by te twoje dzieci zrobiły?

Potem dowiadywaliśmy się o kolejnych ofiarach. Sami zaczęliśmy szukać informacji, kto został zabity, ile osób. Stoczniowcy, którzy brali udział w wydarzeniach '70 roku, akurat robili nam centralne ogrzewanie. Od nich mieliśmy informacje z pierwszej ręki, które oczywiście podawaliśmy dalej.

Potem nastała łyżka miodu w wiadrze dziegciu – tak określiłabym rządy Gierka. Uważałam, że nic z tego nie będzie. Tak go odbierałam. Jego ekipę miałam za kolosa na glinianych nogach – system był niewydolny, a te gliniane nogi były mocno zapieczone.

Mój ojciec, adwokat, był bardzo mądrym człowiekiem. W ,72 czy '73 został pozbawiony prawa wykonywania zawodu. Nigdy o tym nie mówił, ale wiem, że go to bardzo bolało. Zresztą, kogo by to nie ruszyło? Zginął na polowaniu w ,83 roku. Twierdził, że wreszcie musi nastąpić taki moment, w którym ta komuna się skończy.

On miał prorocze wizje. 16 grudnia 1970 roku wyszłam po zakupy na Świętojańską. Weszłam do sklepu warzywnego. Tam tragedia, ponieważ sprzedawczyni nie może liczyć pieniędzy. Puszczony podczas pacyfikowania zamieszek gaz wdarł się do wnętrza i szczypał w oczy do łez. Wybiegłam stamtąd i traf chciał, że dołączyłam do pochodu, który niósł zabitego Janka Wiśniewskiego [Zbyszka Godlewskiego – red.]. Czułam tę atmosferę, a w tym czasie ojciec dzwonił do męża i pytał: – Gdzie ona jest?

Te wybuchy, te strzały mam na taśmie, bo ojciec mieszkał na rogu Władysława IV i nagrał to razem z rozmową telefoniczną z mężem. Na zakupy zabrałam dwuletnią córeczkę. Jechałyśmy linią 128 i pokazywałam jej punkty

gdzie stoją żołnierze, czołgi, milicjanci. Pokazywałam jej, jak wygląda miasto podczas wojny.

Mam wspaniałego męża, który był przewodniczącym „Solidarności" w jednym z zakładów gdańskich. Władzę w firmie przejęła postkomuna i musiał się zwolnić.

Jako studentka byłam w duszpasterstwie akademickim SODA (Sopocki Ośrodek Duszpasterstwa Akademickiego). Myśmy wcześniej wiele rzeczy omawiali, przygotowywali. Przykładowo na 1000-lecie państwa polskiego (zresztą to rok, w którym wyszłam za mąż – z mężem wybraliśmy sobie ten rok na datę ślubu). Wyszliśmy z Rynku w Krakowie, doszliśmy do Jasnej Góry szlakiem Orlich Gniazd z różańcem, który wcześniej zrobiliśmy z bursztynu. Zanieśliśmy go na Jasną Górę jako dar od młodzieży państwa polskiego. Wisi tam do dziś.

Ja miałam kontakty z ojcem świętym o wiele wcześniej, zanim został papieżem, ponieważ myśmy jeździli na oazy do Krościenka. Przyjeżdżał tam również, jeszcze jako biskup, Karol Wojtyła. Przyjaźnił się z ojcem Blachnickim, który też był moim przyjacielem.

Tam się wychowywały wszystkie nasze dzieci; spędzaliśmy tam wakacje. Tam wydarzyło się mnóstwo ciekawych sytuacji z ks. Wojtyłą.

Kiedyś wychodził z kaplicy. Zobaczył mojego wówczas 2,5-letniego synka, wziął go na ręce i niósł aż do Kopiej Górki. Był taki bardzo przyjacielski, ciepły. Widać było, że lubił dzieci, bo i z moimi córkami często rozmawiał.

Dwa dni przed tym, jak Karol Wojtyła został papieżem, u mojego ojca byli znajomi, m.in. profesor z uczelni. Trwały dyskusje, kogo wybiorą.

– Ja wiem kto będzie: Wojtyła zostanie wybrany – powiedziałam.

– Co ty, zwariowałaś? To jest niemożliwe! – skwitował to ojciec.

Ja byłam przekonana, że Wojtyła, ale zostałam wyśmiana. Potem ojciec do mnie zadzwonił i z takim niedowierzaniem zapytał: – Skąd wiedziałaś?

Człowiek ma jakiś szósty zmysł. Zresztą towarzyszy mi on od najmłodszych lat.

Zawsze uwielbiałam wodę, morze. Uprawiałam żeglarstwo. Jako małe dziecko pluskałam się w wodzie, nie można mnie było z niej wyciągnąć. Pływanie na kajaku, na czymkolwiek, byle na wodzie – dla mnie to był po prostu miód. Nie wyobrażam sobie życia bez wody.

Wiedząc, że sprawi mi to ogromną frajdę, ojciec załatwił mi wycieczkę na Hel statkiem. Miałam wtedy pięć lat. Tego dnia stryj, brat taty, który studiował na politechnice chemię, zdawał egzamin. Wcześniej miał mnie odprowadzić na ten statek. Ale jak już wchodziliśmy, złapałam się łańcuchów i powiedziałam, że nie ma mowy. Wujek mnie wpychał, bo musiał zdążyć na egzamin, a ja się zaparłam, bo nie chciałam wsiąść. No i nie wsiadłam. Statek popłynął beze mnie. Utonął, a wraz z nim wszyscy pasażerowie i załoga.

Najpierw mój ojciec zadzwonił do domu. – Coś ty narobiła? Przez ciebie Tadeusz na egzamin się spóźnił, bo musiał cię do domu odprowadzić! – krzyczał. Awanturę mi przez telefon zrobił. Ale potem powiedział: – Moja kochana córeczko, skąd wiedziałaś?

Przyszły wakacje ’80 roku. Ja pracowałam w bibliotece miejskiej w Gdyni. W sierpniu wybuchł strajk. Z najbliższą koleżanką radziłyśmy się, co robić. W środę, 20 sierpnia, odbyło się zebranie całej biblioteki. Zabrałam głos i powiedziałam, że Gdańsk stoi, strajkują.

– Możemy dać im wsparcie. Co wy na to? – zapytałam na forum.

Wszyscy byli na tak. Kto miał jakiś pomysł, pisał postulat. Wszystkie miałam następnego dnia zawieźć do Gdańska. Lecz moja dyrektorka zniechęcała mnie do tego. Spytała, czy mam podpisy. Twierdziła, że wszyscy się wyprą i zostanę sama. Pomyślałam: „Faktycznie, różnie może być”.

Postanowiłam, że objadę wszystkie filie biblioteki miejskiej rowerem, choć wówczas nie siedziałam na nim od 15 lat. Dyrektorka powiedziała, że pojedzie ze mną pan z urzędu miasta.

I tak przejechałam: na Płytę Redłowską, z Płyty – do Orłowa, potem Mały Kack. Wszystkie te filie odwiedziłam. Ten człowiek z magistratu podążał za mną, też rowerem. Starałam się go wyprzedzić, żeby na spokojnie porozmawiać z ludźmi pracującymi w filiach, zachęcić ich do udzielenia poparcia strajkującym. Ale on nie odpuszczał. Tak objechaliśmy południową część Gdyni i potem ruszyliśmy na północ.

Tamtego dnia było bardzo nieprzyjemnie – niby ciepło, ale padał deszcz. Jak zjeżdżałam z góry, chciałam przyspieszyć i mu uciec. Jednak nie wzięłam pod uwagę kocich łbów i mokrej nawierzchni. No i w pewnym momencie zamiast na siodełku, jechałam na tyłku, a ubrałam nowe jeansy. Jedyną taką parę miałam. Przejechałam tak chyba ze 20 metrów. Zatrzymałam się na krawężniku, ale roweru nie wypuściłam *(śmiech)*. Z tym że uszkodziłam sobie nogę. Potem dowiedziałam się, że groziła mi martwica. Jednak wtedy, z tą opuchniętą nogą, dojechałam do celu, wypiłam herbatę. Natomiast mój kompan z wydziału oświaty „spuchł”.

Potem zaczęłam objeżdżać następne punkty biblioteczne: Grabówek, Chylonia, Demptowo. Gdy byłam na Cisowej, to już nie bardzo wiedziałam, co się wokół mnie dzieje. Noga mi dokuczała, a za mną jechał drugi pan, który zastąpił pierwszego.

Ale ten miał lepszą kondycję i specjalnie nie mogłam mu uciec. Plusem było to, że był neutralny, nie przeszkadzał mi, a ja tego nie nadużywałam. Oboje mieliśmy świadomość sytuacji. Ja podawałam listę i wszyscy się podpisywali. Na 120 osób pracujących podpisało się 98 proc. To było piękne. Popołudniu autostopem dojechałam do centrum. W stoczni załatwili dla mnie jakiś wózek. Blada jak trup rozmawiałam z Aliną Pieńkowską, której dałam te materiały, postulaty z podpisami.

Miałam zostać wewnątrz na strajku jako przedstawiciel naszego zakładu pracy, ale ze względu na stan nogi pojechałam na pogotowie. Tam, żeby się do niej dostać, musieli mi rozciąć spodnie. A potem przyjaciółka z Akademii Medycznej co drugi dzień spuszczała mi osocze. Za każdym razem z pół litra mi pobierała. To było okropne, ale zwolnienia nie wzięłam. Chodziłam do pracy, zaciskałam zęby i udawałam, że wszystko jest w porządku. Tak się zakończył etap strajkowy. We wrześniu byłam już przewodniczącą „Solidarności” w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gdyni.

Wkrótce Przemek Fenrych przysłał zawiadomienie, że robią ogólnopolskie spotkanie bibliotekarzy należących do „Solidarności". Przyjechało ok. 150 osób, w tym ja. Weszłam do zarządu tymczasowego tej organizacji. Wymyśliliśmy rozbudowaną nazwę: Ogólnopolska Międzybiblioteczna Komisja Porozumiewawcza Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność", w skrócie OMKP. Zaczął się kolejny etap: kontakty z rządem, postulaty, organizowanie różnych spotkań.

Chyba w grudniu '80 roku członkowie z Sopotu przysłali informację, że mają problemy ze stworzeniem „Solidarności". Odeszła od nich kobieta, która urodziła bliźniaki. Miałam zająć jej miejsce i spokojnie zorganizować struktury związkowe. Miałam w Gdyni bardzo dobre warunki, przyjaźnie nastawiony cały personel biblioteki, ale zdecydowałam, że jednak pójdę do Sopotu na tzw. ratunek. Otrzymałam etat wicedyrektora od prowadzenia biblioteki.

Wszystko było w porządku, póki „Solidarność" była poważana. Schody zaczęły się wraz z początkiem stanu wojennego. Dostałam wymówienie z terminem krótszym niż przepisowe trzy miesiące, ale to chyba nie było zwolnienie dyscyplinarne. Oznajmiłam, że nie przyjmuję.

– Nie może pani nie przyjąć – stwierdził dyrektor.

– Mogę, bo jestem w ciąży. I co pan zrobi?

Zostałam zdegradowana i przeszłam na stanowisko do filii, w której pracowały tylko dwie osoby – na Sikorskiego w Sopocie. Na górze tego budynku mieszkał generał Andrzejewski. Jego żona była u mnie codziennie. A ja miałam podziemną prasę, nielegalne wydawnictwa...

Gdy ogłoszono stan wojenny, byłam na rozmowach w Warszawie w Ministerstwie Kultury. Chodziło o emerytów i pieniądze dla nich. Co miesiąc spotykaliśmy się gdzieś w Polsce: Kraków, Katowice, Gdynia, Szczecin, Warszawa. Jeździliśmy tam za własne pieniądze. Oprócz nas, bibliotekarzy, takie negocjacje prowadziły też szkoły wyższe, teatry.

10 grudnia pojechałam do tej Warszawy. Myślałam, że przygotuję grunt i coś tam uszczknę. Ale urzędnicy oznajmili, że nie będą rozmawiać, bo już Pawlicki i Milewski podpisali porozumienie w naszym imieniu. Wiedziałam, że kpią w żywe oczy. Choć pokazałam pismo Wałęsy, że oni nie mogli za nas podpisać, miałam świadomość, że nic nie wskóram. Mimo to twardo negocjowałam. Moi na mnie naciskali, żebym nieco złagodziła stanowisko. Na pożegnanie jeden z przedstawicieli ministerstwa stwierdził, że chciałby mieć taką osobę po swojej stronie.

Do domu wracaliśmy przez Poznań. Tam spotkaliśmy się z panią Gabertową, która pracowała w Bibliotece Raczyńskich i na uczelni. Do Gdyni dotarłam w nocy z 12 na 13 grudnia.

– Mamo, nie ma „Teleranka" – stwierdził rano mój syn Michał.

Tak rozpoczął się stan wojenny. Już 17-go pod moim domem stanął kolega szkolny.

– Julita, przyjmiesz mnie? Zwiałem z CETO.

Wpuściłam go i został na wiele lat. Znikał na całe noce i wracał z czarnymi łapami, co oznaczało, że drukuje. Źle się to dla niego skończyło, bo emeryturę miał najniższą z możliwych, a był zdolnym inżynierem.

Jak wybuchł stan wojenny, na Zieleniaku [wieżowiec w Gdańsku – red.] wywiesił z kolegami wielką flagę z kirem. Wisiało to pięć dni. Okazało, że oni walczyli z zomowcami – piętro po piętrze, do samej góry. Jak już nie mieli dokąd uciec, zeszli jakimś bocznym zejściem. Tak właśnie znalazł się u mnie.

On nie wiedział o mojej podziemnej działalności, a ja mu dawałam materiały do druku. Kiedyś powiedział, że muszę być czysta, by on mógł być u mnie bezpieczny. A ja mu powiedziałam to samo, tyle że na odwrót.

W stanie wojennym dostałam medal, na którym jest rozdarte serce, napis Polska i „Solidarność". Takie krwawiące serce „Solidarności". Przyszedł chłopczyk i powiedział: – Kazali mi to pani wręczyć.

Taki sam znalazłam na Jasnej Górze w darach ks. Henryka Jankowskiego. Do tej pory nie wiem, kto mi to przyznał i dlaczego.

W tym miejscu muszę pochwalić mojego męża. Był cudowny, bardzo mi pomagał we wszystkim. Jak wyjeżdżałam, on się zajmował dziećmi. Bez jego wsparcia, nie zrobiłabym połowy rzeczy.

Podczas pierwszego po ogłoszeniu stanu wojennego spotkania OMKP podjęliśmy decyzję o wydawaniu gazety, którą zatytułowaliśmy „OKNO" (Oświata, Kultura, Nauka, Opór). Z założenia to był miesięcznik, ale kolejne numery ukazywały się przy okazji naszych zebrań, czyli co cztery-sześć tygodni. Spotykaliśmy się w siedem osób. To byli przedstawiciele: Gdyni, Krakowa, Katowic, Szczecina, Warszawy. Każdy przywoził materiały, które się składało w numer i drukowało. Potem każdy brał po egzemplarzu i powielał u siebie. Ja brałam więcej, ok. 100, ponieważ miałam mniejsze możliwości druku. Rozprowadzałam to pismo po bibliotekach.

Potem przyszła śmierć Staszka Kowalskiego. Wspaniały człowiek, pracownik politechniki, działacz WZZ. Był też w Solidarności Walczącej. Bardzo ciekawa postać. Sam sobie napisał i wygłosił mowę końcową w sądzie. Podejrzewam, że jego śmierć [styczeń 1987 r. – red.] miała związek z pobiciem. Dostał wylewu, ale już po uwolnieniu.

Przygotowano cichy pogrzeb, bez rozgłosu. Organizowałam stypę u niego we Wrzeszczu. Urszula, żona Staszka, dała mi wolną rękę.

Musiałam jeszcze ich mieszkania pilnować. Wiedziałam, że w piwnicy mają cały nakład prasy i materiałów podziemnych, których nie zdążyli rozprowadzić. Pichcąc dania na stypę, zapalałam światła w kolejnych pomieszczeniach, żeby było wiadomo, że ktoś jest w domu. Esbecy byli na zewnątrz. Co rusz zmieniali pozycję. Widziałam ich. Chodzili po klatce, chyba celowo tupali, żebym ich słyszała. W końcu poszli, a ja odetchnęłam. Źle zrobiłam, że sama przyjechałam. Mogłam wziąć kogoś do towarzystwa, byłoby raźniej. A tak czułam niebezpieczeństwo.

Mój antykomunizm nie wziął się z niczego. W mojej rodzinie tradycje patriotyczne zawsze były żywe. Maż mojej mamy chrzestnej podczas II wojny światowej należał do organizacji Orzeł Biały. Był pierwszym oficerem i pływał

na Batorym. Wszystkie zarobione pieniądze przekazywał emigrantom, którzy wyjechali do Anglii. Stworzył taki fundusz dla ludzi, którzy nie zdecydowali się na powrót po wojnie. Dzięki temu sporo osób nie zginęło…

W 1983 roku złożyłam podanie o paszport. Odmówili. Złożyłam drugi raz. Znów odmówili, więc mój ojciec, prawnik, wytoczył proces Urbanowi i Rakowskiemu. Później jakimś dziwnym trafem zginął na polowaniu. Po jakimś czasie dotarło do mnie, że skoro zadarł z władzą komunistyczną, musiał zginąć. Do procesu nie doszło, bo on już nie żył. Z Urbanem toczył wojnę o wszystko, w tym o nieprawdziwe informacje i wygłaszane przez niego kłamstwa. Pisał pracę doktorską z międzynarodowego prawa prasowego. Był także dziennikarzem, gdyż oprócz prawa skończył dziennikarstwo.

Po śmierci ojca kolejnym przykrym doświadczeniem był mord na ks. Popiełuszce. Bardzo go ceniłam. Jak miał gdzieś mszę, starałam się w niej uczestniczyć. Jego porwanie i śmierć były dla mnie wielkim szokiem. Moja ciocia, bratowa mojego ojca, brała udział w ostatniej odprawianej przez niego mszy w kościele Świętych Polskich Braci Męczenników w Bydgoszczy. Jego zabójstwo jeszcze nie było nagłośnione, bo telewizja przekazała informacje o tym dopiero po kilku dniach, ja już o nim wiedziałam od cioci. Ona widziała samochód, do którego go uprowadzili.

Byłam w Górsku, żeby zobaczyć to miejsce porwania. Żeby sobie uzmysłowić, co przeżywał w tamtych chwilach. Byłam zszokowana, gdy się dowiedziałam, że niedaleko Górska działał ośrodek KGB. Rozmawiałam z napotkanymi tam ludźmi, bo oni zazwyczaj dużo wiedzą. Ksiądz tej parafii też mówił, że Popiełuszkę porwali do tej jednostki KGB. Tam go torturowali. Skoro odcięli mu język, to znaczy, że nie był w rękach polskich służb.

Były też radosne momenty, np. wizyta ojca świętego w 1987 r. Działałam we wspólnocie rodzin. Cieszyliśmy się, że stoczniowcy zorganizowali dźwig, na którym zamocowano krzyż. Pięknie to wyglądało. Kazanie Jana Pawła II na skwerze Kościuszki było czymś, na co czekaliśmy. Była to zachęta do podjęcia jeszcze jednej próby walki o wolność. Znów pojawiła się nadzieja, lecz nikt nie przewidywał, że już za dwa lata ten system się rozleci.

Tamtą pielgrzymkę kojarzę również z pojawieniem się wielu nowych młodych ludzi oddanych „Solidarności". Nie zapomnę też spontanicznych dekoracji instalowanych przez mieszkańców w całym Trójmieście. Choć przez kilka godzin atmosfera była pełna wolności. Słowo solidarność znów realizowało się w praktyce.

Po urodzeniu córki, mojego czwartego dziecka, postanowiłam, że już nigdy do biblioteki nie wrócę. Kolejną pracę podjęłam w 1988 roku. Dzięki temu miałam dużo czasu na działalność w podziemiu. Najpierw pracowałam w Szkole Podstawowej nr 20 na Karwinach, a potem trafiłam do Medyka na Żeromskiego.

Tam nowe koleżanki zapytały mnie o moją przynależność. Powiedziałam, że jestem tylko członkiem „Solidarności". Bałam się, że nie wywoła to wśród nich entuzjazmu. Jednak one ucieszyły się z kolejnej w zespole osoby, która identyfikowała się ze związkiem. Tak zaczęła się moja przygoda z oświatą. Byłam przewodniczącą szkolnej „Solidarności" aż do emerytury. Mimo tego,

że Jaruzelski zdelegalizował związek, działaliśmy nadal. Wielu nauczycieli z tej szkoły cały czas, nieprzerwanie, odprowadzało składki związkowe. Bardzo mi się to spodobało.

Mimo zakazu działalności byłam przekonana, że „Solidarność" wróci. Z tym że nie bardzo wiedziałam jak szybko. Wtedy – o dziwo – ucieszyłam na ten okrągły stół. Później byłam nawet w sztabie wyborczym Wałęsy. Ale przekonałam się, jaki on jest…

Gdybym miała przeżyć to jeszcze raz, postąpiłabym tak samo. Może nawet bardziej bym się zaangażowała, żeby uniknąć polityki grubej kreski. Nie należało wtedy dogadywać się z komunistami, tylko poczekać, aż sami upadną. Przez grubą krechę mamy np. ludzi, którzy Żołnierzy Wyklętych nazywają bandytami. Okrągły stół wydłużył panowanie uwłaszczonych komunistów.

Irena Chmielecka

przez lata prowadziła wynajem pokoi dla turystów w Orłowie. Wspierała córkę Małgorzatę Chmielecką-Gumoś w organizowaniu zlotów byłych więźniarek stanu wojennego.

Praktycznie już od początku 1980 roku czuło się w powietrzu napięcie. Ale to było takie pozytywne napięcie. Zawsze byłam optymistką, więc w głowie układałam sobie pozytywny scenariusz. Również moja niemalże 80-letnia wówczas mama, z reguły sceptyczna i nadzwyczaj ostrożna, była spokojna i bardzo pogodnie nastawiona. Natomiast moja córka uczestniczyła regularnie w działaniach Ruchu Młodej Polski i tryskała optymizmem, który nam się coraz bardziej udzielał. Nam, czyli: mojej mamie, mnie, a najbardziej memu synowi Wojtkowi, wówczas uczniowi Liceum Morskiego w Gdyni.

Po wizycie ojca świętego w 1979 roku w wielu środowiskach czuło się nadchodzącą zmianę. Papież dał nam nadzieję. To spowodowało, że Polacy zaczęli podnosić głowy. W samym Trójmieście działało wiele organizacji opozycyjnych. Budziła się świadomość i potrzeba wolności.

Tak było w całym kraju, nie tylko w Trójmieście. Docierały bowiem do mnie informacje z Lublina. Ale przede wszystkim miałam takie wieści z Łodzi, gdzie mieszkała rodzina męża, i Olsztyna, gdzie osiadła moja wileńska rodzina po tzw. repatriacji, która de facto była ucieczką z naszej ojczyzny zajętej przez Sowietów.

Jak zaczęły się strajki, najpierw na Lubelszczyźnie, a potem u nas, na Wybrzeżu, nie bałam się, że to będzie powtórka z grudnia1970. Zajęta prowadzeniem domu, wynajmem pokoi z trudem znajdowałam czas na słuchanie Wolnej Europy, ale wszelkie polityczne nowinki bardzo mnie interesowały. Natomiast mama całymi nocami słuchała RWE i zdawała mi obszerne relacje, które okraszała swoimi komentarzami. Poza tym rozmawiałam z córką. One były moimi informatorkami.

Z nadejścia 14 sierpnia i fali strajków robiłam sobie niesamowite nadzieje, choć tyrałam strasznie, żeby utrzymać dom i dzieci. Mama mnie strofowała, żebym tyle nie „gaduliła" z sąsiadami, bo sporo jest wilków w owczej skórze. Ona zawsze była powściągliwa, a ja – może zbyt otwarta.

Jeżeli chodzi o sąsiadów w Orłowie, tylko z nielicznymi można było porozmawiać na polityczne tematy. Większość się bała lub po prostu tym nie inte-

resowała, gdyż dobrze im się wiodło materialnie. Nimi całkowicie zawładnęła „mała stabilizacja", czyli: praca, mały fiat, książeczka mieszkaniowa i podobne przyjemności serwowane przez ówczesną władzę ludową. Nie oceniam ich, po prostu tacy sąsiedzi wokół nas zamieszkiwali. Ludzie zamożni albo ormowcy, różnej maści dziwni działacze. My wiedzieliśmy, iż takich trzeba szerokim łukiem omijać.

Strajki obieraliśmy jako zwiastun czegoś większego – daleko idących zmian. Poza tym córka miała dojście do różnych wydawnictw i ciekawych ludzi. Oni zapewniali nas, że teraz nie powtórzy się masakra z 1970, że wespół w zespół damy radę. Oczywiście chodziliśmy pod stocznie – gdyńską i gdańską. Z wiktuałów niewiele mogliśmy zanieść, bo żyło nam się skromnie, ale chleb, trochę masła i jakieś puszki zawsze się znalazły. Do tego, oczywiście, mleko czy jakieś napoje, np. orłowska oranżada. Strajkujących wspieraliśmy przede wszystkim, dzieląc się z nimi żywością. Poza tym modliliśmy się i często uczestniczyliśmy w eucharystii w ich intencji.

Moja rodzina, czyli mama, syn i córka, na strajki reagowała entuzjastycznie. Inny gdynianie przyjmowali to różnie – czasem z obawą lub niedowierzaniem, że cokolwiek się zmieni. A czasem tak jak my, albo jeszcze bardziej pozytywnie.

Mama snuła nadzieje, że doczeka upadku komuny. Nie doczekała, bo zmarła w 1986 roku. Serce nie wytrzymało, prawdopodobnie z tęsknoty za swoją ukochaną wnuczką. Małgosia musiała wyjechać do Niemiec, aby się leczyć. Listy rzadko przychodziły, a mama stała w oknie z różańcem, wyczekiwała...

Ze strony mego zmarłego męża strajkowało kilka osób zatrudnionych w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego w Łodzi. A w Olsztynie, z mojej strony, strajkowali w Olsztyńskich Zakładach Graficznych. Od nich też miałam informacje. Bardzo to mnie cieszyło, że nie tylko Gdynia czy Gdańsk, ale cały kraj się buntuje przeciw uciskowi. To było bardzo budujące.

Strajki sierpniowe są bardzo ważne w moim życiu. Wywarły na mnie ogromny wpływ. Ich rozmach i siła oraz determinacja strajkujących przywróciły mnie do prawdziwego życia. To protesty spowodowały, że wyszłam z wieloletniego marazmu. Dzięki nim przestałam odczuwać beznadzieję, która ogarnęła mnie po stłumieniu protestów w 1970 roku.

Ja w tym czasie nie strajkowałam, bo zajmowałam się wynajmem pokoi. Robiłam to oficjalnie, poprzez Biuro Zakwaterowań. Mąż zmarł nagle w latach 70. bez żadnych oszczędności. Gdy żył, nie życzył sobie, abym pracowała, choć z moim wykształceniem znalazłabym zatrudnienie. Nie miałam też emerytury ani renty po nim, bo byłam za młoda. Na szczęście dzieci ją otrzymywały.

Na co dzień zajmowałam się więc domem i swoimi pociechami, np. szykowaniem ich do szkoły. W tym aspekcie bardziej wymagający był syn, troszkę młodszy od córki. Taki romantyk i marzyciel, który rozmyślał o morskich podróżach. Często zapominał kanapek do szkoły i gnałam za nim na przystanek.

Natomiast córka radziła sobie sama. Poszła o rok wcześniej do szkoły i może aż za bardzo czuła się samodzielna i odpowiedzialna za innych. Jednak miało to swoje dobre strony. Dzięki temu lepiej funkcjonował dom. W tamtych czasach zaopatrzenie wyglądało fatalnie. Wyznaczałam więc dzieciom, a także sobie, dyżury w kolejkach. Syn nie opanował umiejętności stania w ogonkach, gdyż zawsze kogoś przepuszczał, ulegając argumentom, że komuś się spieszy lub ten ktoś jest w ogromnej potrzebie. Córka za różnymi produktami jeździła „trajtkami" po całej Gdyni. Zdobywała nawet cytryny.

Były spore trudności w zakupie ubrań oraz rzeczy potrzebnych do szkoły. Pamiętam, jak w latach 70. córka potrzebowała fartuszka z marynarskim kołnierzem, gdyż chodziła do III Liceum Ogólnokształcącego im. Marynarki Wojennej RP (wówczas PRL). Pierwszy mundurek miała z bistoru, co w dosyć elitarnej szkole zostało odebrane jako dziadowskie, więc szybko musiałam zdobyć dla niej coś bardziej współczesnego i modnego.

Jej szkoła była bardzo snobistyczna. Teoretycznie obowiązywały w niej mundurki. Lecz w rzeczywistości panował dyktat ówczesnej PRL-owskiej mody, czyli buty firmy Salamander z NRD i trofea przywożone przez ojców – marynarzy lub dyplomatów.

Studia okazały się dla Małgosi wybawieniem, bo na nich nie musiała rywalizować w ten sposób. Rzeczy potrzebne do szkoły kupowała zawsze w ulubionej księgarni w Sopocie. Dla siebie i dla brata nabywała co jakiś czas torby szkolne lokalnej firmy Sopotplast. Sama robiła te zakupy.

Byłam pełna podziwu i uznania dla kobiet, które godziły obowiązki matek i żon w czasie strajków z pracą zawodową. Ja wcześnie zostałam wdową. Mąż zmarł, gdy córka była w pierwszej klasie liceum, a syn w szóstej klasie podstawówki. Żyłam ich życiem, bo tak się złożyło.

Za sprawą córki poznałam inne kobiety zaangażowane w „Solidarność". Przychodziły często do Małgosi. Na przykład Wiesia Kwiatkowska, o rok starsza ode mnie, miała spory wpływ na dobór lektur córki. Bardzo często bywała u nas wraz z Janką Górnik. Niektóre z tych dziewczyn stały się również moimi koleżankami; niektóre traktowałam jak córki.

Wiesia nie żyje, ale inne dziewczyny się trzymają i czasem mnie odwiedzają, bo u nas to jest nadal taki dom otwarty. W 2017 roku pomieszkiwała u nas bardzo schorowana pani Marylka z Chyloni, koleżanka córki z więzienia, która potrzebowała lokum na czas remontu mieszkania. Niestety, zmarła kilka dni po odejściu Jana Olszewskiego.

Powstanie NSZZ „Solidarność" oceniałam niezwykle pozytywnie. Nic lepszego nie mogło nam się wówczas przydarzyć. Rejestracja związku miała przełożenie na życie zwykłych ludzi, atmosferę wówczas panującą. Odczuwałam większą życzliwość na co dzień, np. na ulicy, w trolejbusie. Te zmiany w postawie społeczeństwa były widoczne już po wyborze Karola Wojtyły na papieża. Natomiast „Solidarność" je nasiliła.

Z zazdrością obserwowałam zaangażowanie znajomych w działalność związkową. Zarówno przed 1980 rokiem, jak i później. To byli ludzie świadomi niebezpieczeństwa wynikającego z konspiracji, przygotowani na represje. Nie tkwiłam w tym bezpośrednio, bo mąż sprzeciwiał się podjęciu przeze mnie pra-

cy zawodowej, choć nigdy nie zapewnił nam należytego utrzymania. Bez pomocy moich rodziców żylibyśmy w biedzie. Czasem żałowałam, że nie sprzeciwiłam się mężowi i wcześniej nie podjęłam pracy zawodowej, gdyż wówczas mogłabym włączyć się w struktury związkowe.

Moje ambicje po części zrealizowali córka z synem. Ich działalność antykomunistyczną zawsze oceniałam pozytywnie. Brzmi to może patetycznie, pretensjonalnie albo nawet nieodpowiedzialnie. Czy nie martwiłam się o nich, nie odczuwałam matczynego niepokoju o ich los?

Powiem tak. Moja rodzina nigdy nie stała obojętnie wobec wszelkich przemian. Na Wileńszczyźnie wujkowie służyli u Łupaszki, czyli majora Szendzielarza, a rodzice z nimi współpracowali. Tata ukrywał sąsiadów Żydów. Nikt z rodziny nie dał się zastraszyć hitlerowcom czy stalinowcom. Podobnie było w rodzinie męża. Widocznie dzieci czuły, że muszą pójść tą drogą. Mój sprzeciw nic by dał. Zarówno syn, jak i córka są bardzo uparci i trudno odwieść ich od powziętych planów.

W okresie legalnego istnienia „Solidarności" wszyscy żyliśmy jak w transie, oddychając innym powietrzem. Ten nastrój nieco mąciła mama, która mówiła z charakterystycznym wileńskim zaśpiewem: – Irena, toż to taki karnawał teraz. A ja czuję co złego w powietrzu. Jest bal, będzie po balu. Jak to powiadają: koniec balu, panno Lalu.

O dziwo, czas od powstania związku do wprowadzenia stanu wojennego określa się jako Karnawał Solidarności, czyli euforyczny i przejściowy stan przed wojną rozpętaną przez Jaruzelskiego.

Z tego okresu utkwił mi optymizm mojej córki, która jako wolontariuszka pracowała przy I zjeździe „Solidarności" w hali Olivia. Opowiadała o spotkanych tam osobistościach, o pracy tłumaczki (chodziła do liceum z wykładowym językiem angielskim).

Dla mnie była 13 grudnia był szokiem. Dla mojej mamy nie był szokiem. Ona, powiem kolokwialnie, wykrakała ten stan wojenny, gdyż jak złowróżebną mantrę powtarzała „koniec balu, panno Lalu". Nie przypuszczałam, że zabiorą mi dzieci. Nie przypuszczałyśmy z mamą, że ludzie „Jaruzela" będą polować na tak młode osoby.

Po aresztowaniu dzieci nie mogłam osobiście zaangażować się w konspirację, gdyż nasz dom był spalony jako miejsce spotkań. Często pojawiali się u nas funkcjonariusz bezpieki, żeby nam podokuczać. Na różne sposoby.

O wielu działaniach podziemia wiedziałam od znajomych córki, którzy wtedy nam pomagali. Wsparcie otrzymywałam również od grup związanych z kościołami, np. od duszpasterstwa ludzi pracy przy redemptorystach. Stamtąd dostawałam czasem paczki żywnościowe dla dzieci.

Dobrzy ludzie skontaktowali się ze mną po paru miesiącach od aresztowania córki i ukrywania się syna. Ale spotykały mnie także szykany – i to z każdej możliwej strony: państwowej, szkolnej, uczelnianej, zawodowej. Nachodzenie przez SB stało się chlebem powszednim.

Przyszło pismo informujące o skreśleniu córki z listy studentów. Zostałam upokarzająco potraktowana w rektoracie, gdzie próbowałam wyjaśnić spra-

wę zatrzymania córki. Na szczęście to wydarzenie było incydentalne, gdyż potem spotkało mnie wiele dobra od pracowników Uniwersytetu Gdańskiego, którzy murem wstawili się za córką.

Natomiast z synem było o wiele gorzej. Wojtek chodził do zmilitaryzowanej szkoły, do Liceum Morskiego w Gdyni.

– Gratuluję, że wychowała pani syna na bandytę – powiedział mi jego dyrektor. Tam panowała ogromna pogarda i wrogość.

Krótko przez stanem wojennym, zatajając dokumenty o wykształceniu i dostarczając jedynie świadectwo maturalne, zatrudniłam się jako dozorca w szkole naprzeciwko naszego domu. Renta po mężu i dochody z wynajmu pokoi okazały się niewystarczające. W szkole miałam spore nieprzyjemności, gdy dyrekcja dowiedziała się o aresztowaniu córki i ukrywaniu syna. Byłam obiektem wielu niewybrednych docinków w stylu „jaka biedna wdowa, co nie umiała wychować dzieci". Ostrzegano mnie, żebym nie przynosiła ani próbowała ukrywać „żadnych dziwnych rzeczy".

Na udział córki w działaniach opozycji demokratycznej reagowałam bez niepokoju. Uważałam, ze robi słusznie. Była pełnoletnia, a poza tym nikt nie zdołałby jej zniechęcić. Nawet ja, bo na jej miejscu postępowałabym tak samo.

Syn już jako 16-latek wymykał się za córką do Gdańska na spotkania Ruchu Młodej Polski. Tuż po ogłoszeniu stanu wojennego przyprowadził kilku kolegów i zaczęli razem coś planować. Miał zdolności plastyczne i zmajstrował linoryt z karykaturą Jaruzelskiego. Potem to powielali i rozdawali. Za to też go poszukiwali.

Aresztowanie córki przeżywałam dosyć ciężko. Przyjechali po nią 14 grudnia we dwóch, ale jej nie było. Powiedzieli, że chcieli z nią tylko życzliwie porozmawiać, zapytać o to i owo, ostrzec. Stwierdzili, że jeśli nie będzie fikać, tylko grzecznie zakuwać, nic jej się nie stanie.

Za drugim razem przyjechało aż trzech, w tym jeden, którego długo wspominałam. Wyjątkowo antypatyczny człowiek w czarnym wyleniałym futrze i kapeluszu. Wypisz, wymaluj typ funkcjonariuszy, którzy ściągali mnie na przesłuchania w 1953 roku w Olsztynie, gdy byłam uczennicą Liceum Handlowego. Nie dawali mi spokoju, gdyż ponoć chichotałam na podniosłych uroczystościach i nie stawiałam się na pochody pierwszomajowe.

Zabrali Małgosię, gdy przyszła do domu. Myślała, że będzie tu bezpieczna. Stało się inaczej. W domu skuli ją w kajdanki. To było bardzo smutne.

Dekowanie się syna przeżywałam mniej niż więzienie córki, gdyż wiedziałam, że jest w dobrym towarzystwie. Określiłabym je nawet doborowym – ludzi zacnych, od których może się sporo nauczyć. A ona tam siedziała z kryminalistkami. Pierwsze widzenie miała dopiero po kilku miesiącach.

Bardziej niż ukrywanie trapiła mnie przerwana edukacja syna. To był problem, który potem uprzykrzał mu życie. Po wyrzuceniu z Liceum Morskiego mógł kształcić się tylko w placówce niepublicznej. Musiałby więc wyjechać, np. do prywatnego liceum do Krakowa. Nie było nas na to stać. Pozostawała tylko szkoła zaoczna, ale jej ukończenie wcale nie przybliżało perspektywy do-

stania się na wymarzone przez niego studia, czyli do Wyższej Szkoły Morskiej. Na studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim znowu nie było nas stać.

To jego ukrywanie się trwało długo, aż w końcu jeden z adwokatów doradził, żeby się ujawnił, bo jest nieletni i nic mu nie zrobią. Gdy poszedł na milicję z mecenasem, od razu skuli go w kajdanki i na miesiąc osadzili w areszcie przy ul. Kurkowej w Gdańsku. Pożałowałam wówczas, że posłuchałam rady prawnika. W więzieniu 17-letni syn przebywał z kryminalistami i homoseksualistami. Dużo wycierpiał...

Wielką radość sprawiła mi wizyta papieża w Gdyni w czerwcu 1987 roku. Tę pielgrzymkę wspominam jako zwiastun wolności, dodanie otuchy.

Wychodzę z założenia, że w życiu doświadczamy naprzemiennie strapienia i pocieszenia – raz na wozie, raz pod wozem. Nie może być cały czas dobrze. Najpierw było strapienie – stan wojenny, który zabierając dzieci, pozbawił nadziei. A potem przyszło pocieszenie, bo przyjechał ojciec święty, a mój syn został zaangażowany do służby porządkowej. Wówczas studiował polonistykę.

– Jako pierwszą pozdrawiam Gdynię –powiedział Jan Paweł II na przywitanie.

Ale dla mnie najważniejsze było to, co powiedział o „Solidarności": – Bo co to znaczy solidarność? Solidarność to znaczy sposób bytowania wielości ludzkiej, np. narodu, w jedności, w uszanowaniu wszystkich różnic, wszystkich odmienności.

Już wiedziałam, że mogę pisać do córki, aby niebawem szykowała się do powrotu z Niemiec. Wyjechała tam po wyjściu z więzienia, z powodu ciężkiej choroby, a także nękania przez esbeków. Napisałam jej, że czas wracać, bo już odmienia się oblicze tej naszej gdyńskiej i polskiej ziemi.

Czy baliśmy się, że za to wszystko mogą nas wywieźć na „białe niedźwiedzie"? Moja mama używała takiego sformułowania, bo pamiętała czasy sowieckiej agresji i wywózki na Syberię. Dziś, z perspektywy czasu i w rozmowach z córką czy jej znajomymi, zastanawiam się, czy choć przez chwilę baliśmy się komuny i takiego scenariusza. Myślę, że w niewielkim stopniu. Dlatego te represje z okresu stanu wojennego tak mnie zszokowały. Nie spodziewałam się tego, że będą karać dzieci za redagowanie ulotek czy ich roznoszenie. Myślałam, że „Solidarność" zmieniła w najwyższych kręgach władzy ten stalinowski tryb myślenia. Może to była naiwność?

Gdybyśmy dziś stanęli przed podobnym wyzwaniem, na pewno też byśmy się zaangażowali. To znaczy – mówię za siebie, córkę i syna. Ale wszystko odbywałoby się mądrzej, roztropniej, gdyż jesteśmy bogatsi o sporo doświadczeń.

Z tego czasu mam wiele wspomnień. Przeżyłam zdarzenia niecodzienne, które załamały nasz codzienny rytm. Mam tu na myśli więzienie córki oraz ukrywanie się syna, które też zakończyło się odsiadką.

Jednak w tym smutku warto odnaleźć coś pozytywnego. Gdy przychodziło SB, a było to w czasie pobytu dzieci w więzieniu, drzwi otwierała mama – wówczas 81-letnia – zawsze z dużym różańcem w dłoniach. Ona niemalże nieustannie się modliła. Lecz potrafiła nagle przerwać dziesiątkę, utyskując na na-

sze koty lub psy, które coś napsociły. Robiła to także, gdy zjawiali się nieproszeni goście. Na widok mojej mamy zawsze stawali się dziwnie zmieszani, wręcz onieśmieleni. Ona wcale się ich nie bała i zawsze im nawymyślała.

– Po co tu przyjeżdżacie, paskudnicy? Czemu zabraliście mi wnuki, ladace? Idźcie ścigać zbójów i złodziei, takich prawdziwych przestępców, a nie się lenicie. Nicponie jesteście! – jak dziś pamiętam jej łajanie.

Oni często mówili: – Pani starsza, pani się uspokoi, bo...

A wtedy ona jeszcze bardziej się nakręcała. Gdy ją pytałam, po co to robi, powiedziała, że musi, żeby nie myśleli, że się ich boimy. Bo najgorsze, to dać się zastraszyć.

Inne niemiłe wspomnienie to konsekwencje pewnej miłej wizyty. To zdarzyło się, gdy po wyjściu z więzienia córka przebywała już w Niemczech na leczeniu. Pewnego dnia przyjechała grupa niemieckiej młodzieży. Ich busik stał przed domem. Przywieźli dla mnie i dla mamy paczkę żywnościową. Poczęstowałam ich herbatą i słonymi paluszkami.

Gdy tak siedzieliśmy i rozmawialiśmy, opowiadali, że córa była na spotkaniu ich zrzeszenia i mówiła coś o Polsce. Nagle dzwonek. Myślałam, że to znowu funkcjonariusze. A skądże!

To antypatyczna pani, znana z antysolidarnościowych poglądów. Mieszkała na naszej ulicy. Często w kolejce wygłaszała pod moim adresem kąśliwe komentarze. Tym razem uśmiechnęła się i wyjaśniła cel wizyty:

– Zauważyłam samochód z niemiecką rejestracją, bardzo ładny busik. Akurat nam by się zdał do przewiezienia pralki. Niedaleko, droga sąsiadko, z Oksywia do Orłowa.

Mnie wbiło w ziemię. Mama coś jej tam powiedziała do słuchu, że nie uchodzi, bo to goście, nie znamy ich i zaraz odjeżdżają.

– Oj, to pożałujecie! Nie odmawia się sąsiadom – rzuciła tylko kobieta na odchodnym.

Nie musieliśmy długo czekać na spełnienie jej gróźb. Za kilka dni przyszło wezwanie do Urzędu Skarbowego w Gdyni. Przesłuchiwały mnie dwie panie. Powód? Nielegalny, bo niezgłoszony do Biura Zakwaterowań, wynajem dla cudzoziemców. Do tego nielegalne spotkanie. Niedobrze.

W pewnym momencie jedna z tych pań dostała jakieś nagłe wezwanie i wyszła. Musiałam napisać wyjaśnienie. Napisałam na miejscu, dałam kobiecie, a ona mi zwróciła tę kartkę. – Podrze pani tę kartkę i schowa do torebki – powiedziała cicho. Dała nową i podyktowała cichutko, co mam pisać. – Będzie dobrze – zapewniła mnie.

Ostatecznie nic się nie stało, nie ponieśliśmy żadnych konsekwencji. Zatem w różnych miejscach można było spotkać złych i dobrych ludzi.

O czym warto jeszcze wspomnieć z tamtych lat? O poczuciu wielkiej wspólnoty między ludźmi. Mam na myśli tych, którzy angażowali się w „Solidarność". Oni się nie bali, a jak trochę się bali, starali się coś od siebie dać, coś malutkiego zrobić.

Niezwykła była także atmosfera tzw. mszy za ojczyznę, na które jeździłam do Gdyni i Gdańska. – Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie – śpiewaliśmy np. w kościele pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Wtedy nasza Gdynia wydawała się taka solidarna. Zdawało się, ze po 1989 roku będzie „miastem z morza i marzeń".

Jednak dzieje się inaczej, bo deweloperzy kpią sobie z naszych marzeń, a władza samorządowa w ramach tzw. specustaw przekwalifikowuje prywatne działki na drugorzędnej potrzeby drogi dojazdowe do luksusowych osiedli. Tak było w naszym przypadku.

Tamte lata były dla mnie bardzo ważne. Nie zgodziłabym się, gdyby ktoś mi zarzucił, że żyłam tylko życiem swoich dzieci albo nie skończyłam wymarzonych studiów, tylko takie przypadkowe. Miałam przyjemność i satysfakcję ze wspierania ich. Chyba takie było moje przeznaczenie. Starałam się pomagać, razem z nimi organizować w kręgach opozycyjnych różne spotkania.

Gdy po wyjściu z więzienia córka wraz z Izą organizowały zjazd więźniarek w Gdańsku, szykowałam nasze mieszkanie dla dziewczyn, które zjechały tłumnie z całej Polski. Takie skromne działania, w sumie nie ma czym się chwalić. Jednak właśnie takie drobne inicjatywy, które w PRL-u ludzie podejmowali w skali masowej, stanowiły krople, które wydrążyły skałę.

Teraz kibicuję działaniom rządu, który w swojej polityce nie pomija seniorów. Niewiele czasu mi zostało. Proszę, zaklinam o niego „Górę", aby jeszcze trochę pobyć tutaj – w naszej Gdyni.

Małgorzata Chmielecka-Gumoś

w latach '80 studentka, represjonowana za działalność opozycyjną, więziona w okresie stanu wojennego. Aabsolwentka Uniwersytetu Gdańskiego i Uniwersytetu Georga Augusta w Getyndze. Tłumaczka języka niemieckiego w Urzędzie Miasta Sopotu, w Instytucie Pamięci Narodowej, w NSZZ „Solidarność". Obecnie pracuje jako przewodniczka po Trójmieście i Mierzei Helskiej. Członkini Stowarzyszenie Godność i Klubu Gazety Polskiej w Gdyni.

W 1980 roku miałam 18 lat, ale czułam się bardzo dojrzała. Stało się tak, ponieważ do szkoły poszłam rok wcześniej i uważałam, że moja edukacja i wszystko dookoła będzie przebiegało szybciej.

Pamiętam też lata 70., gdy mój tata jeszcze pływał w Dalmorze. Wiem, że w 1970 roku chcieli tam strajkować, dlatego wywieźli ich do Wejherowa. Tata skrywał to przez całe życie, a że wcześnie zmarł (jak miałam 15 lat), o tym nie mówił.

Ja trochę czułam pismo nosem. Opowiadał mi o tym też jego kumpel – Edmund Józef Hulsz, który działa w Zrzeszeniu Powstania Grudnia 1970. Teraz jest on postacią kontrowersyjną. – Twój ojciec to był dopiero facet! – mówił.

W latach 80. czułam się wręcz zarozumiale mądra, bo działałam w ruchu oazowym, w którym poznałam osobiście ojca Blachnickiego. Co roku wyjeżdżaliśmy do Krościenka. Uważałam się za mądralę, bo dosyć dobrze znałam angielski. Na oazach robiłam za tłumacza, ponieważ przyjeżdżali tam różni goście z zagranicy.

Gdy miałam 17 lat, kolega Tadeusz Urbaniak z portu w Gdyni zaprowadził mnie na spotkanie Ruchu Młodej Polski. Już w następnym roku myślałam o sobie jak o działaczce.

Podczas zjazdów Ruchu Młodej Polski nocowali u mnie Marek Jurek, Lech Jeziorny. Ciągle przyjeżdżał ktoś od Milewskiego z sieci, to był jakiś Szwed, i przywoził informacje. Czasem chcieli, żebym coś przetłumaczyła, zrobiła. To było bardzo zróżnicowane środowisko: Kobzdej, Szczudłowski, Hall... Ilu ludzi, tyle poglądów i spojrzeń na konkretną sprawę.

Rok 1980 zaczął się dla mnie karnawałowo. Tadeusz zaprowadził mnie również do Klubu Dziesiątej Muzy, którego od dawna już nie ma. Tam poznałam Aleksandra Halla i Darka Kobzdeja. Pod względem temperamentu politycznego bliżej mi do tego drugiego.

Nasz dom przy Orłowskiej to był dom kobiet: ja, mama i babcia. – Ty się dziecko tylko ucz – mówiła babcia.

O strajkach sierpniowych w Gdańsku i Gdyni dowiedziałam się od Tadka. W Ruchu Młodej Polski powstało środowisko robotnicze. To był troszeczkę taki pomysł z księżyca, bo to ugrupowanie zawsze pretendowało do bycia ośrodkiem inteligencji. Redagowaliśmy pismo „Węzeł". Ukazały się może ze trzy numery.

Jak zaczął się strajk, uznałam, że trzeba być ze stoczniowcami. Zaczęłam jeździć pod stocznie i zbierać materiały do „Węzła". Mimo że nie należałam do środowiska robotniczego, pełniłam tam jakby rolę mentora dla tych ludzi. Byłam i w Gdyni, i w Gdańsku. Zawsze zabierałam z domu jakieś jedzenie. Miałam dwa kontakty – Romana Ambrosa w Gdańsku i Tadka w Gdyni. Ten drugi nadal pracuje w Porcie.

Jako młodzi i pełni entuzjazmu podchodziliśmy do aktualnych wydarzeń inaczej niż ci, którzy pamiętali Grudzień '70. We mnie nie było obaw. Poza tym panowała świadomość, że w grudniu 1970 robotnicy byli sami, zupełnie sami. Natomiast 10 lat później wydawało mi się, że cały świat się interesuje Polską i nam pomoże. Do mnie do domu przyjeżdżali jacyś Francuzi, mieszkali przez kilka dni. To była taka młodzieńcza naiwność. Było to irracjonalne, ale wśród nas obaw nie było. Te przyszły dopiero potem, w innych czasach.

Po powstaniu „Solidarności" zachłysnęliśmy się atmosferą wolności. U niektórych przerodziło się to w zarozumiałość. Myśleliśmy, że tak będzie zawsze i wygramy każdą potyczkę z władzą. Wydawało nam się, to znaczy mnie, Tadeuszowi, Romanowi Ambrosowi, Zbyszkowi Trafalskiemu, że strajki będą początkiem zmian. Przekonywaliśmy siebie nawzajem, że tak będzie. Że istniejąca nad Polską konstelacja gwiazd i takie nią zainteresowanie, do tych przemian doprowadzą.

Jak już podpisali porozumienie, starałam się być na bieżąco. Chodziłam na wykłady, dokształcałam się, cały czas obserwowałam sytuację. W Klubie Mestwina powstał Klub Konstytucji 3 maja. Należeli do niego Tusk i Polkowski. Nawet chcieli mnie, taką gówniarę, wybrać do zarządu, ale zabrakło mi kilku głosów. To cały czas była ogromna euforia.

Zapisałam się do Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Pamiętam stamtąd [Jacka – red.] Jancelewicza i Leszka Biernackiego. Trzymałam się jeszcze z Maćkiem Żakiewiczem, który też był na studiach. Tworzyliśmy taką paczkę ludzi z wielu wydziałów. Oczywiście, później te drogi się rozeszły, bo człowiek się zmienia, lepiej poznaje.

Moje gdyńskie działania opozycyjne, wręcz antysocjalistyczne, w dużej mierze opierały się na kolegach, którzy tutaj pracowali. W porcie w Gdyni miałam starszego kolegę, który także był działaczem „Solidarności". Był tam również Waldowski. Zawsze wiedziałam od nich, co tam słychać. Oni byli starszymi działaczami „Solidarności".

Opowiadali mi, jak tam jest. Już wtedy wspominali o krytycznym postrzeganiu Wałęsy, którego później poznałam. Mówili, że Andrzej Kołodziej jest dla Gdyni, a Wałęsa – dla Gdańska. Słyszałam wtedy o innych prominentnych osobach podziemia, np. o Ani Walentynowicz, której wtedy jeszcze nie znałam.

Mimo tego całego zaangażowania w tworzący się wokół „Solidarności" ruch społeczny trzeba było jeszcze normalnie żyć. Jeść, czasami spać, pobyć z rodziną.

Żyło się skromnie. Tata zmarł, pływał w Dalmorze. Zawsze się sprzeciwiał, żeby mama podejmowała pracę zawodową. Zatem gdy odszedł, ona musiała szybko coś zrobić i znaleźć byle jaką pracę. Wbrew pozorom nie było to wówczas takie łatwe i wymagało od niej zatajenia faktu posiadania wyższego wykształcenia. Żeby być najbliżej domu, została cieciem w szkole. W domu była też babcia, która miała emeryturę.

Ludzie z Ruchu Młodej Polski ciągle podrzucali mi jakichś ludzi z zagranicy. To był owoc współpracy ze Zrzeszeniem Młodzieży Ewangelickiej. Przyjeżdżała do nas młodzież ewangelicka Porozumienia Wschód-Zachód. By więc ją jakoś przyjąć, ugościć, latałam po mieście i stałam w kolejkach.

Przy Orłowskiej, gdzie teraz sprzedają meble, funkcjonował sklep mięsny. Na Chyloni kupowałam cytryny. Pewnego dnia moja kochana babcia słabo się czuła; poprosiła, żebym jej kupiła te cytryny, więc poszłam. Egzotyczne owoce to było wówczas rzadkie dobro.

– Niech mi pani dwie odstąpi – poprosiła mnie kiedyś starsza pani w tym sklepie. Powiedziałam, że nie, bo to dla mojej babci, ale potem pobiegłam za nią i jej oddałam.

Co jakiś czas dochodziły do nas bardzo poważne ostrzeżenia, że mogą wkroczyć Sowieci. Ja twierdziłam, że to się nie zdarzy. Ciągle dostawałam jakieś listy, podziękowania z zagranicy. Mówiłam, że Anglicy i inni już nas nie zdradzą, że to niemożliwe, żeby wobec opinii międzynarodowej nam nie pomogli. Do ostatniej chwili nie wierzyłam, że nadejdzie stan wojenny.

12 grudnia były akurat imieniny Aleksandra Halla i wybierało się na nie wiele osób. Ja byłam tylko na chwilę, złożyć życzenia. Potem zostałam jeszcze u koleżanki w Gdańsku; miałyśmy się uczyć.

Wróciłam do domu 14 grudnia. Od mamy i babci dowiedziałam się, że byli u nas tzw. smutni panowie. Chcieli ze mną porozmawiać. Powiedzieli, że mnie ostrzegają, że jestem dobrą studentką i żebym nie fikała czy coś w tym stylu. – Niech się uczy, bo ta cała zabawa może się dla niej źle skończyć – przestrzegli.

Mama i babcia trochę się tym przejęły. – Co ty takiego zrobiłaś? Trochę się uspokój, a nic się nie stanie – prosiły.

Jak wybuchła wojna polsko-jaruzelska, myślałam, że potrwa parę dni. Zdawałam sobie sprawę, że internowali ludzi, że niektórzy się ukrywają, ale przyjmowałam to tak, że może władza chce postraszyć, coś się wyklaruje, będą negocjacje. Sama nie myślałam o tym, żeby się ukrywać. Esbecy, którzy byli u nas w domu, powiedzieli, że przyszli, by mnie ostrzec. Pomyślałam: „Będzie dobrze. Jakoś znajdę kontakt z kolegami z podziemia i zobaczymy, co dalej. Trzeba to teraz rozsądnie przeczekać i za bardzo się nie wychylać".

Koledzy z Ruchu Młodej Polski sami mnie znaleźli. Stało się tak głównie przez mojego brata, który chodził wtedy do zmilitaryzowanego Liceum Morskiego w Gdyni i przyprowadzał do domu różnych kolegów.

Później znalazła się także Ania Kołakowska, która chodziła z moim bratem. Jej rodzina, tak jak moja, pochodziła z Wileńszczyzny. Ona była troszeczkę starsza od mojego brata. – Róbmy coś! – rwała się do działania.

Jeszcze był taki Jasiu Chmielewski, który już nie żyje. Był piekarzem. Ze względu na nazwisko często go z nami mylili. Ten też palił się do konspiracyjnej roboty. Jeżeli robiliśmy coś, czego nie dało się wykonać u mnie, jeździliśmy do Jasia albo do Orłowa, do Bogdana Kwiatkowskiego.

Mój brat robił linoryty – mordę Jaruzelskiego w czarnych okularach, który wyglądał trochę jak Pinochet. Ciągle to gdzieś nosili z takim Adamem Hapką.

– Ty jesteś mózgiem, to napisz coś na tym – prosiła Ania.

Na ulotce napisałam, że obozy odosobnienia są jak obozy koncentracyjne. To brzmiało strasznie radykalnie.

Potem była akcja ulotkowa pod kościołem Mariackim w Gdańsku. Ania była wyrywną, ale bardzo rozsądną, fajną dziewczyną. – Małgosia (czyli ja) powiedziała, żeby nie pod Mariackim – ostrzegała kolegów.

Ale Jasiu zrobił wtedy samowolkę. Poszedł tam z linorytem „Jaruzela" i ze zredagowanymi przeze mnie ulotkami. No i dał się złapać. Zgarnęli jego i jeszcze jednego chłopaka.

Potem to działo się szybko. Wysypali mnie i mojego brata – gówniarza, który miał wtedy tyle lat co Ania, czyli 17. Mój brat się wtedy ukrywał, a mnie zabrali na Okopową. Przeżyłam szok, bo wsadzili mnie z taką paskudną babą, dwa razy większą ode mnie, strasznie wytatuowaną – typową kryminalistką. Zmusili ją do tego, żeby wyciągnęła ode mnie informacje. Próbowała różnych sposobów, w tym tych o charakterze seksualnym. Nie było to miłe. Po miesiącu ją zabrali i wstawili mi do celi inną panią. Ta już miała lepsze maniery.

Był taki inspektor Konieczko. Jeszcze z takim drugim grali dobrego i złego policjanta. Mówili, że chcą tę sprawę szybko zakończyć. Jak jeden był grzeczny, drugi zachowywał się agresywnie.

Pytali, po co mój brat się ukrywa. Mówili, że jest małoletni, więc nie zostanie ukarany, a ja – jeśli powiem, gdzie jest – także uniknę odsiadki. Mówiłam, że nie wiem. Podejrzewali, że ukrywa się na Demptowie. Jeździli tam do chłopaka, z którym kiedyś sympatyzowałam i który działał w „Solidarności". Pytali się też o dziewczyny, pokazywali różne zdjęcia, ale nic nie powiedziałam. Sugerowali, że współpracowałam z zagranicą, brałam jakieś pieniądze i tego typu rzeczy. Długo mnie tam trzymali, ale nie pękłam. Na Okopowej przebywałam od 15 grudnia do 15 stycznia albo nawet dłużej.

Potem wylądowałam na Kurkowej. Po tym miesiącu mocnej „zaprawy" na Okopowej tutaj był to dla mnie piękny czas. Siedziałam tam z Ewą Kubasiewicz, Wiesią Kwiatkowską, Jolą Wilgucką, Renią Jung…

Jednak potem je wywieźli – słyszałam, że do Fordonu – a mnie zostawili samą. Z tym że już było lepiej, łagodniej. Również dzieliłam celę z typowo kryminalnymi kobietami, ale nie takimi jak tamta. Z nimi było fajniej. Pamiętam, że śpiewałyśmy. Nabrałam przy nich siły.

Tam siedziałam cztery miesiące. W końcu przyszedł pan Konieczko. Powiedział, że śledztwo jeszcze nie jest zamknięte, muszą wszystkich schwytać.

– Odmawiam składania zeznań – stwierdziłam.

– No to tu zostaniesz – odparł (początkowo mówił mi per pani).

Potem jakoś schwytali biedną Anię Kołakowską. Milicjanci powiedzieli mi, że złapali brata, który fika, jest bardzo niekulturalny, niegrzeczny. Twierdzili, że zeznał, że to on namalował.

Później była rozprawa w Sądzie Marynarki Wojennej w Gdyni. Miałam przerwę w odsiadce, bo na Kurkowej się pochorowałam i trafiłam do więziennego szpitala. Na rozprawę przywieźli mnie właśnie stamtąd. Dostałam trzech adwokatów, w tym Romę Orlikowską. Jeden z nich niby był wojskowy, ale powiedział, że na pewno zostanę zwolniona do domu.

A jednak zabrali mnie jeszcze z tego szpitala na Kurkową. Tam poczułam się lepiej, bo wcześniej miałam już straszną anemię. W moim przypadku była ona efektem jakiejś wrodzonej choroby krwi, ale się do niej przystosowałam.

Końcówkę kary spędziłam w Fordonie ze wszystkimi dziewczynami. Dostałam dwa lata, ale nie odsiedziałam całego wyroku. Któregoś dnia przyszła wiadomość: „Ubieraj się, masz tu bilet i do widzenia".

Przyjechałam do domu. Nikt się tego nie spodziewał, bo nie mieliśmy telefonu, więc nie miałam możliwości powiadomienia rodziny. Jeszcze tego samego dnia, bardzo późno, odwiedziła mnie Magda Modzelewska z Ruchu Młodej Polski.

Brat dalej się ukrywał. Ktoś musiał nieźle nagadać o moich rzekomych superkontaktach. Może wierzyli, że je mam?

Podczas zjazdu „Solidarności" byłam tłumaczką. Wprowadzali mnie bez akredytacji; siedziałam w loży z jakimiś ludźmi i przekładałam na polski albo odwrotnie.

Potem zadzwonił do mnie jakiś dziennikarz z Warszawy. Ale nie wiem, kto to był – może jakiś esbek?

Wypuścili mnie i od razu pojawiły się sugestie ze strony władz, że może mam coś do powiedzenia, może się z kimś spotkałam, a może wiem, gdzie jest brat. Cały czas o to pytali. Byłam wzywana albo esbecy przyjeżdżali do domu. Moja adwokat poradziła mi, że może byłoby dobrze, gdyby on się jednak ujawnił, bo ma przerwę w edukacji.

W końcu tak zrobił. Adwokat go odprowadził, bo Wojtek był niepełnoletni. Mimo zapewnień wsadzili go na Kurkową. Był tam ze dwa miesiące, potem dostał wilczy bilet do szkół publicznych.

Po wyjściu z więzienia chciałam wrócić na studia. Nie było to łatwe. Mama się bała, że nie dam rady, ponieważ byłam osłabiona po jednej chorobie, drugiej chorobie – oprócz silnej anemii przyplątał się bowiem jakiś nowotwór – po tych wszystkich przeżyciach w więzieniu. Pytałam na uniwersytecie o warunki powrotu. Pojechałam do Głębockiego, który wtedy był rektorem. Powiedział, że zrobi wszystko, żeby mnie przywrócić. Szukałyśmy różnych sposobów. Zastanawiałam się nad indywidualnym tokiem studiów albo historią. W pewnym momencie kierunek był sprawą drugorzędną, chciałam po prostu wrócić. Po wielu przeprawach przywrócili mnie na studia i straciłam tylko rok.

Przed stanem wojennym byłam na wymianie studenckiej w Bremie. Pojechałam z kołem historyków. To było dla mnie wyróżnienie. Mieszkaliśmy w jakieś komunie. Ci Niemcy mieli paskudne poglądy i wręcz sympatyzowali z terrorystami. Tacy lewacy. Wszędzie mieli prześmiewcze, obrazoburcze obrazki, a katolicy to już w ogóle mieli u nich przegrane. Basia Hejcz, którą wtedy poznałam, była na wymianie NZS-u. Jego członków trzymali na jakichś lewackich strajkach. To było obrzydliwe. Potem ci lewacy przysyłali mi paczki, pisali jakieś dziwne kartki.

Po powrocie na uczelnię znalazłam się na roku z zupełnie innymi ludźmi. W poprzedniej grupie było kilka fajnych osób, a teraz wszyscy bali się ze mną kolegować. Nie lubiłam tej grupy staro-cerkiewno-słowiańskiej, ale oni mnie wszyscy tak forowali, żebym tylko się uczyła. Jednak mnie brakowało działania. Niespecjalnie odpowiadał mi scenariusz, w którym mam się tylko uczyć.

Z tym że co jakiś czas esbecy mnie nachodzili w domu. To mnie w pewnym stopniu hamowało. Do tego doszła odpowiedzialność za brata, który nie mógł kontynuować nauki w Liceum Morskim. Ania zaś pojechała gdzieś pod Poznań uczyć się w prywatnym liceum. Wojtek chciał niby do pijarów do Krakowa, ale nie za bardzo było go na to stać. Pod względem materialnym było u nas dość ciężko. Na szczęście ja miałam jakieś stypendium.

Angażowałam się w kole studenckim. Myślałam, żeby zrobić coś z ludźmi z mojego poprzedniego roku. Był pomysł, żeby reaktywować Ruch Młodej Polski.

Lecz mimo dużego zapału angażowałam się na zasadzie, że coś tam napisałam i oddałam. Z tyłu głowy siedziała jakaś dziwna obawa, że mój dom jest spalony. Zresztą były na niego dziwne naloty. Łatwo było do niego wejść, bo nie stanowił on żadnej twierdzy. Jednak często zdarzało się, że mimo zamkniętych drzwi ktoś wszedł i zostawił nóż wbity w blat stołu. Ktoś na pewno na mnie donosił.

Utrzymywałam kontakty z ludźmi, którzy się ukrywali (m.in. z Aleksandrem Hallem). Spotykaliśmy się, ale oni mówili, że moja zacna rola jest zawieszona, że trzeba poczekać, gdyż mogą z tego wyniknąć kłopoty.

Spotkałam się z Anią Kołakowską. Ona i mój brat bardzo chcieli coś robić – jakby mieli robaki w tyłkach *(śmiech)*. On teraz jest taki spokojny, stateczny pan. Wtedy razem z Anią byli po jednych pieniądzach.

W pewnym momencie włączyła mi się choroba. To był 1983 rok. Prof. Godlewski powiedział, że może wyjechałabym do Niemiec na studia albo przynajmniej na leczenie i została na parę lat. Tak też zrobiłam – zdecydowałam się wyjechać na jakiś czas. Wróciłam zaraz, jak było można po 1989 roku.

Przez te lata miałam kontakty z Wiesią i Drzeżdżonem, którzy pisali do mnie listy. – Złapałaś wiatr w żagle, nawiąż jakieś kontakty z anarchistami niemieckimi, wybadaj dla mnie grunt – pisała Wiesia.

Mieszkając w Getyndze, organizowałam pobyt Biereckiego, Popielarza, Gosiewskiego z ich żonami tutaj. Przyjechali na zaproszenie miejscowych ewangelików. Ja robiłam za tłumaczkę.

Z Niemiec śledziłam to, co dzieje się w kraju. Nie odpuszczałam. Będąc tam, przeżywałam pielgrzymkę ojca świętego do Polski w 1987 roku. Akurat tuż przed przyjazdem Jana Pawła II do Gdyni odwiedziły mnie mama z babcią. Ta druga chyba zrobiła to ostatni raz. Od nich dowiedziałam się, że brat jest w tej służbie porządkowej papieskiej pielgrzymki.

Nigdy nie nosiłam się z zamiarem pozostania tam na długo. Dla mnie każdy rok w RFN był masakryczny. Mama z babcią ciągle pisały, a potem jak przyjechały, mówiły wprost, że wyczuwają bliski koniec komuny w Polsce.

Dlatego bardzo ucieszyła mnie wiadomość o strajku na „humanie" na Uniwersytecie Gdańskim w maju 1988 roku. Wtedy jeszcze bardziej zatęskniłam za krajem. „Tam się coś zaczyna dziać, a ja siedzę u Niemca" – myślałam niezadowolona. Zaczął się jakby drugi Sierpień, a po nim komuna rozsypała się w drobny mak.

W międzyczasie przyjechał do mnie mój o wiele starszy kolega z ruchu franciszkańskiego. To był zawsze taki przyjaciel. Tam za niego wyszłam. W Getyndze urodził się nasz syn.

– Nie ma po co do Polski wracać – twierdził ojciec mojego dziecka.

Ja optowałam za przyjazdem, ale on chciał jechać dalej, do USA. W Niemczech ani on, ani ja nie czuliśmy się dobrze. Chociaż pracowałam i dobrze sobie radziłam. Mimo to koniecznie chciałam wrócić do domu – miałam do czego, miałam tu domek. Poza tym mama była sama. Ostatecznie wróciliśmy, ale potem nasze drogi z mężem się rozeszły. Wtedy skończyłam studia.

Po powrocie z Niemiec zorganizowałyśmy z Izą Lipniewicz zjazd internowanych kobiet. W moim domu zjawiło się bardzo dużo dziewczyn, które potem rozjechały się po świecie. Z Anią Walentynowicz miałyśmy również bardzo miłe przyjęcie u księdza Bogdanowicza, który wówczas jeszcze nie był infułatem.

Jestem wdzięczna mojej mamie i babci, że wychowywały mnie w dosyć twardy sposób. Nie byłam rozpieszczana. To, że chciało mi się angażować, to był efekt tego właśnie wychowania.

Praktycznie odkąd zostałam nastolatką, cały czas coś pisałam, a brat malował. Czuliśmy się jak Bonnie i Clyde. Robiliśmy to, co mogliśmy robić jako młodzi ludzie, i jeszcze dorzuciliśmy coś od siebie.

Lecz gdybym teraz zaczynała swoją aktywność jako świadoma działaczka, poszłabym gdzie indziej, a nie do Ruchu Młodej Polski. Poszłabym do „Solidarności" za Anią Walentynowicz. Poznałam ją potem.

Jak oceniam czasy po 1989 roku? Parafrazując słowa z dramatu Stanisławy Przybyszewskiej „Sprawa Dantona", mogłabym zapytać: – Gdzie się podziała nasza „Solidarność"?

Bardzo boli mnie to, że ludzie, którzy wtedy tak bohatersko i patriotycznie się zachowywali, teraz są mocno pomijani i zapomniani. Nie mam tu na myśli siebie, bo ja sobie daję radę.

Teresa Dembowski

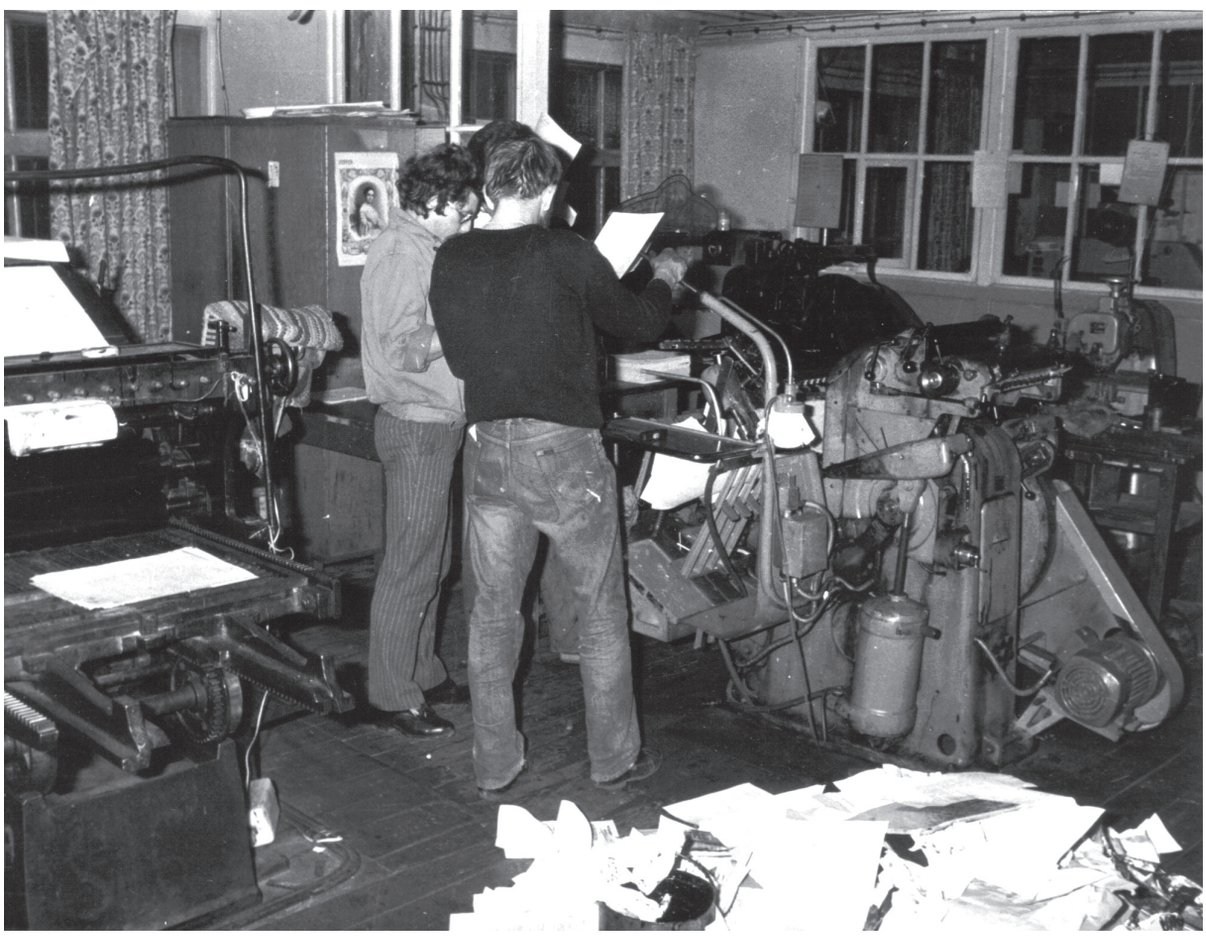

działaczka NSZZ Solidarność, stenotypistka w Drukarni Wojskowej Marynarki Wojennej. W stanie wojennym zajmowała się drukowaniem ulotek.

Jak Aneczka miała cztery lata, przez rok przyuczałam się na zecerni w Drukarni Wojskowej Marynarki Wojennej. Potem musiałam zdać egzaminy na zecera ręcznego. Następnie przeszłam na linotypy. Tam byłam chyba półtora roku i zrobiłam też „papiery" na stenotypistkę. Nie pamiętam, ile tam pracowałam. Nie mogę też tego sprawdzić, ponieważ nie zostały mi z tego okresu żadne dokumenty.

W pracy zajmowałam się zleceniami od Polskiego Rejestru Statków. Drukowaliśmy różne książki, np. o wojnie czy obyczajowe, ale ja byłam przede wszystkim od rejestru statków i publikacji wojennych.

Jak mnie złapali? W ramach jednej z akcji trzeba było napisać ulotki i zrobić ich skład. Pracowałam akurat na drugiej zmianie. Składałam tę ulotkę, kiedy wszedł nasz szef kadr. To były układane szpalty, na których wychodzi stop. Chciałam jeszcze złapać ten stop, ale on zawsze jest gorący. Złapałam duży, a jemu – niestety – udało się jeszcze chwycić dwa wiersze. Na ich podstawie zorientował się, że przygotowuję ulotkę do druku. Od razu wzięli mnie na przesłuchanie. Przyjechał jakiś komandor czy cholera wie, kto to był. Przesłuchi-

wali mnie chyba przez całą noc. Zadawali ciągle te same pytania, świecili po oczach jak gestapo. Ale nie puściłam pary.

To był dla mnie szok, choć pod skórą od dawna czułam, że to się stanie. Być może ziściła się samospełniająca się przepowiednia. Przecież Polską rządziła WRON-a.

Jednak w większym szoku byli chyba wojskowi. Okazało się, że najciemniej pod latarnią. Tak było w naszym przypadku. Nikt przecież nie przypuszczałby, że w zmilitaryzowanym zakładzie może działać podziemie i drukować antysocjalistyczne ulotki.

Na przesłuchaniu pytali mnie: dlaczego, skąd, po co, dla kogo. Na początku w ogóle nie rozumiałam, o co w tym chodzi. Kilku przesłuchujących zasypywało mnie gradem pytań. Sugerowali odpowiedzi. Nakłaniali do potwierdzenia, że namówił mnie ten czy tamten. Opowiadali, że moje drukowanie to wroga działalność wobec socjalistycznej ojczyzny, że chcę ustrój obalić, że jestem sterowana przez wrogie Polsce czynniki, które chcą odebrać zdobycze ludowej demokracji.

Czy się bałam? I tak, i nie. Obawy mieszały się z dumą. Przez to, że mnie zatrzymali, czułam się bardzo ważna i odważna. Jak mocno musieli się bać takich jak ja, skoro urządzali takie widowiskowe przesłuchania? A ja przecież byłam zwykłą robotnicą – kobietą pracującą, która zarabiała na utrzymanie swoje i rodziny.

Komuś takiemu chcieli wmówić obalanie socjalizmu. Pewnie, chciałam to zrobić. Bo co to za ustrój, w którym strzela się do ludzi, zamyka ich w więzieniach, rozwiązuje związki zawodowe broniące ludzkiej godności?

Pytali i pytali. Odpowiadałam, że nic nie wiem, nie przygotowywałam żadnych ulotek, to nie są moje wiersze, nie wiem, kto i skąd je wziął. Mówiłam, że nie znam nikogo z wymienianych postaci, nigdzie nie działam, nie spotykam się z nikim celem obalenia socjalizmu.

Zastanawiam się, na ile ci funkcjonariusze wierzyli w to, co robili, na ile byli przekonani w słuszność swojej pracy. Przecież jeżeli taka zwykła kobieta jak ja stanowiła tak ogromne zagrożenie dla systemu, to co powiedzieć o działaczach podziemia, których poszukiwali listami gończymi, którzy organizowali demonstracje, robili konspiracyjne radio, sprowadzali z Zachodu maszyny drukarskie? Mam wrażenie, że stan wojenny przekonał tych ludzi, że ówczesny ustrój i tak się rozleci – prędzej czy później. Że Polacy wiecznie nie będą żyć w komunie. Że „Solidarność" samym swoim powstaniem pokazała, iż można pokonać towarzyszy. Stan wojenny to był ostatni atak konającego socjalizmu, w którym panowały tylko puste pułki, kolejki, szarzyzna. To było takie kąsanie resztką sił. Ekonomii nie dało się wiecznie oszukiwać.

Przesłuchiwali nie tylko mnie. Nie wiem do dziś, kto z nas ucierpiał najmocniej. W moim przypadku zatrzymanie na pewno odbiło się na zdrowiu.

Po zwolnieniu trafiłam do zakładu dla nerwowo chorych. Jeździłam tam przez dobre pół roku, bo miałam lęki. Kosztowała mnie ta konspiracja wiele. Po utracie etatu przeszłam załamanie nerwowe i już nie wróciłam do pracy. Wtedy czułam się silna, choć pewnie nie do końca zdawałam sobie sprawę z tego,

ile mnie to może kosztować. Jednak co rusz się słyszało, że ten robi to, a tamten tamto, że są ludzie, którzy się nie poddali i walczą. Ja chyba nie chciałam być gorsza. Przypłaciłam to zdrowiem, ale na pytanie, co mi to dało, odpowiadam, że satysfakcję! Tak, wielką satysfakcję!

Śledczy chyba nie zdołali do końca wskazać odpowiedzialnych za te ulotki. W ogóle nasza wpadka uzmysłowiła dowództwu, że pod jego nosem odbywała się konspiracja. Dopiero wtedy do nich dotarło, że w drukarni wojskowej działała „Solidarność". Oni nie dowierzali, jak mogło im to umknąć. Ale przecież przed stanem wojennym byliśmy oficjalnie zarejestrowani jako komisja zakładowa, która prowadzi normalną działalność.

Po naszym zatrzymaniu rozegrała się wielka akcja. Sprawdzali: kto należał do „Solidarności", jakie zajmował stanowiska, gdzie działał, z kim miał kontakt poza drukarnią i armią, co w ogóle było drukowane, czy ktoś to sprawdzał i kontrolował.

Nagle komuś się przypomniało, że papier trzeba rozliczać. Wtedy też do nich dotarło, że u nas czegoś takiego się nie robiło. W końcu to była drukarnia wojskowa, do której nikt z zewnątrz nie miał dostępu. Oznaczało to, że cywilne służby też nie miały prawa ani możliwości nas kontrolować. Oni wtedy zaczęli sobie uświadamiać, jak wiele mogliśmy tych ulotek wydrukować. Przecież nikt nie pilnował zużycia papieru. Zawsze mogliśmy napisać, że to spady albo próby druku lub końcówka farby bądź wady papieru. Zresztą powodów mogło być wiele. Maszyny czasami się psuły, więc rwały papier.

Po takim wewnętrznym dochodzeniu dotarło do nich, że my najzwyczajniej w świecie działaliśmy jako członkowie NSZZ „Solidarność". Jeździliśmy na zebrania. Braliśmy udział w akcjach związku. Spotykaliśmy się z działaczami z władz centralnych i członkami z innych komisji zakładowych. Jako związkowcy zawsze działaliśmy razem, wymienialiśmy się informacjami i je przekazywaliśmy. Drukując ulotki, braliśmy za siebie odpowiedzialność. Takie były czasy – musieliśmy sobie ufać.

Kilka dni po zatrzymaniu dowiedziałam się, że jestem zwolniona dyscyplinarnie. Zostaliśmy zwolnieni wszyscy, bo nikt nie puścił pary. Pierwszy poleciał Edek Żółkowski z Wejherowa, który miał czworo dzieci. Zwolnili go od razu. Potem wyrzucili Heńka Stokowskiego. To się niby nie nazywało „zwolnienie dyscyplinarne", tylko „natychmiastowe zwolnienie". Pozbawili zatrudnienia całą naszą zmianę. A Piotra zwolnili dlatego, że był przewodniczącym naszego związku zawodowego.

Myślałam, że potem będę mogła pójść gdzieś do pracy. Jednak od Edka, który miał kontakty z dyrektorem drukarni, dowiedziałam się, że mam wilczy bilet i nie przyjmą mnie nigdzie. W związku z tym, że przeszłam wiele operacji i chorowałam, poszłam na rentę. Nie pamiętam dokładnie, kiedy to się stało. W 1982 albo 1983 roku. Na rencie byłam dość długo, parę lat.

Gdy moja Ania miała 4,5 roku, pracowałam już na linotypach. Na pewno był to stan wojenny. Egzaminy zdawałam chyba na jego początku, bo nie jeździły kolejki i już doszło do rozruchów. Milicja i wojsko na ulicach. Część znajomych siedziała w więzieniu, część się ukrywała. Panowały beznadzieja i strach, co jeszcze komuna może nam zafundować. Generalnie świat się walił, a mnie

zachciało się zdawać egzaminy. Ale co miałam zrobić? Taka praca. Żyć jakoś było trzeba. Nawet jak człowiek działał w konspiracji, skądś musiał brać pieniądze na życie, na jedzenie, opłaty, na dzieci.

Moja koleżanka Grażyna, która ze mną pracowała, miała męża wojskowego. Załatwiła, że milicja zawiozła nas na ten egzamin do Gdańska. Pewnie gdyby nie ta podwózka, nie dotarłybyśmy tam. Nie dość, że komunikacja stała, to jeszcze na ulicach przeprowadzono kontrole, rewizje, a do tego obowiązywały przepustki.

Z jednej strony bardzo cieszyłam się z pozytywnego wyniku. Jednak z drugiej miałam wyrzuty sumienia, że milicja musiała mnie podwozić i przez to stałam się częścią złego systemu. Ale zdany egzamin stworzył przede mną nowe możliwości i dał dostęp do narzędzi, dzięki którym mogłam drukować ulotki. Można więc powiedzieć, że komuna sama pomogła mi w drukowaniu pism w nią wymierzonych, czyli atakujących ustrój i WRON-ę.

Pewnie do takich absurdów dochodziło w tamtym czasie w naszym kraju znacznie częściej. Ludzie podziemia często imali się różnych sposobów, które pomagały w walce z czerwonymi. Przecież na tym poległa konspiracja, by korzystać z legalnych zajęć i dzięki temu dowalać systemowi.

Z jednej strony czułam, że muszę to robić. Z drugiej bałam się, że w końcu nadejdzie chwila, w której wpadnę. Wtedy w najgorszym przypadku wsadziliby mnie do więzienia, a w najlepszym – zwolnili.

I tak źle, i tak niedobrze. Wówczas niełatwo było znaleźć pracę, bo kierownicy zadawali dużo pytań. Do tego były jeszcze wilcze bilety. Ktoś z takim kwitem nigdzie nie mógł znaleźć zatrudnienia. Wszędzie go odprawiono. Owszem, ludzie znajdowali jakąś pracę – u rodziny, znajomych, na jakichś mało eksponowanych stanowiskach lub na wsi u rolników. Znajdowali się i tacy, co pracowali na czarno, ale wtedy to była rzadkość.

W pewnym momencie chciałam to wszystko wykreślić z pamięci. Zastanawiałam się, co mi to dało. Lecz zaraz przyszło otrzeźwienie: pewnie, że mi dało! Dało mi satysfakcję. Dla przełożonych to był szok, że coś takiego działo się w drukarni wojskowej – przecież wszystkich tam sprawdzali.

Ta działalność nie była długa, bo oni nas jednak za bardzo kontrolowali. My sami siebie też. Jak widzieliśmy, że komuś nerwy puszczają i bał się, że może nas zdradzić, to go odsuwaliśmy. Wówczas przez jakiś czas nie drukowaliśmy ulotek. Pojawiły się podejrzenia, że ktoś sypie. Lecz nie mogliśmy tego w żaden sposób zweryfikować. Naszli nas i złapali. Po prostu.

W sumie na wyrzuceniu z pracy się skończyło. Najbardziej żal mi Kazika Procha, naszego kierownika, który wiedział co robimy, ale nie przeszkadzał nam. Dał wolną rękę i poniósł za to konsekwencje – musiał opuścić drukarnię.

Długo go szukaliśmy. Dowiedzieliśmy się, że przetrzymywali go gdzieś w Polsce. Po wyjściu na wolność miał możliwość wyjechania za granicę i wybrał Niemcy. Przez jakiś czas tam pracował, w jakiejś drukarni amerykańskiej zlokalizowanej chyba w bazie wojskowej. Wydawał również polską gazetę w Mannheim. Potem przeniósł się do Hiszpanii, gdzie kupił mieszkanie. Został tam po śmierci żony.

Napisał do Piotra, że nie chce utrzymywać kontaktów, bo to mu przypomina Dankę i te przeżycia. Byliśmy u nich parę razy, oni też kilkukrotnie do nas przyjechali. Nie jest chyba jedynym działaczem „Solidarności" i podziemia, który wyjechał, gdy pojawiła się taka opcja. Za granicą łatwiej im było zapomnieć o negatywnych przejściach, żalu, bólu, których doświadczyli. Konspiracja odcisnęła na ludzkiej psychice również negatywne piętno, więc chcieli się od tego odciąć. W przypadku Kazia powrót wyzwalałby też tęsknotę za Danką, więc go rozumiem, że został w Hiszpanii.

Sama praca nad ulotkami była dobrze przygotowana. Te agitki najczęściej robiliśmy albo wcześnie rano, albo wieczorami. Mieliśmy tak podzielone zadania, by wszystko szło szybko i sprawnie, bo przecież w każdej chwili mogli nas najść i złapać. Wydaje mi się, że przełożeni działali w tej kwestii na chybił trafił. Może ktoś miał stracha i sam się wysypał, może komuś zapłacili? Dziś już tego nie rozstrzygniemy.

Tak opuściłam mury drukarni wojskowej. Z tym miejscem wiąże się wiele wspaniałych przeżyć i wspomnień. Przede wszystkim odczuwam ogromną satysfakcję, że przez jakiś czas udawało nam się obalać socjalizm, drukując ulotki, które dawały ludziom nadzieję, że kiedyś będzie normalnie.

Beata Denis

w stanie wojennym nastolatka. Farmaceutka.

Początkowo z wydarzeń rozgrywających się w sierpniu 1980 roku nie za wiele do mnie docierało. Z różnych powodów rodzice, a przede wszystkim mama, trzymali mnie z dala od trudnych spraw. Żyłam jakby pod kloszem; cały czas byłam pod ochroną. Jednak wydarzenia sierpniowe tak mocno zaistniały w świadomości gdynian, że musiały mnie dosięgnąć. Choć mama wolała bym nie interesowała się tym, co dzieje się w mieście, to jednak miałam koleżanki, znajomych, którzy wiedzieli o strajkach – choćby przez fakt, że w ich rodzinach były osoby strajkujące.

Dlaczego byłam pod kloszem? Przez starsze siostry – mają o odpowiednio 17 i 18 lat więcej (miałam jeszcze trzecią, która, niestety, zmarła). Jestem najmłodsza, urodziłam się, kiedy tata był już dobrze powyżej czterdziestki. Przyszłam na świat po tej zmarłej siostrze, dlatego rodzice tak bardzo mnie chronili. Nawet nie zabrali na pogrzeb. Może przez to, że byłam w taki sposób wychowywana, nie rozwinęły się u mnie patriotyczne postawy w rodzaju „O, jest strajk, to pójdę rozdawać ulotki"?

Nie za bardzo się orientowałam się w sytuacji, ale wiedziałam, że odbywają się strajki. Dotarło do mnie to, że 15 sierpnia stanęła stocznia. Słyszałam, że ludzie chodzą pod jej bramę, że nie kursuje komunikacja miejska. To po prostu dało się zauważyć. Przed strajkiem ulicami Śródmieścia jeździły przecież „trajtki" i autobusy, a tego dnia nagle ich zabrakło. To musiało mnie zainteresować. Zaczęłam pytać i zastanawiać, co się dzieje. Najczęściej przewijały się informacje o protestującej stoczni i tym, że Gdańsk też stoi.

Widziałam później te sceny z robotnikami, którzy stoją za kratami i trzymają się za ręce. Utkwiło mi to, dlatego że należałam do parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa, gdzie jest kaplica stoczniowców. Później zrobili tam drzwi w formie krat i rąk stoczniowców. To na zawsze utkwiło mi w pamięci. Jak w młodości jakiś obraz wywoła u człowieka szok, to pamięta się go całe życie, a tak właśnie odebrałam tych stoczniowców trzymających pręty płotu.

Praktycznie przez cały okres strajku, aż do pójścia do szkoły, docierały do mnie informacje o tym, co dzieje się w Gdyni. Moi rówieśnicy komentowali, że to już kolejny dzień protestu. W sklepach, do których chodziłam, ludzie także

o tym rozmawiali. Czuło się jakąś podniosłość, jakby wszystko się zmieniło. Miałam chyba wrażenie, że ludzie stali się dla siebie milsi, bardziej życzliwi.

Moi rodzice nie strajkowali. Jednak ojciec był z władzą na bakier. Przez bardzo długo pozostawał bez pracy. Dziś można by powiedzieć, że trochę z własnej winy był bezrobotnym, a tak naprawdę miał wilczy bilet i nigdzie nie mógł znaleźć zatrudnienia. Trwało to od 1979 roku, kiedy został zwolniony.

Wszystko zaczęło się od tego, że ojciec jako ichtiolog był chyba naukowym kierownikiem rozbudowy Akwarium Gdyńskiego. Całkowicie poświęcił się tej działalności. Wszystkiego pilnował i doglądał. Każda śrubka musiała przejść przez jego ręce. Chciał, by obiekt nie tylko był nowoczesnym kompleksem naukowym, ale również otwartym dla społeczeństwa, gdzie podejmowano by także trudne tematy, których wówczas nie brakowało. Bardzo zależało mu na ekologii, choć wtedy mało kto się nią przejmował. Chciał uczulać wszystkich, by dbali o środowisko, czystość Bałtyku i plaż, kontrolę zarybienia. Na zebraniach mówił o skażeniu radioaktywnym morza. Może to też było powodem zwolnienia? W każdym razie już wtedy, w latach 70., bardzo mocno akcentował oddziaływanie gospodarki na stan wody w Zatoce Gdańskiej. Alarmował, że bez ograniczenia emisji ścieków i innych zanieczyszczeń za chwilę będziemy mieli do czynienia z poważną katastrofą ekologiczną.

Na początku przełożeni chyba go bagatelizowali, ale wreszcie ich cierpliwość się skończyła. Postanowili pozbyć się niewygodnego naukowca, który zamiast klaskać towarzyszowi Edwardowi, tylko krytykował i straszył kataklizmem.

Stracił pracę, dostał wilczy bilet. Zostaliśmy bez środków do życia, bo mama nie pracowała. Rok wcześniej siostra wyszła za mąż, więc rodzice troszeczkę wykosztowali się na wesele. Potem siostra ze szwagrem dawali im swoje pensje, żeby nas wszystkich utrzymać. Ojciec był totalnie załamany. Przypłacił to zdrowiem, miał zawał. Miał już najczarniejsze myśli. Mama zaczęła się modlić, pojechała do Częstochowy. Zawsze pamiętam, jak mi mówiła, że wróciła z Jasnej Góry i nagle się okazało, że tata dostał propozycję pracy w Akademii Rolniczej w Szczecinie.

Przez to praktycznie nie miałam ojca. Wyjechał do tej pracy i przyjeżdżał na weekendy, ale w miarę upływu lat i wzrostu cen biletów odwiedzał nas tylko raz na miesiąc. Mogłabym stwierdzić, że odkąd skończyłam 10 lat aż do emerytury ojca, widywałam go okazjonalnie. To było konsekwencją jego postawy. Można śmiało zaryzykować tezę, że ojciec był szykanowany przez komunistów jeszcze przed Sierpniem '80. Wynikało to z jego niepokorności i walki o prawdę, dobro.

Z braku ojca spadły na mnie obowiązki, które zazwyczaj przypisywane są dorosłym. Na przykład moim zadaniem było chodzenie po zakupy. Wiecznie stałam po coś w kolejkach. Najczęściej – po chleb.

Wiadomo, że trzeba było pójść po niego wcześniej. Akurat mieszkałam przy ul. 10 lutego, więc zawsze wczesnym rankiem szłam do piekarni, która znajdowała się naprzeciwko wejścia do SKM-ki. Stała tam bardzo długa kolejka. Jak ktoś już kupił pieczywo i wychodził ze sklepu, docierał do mnie ten charakterystyczny zapach. Im był on intensywniejszy, tym bardziej wiedziałam, że jestem bliżej celu.

Stałam też po gazety i mięso. Pamiętam dwa słoiczki w sklepie mięsnym i panie, które miały od tego zimne dłonie. Te dłonie miały powiększone stawy i były tłuste. I te nożyczki. Dawało się ekspedientce kartkę, a ona nimi szybko wycinała kupony – tutaj na kości, tutaj na mięso. Zawsze te dwa słoiczki.

Stałam również za paszportem. Moja siostra wyjechała w 1980, przed strajkami, do Stanów. Jest tam do tej pory. Starałam się o ten paszport i stałam w komisariacie milicji na Portowej.

Chodziłam też do sklepu warzywniczego. Kazano mi tam kupować naboje do syfonów. To jest głupie, ale cieszyło mnie to, że mogłam mieć wodę sodową. Bąbelki sprawiały mi radość! Wiem, że to jest porąbane *(śmiech)*.

Na Władysława IV był też sklep spożywczy, do którego mama zabierała mnie na zakupy i czasami kupowała coca-colę w szklanej butelce. Piłyśmy to na spółkę przy takim stoliczku. To był dla mnie szczyt luksusu.

Do szkoły w 1980 roku też praktycznie sama wszystko sobie zorganizowałam. Wiedziałam, co należy mieć, i mama pozwoliła mi kupić najpotrzebniejsze rzeczy z wyprawki. Po wszystkie zeszyty i inne przybory niezbędne uczniowi chodziło się tam, gdzie teraz funkcjonuje chiński sklep.

Pamiętam zapach tego sklepu papierniczego. Co prawda kupowane tam okładki były szaro-niebieskie, ale i tak się z nich cieszyłam. Chińskie gumki, chińskie piórniki z magnesem… Bardzo marzyłam o tym piórniku, ale niestety nigdy go nie miałam, bo mama kupiła inny. Miałam wszystko i byłam gotowa iść na lekcje – byłam szczęśliwa. Wtedy sprawy związane ze strajkami jakby zeszły na dalszy plan. Kończyły się wakacje i z utęsknieniem oczekiwałam spotkania z koleżankami.

Gdy szłam do szkoły, miałam świadomość powstania „Solidarności". Jednak w domu raczej się o tym mówiło. Nie przypominam sobie też, żeby dziewczyny w szkole rozmawiały na ten temat.

– Ty, wiesz, powstała „Solidarność".

– O, ale super!

Tak nie było. W szkole bardziej opowiadało się o zdobywaniu piórników, tornistrów czy tenisówek. Niektórzy mieli obuwie sportowe przywiezione z Zachodu, wiadomo – Gdynia miasto portowe. Ci, którzy mieli w rodzinie marynarza, zawsze byli modniej ubrani i mieli zachodnie pisaki, wielokolorowe długopisy czy pudełka na kanapki z jakimiś bohaterami Disney'a.

Choć mieliśmy po naście lat, czasami bardzo poważnie komentowaliśmy rzeczywistość. Czuliśmy więcej luzu. Może dlatego, że dorośli byli zajęci Polską i walką o jej przyszłość. Cały czas odbywały się jakieś akcje protestacyjne czy pogotowia strajkowe. Ludzie jakby stali się odważniejsi. Powiedziałabym, że nastał taki powiew wolności, że wreszcie można było mówić, co się chce, że Polska się zmieni, że już nie będzie tak szaro.

Nam, młodym, ta atmosfera także się udzielała. Były dni, w których czuło się, że coś wisi powietrzu. Dorośli praktycznie wszędzie o czymś namiętnie dyskutowali. Z czasem to napięcie stawało się coraz większe.

Tak nadszedł 13 grudnia. Jestem skowronkiem, więc wstawałam już o szóstej i szłam do rodziców. Pamiętam, że były dwa programy, a potem Dwójka

zniknęła i został tylko program pierwszy. Nie było „Teleranka". Pamiętam przekaz Jaruzelskiego. Pamiętam telewizor, jego okulary i takie zmrożenie w rodzaju „Co to ma być?! Jak to stan wojenny?".

Pytałam rodziców, co to oznacza. Mówili mi, że jest godzina milicyjna, że teraz będzie wojsko na ulicach. Tak jak jest w tym spocie, który swego czasu zrobiła Fundacja Narodowa, że spadła żelazna kurtyna. Tak jak wcześniej czułam powiew wolności, tak wtedy – tę żelazną kurtynę. Choć nie za bardzo rozumiałam ten stan wojny, jednak czułam, że jest to coś złego, co zniewala i wzbudza strach.

Z rodzicami więcej o tym nie rozmawiałam. Swoją świadomość polityczną i społeczną kształtowałam jakby samodzielnie. Od tamtego momentu zaczęłam być bardziej wrażliwa na bieżące wydarzenia, dziejącą się rzeczywistość, sprawy natury patriotycznej. Jak już mówiłam, wcześniej byłam jakby trochę pod kloszem.

Zaczęłam chodzić na msze za ojczyznę do kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa. Tam były tłumy. Pamiętam, że zemdlałam, bo wewnątrz było bardzo duszno. Pamiętam ludzi, ten gorąc, gest „V". To było niesamowite uczucie. Zapewne nie zdawałam sobie sprawy z tego, co robię, podnosząc rękę i ustawiając dłoń w gest victorii. Chciałam się poczuć tak jak inni ludzie w tym kościele; być w tej wielkiej wspólnocie, która nie zgadza się z władzą. To był mój prywatny protest.

Po którejś ze mszy za ojczyznę aresztowano wikarych z parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa – księży: Borkowskiego i Kuracha. Pewnego razu zauważyłam, że ich nie ma. Później dowiedziałam się, że ich zabrali. Przeżywałam to, bo Kuracha bardzo lubiłam jako księdza. To było dla mnie straszne.

Bardzo przeżywałam porwanie ks. Jerzego Popiełuszki. Ciągle wierzyłam, że go znajdą, że żyje. Co kilka dni pojawiała się jakaś informacja, że nie mogą go odnaleźć, a później – że został zamordowany. Śledziłam tę sprawę i płakałam po kolejnych doniesieniach, choć wtedy byłam dziewczynką. Byłam załamana, że można drugiemu człowiekowi zrobić coś takiego, tak bestialsko zamordować. W myślach buntowałam się przeciw władzy, ale nie miałam odwagi, by tę kontestację wyrazić w czynie, np. działając w konspiracji.

Bardzo emocjonalnie przygotowywałam się do wizyty ojca świętego w czerwca 1987 roku. Mieszkałam na 10 lutego, w dodatku na pierwszym piętrze. Papież jechał tamtędy, żeby dotrzeć na miejsce mszy, którą zaplanowano na skwerze Kościuszki. Moi rodzice go widzieli, a ja nie, gdyż wyszłam z domu wcześniej, żeby zająć miejsce na błoniach.

Paradoksalnie stamtąd widziałam niewiele. Z tamtej perspektywy był on malutki. Do tej pory śmieję się, że nigdy nie widziałam Jana Pawła II większego niż trzy centymetry. „Przecież mogłam go zobaczyć, ale musiałam zająć tam miejsce" – powtarzam sobie, gdy myślę o tej pielgrzymce.

Przyjazd papieża znów przyniósł powiew optymizmu. Tyle osób przyszło, żeby go zobaczyć. Pamiętam to wspaniałe poczucie wspólnoty. Będąc na skwerze, poczułam, że jestem wśród ludzi, którzy myślą tak samo jak ja. Czułam, że coś powinnam zrobić, jednak nie wiedziałam co. Widziałam na murach antysocjalistyczne napisy. Zrozumiałam, że podziemie tworzą nie tylko lu-

dzie z „Solidarności". Również młodzi ludzie mają swoje struktury – choćby Federację Młodzieży Walczącej – i to oni tworzą te hasła na budynkach. Jednak nie wywołało te we mnie impulsu, by się do nich przyłączyć. Przechodziłam nad tym do porządku dziennego. Wystarczało mi, że są ludzie, którzy stawiają opór i w jakiś sposób to wyrażają, ale nie myślałam, żeby się gdzieś zapisać. Po latach trochę się tego wstydzę.

Gdzieś w połowie lat 80. doznałam nieopisanego szczęścia. Mając 14 lat, jako pierwsza z rodziny, wyjechałam do siostry do Stanów. A że ona mieszka na Florydzie, która jest kwintesencją bogactwa, po powrocie miałam porównanie z sytuacją w Polsce.

Siostra jest ode mnie starsza 18 lat. Kiedy wyjechała, tutaj była głęboka komuna. Nie miałam jej o czym opowiadać. Jak poleciałam do USA, u nas przecież nadal był PRL. Żeby do niej zadzwonić, trzeba było jechać do Warszawy, tam na poczcie zamówić rozmowę i czekać w kolejce. To był jedyny kontakt werbalny. Nie jeździłam do stolicy, więc tylko pisałyśmy do siebie listy. Ona była na bieżąco z tym, co się w Polsce dzieje. Zawsze śmiała się z tego, że napisałam do niej: „O, właśnie rzucili żółty ser". Mówiła, że to brzmi śmiesznie w liście 10-letniej dziewczynki. Z tym że my nie musieliśmy jej specjalnie opowiadać, jak wygląda życie u nas, bo kiedy wyjechała, tutaj było zagłębie totalnego badziewia, taki skansen.

Po powrocie uderzył mnie przede wszystkim panujący w Polsce smród. Tam wszyscy zawsze pachnieli, a tutaj wsiadłam do trolejbusu i wszystko śmierdziało. Uderzył mnie ten przykry zapach. To było straszne.

Do tego te szare budynki. Miałam duże porównanie, jak mogłoby być, a jak było. Gdy rządził jeszcze Gierek, niedaleko mnie funkcjonował sklep spożywczy, do którego chodziłam. Półki w nim były raczej pełne – nie brakowało nawet czekolady. Później stan wojenny kojarzył mi się właśnie z tym, że mama robiła tzw. wyroby czekoladopodobne i że nie było takiej ilości jedzenia jak za czasów Gierka.

– Coś ty, u nas to nawet żółtego sera nie było. Na wystawie ustawili żółty ser zrobiony z drewna i pomalowany na żółto. U was to było super – mówi mój mąż, który jest z południa Polski. Ja nie odczuwałam, że było super.

Po pielgrzymce ojca świętego coraz częściej zastanawiałam się nad tym, że zmiana jest nieunikniona, że w Polsce musi się coś wydarzyć. Rozumiałam już wiele, umiałam słuchać. To przekonanie o potrzebie zmian narastało we mnie. Jeżeli ludzie zasmakowali lepszego życia, przekonali się, że może być lepiej, wyzwoliła się w nich energia do działania i dążenia do poprawy swojej sytuacji.

No i nadszedł rok 1988. W maju zastrajkowała Stocznia Gdańska. Coraz bardziej czułam, że zmiana jest coraz bliżej. Z Zachodu docierało do nas coraz więcej nowinek. Pojawiła się telewizja satelitarna. Ludzie nagle zobaczyli, jak jest w normalnych krajach. Do tego to nowe tchnienie przywiezione przez Jana Pawła II, który słowami „Jako pierwszą pozdrawiam Gdynię" odniósł się do nas bardzo indywidualnie. To sprawiło, że znów staliśmy się radośni i pełni nadziei. Czuło się wtedy olbrzymi optymizm.

Jak wspomniałam, we mnie też tlił się bunt, choć raczej go nie uzewnętrzniałam. Może wyrażałam go inaczej. Jako nastolatka często słuchałam muzy-

ki, co zresztą robiło całe moje pokolenie. Oczywiście, każdy miał swoich idoli. Wiedziałam, że na Wybrzeżu jest silna reprezentacja zwana Gdańską Sceną Alternatywną, do której należały m.in. Apteka, Bielizna, Dzieci Kapitana Klossa czy Po Prostu.

Ale tego typu muzyka to nie była moja bajka. Byłam fanką Grzegorza Ciechowskiego i Republiki. Wtedy panowała taka nieformalna rywalizacja między sympatykami Lady Pank i Republiki. W szkole czy wśród znajomych ludzie się dzielili na słuchających jednych albo drugich. Być może ktoś celowo to wywołał, by kanalizować emocje młodzieży? Warto byłoby kiedyś pochylić się socjologicznie nad tym problemem.

Już słuchanie Republiki stanowiło pewne uczestnictwo w buncie. Ich piosenki nie popierały socjalizmu. „Kombinat", „Telefony", „Arktyka" czy „Biała flaga" to były wielkie hymny tamtego pokolenia.

Słuchałam jeszcze Jacka Kaczmarskiego. Jego utwory to zawsze była swoista uczta dla uszu i świadomości. Poza warstwą literacką jego piosenki mają bowiem znaczenie polityczne. Ten artysta oficjalnie nie był zakazany. Lecz ktoś, kto go słuchał, dla władzy był potencjalnym buntownikiem i stanowił zagrożenie dla socjalizmu i sojuszu Polski ze Związkiem Radzieckim.

Katarzyna Doliwa-Dobrowolska

kierownik Sekcji Skrzypiec w Szkole Muzycznej I i II stopnia im. Zygmunta Noskowskiego w Gdyni. Z rodziny Eugeniusza Kwiatkowskiego.

W 1980 roku miałam zaledwie 9 lat. W wakacje byłam na wakacjach w Siemierzu u mojego wujka, a kiedy wracałam pociągiem do Gdyni, były już strajki w całej Polsce. Na dworcach olbrzymie tłumy, dorośli pakowali dzieci przez okno jak bagaże, bo nie dało się do pociągu wsiąść normalnie. Nie pamiętam dobrze sierpnia i samego strajku w stoczni. Moje wspomnienia dotyczą raczej ogólnej sytuacji, braków podstawowych towarów w sklepach i sposobów w jaki sobie z nimi radziliśmy. Kiedy tylko miałyśmy z moją sąsiadką wolne, chodziłyśmy na tak zwane łowy. Wyglądało to tak, że szukałyśmy, co można kupić w sklepach. Pewnego dnia na ulicy 10 lutego (naprzeciwko obecnego domu towarowego „Kwiatkowskiego") „u Marchewki "upolowałyśmy arbuza. Byłyśmy za małe, żeby go przynieść, więc toczyłyśmy go chodnikiem do domu. To były naprawdę jedne z lepszych łowów. Któregoś dnia w supersamie na Starowiejskiej upolowałyśmy mrożonego kurczaka. Zadzwoniłam z tą piękną wiadomością do mojej mamy do Urzędu Morskiego. Byłam strasznie dumna. Tak spędzałyśmy wakacje – na polowaniach na zakupy. Na ulicy 10 lutego, tam gdzie teraz bank, był spożywczak. Szłyśmy tam np. po kakao, a potem się przebierałyśmy, zmieniałyśmy fryzury, szłyśmy drugi raz i udawałyśmy, że nie stałyśmy w tej samej kolejce. Sąsiadka z góry mówiła nam, że rzucili np. serek homogenizowany i biegłyśmy do tego sklepu jak najszybciej, byle tylko pomóc mamie.

Po wakacjach zaczęły się normalne zajęcia w szkole a trzeba wiedzieć, że „Jedynka" – szkoła, do której chodziłam – była strasznie „czerwona". Strasznie tępili każdy przejaw niesubordynacji, nieprawomyślnego według nich myślenia. Kazali nam bardzo często recytować „Elegię o śmierci Ludwika Waryńskiego". Pamiętam, że kiedyś pani wychowawczyni chciała mnie wysłać do Domu Partii i powiedziałam, że nie wiem, gdzie to jest, była straszna afera. Teraz wiem, że mieścił się on w dzisiejszej siedzibie ZUS-u, a więc bardzo blisko szkoły, ale wówczas naprawdę tego nie wiedziałam a nauczycielka uznała, że nie chcę wykonać jej polecenia. Na marszach pierwszomajowych była sprawdzana lista obecności i jeśli kogoś nie było, to również była straszna afera. Mu-

sieliśmy robić też gazetki o Leninie, wycinaliśmy czerwone gwiazdy. Ogólnie atmosfera była bardzo nieciekawa.

Nawet w domu rodzinnym, choć rodzice byli bardzo zaangażowani w działalność wówczas jeszcze związkową to w domu niewiele na ten temat rozmawiali. Widziałam wprawdzie ulotki ale starali się nie poruszać ważnych tematów przy dzieciach zwłaszcza że ja chodziłam do „jedynki". Dzisiaj rozumiem ich ostrożność, dzieci potrafią coś palnąć. Nawet jak tata strajkował, to mimo, że wiedziałam o tym bo odwiedzałyśmy go i zawoziłyśmy kanapki to nie rozmawialiśmy o szczegółach, w domu się po prostu o tym nie rozmawiało.

Zapamiętałam dzień wprowadzenia stanu wojennego, bo tego dnia nie było *Teleranka* i to, jako dziecku utkwiło mi w pamięci. Pod naszym oknem, na rogu 3 Maja i Batorego, zgrupowani byli zomowcy. Tam były regularne jatki. Niedaleko były bloki wojskowe i pod tymi blokami i pod kościołem często jeździły skoty, a jak tylko gdzieś zabrała się grupka ludzi to z samochodów, które zamontowane miały sikawki polewali ludzi wodą. W użyciu był też gaz łzawiący. Zomowcy przyjeżdżali i sceny jak z filmu wojennego odgrywały się pod naszymi oknami. Radziłyśmy sobie z żółto-rudymi, gryzącymi w oczy gazami, bo wkładałyśmy okulary do nurkowania. Patrole chodziły ulicami i pilnowały, żeby ludzie nie wychodzili, a my jako „dobre dziewczynki" chodziłyśmy do nich z herbatką…

W szkole muzycznej po 19:00 były zajęcia orkiestry, ale dzieciom nie wolno było wychodzić wieczorami. Miałam specjalny wpis do legitymacji, że kończę orkiestrę, i tak jak wszystkie dzieci, które na nią chodziły, mogłyśmy wyjść na ulicę po godzinie milicyjnej. Wówczas już domu rodzice nie ukrywali swoich przemyśleń. Otwarcie rozmawiali i krytykowali władze, tym bardziej, że tata nie miał już nic do stracenia. Został wyrzucony z pracy gdzie wcześniej był dyrektorem z powodu sprzyjania Solidarności. Na mnie jako dziecku nie zrobiło to wówczas większego wrażenia. Zapamiętałam, że bardzo często zmieniał pracę. Nie wiem dlaczego, może dlatego, że za dużo „podskakiwał". Dla mnie to było normalne. Raz pojechał na przykład do Ameryki i mył okna na siedemdziesiątym siódmym piętrze w Chicago, nie pamiętam gdzie pracował po powrocie, ale potem właśnie w *Rejonowym Dozorze Technicznym*. Później już były strajki i po zwolnieniu zarabiał jako taksówkarz. Podobało mi się to, bo zazwyczaj wówczas już pracował w nocy, więc był ze mną w dzień, woził mnie samochodem. Dla dziecka to było atrakcyjne, i tak to zapamiętałam.

W tamtym czasie byłam za młoda aby czynnie uczestniczyć w jakichś działaniach konspiracyjnych. Nie należałam do żadnej organizacji. W domu były rozmowy o tym, że ludzie się buntują, że kogoś aresztowali. Wiedziałam, że aresztowali m.in. księży, którzy przygotowywali nas do Pierwszej Komunii Widzieliśmy, jak zomowcy pałowali ludzi pod naszym oknem. Dopóki polewali wodą i gazem, nam, dzieciom, wydawało się to niegroźne. Ale kiedy widziałyśmy, że pałują nawet tych ludzi, którzy wyszli wyrzucić śmieci po godzinie milicyjnej, dotarło do nas, że to jest straszne. Zomowcy nie byli sympatyczni. Na zmianę mojego postrzegania świata duży wpływ miał kościół. Ks. Jastak nas uświadamiał, pokazywał niegodziwości władzy. Kiedy przyjechał papież do Gdyni

w 1987 roku, miałam szesnaście lat i bardzo to przeżyłam. Na Skwerze Kościuszki był ołtarz i moi rodzice stali z przodu z babcią. Babcia, jako siostra Kwiatkowskiego, miała miejsce przy papieżu. Nie dopuścili nas tam z siostrą, ale byłam bardzo dumna i wzruszona, że rodzice byli tak blisko Niego. Nie pamiętam dokładnie słów papieża, ale pamiętam, że wydźwięk był taki: Polacy, zróbcie coś! Nie ma wolności, solidarności – trzeba się za to zabrać!

Dotarło wówczas do mnie, że była już chwila kiedy coś się w Polsce zmieniło, że przez krótki czas była namiastka wolności. Nie pamiętałam tego, byłam za młoda. Wolności nie widziałam. Później, jak byłam trochę starsza to miałam bardzo pobożną panią od skrzypiec, która strasznie przeżyła śmierć księdza Popiełuszki. To właśnie od niej wiedziałam, że go porwali i że zginął. Dla mnie, dziesięcio-, dwunastoletniej dziewczynki, ona była jak guru. Od niej wiedziałam, że w Polsce jest źle. Że porywają, mordują ludzi. Moi rodzice, zwłaszcza tata, sami zaangażowani w konspiracyjną działalność chronili nas, dzieci przed rzeczywistością. Ja nie byłam wojowniczką. Słuchałam tylko z babcią Radia Wolna Europa, z którego najbardziej zapadła mi w pamięć melodyjka z początku audycji. Jako dziecku grającemu na skrzypcach bardzo mi się podobała. Dzisiaj to zabrzmi absurdalnie ale jako dziecko, to ja z koleżanką, sąsiadką zajmowałyśmy się w latach osiemdziesiątych zaopatrzeniem domu. Tym, gdzie jest jaka kolejka, gdzie stanąć, gdzie się zmienić. Jako dzieci stałyśmy w komitetach kolejkowych. A jak się udało zakręcić i przyjść drugi raz w drugim ubranku, to już w ogóle było super. Obstawiałyśmy sklep spożywczy przy ul. 10 lutego (tam gdzie teraz jest bank Nordea), mięsny na Starowiejskiej i warzywa i owoce „U Marchewki". Były tam zielone banany, których w ogóle nie dało się jeść, ale to w końcu banany. I pomarańcze z Kuby, w które nie dało się wbić zęba – zielone, suche i wiórowate… Ale było napisane, że to pomarańcze.

Absurdem socjalizmu było to, że posiadanie pieniędzy nie gwarantowało, że będzie co za nie kupić. Wiele artykułów zdobywało się poprzez handel wymienny. Moja mama dawała komuś kapcie, ten ktoś dawał jej włóczkę jeszcze od kogoś innego, ta włóczka szła za mięso, mięso jeszcze za coś innego… Do tej pory pamiętam handel kartkami. Ludzie radzili sobie w taki sposób, że kartki na benzynę smarowali świecą, potem to zdrapywali i wykorzystywali jeszcze raz. To było trochę jak w średniowieczu i oby nigdy już nie wróciło.

Marianna Doliwa-Dobrowolska

synowa Zofii, siostry Eugeniusza Kwiatkowskiego. W latach '80 pracowała w Urzędzie Morskim.

Zaraz po rozpoczęciu strajków sierpniowych panowała wielka dezorientacja. W świadomości społecznej pojawiło się mnóstwo pytań. Co to teraz będzie? Jak zareaguje władza? Co powie Zachód? A przede wszystkim – czy ojciec święty poprze protest robotników?

W Trójmieście nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że wrze w całym kraju. Człowiek nie miał tego wyobrażenia. Państwo Gwiazdowie je mieli i przygotowywali się już wcześniej.

Choć było niespokojnie, sama pojechałam do Gdańska, żeby zobaczyć, jak to wygląda. Mąż był w pracy i tam nocował. Ciężko było się porozumiewać. Do tego brakowało benzyny. Komunikacja miejska stanęła. Tylko SKM-ka jeździła.

U sąsiadki był akurat dziennikarz z Warszawy – Tadeusz Deszkiewicz, który teraz jest doradcą prezydenta Dudy. Chciał wracać i nie miał jak. Do nas na urlop ze Śląska przyjechali brat z żoną. Też nic nie wiedzieli o protestach. A tutaj już był niepokój.

Pojechaliśmy do Gdańska zobaczyć, jak wygląda ten strajk. Wiadomość o nim przyjęliśmy z zadowoleniem, że wreszcie coś się ruszyło, bo przecież pamiętaliśmy Grudzień '70. Sama widziałam wtedy zabitego, którego nieśli na drzwiach.

Niepokoiłam się przede wszystkim o męża, któremu mój brat zawoził koce i jedzenie. Mąż był dyrektorem w przedsiębiorstwie budowlanym, ale zawsze miał poglądy prawicowe, a nie lewicowe. Czytałam jego notatnik. Wynika z niego, że znajdował się w oku cyklonu – między przełożonymi a robotnikami, po stronie których stanął.

Strajkujący pracownicy chcieli samochód, ale powiedział, że nie da służbowego, tylko będzie ich rozwoził prywatnym. Mieliśmy syrenkę, ponieważ mąż pracował w Rejonowym Dozorze Technicznym. Wcześniej był pracownikiem terenowym, więc mogliśmy kupić służbową syrenkę. Wydaliśmy na raty ostatnie pieniądze.

Wjechał nią do stoczni. Jan Karandziej przyszedł do przedsiębiorstwa pięć dni przed strajkiem jako ślusarz. Mąż ciągle z nim jeździł, dzięki temu miał wstęp do stoczni.

Natomiast z Andrzejem Gwiazdą zaczynał politechnikę. Jak pojechał do stoczni służbowo z Karandziejem i jeszcze bodajże z Andrzejem Kołodziejem oraz przedstawicielami strajkujących, Gwiazda powiedział: – To dyrektor, to go nie wpuszczamy.

Rozmawiał też z Wałęsą. Chciał zgłosić do rozmów z rządem postulaty od budowlańców, ale wśród ludzi zdania na ten były temat podzielone. Wałęsa zapytał, czy jest na to zgoda wszystkich. Odpowiedzieli, że nie.

– Jeśli są podzieleni, nic nie zgłaszajcie – miał powiedzieć. To pochodzi z zapisków mojego męża.

Na pewno obawiałam się aktywności męża. Z tym że niepokój pojawił się nieco później, ponieważ on był ze swoją załogą do ostatniej chwili. Załatwił im obiady, porozkładali rzeczy w gabinecie, nocowali wszyscy razem. Było inaczej niż zwykle. Obawy przyszły po tym wypadku, w którym zginął syn Karola Ogrodowczyka, kiedy dowiedzieliśmy się, że ZOMO wjechało i tłukło młodzież pałami.

Mój względny spokój o losy męża wynikał z doświadczeń 1970 roku. W tamtych wydarzeniach uczestniczył także mój brat z Zagłębia. Wtedy mieszkał tutaj i pracował w stoczni; szedł w pochodzie. Można stwierdzić, że ciągle byliśmy w kręgu walczących.

Moja córka Katarzyna należała do harcerstwa. Tomek Milewski był jej opiekunem. Do drużyny należał jeszcze nasz prezydent Szczurek i wielu innych znanych dziś ludzi.

Z rodziną Tomka znaliśmy się od czasów szkolnych. Podczas strajków jego rodzice wypłynęli na swojej żaglówce do Szwecji, a on u nas mieszkał. Darzył sympatią moją Dorotę. Oni byli wówczas zjednoczeni w tym działaniu. Tomek należał do Ruchu Młodej Polski, a Dorota towarzyszyła mu w wyjazdach na modlitwy. Odmawiali różaniec razem z Aliną Pieńkowską.

Pamiętam, że robiliśmy obiady z tego, co mieliśmy. Kiedyś Tomek przyniósł pół kilograma mięsa mielonego. Jego mama była wielką patriotką. Gdy o Eugeniuszu Kwiatkowskim, rodzonym bracie mojej teściowej, nie mówiło się dużo, zorganizowała spotkanie. Przyjechała na nie Barbara Wachowicz, która swego czasu przedstawiała historie słynnych Polaków. To naprawdę było piękne spotkanie. Przyszło na nie bardzo dużo ludzi. Postać Kwiatkowskiego została tam wyeksponowana. Wszyscy bili brawo.

Taka była mama Tomka. Oni wszyscy byli bardzo patriotycznie nastawieni. Pani Milewska, bardzo życzliwa wobec młodzieży i wspierająca ją, była nauczycielką. Pracowała w II Liceum Ogólnokształcącym, do którego chodziła moja starsza córka.

Pamiętam, że na 11 listopada harcerze, w tym Tomek i moja córka, zrobili gazetkę i wywiesili ją w szkole. Powiedzieli, że to z okazji Święta Niepodległości.

– Postawiliście mnie w takiej sytuacji, że teraz musimy rozmawiać o tym święcie – stwierdził na to historyk.

Ta młodzież właściwie cały czas szła swoją drogą i była buntowniczo nastawiona. Gdy zbliżał się 1 maja, powiedziano uczniom, że muszą obowiązkowo iść w pochodzie, bo inaczej nie zostaną dopuszczeni do matury. Nagabywano ich. A oni co zrobili? Przyszyli ubrani na czarno, a obok trybuny, która znajdowała się chyba na ulicy Świętojańskiej, odwrócili głowy. Inne klasy też się w to włączyły. Szli również studenci z Wyższej Szkoły Morskiej. Co prawda mieli mundury, ale również odwrócili głowy przy trybunie.

Ja nie kochałam się w tych pochodach. Nigdy w nie uczestniczyłam, chyba że jako gap.

Wracając do rodziny Milewskich. Tomek zawsze przynosił do nas bibułę wydawaną przez Ruch Młodej Polski. Mąż – nauczony, że jednak trzeba gdzieś pochować takie rzeczy, bo nigdy nie wiadomo, kto i kiedy przyjdzie – zrobił na szafce zabezpieczenie w postaci jakby zaworu z drewnianą śrubą. Chowaliśmy tam te teksty i skręcaliśmy śrubę, żeby przypadkiem nie dostały się w niepowołane ręce. Mieliśmy podstawy, by twierdzić, że okolica jest obstawiona. W pobliżu naszego domu opozycjoniści przenosili bowiem różne rzeczy do kościoła.

Pracował w nim ksiądz Hilary Jastak – osoba, która zawsze przeszkadzała władzy. On też był z nami zaprzyjaźniony.

Z 1980 roku pamiętam jeszcze jeden przykry wypadek z Gdańska. Odbywał się wówczas mecz Arki Gdynia. Przyjechało ZOMO. Chyba jako eskorta kibiców przyjezdnych – tak wtedy mówili.

Okazało się, że zrobili łapankę młodzieży. Syn naszego znajomego został przez nich złapany, pobity i stracony. Nazywał się Ogrodowczyk. Na imię miał chyba Krzysztof. Jego śmierć została upozorowana. Rzekomo skoczył z dachu i się zabił, co było nieprawdą. Podczas dochodzenia działy się dziwne rzeczy. Powiedzieli, że on był w drewniakach, a znaleźli go w zupełnie czyściutkich białych skarpetach. W tamtym czasie nie można było dojść prawdy.

Pisałam nekrolog tego chłopaka, bo jego ojciec był naszym pracownikiem. Msza pogrzebowa, którą odprawił ksiądz Jastak, odbyła się w naszym kościele. Chłopak był po maturze i od października miał zacząć studia w Wyższej Szkole Morskiej. Bardzo przykra historia, którą wszyscy bardzo przeżywaliśmy.

Po części taki był klimat lat 80. Na pewno było dużo obaw, które brały się również z tego, że mąż w swoim zakładzie był niepokornym dyrektorem i władza też chciała się go pozbyć. Znalazłam to w jego zapiskach, a on zapisywał wszystko bardzo dokładnie.

Pracowałam w wydziale rybołówstwa Urzędu Morskiego. Miałam tam bardzo patriotyczne i pozytywne towarzystwo. Opowiadaliśmy się za zmianami i za tym, żeby związki zawodowe mogły legalnie funkcjonować. Wiadomo, jak to było z tymi starymi związkami – istniały głównie jako przybudówka władzy.

Z powodu sympatii politycznych nasz wydział nie bardzo się podobał przełożonym. Pewnego dnia zwolnili jednego z kolegów, który sprzeciwiał się jakiemuś tam zarządzeniu. Szef w formie rozkazu polecił mu zrobić coś nieprawego, już nie pamiętam, o co dokładnie chodziło. Kolega powiedział, że sprawa rozkazów została już załatwiona w Norymberdze. – Od jutra już pan tu nie pracuje – usłyszał.

Komandor był bardzo niezadowolony z postawy tego kolegi. Drugi z dyrektorów powiedział, że od kogo bierze się pieniądze, temu się służy. Przywrócili go do pracy dopiero po zmianie ustroju w 1989 roku.

Mnie przenieśli do wydziału finansowego, do pracy papierkowej. Kierująca nim kobiet była żoną jakiegoś komandora.

Innego kolegę powołali do wojska. Jeszcze inny siedział przy stoliczku i miał spisywać, kto wchodzi do urzędu. Później został przeniesiony do służby ulicznej. Kiedy szedł do domu, ludzie obrzucali go jajkami, a przecież nie był niczemu winien. Musiał wykonywać rozkazy, jeśli dalej chciał tam pracować.

Nie było łatwo. Zresztą nie tylko na polu zawodowym. W 1981 roku wprowadzili kartki żywnościowe. Właściwie cały czas musieliśmy za nimi biegać i rejestrować się w różnych sklepach. Nawet dziadkowie przysyłali te bony dla moich córek, ale one były wydawane regionalnie, więc nie mogliśmy z nich skorzystać. Przykładowo kartka wydana w województwie katowickim upoważniała do zakupów tylko na tamtym terenie.

Kiedy w sobotę mieliśmy trochę wolnego, pędziliśmy na obrzeża Gdyni, żeby coś tam dostać. Chodziło głównie o mięso. Trzeba było nakarmić całą rodzinę. Była nas piątka, łącznie z moją teściową. Ona niby też miała przydział, ale przecież w wieku 80 kilku lat trudno jej było stać w kolejkach.

Na szczęście pomagały dzieci. Kiedy młodsza córka Kasia miała 11 lat, chodziła ze swoją koleżanką z góry i zaglądała do sklepów – żeby sprawdzić, gdzie będzie dostawa i co będzie można kupić. Jeżeli na przykład dostarczyli masło, dzwoniła do mnie do pracy i mówiła, żebym przyjechała tu i tu. Trzymała kolejkę.

Lecz nie wszystkie towary były reglamentowane. Na arbuzy nie było kartek. Pamiętam taką sytuację. Na ulicy 10 lutego, do sklepu pana Marchewki, akurat przywieźli te owoce. Dzieci to zauważyły i poprosiły o największy, a ponieważ nie miały żadnej torby – bo nikt nie spodziewał się, że coś takiego rzucą – toczyły go po chodniku. Dobrze, że był okrągły, to miały łatwiej *(śmiech)*. Kiedy weszły do klatki, Ania, która była większą i potężniejszą dziewczyną, powiedziała, że zaniesie go na trzecie piętro. Chwyciła go, ale, niestety, wyślizgnął jej się z rąk. Kasia była już chyba zmęczona tym toczeniem i nie miała siły targać tego arbuza po schodach. Ten się rozbił, ale wszystko dokładnie pozbierały. Do dzisiaj to wspominają.

Tak to wyglądało. Wszyscy domownicy – w miarę swoich możliwości – troszczyli się o zaopatrzenie, by mieli co jeść.

W tym kontekście zatrudnienie w Urzędzie Morskim miało swoje plusy. Jednym z nich był dostęp do różnych produktów spożywczych. Przykładowo przyjeżdżały szkielety kurczaków. Był na nie przydział. Każdy wydział dostawał tyle i tyle szkieletów. Czasami trafiał się cały kurczak dla każdego, innym razem na cały wydział, czyli dwadzieścia kilka osób, przypadała jedna kaczka lub gęś. Wówczas robiliśmy losowanie. Uśmiechałyśmy się do kolegów, żeby mieli trochę litości i odstąpili coś nam, kobietom. Różnie z tym bywało – jak to z ludźmi. Niekiedy miałam to szczęście i dostawałam tego przydziałowego ptaka.

Wtedy powstawał problem, jak tę żywą gęś dostarczyć do domu. Któregoś razu zadzwoniłam do zakładu męża, ale ten wyjechał z Karandziejem. Mu-

siałam iść na przystanek autobusowy, ale kierowca nie chciał mnie wpuścić z żywym drobiem. I co mi wówczas pozostało? Szłam z tą gęsią przez pół miasta, z Urzędu Morskiego aż na ul. 3 Maja – do Bankowca. Ludzie patrzyli z niedowierzaniem – idzie kobieta i prowadzi ptaka na sznurku, a raczej gna za nim, bo gęś wyrywała do przodu. Dziś się z tego śmiejemy, lecz wtedy miałam na kilka dni jedzenie – i to jakie: świeże drobiowe mięso – dla córek. A jaki pyszny był rosołek!

Na jajka też był przydział. Pamiętam, że swego czasu dostawałam pięć. Trzeba było mieć jeszcze kobiałkę albo coś innego, żeby je w całości donieść do domu.

W trakcie pracy urywaliśmy się do portu na ulicę Polską. Prawdopodobnie ktoś przymykał na to oko... Były tam stołówki dla pracowników połączone ze sklepikami. Jeżeli nam się udawało, ustawialiśmy się w kolejce, nie mówiąc, kim jesteśmy. Udawaliśmy, że jesteśmy pracownikami portu. Dzięki temu mogliśmy kupić kawałek sera żółtego. To wszystko też było wydzielone.

A jeżeli się udało i miało się przepustkę, można było wejść na teren portu. My jako pracownicy Urzędu Morskiego otrzymywaliśmy takowe, ponieważ nasza instytucja miała oddział w porcie rybackim. Okręgowy Inspektorat Rybołówstwa Morskiego znajdował się tam gdzie Dalmor, a przepustki do portu obowiązywały wszędzie. Panowie, którzy wpuszczali nas do portu od strony sklepu, mówili, żebyśmy dalej już się nie zapuszczali.

Czasami udawało się w ten sposób dostać do sklepu mięsnego. Tam nie obowiązywała reglamentacja. Być może później ją wprowadzono, ale kupowaliśmy bez kartek. Z tym że i tak były duże trudności, by się tam dostać. Później na ulicy Starowiejskiej otworzyli sklep komercyjny, w którym ceny niektórych produktów były pięciokrotnie wyższe niż w porcie.

Ostatnio koleżanka, z którą od czasu do czasu się spotykamy, żeby poprzypominać stare czasy, powiedziała: – Słuchaj, ty chodziłaś ze mną do tego sklepu i uczyłaś, jak wygląda mięso wieprzowe, jak wołowe. Mówiłaś, co można z tego ugotować. Wtedy to była moja szkoła życia.

Dla młodej mężatki – na pewno. Tego mięsa po prostu w sklepach nie było. U nas w urzędzie też działał kiosk spożywczy. Co prawda niektóre rzeczy sprzedawali tam na kartki, ale żeby zrobić zakupy, nie trzeba było wychodzić z budynku – wystarczyło się zarejestrować.

Zamieszanie z tymi kartonikami było niesamowite: litera F, litera P1, do kiedy wykorzystać. Może nie powinno się tego robić, ale wymienialiśmy się tymi bonami. Nikt z nas nie palił, więc kiedy rzucano alkohol i papierosy – najczęściej w okresie przedświątecznym – wymienialiśmy je na słodycze. Tak wyglądała walka o byt.

Inny przykład. Były kartki na buty, a nigdzie nie można było dostać odzieży. Moja ciocia była bardzo dobrą krawcową. Trochę mnie nauczyła tego fachu. Miałam trochę rękę do krawiectwa, więc „obszywałam" moje córki. Wykonywałam nawet skafandry, bo najzwyczajniej w świecie nie było możliwości, by je kupić – wszystko co przywozili, zostawało natychmiast wyprzedane, a sprzedawczynie jeszcze odkładały dla swoich znajomych. W tym czasie sklep to było najwspanialsze miejsce pracy.

Był problem z butami. Oprócz tego trzeba było szyć kurtki. Dziergałyśmy także ubrania z włóczki na drutach… Czasem w pracy, kiedy wyjścia kolegów w teren celem sprawdzenia kutrów okazywały się pustymi przebiegami, robiło się pod biurkiem. Dzięki temu mieliśmy w co ubrać dziecko.

Byłam mistrzynią w robieniu kapci. W tamtych czasach robili taką półelastyczną włóczkę. Koleżanki wiedziały, że jak tylko zobaczą ją w sklepie, od razu mają kupić. Robiłam te kapcie na grubych drutach dla dzieci do przedszkola, ponieważ takiego obuwia też nie można było dostać. Potem podszywało się je irchą z rękawiczek, żeby się nie ślizgały. Wszystkich nimi obdzieliłam – są i w Warszawie, i w Krakowie.

Radziliśmy sobie. Każdy pomagał drugiemu, jak mógł. Trzeba było wszystko robić samemu. Zawsze piekłam ciasto do pracy. Cukier był na kartki, dlatego nauczyłam się nie słodzić. I nie słodzę od 1980 roku.

Od Urzędu Morskiego dzierżawiliśmy działki. To były niewielkie parcele, ale uprawialiśmy tam rzodkiewkę, sałatę, koperek i tego typu warzywa. Część terenu znajdowała się na terenie podmokłym i kiedy więcej popadało, kaczki przylatywały, żeby popływać. Rosły tam porzeczki, śliwki… Oczywiście, o ile ktoś wcześniej ich nie „sprzątnął", bo bywało i tak. Dzieliliśmy się tym wszystkim w pracy.

Miałam lżej, jeżeli chodzi o kwestie zaopatrzenia żywnościowego. Podczas nauki w Studium Nauczycielstwa Polskiego w Gdańsku poznałam koleżankę ze Świecia, która hodowała świnie, kurki, gęsi i kaczki. Miała czwórkę dzieci, więc razem było ich sześcioro, a ona jeszcze dzieliła się ze mną. Czasem przysyłała do nas syna, który brał korepetycje z matematyki i fizyki u mojego męża. Niekiedy sama przyjeżdżała, bo musiała przywieźć coś z miasta dla dzieci. Jak robili świniobicie i było świeże mięso, przyjeżdżał jej ojciec, starszy pan.

– Mnie, staruszka, przecież kontrolować nie będą – mówił.

Z kolei ja polowałam dla niej głównie na budyń i kisiel. Zbierałam dla niej to, o co poprosiła.

Na ulicy Chrzanowskiego, na wysokości Urzędu Morskiego, znajduje się schron. Przywozili tam jabłka. Można było kupić tyle, ile się uniosło. Kolejka była tak długa, że stała jeszcze na dworze.

Ziemniaki też zamawialiśmy w pracy, dostarczali je nam do domów. Pewnego razu przywieźli bardzo mokre kartofle z Żuław. Wysypaliśmy w korytarzu, żeby się przesuszyły, a potem chcieliśmy schować do spiżarki. Piwnica była grzana, więc szybko by kwitły. Na drugi dzień zapach tych ziemniaków nie był już zbyt przyjemny. Mój mąż stwierdził, że nie można ich już zbyt długo trzymać. Wziął suszarkę do włosów i suszył każdego z osobna. Wtedy kartofel to była rzecz niemal na wagę złota.

Czy wyczuwałam, że wprowadzą stan wojenny? Mąż mówił mi, że coś się dzieje, że władza nie pójdzie na dalsze ustępstwa względem „Solidarności". Tak naprawdę po rozmowie z nim szykowałam się na najgorsze. O tym, co komuniści mogą zrobić z człowiekiem, wiedziałam od teściowej i jej brata Eugeniusza.

Rodzina Kwiatkowskich po wojnie przeżyła gehennę. Były momenty, że nie mieli co do garnka włożyć. Eugeniusz Kwiatkowski miał zakaz przyjeżdżania do Gdyni, więc to ja z teściową opiekowałyśmy się jego matką Wincentyną. Dlate-

go, mając taki bagaż rodzinnych doświadczeń, byliśmy na swój sposób przygotowani na uderzenie władzy. Ono w końcu nastąpiło – 13 grudnia 1981 roku.

Zawsze rano w telewizji nadawano program dla dzieci [„Teleranek" – red.]. Córka chciała go pooglądać, ale tego dnia go nie wyemitowali. Zamiast tego było migotanie. Potem bardzo szybko dotarło do nas, że Jaruzelski wypowiedział wojnę narodowi. Pozamykał w więzieniach działaczy „Solidarności". Wtedy jeszcze ostrzej zarysował się podziała na MY i ONI.

Nie kojarzę, żeby aresztowali kogoś z naszego bloku. Natomiast w pracy – tak. Pan Jerzy Rosiak został internowany jako wrogo ustosunkowany do państwa i socjalizmu współorganizator strajku w Urzędzie Morskim w Gdyni. Możliwe, że zamknęli jeszcze kogoś z podległych urzędowi jednostek.

Mojego męża zwolnili – został taksówkarzem… Nie załamaliśmy się, musieliśmy żyć dalej. Wychodzimy z założenia, że nie wolno się poddawać!

Kilka dni po wystąpieniu Jaruzelskiego doszło do pacyfikacji w kopalni „Wujek". Mimo to uważam, że na Śląsku ludzie słabo orientowali się w sytuacji. Oni uważali, że my, tu na Wybrzeżu, jesteśmy zbuntowani i strajki u nas są niepotrzebne. Katowice za czasów Gierka były księstwem. Oni tam wszystko mieli. Wiem, bo jeździłam do Sosnowca. Co prawda Sosnowiec nigdy nie był uznawany jako Śląsk, tylko Zagłębie Dąbrowskie, ale w sklepach górniczych mieli wszystko. Moja szwagierka pracowała w przedszkolu wojskowym w Mierzęcicach. Raz w tygodniu podjeżdżał tam wóz i oni mogli kupić wszystko.

W stanie wojennym na bieżąco otrzymywaliśmy bibułę. Na ostatnim piętrze miałam sąsiadkę, panią Halinkę, która pracowała w zakładzie psychiatrycznym na ulicy Władysława IV. Do jej znajomych należała kobieta, która pracowała chyba w biurze Wałęsy. Ta pani przynosiła jej różnego rodzaju materiały. Nie wiem skąd, bo to była wielka tajemnica.

– Nie mogę państwu powiedzieć, sama o wielu rzeczach nie wiem – dla świętego spokoju – mówiła pani Halina Cetner, która niestety już nie żyje.

Można powiedzieć, że sąsiadka pełniła rolę łącznika. Zaglądała do nas prawie codziennie. Lubiła zawsze przynieść i zebrać wiadomości, porozmawiać. Pani Halinka dzwoniła i otwierało jej się drzwi. Jak miała wysoki, wywinięty kapelusz, znaczyło, że niosła w nim bibułę. Bardzo dyskretnie podawała np. „Głos Wybrzeża", bo nie wiedziała, czy oprócz nas jest jeszcze ktoś w mieszkaniu. Później oddałam to wszystko do muzeum.

Nasz kolega z Urzędu Morskiego też przynosił podziemne wydawnictwa. Chodził do portu, kiedy trwały tam strajki. Nie wiadomo było, od kogo i co człowiek dostaje.

Czy znałam Hilarego Jastaka? Oczywiście. Był bardzo odważny i bezpośredni. Gdy odprawiał mszę i wygłaszał kazanie, potrafił powiedzieć: – Ten pan pod filarem, proszę zamknąć drzwi z tamtej strony.

I wszyscy, zamiast na księdza, patrzyli na pana pod filarem. On wszystko widział i wszystko wiedział. Od razu zwracał uwagę, jak mu się coś nie podobało.

Ksiądz Hilary bardzo przejmował się ówczesną sytuacją. Miał brata w Niemczech, też księdza, zresztą bardzo podobnego, przez którego sprowa-

dzał różne dary dla ludzi. To była głównie żywność, ale i odzież. Dał ogłoszenie, żeby zgłaszać potrzebujących w kościele. Prowadził kartoteki. Kiedy na przykład dostał dużo oleju, wysyłał wieści.

– Pamiętajcie o pani Zofii Dobrowolskiej. Niech przyjdzie z butelką – mówił.

Przychodził złożyć życzenia z okazji świąt, imienin albo na inną okoliczność. Zawsze coś miał w swoich przepastnych kieszeniach: a to paczkę rodzynek dla mojej teściowej, a to orzeszki dla dzieci. Jeżeli dzieci miały katechezę w kościele, dawał starszym dziewczynkom watę, mydełko, a młodsze dostawały jakieś słodycze. Nieustannie interesował się, czego kto potrzebuje, i zastanawiał, jak może pomóc. W grę wchodziły też leki.

Starał się wszystko załatwić, ale nie rozdawał niczego na prawo i lewo. Z pomocą wyznaczonych osób z naszego bloku, właściwie prawie wszystkich, przekazywał te dary potrzebującym. Przyjeżdżały tu nieraz takie duże kontenery i zaraz ludzie je obstawiali.

Znajomy ze Świętojańskiej wspomagał księdza Wierzbowskiego w sprawach budowlanych, bo tam wznosili drugą część kościoła. Kiedyś zaprosił nas na indyka z nadzieniem, którego dostali od księdza. Trzeba przyznać, że zagraniczna pomoc była dosyć duża.

Można było z niej skorzystać również u redemptorystów. Tam nawet kuchnie gazowe czy coś takiego przywozili. Wydawali też odzież.

Ci, którzy mogli przekazać coś drugiemu, przekazywali. Rzeczy dla dzieci wymienialiśmy między sobą. Nie było z tym problemu. Dziecko podrosło, więc dawało się następnemu, a samemu dostawało coś nowego. Albo po prostu się mówiło: – Słuchajcie, mam to i to. Komu potrzeba?

Tutaj w bloku mieszkał pan Wójcik, nasz były radny. Było też nowsze towarzystwo, którego specjalnie nie znaliśmy. Ale wszyscy starzy mieszkańcy, którzy wprowadzili się po wojnie, byli zjednoczeni, trzymali razem. Naturalnie najlepiej znaliśmy się z rodzicami dzieci, które chodziły z naszymi do szkoły.

Jak jeszcze wspominam codzienne życie w PRL-u? Listy były cenzurowane. Sprawdzali także korespondencję zagraniczną.

Kuzynka męża, która szła z armią Andersa i była później w Anglii, osiedliła się potem w Kanadzie. Nie miała dokąd wracać. Nie miała tu swojego domu. Poza tym chyba by jej głowę ścięli. Była bardzo zaciekawiona, pytała, co się u nas dzieje, więc trzeba było odpisywać bardzo oględnie. Natomiast listy od niej zawsze przychodziły w folii. Znajdowała się na nich naklejka „List uszkodzony". Ona przeszła gehennę Syberii, więc doskonale wiedziała, co może napisać, a czego nie.

Stefania Drywa-Klóskowska

żona Brunona Drywy, zamordowanego w Grudni 1970 roku. Obecnie mieszka w Sierakowicach. Jest członkiem Stowarzyszenia Grudnia '70.

Moja historia jest bardzo trudna, ciężka i skomplikowana – praktycznie od samego początku. Zaczęłam pracować w wieku pięciu lat. Albo pasło się gęsi za worek ziemniaków, albo pilnowało jeszcze młodszych od siebie, np. jedno – czy dwulatków. Opiekowałam się nawet półrocznym. Proszę sobie wyobrazić: nie miałam jeszcze 10 lat, a już zajmowałam się niemowlakiem. Starsi doglądali krów lub pracowali w stajni czy oborze. Tak wyglądało dzieciństwo niejednego malca na polskiej wsi w pierwszych latach po II wojnie światowej. Tak było i w naszej rodzinie z ośmiorgiem dzieci.

Ojciec w czasie wojny został ciężko ranny. Praktycznie bliscy już się z nim żegnali. Dostał od Niemca trzy kule w płuca. Potem pięć lat leżał w łóżku. To cud, że wyzdrowiał. Pochodzę z bardzo wierzącej rodziny, więc wszyscy modliliśmy się za tatę. Pomogło, bo przeżył i wychował całą ósemkę.

Jednak zanim to nastąpiło, wszyscy musieliśmy robić wszystko, by rodzina mogła przeżyć. Musieliśmy pracować. Każde z nas miało jakieś obowiązki. W wieku 10 lat pasłam krowy we wsi obok – też za worek ziemniaków. Natomiast chłopcy za swoją pracę dostawali worek zboża, z którego robiło się mąkę, a potem mam piekło z niej chleb. Takie to były czasy.

Pasłam te krowy, a w wolnych chwilach pilnowałam dzieci gospodarzy. Oczywiście, wcześniej zostałam poinstruowana, jak obchodzić się z maleństwem, żeby nie zrobić mu krzywdy. Dostałam takie szelki i nosiłam w nich to dziecko. Jak narobiło, to nóżki do góry, zdejmowałam pieluchę, podmywałam i nosiłam dalej. Tak wyglądało moje życie do końca podstawówki. Jak znajdowałam wtedy czas na naukę, nie wiem. Ale lubiłam się uczyć, poznawać historię, pisać i poprawnie mówić po polsku.

Pewnego razu, jakby z Bożej łaski, pojawiła się możliwość wyjechania ze wsi do wielkiego miasta. Zaproponowano mi, a właściwie moim rodzicom, bo musieli wyrazić zgodę, zatrudnienie w Gdańsku.

Wśród naszej dalszej rodziny byli lekarze – Wdowiakowie, którzy mieszkali we Wrzeszczu. Oni wykształcili się jeszcze przed wojną. Moim rodzicom nie było

to dane. Ich młodość, w trakcie której mogliby się edukować, przypadła na czas wojny.

Któregoś razu moja mama spotkała na targowisku w Kartuzach swoją kuzynkę, z którą dawno nie miała kontaktu. Wywiązała się rozmowa, co słychać, jak się wiedzie, ile dzieci, co robią… Mama opowiedziała o chorobie męża, o tym, że jako dzieci musimy pracować u gospodarzy. Dużo mówiła o mnie, że kiedyś pasłam gęsi, potem krowy, a przez cały czas doglądałam młodszych od siebie.

– Daj mi tę Stenię. Ja mam małego, trzymiesięcznego, synka, i drugiego – półtorarocznego. Ona będzie się nimi zajmowała – zaproponowała ta kuzynka.

Tak trafiłam do miasta. Zaczęłam zajmować się dziećmi państwa doktorstwa. Mąż kuzynki mojej mamy był lekarzem wojskowym. Też mocno przeżył wojnę, bo mu Niemcy ojca zabili. Jeden z ich synów również został lekarzem.

Dziećmi we Wrzeszczu zajmowałam się dwa lata. To była praca przez cały dzień, a nawet noc. Miałam jednak też czas dla siebie, dzięki czemu poznałam Gdańsk. Początkowo nie mogłam się nadziwić, jak funkcjonuje taki wielki ośrodek. Tramwaje, pociągi, tyle samochodów, sklepy i ogromna rzesza ludzi. Ale podobało mi się to. Zaczynałam się czuć jak „miastowa". W wielu miejscach jeszcze straszyły zgliszcza i ruiny z II wojny, ale systematycznie odbudowywali miasto. Gdańsk piękniał na moich oczach.

Podczas pobytu tam poznałam także rodzinę moich gospodarzy. Ich siostrze z Warszawy, Halince, urodziło się dziecko. Kobieta zagadnęła do mojej gospodyni, że ta ma już dzieci odchowane i cały czas mnie chwali, więc może zgodziłaby się, bym ja teraz zajęła się jej dzieckiem.

– Daj mi tę Stenię. Niech teraz zajmie się moim skarbem! Ma takie duże doświadczenie, wie co i jak – powiedziała.

Tak trafiłam na dwa lata do Warszawy, gdzie stałam się pełnoletnia. Kończąc podstawówkę na wsi, nie śmiałam marzyć o tym, że przyjdzie mi dorastać w metropoliach. Ale przyjęłam to i byłam z tego bardzo zadowolona. Nie bałam się wyprawy do stolicy. Dwuletni pobyt w Gdańsku przyzwyczaił mnie do wielkomiejskich zasad i niespodzianek.

Warszawa również była bardzo zniszczona, ale wszędzie trwały jakieś roboty, cały czas coś budowano, odbudowywano i rozbudowywano. Ogromnym zaskoczeniem była dla mnie liczba czerwonych autobusów i tramwajów. Cały czas gdzieś jechały i wiozły masę ludzi. Nie mogłam się nadziwić, że Pan Bóg dał mi tyle szczęścia: ja prosta dziewczyna z Kaszub przez Gdańsk trafiłam do Warszawy – do samej stolicy! W dodatku z zapewnionym wiktem i jeszcze wynagrodzeniem. No i zyskałam możliwości rozwoju.

Jak zostałam pełnoletnia, moi lekarze z Warszawy zaproponowali, bym zaczęła się kształcić na pielęgniarkę. Praktykę miałam odbyć w ich gabinetach. Ten fakt miał być najważniejszym argumentem za przyjęciem mnie do technikum pielęgniarskiego. Oni byli bardzo znanymi i cenionymi lekarzami w stolicy. Dodatkowo z racji pochodzenia i tego, że ojciec walczył na wojnie, nie miałabym żadnych problemów z dostaniem się do tej szkoły.

Przyszedł czas na decyzję. Napisałam mocny list do rodziców, że z Warszawy nie wrócę, że jestem już pełnoletnia, że tyle poświęciłam dla rodziny do 14. roku życia. Opisałam propozycje moich gospodarzy. Wspomniałam, że jak skończę technikum, dadzą mi pieniądze na studia i że już zostaję tu na zawsze.

Ton tego listu był bardzo odważny. Natomiast na wsi panowała inna mentalność. Dzieci nie mogły mieć swoich potrzeb, zachcianek, planów ani wyborów. Czasami nie wolno było nawet się odezwać, a tym bardziej sprzeciwiać woli rodziców, bo ojciec to głowa rodziny i to jego decyzje były najważniejsze. Tak nas wychowano.

Napisałam ten list i wysłałam. Położyłam się spać, ale nie mogłam zmrużyć oka. Całą noc myślałam i płakałam – jak ja mogłam coś takiego do rodziców napisać!? Targały mną ogromne wątpliwości i rozterki, a nawet poczucie winy. Przez moment chciałam się zerwać i pobiec na pocztę wyciągnąć kopertę z tej skrzynki, żeby nie doszła do Sierakowic.

Bardzo szybko dostałam odpowiedź od ojca. Kategorycznie żądał mojego powrotu do domu. Straszył, że w przeciwnym razie sprowadzi mnie milicja. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie chce, bym się rozwijała i została w Warszawie. Znów całą noc płakałam. I targały mną sprzeczne emocje i wątpliwości: wracać – nie wracać. Jednak rano się spakowałam i wróciłam do domu.

W Sierakowicach nie miałam ani zawodu, ani perspektyw. Żałowałam tej szansy w stolicy. Lecz pomyślałam, że to Bóg wyznaczył mi taką drogę, bo inaczej nie trafiłabym do Gdyni.

Po jakimś czasie wyszłam za mąż za Brunona Drywę. Gdy zakładaliśmy rodzinę, przyświecała nam myśl, żeby dobrze wychować dzieci i dać im dobre wykształcenie. Co prawda w Sierakowicach były problemy z pracą, ale Bruno skończył zawodówkę, a w tamtych czasach posiadanie zawodu to było coś. Zapisał się też do technikum. Dostał pracę w Porcie Gdynia. Był dokerem, nosił worki.

Z Brunonem miałam troje dzieci: Romana, Gabrielę i Mariolę. Po 10 latach małżeństwa, w grudniu 1970 roku, mąż zginął w drodze do pracy.

Sześć tygodni wcześniej wprowadziliśmy się do bloku przy ul. Młyńskiej, blisko kościoła św. Mikołaja. Wcześniej mieszkaliśmy w Małym Kacku. Na Chyloni Bruno za długo nie pomieszkał w swoim nowym domu. Można powiedzieć, że dopiero zaczynaliśmy się zadomawiać i czuć gdynianami. Bardzo się cieszyliśmy, że tak szybko udało nam się zdobyć mieszkanie. Cały czas mam jeszcze stół z tego gdyńskiego lokum; zabrałam go do Sierakowic. Brunon bardzo lubił przy nim siedzieć.

Tego dnia przyszedł do domu i powiedział, że nie ma pracy w porcie, ze kazali iść do domu. Starałam się wyciągnąć od niego, dlaczego nie ma tej pracy. Powiedział tylko, ze kolejka nie jeździ i że kazali im wrócić do domu. Nic nie wspominał o strajku czy jakimkolwiek proteście.

17 grudnia przyszedł po niego kolega i piechotą poszli do pracy. Dotarli do przystanku Gdynia Stocznia. Zauważyli, że kolejka stoi na peronie pełnym ludzi. Ni stąd, ni zowąd padły strzały. W oddali widać było pełno żołnierzy i mi-

licjantów. Dość szybko zorientowali się, że to nie żarty, że tamci używają ostrej amunicji. Brunon skoczył do pociągu i w tym momencie dostał w plecy…

Nie wiedziałam, co się z nim dzieje. Przez dwa dni nie miałam żadnej wiadomości. Aż tu nagle 19 grudnia, o trzeciej w nocy, zjawili się u mnie jacyś dziwni panowie i poinformowali, że jest pogrzeb mojego męża. Leżał w piżamie w kostnicy na Witominie, z tym że dół był inny, góra inna.

Na pogrzeb pozwolili mi zabrać tylko ośmioletniego Romka. Ten nie uronił ani jednej łzy, a mnie w pewnym momencie urwał się film. Natomiast młodsza córka kompletnie nic nie pamięta.

Cały czas zastanawiam się, jak ja to wtedy udźwignęłam. Ale w końcu mleko się rozlało i musiałam się zebrać w sobie. Taka jestem. Może właśnie dlatego udało mi się dotrzeć na cmentarz i nie rozsypałam się po drodze.

Wróciliśmy do pustego mieszkania. Dziewczynki pytały o tatę. Z nas zrobiono rodzinę bandyty, chuligana, który chciał zniszczyć socjalizm, a on przecież tylko szedł do pracy.

Z Gdyni wyjechaliśmy dzięki szwagrowi, czyli bratu Brunona, który mieszkał na Wzgórzu Nowotki. Był dyrektorem szkoły na Cisowej i radnym Miejskiej Rady Narodowej. Ostrzegł, że komuniści mają jakąś listę, na której jesteśmy, i jako groźnych przeciwników socjalizmu mogą nas wywieźć do jakiegoś obozu w Poznaniu.

– Uciekajcie gdziekolwiek, byle nie do rodziny, bo tam was znajdą. Schowaj się, schowaj dzieciaki – radził. Nie chciał wiedzieć, dokąd jedziemy.

Potem okazało się, że jednak nigdzie się nie ruszamy. Władza ogłosiła jakby taką amnestię dla rodzin, dlatego po trzech dniach wróciliśmy do naszego nowego mieszkania na Chyloni.

Po śmierci Brunona pomagali nam różni ludzie. Najbardziej pamiętam dwóch panów: Bienia i Gromadzkiego. Raz przynieśli kopertę z pieniędzmi, żebym kupiła dzieciom, co jest im potrzebne. Deklarowali również wszelką pomoc. Bardzo chciałabym się z nimi znów spotkać, by jeszcze raz podziękować za otrzymane dobro.

Trzy lata byłam sama. Potem wyszłam za mąż – za Zygmunta Klóskowskiego, z którym mam czwarte dziecko.

Lata 70. upłynęły mi jak we mgle, jakby mnie ktoś obuchem walnął. Było mi obojętne, co się dzieje na zewnątrz. Dla mnie najważniejsze były moje dzieci. Po pogrzebie przez dłuższy okres brałam silne środki antydepresyjne. Dużo chodziliśmy po lesie, na spacery. Starałam się dzieciom zapełnić czas, zastąpić ojca. Udawałam szczęśliwą. Stwarzałam pozory, że już się otrząsnęłam z tej tragedii. Najpierw uśmiech był wymuszony, a potem – wyuczony.

– Tata jest tam u góry, w niebie? – pytały dzieci.

– Taaak – odpowiadałam. – Jest aniołkiem i patrzy na was.

Dzieci okazały się bardzo zdolne. Roman chciał uczyć się w technikum elektrycznym, ale dyrektor szkoły stwierdził, że dziecko chuligana nie będzie tam chodzić. Potem okazało się, ze oni dostali nakaz nieprzyjmowania uczniów z rodzin „grudniowych". Można powiedzieć, że Roman miał wilczy bilet na edu-

kację. Dopiero interwencja szwagra pomogła i syn rozpoczął naukę tam, gdzie chciał.

Był wtedy bardzo zbuntowany. Cały czas myślał o pomszczeniu ojca.

– Ja cię pomszczę! – obiecał mu.

Poprzysiągł sobie, że za to, że zabili mu tatę, on zabije milicjanta w mundurze. Zamiar zemsty powziął już wtedy, gdy stał nad grobem ojca. To postanowienie było bardzo mocne. Żeby zdobyć broń, chciał zostać milicjantem, jednak jako dziecko wrogiego elementu nie został przyjęty. Ta myśl go nie opuszczała. Dlatego cały czas baliśmy się o niego.

Do momentu aż poszedł do szkoły średniej, nie rozmawiałam z nim o śmierci Brunona. O jego planach dowiedziałam się od córki lub kolegi, którym się zwierzał. Ze mną nie chciał rozmawiać. Zamknął się w sobie i chyba bardzo szybo dojrzał mentalnie.

Na szczęście ożenił się; na świat przyszło jego dziecko i to pragnienie zemsty gdzieś się ulotniło. Ślub go zmienił, a być może nawet uratował od nieszczęścia.

Gdyby nie moja silna wiara, to i ja chwyciłabym np. za siekierę. Powiem więcej: gdyby nie ona, pewnie dziś by mnie już nie było. Gdyby nie Matka Boża, do której cały czas się modliłam, ten świat nie miałby dla mnie żadnego sensu.

Na to, co się dzieje dookoła, zaczęłam bardziej reagować, gdy Karola Wojtyłę wybrali papieżem. Dało mi to nową nadzieję. Dzieci też wychowywałam w wierze katolickiej. Mówiłam im, że tylko w Bogu i Matce Boskiej znajdą pociechę.

Jak wybuchły strajki sierpniowe, powrócił lęk. Bałam się, że znów będą strzelać i znów zginą ludzie. Najbardziej bałam się o Romka, że on rzuci się w ten strajk i zacznie działać, bo przecież chce pomścić ojca. Był bardzo młody, ale nie odpuszczał. Można powiedzieć, że wtedy ta tłumiona w nim negatywna energia znalazła ujście, gdyż syn całkowicie zaangażował się w działalność przeciw systemowi. W tych protestach widział nadzieję. Wierzył, że można rozliczyć morderców ojca. Mówił mi, co się dzieje w Gdyni i Gdańsku.

Choć bałam się o niego, wiedziałam również, ze nie mogę zakazać mu tej aktywności. Przypomniałam sobie o zakazie mojego ojca, który nie pozwolił mi zostać w Warszawie. Nie chciałam zrobić tego samego mojemu dziecku. Z jednej strony bardzo bałam się o niego, a z drugiej byłam szczęśliwa, że znalazł cel, że wierzy w słuszność protestu robotników Wybrzeża.

Po zakończeniu strajków Roman interesował się budową pomnika Ofiar Grudnia '70. Przekazywał mi informacje, co się w tej sprawie dzieje. Mówił, że ojca nazwisko będzie wypisane na obelisku, że robotnicy wywalczyli uczczenie poległych, w tym Brunona Drywy. To było dla niego wtedy najważniejsze. Tak naprawdę to on reprezentował naszą rodzinę w tej sprawie.

Dostałam zaproszenie na odsłonięcie obu pomników – w Gdańsku i Gdyni. Okazało się, że na to pierwsze wydarzenie tylko ja mam wstęp. Wtedy pojechałam do siedziby „Solidarności".

– Brunon Drywa miał nie tylko żonę, ale też trójkę dzieci – powiedziałam.

– Ooo, hrabina przyszła… – odezwał się człowiek, z którym rozmawiałam. Nazywał się Knapp.

Wtedy mocno walnęłam ręką w biurko stojące między nami i go zwymyślałam. Za mną wstawili się ludzie przybywający wówczas w pokoju. W konsekwencji dostałam więcej zaproszeń. Byłam jedną z odsłaniających gdański pomnik. Podczas uroczystości mogłam powiedzieć tylko dwa-trzy zdania. Pamiętam, że było bardzo dużo ludzi, a na mszy – pełen kościół. Wśród nich stali bliscy pomordowanych. Pomyślałam: „Ile tu musiało zginąć stoczniowców i zwykłych ludzi, skoro taki tłum jest na uroczystościach". Dotarło do mnie, że nie jestem sama w swojej tragedii. Stały kontakt utrzymywał ze mną Adam Gotner, również postrzelony w grudniu '70.

Na drugi dzień ceremonia w Gdyni rozpoczęła się o piątej rano. Romek też tam był. Czuł potrzebę oddania czci ojcu i pozostałym zamordowanym przez komunistów. Już po odsłonięciu nadal bardzo interesował się działaniami Komitetu Budowy Pomnika Ofiar Grudnia w Gdyni. Później okazało się, że komuniści oddadzą zagarnięte pieniądze. Postanowiono za nie zbudować drugi monument – ten przy urzędzie miasta (wtedy to była ul. Czołgistów).

W grudniu 1980 roku zaczęłam zastanawiać się nad tym, że ta śmierć Brunona po coś była. Tak jak mnie ojciec kazał wrócić do domu z Warszawy, bym wyszła za Brunona, to jego śmierć miała stać się jakimś ziarnem, które wykiełkuje w moim synu i on razem z innymi pokona komunę. Ja przez wiele lat wymazywałam pamięć o Grudniu '70. Chciałam zapomnieć…

Roman jednak cały czas był niepokorny, zbuntowany, wciąż się w coś angażował. Dla niego była tylko „Solidarność" i „Solidarność". Jakby czuł, że ma jakiś dług u ojca i musi go spłacać, działając. Pewnie milicja czy SB też się nim w końcu zainteresowała. Pamiętam, że na Chylońskiej miał spotkania ostrzegawcze z milicjantami, którzy kazali mu opanować się i pomyśleć o bliskich. Co dziwne, nie wzięli go do wojska. Też był wrogim elementem, a takich nie brali, bo mogli wśród innych żołnierzy siać zamęt i podważać sojusz ze Związkiem Sowieckim.

Nie wiedziałam za wiele o jego działalności. To była jego tajemnica. Niczego mi nie opowiadał. Za to ciągle sprawdzałam jego pułki i szafki, czy nie leży tam jakiś nóż, czy – nie daj Bóg – pistolet. Bo w pewnym momencie wyrył na swoim portfelu napis „Tato, pamiętaj – pomszczę cię!". Gdy Zygmunt [drugi mąż Stefanii – red.] to znalazł, przeraziłam się. Jak mocne musiało być to postanowienie Romana! Śmierć ojca nieustannie w nim tkwiła, cały czas ją przeżywał, a kiedy przychodził grudzień, chęć zemsty stawała się jeszcze większa.

Wprowadzenie stanu wojennego to był dla ludzi cios. Zlękłam się, że teraz zabiją Romka. Modliłam się, cały czas modliłam do Najświętszej Panienki, by tak się nie stało. Do naszej piwnicy co jakiś czas były włamania. Ale to nie były zwykłe włamania, ponieważ nic nie ginęło. Zawsze powiadamiała nas o nich milicja, która wtedy musiała wszystko przejrzeć na miejscu zdarzenia – niby sprawdzić, co skradziono.

Tak też przywitał nas stan wojenny. Rano o szóstej przyszli funkcjonariusze. Oczywiście, nie powiedzieli, że cokolwiek zostało wprowadzone. Zjawili się

w sprawie włamania do piwnicy, w której przez zimę stała kolarzówka Romana. Naturalnie jej nie skradziono; nawet jeden kompot nie zginął.

Wydaje mi się, że donoszono na nas, bo ludzie wiedzieli, jaką jesteśmy rodziną. Z jakiego powodu? Szyłam na maszynie pedałowej; tak zarabiałam. Ona mogła wydawać dźwięk jak maszyna drukarska. Dlatego zapewne ci denuncjatorzy meldowali na milicji, że u nas odbywa się coś niezgodnego z prawem. Być może oni myśleli, że u nas działa drukarnia, że my drukujemy dla „Solidarności" i że Roman jest w to zaangażowany, a może nawet ja i mój drugi mąż Zygmunt.

Wtedy dotarło do mnie to, o czym mi już wcześniej mówiono. Byliśmy pod ciągłą obserwacją Służby Bezpieczeństwa, że dla władzy byliśmy wrogim elementem antysocjalistycznym, na który cały czas trzeba mieć oko.

Również Zygmunt miał spore kłopoty w pracy. Ani awansu, ani podwyżek czy jakichś talonów. Inni dostawali, a Zygmunt – nie, bo ożenił się z żoną chuligana i bandyty z Grudnia '70.

O tym też informował nas szwagier, Leon Drywa. On jako radny na pewno wiele wiedział. Nieraz nam pomagał i przestrzegał. Pewnie sam także reagował, nawet mi o tym nie mówiąc, by nie denerwować.

Był moment, kiedy Roman z kolegą z klatki obok chcieli uciec za granicę. Potem mu to przeszło. W wieku 19 lat ożenił się i wiele w jego postawie się zmieniło, choć ja pewnie za wiele nie wiem. Na pewno angażował się w „Solidarność". Jako matka bałam się o niego – nawet kiedy już sam założył rodzinę.

Bardzo mocno przeżyliśmy wizytę ojca świętego w czerwcu 1987 roku. Byliśmy wtedy na skwerze Kościuszki. Choć staliśmy dość daleko od ołtarza, traktowałam to wydarzenia jako moje wielkie święto. Doczekałam się przyjazdu Jana Pawła II do Gdyni. To tak, jakby przybył mój ojciec i dał błogosławieństwo.

Uczestniczyliśmy również we mszach w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa. Raz mocno zdenerwowałam się na córkę Gabrysię, bo ona chciała zostać na nocnym czuwaniu. Nie chciałam się na to zgodzić. Wiedziałam, że wszędzie jest pełno ZOMO i milicji. Istniało duże prawdopodobieństwo, że młodzi ludzie po wyjściu z kościoła zechcą pójść ze zbuntowaną młodzieżą na przykład pod pomnik Grudnia '70 albo pod urząd miasta, by protestować. A potem by ją spałowali – i to w najlepszym wypadku. Mogli przecież zamknąć, a o najgorszym nawet nie chciałam myśleć.

– Gabrysia, idziemy! – zarządziłam. Ona, że nie, że zostaje. To przekomarzanie trwało kilka minut. Zdenerwowałam się i podniosłam głos, grożąc, że zaraz dam jej w twarz. Na szczęście wtedy to ją przekonało; wstała i z nami wyszła.

Choć w tamtym czasie otrzymaliśmy wiele pomocy, mam żal. Przez tyle lat nigdy nikt z zarządu portu nawet nie zapytał, czy czegoś potrzebujemy. Nigdy nie usłyszałam od ówczesnych władz słowa „przepraszam". Mam wrażenie, że ci wszyscy mordercy, esbecy, komunistyczni żołnierze nie mają w sobie ani krzty człowieczeństwa. Ci z portu nie są lepsi. Esbek pozostanie esbekiem.

Dorota Dunst

maturzystka w 1982 roku. Gdynianka od czterech pokoleń. Mieszka w Orłowie. Dyrektor V Liceum Ogólnokształcącego w Gdyni. Członek NSZZ „Solidarność". Radna Rady Dzielnicy Orłowo,

O tym, że jest źle, wiedziałam już, będąc siedmioletnim dzieckiem, gdy przeżyłam grudzień 1970 roku. Mieszkałam przy ulicy Kapitańskiej. Blok był stoczniowy, więc praktycznie wszyscy mieszkańcy w niej pracowali. Znaliśmy się wszyscy i wszystko o sobie wiedzieliśmy. Tworzyliśmy wspólnotę, jakby wielką rodzinę.

W tych tragicznych dniach grudnia '70 chodziłam po domu na czworaka, dlatego że padały strzały. W 1980 roku byłam już 17-letnią dziewczyną po drugiej klasie liceum. W lipcu normalnie wyjechałam z rodzicami na wakacje. Wróciliśmy w połowie sierpnia i trafiliśmy na strajk. Zostałam w domu z mamą i sześcioletnią siostrą. Do tego wszystkiego mama zachorowała – miała zapalenie żył głębokich w nogach, więc została unieruchomiona w łóżku. W efekcie zajmowanie się całym domem spadło na mnie. Tata został w stoczni, a ja musiałam to wszystko ogarnąć.

Na szczęście mieszkaliśmy pośród bardzo życzliwych ludzi. Przychodzili sąsiedzi; wieczorami spotykaliśmy się i słuchaliśmy Radia Wolna Europa. Wyszukiwaliśmy informacje o dziejących się wydarzeniach.

Muszę przyznać, że wszystkie służby w Gdyni, które akurat nie strajkowały, były bardzo życzliwie nastawione względem strajkujących. Kiedy tata zadzwonił ze stoczni do ośrodka zdrowia i powiedział, jaka z mamą jest sytuacja, lekarz zjawił się u nas prawie natychmiast. Zaopatrzył mamę, dał wszystkie lekarstwa. Ta opieka faktycznie była doskonała.

Codziennie chodziłam pod stocznię. Zresztą szliśmy tam całą gromadką – praktycznie wszystkie dzieci, młodzież i rówieśnicy z mojego bloku – żeby zobaczyć, co się dzieje i móc przekazywać stamtąd wiadomości. To była wspólna akcja nas wszystkich, mieszkańców bloku stoczniowego przy ulicy Kapitańskiej 31. Nosiliśmy tam, co mogliśmy, co się ugotowało.

Potem, kiedy zaczęły się msze w stoczni, człowiek przychodził na określoną godzinę i stał pod bramą albo na pomoście nad torami, bo stamtąd było więcej widać. Chciało się uczestniczyć w tych wydarzeniach jak najczęściej

i jak najmocniej. Chciałam zdobyć jak najwięcej wiadomości, żeby jak najwięcej przekazać mamie, która się denerwowała i nie mogła tam chodzić.

Z ojcem spotykałam się koło bramy. Tak rozmawialiśmy – przez pręty. Tata mnie uspokajał. Mówił, żebym się nie denerwowała, że wszystko będzie w porządku, że sam był członkiem poczty strajkowej i tam działał, że grudzień 1970 roku się nie powtórzy. Nie mówił, co dzieje się w innych strajkujących zakładach. Być może czasami ja wiedziałam więcej. Słuchałam wiadomości w Radiu Wolna Europa. Zdarzało się, że o niektórych doniesieniach dowiadywał się ode mnie.

Wiedziałam, kim są Andrzej Kozicki i Andrzej Kołodziej. Wypisywałam też nazwiska z Gdańska i wśród nich pojawiło się np. Wałęsa. Wyglądało to w ten sposób, że pisałam to, czego się dowiedziałam, na karteluszkach i później tylko przekazywałam informacje.

Pod stocznią byłam codziennie. Denerwowaliśmy się, bo pamiętaliśmy doświadczenia z grudnia 1970 roku. Wprawdzie wtedy – może na szczęście – mój tata przebywał na zwolnieniu lekarskim, gdyż był akurat chory na ospę, ale tamte wydarzenia przeżyliśmy bardzo mocno. W domu nigdy niczego nie zatajano, zawsze o wszystkim się mówiło.

Tata należał do delegacji, która w styczniu 1971 roku pojechała ze stoczni na rozmowy z Gierkiem. Jak wrócił, opowiadał, że kiedy wsiedli do autokaru i mieli jechać do Warszawy, okazało się, że wcale tam nie jadą, tylko gdzieś za Gdańsk. Nie wiedzieli dokąd. Wówczas nie wiedział, czy wróci.

Podczas sierpniowego strajku jeden raz – ze względu na chorobę mamy – dostał przepustkę. Wpadł dosłownie na godzinkę, umył się i wrócił. To było naprawdę wyjątkowe, bo wiem, że stamtąd nie wychodzili.

Jak sobie radziłam w tym czasie? Z jednej strony tato strajkujący w stoczni, a z drugiej chora mama i dom na mojej głowie. Ale byłam doświadczona. Dodatkowo pomagała rodzina z Chwaszczyna. Miałam już prawo jazdy, więc mogłam do nich podjechać. Chociaż głównie poruszałam się po Gdyni rowerem.

Angażowano mnie do wszystkiego. Bardzo szybko stałam się dorosła właśnie przez to, że mam siostrę młodszą o 11 lat. Ja jej bardziej matkowałam, niż miałam z nią siostrzane relacje.

Zakupy również robiłam. Mieliśmy na Kapitańskiej sklepik osiedlowy. Panie mnie już znały, bo chodziłam tam non stop. Na Grabówku istniała piekarnia Kwaśniaka, więc zawsze mieliśmy w domu świeży chleb. Ponieważ tata udzielał się również lokalnie, niektórzy – jeżeli wiedzieli, że mama jest chora – przynosili nam jedzenie. Poza tym pomagali nam też niektórzy rodzice uczniów znający mamę ze Szkoły Podstawowej nr 17 na ulicy Grabowo, gdzie uczyła.

Kiedy dowiedziałam się, że strajk się skończył i wychodzą ze stoczni, wzięłam psa i wyszłam po tatę. Spotkaliśmy się po drodze i przyprowadziłam go do domu. Siostra była bardzo szczęśliwa. Miała sześć lat i bardzo tęskniła. Czasami brałam ją pod stocznię. Uznaliśmy jednak, że stocznia nie jest dla niej najlepszym miejscem, więc te jej wycieczki do taty były raczej sporadyczne.

Czy rozmawiałam ze znajomymi o bieżącej sytuacji? Z powodu wakacji kontakt z ludźmi z mojego liceum był utrudniony, ale spotykałam się z osobami, z którymi chodziłam do szkoły podstawowej. Po powrocie do szkoły w VI LO z grupką młodzieży roznosiliśmy ulotki i organizowaliśmy niezależny ruch uczniowski. Nawet trzymam gdzieś skserowane deklaracje. Tworzyło się to na normalnej maszynie do pisania i trzeba było podpisać.

Na bieżąco śledziłam rozwój „Solidarności". Byłam w środku tego zjawiska. Nie tylko przez ojca, ale też przez mamę, która zakładała „Solidarność" u siebie w szkole. Jeździła na spotkania i opowiadała, jak ktoś ich pilnował, przez co musieli przechodzić z jednego budynku do drugiego. Mam w notesiku zapiski mamy z pierwszych wyborów Międzyzakładowej Komisji Nauczycielskiej: nazwiska, liczba punktów, mandatów, przebieg głosowania… Po prostu byłam tym przesiąknięta. Później jeździłam z mamą na spotkania nauczycielskiej „Solidarności". W stanie wojennym odbywały się one przeważnie w podziemiach kościołów.

Było dla mnie oczywiste, że muszę w tym działać. Gdzieś podświadomie brałam przykład z taty, który w młodości był harcerzem, działał i przez pewien czas pracował w przystoczniowej szkole, z którą związany był m.in. Jurek Miotke. Notabene później pracował z nim w stoczni. Opowiadał, że chcieli mieć prawdziwą przysięgę harcerską i złożyli ją z moim ojcem. Jak spotykam się z Jurkiem 11 listopada na mszy w kościele św. Andrzeja Boboli, to o tym wspomina.

– To jest rocznica mojego przyrzeczenia harcerskiego w lasach na Grabówku – mówi.

Po podpisaniu porozumień sierpniowych każdy wierzył, że musi się udać, że dojdzie do zmiany na lepsze. Panowało przeświadczenie, że niemożliwym jest, aby zatrzymać taką oddolną inicjatywę, która poruszyła tyle milionów ludzi.

Stan wojenny przyjęłam strasznie. Chodziłam do klasy maturalnej. 13 grudnia, niedziela i świat się zawalił. Nie wiadomo co, nie wiadomo jak, nie wiadomo, czy wyjść z domu, ruszyć się, czy jeździć. W szkole każdy się zastanawiał, jak w ogóle zdamy maturę, czy ona się odbędzie, czy nie będzie jakiegoś ataku.

Moi rodzice byli poddenerwowani, ale za bardzo nie dawali tego po sobie poznać. Dalej działali, dalej spotykali się z różnymi osobami. Na przykład z panem Kardasem, przyjacielem mojego taty, którego później aresztowali. On pracował w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa i wzięli go za ks. Jastaka, bo był od niego starszy. W sumie zatrzymali wtedy dwóch księży i jego.

Takie to były czasy. Człowiek wiedział, że niektórzy gdzieś działają, ale nie mówiło się o tym głośno.

Ważne dla mnie było uczestniczenie w mszach za ojczyznę. Chodzenie na nie traktowałam w kategoriach moralnej powinności – że trzeba tam być i nie da się inaczej.

Mimo panującej sytuacji i atmosfery wierzyło się, że musi być lepiej, że to się musi kiedyś skończyć. Była nadzieja. Nadzieja, że to w końcu runie.

Pamiętam pochód pierwszomajowy w 1982 roku. To było tuż przed moją maturą. W szkole powiedziano nam, że udział w tym przemarszu jest obowiązkowy, bo inaczej nie zdamy matury. Umówiliśmy się, że przed trybuną, która znajdowała się na skwerze Kościuszki, odwracamy głowy i tak przejdziemy.

Po tym pochodzie byłam umówiona z tatą w okolicach placu Kaszubskiego. Poszliśmy na mszę za ojczyznę. W pewnym momencie zobaczyłam, że defilada porusza się w drugą stronę *(śmiech)*.

To były naprawdę bardzo dziwne czasy. I bardzo niebezpieczne. W momencie robienia czegoś zakazanego człowiek nie zdawał sobie sprawy z tego, co może się zdarzyć.

Mam tu na myśli choćby chodzenie pod pomnik Ofiar Grudnia '70. Mieliśmy z tatą taką tradycję, że zawsze byliśmy tam rano – niezależnie od tego, czy można było, czy nie. Szliśmy tam zawsze, bo to był kawałek naszego życia, kawałek historii.

Mama przeszła na emeryturę w 1986 roku, trochę z wilczym biletem. – Może byś dostała jakąś nagrodę, ale musisz się zapisać do tych innych związków, a ty przecież działałaś w „Solidarności". Nie należysz do partii, do żadnego stronnictwa… – powiedzieli jej. Przełożonym w szkole jej aktywność konspiracyjna bardzo się nie podobała.

Papieska pielgrzymka w czerwcu 1987 to był dla mnie wspaniały czas. W marcu urodziłam syna. Nie byłam na skwerze; poszli tam rodzice z siostrą. Ja czekałam na trasie przejazdu. Stałam z wózkiem na ówczesnych Czerwonych Kosynierów, obecnie Morskiej. Jana Pawła II witał wspaniały ks. Zawadzki, który udzielał mi ślubu. Ten moment, gdy ojciec święty do nas machał... To były cudowne, niezapomniane chwile. Następnego dnia chciałam pójść na skwer Kościuszki, żeby chociaż zobaczyć tę oprawę i niejako jeszcze raz to przeżyć. Jednak ze względu na małe dziecko nie zdecydowałam się na to.

Pamiętam też pierwszą pielgrzymkę – wizytę Jana Pawła II w czerwcu 1979 roku, kiedy „Solidarności" jeszcze nie było. Przyleciał w sobotę. Nie poszłam do szkoły – wtedy w soboty jeszcze się chodziło. Do domu zadzwoniła moja wychowawczyni z pretensjami, że mnie nie ma. Rodzice powiedzieli, że uważają, że powinnam być w domu i oglądać w telewizji transmisję przyjazdu ojca świętego. Od tego momentu w szkole miałam troszeczkę pod górkę.

Chodziłam do „Szóstki", gdzie kładli duży nacisk na naukę. Natomiast w ramach odwilży, kiedy już powstała „Solidarność", pozwolono nam tworzyć ruch uczniowski. Później najczęściej sprowadzało się to do tego, że przekazywaliśmy sobie informacje ustnie, a nie formalnie. Wiedzieliśmy, którym osobom możemy zaufać, które osoby z klasy są zaangażowane, a które nie.

Kiedy chodziłam do szkoły, obowiązywała godzina milicyjna. Raz poszliśmy do teatru i w drodze powrotnej spotkał nas patrol milicji. Powiedzieliśmy, że wracamy z teatru. Oni się spytali, na czym byliśmy. Na słowo „Szewcy" w ogóle nie wiedzieli, o co chodzi.

À propos godziny milicyjnej. Studniówka w 1982 roku odbywała się tak, żeby zdążyć do domu przed tym ograniczeniem w poruszaniu się. Impreza tradycyjnie była w szkole i zaczęła się koło godziny 15-16. Wszystkie okna zakle-

iliśmy szarym papierem, żeby choć trochę stworzyć atmosferę. Jedzenie trzymaliśmy w salach lekcyjnych, a salę balową urządziliśmy na korytarzu na drugim piętrze. Bawiliśmy się, ale jednocześnie denerwowaliśmy, żeby zdążyć do domu przed 22. Później studniówka przeniosła się do domów uczniów. W nich bawiliśmy w małych gromadkach do białego rana.

Ale niektórych milicjantów i patrole ze stanu wojennego wspominam bardzo przyjemnie. Kiedy jeździło się do Chwaszczyna, na drodze stały bramki i trzeba było przez nie przejechać. Myślę, że ci milicjanci za dobrze nie wiedzieli, co robią i czego pilnują. Niektórych wyrwali z rodzinnych domów i kazali pilnować. Byli bardzo wdzięczni, kiedy przywoziło im się np. butelkę ciepłego mleka.

Po skończeniu liceum trafiłam na matematykę na Uniwersytecie Gdańskim. Na pierwszym roku raczej zajmowałam się nauką, później – w ramach różnych zawirowań – poza studiami miałam kilka godzin w szkole, więc zaangażowałam się bardziej w działalność szkolną. Studia skończyłam w 1987 roku.

Gdy patrzę na to wszystko z perspektywy lat, wiem, że dziś na pewno zrobiłabym tak samo. Może – wiedząc, jaka będzie finał – zaangażowałbym się jeszcze bardziej. W tamtych realiach człowiek robił to, co uważał za stosowne, i postępował tak, jak uważał, że powinien. Taką postawę rodzice – i nie tylko oni – wpajali mi od początku.

Wychowywała mnie moja prababcia, która zmarła w 1979 roku, mając 86 lat. Opowiadała, jak jej brat dostawał w szkole po łapach za to, że mówił po polsku. Ten patriotyzm był we mnie od maleńkości i nie wyobrażam sobie, żeby w chwilach próby zachowywać się inaczej.

Joanna Falkiewicz

w latach osiemdziesiątych dziecko. Córka Jerzego Miotke. Pilnowała esbeków podczas przeszukań mieszkania. Pracownik Urzędu Miasta Gdyni.

Sierpnia '80 w ogóle nie pamiętam, bo miałam wtedy rok. Kojarzę za to, że w stanie wojennym dostawaliśmy paczki z Caritasu. Przychodziły z Niemiec, z okolic Bawarii. Były w nich m.in. słodycze – przepięknie opakowane, przesmaczne, ślicznie wyglądające, kompletnie u nas nieznane. To były np. gumy do żucia – kuleczki ułożone jedna obok drugiej w opakowaniu. Zawsze ustalałyśmy z siostrą, że nie zjemy ich natychmiast. Starałyśmy się te kulki racjonować i jeść po jednej dziennie. A kiedy zostawała ostatnia, dzieliłyśmy ją na pół.

Z opowieści znam jedną bardzo ciekawą historię z tamtego okresu. Dotyczy ona zakupu wykładziny. Moja mama (Małgorzata Miotke) jest wielką estetką. Bardzo zwraca uwagę na szczegóły. Zawsze pięknie wygląda; ma wyjątkowy gust. Tata (Jerzy Miotke) próbował zdobyć wykładzinę do mieszkania, a ponieważ czasy były okropne, wszystko zostało „wyczekane" w listach kolejkowych. Mama zapragnęła dwóch rodzajów wykładziny. Przez wujka, który pracował przy urządzaniu statków, znaleźli dojście do nowej dostawy.

Mama dała tacie odpowiednie instrukcje. – Wykładzina ma być zielona i brązowa – innej nie bierz – instruowała.

Tata czekał na tę wykładzinę półtora dnia. Przyjechał zadowolony, że są dwa rodzaje, w takich kolorach, w jakich miały być. Mama miała przygotowane piękne zasłony w kolorze oliwkowym. Babcia specjalnie uszyła je na maszynie. Tata dał mamie te wykładziny i, owszem, brązowa była jak najbardziej, natomiast zielona miała kolor turkusowy i kompletnie nie pasowała ani do zasłon, ani do niczego, co mama przygotowała. Leżała więc u nas w mieszkaniu jeszcze przez 20 lat. Takie są moje pierwsze wspomnienia z tamtych czasów.

Moje dzieciństwo przypadło najpierw na okres powołania „Solidarności", potem stanu wojennego i reszty lat 80. Dobrze pamiętam wizytę Służby Bezpieczeństwa. Był 1986 rok, czyli trochę bliżej końca PRL-u. Funkcjonariusze odwiedzali nas celem przeszukania mieszkania. Na pewno były już wakacje, bo z moją o rok starszą siostrą miałyśmy już świadectwa i cieszyłyśmy się z dobrych ocen. Któregoś dnia pod domem dość długo stał samochód wiadomej marki. Wszyscy sąsiedzi, którzy śledzili sytuację przez okno, wiedzieli, kto to jest i do kogo idzie.

Między klatkami A i B było przejście piwnicą. Sąsiadka przechodziła do mamy tą piwnicą i razem przeglądały, co się dało. Brały książki, wyciągały pojedyncze bibuły, które tata poukrywał, a potem sąsiadka zabierała te bibuły w książkach i wracała piwnicą do swojego mieszkania. Doskonale wiedzieliśmy, gdzie są pochowane te dokumenty. Były nawet pod słynną wykładziną. Tacie nie udało się zakonspirować we własnym domu *(śmiech)*.

Panowie do nas zapukali – przypuszczam, że mieli jakiś dokument informujący o rewizji, który pokazali mamie – i powiedzieli, że tata został zatrzymany w stoczni, bo miał jakąś bibułę w swojej szafce, a oni mają obowiązek przeszukać mieszkanie. Dwóch obcych facetów grzebiących w rzeczach, łącznie z zabawkami i ubraniami, wywołało we mnie bardzo dziwne uczucie.

Pod łóżkiem piętrowym miałyśmy z siostrą wielką szufladę. Chowaliśmy w niej zimowe rzeczy. – Idźcie z tym panem, a ja będę pilnowała tego pana – powiedziała mama. Zdawała sobie sprawę, zresztą jak my wszyscy, że panowie specjalizowali się w podkładaniu dokumentów.

Wiedziałyśmy też, co jest w tej szufladzie, bo codziennie w niej gmerałyśmy; to było jedno z naszych ulubionych miejsc. W pewnym momencie jeden z panów wyciągnął z niej ryzę papieru, która nie należała do nas. Chyba wyjął ją spod kurtki i podłożył. W tym czasie drugi pan opowiadał, jakie mamy piękne świadectwa szkolne. Mówił, że niesamowicie dobrze się uczymy. Wyszli bardzo zadowoleni, że udało im się sprokurować dowody winy taty.

Ten wrócił do domu chyba po 48 godzinach. Pamiętam, że wrócił nieogolony i to było dla mnie szokiem, bo w życiu nieogolonego tatę widziałam jeszcze tylko raz – kiedy miał zawał i leżał w szpitalu. Ale to było już po 2000 roku. Wiedziałam, że taki widok oznacza coś niedobrego...

Jak go zatrzymali, nie miałyśmy z siostrą świadomości, gdzie jest. O jego podziemnej działalności mama starała się nam mówić jak najmniej. Myślę, że tata też mówił jej niezbyt wiele. Bardzo się starał, by nie uwikłać nas w te sprawy.

Jednak konspiracyjną atmosferę w domu się wyczuwało. Wiedziałyśmy, że w domu są jakieś gazetki czy ulotki z pieczątkami. Jako dzieci traktowałyśmy to na zasadzie, że ktoś coś napisał, wydrukował, podstemplował. Wiedziałyśmy, że są poukrywane dokumenty, że nie możemy ich wyciągać, że sąsiadka –pani Basia – przyjdzie i zabierze je w książce. Natomiast absolutnie nie mówiło się w domu, że są to działania nielegalne. Nie mówiło się, gdzie jest tata i dlaczego wrócił nieogolony. Rodzice starali się, by w naszych oczach jego aktywność konspiracja nie jawiła się jako coś patetycznego, podniosłego. Przypuszczam, że było tak, żeby nas nie straszyć i chronić.

Ta aktywność ojca zawsze się gdzieś przewijała. Zawsze była z nami. Mieliśmy ustalone priorytety, więc była dla nas czymś naturalnym. Nie czuliśmy się jak konspiratorzy czy uczestnicy buntu. W domu zawsze wisiał symbol „Solidarności" i hasła wolnościowe.

Rodzice nie instruowali nas, z kim możemy rozmawiać, a z kim nie. Myślę, że mama też była takimi sytuacjami mocno zaskoczona. Pamiętam, że była zdenerwowana. Zresztą – kto by nie był?

– O, mamo, przyjechali – mówiliśmy jej na widok znajomego samochodu.

– Przyjechali, pewnie znowu przylezą – komentowała.

Nie było straszenia, mówienia, że tata może w jakiś sposób przez to ucierpieć albo że działa w słusznej sprawie. Absolutnie nie było też jakiejś presji ze strony przyjeżdżających funkcjonariuszy.

Życie poza domen toczyło się dla mnie normalnie. W żaden sposób nie odczuwałam tego, że tata jest działaczem opozycji. Dzieciaki niekoniecznie rozmawiały między sobą na ten temat. Jeżeli widziałam jakieś napisy, to jakby wtopione w otoczenie i nie było dla mnie niczym szokującym. Znaczki „Solidarności" były na porządku dziennym. Wszystko to było dla mnie naturalne.

Dość dramatyczna sytuacja obrazuje zaangażowanie taty w uczczenie przyjazdu Jana Pawła II w Gdyni w 1987 roku. Rodzice mieli piękny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i obawiali się zostawić go na zewnątrz, przy ulicy. To był taki wędrujący obraz przekazywany bodajże między parafiami na powitanie ojca świętego.

Żeby nie trzeba było stać całą noc i pilnować tego malowidła, żeby nikt go nie zniszczył, rodzice postanowili postawić je na terenie szkoły. Jednak nie zrobili tego normalnie, tylko wstawili przez płot, gdyż dyrektorką tej placówki była przeokrutna komusza pani. Mama miała potem przez nią ogromne problemy. Ustawienie tego portretu dyrektorka odebrała jako manifestację polityczną. Nie wiem, w jaki sposób mama ubłagała ją, żeby jej nie zwolniła. Wtedy atmosfera w domu nie była najlepsza. Rodzice dość mocno się ścierali, bo mamie groziła utrata pracy z politycznego powodu. Nie wiem, czy zainstalowanie obrazu przez płot było uzgodnione z mamą i czy ona w ogóle była świadoma, że on tam stoi. Nie pamiętam tego dokładnie.

Nie pamiętam też samej mszy. Wiem, że ojciec stał gdzieś bardzo blisko papieża. W noc przed liturgią, w trakcie przygotowań do pielgrzymki, na skwerze Kościuszki po cichu zakopywano transparenty, bo przecież nie można było wnieść ich legalnie. Rano je wyciągnęli. Kojarzę kilka zdjęć z tamtego wydarzenia, ale z samego pobytu – niewiele.

Z podziemnych akcji taty pamiętam nieoczekiwanego gościa w naszym domu. Nie wiem dokładnie, który był to rok. Ukrywał się u nas znajomy ojca, którego ówczesne władze usilnie ścigały. Rodzice przedstawili go nam jako kolegę taty, który przez jakiś czas będzie z nami mieszkał. Wieczorem czytał nam bajki. Ciągle dawałyśmy mu jedną książkę. W bajce była mowa o gwieździe anielskiej, którą on ciągle przekręcał na gwiazdę angielską. Zaśmiewałyśmy się do łez i podtykałyśmy mu co wieczór ten sam tytuł, żeby poczytał więcej o tej „gwieździe angielskiej".

Ostatnio spotkałam się z nim na zupełnie innym polu i postanowiłam zapytać, dlaczego spędził u nas rok, przed czym się ukrywał. Zapytałam wprost, jaka była jego działalność. Spojrzał na mnie i powiedział, że nie pamięta. Zrobiło mi się przykro i nie chodziło nawet o to, że mnie zbył. Pomyślałam, że rodzice ryzykowali dla niego swoją i naszą przyszłością, a nawet życiem, ponieważ mogli mieć z tego tytułu nieprzyjemności. Powiedziałam mu, że najwyraźniej teraz zapominanie jest bardzo modne.

– Wiesz, są ludzie, którzy żyją takimi wspomnieniami i piszą o tym książki, a ja jestem człowiekiem, który woli zapomnieć i nie opowiadać – stwierdził.

Przypuszczam, że nawet swoim dzieciom nie opowiedział, jak działał, co robił. Opowiedziałam o tym później tacie.

– Ten człowiek zawsze był dziwny – to był jego cały komentarz na ten temat.

Ostatnio bardzo zaskoczyła mnie wystawa, która najpierw stała na placu Grunwaldzkim, a potem pod kościołem Najświętszej Marii Panny. Powstała w ramach Festiwalu Niepokorni Niezłomni Wyklęci. Na ogromnej tablicy, na której znajdowało się zdjęcie taty, przeczytałam, że usiłował on konstruować broń. Nie mogłam w to uwierzyć. Zadzwoniłam do niego.

– Prześlę ci coś… – powiedziałam.

– Nie musisz, przecież sam to stawiałem!

Myślałam, że to żart, było to dla mnie szokujące. Zdałam sobie sprawę, że ojciec ryzykował życiem nas wszystkich. Wiem, że działał w słusznej sprawie, że chodziło o przyszłość Gdyni, przyszłość Polski, wolność, natomiast to był moment, kiedy zorientowałam się, jakiego kalibru to były sprawy.

Bardzo się zdziwiłam, choć tata często opowiada mi o swojej aktywności konspiracyjnej, podsuwa artykuły, dyskutujemy. Ale o tym akurat nie wiedziałam i w jakimś sensie było to dla mnie straszne.

Wówczas zastanowiła mnie jeszcze jedna kwestia. Otóż wyjeżdżaliśmy do Niemiec na moje operacje, z tym że odbywało się to, kiedy ojciec mógł już dostać paszport. Natomiast czytałam w teczce IPN-owskiej, że w pewnych okresach miał zakaz otrzymywania paszportu.

Pamiętam taką sytuację. Jechaliśmy na jedną z tych operacji. Dowiedziałam się, że tata miał ze sobą zdjęcia, plany, które przekazywał w Niemczech księdzu Galińskiemu. Doskonale wiedział, co wiezie. Jednak nie miałam wówczas odwagi zapytać, co by było, gdyby nas zatrzymali. Myślę, że nadal nie wiem o wielu sprawach związanych z jego przeszłością. Tata też nie o wszystkim chce mówić.

Fajnie jest słuchać o pewnych rzeczach, natomiast on dawkuje informacje. Na przykład ta nowina z bronią zupełnie mnie zmroziła. Potem doczytałam jeszcze w jakiejś książce, że te dokumenty przywiózł jeden z przyjaciół z zagranicy. Pomyślałam: „Jeśli my wieźliśmy te plany z powrotem…".

W trakcie wyprowadzki z mieszkania, w którym mieszkałam przez 39 lat, znalazłam bardzo dużo ciekawych dokumentów. Były wśród nich np. dyplomy za grę w siatkówkę w trakcie strajków w stoczni. Oddałam je tacie.

Barbara Frankiewicz

żona Edwarda Frankiewicza, działacza Solidarności Walczącej. W latach 80" w ich domu odbywały się konspiracyjne spotkania NSZZ „Solidarność".

Jak zaczęło się gotować w 1980 roku, mieszkaliśmy jeszcze w Rumi. Na początków strajku nie sposób było odczuć w tym mieście, że zaczyna dziać się coś wielkiego. Miałam już dwójkę dzieci. Mieszkaliśmy w pokoju, który opłacała stocznia, gdzie pracował mąż.

Gdy stocznia stanęła, mąż tam został. Bałam się, czy wróci. Zastanawiałam, czy w ogóle żyje. Jak dostałam sygnał, że można go odwiedzić, nalewałam zupę w czworaki i zawoziłam mu. Byłam młoda i jak tylko miałam możliwość, zostawiałam dzieci u sąsiadki albo mamy i jechałam do stoczni, żeby się z nim zobaczyć. W trakcie jego nieobecności wspierała mnie – także finansowo – sąsiadka. Pod względem materialnym nie były to łatwe czasy.

Jednak jeszcze przed strajkiem zdarzało się, że nie wracał z pracy na noc. Wtedy ktoś przychodził i uprzedzał. Mimo to denerwowałam się, bo synowie pytali, gdzie jest tata. Tłumaczyłam im, że jest w stoczni, pracuje i na razie nie może wyjść. Mówiłam, żeby się nie martwili, że tata przyjedzie. Musiałam spełniać rolę ojca i matki. W ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Przy małych dzieciach nie miałam na to czasu.

Mieszkaliśmy nad jednym z budynków Fabryki Urządzeń Okrętowych. Po kilku dniach i tam zaczęło się coś dziać. Protest szybko się rozprzestrzeniał. To był taki czas, że kiedy coś się działo w zakładzie, wyły syreny. Ich dźwięk zawsze wywoływał u mnie niepokój. Jednak duży lęk zaczęłam odczuwać w momencie, w którym mąż nie wrócił na noc.

Dla ludzi Wybrzeża w pamięci zawsze pozostawał tragiczny Grudzień '70. Dlatego, gdy wybuchły strajki w '80 roku, bałam się. Nie mieliśmy własnego mieszkania; staraliśmy się o nie w Rumi. Bardzo się tym denerwowałam, bo urząd miasta zawsze odmawiał. Mąż nigdy nie należał do partii, co praktycznie przekreślało nasze szanse na przydział. Lecz nie przekonywałam męża, żeby nie strajkował. Uważałam, że to była słuszna sprawa i tak trzeba. Kiedy zaczęła się budowa w Gdyni na Dąbrowie, mieliśmy wreszcie szansę na własne cztery kąty.

Nie odczułam szczególnie mocno Grudnia '70, chociaż byłam już panienką. Mieszkaliśmy w Rumi, a to miasto nie ucierpiało tak jak Gdynia. Dopiero w późniejszych latach, gdy mąż pracował w stoczni i miałam rodzinę, gdzieś podświadomie czułam tę presję Grudnia '70. Jednak atmosfera Sierpnia '80

była zupełnie inna, bardziej radosna. Ludzie zaczęli się uśmiechać i okazywali sobie życzliwość.

Czuło się jedność i wsparcie ludzi, nie tylko tych, którzy mieszkali koło nas. Przychodził do mnie na przykład pan Jaroszewicz, który pracował w kościele u salezjanów. Bardzo nam pomagał, czasami przynosił rzeczy od księdza.

Ze stoczni pamiętam tłum ludzi, zamkniętą bramę, zakaz wstępu, tarcze i funkcjonariuszy, którzy zawsze – gdzieś z dalszego planu – nas obserwowali. Szliśmy bardzo spięci. Wiedzieliśmy, że nas nie zaatakują, ale był lęk, co będzie się dalej działo. O to, czy mąż wróci, kiedy wróci, czy go nie zabiją…

Raz udało mu się wyjść na przepustkę. Wyszedł przez płot. Dał mi nadzieję na to, że będzie OK, ale mimo to strach towarzyszył mi nieustannie. Z drugiej strony byliśmy młodzi, szliśmy przebojowo, chcieliśmy poprawić swoje położenie. Nie mieliśmy mieszkania, nie mieliśmy nic do stracenia, więc strajk zrodził w nas nadzieję na lepsze jutro. Trochę później, pod koniec lat 80' dostaliśmy nawet propozycję wyjazdu, bo mąż pomagał niektórym osobom wyemigrować, zdobyć bilety – m.in. Bogdanowi Partyce, który obecnie mieszka w Chicago. Nie myśleliśmy, że robimy coś złego. Wręcz odwrotnie, uważaliśmy taką postawę za słuszną i konieczną.

O jego podziemnej działalności dowiedziałam się przez przypadek. Edek nigdy nie powiedział tego wprost. To wyszło na jaw samo przez się. Pracował jako elektryk na suwnicach i opowiadał, jak wpuszczali ulotki przez kominy, żeby rozsypywały się po halach.

Dla mnie zupełnie normalne było to, że walczą. Akceptowałam to i podobała mi się taka postawa. Uważałam, że to super, że robią takie rzeczy. W tamtych latach nie odczuwałam jeszcze takich emocji. Te przyszły później, kiedy mieszkałam w Gdyni i byłam z dala od rodziców.

Koniec strajku przyjęliśmy w rodzinie z wielką radością. Oto tata wrócił do domu, dzieciaki się cieszyły. Edzio, mój mąż, był bardzo rodzinny. W 1981 roku urodził się nam syn, w 1983 roku – kolejny syn. W stoczni rozumieli, że ktoś miał większą rodzinę. Mąż wysłał nas na wakacje, wczasy. Jeździłam z dziećmi do Wieżycy, gdzie funkcjonował ośrodek stoczniowy. Edek przyjeżdżał do nas dwa razy w tygodniu.

Mąż bardzo dużo opowiadał o tym, co działo się w stoczni i o samej „Solidarności". Że ludzie w tym czasie bardzo się jednoczyli. Przyjeżdżał do nich ks. Hilary Jastak i odprawiał msze. Zomowcy walili pałkami w tarcze, żeby wystraszyć strajkujących i skłonić ich do opuszczenia zakładu. Mówił, że bardzo przeżył te wydarzenia; dla niego były one czymś niesamowitym. Potem rzucił się w wir pracy związkowej, działał.

Wprowadzenie stanu wojennego przed Bożym Narodzeniem było dla społeczeństwa bardzo krzywdzące. Polacy szykowali się do świąt, a tu wyszedł Jaruzelski i ogłosił stan wojenny. Odebrałam to tak, jak gdyby wybuchła wojna. Bardzo się bałam. Znałam opowieści rodziców, którzy przeżyli wojnę. Później cieszyłam się, że mąż na tę wojnę nie idzie, że krew może się nie poleje, że jednak nie doszło do prawdziwej wojny.

Kiedy pierwszy raz usłyszałam informację o stanie wojennym, przeszły mnie dreszcze. Nie było wiadomo, co się stanie. Nie wiedziałam, czy zabiorą męża. Internowali go dopiero pod sam koniec.

Do tamtego momentu zabierali go na przesłuchania na 24 albo 48 godzin. Tak było np. na samym początku. Mąż był w stoczni i w drodze powrotnej miał zrobić zakupy: kupić śledziki i inne rzeczy na święta. Lecz zamknęli go i niczego nie przyniósł. Kiedy wyszedł, powiedział, że chyba mu to wszystko ukradli. Wtedy nie przeżywałam tego aż tak bardzo, bo byłam bezpieczna, blisko rodziców.

O konspiracji ze mną nie rozmawiał, ponieważ wiedział, że bardzo się przejmuję. O swoich poczynaniach mówił mi dopiero po fakcie – i tylko o tym, co nie mogło mnie zdenerwować. Odczułam to dopiero, kiedy mieszkaliśmy już w Gdyni i zaczęły się esbeckie najścia.

To było w latach 1984-1986. Mieszkaliśmy w suterenie przy Wolności 45. Dokładnie wiedziałam, jakie to były samochody, jakie rejestracje. Raz szłam po zakupy z najmłodszym synem – pozostała trójka została w domu – i mniej więcej w połowie drogi zobaczyłam jadące auto. Pomyślałam tylko: „Kurczę, jadą". Wystraszyłam się, co zrobią dzieci, które zostały w domu. Nie było sensu się wracać. Poszłam, zrobiłam zakupy i wróciłam. Myślałam, że dzieci sobie poradzą. Zawsze wiedziały, że nie wolno im wpuszczać nikogo obcego, otwierać drzwi ani wychodzić, gdy nie ma mnie w domu. Dałam im śniadanie, włączyłam telewizor i powiedziałam, że wrócę za trochę więcej niż pół godziny. Kiedy przyszłam, tego samochodu już nie było. Dzieci były strasznie rozemocjonowane i opowiadały, że oni byli, pukali, biegali wokół okien. Mówili, żeby otworzyć, że mama i tata na pewno są w domu i że oni chcą tylko coś sprawdzić. Dzieci powiedziały, że rodziców nie ma i nikogo nie wpuszczą. Tamci podobno krzyczeli, grozili, że rozwalą drzwi.

Przychodzili i zastraszali całą rodzinę do momentu, aż męża zabrali. Wtedy dali mi spokój. Byli też kilka razy na rewizjach. Mieliśmy kontakty, bo z Jurkiem Kanikułą i Jackiem Parzychem zajmowaliśmy się przerzutem prasy. Z Jurkiem mieliśmy bardzo dobry kontakt.

Raz dostałam paki bibuły, które miałam przerzucić do jego żony. Akurat wtedy przyszli funkcjonariusze. Nie wiedziałam, co zrobić. Mój syn Karol był wtedy w pierwszej klasie podstawówki. Wzięłam jego tornister i wraz z książkami spakowałam te gazety. Wyprawiłam go do żony Jurka, która pracowała jako nauczycielka w II Liceum Ogólnokształcącym, ucząc języka rosyjskiego.

– Nie wolno ci tego dać nikomu innemu niż tej pani. Czekaj tak długo, aż ta pani do ciebie przyjdzie – poinstruowałam.

Syn czekał na nią. Ona przyszła, wzięła tę bibułę, a Karol poszedł normalnie do szkoły. Siedmiolatek robił za kuriera...

Manewr się powiódł, ponieważ nie przeszukiwali mnie skrupulatnie. Dla nich byłam przede wszystkim matką. Zawsze im mówiłam, że jestem matką, żoną i dla mnie najważniejsza jest rodzina.

Jurek też przychodził do nas po bibułę. Raz wpadł akurat, jak miałam rewizję. Ci, którzy ją przeprowadzali, byli bardzo drobiazgowi. Zadawali jakieś trywialne pytania.

– Proszę pani, to jest bateria. Od czego ona jest – testował mnie jeden taki.

– Proszę pana, od lampionu. Wie pan, co to jest lampion? Dzieci z nim chodzą na roraty.

Wkurzali się, a ja się z nich śmiałam. Kiedyś znaleźli u mnie te nielegalne wydawnictwa.

– A co to jest? – zapytali.

– Proszę pana, to jest gazeta do czytania. Jeden czyta „Trybunę Ludu", a drugi taką prasę, jaką lubi. Ja lubię czytać taką gazetę, pan – inną.

Moje dzieciaki chodziły na boisko przy liceum. Grały w piłkę, a ja sobie tam siedziałam i pilnowałam. Raz zabrali też najmłodszego syna, który miał wtedy niecałe dwa lata. Przeprowadziłam ich przez przejście i wróciłam tylko na chwilę dokończyć gotować zupę. W tym czasie do domu przyszli esbecy. Poprosiłam ich, żeby poczekali, bo muszę iść do dzieci, które zostawiłam na boisku. Zdawałam sobie sprawę, że rewizja będzie trwała kilka godzin. Esbek powiedział, że nie mogę. Przekonywałam go na wszystkie sposoby, a ten, że nie i koniec. Wkurzyłam się i wzięłam nóż.

– Wyjdzie pan czy nie? – warknęłam do niego.

Po prostu go wyrzuciłam z mieszkania. Tak spierdzielał ze schodów, że myślałam, że nogi połamie. Poszłam po dzieci. Jak już z nimi wróciłam, byłam spokojna, gdyż wiedziałam, że nic się nie może stać. Że żaden durny mi dzieciaka nie porwie, nie skrzywdzi, nie uderzy.

Potem przyjechali we dwóch, z dwoma milicjantami. Jeden z nich stał przy piecu i nawet nie drgnął, nie usiadł. Zresztą nawet im tego nie proponowałam. Byli u mnie wbrew mojej woli, więc nie okazywałam uprzejmości. Drugi milicjant stał przy furtce, a dwóch agentów przeszukiwało mieszkanie.

Ta historia z nożem ciągnie się za mną cały czas. Ciągle ktoś mi ją przypomina, chociaż chciałam wyrzucić ją z pamięci. Wówczas nie chodziło mi o to, żeby nie pozwolić im przeszukać mieszkanie. W tamtej chwili ważne były dzieci. Miałam zostawić obcych facetów, żeby przeszukiwali mi mieszkanie i biegać za dziećmi? Nie mogłam postąpić inaczej. Chwycenie za nóż było desperacją. Nie wiedziałam, co mam zrobić, więc wpadłam do kuchni, a on od razu rzucił mi się w oczy. Nigdy nie zapomnę, jak ten facet uciekał po schodach. Prawie się na nich przewrócił. Pewnie myślał, że zdesperowana baba zaraz go dźgnie. Już po wszystkim powiedziałam mu: – Może pan wrócić, ale najpierw muszę sprawdzić, co się dzieje z moimi dziećmi.

Nie bałam się rewizji ani przeszukań, gazetę Solidarności Walczącej mogłam mieć nawet na stole. To była moja sprawa.

Do bibuły zawsze się przyczepiali, ale ja się nie bałam. Wtedy napędziłam im takiego stracha, że jak później wyciągali rzeczy z szuflad, to układali je jeszcze lepiej, niż były.

Kiedyś chcieli zabrać męża, jak zrzucał węgiel. Powiedziałam, że proszę bardzo, niech zabierają, jeśli jest taka potrzeba, tylko niech on mi najpierw ten węgiel wrzuci. Niestety, tu się przeliczyłam, ponieważ go zatrzymali i musiałam sama zająć się opałem.

Mnie nigdy nie przesłuchiwali. Mam czystą kartotekę. Raz kolega schował się pod moim balkonem, kiedy wykrzykiwali na milicjantów. Wystraszyłam się, że skacze mi pod oknem milicja z pistoletami i wyszłam przed dom.

– O co chodzi? – zapytałam.

Oni na to, że mam się nie wtrącać. Chcieli mnie wylegitymować na moim własnym podwórku. Nie zgodziłam się.

– O co wam chodzi? Przecież jestem u siebie!

Skończyło się na 100 zł kolegium, przed którym odpowiadałam z wolnej stopy. Lecz nie bałam się. Działałam przecież w słusznej sprawie.

Zawsze wpuszczałam ich do domu. Wkurzyłam się tylko raz, w trakcie tej akcji z dziećmi. Nie chciałam, żeby coś im się stało. A tak to byłam odporna, miałam to wszystko w nosie.

Kiedy przychodzili ludzie z konspiracji albo odbywały się u nas jakieś spotkania, wchodzili do mnie przez okno z drugiej strony. Zasłaniałam firany i mogli sobie siedzieć. Gdyby ktoś zapukał, mogli uciec albo schować się w piwnicy.

Wydawało mi się, że po tej sytuacji z nożem esbecy byli świadomi tego, że ode mnie nic nie wyciągną. Zawsze mówiłam, że nic nie wiem. Bo nic nie wiedziałam. A to że przychodzili Jurek i Jacek, że mój mąż działał? – Przecież ja mam rodzinę i zajmuję się przede wszystkim dziećmi, a tamte sprawy mnie nie dotyczą – tak im odpowiadałam.

Oni czuli przede mną respekt. Nigdy nie zachowali się w stosunku do mnie chamsko. Ja to traktowałam tak: jesteście, to jesteście. Śmiałam się z tego.

W podziemiu panowały przyjacielskie relacje. Przychodzili Roman, Jacek, Andrzej Kołodziej, który konspirował w lesie i tam spotykał się z mężem. Andrzeja za bardzo nie kojarzę, bo bardzo rzadko do nas przychodził. Ale z pozostałymi spotykaliśmy się jak kolegami. Z Romanem, Małgosią Zwiercan, Jurkiem i jego żoną, Jackiem Parzychem… To byli dobrzy przyjaciele. Organizowaliśmy imprezki, imieniny.

To działało na zasadzie: przyszedł do mnie kolega, zjadł kawałek ciasta, pogadaliśmy, po cichu mi wszystko zostawiał, a potem ja sobie to układałam i zabierałam. W piwnicy domu na Wolności było multum bibuły, ale esbecy nigdy tam nie wpadali.

– Proszę bardzo, idźcie zobaczyć, tam jest węgiel – mówiłam im. Zawsze chowaliśmy to w takim miejscu, że nie chcieli grzebać w tym węglu.

W czerwcu ’87 do Trójmiasta zawitał ojciec święty. To było niesamowite. Mieliśmy zaproszenie do Gdańska na Zaspę i do Gdyni. Teściowa opiekowała się dziećmi. Mąż, jak to on, uważał, że to jest ważne, ale najważniejsze, żeby pokazać się z Solidarnością Walczącą. Miał czytać przy ołtarzu podczas mszy, ale z uwagi na to, że nie miał się kto zająć transparentami, wziął się za nie. Wchodził na drzewa i rozwieszał te płachty, zamiast stać koło mnie. Tak było na Zaspie i później na Żabiance.

Byliśmy na kilku spotkaniach z Janem Pawłem II i mąż zawsze gdzieś latał w ich trakcie. Transparenty, zadymy, pochody… Andrzej Tyrka, Mirek Korsak zawsze się gdzieś z nim w tym czasie chodzili.

– A mogłem czytać, jak papież był w Gdyni… Ale nie czytałem, bo nie było komu zająć się transparentami – żałował potem.

Mąż wieszał transparenty z Andrzejem Tyrką. Potem Andrzej organizował przemarsz wszystkich, którzy cieszyli się z przyjazdu ojca świętego, ale chcieli coś zamanifestować. Chodziło o to, by pokazać, że się nie dają, są razem i sprzeciwiają się temu, co dzieje się w Polsce, że będą działać bez względu na wszystko, bo chcą, żeby Polska była wolna.

W 1988 zdecydowaliśmy się wziąć udział w demonstracji solidarnościowej z okazji Święta Pracy. 1 maja szedł pochód państwowy i drugi, w którym braliśmy udział. Najmłodszy syn Szymon miał pięć lat, więc mogłam go już wziąć. Zabieraliśmy dzieci, żeby widziały, że istnieje coś, o co warto zawalczyć. Że w niektórych inicjatywach trzeba uczestniczyć, widzieć je na żywo. Dzieci są najlepszymi książkami, najlepiej pamiętają różne wydarzenia.

Nasze pociechy zawsze były obecne podczas spotkań, słuchały, co się na nich mówi, i bardzo je to ciekawiło. Nie bałam się, że się wygadają np. w szkole. Moja Ania na maturze miała temat chyba o wolnej Polsce. Uczyła się w ówczesnym ŚLO w Sopocie. Jeden z nauczycieli zapytał, skąd ma taką wiedzę. Powiedziała, że wie, bo jej tata w tym uczestniczył. Filip zawsze z nami siedzi, gdy wspominamy i rozmawiamy na te tematy. Bardzo go to interesuje, jest ciekawy i utrwala mu się to, co z mężem mówimy.

Kiedyś ktoś mnie zapytał, czy gdybym mogła przeżyć to jeszcze raz, zrobiłabym tak samo. Bez żadnego zastanawiania się odpowiedziałam, że jak najbardziej! Nawet dzisiaj, kiedy ktoś za dużo narzeka albo opowiada bzdury, przerywam mu i mówię: Ty w ogóle słyszysz, co mówisz?

Mam taką naturę, że jeśli jest coś, co ma służyć dobremu celowi, nie zastanawiam się ani chwili, tylko to popieram albo sama dołączam. Robię to niejako z automatu. Jeżeli trzeba komuś pomóc, nie zastanawiam się nad tym, że w portfelu mam tylko 100 zł. Daję albo się podzielę. Kupię sobie chleb, a resztę dam. Drugi człowiek jest dla mnie bardzo ważny. Mogę się pokłócić, posprzeczać, mieć swoje zdanie, ale jeśli widzę, że ktoś jest życzliwy, dobry i szczery, pomogę mu bez zastanawiania się. Przede wszystkim lubię ludzi – szczerych ludzi. Jeśli mają dobry cel, to jest dla mnie najważniejsze. Walczyliśmy o to, żeby ludzie żyli normalnie, a nie ganiali za pieniędzmi. Ganię nawet moje dzieci, kiedy widzę, że mają coś „pokręcone" w temacie pieniędzy.

– Przystopuj troszkę. Jest jeszcze inny cel niż to, że zbierasz sobie na furkę – mówię wtedy. Wydaje mi się, że moje dzieci mają to na uwadze. Mają w sercu empatię, wrażliwość do drugiego i w razie potrzeby pochylą się nad mniejszym, biedniejszym.

Jagoda Greger

pielęgniarka, w roku 1980 pracowała w przychodni zdrowia w Stoczni im. Komuny Paryskiej. W stanie wojennym w jej mieszkaniu w Sopocie była skrzynka kontaktowa. Esperantystka. Przewodnicząca Sekretariatu Ochrony Zdrowia Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność".

W lipcu 1980 roku byłam bardzo zajęta. Pojechałam do Szwecji i wróciłam dzień przed rozpoczęciem strajku w porcie, kiedy przestano obsługiwać pasażerów wysiadających.

Ten czas kojarzy mi się z chodzeniem pieszo z dworca do pracy i z bardzo dobrą pogodą. Trwały protesty, ale ja miałam z nimi fizyczny kontakt już wcześniej: w 1956, 1968, 1970 roku, więc to nie było tak, że włosy stanęły mi dęba. Z takim bagażem doświadczeń przywitałam strajki w 1980 roku. Jak się później okazało, najważniejszym dla mnie wydarzeniem był moment, kiedy przyszły do mnie z pewną prośbą pielęgniarki.

– Jagoda, robimy zebranie i ty je poprowadzisz – powiedziały.

– OK – odpowiedziałam, bo zawsze jestem gotowa do wszelkiej pomocy innym.

Byłam zmotywowana, bo usłyszałam jak moja szefowa, nie wiedząc o tym, że to słyszę – mówiła do szefa chirurgii: – My się w to nie pchajmy, niech to robi średni personel.

„Proszę bardzo, nie ma sprawy!" – pomyślałam. Sierpień 1980 roku kojarzy mi się właśnie z tym, że bez problemu poprowadziłam to zebranie. Z mojej strony to był akt jakiejś tam odwagi. Potem sobie myślałam, że nie wszyscy by się na to zdecydowali. Jednym z atutów pracy w tej przychodni były bowiem szanse na otrzymanie bonusu w postaci rejsu statkiem. Tylko trzeba było wykazać się lojalnością partyjną. Selekcja była pod tym kątem. Sądzę więc, że nie było tam klimatu do tego, żeby ktoś się w taki sposób „wystawił".

Po jakimś czasie zastanawiałam się, dlaczego one przyszły z tym do mnie. Nie byłam pielęgniarką, tylko pracowałam na rentgenie. Doszłam do wniosku, że ich zaufanie było wynikiem pewnych moich zachowań w zakładzie, do których nie przywiązywałam wagi. Tyle tylko, że w momencie ich popełniania zupełnie nie brałam pod uwagę tego, że mogą one mieć jakieś konsekwencje w przyszłości.

To wszystko działo się w latach 70. Mianowicie któregoś dnia dostałam wezwanie do gabinetu dyrektora. Horror. „Dyrektor w życiu ze mną nie rozmawiał, więc po co mnie wezwał?" – zastanawiałam się. Myślałam, że poskarżył się na mnie jakiś pacjent. Poszłam przerażona do jego pokoju na ostatnie piętro. Weszłam, a tam za zielonym stołem przykrytym suknem, siedział przewodniczący podstawowej komórki partyjnej w zakładzie. Oświadczył, że ma do mnie sprawę – mam wstąpić do ZMS-u. Zestawienie moich podejrzeń z prawdziwym powodem wezwania było tak komiczne, że – niestety – nie zachowałam powagi. Powiedziałam doktorowi, skądinąd bardzo sympatycznemu, że to niemożliwe, bo mam dziedzicznie krzywy kręgosłup i się w ogóle nie zmieszczę w ZMS ani nigdzie. I sobie poszłam. W efekcie wykreślono mnie z listy do nagród, a zbliżał się Dzień Służby Zdrowia.

To się musiało rozejść. Ja w ogóle nie przywiązywałam do tego wagi. Myślałam sobie: „Za 500 złotych będę się poniżać?". Wówczas 500 zł stanowiło co najmniej 1/3 mojej pensji.

Potem była jeszcze jedna afera, o której ludzie zatrudnieni w placówce też musieli się dowiedzieć. Mieliśmy w pracy szefową, która stosowała mobbing. Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, że to się tak nazywa. Wszystkie byłyśmy przerażone. Chwilę oddechu miałyśmy, gdy wychodziła do WC.

– Jak jesteście niezadowolone, poproszę tu dyrektora, żebyście wreszcie powiedziały, o co wam chodzi – powiedziała, licząc na to, że dołoży nam jeszcze mocniej.

Wypowiadając te słowa, zapewne nie przypuszczała, że tak zrobimy. Oczywiście się pomyliła, bo ja wyłożyłam kawę na ławę. W konsekwencji się obraziła, zwolniła i poszła do innej pracy.

Kolejna sprawa, przez którą zyskałam w oczach pielęgniarek, wydarzyła się wiosną 1980 roku. Odbywało się zebranie związków zawodowych, do których należeli wszyscy. W momencie kiedy przychodziło się do pracy, automatycznie wstępowało się do związku – nikt się wówczas nie pytał o zgodę. Jednak nikt nie chciał chodzić na te zebrania. Nie miałam męża ani dzieci, więc koleżanki stwierdziły, że w ogóle nie ma o czym gadać i mam iść, bo one nie mają czasu. No to poszłam.

Ciemno, zimno, jakaś beznadziejna kawa, zebranie się dłuży. Okazało się, że za stołem siedziała delegat z komitetu wojewódzkiego. Zabrała głos, wychwalając rząd, Polskę, partię, która troszczy się o pracowników służby zdrowia, dba o zdrowie obywateli i tak dalej. Jak mnie to strzeliło… Odezwałam się. Nie pamiętam już, co powiedziałam, ale strasznie skrytykowałam tą rzekomą troskę.

Przypuszczam, że przez te wszystkie sytuacje, których wcale nie planowałam, gdyż one zadziały się spontanicznie i wynikały z mojego charakteru, nie byłam osobą podejrzewaną o partyjne sympatie czy niecne zamiary. Zresztą nie taka była moja pozycja w pracy. Nie zajmowałam się sprawami politycznymi, tylko wprost mówiłam o obłudzie i kłamstwie. Myślę, że koleżanki przyszły do mnie, bo uważały, że jestem na tyle bezczelna, że się nie przejmę ewentualnymi skutkami i będę prowadziła te zebrania.

Pewnie dlatego potem zostałam przewodniczącą komisji zakładowej. To się działo tak samoistnie, chociaż później w strukturach zakładowych było już sporo lekarzy, np. Tatiana Pietras, żona dyrektora komitetu ds. radia i telewizji. Stałam na czele komisji zakładowej i razem z Aliną Pieńkowską, która była przewodniczącą przemysłówki w Gdańsku, byłyśmy jedynymi przewodniczącymi ze średniego personelu – pozostali byli lekarzami. To były takie czasy, że jeżeli znajdowali się lekarze, którzy mieli odwagę i chęć, natychmiast zostawali szefami struktur. W służbie zdrowia jak w kościele – jest hierarchia. O wojsku nie mówię, bo nie wiem, jak tam jest. Gdyby wtedy na czele komisji zakładowej stanął jakiś medyk z tytułem, prawdopodobnie w ogóle nie zaistniałabym w „Solidarności".

Jestem z Gdyni, mieszkam tutaj całe życie. Tu się zawsze coś działo. Są strajki? OK. Wir był wtedy ogromny. Niektórzy obawiali się powtórki Grudnia 1970. Ja nie miałam takich obaw.

Grudzień oczywiście doskonale pamiętam. Jeszcze przed Czarnym Czwartkiem jechałam autobusem ulicą Polską do pracy i pomyślałam: „Boże, jak to możliwe, że tu widać wschód słońca?". A to były żółte kaski robotników.

W tamten czwartek rano czekałam na kolejkę w Kamiennym Potoku. Zebrało się mnóstwo ludzi. Jednak komunikacja do Gdyni już wtedy nie kursowała. Natomiast przyjeżdżały kolejki do Gdańska. Widziałam dziurki w szybach po kulach i krew. Przez głośniki nadawano wezwanie, żeby nie jechać do Gdyni. Nie wiedziałam, do kogo adresowano ten komunikat, ale uważałam, że nie do mnie. Stałam na stanowisku, że jestem ze służby zdrowia i jak coś takiego się dzieje, muszę natychmiast jechać do pracy.

Wtedy ci ludzie, którzy czekali na peronie w Kamiennym Potoku, ruszyli na główną ulicę, żeby złapać coś jadącego do Gdyni. Weszliśmy do jakiegoś pustego autobusu pracowniczego. Jechaliśmy tym autobusem przez Świętojańską. Nie dojechaliśmy, ponieważ z naprzeciwka szedł tłum. Trudno nawet powiedzieć, że szedł – on się toczył. Teraz się mówi, że „szła demonstracja", Nieprawda, demonstracje się toczyły. Ktoś szedł, ktoś się cofał – od ściany do ściany. Chciałam zobaczyć, co się dzieje. Wtedy znalazł się mój sąsiad z PLO. Pan kapitan złapał mnie za rękę i powiedział zakazującym tonem: – Gdzie?!

Wróciłam i poszłam pieszo do pracy na Portową. Jakoś się udało. Czekaliśmy na rannych, ale żadnych rannych nie przywozili. Latał helikopter, strzelał… W pewnym momencie przywieziono zomowca z urazem oka. Trafił do nas i trzeba było mu zrobić zdjęcie RTG. Nie było żadnych pacjentów, nie przychodzili do nas. I dobrze robili, bo potem przyszła bezpieka i zażądała od chirurgii listy. Szukali ludzi na nią wpisanych.

Pamiętam również wcześniejsze polskie „zakręty historyczne". W 1956 roku chodziłam do pierwszej klasy Liceum Ogólnokształcącego im. Bolesława Chrobrego. W pamięci mam wielkie wystąpienie, wiec z udziałem maturzystów, śpiewaliśmy „Rotę". Dwóch nauczycieli wówczas do niej nie wstało i potem co roku maturzyści mieli obowiązek dawać im „bęcki". To wydarzenie zrobiło na mnie ogromne wrażenie.

W 1968 roku jechałam kolejką. Widziałam taką scenę: tamci uciekali, tamci gonili po peronie… Pracowałam z dwiema koleżankami. To były prze-

piękne, pulchne blondynki, które były żonami politruków z marynarki wojennej. Miałam z nimi kłopot. Chodziło o Katyń. Z tego powodu niewiele brakowało, bym raz w życiu po prostu dała komuś po mordzie! Ich poglądy w tej sprawie bardzo mnie wkurzały.

W 1980 roku od początku kibicowałam stoczniowcom! Jednak wybuchu strajku nie przeżywałam jakoś szczególnie. Przyjęłam to zupełnie bez emocji. Myślałam: „Strajkują, w porządku. Mają postulaty, niech walczą. Spokojnie, zobaczymy, co z tego będzie". Podobnie podchodziłam do podpisania porozumień sierpniowych. „OK, fajnie. Czas działać dalej." – oceniałam.

Po latach myślę, że postawę stoczniowców ocenia się tak jak teraz sytuację nauczycieli [rozmowa odbyła się podczas wiosennego strajku nauczycieli w 2019 r.– red.] – mieli wytrwać i wojować, a co będzie, to się okaże.

W ZOZ-ie spisaliśmy postulaty, delegacja zawiozła je do stoczni. Zebranie wcale nie było takie proste. – Czarne chmury nad nami. Co wy robicie? – mówiłam na nim.

Międzyzakładową solidarność strajkową poczuło się dopiero pod koniec protestów. Chodziło np. o relacje na linii służba zdrowia – stocznia – port.

Decyzja o wstąpieniu do nowych związków to właściwie była sprawa niemalże towarzyska. Dla wszystkich, którzy chcieli tego zebrania i się na nim zjawili, było to zupełnie oczywiste. Wszystko się potoczyło pozytywnie. Obeszło się bez zgrzytów, bo wszyscy tam byli bardzo spolegliwi *(śmiech)*.

Właściwie nie pamiętam kwestii organizacyjnych. Było nas więcej i wszyscy chcieli działać, więc te sprawy pewnie spadły na kogoś innego. To nie było tak, że ja musiałam coś robić. Ja się wystawiłam, ale w strukturach działały również inne dziewczyny z zakładu, był zespół. Ci, którzy chcieli – wstąpili, a kto nie chciał – nie wstąpił. Gdy były przewidziane podwyżki, musieliśmy podzielić pieniądze. Miałam dziewczyny do takiej roboty.

Momentem posuwającym sprawę do przodu było zaproszenie przeze mnie na zebranie z pracownikami Aliny Pieńkowskiej. To było drugie nasze posiedzenie – we wrześniu. Pierwsze odbyło się w sierpniu. Pojawili się na nim nowi ludzie, których nie było miesiąc wcześniej z powodu urlopów.

Służba zdrowia natychmiast zorganizowała się wokół Aliny. Zdecydowaliśmy o pierwszym strajku okupacyjnym. Odbył się on w budynku urzędu wojewódzkiego. Dowoziliśmy tam żywność. Był na nim jeden człowiek od nas – doktor Jarosław Zych ze Stoczni im. Komuny Paryskiej.

Przypominam sobie taką sytuację. Kadrowa wróciła z rejsu. To była – że tak powiem –agentka specjalnej troski. Nie było jej latem i przyszła do pracy chyba w listopadzie. Odbywało się spotkanie z emerytami, które „Solidarność" zorganizowała gdzieś poza zakładem. Ta kadrowa siedziała z przodu i patrzyła na mnie w absolutnym osłupieniu, ponieważ ominęło ją to wszystko, co działo się przez parę miesięcy od wakacji. Śmiałam się, ponieważ kobieta ledwo wyjechała, a my jej taki numer wywinęliśmy. Tu muszę dodać, że kadrowa była od specjalnych poruczeń. Trzeba jej oddać, że się z nich wywiązywała.

Po powołaniu komisji zakładowej musieliśmy nawiązać kontakt z komisją krajową tworzącego się związku. Pierwsze biuro, które dostał Wałęsa, znajdo-

wało się we Wrzeszczu na Dworcowej (obecnie Dmowskiego). Funkcjonowało w mieszkaniu pełnym podsłuchów bezpieki. Byłam tam po jakieś dokumenty i wtedy pierwszy raz widziałam Wałęsę. Szłam z nim po schodach. Towarzyszył nam jego wielki ochroniarz. Tak zostałam członkiem regionalnej „Solidarności".

Strasznie dużo się działo. Zostałam wybrana przewodniczącą na zebraniu wyborczym, które zresztą sama poprowadziłam. Siedziało tam z 300 osób. Pojawił się również dyrektor przychodni. Nie wiem, co tam robił i z jakiej racji. Wtedy o tym nie myślałam.

Jako przewodnicząca nie tylko odpowiadałam za to, co działo się w zakładzie: zebrania, fundusz socjalny, podwyżki itd. Oprócz tego zaczęłam funkcjonować w strukturze regionalnej. Tam działała sekcja służby zdrowia i w niej się realizowałam.

Chodziłam też do Hotelu Morskiego na narady MKZ-u, na których były tłumy. Tam działo się szaleństwo. Trudno było wejść do sali, gdyż w zebraniach oprócz delegatów uczestniczyły także ekipy Japończyków, Francuzów… Byli bardzo ciekawi. Szło się na godzinę 16, a o 21 jeszcze to trwało. To był obłęd.

Byłam dość sprawna logistycznie i organizacyjnie. Jednak czasami wpadałam w zdumienie. Takie sytuacje nie zdarzały się w zakładzie pracy – bo tam nie mieliśmy żadnego problemu – a na zebraniach MKZ-u.

Przykład. Jesienią 1981 roku na jednej z takich narad słuchałam, jak związek przygotowuje się do zimy. W sklepach niczego nie można było dostać. Pojawiły się informacje, że są magazyny pełne towaru, którego nie rzucają tego na sklepy i trzeba się zorganizować. Powstały plany. Słuchałam ich i według mnie, a wtedy miałam już zmysł organizacyjny, były bez sensu. Pomyślałam sobie wtedy: „Ludzie, przecież to jest fanfaronada". Tych przechwałek było dosyć sporo.

Doskonale pamiętam słowa jednego z uczestników tamtej narady: – Nie bójcie się! Mówimy o Związku Radzieckim. Ja już tam byłem, ja was poprowadzę!

Kto to powiedział? Andrzej Gwiazda! Pomyślałam sobie: „Ty czubku, do lekarza!".

W marcu 1981 roku jechałam PKS-em do Istebnej. Kierowca miał nastawione radio. Wtedy dotarło do nas, że coś złego stało się w Bydgoszczy. Janek Rulewski został pobity. Na zebranie tamtejszej rady narodowej wkroczyła milicja. Prowokacja bydgoska to był rzeczywiście krytyczny moment. Trochę żałowałam, że byłam tak daleko od tych ważnych wydarzeń.

W I Krajowym Zjeździe Delegatów „Solidarności" w hali Olivia, na którym wybrano Wałęsę przewodniczącym, uczestniczyłam jako obserwator. W jego trakcie nie odczuwałam żadnej ekscytacji. Nie przypominam sobie jakichś szczególnych momentów. Jednak jedna kwestia wyzwalała moje emocje – Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej.

Pamiętam panią Walentynowicz i specjalnie nie byłam jej fanką. Tak jak nie byłam fanką księdza Jankowskiego. Gwiazdę też skreśliłam – po tamtym wystąpieniu stwierdziłam, że facet jest niewiarygodny. Takich rzeczy nie mówi

dojrzały, odpowiedzialny człowiek. Wałęsa był, jaki był. Pod ręką byli przecież jeszcze Borusewicz, Lis…

Mnie sprawy personalne na samej górze specjalnie nie zajmowały. Do dzisiaj mam do nich dystans, bo wiem, że za mało wiem. Ludzie grają ze sobą. Próbuję nie dać się zmanipulować, nie oceniać, gdy nie mam pełni informacji.

Bardziej skupiałam się na wydarzeniach branżowych, w służbie zdrowia. Przykładowo w listopadzie 1980 roku mieliśmy zjazd krajowy i wybory do krajowej struktury służby zdrowia w NOT. To mnie interesowało.

Zupełnie nie przejmowałam się brakami w sklepach… Za to najbardziej wkurzały mnie upokarzające kolejki: żeby złożyć papiery o paszport, żeby dostać paszport, żeby go oddać i żeby kupić 100 dolarów, gdyby się chciało gdzieś jechać. To były poniżające sytuacje. Nie wiem, jak było w Gdyni, ale w Sopocie stało się na dworze, żeby można było wejść na schody na zewnątrz, potem przesuwało się na schody wewnątrz i wreszcie do poczekalni. To zajmowało godziny. I po co? Żeby dostać okładkę paszportową, bo przecież paszportów nie wydawali. Stałam w jakichś kolejkach, ale do dzisiaj mam taki zwyczaj, że jak widzę ogonek za czymś, nie staję w nim. Kartki oddawałam rodzinie.

Końcówka roku 1981 była nerwowa na wszystkich polach. Tak naprawdę nikt nie wiedział, co będzie dalej. To była taka gra na przetrzymanie ze strony władzy. Wojsko było karmione takimi głupotami, że aż strach. Nie miałam kontaktu z wysokimi urzędnikami wojskowymi. Jednak o tym, że jest niebezpiecznie, mówiło się w „krajówce" cały czas: wojsko radzieckie ponoć stoi na granicy, wejdą – nie wejdą…

Kiedy wprowadzali stan wojenny, ojciec całą noc stał za benzyną. Po powrocie powiedział, że widział kawalkadę wozów bojowych. Pomyślałam sobie wtedy, że chyba zgłupieli. „Po co oni to robią?" – zastanawiałam się.

To była niedziela. W Gdańsku, w świetlicy przy kinie kolejarzy, czyli na zapleczu wielkiego budynku PKP, miało odbyć się spotkanie esperantystów (jestem esperantystką). Byłam przewodniczącą zarządu wojewódzkiego, więc oczywiście pojechałam. Uważałam, że nikogo nie będzie, ale czułam się w obowiązku pojawić tam. Jednak ludzie przyszli. Ktoś wspomniał o awarii tramwajów i że z Kościuszki trzeba było przejść pieszo, bo nic nie jechało. Nic nie wiedzieli. Nie włączyli telewizora, nie spotkali po drodze żadnej kolumny pojazdów wojskowych, nie nadziali się na patrole, więc nie wiedzieli... To była zupełnie niesamowita niedziela. Ładny dzień, słońce świeci, śniegu niedużo... Cały czas myślałam, że tym generałom rozum odebrało.

Na drugi dzień w pracy opróżniliśmy wszystkie nasze szafy z dokumentami. Wywiózł je gdzieś jeden z pacjentów. Sekretarz zadbała o te papiery. Chyba po dwóch dniach dyrektor przychodni zażądał klucza, żeby to zabrać, zabezpieczyć, bo dostał taki prikaz. Daliśmy i zabezpieczył pustą szafę.

W zakładzie oczywiście odczuwało się napięcie, ale nikogo nie zamknęli. Zatrzymali Alinę Pieńkowską, a tak w naszym regionie – nikogo.

Pod koniec pierwszego tygodnia stanu wojennego przewodniczący sekcji regionalnej wpadł w panikę, ponieważ dostał jakąś wiadomość. Ja przez

niego też. W zasadzie to był pierwszy i ostatni raz, kiedy doświadczyłam takiego uczucia.

Działo się to w Sopocie. Przywiózł mnie do domu ul. Kujawską i powiedział: – Uciekaj, schowaj się, bo tej nocy nas biorą.

Byłam wkurzona. Cały czas pukałam się w głowę, ponieważ uważałam, że nie ma racji i nic takiego się nie stanie. Wysadził mnie trochę za moim blokiem. Kiedy wracałam na dół, nagle zza zakrętu, w tych strasznych śniegach, wyjechał ciężki wóz. A ulica jest jednokierunkowa – Kujawską można się dostać co najwyżej do lasu. Pojazd jechał do góry, a ja spanikowałam, bo zupełnie nie miałam dokąd uciec. To był pierwszy i ostatni raz kiedy wpadłam w beznadziejną panikę. Okazało się, że żołnierze po prostu zabłądzili. Wszystko dobrze się skończyło. Nikogo nie zgarnęli.

Pomyślałam sobie wtedy, że popadnie w panikę to jest coś tak upokarzającego, że nie ma usprawiedliwienia. Przysięgłam sobie, że nigdy w życiu już się tak nie przestraszę. Tak rzeczywiście było, bez względu na okoliczności, w jakich później się znajdowałam.

Mimo blokady telefonów i totalnej inwigilacji miałam kontakt ze światem, bo służba zdrowia ratowała Bogdana Lisa. Przy okazji woziła różne rzeczy do stoczni. To było towarzystwo ze struktur regionalnych, które potem przeszło do konspiracji. Przynosili informacje od kuchni, o których ludzie ze stoczni i z portu nie mówili. Ale trudno, żeby to robili, skoro nie przychodzili do przychodni, żeby opowiadać takie rzeczy, tylko się leczyć.

Raz tylko się zdarzyło, że zjawił się chłopak, bardzo podobny do Andrzeja Kołodzieja – z taką blond bródką. Poszedł do chirurga, bo chyba miał złamany palec. Usiadł w kanciapie na rentgenie i opowiadał mi, jak zwinęła go milicja, bo uważali, że jest Kołodziejem. Przesłuchiwali go, złamali mu palec… Siedział u mnie chyba z godzinę i opowiadał. Nie wiem czemu. Albo go przysłali, albo chciał się komuś wygadać.

Do jakiegoś momentu nie byłam inwigilowana. Kodeks stanu wojennego dopuszczał możliwość oskarżenia w trybie przyspieszonym. Raz dzielnicowy przyszedł mnie spisać, choć nie byłam u nich na liście. Kazali spisać, bo w swoich kartotekach zauważyli, że jest taka jedna i jeszcze jej nie mają. Prawdopodobnie dostali informacje z Jeleniej Góry...

Wszystko zaczęło się od tego, że pierwszy raz w życiu dostałam – zresztą od dr Olgi Krzyżanowskiej – skierowanie do sanatorium z racji pracy w szkodliwych warunkach. Wcześniej nigdy nie dostawałam, jeździli tylko lekarze.

Pojechałam do Karpacza. Okazało się, że w tym niby-sanatorium – jak się potem okazało, to nie było sanatorium – przebywali także robotnicy z Trójmiasta. Pracowali w Stoczni Marynarki Wojennej, Stoczni im. Komuny Paryskiej, Lenina, Remontowej. Oprócz nich przyjechali ludzie z Tczewa… Była ich tam przeszło setka, ludzie pracujący w szkodliwych warunkach. Były jeszcze trzy panie, które pracowały w stoczni przy azbeście.

Od razu na początku wybrali w swoim gronie zarząd czy coś takiego i ja musiałam do niego wejść. Nie wypadało mi odmówić, jakkolwiek w ogóle nie miałam ochoty. Nic o sobie nie wiedzieliśmy, poza miejscem zatrudnienia.

Na pierwszym zebraniu powiedzieli, że zbierają pieniądze na mszę za zdrowie tych, którzy przyjechali i pracowników sanatorium. Wydawało mi się to śmieszne, ale przystałam na to. Potem przy stoliku rzuciłam kąśliwie: – No jasne, koledzy tkwią w więzieniach i są internowani, a oni siedzą w ciepełku i jeszcze będą zamawiać msze za swoje zdrowie…

Jak zwykle złośliwie powiedziałam, co myślałam, bo mam taki zwyczaj. Ktoś im o tym doniósł. W efekcie obrazili się na mnie śmiertelnie i poszli sami do proboszcza z tymi pieniędzmi. Ksiądz w Karpaczu ogłosił, że będzie nabożeństwo za uwięzionych i pomordowanych, którą zamówili koledzy z Trójmiasta przebywający na leczeniu. To chyba była pierwsza i być może jedyna taka sprawa w historii miasta.

W drodze do kościoła, na jednym ze skrzyżowań, zauważyłam aferę: wojsko, wielkie zasieki. Potem się okazało, że to z powodu tej mszy *(śmiech)*. Kościół pełen, msza się odbyła, ksiądz wygłosił kazanie w temacie i fajnie.

Nastał poniedziałek. – Jagoda, chodź, przyjechała bezpieka! – zawołali mnie znajomi kuracjusze. Przyjechał gazik i zabrali na komendę – łącznie ze mną – cztery osoby, wybrane do zarządu. Siedzieliśmy tam dosyć długo, bo miał przyjechać jakiś śledczy z Jeleniej Góry. Stoczniowiec z marynarki wojennej był bardzo zdenerwowany. Drugi, ze Stoczni im. Lenina, zachowywał spokój. Był jeszcze czwarty, z komuny paryskiej, bardzo zmarnowany fizycznie. Pomyślałam, że muszę z nimi pogadać, żeby trzymać wspólną linię obrony w razie przesłuchania. Zaproponowałam, że będziemy mówić, że w sanatorium jest zwyczaj zamawiania mszy przez pacjentów. Nasi koledzy siedzieli przecież w więzieniach. Co mieliśmy robić? Zamówiliśmy za nich mszę. Wydawało się to logiczne.

Po przesłuchaniu wyznaczono datę rozprawy – akurat na dzień przed zakończeniem turnusu. Na kolegium, bo chyba tak się nazywało ciało orzekające w takich sprawach, znów nas przesłuchiwali. Każdy coś mówił. Kazali nam poczekać i wtedy znowu się wkurzyłam. Nawtykałam młodemu komendantowi. Na szczęście dzielni ludzie z Karpacza nas uniewinnili.

Potem sprawa trafiła do Jeleniej Góry, gdzie ponownie ją rozpatrywali. Dostałam wiadomość o terminie następnego posiedzenia. Pomyślałam, że chyba musiałabym na głowę upaść, żeby jechać do Jeleniej Góry na powtórną rozprawę. Tymczasem do naszej pani sekretarz przyszedł znajomy prawnik. Przeczytał pismo i powiedział, że przecież to nie jest żadne wezwanie, tylko powiadomienie. Później okazało się, że ten mecenas był agentem bezpieki.

Przypuszczam, że właśnie wtedy służby uświadomiły sobie moje istnienie i postanowiły bliżej się przyjrzeć. W tym sanatorium mieszkaliśmy w rezydencji, którą zbudował Goering, a po Goeringu mieszkał tam Gierek. Byliśmy pierwszymi niepartyjnymi gośćmi. W związku z tym do dnia tej mszy w całym Karpaczu myśleli, że ZOMO przyjechało na wypoczynek.

Pewnego razu po tym zdarzeniu musiałam zawieźć coś do Wrocławia. Jechałam autobusem. Kiedy wjeżdżałam do Karpacza, pekaes zatrzymało wojsko. Wszedł facet. – Kto do zameczka? – zapytał. Myślałam, że to przecież niemożliwe. W autobusie zapanowała grobowa cisza. Pomyślałam: „Spoko, nic nie mam, jestem czysta". Powiedziałam, czym się zajmuję. Okazało się, że

dostali polecenie, żeby od razu przy wjeździe do Karpacza wyłapywać wszystkich konspiratorów, żeby nie plątali się po Karpaczu. Pobyt tam to była niezła przygoda

Odniosłam wrażenie, że na tym naszym turnusie przebywał człowiek będący agentem. Mówił, że jest ogrodnikiem. Bez przerwy chodził pijany, chyba z wyrzutów sumienia. Miał do mnie straszne pretensje o to, co powiedziałam, i że to się potem tak rozwinęło. Pewnie dostał w skórę i musiał się wykazać. Któregoś dnia zapytał mnie: – A ktoś kiedyś panią bił pałą po plecach?

W Trójmieście, tak jak w całym kraju, trwał stan wojenny. Komisja zakładowa zbierała pieniądze, bo były one potrzebne na pomoc dla członków opozycji i ich rodzin. Jak była potrzebna żywność, Jarek Zych rozwoził tusze, ponieważ miał znajomości gdzieś na wsi. Ja przynosiłam bibułę.

Mimo niesprzyjających okoliczności w zakładzie pracy towarzystwo się trzymało. Był szok, kiedy jedna, naprawdę świetna dziewczyna dała się namówić tej słynnej kadrowej na wyjazd do Libii. Kupili ją, czego reszta personelu nie mogła zrozumieć.

Potem doszło do nas, że komuna ma jeszcze tajnych współpracowników SB. U nas też na pewno ich zainstalowali. Przecież nie mogło być tak, że cała przychodnia należała do „Solidarności". W końcu w każdym zakładzie funkcjonowała podstawowa organizacja partyjna i stare związki zawodowe. Ci wszyscy ludzie grali na swoje. Mnie to zupełnie nie interesowało.

Nie wiem, czy dyrekcja placówki wiedziała, że prowadzę działalność konspiracyjną. Chyba nie do końca. To chyba było tuż po Gwiazdce 1982 roku. Moja szefowa bardzo mnie nie lubiła i demonstrowała swoją niechęć. Jednocześnie liczyła na to, że będę jej opowiadać o kulisach konspiracji.

– Pani Jagodo, muszę panią poinformować, że przed świętami było u mnie dwóch panów z bezpieki i o panią dopytywali – powiedziała mi na boku.

– OK, dzięki – odpowiedziałam. No bo co miałam zrobić? Nie miałam zamiaru się tłumaczyć.

Byli też w domu u Jarka Zycha, żeby czegoś się o mnie dowiedzieć. – Nie, ona się nie nadaje do konspiracji, jest za głupia – powiedział im.

Ja jednak w tym podziemiu byłam. Raz przyjechał facet z wywiadu aż z Warszawy. Byłam esperantystką i miałam zagraniczne kontakty. Czekał na mnie w pokoju, w którym znajdowała się też cała torba tygodnika „Mazowsze". Jak mnie znalazł? Mój adres i telefon był u kogoś, kto został aresztowany.

Potem jeszcze raz trafiłam na przesłuchanie do wojewódzkiego. Byłam nieostrożna i przeprowadzałam telefoniczne rozmowy z panią, która pracowała w szpitalu wojskowym. Umówiłyśmy się, że przyjedzie do Gdańska po bibułę i dostarczy ją dla Elbląga. Namierzyli ją. Nie zjawiła się, więc zadzwoniłam do niej i poprosiłam ją do telefonu.

– Jest, jest ten telefon! – usłyszałam słowa kogoś, kto odebrał i miał przekazać słuchawkę mojej znajomej.

Rozłączyłam się. Ale dzwoniłam przez centralę, więc oni prawdopodobnie wiedzieli, że jestem z portowego ZOZ-u.

W końcu wezwano mnie do urzędu. Siedziało tam dwóch panów i przesłuchiwało przez trzy godziny. Spodziewałam się, że będą tylko czyhać na to, by na czymś mnie złapać, do czegoś się przyczepić.

– Pani Jagodo, my już wszystko wiemy – przyznał jeden z nich na początku i powiedział, co o mnie wiedzą.

Pomyślałam: „Spoko, mają zupełnie bezpieczne informacje". Sytuacja była więc dla mnie w miarę komfortowa. Przesłuchiwali mnie w nadziei, że powiem jedno niepotrzebne słowo, co mnie trochę denerwowało.

– Czy ktoś proponował pani, żeby wywiozła coś za granicę? – padło pytanie. Odpowiedziałam, że nie.

– A gdyby padła taka propozycja, wywiozłaby to pani? – ciągnęli podchwytliwie. Powiedziałam wtedy, że też jestem ciekawa, czy byłoby mnie na to stać, ale nikt mi nie proponował.

– Czyta pani nielegalną prasę?

– A pan?

To były takie sposoby. Do końca nie wiedziałam, czy mnie wypuszczą. Taki stary, okropny, zasuszony esbek z Warszawy, swoisty korniszon wymoczony w spirytusie, powiedział do mnie na odchodne: – No, pani Jagodo, my to się jeszcze zobaczymy.

– A panu nie pora na emeryturę? – odparłam. To dopiero była głupota z mojej strony. Facet zerwał się z krzesła. Ten z Elbląga złapał mnie za ramię i wyciągnął za drzwi. Czyli przesadziłam. Ale to był odruch. Nie zamknęli mnie. Jak już przyszło do okrągłego stołu, pomyślałam: „Kurczę, nie poszłam nawet na jeden dzień".

Jak już zadomowiłam się w tej konspiracji i zorientowałam co do jej zasięgu, to uświadomiłam sobie, że stan wojenny był tylko chwilowym zwycięstwem komuny. Gdy jeździłam do Warszawy, widziałam ich zdenerwowanie. Oni po prostu rwali włosy z głowy. Mówiłam wtedy: – O co chodzi? Przecież wiadomo, że to się skończy i będzie inaczej.

Oni uważali, że ja, będąc w Gdańsku, wiem więcej niż oni. My tu robiliśmy swoje. Współpracowałam z „Borsukiem" (ps. Bogdana Borusewicza). Chyba tylko raz zostawili jakieś wydawnictwa w piwnicy u mojej rodziny. Zrzucili, a następnie zabrali. W moim rejonie chyba nawet nie było specjalnych konspiratorów.

Pamiętam, że któregoś dnia przyjechał znajomy i powiedział: – Jagoda, oddawaj wszystko, co masz, bo Bogdan widział, jak jeździł samochód szukający radia.

Budowali koło mnie dziesięciopiętrowiec. Władza sprawdzała w nocy, czy nie ma na nim nadajników. Bogdan Borusewicz skojarzył, że chodzi o mnie, bo przecież tutaj nikt więcej z opozycjonistów nie działał. Zabrali ogromy wór świeżego tygodnika „Mazowsze", który wiozłam ze stolicy z naprawdę dużym ryzykiem.

W Warszawie odbywały się wtedy demonstracje, bo to był 1 albo 3 maja i wszystko było obstawione. Na Dworcu Centralnym pilnowali ruchome schody na wszystkich peronach – zarówno na górze, jak i na dole. A ja jechałam z wo-

rem, który pachniał pastą Komfort. Nikt się nie zorientował. Może dlatego, że zachowywałam się jak dama i nigdy nie okazywałam zdenerwowania.

W 1987 roku rozpoczęłam pracę w zakładzie, który zupełnie nie był dla mnie. Zdarzyło mi się tak w życiu dwa razy. Za pierwszym razem poszłam do pracy w przychodni kolejowej.

Drugi przypadek to przychodnia przy AWF-ie, gdzie na siłę ściągnęła mnie moja koleżanka. Niebywale ją tam mobbingowali. Ona myślała, że jak przyjdę, to ją obronię. A to jest niemożliwe, żeby obronić kogoś, kto sam nie próbuje o siebie walczyć. Można kogoś wesprzeć, ale o swoje samemu trzeba zabiegać. Ona miała po prostu taki uległy charakter i jak natrafiała na ludzi bez sumienia, pozwalała na to, by ją zdeptali.

Poszłam do AWF-u i nie było mnie już w komisji zakładowej. Moja koleżanka, z którą ciągnęłyśmy ten wózek, wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, do Chicago. Druga koleżanka, która zajmowała się sprawami socjalnymi, też wyjechała z Polski. Została Anka Maruszczak. Byłam tam już niepotrzebna.

Natomiast dalej angażowałam się w strukturach regionalnych i krajowych. Spotkania krajowe odbywały się w kościele Mariackim, na plebanii u ks. Bogdanowicza. Potem przenieśliśmy się do kościoła koło szkoły muzycznej – wtedy było już na etapie przygotowań do okrągłego stołu.

AWF to była straszna placówka – okropna pod względem działalności związkowej. Nie byłam już na poziomie komisji zakładowej. Alina [Pieńkowska] zawsze mocno na mnie liczyła i przez to później męczyło mnie sumienie. Miałam w domu taką sytuację, że nie mogłam startować z nią w wyborach do parlamentu, bo miałam inne priorytety. Byłam potrzebna w domu i nie mogłam się wyprowadzić z Trójmiasta. Potem zaczęły się awanse, które mnie ominęły. Wybory, parlament, ministerstwa, a ja musiałam zostać w domu i pilnować spraw rodzinnych...

Był taki dzień, że zadzwoniła do mnie do pracy koleżanka z Warszawy z konspiracji. – Słuchaj, Jagoda, ja cię bardzo przepraszam, ale nie było innego wyjścia. Ktoś koniecznie chce zamieszkać na chwilę w Sopocie, coś mu załatwisz – powiedziała.

Zaczęła coś kręcić. Wiedziałam, że o coś jej chodzi, tylko nie może powiedzieć. Po jakimś czasie zadzwoniła moja młodsza siostra. – Przyjechał do ciebie jakiś facet, czeka w pokoju – oznajmiła.

Czyli przyjechał ktoś niezapowiedziany – czego się nie robi – jakiś kurier w jakiejś sprawie. Wyszłam z kolejki. Siostra przyjechała samochodem. – Przed chwileczką był u nas w domu dzielnicowy i cię szukał. Robotnicy ukradli cement, który leży teraz pod naszą furtką – powiedziała. – Oni się podjęli pracy, ale z własnym materiałem – dodała.

Sytuacja wyglądała więc tak: nielegalnie i niespodziewanie w moim pokoju siedzi jakiś kurier, pod furtką leży ukradziony przez robotników cement, dzielnicowy mnie szuka… Dorzuciła jeszcze, że w domu rozlewają bimber na wesele sąsiadów. Powiedziała mi to wszystko i pojechała.

Poszłam na górę, zauważyłam idącego dzielnicowego. Zastanawiałam się, co zrobić: przyznać się, kim jestem, czy się nie przyznać, minąć i zobaczyć,

co się stanie? Zdecydowałam, że powiem. Nie mogłam ryzykować, żeby ten milicjant przychodził później w niestosownych momentach.

– Podobno pan mnie szuka – zagaiłam.

– Tak, bo mi kazali. Mam tu zeszyt, mam wszystko spisać.

– Dobra, to niech pan idzie ze mną.

Minęliśmy te worki z cementem, wprowadziłam go do pokoju na dole. W kuchni oczywiście rozlewali ten bimber, było go czuć... On wziął kajet i pytał o zupełnie podstawowe informacje.

– Niech pan chwileczkę zaczeka, skoczę tylko na chwileczkę do pokoju – poprosiłam go i poszłam na górę, bo ktoś przyszedł.

Tam siedział człowiek, który wyglądał na 150-proc. konspiratora: chudy, czarny student w zielonym stroju. Pił herbatę. Powiedział, że bardzo przeprasza, ma bardzo pilną sprawę, bo musi jutro wyjechać do Wiednia do Wolnej Europy. Miał jakiś papier, który musiał zostać podpisany oryginalnie przez tych, co mieli zwyczaj podpisywać. Musiał to zawieźć tego samego dnia na 18 pociągiem do Wrocławia. Pomyślałam: „Rany boskie…".

Skończyłam z tym dzielnicowym, wzięłam od pana z góry to oświadczenie. Umówiłam się z nim w Sopocie. Jednak nie udało się zebrać tych podpisów, bo to nie było takie proste. Przyszedł. Powiedziałam mu, że nie ma jednego podpisu i potrzeba jeszcze ze dwie godziny, żeby go zdobyć.

– Dobrze, to ja jadę do Gdyni. Kupię sobie bilet. Będę pół godziny przed odjazdem pociągu, to odbiorę – powiedział.

Wszystko załatwiłam. O umówionej porze człowiek się nie zjawił. 20 minut, 15 – dalej go nie było. Wreszcie podjechała karetka, on z niej wyszedł. Okazało się, że na dworcu w Gdyni dostał ataku padaczki. Zabrali go na pogotowie i sprawdzili torbę. Gdybym wtedy w Sopocie miała dla niego to podpisane oświadczenie, zamknęliby go. A tak zabrał je i pojechał. Nie wiem, czy się ukazało.

Później dowiedziałam się, że ten chłopak przyjechał od Frasyniuka, który w Gdańsku nie miał żadnych kontaktów. Potem, jak wsadzili Frasyniuka, centrala uznała, że przyjdą po mnie – ponoć było to tylko kwestią czasu. W związku z tym zakazano kontaktowania się ze mną, dlatego miałam przerwę w życiorysie. Uważałam, że są durni, przewrażliwieni i zawracają mi głowę. Ostatecznie wyszło na moje, ponieważ oczywiście nie zamknęli mnie. Jednak stwierdziłam, że Bóg albo jakieś siły czuwają nade mną, gdyż tego dnia wszystko dobrze się skończyło.

Janina Grundo

w latach '80 zatrudniona w Fabryce Rękawiczek i Odzieży Skórzanej w Miastku, działaczka NSZZ „Solidarność". W stanie wojennym zajmowała się drukowaniem ulotek.

Do Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność" zapisałam się zaraz po jego powstaniu. Jako absolwentka technikum zatrudniłam się w Fabryce Rękawiczek i Odzieży Skórzanej w Miastku, w dziale zajmującym się produkcją rękawiczek. Pracowałam w biurze, które obsługiwało produkcję galanterii od strony administracyjnej. Tak rozpoczęła się moja kariera zawodowa.

Oczywiście jak w każdym zakładzie działała u nas również Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. I sekretarz partii w zakładzie bardzo mnie nagabywał o wstąpienie w jej szeregi, podkładał deklarację członkowską. Oni w tamtych czas wręcz polowali na młodych pracowników. Chyba musieli jakieś normy wyrobić. Praktycznie każda nowa osoba w fabryce musiała zmierzyć się z takim wyzwaniem. Były obietnice, zapewnienia o lepszym życiu; wyglądało to jak próba przekupstwa. Odbywało się to mniej więcej tak: „Wicie, rozumicie. Ważne jest, by do partii wstępowali młodzi, inteligentni ludzie, którzy wspólnie będą budować dobrobyt w socjalistycznej ojczyźnie".

Jeszcze bardziej na takie nagabywanie narażone były kobiety, które w tamtych czasach w polityce praktycznie nie istniały. Nie wiem, czy ten sekretarz myślał, że ja jakąś karierę na tym polu będę chciała robić. Próbował różnych sztuczek, by mnie do tej partii zapisać. Broniłam się, jak mogłam, ponieważ wyniosłam z domu wartości katolickie i nigdy nie dopuszczałam do siebie myśli, że mogłabym wstąpić do PZPR. Tym bardziej, że to partia, która internowała prymasa Stefana Wyszyńskiego, walczyła z Kościołem i tak organizowała życie ludziom, by odciągnąć ich od wiary. Mnie z taką partią na pewno po drodze nie było. Konsekwentnie mu odmawiałam.

Miałam też inny argument. Otóż byłam jeszcze stanu wolnego. Mówiłam, że nie wiem, jak ułożą się moje życiowe sprawy i relacje w rodzinie po wyjściu za mąż, więc nie mam na razie takiej potrzeby. Musiałam się jakoś bronić.

To nagabywanie było podszyte obietnicami o możliwości awansu w zakładzie. Wielu taką drogę wybrało. To przekładało się na panujące w załodze relacje: ci, którzy wstąpili w struktury partii, mieli większe szanse rozwoju, a pozostali zostali na gorszych stanowiskach.

Jednak nie było to dla mnie żadną zachętą. Trwałam przy swoim zdaniu. Oni chyba z zasady dzielili ludzi według nich na lepszych, bo partyjnych, i gorszych, bezpartyjnych, którym nie zależy na rozwoju i awansach. Jakie przygotowanie, taka hierarchia wartości... Układy, kumoterstwo, zależności, za to bez wiary, szczerości i prawdy. To naprawdę nie było środowisko dla mnie.

Jak pamiętam działalność w „Solidarności"? W głowie mam takie sytuacje, gdy tworzyło się ulotki i reprodukowało je na powielaczach. Pracowały przy tym moje koleżanki. Pewnego razu funkcjonariusze (chyba z SB) szukali po biurach maszyn, na których mogły być pisane te ulotki, badali czcionki, z których mogły wychodzić. Latali jak z przysłowiowym pęcherzem. Wtedy jakiś strach się pojawiał, bo wiadomo, czym to groziło. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nasze działania mogą spotkać się z reakcją władzy. Mimo to czuliśmy, że mamy misję do spełnienia, że robimy coś naprawdę wielkiego i ważnego. Zapewne tak myślały tysiące członków „Solidarności" w całym kraju. Chodziło przecież o przyszłość naszą i naszych dzieci.

To w ogromnej mierze dla tych ostatnich było to poświęcenie i zaangażowanie. Przecież tu, na Pomorzu, żywa była i nadal jest pamięć o Grudniu '70. Ofiara tamtych zamordowanych miała pójść na marne? Nie chcieliśmy do tego dopuścić, dlatego angażowaliśmy się w działania „Solidarności". Zebrania, narady, wiece i słowo pisane – prawdziwe, poruszające sprawy zwykłych ludzi, nie decydentów ukrytych za milicyjnymi tarczami i pałkami. Dlatego pisałyśmy i drukowałyśmy te ulotki, by ludzie znali prawdę, by wiedzieli, co dzieje się w zakładzie, regionie, kraju.

Nie wiem, czy tak do końca zdawałyśmy sobie sprawę z konsekwencji. Ważny był cel. Dopiero pojawienie się tych panów uzmysłowiło nam, że właśnie stałyśmy się wrogami socjalizmu i ludowej ojczyzny, która nie akceptuje przeciwników politycznych. Do tego dochodziła jeszcze wrogość i nienawiść tych panów, którzy pokazywali nam, kto tu tak naprawdę rządzi. Nie pamiętam, czy nas straszyli. Sama ich obecność w zakładzie wzbudzała emocje i udzielała się wszystkim. Jednak solidarnie wytrwaliśmy i niczego się nie dowiedzieli.

Skąd pomysł, by działać w strukturach? Zawsze popierałam solidarność, walkę z niesprawiedliwością społeczną. „Solidarność" głosiła te hasła – zarówno wtedy, jak i teraz. Mam na myśli przede wszystkim prawa kobiet, prawa do urlopów wychowawczych – związek o to walczył. Dlatego nie miałam żadnych wątpliwości, kiedy pojawiła się „Solidarność". Czułam, że to jest moje miejsce, i wstąpiłam. Dziś zrobiłabym tak samo.

„Solidarność" odegrała w moim życiu bardzo ważną rolę. Nauczyła mnie podejścia do ludzi, dała wiarę, że jeśli się zjednoczymy, możemy bardzo wiele osiągnąć.

Starałam się ideały związku przekazać moim dzieciom. Dziś mówi się, że my wtedy zmienialiśmy Polskę. Choć władza zaatakowała nas stanem wojennym, wytrwaliśmy. To ważne, by pamiętać swoją historię i przekazywać ją następnym pokoleniom.

W okresie komunizmu działały też reżimowe związki zawodowe, lecz one wcale nie stały po stronie pracownika. Pilnowały jedynie, by w zakładach nie działo się nic, co byłoby wymierzone we władzę ludową. Ich działacze uda-

wali, że są po naszej stronie. Niby dawali skierowanie na wczasy, jakieś prezenty na Dzień Kobiet czy paczki na święta. Ale przecież nam się to najzwyczajniej w świecie należało. W końcu wypracowywaliśmy fundusz socjalny. Oni twierdzili, że to niby ich zasługa. Dopiero pojawienie się „Solidarności" pokazało nam, jaka jest prawda w kwestii praw pracowniczych i co władza robi.

Jak wspominam wprowadzenie stanu wojennego? W 1981 roku urodziła się moja druga córka, więc odeszłam z zakładu na urlop macierzyński, a potem dwuletni urlop wychowawczy. Skorzystałam z tego, bo obowiązywały już stosowne przepisy. W tym czasie wybuchł stan wojenny. Miałam małe dziecko i bardzo ciężko to przechodziłam, bo mąż został zabrany na służbę do straży wojennej. Musiał się stawić i nie mógł opuszczać jednostki, więc sama musiałam radzić sobie ze wszystkim w domu.

Pamiętam przykrą sytuację z tamtego okresu. Jak wiadomo, wszystkiego wówczas brakowało i ciężko było cokolwiek kupić, zwłaszcza dla małych dzieci. Stanęłam w kolejce po buty dla malutkiej córki, która miała już roczek i zaczynała chodzić. Do sklepu obuwniczego przywieźli buciki, tzw. wywrotki. Tak się niefortunnie złożyło, że milicja sprawdzała wtedy dowody osobiste, a ja swojego nie miałam, więc oczywiście wlepili mi mandat. Nie pamiętam już, o jaką kwotę chodziło, ale byłam tym okropnie zbulwersowana. Że przy tych trudnościach z codziennym zaopatrzeniem jeszcze nas karano za takie błahostki. Przecież matka, która wyszła z dzieckiem na spacer, nie zawsze musiała nosić dowód osobisty. Represje i prześladowania zwykłych ludzi były codziennością. Jak tylko nadarzyła się okazja, pastwili się na ludźmi. Pokazywali swoją wyższość, nie tylko wlepiając mandat, ale też zamykając każdego. Nie chodzi tu tylko o zatrzymania na 48 czy 72 godziny. Potrafili zamknąć bez sądu, bez wyroku nawet na trzy miesiące. Byli buńczuczni i aroganccy. Zdarzali się też bardziej ludzcy, ale to był ułamek w tej ogromnej masie bezwzględnych.

Działalność konspiracyjna to nie tylko walka z systemem. Z „Solidarnością" brałam udział w pielgrzymkach. Na przykład – do Gdańska, gdy przyjeżdżał Jan Paweł II. Byłam wtedy na Zaspie. Dla mnie to było i jest nadal niesamowite przeżycie. Uczestniczyć w mszy papieskiej, słuchać na żywo słów ojca świętego, papieża Polaka, który przyjechał do kolebki „Solidarności" specjalnie, by podnieść nas na duchu, dać nadzieję, zjednoczyć. To sprawa, której się nie zapomina, zawsze pozostaje w pamięci i sercu.

Choć udzielałam się w związku stworzonym przez robotników, ludzi pracy, zawsze popierałam prawicowe poglądy – takie mam od urodzenia. Moja rodzina taka była. Popierałam rządy AWS. Z mężem zawsze mieliśmy te same preferencje polityczne; nie było na tym tle różnic.

Jestem sympatykiem PiS, bardzo popieram ten rząd i jestem za tym, aby jak najdłużej utrzymał się przy władzy. Robi dobre rzeczy dla Polski, dla rodzin.

Mnie to już nie dotyczy, ale moich córek – które zostały objęte programem „Rodzina 500 plus" – już tak. One są z tego zadowolone i ja się cieszę, bo każdemu jest lżej. Mamy nadzieję, że to będzie trwać. Widzę tę różnicę w polityce rodzinnej. Właściwie nie ma czego porównywać w kwestii problemów z wychowaniem dzieci dawniej i obecnie. Oby to trwało dalej i rozwijało się w dobrym kierunku. Mam taką nadzieję i myślę, że tak będzie.

Wanda Jagieluk

W roku 1980 pracownik Biura Planowania Przestrzennego. Obecnie przewodnicząca Klubu Gazety Polskiej w Gdyni. Organizatorka licznych spotkań patriotycznych. Odznaczona przez Prezydenta Andrzeja Dudę Medalem Stulecia Odzyskania Niepodległości.

Początek protestów w 1980 roku kojarzy mi się ze strajkiem kolejki. Nie można było nią pojechać z Gdyni do Gdańska. Wprawdzie wtedy już pracowałam w Gdyni, ale – jako że macierzyste biuro znajdowało się w Gdańsku – czasami musiałam tam jechać. Pamiętam, że stałam na peronie jak ta sierota i ani w tę, ani we w tę nie mogłam się ruszyć. To było fatalne.

Oceniałam to ambiwalentnie. Z jednej strony miałam świadomość, że dzieje się coś ważnego i potrzebnego. Z drugiej strony myślałam: „Holender jasny, no przecież najbardziej w tyłek dostajemy my, pasażerowie, bo nie możemy dojechać ani do pracy, ani do domu". Może było to trochę niepolityczne myślenie, ale za to bardzo praktyczne. Później przywrócono te połączenia.

O tym, że stanęła Stocznia Gdańska, dowiedziałam się od męża, bo pracował w Gdańsku. Nasza córka miała już pięć lat i pojechaliśmy całą rodziną na plac przed stocznię, bo chcieliśmy zobaczyć z bliska, jak to wygląda. Był tak ogromny tłum, że pod samą bramę już nie doszliśmy. Utknęliśmy na środku tego placu. Mąż był wyższy, to coś widział, ja – nic. Mała zaczęła marudzić i wycofaliśmy się.

Potem dowiedziałam się, że strajkuje Stocznia im. Komuny Paryskiej w Gdyni. W mieście stanęła komunikacja miejska. Nie dotknęło mnie to, ponieważ pracowałam w budynku urzędu miasta. To nie było tak daleko od domu, więc mogłam pokonać drogę pieszo. Protest się rozszerzał, dołączały kolejne przedsiębiorstwa. Po jakimś czasie od rozpoczęcia strajków na Wybrzeżu zaczęły do mnie docierać doniesienia o tzw. niepokojach w innych częściach Polski. Było wtedy jasne, że stanął cały kraj.

Ludzie mieli nadzieję, że coś się zmieni. Społeczeństwo tego chciało. Ja nie uczestniczyłam w życiu politycznym, więc z powodu strajków nie spotykały mnie nieprzyjemności.

Wychowałam się w bardzo antykomunistycznym domu. Rodzice przekazywali inne wartości niż szkoła. Ojciec miał nastawione radio wyłącznie na Wolną Europę.

Słuchał go na takim dużym radioodbiorniku lampowym. Na tych nowoczesnych wówczas sprzętach nie dało się złapać tej rozgłośni. Nie było na to szans, to nie tej klasy urządzenia, ale – o dziwo – na radioodbiorniku mojego ojca – tak. Ja z kolei stawiałam na Radio Luksemburg.

Wszyscy chcieli zmian. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaka to może być zmiana, jak to będzie, co to będzie. Ludzie przede wszystkim obawiali się powtórki Grudnia '70. „Skoro oni wtedy się odważyli, to niewykluczone, że teraz też mogą" – takie panowało myślenie.

Jednak strajk rozlewał się po kraju. Ludzie stawali się bardziej odważni i pełni nadziei. To, że w wielu miastach strajkujący myśleli podobnie, zaowocowało powołaniem ogólnopolskiej i do tego niezależnej od komunistycznych władz struktury związkowej.

Powstanie „Solidarności" chyba bardzo zaskoczyło wszystkich i to nie tylko w naszym kraju. Poczułam, że może rzeczywiście coś się odmieni. W grudniu 1970 roku ludzie wyszli na ulicę i zginęli. 10 lat później nie wychodzili i to stanowiło szansę, że mimo protestów robotniczych nie dojdzie do otwartej konfrontacji władzy z narodem. Ale nie było pewności odnośnie tego, na co może się zdecydować nasze szanowne wojsko…

W poparciu dla strajkujących robotników upatrywaliśmy szansę na poprawę zaopatrzenia. Mieliśmy nadzieję, że człowiek będzie mógł normalnie pójść do sklepu i kupić to, czego akurat potrzebuje. A tak musieliśmy sobie jakoś radzić. Przykładowo mąż, nie pamiętam jak, zdobywał dobrą śmietanę. Sami robiliśmy z niej masło. Jeździłam do Wejherowa po kabanosy.

Dla mnie sytuacja zrobiła się gorsza zaraz po narodzinach córki, jeszcze zanim wprowadzili kartki. Potrzebowałam cukru. Mówili, żeby używać słodziku. Ale jak miałam małemu dziecku słodzikiem posłodzić mleko? Chodziłam po aptekach i błagałam te babki, żeby sprzedały mi trochę glukozy. Potem zaczęła obowiązywać reglamentacja i dzięki temu coś tam się dostawało.

Przykładowo robiłam tak, że w sobotę ładowałam córkę przed telewizor, kładłam jej poduszki, kołderki i włączałam. – Siedź, oglądaj, a ja idę na polowanie – mówiłam jej.

Nie mogłam sobie wymyślić, że dzisiaj ugotuję to i to, pójdę po potrzebne produkty i kupię. Było odwrotnie: w zależności od tego, co kupiłam, to ugotowałam. Raniutko, o jak najwcześniejszej godzinie, szłam na rynek i kupowałam, co akurat mieli.

Ludzie też ganiali. Wystarczyło, że ktoś rzucił hasło: – O! Jest gdzieś papier toaletowy! To dopiero był szał...

Pamiętam, jak pewnego dnia udało mi się zdobyć papier toaletowy. Zarzuciłam go sobie na szyję i szłam po Gdyni. Każdy mnie zaczepiał i pytał, gdzie go kupiłam.

A propos panującego wówczas zaopatrzenia. Kiedyś przyjechał do nas przedstawiciel „Le Monde". Pomyślałam sobie wtedy: „Jak by tak Francuzi mieli w sklepach tylko jeden rodzaj pasty do zębów, jeden rodzaj sera i braki papieru toaletowego, to może być zrozumieli, jak to u nas było". Oni nie mieli o tym pojęcia.

Wierzyliśmy w idee strajkujących i całkowicie popieraliśmy 21 postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Dlatego cieszyliśmy się, kiedy w reszcie podpisano porozumienia sierpniowe. W zakładach, urzędach i różnych innych instytucjach, również w moim gdyńskim oddziale Biura Planowania Przestrzennego, zaczęły powstawać komisje założycielskie „Solidarności".

Słyszałam, że w niektórych przedsiębiorstwach dyrektorzy próbowali zastopować tę inicjatywę, strasząc pracowników, że tworzenie komórek zakładowych jest nielegalne. Nas nikt nie straszył. Myśmy się zapisywali do „Solidarności" – nie wiem, czy wszyscy, bo nikt nikogo o to nie wypytywał. To były czasy, kiedy się pracowało z towarzyszami, tj. ludźmi należącymi do partii. U nas nikt nikomu z tego powodu nie robił krzywdy.

– Nie muszę go do domu zapraszać, nie muszę się z nim kolegować prywatnie. Po prostu z tym człowiekiem pracuję – mówiłam.

Tak zostałam członkiem „Solidarności". Po prostu zapisaliśmy się ze współpracownikami, żeby wesprzeć ten związek, a nie żeby rzeczywiście w nim działać.

Kiedyś w zakładzie odbyło się zebranie. Nie pamiętam już, czy chodziło o to, żeby coś poprzeć, czy żeby nie poprzeć. Toczyły się dysputy. Jedni mówili tak, inni inaczej. – O czym my tu dyskutujemy? Popieramy i koniec! – powiedziałam w końcu.

Mimo sierpniowego zwycięstwa cały czas wśród ludzi panowała jakaś niepewność. Przede wszystkim zastanawialiśmy się, co zrobią Sowieci. Po latach się okazało, że wcale nie mieli zamiaru wchodzić.

Teraz nie pamiętam już, czy myśmy rozmawiali na ten temat, czy to już z tych późniejszych rozmów wynikało, że niby Ruskie wcale nie mieli wchodzić. Mieli powiedzieć Jaruzelskiemu: – Towarzyszu, róbcie sami porządek na swoim podwórku.

No i ta niepewność w pewien sposób się zmaterializowała. Nastał stan wojenny. Dla mnie to było zaskoczenie. Mąż i córka spali, a ja sobie oglądałam telewizję. Leciał świetny, trzymający w napięciu film, był akurat taki ważny moment i – trach! – czarny ekran!

Zła byłam… No i na drugi dzień nie puścili „Teleranka", tylko Jaruzelskiego. Nie mogliśmy się nigdzie dodzwonić, brakowało informacji, co się dzieje. Mąż powiedział, żebyśmy jechali do teściowej w Oliwie i do Wrzeszcza, do jego siostry. Kiedy jechaliśmy przez Wrzeszcz i na wysokości siedziby zarządu „Solidarności" zobaczyliśmy ZOMO i wojsko, pomyśleliśmy, że to wojna. Nie wiedzieliśmy, co będzie dalej – czy rzeczywiście rozpęta się wojna. Czekaliśmy na dalszy bieg wydarzeń. Co mogliśmy zrobić? Czy myśmy normalnie poszli do pracy…? Specjalnie tego nie kojarzę. Jeżeli przedszkola nie poszły, ja na pewno nie poszłam do pracy.

Nikt nie wiedział, co będzie dalej. Ludzie się bali. Wiedzieliśmy, że zatrzymują działaczy „Solidarności". My byliśmy szeregowymi członkami i dlatego mieliśmy nadzieję, że nas nie aresztują. Ale to nie była pewność.

Któregoś dnia pojechałam do Gdańska, gdzie znajdowało się moje macierzyste biuro, bo miałam tam coś do załatwienia. Wracałam z mężem. Stali-

śmy na Dworcu Głównym w Gdańsku. W pewnym momencie z komisariatu wybiegli milicjanci i zaczęli strzelać. Nie wiem, czy ostrymi nabojami, czy gumowymi kulami, czy ślepakami, ale rozległy się strzały. Po prostu nagle wyskoczyli i biegli. Ludzie się rozproszyli. Rzucili się na wąskie betonowe schody położone na skarpie za torami kolejowymi, która wychodzi na ul. 3 Maja. Tłok był straszny, a ja cały czas myślałam: „Boże, jak my tu zginiemy, kto odbierze nasze dziecko z przedszkola?".

W Gdyni słyszało się o podziemiu. Ludzie działali w konspiracji. Jednak nie miałam kontaktów. W tamtym czasie trzeba było robić wszystko, żeby przeżyć. Pewnie nieraz na Warszawskiej mijałam jakichś działaczy, ale nie znałam ich. W pracy zbieraliśmy nawet pieniądze dla rodzin internowanych. – Słuchajcie, ten i ten został osadzony. Została żona z dwójką dzieci, musimy im pomóc – mówiło się. I pomagaliśmy.

Nie wiem, czy ktoś donosił, ale odwiedzali nas „smutni" panowie. Dopiero po latach dowiedziałam się o zwyczaju esbecji praktykowanym podczas nalotów na czyjeś mieszkanie. Otóż agenci włączali radio.

Do naszego domu rodzinnego bardzo często przychodziła milicja. To z powodu dużego białego orła ze złotą koroną na czerwonym tle. Milicjanci przychodzili i pytali, co to jest. Mój ojciec dostawał szału. W takich sytuacjach matka wychodziła ze mną z domu. Były awantury o to godło.

W stanie wojennym wszystko objęto systemem reglamentacji. Było bardzo, bardzo ciężko. Musieliśmy kombinować. Sąsiad jechał na wieś, kupował jakiegoś świniaka i potem w kilka rodzin żeśmy się tym dzielili. Nie było to fajne, bo jak ktoś nie miał dużej zamrażarki, tylko normalną lodówkę z niedużym zamrażalnikiem, nie mógł tego wszystkiego zmagazynować. To było takie poniżające. Przeżywaliśmy upokorzenie z powodu braku podstawowych rzeczy, takich jak: papier toaletowy, mydło, pasta do zębów, środki czystości, środki do prania. Jeśli już mieli to w sklepach, wszystko było takie siermiężne. Mogę gorzej zjeść, ale umyć się muszę. Skądinąd wiedziałam, że w sklepie mięsnym przy ulicy Morskiej na półkach niby nie było nic, a na zapleczu ekspedientka sprzedawała mięso swoim ludziom...

W tej szarej komunistycznej beznadziei musieliśmy żyć. Siłę dawała nam wiara. Przede wszystkim polski papież. Zawsze czekało się na jego słowa.

Aż doczekałam się jego pielgrzymki do Trójmiasta. Oczywiście nie mogło mnie zabraknąć na skwerze Kościuszki. Byłam tam, ale stałam tak daleko… Mąż mojej kuzynki załatwił nawet bilety na miejsca z przodu, ale myśmy nie wiedzieli, że trzeba przyjść dwie godziny wcześniej. Zjawiliśmy się pół godziny przed rozpoczęciem uroczystości i już nie mogliśmy się dopchać. Byłam z córką. Papieża widziałyśmy tylko w momencie wjazdu. To było niesamowite.

W ogóle nieprawdopodobna była sama nominacja Karola Wojtyły. Wiadomo, że zwykle na ten urząd wybierali na ogół Włochów. Oni się trzymali razem i było wiadomo, że głową Kościoła musi być człowiek pochodzący z Włoch.

A ten przyjazd… To było piękne. Pamiętam takie numery, że w tym tłumie nagle ktoś rozwijał transparent „Solidarności". Robili to młodzi ludzie. Natychmiast zjawiało się kilku, którzy chcieli ich złapać. To się odbywało tak: oni odwi-

jali płachtę, wszyscy ją zobaczyli, oni się zwijali i już ich nie było. Na dachu jednego z przylegających do placu budynków kręcili się ludzie. Może to byli członkowie służby porządkowej? W każdym razie było ich tam sporo.

Ta pielgrzymka z 1987 roku była punktem, który znowu pozwolił nam mieć nadzieję. Po pierwsze, komuniści już musieli pogodzić się z tym, że papieżem jest Polak. A po drugie, czy im się to podobało, czy nie, musieli pogodzić się z tym, że ojciec święty co jakiś czas przyjeżdża do Polski. Nie dało się już tego odwrócić. To była wielka radość i nadzieja, że jednak jest taki człowiek, któremu oni nie mogą się przeciwstawić. Mogli próbować, kombinować, ale ludzie i tak go słuchali.

Potem wszystko jakby przyspieszyło. Rok później przez Polskę znów przelała się fala strajków, również u nas na Wybrzeżu. Zaczęły się przygotowania do przejęcia władzy. Tylko kto ją miał objąć...? Wydaje mi się, że ludzie mieli bardzo duże nadzieje w związku z okrągłym stołem, ale chyba od razu się nie zorientowali, że to jest jednak wielki pic, że dogadują się swoi ze swoimi. Dopiero później, kiedy zaczęły do nich docierać szczegóły, zareagowali. Również należałam do grupy, która uważała, że została wystrychnięta na dudka i nic dobrego z tego porozumienia nie będzie. No i faktycznie – oni się dogadali między sobą. I znowu: nadzieje były wielkie, a wyszło, jak wyszło.

Myślę jednak, że gdyby nie było Sierpnia, nic by się nie ruszyło. Żylibyśmy tak, jak żyliśmy przed Sierpniem – w marazmie. Wszyscy by narzekali, może byłyby jakieś niewielkie strajki. Ktoś by się buntował, ktoś chciał podwyżki, ktoś chleba, ale nic wielkiego by się nie wydarzyło.

Jednak zmiana, ten skok, jest dosyć duża. Odnośnie transformacji mam jedną pretensję. Znałam i pana Krzysztofa Wyszkowskiego, i państwa Gwiazdów – oni wiedzieli, że Wałęsa nie jest w porządku. Za mało się postarali, żeby prawdziwe oblicze Wałęsy poznało więcej ludzi, że nie powiedzieli tego wtedy. Nie wiem, czy nie mieli sposobu, czy nie chcieli. Może nie mieli dojścia do szerszych mas, telewizji, radia; mieli tylko gazetki. Niedobrze wyszło, bo ludzie znowu dali się wpuścić w maliny i wykołować. Myśleli, że Wałęsa to rzeczywiście jest człowiek, który może coś dla nich zrobić, i głosowali na niego. Kompromitacja, wstyd. Z drugiej strony nie wiem, jak by się to ułożyło, jak by to było, gdyby jednak ludzie się dowiedzieli...

W 2007 roku założyliśmy Klub „Gazety Polskiej" w Gdyni. To się stało przez przypadek. Dowiedziałam się z internetu, że coś takiego jest, że powstają jakieś grupy. Strasznie wściekło mnie, że przed wyborami w 2005 roku mówiło się głośno, że Platforma będzie miała większe poparcie w wyborach, a PiS będzie miał mniejsze, więc w związku z tym powstanie koalicja PO-PiS. Będą dwie partie rządzące: prawicowa i może trochę prawicowa, bo Platforma określała się jako bardziej liberalna. Liberałowie będą rządzić z prawicowcami, to wreszcie się tych komuchów odsunie od stołów – taka była narracja.

Gdzieś czytałam, że podział łupów został ustalony jeszcze przed wyborami. Platforma miała wziąć ważne ministerstwa typu wojsko, skarbówka, a PiS – jako mniej ważna partia – dostanie mniej ważne resorty. Wyszło inaczej – wygrał PiS. Wówczas ludzie Platformy powiedzieli: – Co z tego, żeście wygrali? Myśmy się umawiali, że bierzemy najważniejsze resorty. A PiS na to: – Zaraz, zaraz,

myśmy wygrali, więc my bierzemy. Wtedy Platforma wycofała się z niedoszłej koalicji: – To my z wami nie bawimy się w te klocki.

To mnie wtedy okropnie wściekło, bo na mój ptasi rozum wychodziło, że platformersom nie zależało na działaniu dla dobra Polski, tylko własnym interesie. Na zasadzie: dorwać się do koryta. Bo gdyby im chodziło o dobro Polski, powiedzieliby tak: – OK, wyście wygrali, więc bierzecie te resorty, a my bierzemy te resorty. Ale będziemy tworzyć koalicję i będziemy razem. Jednak oni powiedzieli, że nie i koniec.

I co się zaczęło po tych wyborach? Mówienie o Polsce kategorii B, że PiS to moherowe berety (zawsze mówiłam, że kupiłam sobie moherowy kapelusz, bo w berecie mi brzydko), ludzie starzy, głupi, źle wykształceni. Taką narrację narzuciła Platforma. Platforma postawiła tę barierę nienawiści. To mnie tak wściekło, że powiedziałam: – Jesteście ostatnie łobuzy.

Wtedy tak się zaangażowałam. Pomyślałam, że tak nie może być.

Teresa Jastrzębska

W latach 80' pracownica Zakładów Odzieżowych „ Jantar". Aktywna uczestniczka Grudnia'70,działaczka NSZZ „Solidarność", w stanie wojennym czynna opozycjonistka. Obecnie na emeryturze.

Pracowałam w Zakładzie Odzieżowym „Jantar". Poszłam do pracy bardzo młodo, mając 18 lat. Byłam aktywna zawodowo do 55. roku życia – cały czas w jednym zakładzie, a potem przeszłam na emeryturę.

W latach 80. założyli u nas „Solidarność", która powstawała w kolejnych w przedsiębiorstwach. Tak zaczęła się moja działalność opozycyjna.

W stanie wojennym w zakładzie trwały przygotowania do dłuższych strajków. Kiedy strajkujący robotnicy siedzieli w zakładach, zbieraliśmy dla nich żywność. Podchodzili pod bramę i dawaliśmy im papierosy i chleb.

Jeździliśmy do Gdańska, do kościoła św. Brygidy. Podczas jednej takiej wyprawy okazało się, że obowiązuje zakaz posiadania chorągwi, a ja miałam ją akurat w torebce. Wjechaliśmy do miasta, gdzie było sporo zomowców. Gdy wyszliśmy z tunelu, który prowadził do kościoła św. Brygidy, kolega powiedział: – Wyciągnij flagę.

Wszędzie stały suki, ale wyjęłam. Wtedy oni mnie – cap! – i wrzucili do samochodu jak świniaka. Wozili po całym Gdańsku i nadawali przez radio: – Mamy tę kobietę.

W drodze jeden z tych funkcjonariuszy rzucił do mnie, że mogłam kurtkę zmienić, to by mnie nie złapali. A ja miałam na sobie taką dwustronną...

Zawieźli na Okopową, do komendy wojewódzkiej. Jeden z nich biegał z tą flagą i pytał:

– Czyja to jest flaga?!

– Nasza, wspólna – odpowiedziałam.

– A kto to pisał?

– Wszyscy. Każdy napisał jedną literę słowa „Solidarność".

Siedziałam na tej komendzie do samego wieczora. Koledzy i koleżanki czekali na mnie na ulicy. Wypuścili koło ósmej. Na szczęście w domu był spokój, chodziłam do pracy.

Tak robiliśmy co niedzielę. To był nawyk. Człowiek nie mógł się doczekać następnego razu.

Co jeszcze pamiętam z tamtego okresu? Akcje na pochodach przy okazji świąt państwowych. Bardzo utkwiła mi w pamięci demonstracja na 1 maja. Pomalowali na zielono barierki. Gdyby ktoś przeskakiwał, od razu miałby ubrudzone ręce i oni by wiedzieli. Wleźliśmy w ten tłum komunistów, zgrupowaliśmy się przed trybuną i zaczęliśmy krzyczeć: – Solidarność!

Przez chwilę nie wiedzieli, co się dzieje. Następnie zaczęli nas gonić. Weszliśmy do jednego mieszkania. Słyszeliśmy tylko *łup!, łup!, łup!* po korytarzu. Kobieta, do której weszliśmy, powiedziała: – Niech pani sobie ręce wymyje, bo jak wejdą, to zaraz będzie, że rzucała pani kamieniami.

Później byliśmy we Wrzeszczu na manifestacji z okazji 3 maja. Pojechaliśmy na te obchody. Dostałam osiem pał w plecy. Tak mnie walili… Inni uciekali, a ja szłam. Myślałam, że jak będę sobie spokojnie iść, oni przelecą i dadzą mi spokój. Jednak oberwałam, ale to mnie w ogóle nie bolało. Skuliłam się, a oni walili, gdzie popadło.

Na drugi dzień spojrzałam w lustro: plecy całe granatowe. Do lekarza nie mogłam się z tym udać, bo oni mieli nakaz zgłaszania takich przypadków pobicia. Jakoś to przechodziłam.

Tak wyglądała ta nasza walka. Nie bałam się; byłam odważna od dziecka. Wszędzie wlazłam, wszystko mnie interesowało.

Kiedyś jechaliśmy do Częstochowy – był dla nas specjalny pociąg. Po drodze stało tyle tej milicji, że Jezu... Naliczyłam 90 wozów. Trochę się przeżyło. Jednak nie chciałabym ponownie przeżyć kilku momentów. Na moich oczach tyle osób zginęło albo zostało skatowanych.

Byłam jedną z aktywnych uczestniczek Grudnia '70. Weszliśmy do siedziby komitetu wojewódzkiego i podpaliliśmy ją. Działacze zdążyli uciec, ale przyjechało ZOMO. Później poszliśmy na komisariat znajdujący się blisko kościoła św. Brygidy. Chłopaki poznosili butelki po piwie i kamienie. Ustawili barykady. Podpaliliśmy ten budynek, doszło do ostrych starć. Żeby nieco wyrównać szanse, nasi powybijali żarówki w latarniach i samochodach bojowych. Waliło się po ciemku. Tamci lali wodę z sikawek. Chyba byli pod wpływem narkotyków, bo to niemożliwe, żeby normalny człowiek w wieku 25 lat lał kobietę pałą. Pierwszy raz coś takiego widziałam.

Uczestniczyłam w każdej manifestacji, także w Warszawie. Jeździliśmy, gdzie się tylko dało. Angażowałam się nawet, gdy miałam już męża i syna.

Raz wzięłam syna na taką uliczną walkę, ale on się tym nie interesował, nie miał w sobie tych emocji. Mąż też nie. Ja byłam już taka od dzieciaka. Zawsze chodziłam ze sztandarem.

Teraz choruję na cukrzycę i kiedy się denerwuję, cukier mi spada. Mam trochę żalu do władz wolnej Polski za to, że nienależycie doceniają wszystkich opozycjonistów – tylko internowanych. A myśmy też latali z ulotkami, tłukli się z zomowcami i nie dostajemy nic. Nikt o nas nie pamięta z powodu jakichś formalności.

Zostałam wyznaczona do uhonorowania orderem. Jednak dowiedziałam się w IPN-ie, że w archiwum nic o mnie nie ma, jestem czysta i nic nie dostanę. Sami internowani by nie wygrali z komuną. Przecież szedł cały naród. Oni siedzieli w więzieniach, obozach odosobnienia, a my ganialiśmy po ulicach i nie dostajemy nic. To jest trochę niesprawiedliwe...

Krystyna Jezior – dawniej Polak

w latach '80 kierowniczka magazynu kostiumów w Teatrze Muzycznym, pracowała m.in. nad Kolędą Nocką, brała udział w protestach aktorów, żona tancerza Tadeusza Polaka, członkini NSZZ „Solidarność" od momentu powstania Komisji Zakładowej w Teatrze Muzycznym.

Tamte dni? Początek był taki, że jeszcze w lipcu 1980 roku dotarły do nas informacje na temat protestów w Lubelskiem. Kolejarze przyspawali wagony do szyn. Te pociągi podobno jechały na wschód i były załadowane towarami, po które u nas stało się w tygodniowych kolejkach. Wiedzieliśmy o tym, ponieważ wśród aktorów Teatru Muzycznego byli tacy, którzy pochodzili z różnych stron Polski. Mając w pamięci Grudzień 1970 i tragedię Radomia z 1976 roku przeraziłam się, że krew poleje się tym razem w Lublinie czy Świdniku. Szczęśliwie nic takiego się nie stało.

Kiedy w sierpniu 1980 roku zaczęły się strajki w Gdańsku i w Gdyni czuło się ogromne napięcie. Na początku docierało do nas mało informacji. Byłam wtedy kierownikiem sekcji środków inscenizacyjnych, czyli miałam pod sobą magazyn kostiumów i rekwizytów oraz wszystkie garderobiane i garderobianych. Choć sierpień to martwy sezon w teatrze, to musiałam ze swoją ekipą przygotowywać się już do przedstawień powakacyjnych. A tu wybuchł strajk. Niewiele wiedzieliśmy, więc było dużo niepewności. Więcej domysłów i czarnych scenariuszy niż wiarygodnych wiadomości ze strajkujących zakładów. Przeraziłam się, kiedy stanęła komunikacja. Brak jakichkolwiek informacji sprawił, że nie wiedziałam, czy to też strajk, czy może celowe zablokowanie miasta. Trudno było dostać się z Oksywia czy Pogórza do Śródmieścia. Dobrze, że kierowcy zatrzymywali się i zabierali pieszych, którzy jak w jakimś ogromnym marszu, pojedynczo i grupkami kierowali się w stronę centrum Gdyni.

W pierwszych dniach strajku baliśmy się powtórki Grudnia '70, ale z czasem, jak protest zaczął się rozprzestrzeniać, dotarło do nas, że władza nie sięgnie już po czołgi. Tak nam się wydawało. Jakoś tak od 20 sierpnia byliśmy już ze wszystkim na bieżąco. Strajki w Trójmieście rozprzestrzeniły się dość szybko. A my, zarówno pracownicy teatru, jak i aktorzy, postanowiliśmy wesprzeć robotników i stoczniowców z Komuny Paryskiej. Jednak nie strajkowaliśmy, ponieważ praktycznie już na początku strajku Stoczni Gdynia podjęliśmy decyzję, że my nie będziemy tego robili, bo jesteśmy potrzebni ludziom w przeróżnych miej-

scach. Powinniśmy być wśród strajkujących w ich zakładach i na ulicach, w kolejce, wszędzie gdzie trzeba tłumaczyć ludziom, po co jest ten strajk i okazywać poparcie. W końcu aktorzy to osoby rozpoznawalne i nasze poparcie mogło po prostu bardziej pomóc strajkowi na zewnątrz niż, kiedy byśmy zamknęli się w strajku okupacyjnym w teatrze. Zresztą wiadomo, że artyści w większości zawsze są zbuntowani i przeciw władzy, bo zawsze znajdzie się wśród nich jakiś lider. Tak też było w naszym teatrze. Jeszcze w latach 70' w wielu przedstawieniach przemycano treści antypaństwowe. Były tak napisane, że cenzura nie potrafiła ich dostrzec, a widzowie chwytali w mig. A potem roznosiło się na mieście, że ten to parodiował Gomułkę, a tamta ośmieszyła partyjną aktywistkę. W tamtym czasie ludzie również potrzebowali takiej odskoczni.

Codziennie ktoś był czy to pod Stocznią w Gdyni, czy pod Leninem w Gdańsku. Dziś już nie pamiętam kto najbardziej angażował się w działania. Na pewno mój mąż postanowił organizować wsparcie. Mocno zaangażował się też Andrzej Popiel. To mentalnie mocny i charyzmatyczny aktor, znany z wielu wielkich ról. Grał na przykład rabina w „Skrzypku na dachu", czy Mojżesza w „Rozkwicie i upadku miasta", występował również w kultowej „Kolędzie-Nocce".

Ta „Kolęda Nocka" Krzysztofa Bukowskiego stanowi jedno z najważniejszych wspomnień tamtych dni. Strajki były w sierpniu, a my premierę mieliśmy już 18 grudnia 1980 roku, dzień po odsłonięciu Pomnika Ofiar Grudnia 1970. Słowa napisał Ernest Bryll a muzykę Wojciech Trzciński i praktycznie od pojawienia się scenariusza, który zresztą był cały czas zmieniany, w trzy tygodnie spektakl był gotowy. Wszyscy pracowali dzień i noc. Często wracało się do domu nad ranem, by już po dziesiątej być z powrotem w teatrze. Aktorzy również angażowali się w przygotowania. Pamiętam, że Krystyna Prońko sama robiła na drutach ściągacze do sweterka, żeby szybciej zrobić kostiumy. Sama mówiła, że wszyscy jesteśmy trochę „nawiedzeni". Ale wtedy ten musical był najważniejszy, nic innego się nie liczyło. Czuliśmy presję. Jak poszło w „świat", że Teatr Muzyczny przygotowuje coś takiego, to w Gdyni wszyscy zwariowali. Dziewczyny w kasie nie mogły nadążyć z przyjmowaniem zamówień. Po premierze sztukę obejrzało kilkadziesiąt tysięcy widzów albo i więcej. Ludzie przyjeżdżali z całej Polski.

Ale nie tylko w ten sposób walczyliśmy i wspieraliśmy protestujących. Mój mąż, Tadeusz Polak, był tancerzem. Zawsze w ruchu, zawsze w coś zaangażowany. Tak było i tym razem. Jak już nawiązaliśmy odpowiednie kontakty, on przynosił jakieś ulotki i gazetki. Takie drukowane na powielaczu. Organizował ludzi do zbierania pieniędzy i artykułów spożywczych, by przekazywać to strajkującym. Woziliśmy to do Komuny Paryskiej, a podczas „Żywego żurnala" do Stoczni im. Lenina w Gdańsku.

Kilkudniowa impreza pod nazwą „Żywy żurnal" odbywała się co roku w Gdańsku w Domu Technika NOT i towarzyszyła Jarmarkowi Dominikańskiemu. Występowało tam sporo gwiazd polskiej i czeskiej estrady oraz balet i modelki. Z Czechów bywali tam między innymi Jiří Korn i Hana Zagorova, z a polskich artystów występowali na przykład Zdzisława Sośnicka, Maryla Rodowicz, Alicja Majewska, Jerzy Cnota i Halina Frąckowiak. Kiedy rozpoczęły się strajki,

Czesi bardzo się wystraszyli i część z nich wyjechała. Tłumaczyli nam, że mają w pamięci rok 1968. Wtedy była u nich odwilż, która skończyła się wkroczeniem wojsk Układu Warszawskiego, w tym również oddziałów Ludowego Wojska Polskiego. Nie dziwiliśmy się im i nie mieliśmy za złe, przecież my dwa lata później mieliśmy Grudzień '70. Reszta uczestników zbierała pieniądze, kupowali jedzenie, które dało się kupić. Stali w nocy w kolejce po chleb i wozili pod Stocznię Gdańską dla strajkujących stoczniowców.

Poparcie strajku było naturalnym i wewnętrznym nakazem, takim głosem z duszy. Czasami pojawiał się smutek. Przykre było to, że ludzie muszą strajkować we własnym kraju, bo władza jest przeciwko nim. Sami nie zawsze potrafiliśmy to zrozumieć i się z tym pogodzić, a w jaki sposób mieliśmy to tłumaczyć dzieciom?! No bo jak im powiedzieć to, że władza ma gdzieś naród, którym kieruje? Niby jedna Polska, a jednak dwie różne przestrzenie. My i oni!

Najwięcej moich znajomych strajkowało w stoczni i w porcie. Ich żony często przychodziły do mnie, by porozmawiać. Pracując w Teatrze Muzycznym spotykałam się ze znanymi artystami, którzy bywali wewnątrz strajkujących zakładów i wspierali stoczniowców. Potem nam opowiadali co tam się dzieje. Ja zaś podawałam to dalej szeptaną propagandą. Te moje znajome, żony strajkujących też mi mówiły o tym, co dzieje się w zakładach pracy ich mężów i tak informacje rozchodziły się po całej Gdyni, a może i dalej.

Najważniejsze było to, by nie dać się podzielić, czy kupić. Od czasu do czasu pojawiały się takie informacje, że nas, sferę kultury, te strajki robotnicze nie dotyczą, że my jesteśmy z innej puli i dla nas rząd ma inną ofertę. Najważniejsze byśmy niby to nie dali się wciągnąć w gry KOR-u czy innych wrogów socjalistycznej ojczyzny. Na takie propozycje najczęściej reagowaliśmy śmiechem. – Pożyjemy, zobaczymy – mówiliśmy i nie daliśmy się podzielić, kupić, czy też wciągnąć w gierki władzy.

A wrzesień przywitał nas już całkowicie nową rzeczywistością. NSZZ „Solidarność" została zarejestrowana, co wzbudziło, zresztą nie tylko we mnie, ogromny entuzjazm. Również i u nas w Teatrze Muzycznym powstał związek. Ludzie się zapisywali. Uwierzyliśmy, że teraz, kiedy protest nie skończył się, jak 10 lat temu, masakrą, to wreszcie uda się przeciwstawić władzy i w Polsce wiele się zmieni. Oczywiście nikt nie miał złudzeń, że póki jesteśmy pod wpływem ZSRR to musimy uważać. Wszyscy jednak zgadzaliśmy się z tym, że jest to wyzwanie, które chcemy podjąć. Przecież do Solidarności zapisało się 10 milionów Polaków! Z taką siłą każdy musiał się liczyć, nawet „ruskie". Również takie zwyczajne życie w Gdyni zaczęło wyglądać wtedy inaczej. Ludzie zaczęli się organizować, pomagać sobie nawzajem.

Oczywiście większość z nas przystąpiła do nowego związku zawodowego pokładając w nim nadzieję. Ważne było również to, że powołanie Solidarności poparł polski papież Jan Paweł II. Zawsze walczył o godność ludzką i powstanie wielkiego oddolnego ruchu stało się jak gdyby zwieńczeniem Jego duszpasterskiej pracy, kiedy jeszcze był księdzem i kardynałem w kraju.

W teatrze rzuciliśmy się w wir pracy związkowej. Były narady, zebrania, akcje poparcia. Nie mieliśmy ksero ani powielacza, więc ulotki przepisywało się na maszynie do pisania. Oczywiście obawialiśmy się donosicieli, bo i tacy

byli wśród załogi. Dość szybko okazało się, na kogo trzeba uważać, kto trzyma z władzą i jest człowiekiem sekretarza. Nie robiliśmy jednak z tego żadnego publicznego linczu. Nie o to przecież chodziło. Wszyscy chcieliśmy żyć i pracować w normalnym kraju, w którym docenia się pracę człowieka.

Mimo tego fantastycznego stanu ogólnonarodowego podniecenia i entuzjazmu musiałam również zajmować się codziennymi sprawami. Po pierwsze córką. Iza miała wtedy 14 lat i bardzo często w wakacje chodziła ze mną do teatru. Brała udział w akcjach na Jarmarku Dominikańskim, a z Tadeuszem chodziła na różne wydarzeniach, w których on występował. No a wraz z rozpoczęciem roku szkolnego czas było pójść do szkoły. Nie było z tym większego kłopotu. Wszystkie potrzebne rzeczy kupiliśmy jeszcze na początku wakacji. Z ubraniami też nie miałam problemu, bo jak nie można było czegoś kupić, to po prostu to szyłam.

Iza pomagała mi często w robieniu codziennych zakupów. Czasami ja także stawałam w kolejkach, by dostać coś „grubszego". Jednak, można powiedzieć, że artykuły spożywcze nie przysparzały nam kłopotów. Jak to mówią – ludzie kultury żyją sztuką. Nie mieliśmy więc z tym aż tak dużego problemu. Mimo to, z tamtego okresu i jeszcze późniejszego w stanie wojennym utkwiły mi te akcje związane ze sprowadzaniem ze wsi mięsa, jajek i sera. Do dziś nie potrafię zrozumieć tego, że władza nie reagowała. Przecież nie mówimy o dwóch kurkach, mendlu jajek i kilogramie schabu. Przecież w tamtym czasie ze wsi do Gdyni płynęły setki czy tysiące kilogramów wołowiny, wieprzowiny i drobiu. Więc jeśli tylko w naszej rzeczywistości była to tak ogromna ilość, to jak to zliczyć w skali całej Polski? Władza naprawdę musiała mocno przestraszyć się nowej siły społecznej, jaką była Solidarność. I stąd zapewne to ogromne rozluźnienie nie tylko w sferze wspomnianego zaopatrzenia. Potem w tak zwanym karnawale Solidarności, my w teatrze też to poważnie odczuliśmy. Cenzura jakby zelżała, cenzorzy prawie wcale nie czepiali się tekstów, nie było poprawek czy zmian. Wręcz akceptowali wszystko, co im twórcy podsuwali.

Cenzura zelżała, czuliśmy rozluźnienie... a stan wojenny był ogromnym ciosem. W sumie gdzieś między zdaniami mówiło się o siłowym rozwiązaniu już po prowokacji bydgoskiej w marcu 1981 roku. Nikt jednak nie przypuszczał, że będzie to tak drastyczne i będzie przypominać Grudzień '70. Dla nas mieszkańców Trójmiasta to był straszny poranek. Smutek i strach. Naprawdę przestraszyłam się wtedy. Myślałam, że skoro jest nas aż tylu, to w końcu wywiozą nas na „białe niedźwiedzie", na Syberię i tak skończy się w Polsce wolność. Bałam się również tego, że mąż za swoją działalność straci pracę. I gdzie on by wtedy poszedł?! Przecież był tancerzem i to umiał najlepiej. Wiem, że byli tacy artyści, którzy dostawali wilczy bilet, a potem albo szli na taksówkę, albo handlowali warzywami.

Bałam się też, bo wraz z wprowadzeniem stanu wojennego „Kolęda Nocka" spadła z afisza i myśleliśmy, że osoby w nią zaangażowane stracą pracę. Udało się jednak przetrwać, choć Krystyna Prońko długo nie była puszczana w Polskim Radiu. Dopiero w 1983 roku wróciła z przebojem „Jesteś lekiem na całe zło", który też był manifestacją polityczną doskonale przez odbiorców rozumianą. „Wypisujesz hasła w mojej dłoni, Potem szczotką ślad flamastra

drzesz. Mówisz, że nikogo się nie boisz, Że jak przyjdą po nas to ich zjesz, cały ty". W tych słowach od razu rzuca się odniesienie do stanu wojennego. Cała pani Krystyna.

Strach minął po kilku dniach, jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia 1981 roku. Oczywiście, bałam się nadal, ale jakoś inaczej. Wiedziałam, że coś trzeba robić, że nie wolno nam się poddawać. Mój mąż nadal angażował się w jakieś działania. Nie wtajemniczał mnie w to, zapewne dlatego, bym nie musiała się bać. Znikał gdzieś i wiem, że nadal kolportował jakieś nielegalne materiały, ulotki i gazetki. Co jakiś czas pojawiały się one w różnych pomieszczeniach teatru, a przecież same się tam nie położyły. Jako aktor miał przepustkę i mógł poruszać się po mieście po godzinie milicyjnej, co zapewne pomagało mu w tej działalności podziemnej.

Aktorzy angażowali się również w pomoc internowanym. Systematycznie prowadzone były wśród pracowników teatru zbiórki dla potrzebujących. Najczęściej dawano pieniądze, ale zdarzały się też lekarstwa czy ubranka dla dzieci. Bywały też takie zwykłe, ludzkie manifestacje. Nie pójście na pochód pierwszomajowy czy wpinanie oporników. Aktorzy występowali też w kościołach.

Ówczesna dyrekcja wiedziała o wielu sprawach, jednak nie reagowała zbyt mocno. Przecież wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że w przedstawieniach przemycane są antysocjalistyczne teksty. Czołgami nie dało się wszystkich zastraszyć i oni to chyba wiedzieli. Wiedzieli również, że wcześniej czy później będą musieli odpuścić. Po jakimś czasie dotarło do mnie, że stan wojenny to taki ostatni odruch komuny. Oni sami wiedzieli już, że ten system się nie sprawdził i nadejdzie czas, w którym będą musieli się poddać.

Takim kolejnym przełomowym momentem była pielgrzymka Ojca Świętego Jana Pawła II do Gdyni w czerwcu 1987 roku. Na ulicach Gdyni czuło się wzruszenie i radość, ale przede wszystkim wolność. Ludzie, którzy przybyli na spotkanie z papieżem Polakiem pokazali władzy kto jest dla nich największym autorytetem. To musiało zaboleć Jaruzelskiego i resztę z PZPR-u.

Patrząc teraz, z tak ogromnej perspektywy czasu, uważam, że postąpiłabym tak samo, a może zrobiłabym nawet więcej. Wiem, że dobrze wychowałam swoją córkę, a ona swoją. Widać, że dobre patriotyczne wychowanie skutkuje i owocuje na przyszłość. Ostatnio z ogromną radością czytałam o mojej wnuczce Nikoli, która wraz ze swoim chłopakiem zaangażowała się w pomoc pogorzelcom na Pogórzu. Byłam z niej dumna. Zresztą cały czas dostarcza mi powodów do dumy i radości. Moja wnuczka doskonale śpiewa i gra w filmie. Już zdobyła tytuł Najlepszej Aktorki Kina Niezależnego i Nagrodę im. Juliusza Machulskiego. Ponadto fantastycznie śpiewała w Chórze Sounds of Freedom prowadzonym przez Magdalenę Stenkę.

Helena Klajnszmit

żona strajkującego stoczniowca. Pracowała w Wyższej Szkole Morskiej. Obecnie na emeryturze.

Rok 1980 pamiętam jako stan napięcia. Na początku wakacji docierały wiadomości z Lubelszczyzny. Mówiło się o wagonach przyspawanych do szyn. W Gdyni też czuło się bardzo duży niepokój. Wiele osób mówiło, że będzie strajk. Chyba nawet w lipcu kolejarze zastrajkowali, ale wtedy szybko się to rozeszło po kościach. W każdym zakładzie, w porcie, w stoczniach – wszędzie można było zaobserwować poruszenie u pracowników. Również w trolejbusach ludzie rozmawiali o sytuacji w Polsce. Komentowali, co dzieje się w przedsiębiorstwach, że ludzie się buntują i wysuwają żądania płacowe.

Był też strach – i to duży – przed powtórką Grudnia '70. Wtedy przecież polała się krew; zamordowali ludzi, którzy szli do pracy. Potem chodziliśmy na msze za tych, co polegli pod stocznią i przy urzędzie miejskim na Czołgistów. Dlatego pamiętający Grudzień '70 z wielkimi obawami podchodzili do wszelkich protestów – nawet jeśli były one bardzo słuszne.

Ale jak już stanęła komuna paryska, to trzeba było wesprzeć strajkujących. Tam pod wodzą młodego Andrzeja Kołodzieja wszyscy się zjednoczyli. Postanowili nie wychodzić na ulice, tylko zamknęli się za bramą i nikogo obcego nie wpuszczali. Byli u siebie. Jakby co, wiedzieli, jak się bronić, a mieli tam przecież przeróżne narzędzia i materiały.

Nosiliśmy im jedzenie i papierosy. Codziennie byliśmy pod stocznią. Zresztą nie tylko my. Chodziłam tam z synami: 14 – i 8-letnim. My staliśmy przed płotem, a ich ojciec był na strajku. Czasami i pół dnia pod stocznią się spędziło.

Cały czas coś się działo. Przychodzili księża i odprawiali msze. To takie podniosłe było i niecodzienne. No bo jak to – nie w kościele, a przed fabryką ksiądz eucharystię odprawia, ludzie klękają, modlą się, spowiadają i przyjmują komunię?

Jak nie było mszy, stoczniowcy śpiewali piosenki, ludzie zza bramy się dołączali i tak robił się wielki rodzinny piknik. Niby trwał strajk, ale panowała radosna atmosfera, ludzie się ściskali, byli wobec siebie serdeczni i chyba szczęśliwi. Czasami ktoś przypominał Grudzień '70, wtedy ktoś inny mówił, ze teraz stoczniowcy nie wyjdą za bramę i będą walczyć inaczej, ale do skutku.

Przy płocie stali stoczniowcy i pilnowali, żeby nikt niepowołany nie wszedł. Najprzód przez trzy dni nikogo nie wpuszczali, to żeśmy przez te wysokie ogrodzenie przekazywali jedzenie i papierosy. A potem już nas wpuszczali. Trwało to przez całe dwa tygodnie.

Osoby pracujące nie przychodziły pod stocznię, ale wiele kobiet nie pracowało zawodowo, tylko dziećmi się zajmowało. Miałyśmy niedaleko, bo mieszkałyśmy w portowych blokach. Chodziłyśmy o różnych porach, czasami nawet w nocy, żeby strajkujący zawsze mieli co jeść. Z początku się bałyśmy, ale później człowiek już się do tego przyzwyczaił. To był nasz, tj. żon, obowiązek, wspierać mężów, którzy protestem walczyli o lepsze jutro. W tej sytuacji oni mieli tam lepiej niż my w domu. Wszystko gotowe dostawali.

Gdynia bardzo dobrze przyjęła ten strajk w stoczni. Zresztą potem wiele zakładów w mieście stanęło – również komunikacja, bo przecież nie jeździły ani autobusy, ani trajtki. Czasami, jak ktoś chciał jechać dalej, musiał próbować „na łebka".

Po strajkach trzeba było dalej żyć. Ciągle się stało w kolejkach, dosłownie za wszystkim. Potem z kolei kartki wprowadzili na wszystko i na nie się wszystko kupowało. Jak stał ogonek, każdy się do niego przyłączał. Ci niepijący wymieniali bony na alkohol na kartki na jedzenie. Przez ten system reglamentacyjny czas obsługi w sklepach znacznie się wydłużył, gdyż ekspedientka musiała np. zważyć tyle, ile widniało na kuponie, potem go odciąć, wrzucić do pudełka lub przykleić do zeszytu. W efekcie to stanie się dłużyło i dłużyło, ale nie było innego wyjścia, bo kiszki marsza grały. Kto stał w kolejce, ten dostał. Ze wszystkim musieliśmy sobie radzić. Nie było to nic nadzwyczajnego. Takie były czasy.

W kościołach też odbywała się dystrybucja jedzenia. Rozdawali tam potrzebującym ser żółty (taki pomarańczowy). To samo działo się z masłem przywożonym z Holandii w ramach darów. Otrzymywały je rodziny wielodzietne. By to masło dostać, trzeba było mieć książeczkę zdrowia dziecka, w której księża zaznaczali fakt jego wydania.

Na początku wszyscy bardzo dobrze oceniali strajki, bo przecież robotnicy walczyli nie tylko o siebie, ale o cały kraj. 10 lat wcześniej ludzie zginęli za sprawę. Ich śmierć nie poprawiła sytuacji bytowej społeczeństwa. W sierpniu '80 roku „Solidarność" sporo dla ludzi wywalczyła, np. wolne soboty, kartki na żywność. Każdy był zadowolony, między ludźmi panowała takie poczucie wspólnoty. Zaufanie do związku było bardzo duże.

Po podpisaniu porozumień sierpniowych mąż od razu zapisał się do „Solidarności". Większość portowców i stoczniowców do niej wstąpiła. Coś ich zjed-

noczyło i chcieli dalej wspólnie działać dla dobra swoich rodzin. Cały czas coś się działo, jakieś zebrania, narady, protesty. Czasami mąż mówił, że pogotowie strajkowe ogłaszają, bo trzeba solidarnie wesprzeć robotników z innych przedsiębiorstw.

Jednak z biegiem dni sytuacja pogarszała się. Wciąż panowała szarzyzna. Ludzie tracili nadzieję na lepsze jutro. Wytchnienie dawał kościół i nasz ukochany ojciec święty.

Aż któregoś dnia, to była niedziela 13 grudnia 1981 roku, wstajemy rano, a tu Jaruzelski ogłosił stan wojenny. Myśmy wybierali się do kościoła, a tu czołgi wszędzie stały. Na Swarzewskiej, niedaleko nas, stanął na środku ulicy.

Zapanowała atmosfera grozy, ponieważ po godz. 20 nie można było nigdzie chodzić. Obowiązywała godzina milicyjna. W szkołach odwołano zajęcia. Stan wojenny to stan wojenny. Nie rozumiałam, o co w tym chodzi. Znów się bałam. Wszyscy się baliśmy, że będzie wojna, bo ponoć Ruscy przecież byli gotowi wkroczyć.

Mąż jeszcze przed stanem wojennym poszedł do pracy w porcie. Czasami pracował na nocną zmianę. Wtedy miał przepustkę, bo inaczej nie mógłby chodzić po ulicach. Jak milicja złapała kogoś bez przepustki, aresztowała i ktoś taki stawał na kolegium.

Często widziałam też żołnierzy z karabinami. To była taka groza, strach taki. Człowiek to przeszedł, nie było innego wyjścia. Przecież ze szpadlem na czołg nie mogłam pójść. Wiedziałam o wielu aresztowanych, których gdzieś wywozili. Były takie plotki, że na Syberię, na „białe niedźwiedzie", ale potem okazało się, że w okolice Wejherowa. Bałam się, że mojego męża także wezmą. Przecież należał do „Solidarności", a to głównie jej członków i działaczy aresztowali.

W 1982 roku zatrudniłam się w Wyższej Szkole Morskiej przy Czerwonych Kosynierów. Zaczęłam pracować dokładnie 8 marca. Dostałyśmy od kierownika kwiaty na Dzień Kobiet. Każda po trzy frezje. Wracając, zgubiłam jedną. Pomyślałam wtedy, że długo tam miejsca nie zagrzeję. A pracowałam 28 lat. Dziś to jest Uniwersytet Morski.

Lata 80. to też stanie w kolejkach i pilnowanie, żeby w domu było co jeść i rodzina miała w co się ubrać. Na murach pojawiały się jakieś napisy, że „precz z komuną" i „Solidarność żyje". Ja jednak się nie angażowałam i prosiłam męża, by także w nic się nie wplątał.

Brakowało przede wszystkim nadziei. Żyło się coraz gorzej. Dopiero pielgrzymka Jana Pawła II w 1987 roku dodała nam otuchy. To było bardzo duże przeżycie. Staliśmy na ulicy Starowiejskiej i papież przejeżdżał obok nas. Tyle godzin tam staliśmy, czekaliśmy, aż wreszcie zobaczyliśmy papieża. Na plac już się nie można było dostać. Wszystko tam było ogrodzone. Ale staliśmy i słuchaliśmy. Dzięki dużym ekranom mogliśmy go też w miarę dobrze widzieć. On swoimi kazaniami zawsze dodawał ludziom otuchy, wlewał do serc nadzieję.

Czy coś szczególnego z tamtego okresu utkwiło mi w pamięci? Poza wizytą ojca świętego – chyba pierwsze święta w stanie wojennym. Na Gwiazdkę przyjechała ciocia z Gdańska. Choć od dwóch tygodni w Polsce trwała jak-

by wojna, chcieliśmy mieć prawdziwe, może nawet radosne, Boże Narodzenie. Nie udało się.

A to przez fakt, że choinka nam się spaliła. Rozwiesiliśmy na niej zimne ognie i mąż poprosił syna, żeby je zapalił. Jak on to zrobił, drzewko stanęło w płomieniach. Spłonął również nowy dywan. Mówiło się, że Polska się pali, to i choinka u nas spłonęła.

Czy postąpiłabym tak samo jak wtedy? Mając dzisiejszy rozum – na pewno. Jeśli mąż strajkiem walczył o lepszą przyszłość dla nas, domem musiałam zająć się ja. O dzieci trzeba było zadbać.

Krystyna Kmiecik-Baran

dr. nauk humanistycznych, psycholog, socjolog, prorektor ds. kształcenia w Kaszubsko-Pomorskiej Szkole Wyższej, wcześniej Uniwersytet Gdański. Szef Europejskiego Instytutu Analiz Społecznych. Wiceprezes Zarządu Energa Centrum Usług Wspólnych Sp. z o.o.

O strajku w Stoczni Gdańskiej dowiedziałam się od znajomych. Na początku media jeszcze o tym milczały. Oficjalnie mówiło się co najwyżej o tymczasowych przerwach w pracy. Komunistyczne władze tłumaczyły to przejściowymi trudnościami. Taka nowomowa serwowana społeczeństwu.

Kiedy dowiedziałam się, że stanęła również Stocznia Gdynia, ucieszyłam się. Pracowałam na uczelni. Z grupą znajomych poszliśmy pod bramę. Byłam ubrana w góralską narzutę. Szłam tamtędy i widziałam mnóstwo ludzi. Odebrali mnie jako góralkę, która przyszła wspierać stoczniowców strajkujących w Gdyni. Z jednej strony atmosfera była radosna, z drugiej panował niepokój.

W którymś momencie do tego protestu dołączyli też studenci. Pamiętam, że im w tym pomagaliśmy. To było znamienne. Trwały przecież wakacje, a mimo to tylu młodych nagle pojawiło się na uczelni i zaczęło organizować, przygotowywać do wsparcia robotników. Można rzec, że to było zjawisko socjologiczne, niespotykane do tej pory w tzw. obozie socjalistycznym. Przecież robotnicy nie wsparli studentów w 1968 roku, a ci nie włączyli się masowo w wydarzenia grudniowe 1970 roku.

Fantastyczną sprawą były msze święte celebrowane przez ks. Hilarego Jastaka w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Stanowiły one dla protestujących i ich rodzin duże wsparcie. Nie miałam możliwości w nich uczestniczyć, ale z wielkim przejęciem słuchałam relacji. To był doskonały ruch ze strony „króla Kaszubów". To było wszystkim bardzo potrzebne. Ludzie poczuli jedność i na dodatek dostali błogosławieństwo. Na pewno wielu osobom pomogło to w podjęciu decyzji o poparciu protestu stoczniowców, co zaowocowało rozszerzeniem się strajku.

Ja do „Solidarności" należałam od samego początku. Uczelnia żyła swoim życiem. Wspierałam uczniów. Byłam opiekunką studentek I roku psychologii.

Któregoś dnia one zostały zgarnięte spod kościoła i wywiezione na ścieżkę zdrowia. Strasznie zaaferowałam się wydobyciem ich stamtąd. Poszłam nawet do komendy wojewódzkiej, żeby wytłumaczyć, że to są dziewczyny z Białe-

gostoku, które po prostu poszły do kościoła się pomodlić. Czułam się za nie odpowiedzialna. Wierzyłam, że to jest to, co powinnam zrobić. Jednak ktoś mnie stamtąd wyprowadził. Powiedział, żebym wyszła, bo za chwilę mnie zamkną.

Potem zwróciliśmy się z tą sprawą do księdza Jankowskiego. Poprosiłam też o wsparcie część studentów i jeszcze kilka osób. Zorganizowaliśmy się, żeby je wyciągnąć z tego zakładu penitencjarnego i zaoszczędzić im kolejnych ścieżek zdrowia. Wspólne działanie doprowadziło do tego, że dziewczyny do nas wróciły. Jednak były już pokaleczone...

Odnalazłam je po latach, lecz nie chciały rozmawiać na ten temat. To było dla nich traumatyczne przeżycie. Przeszły ścieżkę zdrowia. Opowiadały mi, że nie wierzyły w to, co przeżywają. Myślały, że są w jakiejś innej rzeczywistości. Były zszokowane tym, że ich koledzy robią takie rzeczy. Pewnie chciały o tym zapomnieć. Pamiętam to jako wydarzenie, kiedy trzeba było działać. Ktoś mnie ostrzegał, żeby w to nie wchodzić, bo mnie zamkną.

Aż tak mocno nie uczestniczyłam w tworzeniu „Solidarności". Ten okres wspominam jako czas radości i oczekiwania na pozytywne zmiany. Kojarzę dołączenie studentów do opozycji, ale nie pamiętam już, który to był miesiąc. Zapewne chodziło o rejestrację Niezależnego Zrzeszenia Studentów [nastąpiło to 22 września 1980 roku – red.]. Wokół mnie byli ludzie, którzy cieszyli się z tego, że coś się dzieje, że pojawił się sygnał zmiany na lepsze. Ale z drugiej strony panował też duży niepokój i świadomość, że ten opór może się skończyć źle.

Moja droga do „Solidarności" była kręta i pełna nieprzewidzianych okoliczności. Co istotne, nie brakowało na niej także upokorzeń ze strony władzy.

Moi rodzice zostali wyrzuceni z domu, w którym mieszkali przed wojną. Ojciec został wywieziony na Ziemie Odzyskane, do jakiegoś PGR-u – za posiadanie broni. Później, gdy byłam dzieckiem, znów go aresztowali i nie widziałam go przez jakiś czas. Wrócił już bardzo zmieniony, wszystkiego się bał.

Jednak moja świadomość i postawa antysystemowa nie pojawiła się nagle. To był proces, który paradoksalnie postępował pod wpływem twardego prania mózgu. W szkołach uczono, że istnieje inna Polska niż ta, w której się żyło na co dzień. Nie miałam dostępu do informacji, do wiedzy. Skończyłam szkołę pedagogiczną w Lidzbarku Warmińskim – tam był absolutny reżim. Co tydzień przywożono rosyjskiego komisarza, który tłumaczył nam idee socjalizmu. To naprawdę było pranie mózgu.

Zawsze byłam wrażliwa na krzywdę innych i to mi zostało. Natomiast świadomości, że to państwo jest chore, nie zyskałam od razu. Skończyłam psychologię na Uniwersytecie Warszawskim. Wtedy mniej więcej wiedziałam już, co się dzieje. Dostałam propozycję pozostania na uczelni, ale z niej nie skorzystałam. Miałam również ofertę również mieszkania.

W grudniu 1970 roku byłam już w Gdyni. To był sam początek mojego pobytu. Kiedy 10 lat później znów doszło do niepokojów społecznych, zrodził się we mnie – i myślę, że nie tylko we mnie – taki bunt. Choć bałam się rozruchów i tego, że zginą ludzie, to jednak te obawy były mniejsze niż przed dekadą, kiedy strzelano do stoczniowców. Wtedy to był lęk połączony z bezradnością, a w 1980 roku – lęk z połączony z buntem. Wydarzenia grudniowe to osamotnienie – stocznia, dwa czy trzy zakłady na krzyż. Stąd ten strach i wielka obawa. Na-

tomiast w protestach w 1980 roku brały udział setki zakładów, tysiące ludzi. Do tego panowała inna sceneria: słońce, sierpień, wakacje, ludzie ubrani kolorowo, strajkujące zakłady, których przybywa z dnia na dzień, przyjeżdżają delegaci z całego kraju… Z tego brał się ten lęk pomieszany z radością i buntem. Natomiast 1970 rok był pod tym względem diametralnie inny, bo rozgrywał się w mroźnym i ciemnym grudniu.

Pozytywny bunt był asumptem do wiary w to, że „Solidarność" rzeczywiście może doprowadzić do niepodległości. Gdy strzelano do stoczniowców, był strach i bezradność. A w '80 roku był lęk, ale też nadzieja. Na pewno wiązała się ona z poczuciem, że nie jest się samemu, że jest więcej osób. Było widać tę determinację ludzi – nie jednego człowieka czy dwóch osób, ale milionów. To budowało poczucie wspólnoty.

Przed stanem wojennym zostałam aresztowana. Zatrzymałam się u Lityńskich, bo zmagałam się z doktoratem. Tego dnia w ich mieszkaniu odbywało się spotkanie. Oprócz Jasia Lityńskiego brała w nim udział m.in. Helena Łuczywo. Milicja zrobiła nalot i wszystkich zgarnęła. Siedziałyśmy z Heleną Łuczywo i w pewnym momencie ona kazała mi szybko zjadać jakiś papier. Siedziałyśmy i żułyśmy.

To aresztowanie było strasznym przeżyciem. Tragedia. Puścili mnie, ale potem wzywali do komisariatu na Portowej, gdzie znów mnie zamykano. Wydaje mi się, że myśleli o mnie jako o łączniczce z Trójmiasta. A ja przyjechałam tylko robić doktorat.

To wydarzenie naprawdę było dla mnie bardzo traumatyczne, mimo że słyszałam, co robią z ludźmi podziemia i powinnam wiedzieć, co mnie czeka i jak się zachowywać. Jednak tak naprawdę zostałam sama. Byłam młodą dziewczyną, która przechodziła przez bardzo silną traumę. Zostałam brutalnie potraktowana w tym areszcie. Rozebrali mnie do naga i sprawdzali, czy gdzieś tam czegoś nie mam.

Takie doświadczenie zostawia w psychice ślad do końca życia. Gdybym wiedziała, że mnie to spotka, przynajmniej postarałabym się na coś takiego zasłużyć. Za bardzo nie zdążyłam zasłużyć sobie na taki los. Potem uczestniczyłam w jakichś spotkaniach i już wiedziałam, co mam mówić, a czego nie.

W pełni świadome uczestnictwo w buncie przeciwko władzy zaczęło się wtedy, kiedy Jaruzelski ogłosił stan wojenny. O jego wprowadzeniu dowiedziałam się w Warszawie. Dalej robiłam doktorat u profesora Konarskiego. Przyjechałam nad ranem, bo przyjaźniłam się z Krysią Lityńską. Jasia Lityńskiego nie było, gdyż po raz kolejny został aresztowany.

Decyzja o stanie wojennym wywołała smutek i żal. Niedługo potem były przecież święta. Utkwiły mi w pamięci czarne choinki. Był też strach, lęk. Pamiętam też absurdalne sytuacje. O drugiej w nocy przychodzili milicjanci, walili w drzwi i mówili, żebym zamknęła okno, bo może się do mnie dostać złodziej.

Mam w swoim życiorysie również przypadek ukrywania poszukiwanego działacza „Solidarności" ze ścisłego kierownictwa. U mnie w domu chował się Janek Lityński. Nie pamiętam już, kiedy to było. Na pewno podczas stanu wojennego. Zwolnili go już z internowania i jednocześnie poszukiwali. Chcieli go chyba jeszcze raz aresztować. Przyjechał do mnie ze swoją żoną i pytaniem,

czy go nie przechowam. Przebywał u mnie przez mniej więcej tydzień. To była pełna konspira. Tylko Grzesio, mój syn, miał wtedy problem.

Miał wtedy chyba ze trzy albo cztery lata. Lityńscy dostali pokój, ale Jasiu praktycznie nie wychodził na zewnątrz. Pewnego dnia goły przemknął szybko do toalety. Nie było mnie wtedy w domu. Po powrocie, gdy siedziałam z Grzesiem w kuchni, zauważyłam jest taki strasznie ponury. Zapytałam, co się stało. Okazało się, że porównał swoje przyrodzenie z jego… – Może ja też będę miał większego – stwierdził ze smutkiem *(śmiech)*.

Próbowałam pomagać. Robiłam to z grupką, która działała ze mną przy okazji tych aresztowanych dziewczyn. Próbowaliśmy walczyć o moją wykładowczynię z Uniwersytetu Warszawskiego.

Pamiętam taką historię. Byłam akurat na pedagogice. Studiowali tam też milicjanci. Od jednego dowiedziałam się o aresztowaniu mojej wykładowczyni i o tym, że przebywa u niego w komisariacie. Udało się ją uratować.

Potem byłam gdzieś obok tego, co działo się w podziemiu. Raczej wspierałam osoby w taki sposób jak te aresztowane dziewczyny. Taka doraźna, ale bardzo potrzebna pomoc.

Nie miałam problemów z funkcjonowaniem w zwykłym życiu. Radziłam sobie. Nie przywiązywałam wagi do problemów codzienności, np. z zaopatrzeniem. Nie miałam na to wpływu.

Przykładowo chciałam jakąś lepszą pastę do zębów. Pan, u którego kupowałam tę przeokropną pastę – ona była gorsza chyba nawet od tej słynnej biało-niebieskiej Nivei – stwierdził: – Co pani chce? Nie będzie lepszej!

Z zapowiadanych w 1989 roku zmian, tak jak wszyscy, cieszyłam się, że tworzy się coś nowego. Z drugiej strony to było jednak takie dogadywanie się. W moim środowisku pojawiały się głosy, że tam na górze układają się ze sobą i niekoniecznie może to być korzystne dla społeczeństwa.

Podczas obrad okrągłego stołu uczestniczyłam w zbiorowych wykładach w Stoczni Północnej. Jeden ze stoczniowców zaczął krzyczeć, że przecież teraz to robotnicy będą mieć decydujący głos, że nie zostaną sami, że oni będą decydować o rzeczywistości. Powiedziałam, że tak nie będzie. Podałam przykład, że jak padnie pod płotem, to może zdarzyć się, że będzie leżał i nikt się nim nie zainteresuje.

Już niebawem okazało się, że największe koszty przemian ustrojowych poniosła klasa robotnicza. Czyli ci, którzy wówczas wierzyli, że będą największymi beneficjentami transformacji.

Izabela Kokowska

w latach '80 nastolatka. Córka Krystyny Polak. Uczestniczyła w akcjach aktorów Teatru Muzycznego wspierających strajkujących robotników.

Sierpień '80 pamiętam jak przez mgłę. Wiedziałam, że coś się dzieje, że ludzie strajkują, bo uczestniczyli w tym ojcowie koleżanek – nie było ich w domu.

To było straszne, przecież mogli ich zabić. Na Wybrzeżu pamięć Grudnia '70 na pewno oddziaływała na nastroje panujące 10 lat później. Jako młodzi ludzie, paczka znajomych z Chyloni, z ul. Południowej, jeździliśmy do stoczni na Czechosłowacką i zanosiliśmy jedzenie. Co kto mógł. Wiadomo, że nie wszystko było. Największe problemy dotyczyły kawy, a oni jej potrzebowali najbardziej.

Z Sierpnia '80 pamiętam jeszcze udział w przedstawieniach w Gdańsku. Tam co roku, właśnie w sierpniu, odbywał się cykl spektakli „Żywy Żurnal". Występowały w nim gwiazdy polskie i czeskie, np. Maryla Rodowicz i Helena Vondráčková. Jak zaczęły się strajki, artyści chcieli je wesprzeć. Zaczęły się zbiórki pieniędzy i darów, przede wszystkim jedzenia, które potem, m.in. mój tata zawoził do Stoczni Gdańskiej. Czesi się bali, nie chcieli tego robić i wyjechali. Potem tata mi mówił, że to z powodu pamięci o 1968 roku, kiedy wojska Układu Warszawskiego wkroczyły do Czechosłowacji.

Okres działania legalnej „Solidarności" pamiętam jako czas, w którym co rusz odbywały się jakieś protesty i demonstracje. Rodzice przynosili do domu jakieś gazetki.

Jednak najbardziej utkwiły mi w pamięci przygotowania do „Kolędy Nocki". Moi rodzice pracowali w Teatrze Muzycznym w Gdyni. Ojciec był tancerzem, a mama kierownikiem sekcji środków inscenizacyjnych. Oboje bardzo zaangażowali się w ten musical. Mama szykowała kostiumy, a tata tańczył. Ja biegałam po teatrze, oglądałam, co się dzieje, jak przebiegają próby. W tamtym momencie może nawet nie do końca rozumiałam, czego ma dotyczyć to przedstawienie. Bardziej przyciągała mnie obecność Krystyny Prońko. Wiedziałam, że będzie szybko, fajnie, będą śpiewać.

Przedpremierę spektaklu zrobili w trzy tygodnie. Próby odbywały się codziennie aż do nocy. Żeby zdążyć, mama sama dziergała na drutach albo kołnierz, albo coś do kostiumu, bo było wiadomo, że trzy tygodnie to mega mało czasu na zrobienie musicalu. Nawet artyści, w tym Krystyna Prońko, w wolnych

chwilach pomagali przy szykowaniu strojów i dekoracji. Wszyscy byli bardzo zabiegani.

Premiera wypadła znakomicie. Pamiętam pełną widownię i owację na stojąco. To było ogromne wydarzenie. Później mama mówiła, że Teresa Haremza – jeden z głównych wykonawców – była tak przerażona tym, co się dzieje, że wyjechała za granicę. Przerosło ją to wszystko – zwłaszcza wprowadzenie stanu wojennego.

Ja pamiętam ten okres tylko z punktu widzenia osoby biegającej po teatrze i oglądającej próby. To było dla mnie bardzo ciekawe. W pamięci utkwił mi także fakt, że po nastaniu stanu wojennego musical zdjęto z afisza. Był i zniknął. W tamtych realiach raczej nie zanosiło się na jego przywrócenie. Tamta władza bała się odważnych tekstów w sztuce. „Kolęda Nocka" była takim manifestem pokazującym umęczoną i mordowaną Polskę.

Stan wojenny był dla mnie ciosem. Kluczowy moment stanowił oczywiście brak „Teleranka". Włączyliśmy telewizor. Najpierw śnieżył, a potem pojawił się w nim Wojciech Jaruzelski w czarnych okularach ogłaszający stan wojenny. Chociaż później przez wiele lat widywało się generała w telewizorze przy różnych okazjach, to wystąpienie 13 grudnia zbudowało we mnie negatywny obraz jego osoby. I mam tak do dziś.

Moja starsza przyjaciółka wracała 13 grudnia rano z „Cisowianki", knajpki przy ul. Chylońskiej. Opowiadała, że szła z dyskoteki, a tutaj koło niej czołgi jadą, więc nie do końca wiedziała, co się dzieje. W pierwszej chwili myślała, że to jakaś wojna. Wszyscy tak myśleliśmy. Kiedy szliśmy do kościoła, bo na mszy byliśmy co tydzień, niedaleko nas stały już dwa skoty. Dokładnie zatrzymały się w miejscu, gdzie w Chyloni wjeżdża się na obwodnicę. Kawałeczek dalej stał samochód milicyjny. Tego dnia było dziwnie.

W pamięci utkwił mi także widok koksowników, porozstawianych obok radiowozów i transporterów opancerzonych. To była bardzo mroźna zima. Choć zbliżały się święta, było wiadomo, że żołnierze i milicjanci stali się już stałym elementem krajobrazu i nie pojadą do domów na Boże Narodzenie. Chodziło się i z nimi rozmawiało. To byli młodzi chłopcy. Codziennie nosiło się im gorącą kawę i herbatę.

W całym wieżowcu zrobiliśmy zbiórkę. Każdy dał, co miał, co mógł. Moja koleżanka przebrała się za św. Mikołaja z dzwoneczkiem i niosła to wszystko w takim wielkim worku. To było kapitalne. Na początku szedł św. Mikołaj, a za nim my z tymi darami. Była to dla nas radość i na pewno też atrakcja.

Po latach, jak się tak zastanawiam, trochę boli fakt, że nie podeszliśmy do stojących obok milicjantów, także młodych chłopaków. Rozmawialiśmy tylko z żołnierzami. Do tamtych nikt nie podszedł, a oni – kawałek dalej – dygotali w tym samochodzie. Ani herbaty, ani kawy, ani nic…

Tak sobie myślę, że to było nieludzkie. Wyszło na to, że żołnierze byli nasi, a milicjanci znajdowali się po przeciwnej stronie sporu. Jest mi przykro, że nikt o nich nie myślał. Wtedy wydawało się to słuszne. Do dzisiaj ciężko mi się z tym pogodzić.

Po Nowym Roku ogłoszono koniec zawieszenia zajęć i wróciliśmy do szkoły. Chodziłam do liceum ogólnokształcącego w Rumi.

Na znak protestu przeciw władzy nosiło się oporniki. Musieliśmy mieć przyszyte tarcze, sprawdzali to. Ale mieliśmy na to różne sposoby, łącznie z zatrzaskami, bo rzepów wtedy nie było. Nosiliśmy fartuszki i pod nimi – nie można było na wierzchu, gdyż za to ponoć groziło aresztowanie albo nawet internowanie – nosiliśmy oporniki jako symbol oporu. Tak działo się przez naprawdę długi czas. Przez cały okres szkoły wpinaliśmy ten symbol. Raz w jednym miejscu, raz w innym.

W stanie wojennym w teatrze, gdzie pracowali moi rodzice, również bardzo dużo się działo. Można powiedzieć, że mimo godziny milicyjnej i tych wszystkich represji, aktorzy robili swoje i podczas przedstawień przemycali różne antysocjalistyczne treści, na które bardzo żywo reagowała publika. To nie musiało być coś dosłownego; wystarczyło jakieś przejęzyczenie, gest czy maniera.

W stanie wojennym naszą ulubioną zabawą było ganianie się z zomowcami. Co prawda byliśmy już nastolatkami, ale lubiliśmy to. WQ naszym wieżowcu pierwsza, druga i trzecia klatka miały połączenie, a z trzeciej można było przejść piwnicą do czwartej i piątej.

Tutaj dopowiem, że wówczas obowiązywał zakaz zgromadzeń, czyli że w więcej niż trzy osoby nie można było stać w jednym miejscu. Władza bała się zalążków demonstracji. Nie musiała to być nawet godzina milicyjna. Po prostu pod wieczór wszędzie chodziły patrole. Robiły to tak często, że dziś aż się wierzyć nie chce.

Kiedy wiedzieliśmy, że idzie patrol, zbieraliśmy się grupką – w klatce można było stać, do nich nie zaglądali – i wychodziliśmy przed budynek. Gdy zobaczyli, że jest nas więcej, wbiegaliśmy do klatki, jechaliśmy na 10. piętro, a następnie przechodziliśmy do trzeciej klatki. Wiedzieli o tym, więc nas gonili, ale my zjeżdżaliśmy na dół. Jako że mieliśmy klucz od piwnicy, schodziliśmy, zamykaliśmy drzwi, dołem szliśmy do piątej klatki i wychodziliśmy na końcu bloku. Oni wychodzili z trzeciej klatki, a my pokazywaliśmy w piątej.

Nasze zabawy z zomowcami wzięły się z opowieści o pobiciu sąsiada przez tę formację. Zmasakrowanego człowieka przywlekli i zostawili pod drzwiami klatki. To spowodowało, że ich nie lubiliśmy. Zomowcy byli po złej stronie i stąd wzięła się ta nasza zabawa w kotka i myszkę. Oni się nakręcali, a my mieliśmy ubaw. Nie wiem, czy musieli, czy chcieli, czy po prostu mieli takie charaktery i za nami ganiali.

Ganialiśmy się tak dość często. To była taka nasza zabawa. Kiedy mój kolega miał „osiemnastkę", też przyszli do nas zomowcy. Nie wiem, która była godzina. Myśmy po prostu siedzieli w domu. Może ktoś podkablował, że urządziliśmy taką imprezę? To też było zabronione. Weszli, chcieliśmy dać im po kieliszku, ale nie wzięli. Wylegitymowali wszystkich i kazali się rozejść. Tak zakończyła się „osiemnastka".

W tamtym okresie moje życie nie było barwne. Poruszałam się między Chylonią a Rumią, bo w Rumi chodziłam do szkoły. Było wiadomo, że w stanie wojennym chodzą patrole. Nie należałam do tych odważniejszych, raczej wolałam się schować i przeczekać.

Nie wiem, który to mógł być rok, ale pamiętam, że przed świętami wstawaliśmy o czwartej rano i stawaliśmy w kolejce do piekarni na Kartuskiej, żeby mieć chleb. Miejsce zajmowaliśmy już dwie-trzy godziny przed otwarciem. Dzieciaki też chodziły. Widocznie to były ferie. Na ogół nikt nie zwracał na nas uwagi. Jednak któregoś razu weszli z karabinami i powiedzieli, żeby się rozejść, bo będą strzelać. Na szczęście nie istniały jeszcze domofony, więc rozpierzchliśmy się po wszystkich klatkach i czekaliśmy do szóstej. A o szóstej wszyscy – w tej samej kolejności, w jakiej stali wcześniej – pięknie ustawili się przed piekarnią. Nikt się z nikim nie kłócił. Staliśmy, żeby ten chleb na święta dostać. Wtedy naprawdę się wystraszyłam i powiedziałam, że już więcej nie pójdę.

Kazali mi zapisać się do ZSMP. Mówili, że inaczej nie dostanę się na studia. Byłam bardzo przeciwna tym organizacjom, a to przez fakt, że powoli moja świadomość zaczęła się zmieniać. Młodzież działała. Osobiście nie byłam bardzo aktywna, ale inni robili swoje rzeczy. Dochodziło nawet do takich akcji, że ktoś z flagą w zębach wspinał się na słup, żeby ją zawiesić, chociaż to było zakazane. Uczestniczyła w tym moja koleżanka. To działo się na 10 lutego. Co jakiś czas ktoś do szkoły przynosił ulotki i gazetki. Często znienacka były rozrzucane albo rozkładane na korytarzu czy w szatni.

Rumia była troszeczkę na uboczu. Więcej działo się w szkołach w Gdyni. Na pewno słuchało się Radia Wolna Europa. Mieliśmy nawet tranzystory. Oczywiście robiło się to w taki sposób, żeby nikt wrogi się o tym nie dowiedział. Jednym z takich miejsc była szatnia.

Wtedy to było dla nas ciekawe nie tylko ze względów naukowych. Interesowaliśmy się bieżącymi wydarzeniami również ze względów praktycznych. Chcieliśmy wiedzieć, czy np. będziemy mogli jechać za granicę.

Pewnego razu koleżanka pojechała do NRD. Miała przywieźć złoto. Stąd wywoziło się aspirynę, Biseptol i krem Nivea, a stamtąd wracało się z wyrobami z cennego kruszcu. Koleżanka nie wiedziała, że zanim się połknie np. złote kolczyki, trzeba je w coś zapakować. Na szczęście, w wiadomy sposób, udało jej się je odzyskać.

Z kolei do Rumunii jeździło się np. po obrączki. Brało się stąd coś na wymianę i przywoziło obrączki, które przed przekroczeniem granicy oczywiście się połykało. Ja tego nie robiłam, ale moi znajomi – bardzo często. Tak odbywał się handel wymienny: coś się wywoziło z Polski, tam się to sprzedawało i przywoziło dobro, na które był popyt i które można było sprzedać z zyskiem.

Stan zaopatrzenia w tamtych czasach świetnie odzwierciedla popularny wtedy dowcip. Stoi tata z synkiem za rączkę przed wystawą sklepu komercyjnego i mówi: – Popatrz, synku, tak wygląda szynka.

Miałam dużo szczęścia, bo przyjaciółka chodziła do szkoły zawodowej przetwórstwa spożywczego mięsnego i miała praktyki w rzeźni. W związku z tym przysługiwał jej większy przydział w ramach systemu reglamentacyjnego, tzw. deputat. Co święta każda z dziewczyn dostawała od niej tę kartkę. Jej rodzina nie była w stanie tego przejeść. Jeździło się do rzeźni i kupowało, co się chciało.

Ale nie zawsze było tak kolorowo. To był 1987 rok. Miałam malutkie dziecko i byłam w ciąży. Stałam w kolejce, bo przywieźli parówki cielęce. Było mi

głupio i nie chciałam stać w ogonku dla uprzywilejowanych. Pani przede mną wzięła ostatnie. Płakałam jak dziecko. Do końca życia tego nie zapomnę. Rozszlochałam się, że nie dostanę paróweczki ani dla Konrada, ani dla siebie, bo przecież wtedy też miałam taką potrzebę. Ta pani nie odstąpiła mi nawet jednej dla dziecka. A stało się za tymi artykułami nie chwilę, tylko naprawdę całymi godzinami.

A propos mięsa. Byłam już w ciąży. Od Beatki dostałam „szynkę chama" w puszce. Nazwa wzięła się od tego, że na opakowaniu było napisane „ham". Matko, jak myśmy to jedli! Myślałam, że zjem całą naraz, a to była spora szynka. Musiałam się powstrzymywać, żeby na święta zostawić.

Moje wspomnienie świąt z dzieciństwa to zapach pomarańczy. W tamtej Polsce dwa razy w roku pachniało pomarańczami. To była wielka atrakcja. Dopóki nie utworzyli sklepów komercyjnych, można było je kupić tylko w miesiącach świątecznych. Czasami chodziło się oglądać towary do Peweksu… Oglądać – nie: kupować.

Gdy moja córka wkraczała w okres dojrzewania, uświadamiałam ją, jak kiedyś wyglądało życie w naszym kraju.

– Nikola, czy ty sobie wyobrażasz, że w sklepie były tylko ocet i musztarda? – pytałam.

– Ale w całym Tesco tylko ocet i musztarda?

Dla nich to jest niewyobrażalne. Przez wiele lat trzymałam kartki. Zawieruszyły mi się w czasie przeprowadzek. Schowałam je, by pokazywać dzieciom, jak to wyglądało.

Moi rodzice pracowali w Teatrze Muzycznym. Kultura to była bieda. Głodowe pensje. Jeśli nie zarobiło się na jakiejś chałturze, nie miało się co do garnka włożyć. Choć byłam jedynym ich dzieckiem, doświadczaliśmy biedy. Najczęściej jedliśmy chleb ze smalcem. Mama miała opracowany smalec na wszystkie sposoby: z mięsem, z cebulką, ze wszystkim…

Tata mojej koleżanki z klasy był oficerem milicji, a mama pracowała w „Baltonie", więc ona codziennie miała szynkę, salami, różne sery, sałatę, pomidory i inne takie rzeczy, których my na oczy nie widzieliśmy. Dokonywaliśmy handlu wymiennego. Prosiła, żeby dać jej smalcu, bo nie mogła już patrzeć na bułkę z szynką. Miałam to szczęście, że akurat mogłam się z nią wymieniać i dzięki temu jadłam szynkę. To było wow!

Ona nie mogła iść do komunii, bo jej tata był milicjantem. Gdzieś tam po cichu przygotowywała się z siostrą zakonną, tak żeby nikt nie wiedział. Oficjalnie nie wolno jej było nawet chodzić ani na religię, ani do kościoła. Uczęszczała cała klasa oprócz niej.

Skończyłam liceum. Później wyszłam za mąż. Po urodzeniu dziecka zaczął się dla mnie inny świat. Mój mąż poszedł do pracy do stoczni. Miał studiować i pracować, ale zdecydował, że idzie do stoczni. Przyniósł mi wypłatę, którą wydałam w dwa tygodnie, a jak na tamte czasy była to duża pensja i powinnam żyć za nią trzy miesiące. Zachłysnęłam się. Wydawało mi się, że na wszystko wystarczy. W księgarni były książeczki dla dzieci – mogłam je kupować. Mogłam mieć wszystko. Niestety, po dwóch tygodniach musiałam poży-

czyć pieniądze od koleżanki. To było zachłyśnięcie tym, że mogę zjeść szynkę, owoc. Wiem, że to jest głupie, ale wtedy tak było.

W pewnym momencie wyjechałam z dzieckiem do Lublina. Tam mnie zastała pielgrzymka ojca świętego w czerwcu 1987 roku. Byłam na mszy, miałam okazję z bliska zobaczyć Jana Pawła II.

Bardzo mocno przeżyłam zmiany przepisów mieszkaniowych, bo czekałam na własne „M". Rodzice wpłacali pieniądze na książeczkę. Po 20 latach byłam przekonana, że dostanę telefon, mieszkanie, talon na samochód, a tutaj nagle – bum! – książeczka nie wystarczyła. Nie umiałam się odnaleźć. Niektórzy świetnie się odnaleźli, a ja nie. Zostałam z mamą w mieszkanku w Chyloni. Nie potrafiłam sobie poradzić. Tak jak sporo innych osób.

Ważniejsze od robienia kariery było dla mnie bycie matką i żoną. No bo po co miałam robić karierę? Nie było to dla mnie w żaden sposób atrakcyjne. Chciałam być nauczycielką języka rosyjskiego. Potem Bogu dziękowałam, że nie poszłam na filologię rosyjską, bo – mówiąc dzisiejszym językiem – zaczął się hejt na Rosję. Nauczanie języka wrogów to był obciach. A teraz rosyjski znowu jest w cenie.

Z tamtych czasów bardzo dobrze pamiętam także pochody pierwszomajowe. To było dla mnie najpiękniejsze, co mogło się wydarzyć. Zawsze czekałam, aż grupa teatralna będzie iść; stałam wtedy gdzieś z tyłu. Chodziłam też jako harcerz, ale to na wystąpieniach teatralnych przy prezydium komitetu wojewódzkiego odbywał się zawsze jakiś pokaz tańca. Wszyscy, w tym mój ojczym, w kostiumach. Byłam dumna, że mogłam iść za rączkę w tych pochodach z teatrem. Nikt się przed tym nie buntował. Jako dziecko nie wiedziałam, że tamten system był zły. Byłam wtedy inną osobą. Świadomość przyszła z wiekiem. Co ciekawe w stanie wojennym też odbywały się pochody, ale nikt z artystów w nich nie uczestniczył.

Wiadomo, że większość kobiet lubi ładnie wyglądać. Ta prawda obowiązywała również w tamtych latach. Tyle że zdobyć fajne ciuchy wcale nie było tak łatwo. Większość odzieży produkowanej w kraju wyglądała niemal identycznie. Jeśli mama jakiejś koleżanki kupiła np. sweterek w paseczki i serek, pytałyśmy, gdzie to dostała, i szybko leciałyśmy tam wszystkie. Miałyśmy potem takie same sweterki, takie same bluzki, takie same buty. To nas wyróżniało jako przyjaciółki, wszyscy od razu wiedzieli, że trzymamy się blisko.

Dostawy nie odbywały się codziennie. Dlatego całe dnie chodziłam w tych samych ciuchach, bo niczego innego nie dało się dostać.

Często robiłam też zakupy w składnicy harcerskiej. Bardzo dużo ubrań robiłyśmy same. Dużo farbowałyśmy. Kupowałyśmy watę i szyłyśmy spódnice z pieluch tetrowych, uprzednio wymoczonych w farbie.

Na zajęciach praktycznych uczyli nas szyć. Dużo się robiło na drutach. Jeśli chodzi o modne młodzieżowe ciuchy, ówczesne nastolatki były samowystarczalne. Na Zachodzie pewnie zrobiłyby karierę jako projektantki i kreatorki mody. W Polsce takie umiejętności były po prostu naturalną koniecznością. Rosłyśmy, więc dość regularnie musiałyśmy tworzyć nowe wdzianka.

W wieku prawie 15 lat przeszłam operację wyrostka robaczkowego. Do 14. roku życia kwalifikowali pacjenta jako dziecko. Ponieważ rocznikowo miałam rok więcej, umieścili mnie na oddziale dla dorosłych szpitala miejskiego.

Gdy odwiedzał mnie ojczym, mówił, że nie wie, kiedy się następnym razem zobaczymy, bo idzie do teatru strajkować. Szykowali strajk okupacyjny w Teatrze Muzycznym. Do końca życia nie zapomnę opowieści starszych kobiet o tym, co tam się będzie działo. Ostrzegały, że trzeba robić zapasy, bo nie wiadomo, co się wydarzy, że wszystko będzie jak za Hitlera. – Jak wyjdziemy, nie będzie wiadomo, pod którym zaborem będziemy – zapowiadały katastroficznie.

Tak to zapamiętałam. Jako 14-tka niby sporo rozumiałam i wiedziałam, niemniej odczuwałam lęk przed wojną.

Do dzisiaj boję się również szpitali. Kiedy wchodzę do lecznicy, mam traumę. Wtedy to był mój pierwszy pobyt w takim miejscu i przez opowieści dorosłych kojarzy mi się on bardzo negatywnie.

Wtedy na ogół nikt nie chciał się buntować. Człowiek zapisywał się do partii, robiło się wszystko, co kazali. Było mi smutno, gdy patrzyłam na znajomych, którzy tak robili. Godzili się na tamtą beznadzieję. Tłumaczyli, że komuny nie da się pokonać, a na pewno nie za ich życia. Wiedziałam również, że są tacy, którym jeszcze zależy i oni działają w podziemiu. To, że nastąpiła zmiana, zawdzięczamy wąskiej grupie, której się chciało i miała ogromną odwagę walczyć z tamtym ustrojem. Ci ludzie często przypłacali to zdrowiem, a niektórzy nawet życiem.

Alicja Kozicka

żona Andrzeja Kozickiego – Przewodniczącego Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni w latach 1980 – 1981. Architekt, projektantka. Członek Pomorskiej Okręgowej Izby Architektów RP. Zaangażowana w powstanie Gdańskiego Liceum Autonomicznego.

W sierpniu 1980, jeszcze przed strajkiem, nasze dzieci – bliźniaki i chyba Basia – pojechały do Dębek na kolonie ze stoczni. To był pierwszy wyjazd, jaki udało nam się załatwić w zakładzie.

Gdy zaczął się protest, mój Andrzej tam pojechał. Nie pamiętam, czy od razu, czy po uprzedniej wizycie w domu i ktoś dał mi o tym znać. Kojarzę tylko, że siedział w stoczni. Kiedy Kołodziej rozpoczął strajk, mąż wszedł do komitetu strajkowego. Następnie chyba Kołodziej wysłał go do Gdańska – do MKS-u. Strasznie denerwowałam się o dzieci i ciągle modliłam. Nie miałam z mężem kontaktu, bo przy szóstce dzieci niemożliwością było jeżdżenie pod stocznię.

W Osowej było bardzo dużo niezwykle życzliwych nam ludzi. Poznałam wtedy Edmunda Szczesiaka, który – m.in. z Bogdanem Pietruszką – projektował Pomnik Trzech Krzyży. Jego żona bardzo mnie wspierała, chociaż jeszcze wtedy pomoc nie była potrzebna.

30 sierpnia 1980 chyba wracałam z Gdańska. Usłyszałam, jak ludzie mówią, że protestujący robotnicy podpiszą jakąś umowę. Pamiętam, że się wtedy popłakałam. Cały czas walczyłam tu z dzieciakami i słuchałam Radia Wolna Europa, więc trochę wiedziałam o bieżącej sytuacji, np. o tym, że strajk się rozprzestrzenia.

Na początku różnie mówili w Wolnej Europie o tym, jak potoczy się przyszłość strajku. To było trochę jakby wróżenie z fusów, co będzie, a czego nie będzie. Aż w końcu podpisali. Cieszyłam się z tego. A najbardziej z tego, że Andrzej wrócił do domu.

Wtedy pierwszy raz usłyszałam nazwisko Andrzej Kołodziej. Młody chłopak, który stanął na czele strajku. On przecież po to poszedł do stoczni. Ktoś to musiał zrobić. W starych stoczniowcach mogło być wiele strachu, oni pamiętali Grudzień '70. Wówczas od tamtych wydarzeń nie upłynęło przecież nawet 10 lat. Kołodziej był młody, nieobciążony traumą. Bardzo dobrze nadawał się na lidera strajku.

Wydaje mi się, że robotników zainspirował Jan Paweł II. To przecież jego zdjęcie na bramie wywiesili stoczniowcy. Jemu ufali. Chyba dlatego się tak strasznie nie bałam; czułam, że Opatrzność czuwa. Rok wcześniej w Warszawie papież wezwał Ducha Świętego i w 1980 roku ten Duch wreszcie zstąpił.

Uspokajająco wpływały na mnie także rozmowy z przyszłym prezydentem Rzeczypospolitej. Leszek Kaczyński przyjechał z Marylką i ich małą córeczką do naszego starego domu. Marta była wówczas bardzo malutka; urodziła się przecież w czerwcu 1980 roku. Zaprosiliśmy ich na obiad. Przyrządziłam zupę rybną. Kilka razy jeździliśmy też do nich do Sopotu. Bardzo lubiłam go słuchać, mówił bardzo przekonująco.

Po podpisaniu porozumień sierpniowych Andrzej zaangażował się w działalność związkową. Cały czas przynosił do domu jakieś ulotki, gazetki. Miałam tu pełno biuletynów stoczniowych. Prowadził takie życie w ciągłym biegu. Dzieci cały czas o niego pytały. – Gdzie jest tata, kiedy wróci? – wołały. Chyba jeszcze były za małe, żeby cokolwiek rozumieć.

Może Łukasz był dumny, ale reszta…? Nie wiem. Myślę, że Łukasz zdawał sobie sprawę, co robi tata, miał12 lat. On potem zaczął intensywnie działać w opozycji (tak samo Bronek). Do tego stopnia się zaangażował, że wyrzucili go ze szkoły.

Andrzej jak nie był w stoczni, to był w Gdańsku – ciągle miał jakieś narady, negocjacje, spotkania. A tu w domu normalna rzeczywistość się działa. Trzeba było organizować jedzenie. Pisałam Łukaszowi kartkę, jakie mięso ma kupić. Dawałam plecak, pieniądze i on jechał do Oliwy, do sklepu mięsnego na Grunwaldzkiej, pokazywał kartkę, pani mu wszystko ładowała do plecaka i wracał do domu. Albo jeździł do Oliwy po chleb, bo tu nic nie było. Bardzo dużo mi pomagał. Tak jest zresztą do dzisiaj.

Zdarzały się trudne momenty, kiedy rósł we mnie strach. Tak było po prowokacji bydgoskiej w marcu 1981 roku. Denerwowałam się, jak to się stało z Rulewskim i Bartoszcze. Tym bardziej, że brat męża też bardzo ostro działał w Grębocinie. Po internowaniu wyjechał, bo miał dosyć.

W takich chwilach marzyłam, żeby ta komuna wreszcie upadła. Bałam się o męża. Z drugiej strony musiałam zająć się domem i dziećmi, które chodziły do szkoły. Nie zapomnę takiego momentu, jak szykowałam bliźniaki do szkoły. Staszek miał wtedy pięć lat. Ubierałam bliźniaki i raptem usłyszałam w kuchni „łup, łup, łup". Spojrzałam, a tam spadają wszystkie talerze, które wsadziłam

do zlewu. Staszek je – ciach! – o podłogę. Miał taką zabawę, że obserwował, jak się tłuką.

Od 1976 roku pracowałam w Zespole Usług Projektowych, więc miałam jakieś pieniądze. Zresztą Andrzej jeszcze w tym czasie normalnie zarabiał. Nocami wspólnie robiliśmy projekty. Dopiero kiedy zaczął się strajk, musiałam zrobić przerwę. Potem nie mogłam już pracować w pełnym wymiarze. A w stanie wojennym to już w ogóle. Przerwa w mojej aktywności zawodowej trwała, aż Andrzej wrócił do domu. Starsze dzieci były dumne z taty. Mogły się tym chwalić w szkole, ale nauczyciele nie reagowali. Nikt ze mną nie rozmawiał o aktywności męża.

Tak toczyło się życie naszej rodziny. Mąż był bardzo zaangażowany w działalność związkową. Jak wracał do domu, chciałam mu zapewnić spokój, by mógł odpocząć. Dzieci też to rozumiały.

W świecie polityki stawało się coraz bardziej niespokojnie. Pojawiły się inspekcje robotniczo-chłopskie i wojsko na ulicach… Spodziewaliśmy się, że lada chwila coś się wydarzy. Mąż w sobotę 12 grudnia wrócił późno i stwierdził, że coś się szykuje. O północy zadzwonił dzwonek. Przyszli milicjanci; jednym z nich był sąsiad. Powiedzieli, że mąż jest internowany, ma się ciepło ubrać i założyć kalesony. Oświadczyli, że zabierają go gdzieś pod Szczecin czy Szczecinek, do Czarnego (później od Marysi Maruszczyk dowiedziałam się, że Andrzej trafił gdzie indziej, do Strzebielinka za Wejherowem).

Nieźle się zdenerwowałam. Dzieci się obudziły. Od tamtej pory Staszek co noc się budził, owijał w kołdrę i biegał po mieszkaniu, krzycząc. Trwało to dosyć długo...

Nie wiem, czy ja w ogóle wtedy spałam. Rano poszłam do kościoła na pierwszą mszę i od razu powiedziałam księdzu, że wzięli Andrzeja. Bardzo się przejął. To był wikary od ks. Jastaka.

Wtedy ludzie zaczęli mi pomagać. Przede wszystkim robiła to Wiesia Szczesiak. Była bardzo zaangażowana w „Solidarność" – mocno popierała i często kontaktowała się z ks. Jastakiem i Jankowskim. Szczesiakowie często chodzili do tego drugiego i przynosili mi od niego dużo rzeczy. Wiesia zorganizowała też wsparcie od ludzi z osiedla. Otrzymywałam ogromną pomoc – finansową i żywnościową. Wspomagał nas także o. Krok od redemptorystów, który bardzo często do nas przyjeżdżał.

Była jeszcze laryngolog Elżbieta Różycka – od niej także otrzymałam ogromną pomoc. Ma teraz 88 lat. Przychodziła natychmiast na każdą prośbę i opiekowała się dziećmi.

Była także pani Ewa, która dotarła do nas przez biskupa. Poszła do niego i powiedziała, że chce pomóc rodzinom internowanych i żeby z kimś ją zapoznał. Przypuszczam, że hierarcha wysłał ją do ks. Jankowskiego. Tam poznała Szczesiakową i razem z nią przychodziły do mnie. Kiedyś Wiesia jechała z nią maluchem. Jakiś pijak wyskoczył jej przed maskę. Ta gwałtownie zahamowała i wyskoczyła, żeby go zwymyślać. Otworzył się schowek w samochodzie i Wiesia zobaczyła w nim pistolet. To już było wiadomo...

Ta pani Ewa chciała umówić się ze mną na spotkanie kilka dni później. Szczesiakowa mi o wszystkim powiedziała. Od tego dostałam takiej migreny, że dosłownie chodziłam po ścianach. Posłałam Łukasza do doktor Różyckiej, żeby coś poradziła. Myślałam, że nie wytrzymam.

Pani Różycka dała Łukaszowi buteleczkę jakichś kropli z darów z Francji. Powiedziała, że mam to wziąć i ból przejdzie, a może nawet całkowicie wyleczę się z migreny. I pomogło – pulsujące bóle głowy się skończyły. Nie wiem, co to było za lekarstwo, ale migreny się skończyły.

Ta pani Ewa rzeczywiście przyszła do mnie po kilku dniach. Powiedziałam, że bardzo źle się czuję i nie mam ochoty z nią rozmawiać. I tak się skończyły nasze relacje, gdyż więcej już się nie pojawiła.

W związku z internowaniem męża nigdzie mnie nie wzywali. Za to raz miałam wizytę, tylko że dowiedziałam się o niej po fakcie.

Raz zorganizowałam wyjazd do Strzebielinka. Pojechali ze mną o. Krok i nasz proboszcz, ks. Henryk Bietzke. – Dwa grzyby w barszczu to za dużo – powiedział ten drugi. Ale już było za późno *(śmiech)*.

Odwiedziny były dozwolone tylko raz w miesiącu. Raz teściowa zrobiła mi numer, bo nie informując mnie, pojechała do Strzebielinka, żeby porozmawiać z Andrzejem. Wtedy dowiedziałam się o tej regule dotyczącej widzeń... Przyjaciele zorganizowali mi wyjazd do Strzebielinka z dziećmi, a tam nie dopuścili mnie do Andrzeja z uwagi na wizytę teściowej. Byłam taka zła, że nie wiem.

Po pierwszym widzeniu od momentu aresztowania spotkaniu uspokoiłam się. Cieszyłam się, że go w końcu zobaczyłam. Ale czy uspokoiłam się tak zupełnie, to trudno powiedzieć. Denerwowałam się przez tę niepewność. Nie było wiadomo, co się z nimi stanie. Miałam straszne migreny. Wiedziałam od teściowej, że szwagier też siedzi, tylko że w Potulicach. Puścili go pod koniec stycznia i postawili warunek: emigracja. Mieszka w Strasburgu...

Przez ten okres internowania męża, czyli od 13 grudnia 1981 do 24 lipca 1982, musieliśmy sobie jakoś radzić. Przy pomocy znajomych, kościoła i ludzi z podziemia przetrwaliśmy. Wrażeń nam nie brakowało. Któregoś razu Józio biegał po lesie i przyniósł… wiatrówkę.

– Synu, skąd ty to masz? – zapytałam zaskoczona.

– Leżała w lesie.

– Daj spokój, przecież zaraz mogą nam zrobić rewizję!

Strzelił z tej wiatrówki w lustro i do tej pory mam w nim dziurę. To zwierciadło ma ponad 100 lat i jest na nim pamiątka stanu wojennego.

Kwestia zatrzymania Andrzeja została przemilczana przez nauczycieli naszych dzieci. Oni siedzieli cicho, ale ja się strasznie wkurzyłam. Ale z innego powodu.

Mąż zawsze obcinał dzieciom włosy, a ja powiedziałam, że nie będę tego robiła. Z tego powodu nauczycielka przyczepiła się do bliźniaków. Wtedy jej wygarnęłam, że jak nie załatwią powrotu męża, będę im robiła warkoczyki. W konsekwencji nosiły długie włosy chyba aż do jego powrotu *(śmiech)*.

Cały czas szukałam sposobu na uwolnienie Andrzeja. Były jakieś spotkania u dominikanów w Gdańsku. Tam mi poradzili, żebym napisała pismo do Kiszczaka. Dałam się podpuścić i napisałam, że dzieciaki fascynują się czołgami, które jeżdżą po ulicach, co zresztą uważałam za niedopuszczalne. Bo one faktycznie, jak coś jechało, to biegły do okna i podziwiały czołgi. Wspomniałam również, że mamy sześcioro dzieci, w tym pięciu synów, którzy potrzebują ojca i tak dalej. Ten list był dosyć długi. Ktoś mi go sprawdził i go wysłali. Potem od Wajdów usłyszałam głosy oburzenia, jakim prawem tak się upokorzyłam, żeby napisać list do Kiszczaka.

Dostałam informację – nie wiem, czy od dominikanów, czy przyjechał do mnie jakiś esbek – że mam wyznaczoną datę spotkania z Kiszczakiem w Warszawie. Ostatecznie widziałam się nie z nim, tylko z generałem MO Bogusławem Stachurą. Był bardzo uprzejmy, bardzo grzeczny.

– No dobrze, w takim razie proszę mi powiedzieć, czy pani mąż napisze oświadczenie, że już nigdy nie będzie działał i będzie lojalny wobec nas – powiedział na koniec. Odparłam, że na pewno czegoś takiego nie napisze. – W takim razie skończyliśmy rozmowę – oświadczył.

Tak walczyłam o męża na Rakowieckiej. Potem poszłam do kościoła, długo się modliłam. Pomyślałam wtedy: „No nic. Nic z tego nie będzie".

Potem dowiedziałam się, tylko nie pamiętam skąd – chyba w urzędzie miejskim – że Kiszczak, Stachura i inni generałowie wysłali nam ogromną paczkę z ciuchami i żywnością. Jednak nie dostałam jej. MSW wysłało do nas pakunek, ale nie miało dokładnego adresu. Okazało się, że znaleźli jakichś Kozickich na Oruni i tam zawieźli tę przesyłkę. Całe szczęście, że ta paczka do nas nie doszła.

Pod koniec internowania Andrzej zachorował. Przywieźli go do szpitala w Wejherowie, bo miał paskudną przepuklinę. Choć Andrzej do dziś uważa, że to była nie przepuklina, tylko zgorzel w zębie. Potem szukali, co by mu tu jeszcze zrobić, żeby jak najdłużej został w tym szpitalu. Z drugiej strony dzięki temu mogliśmy się normalnie spotykać. Wychodził na ławeczkę. Oczywiście o pobycie w szpitalu powiedziałam przyjaciołom. Zorganizowała się ekipa. Wymieniali się i wozili mnie właściwie na każde zawołanie. Ale do Strzebielinka też wozili.

To było bardzo dziwne, że esbecja tego nie wyniuchała. W tym szpitalu z Andrzejem spotykali się przecież ludzie, którzy działali w podziemiu, a on formalnie był jeszcze osadzony. Jego pobyt w lecznicy to był dla mnie prawie stan normalności. To w sumie przygotowywało mnie do jego wyjście z internowania.

Zatrzymanie Andrzeja mocno wpłynęło na nasze dzieci. Stawały się coraz bardziej bojowo nastawione. Były dumne z taty. Może Józek potrafiłby wówczas powiedzieć, co czuł. Był najbardziej ruchliwy, najbardziej niegrzeczny, najbardziej energiczny, najbardziej pyskaty, a przy tym bardzo wrażliwy. Zresztą taki jest do tej pory.

W okresie internowania Andrzeja dostawałam z „Solidarności" 15.000 zł miesięcznie. Mieliśmy kredyt na budowę domu i właściwie spłaciłam go dwoma pensjami. Pamiętam, że uzbierałam 20.000.

Ze stanem wojennym kojarzy mi się jeszcze jedna historia. Bardzo interesowałam się Licheniem, kiedy jeszcze nikt tam nie myślał o nowym kościele. Stwierdziłam, że pojadę i dam coś na świątynię (bazyliki jeszcze wtedy nie było). Wzięłam ze sobą mnóstwo znaczków, które Andrzej i inni osadzeni wykonali w Strzebielinku. Poszłam do proboszcza, rozłożyłam to wszystko i powiedziałam, że chcę dać to na pamiątkę, do tego pieniądze.

– Skąd pani to ma? – zapytał zaskoczony.

– Dostawałam grypsy od męża i chciałabym to zostawić na pamiątkę w Licheniu.

Nie wierzył, był pewien, że jestem podstawiona. Powiedziałam, że chcę dać ofiarę. – Absolutnie, nie ma mowy! – odparł. Poprosiłam go o różańce dla każdego z dzieci. – Nie mam różańców – rzekł.

Zostawiłam te znaczki i poszłam się pomodlić. Wahałam się, czy wrzucić pieniądze do kościelnej skarbony. Obawiałam się, że ktoś je ukradnie. Popłakałam się. Po chwili ktoś mnie potrącił. To był proboszcz. Powiedział, że ma dla mnie różańce. Poszłam jeszcze raz i dał mi paciorki. Wtedy przyjął pieczątki i pieniądze. Przy okazji się wyspowiadałam i chyba wzięłam udział we mszy.

Po jakimś czasie zrobiłam w domu spotkanie ze wszystkimi, którzy nam pomagali. Chyba coś za dużo opowiadałam o naszych grypsach, bo Szczesiakowa wyrzuciła mi wtedy, że w tym spotkaniu na pewno uczestniczy jakaś wtyczka. Nie przypuszczam, żeby ktoś z obecnych takową był. Ale niewykluczone...

Po powrocie mąż pojechał z bliźniakami na żniwa do bratanka do Grębocina. Przy okazji chciał pożegnać się z bratem. Gdy tam przebywali, przyszło takich dwóch panów. Obaj elegancko ubrani, jeden wymachiwał parasolką.

– A wie pani, gdzie możemy się spotkać z Andrzejem – zapytał. – Bo chcemy z powrotem zrobić organizację podziemną.

– Panie, właśnie przez takich jak pan mój mąż wyjechał. Nie powiem dokąd – odparłam. Nie miałam wątpliwości, że na 100 proc. była to prowokacja. Nie przyszedłby przecież nikt, kogo nie znam, a tego człowieka absolutnie nie znałam. Później on chyba znów się tutaj zjawił z tym naszym sąsiadem milicjantem. W każdym razie przegoniłam go i potem z podobną sprawą nikt już się nie pojawił.

Mój tata bardzo interesował się tym, co się dzieje. Zbierał wszystkie wycinki z gazet z okresu Karnawału Solidarności. Zmarł 11 października 1981 roku. Bogu dziękowałam, że zmarł przed wybuchem stanu wojennego i go nie doczekał. Dosłownie. To dziwnie brzmi, ale naprawdę tak było.

Mąż zaczął się wycofywać z działalności konspiracyjnej gdzieś około 1985 roku. Za to zaangażowały się w nią dzieci – Łukasz i Bronek. Łukasz bardzo mocno. Do tego stopnia, że wyrzucili go z liceum. Bał się nam o tym powiedzieć. Po Nowym Roku przyznał, że nie chciał psuć świąt, ale jemu nie wolno już pójść do szkoły. Dlaczego? Co roku 13 grudnia organizował minutę ciszy. Powiedziałam, że tego tak nie zostawię. – Mama nic nie załatwi – stwierdził.

Zanim poszłam do szkoły, udałam się do kościoła cystersów i modliłam się tam do Ducha Świętego – żeby mnie natchnął, co mam powiedzieć. Gdy zjawiłam się szkole, dyrektor był zajęty i nie mógł mnie przyjąć. „Trudno, posiedzę i poczekam w sekretariacie" – pomyślałam. Jednak sekretarka przekazała słowa dyrektora, że ten nie ma dla mnie czasu. Upierałam się przy swoim. Stwierdziłam, że mimo wszystko posiedzę – jak będzie trzeba to i całą noc. Miałam zapewnioną opiekę nad dziećmi, więc mogłam czekać. Siedziałam tak chyba trzy albo cztery godziny i wreszcie mnie poprosił.– Jak to jest, że syn jest niepełnoletni, a wy go wyrzucacie przed maturą? – zapytałam.

– To pani nie wie, co on robił? – odbił piłeczkę dyrektor. Powiedziałam, że nie.

– No przecież bez przerwy biegał do Okrąglaka, do kościoła i organizował tam jakieś podziemie.

– To pan o tym wiedział i nie zawiadomił rodziców? To teraz ja zawiadomię, że pan to ukrywał.

Zapadła cisza. Po chwili powiedział: – Dobrze, niech pani wraca do domu, a syn niech przyjdzie na lekcje.

Łukasz zdał maturę, a potem poszedł na studia na politechnikę. W 1988 roku nie strajkował, bo wyjechał na rok na stypendium do Francji.

Andrzeja wysłali do Algierii. Ale postawił warunek, że nie pojedzie, jeśli rodzina nie będzie mogła go odwiedzić. Byli zaskoczeni.

Przypuszczam, że Bronek też mógł mieć jakiś epizod polityczny, np. poprzez kontakt z Federacją Młodzieży Walczącej. Chodził do Technikum Melioracji Wodnych na Oruni, w którym nauczyciel wykładał im prawdziwą historię. Bronek się bardzo zaangażował. Chyba chodził z tym nauczycielem na różne spotkania. W 1988 roku, przed maturą, dostarczał żywność do stoczni, przechodząc przez płot. Strasznie się denerwowałam, że nie zda.

Pewnego razu Bronek nie wracał. Przyszedł do nas ten historyk i powiedział, że syna zwinęli, został aresztowany i musimy się nastawić na różne rozstrzygnięcia. Aresztowali go za to, że chodził na demonstracje w kapeluszu. Jest wysoki, więc z daleka było go widać. Zapłaciłam 5000 zł grzywny za to aresztowanie. Tak się złożyło, że ks. Jankowski pokrył tę karę. Ja o tym nie wiedziałam i też zapłaciłam. Powiedziałam, że nie odpuszczę tych pieniędzy. Napisałam, że w zaistniałej sytuacji żądam ich zwrotu. I oddali. Z jednej strony się cieszyłam, że dzieciaki się angażowały, z drugiej bałam się.

Wielkim rodzinnym świętem była pielgrzymka ojca świętego w 1987 roku. Byliśmy na Zaspie ze wszystkimi dziećmi. Pamiętam, że niesamowicie świeciło słońce. Mąż był też z dziećmi w Gdyni. Homilia Jana Pawła II była piękna. Radośni wracaliśmy do domu. W tej euforii chcieliśmy iść środkiem ulicy i co chwilę nas milicja przeganiała. Nawet jak papież już pojechał, wciąż mieliśmy w sobie tę pozytywną energię.

Barbara Kozicka

repatrianka, urodzona w Gdyni w lipcu 1939 roku. W 1940 roku zesłana wraz z matką i starszą siostrą do Obwodu Archangielskiego w Rosji. Do Polskie wróciła w 1946 r. Pracowała w PZU.

Przed wojną mieszkaliśmy w Gdyni i tu się urodziłam. Mama pochodzi z wioski na Białostocczyźnie. Udało jej się tam wyjechać razem z nami, tj. ze mną i siostrą, jeszcze przed 1939. Uważała, że tam może będzie bezpieczniej.

Jednak stamtąd wywieźli nas do Rosji, do miejscowości Nawruz pod kołem podbiegunowym. Nieżyczliwa mniejszość doniosła, że mama jest *szpionem*, wrogiem czy coś takiego. Jak tam jechaliśmy, miałam niecały rok. Mama pracowała przy wyrębie drzew. Kradła obierki ze śmietnika, żeby nam dać cokolwiek jeść. Pamiętam białe noce, zawodzenie wiatru i wycie wilków.

Na zesłaniu do obwodu archangielskiego przebywałyśmy do lutego 1946 roku. Po wyjeździe na rok osiadłyśmy na Ukrainie. Płynęliśmy Dźwiną przez cały kraj – same kobiety i my dwie małe dziewczynki. Podróż trwała kilka dni. Mama zawsze dobrze wyrażała się o rosyjskich prostych ludziach, którzy chcieli nam pomóc, kiedy nas zobaczyli.

Nie miałam świadomości, że pochodzę z Gdyni. Nie miałam żadnego wyobrażenia Polski. Mama nie rozmawiała ze mną o tym, że jestem Polką. Walczyła, żebyśmy przeżyły. Nadzieja, że wrócimy, trzymała ją przy życiu. Nie każdy mógł stamtąd wrócić – trzeba było mieć dokument. Mama na szczęścia miała mój akt chrztu i dzięki temu ją puścili. Inaczej zostałybyśmy tam na wieki.

O tym, co dzieje się w Polsce, mówiło się w domu na ucho. Z rodzinnej wioski mamy przyjeżdżał do nas jej brat, który należał do partyzantki. Śpiewał przepiękne partyzanckie pieśni patriotyczne; miał piękny głos. Byłam nimi zachwycona. Pod ich wpływem narodziła się we mnie taka miłość do Polski, niesamowity patriotyzm… To przez całe życie było bardzo silne uczucie, chociaż to nie mama mi je zaszczepiła, bo nie mogła. Uważam te pieśni za taki dar od Boga. Ta miłość do Polski była nade wszystko. Jak dowiadywałam się o wydarzeniach w kraju, nieraz płakałam.

O wszystkim mówiło się w domu, ale na zewnątrz nie. Dzieci wiedziały, że poza rodzinnym kręgiem nie wolno nic powiedzieć, ponieważ przez to mama pójdzie do więzienia.

Mama – mimo strasznej biedy – robiła wszystko, żebyśmy z siostrą skończyły szkołę średnią. Ja ukończyłam Technikum Statystyczne (obecnie – Ekonomiczne). Nawet kosztem zatajania naszej przeszłości. Takie były czasy.

Warunkiem przyjęcia do szkoły było przedstawienie życiorysu. Napisałam, że od 1940 do 1946 roku przebywałam na terenie Związku Radzieckiego. Moja wychowawczyni wiedziała, o co chodzi. Publicznie o zesłaniu w ogóle się nie mówiło. Raz powiedziałam tylko, że przeżyłam i wyrosłam jak roślinka trzymana w piwnicy. Tak to określiłam. Wiedziałam również, że ojciec mojego męża był przedwojennym oficerem Policji Państwowej.

Po latach znów znalazłam się w Gdyni. W grudniu 1970 roku pracowałam akurat we Wrzeszczu. Byłam już wtedy w ciąży z Olkiem, który urodził się 25 lutego 1971 roku. Pamiętam, że przez ulicę Grunwaldzką z wielką szybkością jechały czołgi. Okna naszego biura wystawały akurat na główną ulicę. Zobaczyłam, że w stronę centrum Gdańska jedzie kolumna pojazdów wojskowych. W pewnym momencie pod czołg rzucił się młody człowiek, który rozkrzyżował ręce i w ten sposób go zatrzymał. Wóz bojowy błyskawicznie skręcił na tory tramwajowe i pojechał nimi dalej, a kolumna za nim. Na widok tych wydarzeń cała się trzęsłam.

O czarnym czwartku, o tym, że strzelali w Gdyni, dowiedziałam się od męża, który – na szczęście – wtedy nie poszedł do pracy w stoczni. Wydaje mi się, że stało się tak, ponieważ mąż chyba miał już informacje o tym, że coś złego dzieje się w zakładzie. Nie pamiętam, czy dołączył potem do protestu.

Dość szybko napłynęły do nas informacje o wydarzeniach na stacji kolejki SKM Gdynia Stocznia. Wiedzieliśmy o zabitych i marszu robotników pod Miejską Radę Narodową przy ul. Czołgistów. Znamienne było niesienie martwego stoczniowca na drzwiach. Niosący zmieniali się, aż w końcu dotarli pod urząd.

Tego dnia pojechaliśmy do mojej siostry, która mieszkała w Gdyni na Władysława IV. Chcieliśmy wiedzieć, co dzieje się w Gdyni. Wyszliśmy od niej i słyszeliśmy odgłosy petard i ogromny gwar od strony Świętojańskiej i Wzgórza Nowotki. Rzuciliśmy się do ucieczki. Jednak jezdnie były zablokowane szpalerami żołnierzy, dlatego nie mogliśmy przejść. Mąż podszedł do nich i poprosił, żeby nas przepuścili. Dość długo tak z nimi negocjował. Oni nie chcieli ustąpić. Chyba mieli rozkazy, by nie wpuszczać ludzi na Świętojańską, bo tam toczyła się regularna bitwa.

Dla mnie Grudzień '70 to był wielki szok. Z dzieciństwa pamiętam dramat zesłania. Wpojone miałam również, że Sowieci to wielki wróg. Jednak tego nie można było głośno mówić. Nawet za żart potrafili wsadzić do więzienia. Powtarzaliśmy dzieciom, że nie mogą na zewnątrz nic opowiadać o polityce, a tym bardziej dowcipów o Rosjanach. – Bo mama pójdzie do więzienia – tak argumentowałam.

Z lat 80. została mi w pamięci ta atmosfera nadziei, że będzie lepiej. Na początku dekady pracowałam w PZU. Chodziłam na 16 albo 17, więc byłam cały dzień w domu. Na mnie spoczywał ciężar jego utrzymania, zorganizowania podstawowych artykułów. Musiałam sobie radzić. Stałam w kolejkach po cztery godziny. Dziękuję Panu Bogu, że dałam radę. Byłam bowiem osobą sła-

bą fizycznie. Gdy zaczęłam pracować, to po ośmiu godzinach przychodziłam absolutnie wykończona. Pan Bóg dał mi potem inną pracę i sobie radziłam.

Jak wspominam strajk w sierpniu 1980? O proteście w Stoczni Gdynia powiedział mi Olek, mój syn. On dowiedział się o tym od kolegów z podwórka – dzieci stoczniowców uczestniczących w strajku.

Przyszedł po jakąś zabawkę. Otworzyłam mu pełna radości, ale jak mi powiedział, co się dzieje, poczułam przerażenie. Jakby świat mi się zawalił. Było to bardzo smutne uczucie. Zapewne wynikało z bagażu doświadczeń, które spotykały mnie od wczesnych lat dzieciństwa. Powróciła trauma.

Mąż przebywał wtedy na urlopie. Nie zdecydował się wejść do zakładu. Najprawdopodobniej bał się, że znów skończy się to jatką. Powróciły obrazy z Grudnia '70 i nie tylko. Ten jego niepokój też był sumą wielu przykrych historii, które go dosięgły. Ciężko przeżył rok '56. Był synem funkcjonariusza przedwojennej Defensywy Politycznej [Policja Polityczna, jedna z komórek organizacyjnych Policji Państwowej – red.].

Ja również się denerwowałam. Dopiero po zakończeniu sierpniowych strajków wstąpił we mnie ogromny entuzjazm. Pojawiła się nadzieja. Jej w moim życiu dotąd było bardzo mało. Ten sukces strajkujących i ogólnopolski odzew pozwolił mi wreszcie uwierzyć w to, że krzywdy zostaną naprawione, że tworząca się „Solidarność" przywróci pamięć i będzie walczyć o sprawiedliwość, że człowiek odzyska swoją godność.

Zapisałam się do nowego związku. Nawet przez pewien czas pełniłam funkcje wiceprzewodniczącej komisji zakładowej w PZU. Wraz z mężem i Olkiem pojechaliśmy w lipcu 1981 do hali Olivia, gdzie odbywał się I Krajowy Zjazdy Delegatów NSZZ „Solidarność". To było bardzo ważne wydarzenie w moim życiu.

Wcześniej stoczniowcy w Gdańsku i Gdyni doprowadzili do odsłonięcia pomników Ofiar Grudnia '70. Realizowane były postulaty ze strajku sierpniowego.

Na tym zjeździe zaopatrzyliśmy się w wiele wydawnictw solidarnościowych, nie tylko z regionu gdańskiego. Kupiliśmy np. książkę „Za kulisami bezpieki i partii", którą napisał Światło po ucieczce z Polski. Potem syn się w niej zaczytywał. Mąż codziennie, bez względu na sytuację, słuchał Radia Wolna Europa. Jak dziś pamiętam tę charakterystyczną melodyjkę i głos spikera audycji „Fakty, wydarzenia, opinie" i jeszcze „Panorama Dnia". Później do słuchania dołączył również Olek.

Jakie mam wspomnienia ze stanem wojennym? Kiedy go ogłoszono, akurat była u nas teściowa. W niedzielę włączyliśmy telewizor, ale nic w nim nie leciało. Lecz o tym, że go wprowadzono, dowiedzieliśmy się przez ścianę. Po prostu sąsiedzi, skądinąd bardzo zacni ludzie, tak głośno słuchali komunikatów radiowej Jedynki i wystąpień Jaruzelskiego, że my także doskonale je słyszeliśmy. Można powiedzieć, że ich radioodbiornik ryczał do nieprzytomności.

Jak dotarło to do mnie i męża, przestraszyliśmy się, że do Polski weszli Sowieci. Być może nawet wpadłam w panikę. Nie wiedziałam, co teraz będzie. Ten lęk podsycała pamięć o zesłaniu. To był taki rzeczywisty strach.

To była niedziela, więc mąż poszedł do kościoła. Zabrał ze sobą Olka i dłuższym spacerem udali się do świątyni Najświętszego Serca Pana Jezusa do ks. Jastaka. Ksiądz Hilary był dla mojego męża wielkim autorytetem.

Zaraz potem doszło do pacyfikacji „Wujka". Mocno to przeżywaliśmy, zwłaszcza Olek.

Mam również takie wspomnienie ze stanu wojennego. Szłam do pracy albo do Śródmieścia. Dotarłam do krzyży przy urzędzie na Czołgistów. Były tam tłumy, milicja łapała młodych ludzi, ci uciekali. Spotkałam tam syna i męża. To działo się na ulicy Orzeszkowej. Demonstracja i rozruchy rozprzestrzeniły się spod pomnika Ofiar Grudnia przy urzędzie miejskim aż po Wzgórze Nowotki. Zomowcy ganiali demonstrantów aż do Ujejskiego.

Ufałam mądrości męża. Wierzyłam, że jak Olek z nim przebywa, jest bezpieczny. Okazało się, że zabrał syna na demonstrację. Już wcześniej planowali z kolegą Wieśkiem Macedońskim, że pójdą na mszę z okazji 3 maja. Przyznali się, że Olek ubłagał ojca, by ten zabrał go na zadymę.

Zorientowałam się, że zaraz mogą nas aresztować, więc zaczęliśmy uciekać. W końcu dotarliśmy do jakiejś bramy czy klatki schodowej i tam się ukryliśmy.

Wiele lat po fakcie dowiedziałam się o ciekawej sytuacji. Otóż komuniści próbowali zwerbować mojego męża. Chodziło o zbieżność nazwisk z Andrzejem Kozickim, czyli przewodniczącym stoczniowej „Solidarności". Esbecy uznali, że to może być rodzina, i próbowali z męża zrobić wtyczkę. Kiedy ten wytłumaczył, że to przypadkowa zbieżność nazwisk, dali mu spokój.

Zresztą i tak by tego nie zrobił. Nikt z mojej rodziny ani rodziny męża nigdy nie był członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. A niektórzy tak popłynęli z prądem…

Oczywiście byłam na spotkaniu z ojcem świętym w Gdyni w 1987. To było jak powiew wolności. Tak to traktowałam. Na skwerze Kościuszki zjawiły się tysiące ludzi. Było radośnie. Papież znów wlał w nas nadzieję.

Halina Krajniewska

uczestniczka wydarzeń Poznańskiego Czerwca '56. Do Gdyni przeniosła się w 1958 roku. Żona marynarza, późniejszego działacza Konfederacji Polskie Niepodległej. Prowadziła kiosk RUCHu.

Swoją opowieść zacznę od wydarzeń w Poznaniu w 1956 roku. Pochodzę ze stolicy Wielkopolski. Tam się wychowałam, uczyłam, podjęłam pierwszą pracę. Tam też walczyłam na ulicach w czerwcu '56.

Dwa lata wcześniej ukończyłam szkołę handlową i od razu poszłam do pracy do „Tukana". W domu było krucho, więc chciałam pomóc rodzicom. Miałam młodsze rodzeństwo, w tym bliźniaki, które swego czasu konkurowały z Jarosławem i Lechem Kaczyńskimi o role w filmie „O dwóch takich, co ukradli księżyc". Jeden z moich braci już nie żyje. Drugi potem działał w „Solidarności".

Kiedy zaczęły się rozruchy, skrzyknęłam grupę kolegów kolejarzy i dziewczyn tramwajarek i ruszyliśmy w miasto protestować. Tak jak setki czy tysiące innych poznaniaków mających dość nowego ustroju. Strajkował m.in. „Tukan", „Agromet". Poszliśmy na Młyńską wypuścić ludzi z więzienia.

Wiedziałam, co się z czym je, gdzie to wszystko i jak się obraca. Chłopaki zapukali do strażników, zabrali im klucze i wypuścili z więzienia ludzi, co ich władza pozamykała za to, że protestowali i żądali podwyżek. Słyszałam, że to robotnicy z „Maszyn Żniwnych". U nas w „Tukanie" nikogo wtedy nie zatrzymali. Poznańska Fabryka Maszyn Żniwnych była duża, więc tam wybuchła jakaś rozróba. Tak to wyglądało. Stamtąd poszliśmy jeszcze na pl. Mickiewicza. Chcieliśmy udać się na Rynek Jeżycki, bo tam SB miało swoją willę. Grupa się poszerzała, dołączali do nas pracownicy z innych zakładów i zwykli przechodnie. Rósł gniew.

Na Kochanowskiego stali funkcjonariusze przygotowani na nasze nadejście. W pewnym momencie spotkaliśmy straszą kobietę. – Dzieci, nie idźcie tam, bo oni są dwa metry pod ziemią i będą do was strzelać. Nic nie zrobicie, tylko was pozabijają – powiedziała, gdy zobaczyła, że idziemy taką grupą.

Dlatego wycofaliśmy się na Kaponierę. Tramwaje już były poprzewracane. Miały służyć za barykady. Tak maszerując przez miasto, rozmawialiśmy między sobą. Pojawiały się stwierdzenia, że to już chyba powstanie – jak w 1918 roku – tylko teraz nie Niemców, a bolszewików i komunistów będziemy wywalać. Żeby ominąć blokadę poszliśmy koło uniwersytetu.

Założyliśmy, że będziemy protestować aż do przyjazdu Cyrankiewicza. Poszła informacja, że ma tak się stać, więc chcieliśmy na niego zaczekać. A on powiedział, że jeśli ktoś podniesie rękę na władzę ludową, to ona mu ją utnie.

Takich grup jak nasza było więcej. Trwała prawdziwa walka. Wielu protestujących miało broń, zdobytą po opanowaniu więzienia czy komisariatu. Zaczęła się strzelanina. Padli pierwsi zabici. Było wielu rannych. Tych zawozili do szpitala im. Strusia.

Ja też dostałam, ale mogłam chodzić. Jak po wielu latach się starałam o kombatanctwo, to pytali, czemu – skoro byłam taka poraniona – nie udałam się do szpitala. – Trzeba było być głupim, żeby iść do „Strusia". Oni na takich jak my tylko czekali, żeby dobić – powiedziałam. Chłopaki mnie pozbierali, zanieśli tam, gdzie trzeba.

Podczas szarpaniny z milicją zostałam dotkliwie pobita; byłam cała we krwi. Tam była milicja, wojsko i jakieś inne służby mundurowe. Rąbali nas jak kaczki.

Chłopaki na Młyńskiej mieli butelki z benzyną, a tam znajdowała się stacja paliw. Dobrze, że jednemu wyrwałam ten koktajl Mołotowa, bo by ta stacja wybuchła. Tam stoją kamienice, zginęłoby tylu ludzi... Jakoś temu zapobiegałam. – Boże, chłopaki, myślcie normalnie rozumem! – krzyknęłam. Wiadomo, że jak człowiek jest w nerwach, to nie myśli.

Na Armii Czerwonej złapała mnie pani fotograf i wprowadziła do swojego zakładu. Tam mnie umyła i zabandażowała. Wtedy postanowiłam przedostać się do domu. Krwawiłam, ale szłam.

Mieszkałam za miastem, na Kobylepolu, gdzie teraz stoi browar Lech. To była osiedlowa dzielnica kolejarzy, bo ojciec był kolejarzem.

Chcieliśmy dojść do domu, ale nie mogliśmy, więc poszliśmy na pole, schować się w życie. Siedzieliśmy całą grupą, bo polowali na nas, żeby nam dołożyć. Gdy Stasiu Fischbach się podniósł, to go postrzelili. Tylko na to czekali. W końcu wszystko ucichło, a mi udało się dostać do domu.

Jednak był wielki strach, że mnie znajdą i rodzina za to zapłaci. Wtedy w domu były jeszcze małe dzieci. Przeniosłam się do znajomych.

Niecałe cztery miesiące później wzięłam ślub i wyprowadziłam się z Poznania. Przyjechałam na Wybrzeże. Tu w 1970 roku spotkało mnie to samo.

Jak wspomniałam, tata był zawiadowcą stacji. Gdy w 1956 roku na Międzynarodowych Targach Poznańskich odbywały się wystawy, wstrzymał pociągi, żeby nie doszło do kraks. Na te imprezy przyjeżdżali ludzie z zagranicy.

Zamknęli go za to. Nie wiedziałam, co zrobić, bo mama była chora i do tego z dwojgiem małych bliźniąt.

Tak się złożyło, że moja przyszła teściowa, która mieszkała w Sudetach, co roku latem wynajmowała pokój wczasowiczowi z Warszawy. Jego zięć był sekretarzem u Bieruta i za jego pośrednictwem załatwiła mi spotkanie… z I sekretarzem PZPR, faktycznym przywódcą państwa. Chłopaki wsadzili mnie w parowóz i pojechałam do stolicy.

Tam był niesamowity cyrk. Szłam po tych czerwonych korytarzach.

– A kto cię, dziecko, tu przysłał? Jak ty się tu dostałaś? – spytał zdziwiony Bierut.

– Panie prezydencie, anioły mnie do pana spuściły, bo już nie wiedzą, co mają ze mną robić.

Uśmiechnął się, wziął na kolana, przytulił, bo strasznie płakałam. – A o co chodzi? – zapytał.

Powiedziałam, że tatę mi zamknęli, mamę mam chorą i walczę o to, żeby było lepiej. A tatę zamknęli za to, że nie dopuścił do kraks pociągów na trasie do Warszawy. Przytulił mnie raz jeszcze, wycałował. – Dziecko, nie płacz. Jutro twój tatuś będzie w domu – powiedział. Nie zdążyłam przyjechać z Warszawy, a tata był z powrotem.

Po jakimś czasie próbowałam odnaleźć kolegów biorących udział w tamtych wydarzeniach. Z kilkoma udało się nawiązać kontakt. To byli ludzie tacy jak ja, którzy mają teraz ponad 80 lat. Niektórzy są starsi. Wielu już nie żyje. Ten Stasio ożenił się i pojechał na Śląsk, pracował jako górnik. Ten drugi jest w Poznaniu.

Już w wolnej Polsce próbowałam namówić kolegów, żeby poświadczyli o mnie, ale oni już nic nie pamiętają. Starałam się w IPN-ie o jakieś papiery na mój temat, jednak w archiwum nic nie znalazłam. Później koleżanka mnie oświeciła. – Słuchaj, przecież Suchocka kazała zlikwidować wszystkie papiery z lat 50. Nic nie dostaniesz – stwierdziła.

W Gdyni, już po ślubie, jeszcze nie miałam mieszkania, bo mąż studiował. Dostał je dopiero w 1958 roku. Nie mógł mnie zabrać ze sobą. Wróciłam więc do Poznania, ale pod innym nazwiskiem, dlatego nie mogli mnie znaleźć. Mieszkałam u mamy i jeździłam do Gdyni, gdzie mąż wynajął lokum. Albo on przyjeżdżał do Poznania raz w miesiącu. Niekiedy, gdy wypływał w morze, bo pracował na okręcie hydrograficznym, rozłąka trwała dłużej.

Jak już na stałe przeprowadziłam się nad morze, zaczęło się w miarę normalne życie. Co jakiś czas odzywały się rany odniesione podczas Poznańskiego Czerwca. W 1970 roku miałam już dwoje dzieci, z których jedno skończyło na cmentarzu…

Byłam tym wykończona psychicznie i zaczęłam leczyć się u doktora Bilikiewicza w Gdańsku. On był ordynatorem w Akademii Medycznej. W międzyczasie przeszłam operację ucha, bo po tym pobiciu coraz gorzej słyszałam. Zamontowano mi więc taki sztuczny ślimak. Marynarka Wojenna sprowadziła mi z Anglii implanty. W trakcie zabiegu profesor się wystraszył, bo się kręciłam i nie mogli zobaczyć, w czym problem. Okazało się, że miałam wadę błędnika. Póź-

niej planowałam operację na drugie ucho, ale ostatecznie na nią nie poszłam przez ciążę z córką. A potem profesor wyjechał do Szczecina.

W Gdyni najpierw mieszkałam na Oksywiu. We Wrzeszczu z taką jedną panią otworzyłyśmy księgarnię. Pracowałyśmy we dwie. Jak się wyprowadziłam na Władysława IV, przestałam pracować. Po jakimś czasie ona też zrezygnowała, bo była już na emeryturze.

Po przeprowadzce miałam długą przerwę w pracy zawodowej. Jednak z pieniędzmi było krucho, ponieważ mąż nie zarabiał dużo, a mieliśmy dwoje dzieci. Dlatego musiałam coś znaleźć. Zatrudniłam się w Ruchu. Pracowałam w tym małym kiosku przy Migały (obecnie wójta Radtkego), czyli blisko domu.

Gdy przeprowadzałam się na Wybrzeże, chciałam zapomnieć o dramacie poznańskim. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że w Gdyni po 14 latach będę świadkiem takiej samej grozy. Mąż był w wojsku. Mieszkałam na Władysława IV. Większość moich sąsiadów było stoczniowcami.

Jak zaczął się protest, poszłam z nimi. Tą trasą, którą się jedzie do Oksywia, do stoczni. Miałam ze sobą dziecko, więc w pewnym momencie się wycofałam. Co miałam zrobić? Iść z dzieckiem i dać się jeszcze raz potłuc?

Szłam z wózkiem do kościoła franciszkanów. Na początku ulicy stał kapitan milicji. Jego podwładni ludzi lali, a on stał. Podeszłam do niego. – Czy wy macie trochę oleju w głowie? Ludzie walczą o to, żebyście mieli co jeść, a wy ich rąbiecie, zamiast iść z nimi w parze. Jak bym urodziła takie dziecko, to bym mu łeb ukręciła! – wydarłam się. Nic nie odpowiedział, tylko od razu sobie poszedł. Wiedział, że mam rację. Poszedł, bo nic nie mógł zrobić.

O zamordowaniu robotników w czarny czwartek i całej tragedii dowiedziałam się od sąsiadów. Różnie mówili. Wśród uczestników zajść było dużo pokaleczonych. Miałam wszystko na oku, bo mieszkałam na piątym piętrze. Przygotowałam nawet jakieś opatrunki z tego, co miałam w domu. Jak ktoś potrzebował pomocy, to nieraz zleciałam, dałam wody czy inaczej wsparłam. Czułam, że tak powinnam. Pamiętałam to z Poznania. Trzeba było pomóc tym ludziom. To była makabra.

Po Poznańskim Czerwcu zrozumiałam, że z komuną nie da się żyć. Po grudniowym mordzie nastał Gierek. Lecz ani przez chwilę mu nie ufałam. Nie wierzyłam mu. Przecież także był komunistą. A że w ładnym garniturku... To co? On też na smyczy Breżniewa chodził, więc jak takiemu można było wierzyć?

Zawsze byłam zdania, że trzeba walczyć do końca. Teraz tak samo. Działam w związku kombatantów. Uważam, że przede wszystkim trzeba młodzieży mówić o historii. Jak jeszcze mogłam normalnie chodzić, zapraszali mnie do szkół i wtedy opowiadałam im o Czerwcu '56 i Grudniu '70.

Po wyborze Wojtyły na papieża miałam mieszane uczucia. Moim zdaniem Wyszyński był lepszy. Dla mnie prymas był bohaterem. Przez cały czas komuniści go nękali, siedział w ich więzieniu, nie dawali mu spokoju. Może chciał już odpocząć i dlatego zaproponował Karola Wojtyłę i ten został papieżem?

Sierpień '80 przyjęłam bardzo dobrze. Myślałam, że będzie dobrze, że wreszcie coś wywalczą. Jednak na początku pomyślałam, że może powtórzyć się Grudzień '70. Tak sądziłam, ale powiedziałam sobie, że wszystko będzie za-

leżeć od tego, jak robotnicy się ustawią. „Jak znajdzie się mądry człowiek, który umie prowadzić ludzi, to będzie dobrze. Bo jak będzie głupi, to ich w pole wyprowadzi." – zastanawiałam się. Ludzie kupowali gazety, gdyż chcieli wszystko wiedzieć. Jak przeczytali, to trochę wiedzieli. Dlaczego trochę? Bo było tam pół kłamstwa i pół prawdy.

W 1980 roku córka szła do pierwszej klasy. Miała blisko. Mogłam kiosk na parę minut zamknąć, wywiesić karteczkę, że jestem w toalecie i polecieć do domu zrobić, co trzeba. Mężowi nie gotowałam, tylko sobie robiłam.

W „Solidarność" zaangażować się nie miałam jak, ale wspierałam związek. Zresztą nie mogłam za bardzo tego robić przez zawód męża. On musiał się pilnować. Był bardzo obowiązkowy. Zawsze mówili, że u Krajniewskiego na okręcie jest jak w pałacu – wszystko musiało lśnić. Za to moi bracia byli w „Solidarności", w tej poznańskiej. Tam mocno działali. Poznań zawsze był poukładany. Teraz przecież jest tak samo. Poznań nie da się zrobić w bambuko.

Utrzymuję kontakt z Licheniem i Fatimą, wysyłam tam do dzieci po parę groszy. Zawsze ze wszystkimi się dzielę. Z Lichenia odszedł proboszcz. Nowy napisał do mnie, że dziękuje za wszystko, że ofiaruję im, co tylko mogę.

Swego czasu należeliśmy z mężem do KPN. Wtedy dużo współpracowaliśmy z ks. Wierzbowskim. Mąż był przewodniczącym na cały okręg, trzymał wszystkich w ryzach. Odszedł już wtedy z wojska i poszedł na rentę. Pracował przez jakiś czas jako zastępca dyrektora w Urzędzie Morskim. Jako fachowiec pływał jeszcze dorywczo na statkach i okrętach.

Raz miał płynąć „Batorym", ale go wstrzymał. Był hydrografem i wykrył, że na statku nie było odpowiednich map. Wstrzymał jednostkę na dwa dni i nie wypuszczał załogi. W Warszawie wszyscy czekali, a on – nie. – Jak mi dacie takie mapy, jak trzeba, to puszczę. Ja za to odpowiadam – oznajmił. I nie puścił, aż nie przynieśli tych planów.

Pamiętam, jak wprowadzili stan wojenny. Dla mnie to była kaplica. Okropnie mną to wstrząsnęło, bo nie wiedziałam, co się będzie działo. Wiedziałam o aresztowaniach i pobiciach oraz o tym, że w Gdyni ukrywało się wielu ludzi. Znałam też osoby z podziemia. Gazetki mi dawali. Jeden z sąsiadów dużo działał i w kościele się udzielał, zbierał pieniądze dla rodzin aresztowanych działaczy. Czasami również się dorzuciłam do tych zrzutek.

Wierzyłam, że kiedyś dokończymy to, co zaczęliśmy w Poznaniu i wyrzucimy komunistów. Przy okazji zainspirujemy innych. Przecież po naszej walce w 1956 roku ruszyły się Węgry i na chwilę odzyskały wolność. Dlatego uważałam, że stan wojenny to mydlenie oczu. Władza słabła, więc tylko czołgami mogła ludzi zatrzymać. Jednak potem przyszło następne pokolenie i już się nie dało. Nie ma cudów – w każdym konflikcie zawsze ludzie są podzieleni. Są mądrzy, którzy wiedzą, dokąd iść i głupi, którzy nie wiedzą, kogo popierają.

Walczyłam o godne upamiętnienie księdza Popiełuszki. W kościele Najświętszej Maryi Panny w Gdyni położyli go na tych kablach i tak zrobili fotografię. Żeby chociaż ją oprawili, ale wykonali ją w taki sposób, że wyglądał jak śmieć! Napisałam list, włożyłam w kopertę i wrzuciłam do skarbony, w której zbierali pieniądze. Napisałam: „Jak będziecie tak traktować Popiełuszkę i nie zrobicie mu pomnika, nikt do was nie będzie chodził".

Za tydzień odbyła się uroczystość, w której uczestniczyli ludzie ze Związku Piłsudczyków. Oni tym, którzy zginęli w Smoleńsku, złożyli kwiaty. Księdzu nie przynieśli.

– Macie jakiś kwiat czy wieniec, żeby go zanieść Popiełuszce? – zapytałam jednego.

– Nie.

– I wy chcecie być doceniani? Chcecie być Polakami?

Ostatecznie to kombatanci zanieśli kwiaty Popiełuszce.

Elżbieta Kujawa wcześniej Nagengast

w latach '80 pracownik Wyższej Szkoły Morskiej. Czynna działaczka konspiracyjna NSZZ „Solidarność". W stanie wojennym kurierka i kolporterka.

W czerwcu 1980 roku rozpoczęłam pracę w Wyższej Szkole Morskiej, która po latach została Akademią Morską, a później – Uniwersytetem. W sierpniu zaczęły się stoczniowe strajki, zakończone podpisaniem porozumień. W konsekwencji powstał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność".

WSM natychmiast włączyła się we właściwy nurt. Powstał u nas komitet zakładowy „S" i sprawnie działająca redakcja. Zrodziło się także wiele innych form pomocy pracownikom. Jestem dumna z tego, że numer mojej legitymacji związkowej to 270. Przecież w rozkwicie związek liczył 10 mln członków. Zatem mogę się poszczycić jakimś tam osiągnięciem.

Wydawaliśmy biuletyn dla naszych pracowników, bo studenci mieli swój związek NZS. W piśmie zamieszczaliśmy informacje dotyczące spraw pracowniczych oraz bieżących wydarzeń na uczelni i w innych zakładach. To był cudowny rok wolności.

Niestety, przyszedł grudzień 1981 i nastał stan wojenny. Nie było dużo czasu, więc zaczęliśmy wydawać – z czego jesteśmy bardzo dumni – różne zakazane książki. Wiadomo, że nie były to jakieś superprodukcje, bo nie mieliśmy warunków, by takowe drukować. Publikowaliśmy je tak jak biuletyn, czyli bez oprawy. Ważne były: tytuł, autor i treść. Dostarczaliśmy to na inne uczelnie, wymienialiśmy się tymi książkami czy biuletynami; do tego doszły jeszcze ulotki. Zeszliśmy do podziemia.

Gdy w pierwszy dzień po ogłoszeniu stanu wojennego przyszliśmy do pracy, zobaczyliśmy, że teren szkoły został obstawiony wojskiem, czołgami. Nasza uczelnia była bowiem zmilitaryzowana. To było przerażające. Na dziedzińcu szkoły i praktycznie wszędzie stali żołnierze z karabinami, które widziałam pierwszy raz w życiu. Szok! Powiedziano nam, że naszego „solidarnościowego" rektora, pana Kosteckiego, zdymisjonowano. Regulamin stanowił, co nam wolno, czego nie wolno. Oczywiście słowo „solidarność" było zakazane. Nie mogliśmy oficjalnie drukować.

Nasi studenci z NZS-u poprosili, żebyśmy dołączyli do ich strajku. Odbyła się narada w auli. Po ostrej i bardzo emocjonalnej dyskusji zdecydowaliśmy o dołączeniu do protestu studentów. Niestety, akces wyraziło ok. 15 osób z około 400 pracowników. Po prostu ludzie się bali się. Powiedziano nam, że szkoła

jest zmilitaryzowana, że obowiązują nas prawa stanu wojennego i w ogóle nie ma mowy o żadnym strajku. Jeśli rozpoczniemy protest, popełnimy przestępstwo i zostaniemy ukarani.

Gdy zostaliśmy w tej nielicznej grupce, odśpiewaliśmy hymn. Wychodząc, powiedzieliśmy sobie – oficerowie stali już pod drzwiami auli i kazali nam „dokończyć ten cyrk" – że się nie poddamy. Myślę, że wtedy wielokrotnie zachowywaliśmy się zbyt naiwnie. Słuchaliśmy bowiem serca, a nie reguł zdrajców posłusznych Moskwie.

Znowu zaczęliśmy wydawać. Z tym że tym razem były to ulotki, a nie książki, bo one wtedy nie były potrzebne. Broszury rozdawało się w autobusach, w trajtkach, woziło do stoczni.

Wracając z pracy, wchodziliśmy np. do autobusów i rozrzucaliśmy bibułę. Mówiliśmy napotkanym pasażerom: – Proszę sobie wziąć.

Dzisiaj pewnie bym tego nie zrobiła. Przecież jeździli różni ludzie. W każdej chwili ktoś mógł wstać i... Niosło nas jednak myślenie o tym, że jest wielka niesprawiedliwość, że naród rzucono na kolana, a nam zebrano naszą „Solidarność".

Wkrótce aresztowali Ewę Kubasiewicz i Jurka Kowalczyka, przewodniczącego związku w WSM. Ewa dostała wyrok 10 lat więzienia, Jurek i inni koledzy – trochę niższe kary, bo odsiedzieli dwa lub trzy lata.

Naszych kolegów posadzili do więzień. Syn Ewy Kubasiewicz, Marek Czachor – tak jak ona z Solidarności Walczącej – za kratami nawet wziął ślub. Tej okazji na spotkanie z nią nie mogliśmy przepuścić. Ewę przewieziono z zakładu dla kobiet w Grudziądzu. Dla nas była to szansa, żeby się z nią zobaczyć. Podjechaliśmy samochodami pod więzienie Marka Czachora, ale nie wpuścili nas. Jednak – jako że uroczystość działa się na parterze – obserwowaliśmy ją przez kraty.

Szokujące i smutne, ale znowu byliśmy razem, choć w tak nieprawdopodobnych okolicznościach. Zobaczyliśmy Ewę i – przede wszystkim – ona zobaczyła nas. Myślę, że to było dla niej bardzo budujące. Mówiła potem, że nasza obecność naprawdę jej pomogła. To była znowu tak potrzebna na co dzień solidarność. Wymienialiśmy grypsy, więc mniej więcej wiedzieliśmy, co dzieje się po drugiej stronie.

Po wyjściu na wolność natychmiast zeszła do podziemia i zaproponowała mi współpracę z Solidarnością Walczącą. Tak poznałam Andrzeja Kołodzieja, który był szefem strajku w Stoczni im. Komuny Paryskiej i razem z Wałęsą sygnatariuszem porozumień sierpniowych, oraz Romka Zwiercana i jego żonę Małgosię.

Moją rolą był kolportaż. Oni redagowali i drukowali ulotki, apele. Trzeba było to rozprowadzić. Kolportaż był bardzo ważny, bo dzięki temu ludzie wiedzieli, co się naprawdę dzieje. Szczególnie tu, na Pomorzu, potrzebne były ulotki Solidarności Walczącej. Mnóstwo osób chciało pomagać: pytało, co robić, jak się zachować, ofiarowywało żywność, pieniądze... Ale zdarzały się inne postawy. – Nie, ja tych ulotek w ogóle nie chcę. Dajcie mi spokój – mówili inni. Myślę, że większość społeczeństwa była nam przychylna, choć często bierna.

Oprócz kolportażu przerzucałam ludzi z podziemia, znajdowałam dla nich jakieś względnie bezpieczne kwatery. Na ogół nie wiedziałam – i nawet

nie chciałam wiedzieć – kogo wożę. Bardzo dobrze, że obowiązywały pewne reguły. W przypadku jakiejkolwiek wpadki bezpieczniej było nie znać prawdy.

Domyślałam się, że jedzie ze mną ktoś zakonspirowany. Moją rolą było bezpiecznie dostarczenie go do celu. Przykładowo jechaliśmy do portu, by odebrać jakiś transport ze Szwecji. Było jasne, że nie po pomarańcze i cytryny, tylko prawdopodobnie po sprzęt, gdyż w drodze powrotnej czułam po bagażniku niezły ciężar tej przesyłki. Trwało to właściwie do czasu Magdalenki. Jednak natężenie kursów spadło wcześniej, po zniesieniu stanu wojennego.

„Solidarność" wróciła do Wyższej Szkoły Morskiej, odtworzyliśmy ten zespół, naszą redakcję, ale wszystko było już inne. Wiedzieliśmy, że to nie jest ta sama „Solidarność", że to już nie są te same przywileje i prawa pracownicze.

Podczas różnych akcji z ludźmi z Solidarności Walczącej przeżyłam chwile grozy. Przykładowo trzeba było odebrać sprzęt drukarski z Wrocławia. Namówiłam na ten wyjazd męża mojej przyjaciółki, ponieważ sama bałam się jechać w tak długą trasę. Zbyszek Wyganowski, bo o nim mowa, chyba jechał z Romkiem. Na drugi dzień, kiedy już byli na miejscu, usłyszałam w radiu, że w Gnieźnie dokonano włamania. Chodziło o tę srebrną zabytkową trumienkę z prochami św. Wojciecha. Alarm był na całą Polskę: milicja szukała złodziei, wszystko obstawiła. – Boże, oni na pewno o tym nie wiedzą i będą jechać, a właściwie wszystkie samochody są zatrzymywane – mówiliśmy.

Nie mieliśmy kontaktu telefonicznego, więc naprawdę przeżywaliśmy chwile grozy. Baliśmy się o nich. Myślałam: „Boże, jak oni wpadną, to oczywiście skonfiskują im samochód i od razu wsadzą do więzienia".

Zbyszek również się bał. Czułam się trochę winna, że namówiłam go na ten wyjazd. Z drugiej strony w takich sytuacjach zawsze się mówiło:

– Słuchaj, dla Polski tego nie zrobisz?

– Oczywiście, zrobię.

Chłopcy na szczęście szczęśliwie wrócili. Opowiadali potem, jak pod Gnieznem zatrzymała ich milicja. Musieli otworzyć bagażnik. Pomyśleli, że to koniec, wpadli. Ale trwało tam jakieś zamieszanie. W pewnym momencie ktoś tego milicjanta zawołał i on nie zajrzał do bagażnika. – Dobra, jedźcie – krzyknął tylko do naszych. Uff… było blisko, mogli ruszyć dalej.

Pod Gdańskiem też był potworny kocioł, ponieważ sprawdzali wszystkich. Jednak nasi panowie w międzyczasie przełożyli to, co wieźli w bagażniku, na tylne siedzenie i czymś przykryli. Zatrzymali ich przed wjazdem do miasta, sprawdzili bagażnik i puścili. Szczęśliwie dotarli.

Często pod moim domem widziałam samochód. To był polonez albo fiat, w którym siedziało i paliło papieroski dwóch panów – młodzi ludzie. Musiałam więc uważać i działać umiejętnie.

– Jak jedziesz na spotkanie ze mną, musisz ich zgubić – zawsze mówił mi świetnie przeszkolony Andrzej Kołodziej.

Czasami gdzieś krążyłam, jechałam w innym kierunku, by zmylić przeciwnika. Przykładowo miałam spotkać się z Andrzejem we Wrzeszczu, to jechałam w kierunku Rumi, Redy. Udawałam, że niby coś załatwiam: wjeżdżam tu, wjeżdżam tam. Prawdopodobnie udawało mi się to nieźle, skoro przeze mnie nikt nie wpadł.

A przecież Romek Zwiercan i Kołodziej byli poszukiwani w całej Polsce. Zdaniem władzy byli niebezpiecznymi bandytami, dlatego wysłali za nimi listy gończe.

Pewnego razu Ewa Kubasiewicz musiała jechać na jakieś szczególnie ważne spotkanie do Morawieckiego do Wrocławia. Za nią też stale chodzili i obserwowali jej dom. Trzeba było więc ich zgubić. Co zrobiłyśmy? Pojechałyśmy moim samochodem aż do św. Wojciecha, do naszej koleżanki, gdzie przenocowałyśmy.

Na drugi dzień rano Ewa miała jechać do Wrocławia, więc trzeba było wrócić do miasta. Ucharakteryzowaliśmy ją tak profesjonalnie (piękny makijaż, peruka, nowe ciuszki), że wyglądała raczej na rasową modelkę niż poszukiwaną działaczkę Solidarności Walczącej. Zawiozłam ją do Gdańska na dworzec. – Ewo, trzymaj się. Mam nadzieję, że nikt za nami nie jechał i nikt nie wie, że jedziesz tym pociągiem do Wrocławia. Zresztą wyglądasz jakbyś była inną osobą – powiedziałam jej, gdy wsiadała do pociągu. Dojechała i wszystko było OK.

To były takie śmieszne akcenty naszej konspiracji. Myślę jednak, że w sumie byliśmy nieco naiwni, sadząc, że ogramy zawodowców – milicjantów czy tych ze służb specjalnych. Oni raczej wiedzieli o naszych metodach. Może nawet pozwalali nam tak działać, by dojść do najważniejszych działaczy podziemia? My byliśmy jak mróweczki, które po cichu pomagały innym, były sobie gdzieś tam z boku.

Jak wychodziłam z domu, szczególnie wieczorem, moja córka zawsze pytała, dokąd idę. – A, wiesz, muszę iść coś załatwić, ale wrócę prawdopodobnie późno. Nie czekajcie na mnie z kolacją – mówiłam jej wtedy. – Mamo, ja i tak wiem, o co chodzi… – kwitowała. Wychodzi na to, że nawet w domu nasza konspiracja była trochę nieudolna. Pewnie dzieciaki wiedziały, dlaczego wychodzę.

Przywódcy opozycji niewiele by bez nas zrobili. Przykładowo u Zosi Pawłowskiej chłopaki z Solidarności Walczącej ukrywali się dość długo. Jej dom był dobrym miejscem do knucia – w zaciszu, tuż przy lesie. Też go obserwowali, więc Zosia udawała, że w koszyku wynosi jakieś rzeczy spożywcze albo śmieci. W rzeczywistości to były ulotki drukowane w jej mieszkaniu. Gdyby złapali ją w takim momencie, zapewne byłby to koniec.

Ci, których złapano i wsadzono do więzienia, choćby Ewa, zostali automatycznie wyrzuceni z pracy. Trzeba było im pomóc. Organizowaliśmy zbiórki pieniężne wśród współpracowników, przyjaciół, znajomych. To może były drobne gesty, ale czynione z serca. Przecież wszyscy mieli rodziny, które musieli utrzymać. Pomagali nam też księża, którzy w kościołach zbierali żywność.

Sporo z tych osób, niestety, wyjechało za granicę. Tak stało się z Ewą Kubasiewicz, bardzo znaną w Polsce. Poznała Francuza, który przyjeżdżał do Polski jako dziennikarz i jednocześnie należał do Amnesty International. Zakochała się, wyszła za mąż i do dziś mieszka we Francji, w Bretanii. Utrzymujemy bardzo bliski kontakt, spotykamy się dwa-trzy razy w roku. Wspominamy, śmiejemy się, mówimy sobie, że może dziś nie byłybyśmy tak odważne...

Miałam rodzinę i dzieci w szkole średniej. Nie wiem, jak postąpiłabym dzisiaj, czy także bym się zaangażowała. Jednak hasła wolności, solidarności, zjednoczenia ideowego wszystkich Polaków niosły. To było coś, co nie pozwalało być obojętnym wobec zobowiązań miłości do ukochanej, udręczonej Polski. Wiara w to, że można coś robić dla ukochanej ojczyzny, sprawiała naprawdę wielką radość. Myśleliśmy wtedy, że jesteśmy wolni od sowieckiej oku-

pacji. Lecz zanim faktycznie to nastąpiło, musiało minąć jeszcze wiele lat. Bardzo chcieliśmy coś zmienić. Nie zgadzaliśmy się z decyzją o wprowadzeniu stanu wojennego.

Było w nas coś takiego dobrego. Do dziś zresztą trwamy razem, oczywiście już w innych warunkach. Losy naszych przyjaciół różnie się potoczyły. Mimo to bardzo się przyjaźnimy. Zawiązane wtedy braterstwo trwa do dziś. Wiemy, że możemy na sobie polegać. To bardzo ważne. Jesteśmy jak harcerze – stanowimy drużynę. Sama de facto nic wielkiego nie zrobiłam… Tylko pomagałam.

Dla mnie to był honor pracować z prawdziwymi ludźmi podziemia: Kołodziej, Zwiercan, cała Solidarność Walcząca. Ta organizacja była wtedy szczególnie pod lupą esbeków, bo miała zupełnie inne zadanie niż związek zawodowy – chciała prawdziwie wolnej Polski. Pracować z nimi to był dla mnie zaszczyt. Przedtem nie znałam ani Romana Zwiercana, ani Andrzeja Kołodzieja.

Kiedy Ewa zaproponowała współpracę, powiedziała: – Musisz zdawać sobie sprawę z tego, że oni są na świeczniku, bardzo poszukiwani, więc musisz być skoncentrowana, zawsze skupiona na tym, co robisz. Musisz też mieć świadomość, że to może stanowić duże zagrożenie również dla ciebie.

Nigdy nie poznałam mojego ojca, ponieważ urodziłam się we wrześniu 1945 roku. Ojciec, który działał w wojennym podziemiu – prawdopodobnie w oddziałach Gryfa Pomorskiego – zginął w marcu 1945. W Gdyni trwały walki, Niemcy szykowali się do ucieczki, a Rosjanie właśnie wchodzili. Mama wiele nie wiedziała o jego aktywności, bo ojciec zawsze powtarzał, że po wojnie wszystko jej wytłumaczy. Respektował twarde zasady konspiracji, czyli jak najmniej mówić o tym, co się robi. Była w piątym miesiącu ciąży, kiedy on dostał kulę w brzuch. Zginął. Nigdy go nie poznałam. Był takim młodym, pięknym 24-latkiem.

Niekiedy, jak jechałam gdzieś sama późną nocą, np. odebrać Andrzeja albo go gdzieś zawieźć, myślałam, że tak właśnie kontynuuję robotę ojca dla Polski. Mamie nie do końca to odpowiadało.

– Boże kochany, jednego straciłam, a teraz ty się narażasz. Zupełnie zgłupiałaś! Co ty robisz? Bez ciebie też się zrobi to, co ma być. Masz dwoje dzieci – często mówiła. Ale zaraz potem dodawała: – Gdybym była młodsza… Rozumiem cię.

Nie wiem, jak postąpiłabym dziś. Wtedy byłam szczęśliwa, że mogę dołożyć choć małą cegiełkę do osiągnięcia upragnionej wolności. Jak teraz chcą nas uhonorować medalami, myślę sobie: „Boże kochany, rozumiem takie wyróżnienie, gdybym była na wojnie i coś zrobiła. Jednak czy naprawdę na to zasługuję?". Ale jest to bardzo miłe.

Fundacja Pomorska Inicjatywa Historyczna daje ludziom dużo, dużo satysfakcji poprzez te uroczyste spotkania raz w roku w Gdyni, na Rotterdamskiej. Ludzie, którzy kiedyś coś tam robili, działali na rzecz wolnej Polski, dostają medale i dyplomy uznania. Osobiście ich nie znam, bo to przeważnie osoby ze stoczni i innych zakładów. Ale istnieje między nami jakaś więź. Witamy się jak starzy znajomi z wielka radością i szacunkiem, opowiadamy różne rzeczy, także te rodzinne, intymne. Naprawdę bardzo przeżywamy fakt, że po tylu latach ktoś o nas pamięta. Cieszę się, że dane mi było dołączyć do grona ludzi marzących o wolnej Rzeczpospolitej. Bo Polska to wielka sprawa i wielkie zobowiązanie.

Ewa Kurpiewska

pracowała w bibliotece Zasadniczej Szkoły Budowy Okrętów przy Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, później w Zespole Szkół Technicznych. Obecnie na emeryturze. Nadal aktywna społecznie.

W sierpniu 1980 roku byłam akurat z rodziną na wczasach w Zakopanem. Pierwszym symptomem niecodziennej sytuacji był brak łączności telefonicznej. Wiedzieliśmy, że wcześniej coś się działo. Już podczas wyjazdu na urlop było widać, że coś może się wydarzyć. Wracaliśmy z Zakopanego po 25 sierpnia. Jechaliśmy przez całą Polskę, więc mieliśmy świadomość sytuacji. Kiedy dojechaliśmy do Gdańska, atmosfera była niesamowita. Z kolejki widzieliśmy strajkujących stoczniowców, wszyscy im machali.

Następnego dnia natychmiast poszłam do stoczni. Dowiedziałam się, że strajk wywołał młody człowiek. Chodziło o nikomu wówczas nieznanego Andrzeja Kołodzieja.

Byłam zaskoczona, że ktoś, kto pojawił się nie wiadomo skąd, potrafił przekonać do siebie stoczniowców. Oczywiście, on nie był sam w komitecie strajkowym; należał do grupy inicjatorów. Później okazało się, że należało do niej wielu kolegów z Biura Konstrukcyjnego i innych działów.

Niestety, początkowo na teren stoczni nie wpuszczali żadnych kobiet. Z mojego działu w środku był tylko jeden mężczyzna – kierownik. Podszedł do płotu i chwileczkę porozmawialiśmy. Przychodziłam tam codziennie i odwiedzałam kolegów.

Potem, co niedzielę, msze na terenie stoczni odprawiał ksiądz Hilary Jastak. Wtedy wpuścili kobiety. To właściwie był już koniec strajku, więc nie mogę powiedzieć, że w czynny sposób uczestniczyłam w Sierpniu '80.

Kiedy wróciliśmy do pracy, rozpoczęły się wybory do kół zakładowych. Zostałam przedstawicielką swojego działu razem z Jurkiem Miotke, który pracował wtedy w dziale wynalazczości i racjonalizacji. To było takie szefostwo techniczne. We dwójkę byliśmy łącznikami z głównym komitetem. Do grudnia 1981 roku zajmowaliśmy się przede wszystkim rozprowadzaniem niezależnych wydawnictw. W zasadzie przez cały tamten rok „Solidarność" funkcjonowała legalnie.

W okresie Karnawału Solidarności coraz więcej dowiadywaliśmy się o świecie z gazet z drugiego obiegu albo przywożonych z zagranicy. Żyliśmy bez poczucia zagrożenia. Strach, że coś może się wydarzyć, pojawił się dopiero później, w stanie wojennym.

Wtedy ludzie zaczęli obawiać się represji. Internowano przecież wiele osób znanych z wydarzeń sierpniowych. Po lekturze oficjalnej gazety, dziennika „Głos Wybrzeża", można było odnieść wrażenie, że czerwony brat tutaj wejdzie i nas powystrzela.

Pracowałam w bibliotece technicznej, więc miałam mniejszy kontakt z ludźmi z produkcji. Przychodzili do nas głównie inżynierowie i rodzice studentów. Byli to głównie ludzie z tego 10-piętrowego budynku albo budowniczowie z innych działów. Mieliśmy bardzo bogaty księgozbiór liczący 45.000 woluminów. Było tam sporo książek nie tylko o okrętach, ale też z dziedziny prawa, ekonomii, słowniki wyrazów obcych… Naprawdę z różnych obszarów wiedzy. Ludzie przychodzili i wypożyczali te materiały i czasopisma.

Pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że Jurek został zatrzymany na 48 godzin za bibułę i dowieziony do aresztu na ul. Starowiejskiej. Trochę się przestraszyłam. Nie wiedziałam, co z tą nielegalną prasą. Pomyślałam, że spalę, zanim ktoś przyjdzie. Było tego dość dużo, a ja zaczęłam utylizację w... szklanej popielniczce. Darłam i podpalałam zapalniczką czy tam zapałkami. Szło zbyt wolno, więc pomyślałam, że wrzucę to do metalowego kosza. Niestety, miał on plastikową obudowę. Tak się złożyło, że kilka miesięcy wcześniej zainstalowano nam czujniki przeciwpożarowe. W ciągu 15 minut od momentu, gdy zaczęłam to palić w pojemniku, zaczęło wyć na całą stocznię. Strażacy zjawili się błyskawicznie, gdyż jednostka znajdowała się blisko nas. Zdążyłam zalać wodą, pobiec szybko do toalety i wrzucić do muszli. Przy spuszczaniu wody jeszcze ten sedes zapchałam.

– Coś tu się pali – stwierdził strażak.

– Nie, proszę pana, przed chwilą było tu zebranie partyjne. Oni strasznie palą. Widzi pan, mam tu wszędzie napisane zakaz palenia, ale oni tyle palą, że te czujniki się uruchomiły. Oni dopiero co wyszli. Przez nich dostanę tutaj raka płuc – zaczęłam improwizować.

– Ale nie czuć papierosami.

– Nie czuje sam? Widocznie dlatego, że sam pan pali. Nie ma żadnego pożaru – po prostu mamy bardzo dobre czujniki.

Wyszedł. Wtedy uznałam, że woda jest lepszym czynnikiem destrukcyjnym niż ogień i zaczęłam to zatapiać. Dwie toalety zostały zapchane tymi papierami.

W bibliotece istniał dział literatury filmowej. Dostawaliśmy jakieś katalogi. Kiedy przyjeżdżali Francuzi albo Szwajcarzy, przywozili nam prospekty reklamowe. Zbierało się to i rozdawało albo pożyczało inżynierom. Między tymi wydawnictwami była właśnie nasza bibuła.

Jurka wypuścili po 48 godzinach, ale niestety został zwolniony ze stoczni. Przyjął go do siebie mój mąż, który akurat był kierownikiem magazynu w Peweksie. Po zmianie władzy Jurek znowu zatrudnił się w stoczni.

Po rejestracji związku z inicjatywy „Solidarności" odbywało się w Gdyni mnóstwo imprez kulturalnych. Organizowano je nie tylko w kościołach (prym wiodła w tym parafia Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni). Przykładowo gdy Czesław Miłosz dostał Nobla, przyjechał do Stoczni Gdańskiej. Teatr Miejski bardzo często organizował koncerty i wieczory poetyckie. Bilety na te wydarzenia były jednocześnie cegiełkami na budowę Pomników Poległych Stoczniowców.

W bibliotece zawsze stała skrzynka z informacją, że zbieramy na ten cel. Ta inicjatywa była bardzo ważna. Byłam na odsłonięciu jednego i drugiego. Tylu ludzi, ilu wtedy tam przyszło, nie ma dzisiaj na żadnych manifestacjach. To było spontaniczne.

Teraz często uczestniczę w obchodach Grudnia '70 i widzę, że bierze w nich udział garstka. Ci ludzie, którzy obecnie chodzą, robią to, bo wypada, a uczniowie – dlatego że każą im nauczyciele. To już nie jest ta spontaniczność z lat 80. Pod te pomniki przychodzą osoby, które w jakiś sposób chcą zaistnieć albo podtrzymać popularność. W 1980 roku nie było przymusu – po prostu Gdynia szła. Gdy nadszedł dzień odsłonięcia pomnika upamiętniającego ofiary wydarzeń grudniowych, tłum stał pod nim od piątej rano. Ludzie uczestniczyli spontanicznie w tego typu wydarzeniach.

Gdy w kościele odbywał się wieczór poezji Miłosza czy kabaret Jacka Fedorowicza, to było coś niesamowitego. W latach 1980-81 tego typu szeroko zakrojone spotkania odbywały się raz-dwa razy w miesiącu. Przodował w tym Teatr Miejski, a później dołączył Teatr Muzyczny.

Zwykłe życie nie było łatwe, wyglądało źle. W sklepiku niedaleko pętli trolejbusowej o szóstej rano przywozili coś dobrego, co kupowało się na kartki. Kolejka ustawiała się już o czwartej albo i wcześniej. W bibliotece pracowało pięć kobiet, kierownik i były budowniczy. W razie potrzeby panowie nas zastępowali, bo myśmy biegały po sklepach i kioskach stoczniowych.

W okresie stanu wojennego obowiązywały kartki na wszystko – nawet na kaszę czy na ryż. W efekcie wszyscy mieli w domu wołki zbożowe czy inne robactwo. Każdy to kupował, bo nie wiedział, czy i co później będzie mógł dostać.

Robiło się wtedy bezsensowne zapasy. Na przykład pasztet mazowiecki – ile dawali, tyle człowiek kupował. Kiedy rzucili masło albo serek topiony, brało się każdą ilość. Nie wspomnę już o artykułach higienicznych typu wata, papier toaletowy czy inne tego typu rzeczy. To już w ogóle był obłęd.

Być może kartki w pewnym stopniu rozwiązały problem fatalnego zaopatrzenia. Jednak później, po utworzeniu sklepów komercyjnych, trzeba było rejestrować te bony, co mocno wydłużało czas obsługi. Pod tym względem to był fatalny czas. Większość ludzi spędzała go w tych ogonach.

W 1984 roku na trzy lata przeprowadziliśmy się na wieś. Mąż załatwiał dla pani z jakiegoś domu towarowego wielki namiot na wesele. W zamian ona zdobyła dla nas meble, których wcześniej nawet nie widzieliśmy. Określiliśmy, co chcemy, a ona powiedziała, że „zostawi, co przyjdzie". Tak wyglądało ówczesne życie.

W momencie wybuchu stanu wojennego miałam w bibliotece bogatą kolekcję zbiorów. Obejmowała ona gazety typu „Solidarność", którą się prenumerowało, gazetki i inne druki, które z nastaniem 13 grudnia przestały być legalne. Baliśmy się, że posadzą nas za posiadanie bibuły.

W 1981 roku mąż po raz pierwszy był na Zachodzie. Ludzie przywozili stamtąd czekoladę czy kawę, a on – który pracował z ludźmi mającymi dostęp do literatury takiej jak „Archipelag GUŁag" czy książki Wata – przywiózł „Małą apokalipsę" Konwickiego, „Inny świat" Grudzińskiego, publikacje historyczne. Przywiózł pół torby woluminów – literatury u nas niedostępnej.

Na przestrzeni lat 80. część ludzi będących wówczas we władzach związku, na różnych szczeblach, zwolniła się i wyjechała. Przychodzili do biblioteki z kartami obiegowymi, a następnie wyjeżdżali gdzieś na Zachód albo w ogóle zniknęli.

Studiowałam filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim. Pisałam pracę magisterską u prof. Małgorzaty Czermińskiej, która na seminarium magisterskim w 1976 roku mówiła o „Dzienniku" Gombrowicza. Dostarczała do czytelni egzemplarze „Dziennika" wydane na Zachodzie. – Powiecie tylko pani z biblioteki, że macie fragment do przeczytania i pani wam wyda – mówiła.

Walka z władzą odbywała się też dosłownie. Do konfrontacji z ZOMO dochodziło szczególnie w okresie świąt takich jak 3 maja czy 11 listopada. Mieszkaliśmy na Śląskiej i pod naszym blokiem często odbywały się takie starcia. Miałam wtedy małe dziecko, więc raczej starałam się w tym nie uczestniczyć. Kiedy coś się działo, nie wychodziłam z domu.

Pod tym względem może bardziej przeżyłam 1970 rok. Byłam jeszcze uczennicą. Chodziłam do „Trójki". 17 grudnia nie wypuszczali ze szkoły bez rodziców, więc nie wiem, jak nam się udało wyjść. Jeden rodzic mógł wziąć grupkę z jednego rocznika. Jakoś się wymknęliśmy i znaleźliśmy u znajomych na Świętojańskiej. Ten gaz, ten strach – to było niezapomniane przeżycie… Z okna, z którego był świetny widok, obserwowaliśmy przemarsz grupy z drzwiami [chodzi o zastrzelonego Zbyszka Godlewskiego – red.].

Natomiast w latach 80. do takich zajść i sytuacji podchodziłam na zasadzie, że jakoś to będzie. Jednak wprowadzenie stanu wojennego to był szok. Wielokrotnie słuchałam wiadomości i nie dowierzałam, że coś takiego się stało. Nikt właściwie nie wiedział, czym jest stan wojenny. Nie działały telefony, w kółko powtarzano te same wiadomości i właściwie nie wiadomo było, jak i z kim się skontaktować, żeby się czegoś dowiedzieć.

Pracowałam wtedy w stoczni, która została zamknięta. Nikogo do niej nie wpuszczano. Stało się oczywiste, że do końca roku będzie wolne. Nikt nie wiedział, co zrobić.

Mimo że „Solidarność" oficjalnie nie mogła działać, po powrocie do pracy myśmy się szybciutko dogadali. Wiedzieliśmy, że związek został zdelegalizowany. Kierownik mojego działu był członkiem „Solidarności", więc właściwie niewiele się zmieniło. Składki płaciłam przez cały czas. Ktoś zbierał pieniądze na fundusz strajkowy i pomnik.

W Karnawale Solidarności poznaliśmy, do kogo można mieć zaufanie i korzystaliśmy z tej wiedzy w stanie wojennym. Wszyscy wiedzieliśmy, kto jest szują i z kim nie można rozmawiać na drażliwe tematy. Było wiadomo, że Jurek Miotke to jest swój człowiek. Podobnie jak kilka innych osób. Ale na przykład był pan, którzy przez jakiś czas sprawował nawet funkcję przewodniczącego zakładowej „Solidarności", a potem bardzo szybko zapisał się do partii i reżimowego związku. Wszyscy wiedzieli, że w rozmowach z nim nie można sobie pozwolić na szczerość.

W 1986 albo 1987 roku aresztowali Jurka Miotke. Byliśmy pewni, że ktoś na niego doniósł. Jednak do końca nie wiedzieliśmy, kto to zrobił. Było kilka osób, którym ufaliśmy, a z innymi nie rozmawialiśmy na tematy polityczne. Pracowałam wówczas w bibliotece i czytelni. Mieliśmy tam salkę na 30 osób, w której odbywały się również zebrania partyjne.

Kiedy przyszłam do stoczni w 1977 roku, po jakimś czasie zapytano mnie, czy nie chciałabym zostać członkiem partii. Powiedziałam, że nie mam takich pomysłów na życie i specjalnie mnie to nie interesuje. Nikt nigdy w żaden sposób mnie do tego nie namawiał; nie mówił, że muszę. Chociaż może raz zdarzyła się taka sytuacja. To było dosyć przykre…

W 1986 roku kończył mi się urlop wychowawczy. Istniała możliwość, żeby osoby ze stoczni pracowały jako nauczyciele w szkole okrętowej w wymiarze sześciu godzin. Przed urodzeniem syna już pracowałam w tej placówce, ucząc polskiego. Gdy kończył się urlop, rozważałam, czy zostawić stocznię i zająć się tylko nauczaniem. Pomyślałam, że będę miała dłuższe wakacje i mniejszy wymiar godzin, co przy małym dziecku miało duże znaczenie. Lecz okazało się, że etatu polonisty nie mieli. W bibliotece też nie udało mi się zatrudnić.

Jednak dyrektor zaproponował mi, że mogę zostać kierownikiem zajęć pozalekcyjnych, czyli w praktyce: szefem świetlicy. Powiedział, że będę miała pod opieką 14-15 kół zainteresowań i będę musiała organizować życie kulturalne w świetlicy. Postawił warunek.

– Do jakiego związku pani należy? – padło pytanie.

– Jeżeli do „Solidarności" nie można, to nie należę do żadnego – odpowiedziałam.

Działał wówczas tylko ten związek komunistyczny [OPZZ – red.]. Dyrektor powiedział, że byłoby dobrze, gdybym była w partii. Odpowiedziałam, że nie jestem.

– Na kierowniczym stanowisku to się przyda – stwierdził. Powiedziałam, że się nie zapiszę.

– Zna pani (tu padło nazwisko, którego nie pamiętam)?

– Tak, znam.

– On jest szefem tego związku. Zadzwonię, niech pani do niego pójdzie. Zapłaci pani składki za rok wstecz. Pani będzie miała jakiś staż związkowy, a ja będę wiedział, jak rozmawiać w kuratorium, żeby poparli pani kandydaturę.

Odparłam, że się zastanowię. Jednak potem zadzwoniłam i powiedziałam, że bardzo dziękuję, ale wrócę do stoczni.

W końcu wróciłam do biblioteki. Zajmowałam się rozprowadzaniem gazet na wydziały, więc przy okazji zaprzyjaźnieni ludzie – co do których miałam pewność, że nie doniosą, kiedy brali gazety typu „Przyjaźń" – dostawali podziemny numer „Solidarności". Oczywiście miałam tego dość dużo. Czytelnia w Stoczni im. Komuny Paryskiej była ogromna. Mieściła się na parterze sześciopiętrowego biurowca. Funkcjonowały tam: biblioteka, czytelnia, ośrodek informacji i sala pamięci. Przychodził nasz człowiek, przynosił 200 egzemplarzy gazetki, a ja już wiedziałam, komu to rozdać.

Niby wróciłam do biblioteki, ale potem złożyło się tak, że znowu miałam jeden sześciogodzinny etat, żeby dorobić sobie w tej szkole jako nauczyciel dochodzący. Później pani z biblioteki przeszła na emeryturę i zostałam przyjęta do Zasadniczej Szkoły Budowy Okrętów bez zapisywania się do związków czy partii. Zwolniłam się w sierpniu 1989 roku.

Pensja nauczyciela była wtedy atrakcyjna i zapewniła lepszy start na początku przemian ustrojowych. Ze stoczni otrzymywałam marne pieniądze. Niby ciągle wypłacali jakieś wyrównania i podwyżki, ale w praktyce niewiele to dawało. Inflacja była straszliwa.

Paradoksalnie w Karnawale Solidarności przez krótki czas akurat mieliśmy pieniądze, ale nic nie mogliśmy za nie kupić. Zawsze się burzę, kiedy ktoś mówi, że w tamtym okresie w sklepach był tylko ocet. To nieprawda. Palnęła to jakaś osoba i wszyscy to powielają. Panowały wielkie trudności z zaopatrzeniem, ale towar jako taki był. Świadectwem przedsiębiorczości i zaradności Polaków niech będą wszelkie imieniny.

Bez względu na to, czy były kartki, czy nie było, stoły zawsze się gięły i lała się wódeczka. Ludzie wozili samochodem z Kaszub pół świniaka, co w okresie stanu wojennego było nielegalne. Co prawda trzeba było uważać na patrole, ale ludzie zawsze sobie radzili. Polak potrafił i potrafi. W co drugim domu pędziło się bimber. Pędzili nawet w stoczni. Nie wiem, czy to prawda, ale chodziła taka anegdota, że gdzieś tam na dźwigu odbywało się pędzenie i sprzedaż bimbru.

Kiedy wprowadzili kartki na papierosy, osoby niepalące miały dodatkowy argument, gdy chciały coś załatwić. Za dwie paczki carmenów można było sporo zyskać. Mając taką „walutę" w ręku, w hali w Gdyni była możliwość załatwienia właściwie wszystkiego.

Gdynia, z wiadomych względów, była innym miastem niż Warszawa czy Lublin. W latach 1986-89 w stoczni zjawiali się z towarem panowie, którzy pracowali w NRD, Czechosłowacji i Bułgarii. Przychodzili na zaplecze biblioteki i wykładali np. pięć salami. Oczywiście – za odpowiednią cenę. W moim domu nie mogliśmy już patrzeć na salami. Po prostu, za przeproszeniem, nam obrzydła, bo dostawca przychodził co dwa tygodnie i mieliśmy do niego stały dostęp. Najpierw składało się zamówienie. Pan przychodził i mówił, że jedzie. Pytał, ile i czego ma przywieźć. Brałam jedną dla mamy i jedną dla siebie. To, ile rzeczy w ten sposób się załatwiało, było niesamowite.

Mimo stanu wojennego, delegalizacji „Solidarności" i późniejszej szarzyzny, cały czas mieliśmy nadzieję na wygraną. Wszyscy czekali. Trudny był pierwszy okres, czyli 1982-1983 rok. Później, po zniesieniu stanu wojennego, społeczeństwo właściwie robiło sobie jaja z władzy. Czuło się niejako podskórnie,

że komuna prędzej czy później nie wytrzyma i się skończy. Tym bardziej, że wielu ludzi wyjechało na Zachód i utrzymywało kontakt z krajem.

Siostra męża w 1980 roku dostała niestety tzw. dokument podróży, czyli bilet w jedną stronę. Po raz pierwszy przyjechała z dziećmi ponownie chyba w 1984 roku. Szwagier został, bo wyjechał nielegalnie. Ona starała się o legalny wyjazd, więc dostała bilet w jedną stronę, ale mimo to przyleciała w 1984 roku.

Ja z córką pojechałam w ferie 1985 roku do Hamburga. Też nie miałam z tym problemu. Nigdy nic nie podpisywałam, nikt ze służb nie chciał ze mną rozmawiać. Z uzyskaniem paszportu nie miałam większych trudności. Wróciłam w terminie, oddałam go i to wszystko. Tych 10 dni na Zachodzie wystarczyło, by zobaczyć ogromny kontrast między naszym światem a tamtym. Szok.

Pod koniec lat 80. do Gdyni zawitał Jan Paweł II. Wszyscy wierzyli, że ojciec święty pomoże. Byłam tam. Tłumy ludzi. Wejściówki załatwiało się przez parafie. Nie zabrakło nas również w Gdańsku na Zaspie. Całe miasto przeżywało swoiste uniesienie. Wszyscy wierzyli w to, że dzięki papieżowi nastąpi pozytywne zakończenie, że komuna padnie. To był okres radości.

W 1988 roku w różnych miejscach w kraju znów doszło do większych strajków. Pracowałam jeszcze w Stoczni Gdynia. Organizowaliśmy wielogodzinne strajki solidarnościowe. Wszyscy się przyłączali. Zresztą później, w szkole, działo się to samo. Ludzie to popierali i wierzyli, że widać bliski koniec komuny. Kobiety bardziej zajmowały się aprowizacją. Akurat mnie zajmowały wówczas sprawy związane z zamianą mieszkania, więc mniej skupiałam się na protestach. Ale kiedy tylko byłam w pracy, zawsze brałam udział w strajkach solidarnościowych.

Mimo wielu niedogodności, udało się przetrwać, odzyskać „Solidarność". Wiem, że to zbiorowy sukces. Ja sama nic takiego nie robiłam. Nie byłam wielką działaczką jak Alina Pieńkowska czy inne kobiety. Byłam szarym człowiekiem z biblioteki, który pomagał rozprowadzać bibułę i tyle. Czuję się jakbym była, powiedzmy, 28. trybikiem w całej tej machinie. Nigdy nie czułam się ani działaczką, ani osobą, która miała ogromny wpływ na rzeczywistość. Byłam jak większość z nas. Na początku było 10 mln członków. Zostało niewielu. Po prostu uważałam, że jestem po tej stronie i później nigdy nie zmieniłam opcji. Nigdy nie zapisałam się do żadnej partii.

Miałam momenty zwątpienia w „Solidarność". Nie ze wszystkim się zgadzałam i zgadzam do dzisiaj. Natomiast zawsze należałam do związku. Starałam się nawet dyskutować, ale stwierdziwszy, że nie przynosi to większych rezultatów, przeważnie odpuszczałam. Kiedy człowiek ma inne zdanie, ludzie nie chcą go słuchać. Wolter pięknie powiedział, że trzeba uprawiać własny ogródek i tego się trzymać.

W szkole okrętowej przez kilka kadencji byłam przewodniczącą Komisji Zakładowej Pracowników Oświaty i starałam się tam przede wszystkim pomagać ludziom. Zostałam ekspertem ds. awansu zawodowego. Do dzisiaj, jeśli trzeba komuś pomóc – na przykład sprawdzić teczki albo coś podpowiedzieć – robię to i staram się dzielić tym, czego się nauczyłam.

Z perspektywy tych lat myślę, że na pewno nie chciałabym być gdzieś w pierwszej linii walki. Ale pewnie robiłabym to samo.

Regina Lejk

pracowała jako nauczycielka. Obecnie na emeryturze. W latach '80 dołączyła do Koła „Solidarności" Oświaty Nauczycielskiej, w którym jest aktywna do dzisiaj.

Z lat 70. pamiętam straszne rzeczy. Pracowałam wówczas w szkole, której budynek mieści się niedaleko torów kolejki elektrycznej, naprzeciw zejścia do przystanku Gdynia Stocznia. Był moment, kiedy w kierunku pracowników jadących na szóstą do pracy –zachęconych wcześniej przez Kociołka – padło dużo strzałów. Ludzie byli wybijani jak kaczki. To było straszne. Wtedy kolejki jeździły co sześć minut i co chwilę na perony wylewały się tłumy, które nie miały dokąd uciec. Biegli więc przez tory, w stronę obecnej ulicy Morskiej, albo po torach, w stronę centrum. Część ludzi została ranna.

W mojej szkole istniał obowiązek przychodzenia wcześniej, jeśli ktoś miał dyżur. Tego dnia pełniła go wicedyrektorka. Poinformowała kilka osób, żeby nie przyjeżdżały, ponieważ dzieją się dantejskie sceny. Ja nie dostałam takiej informacji, ponieważ nie miałam telefonu. Przyjechałam i widziałam, co się odbywa, ale myślałam, że po prostu kolejki nawaliły czy coś takiego. Doszłam do szkoły piechotą i dopiero tam się o wszystkim dowiedziałam. Część młodzieży również się zjawiła, bo nie wszyscy mieszkali w Gdyni – część pochodziła z okolic Wejherowa, część z okolic Pucka i Helu.

Moje najstarsze dziecko było wtedy w przedszkolu. Okazało się, że musimy zostać tak długo, dopóki rodzice nie odbiorą pociech. Dyżurowałyśmy, ale w końcu musiałam zniknąć popołudniu, bo musiałam odebrać dziecko. Mąż pracował wtedy w Stoczni Gdańskiej. Okazało się, że nie wrócił do domu. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, co z mężem. Bardzo się denerwowałam, gdyż krążyły różne wieści.

W Gdyni doszło chyba do większych ostrzałów niż w Gdańsku, gdzie te wydarzenia były mniej intensywne. Byli zabici i ranni, ale tak naprawdę nie wiedzieliśmy, co się tam działo.

Następnego dnia poszłam do pracy i stamtąd wydzwaniałam do jego zakładu. Ale tam telefon był odłączony. Telefonowałam jeszcze gdzieś – bez skutku. Wreszcie doszłam do wniosku, że najlepiej będzie, jak skontaktuję się z jakimś komisariatem milicji. Wzięłam książkę telefoniczną i zaczęłam telefono-

wać po jednostkach blisko Wrzeszcza. Na jednym z komisariatów ktoś odebrał. Wszędzie indziej nikt nie podnosił słuchawki.

– Co się dzieje w Stoczni Gdańskiej? Bo mąż nie wrócił na noc do domu i się martwię – zapytałam.

Ten człowiek powiedział, że nic się tam nie dzieje i każdy, kto chciał, mógł iść i wrócić do domu; na miejscu zostały tylko same warchoły. Odparłam, że mąż nie jest żadnym warchołem, że nie mam z nim żadnego kontaktu i bardzo się niepokoję. W efekcie i tak niczego się nie dowiedziałam.

Następnej nocy mąż też nie wrócił. Mieszkałam wtedy u rodziców, przy ulicy Wielkopolskiej w Orłowie. W nocy obudził mnie straszliwy huk. Myślałam, że to burza. Od strony Kościerzyny zjeżdżało mnóstwo czołgów. Wstaliśmy i zaczęliśmy z ojcem liczyć, ile ich jest. Te czołgi bardzo zniszczyły jezdnię. Podążały w kierunku Gdyni. Ostatecznie mąż wrócił po dwóch nocach. Niby wszystko dobrze się skończyło, ale to był moment dużej grozy.

Mnie się wydaje, że bezpośrednim powodem oburzenia ludzi były podwyżki cen żywności. Myśmy też znajdowali się w dosyć marnej sytuacji materialnej. Ledwo dawaliśmy radę. Jak zaczęłam liczyć i analizować wyższe ceny, przestraszyłam się, że na nic nie będzie mnie stać.

Potem wszystko zostało stłamszone i przez 10 lat ludzie próbowali działać gdzieś w podziemiu. Był to długi okres. Panowało poczucie zniechęcenia, że nic się nie da zrobić, że PRL istnieje i będzie istniał wiecznie.

Dotrwaliśmy do 1980 roku, gdy znowu doszło do zrywu ludzi, tyle że innego stopnia. Ta rewolta była może bardziej dojrzała. Powstała „Solidarność", która właściwie na początku była wszystkim, czego oczekiwali ludzie. Zapisałam się, kiedy tylko było to możliwe.

W naszym zakładzie każdy automatycznie należał do Związku Nauczycielstwa Polskiego. Odciągali składki z pensji. Co ta organizacja nam dawała? Myślę, że chyba niewiele.

W 1980 roku skrzyknęła się duża grupa i prawie wszyscy w naszej szkole – z wyjątkiem pełniących funkcje – zadeklarowali przynależność do nowego związku. Z nauczycieli zapisał się niemal każdy; może z wyjątkiem tych mocno zaangażowanych w PZPR.

Z czasem okazało się, że w każdym zakładzie działała tzw. wtyka, która bardzo mocno popierała postulaty „Solidarności" w 1980 roku. Te osoby były bardzo aktywne, ze wszystkimi rozmawiały. Ich zadaniem było zebranie informacji o każdej osobie i wychwycenie, co ludzie mówią między sobą. Myśmy potem znaleźli u nas taką podstawioną osobę.

Po Karnawale Solidarności nastał stan wojenny: brak żywności, kartki na wszystko. To był okropny czas.

Przed 1980 rokiem obowiązywał zakaz działania innych związków niż te popierające władze. Po 13 grudnia ten przepis wrócił. Wtedy nasz dyrektor stwierdził, że nigdy nie wypisywał się z ZNP i pozostaje jego członkiem. Jego zdaniem dotyczyło to wszystkich, którzy się nie wypisali. Siłą rzeczy było ich od razu bardzo wielu.

W „Solidarności" byłam od początku. Wydaje mi się, że z tych, którzy do niej przystąpili, nikt nie zrezygnował. Doczekałam emerytury. Nasza branżowa „Solidarność" była dla czynnych nauczycieli, natomiast po zakończeniu aktywności zawodowej przeszłam do „Solidarności" nauczycieli-emerytów.

W tej chwili od kilku miesięcy zastępuję w niej obłożnie chorą przewodniczącą. Wcześniej byłam wiceprzewodniczącą. Co robimy? Zajmujemy się tym, co dotyczy naszego starczego bytu, czyli: lekami, wyjazdami na leczenie, organizujemy wycieczki. Mamy duże możliwości urozmaicania życia osobom w wieku 55+. Mianowicie chodzi o Centrum Aktywności Seniora, gdzie odbywają się różne zajęcia. Intensywnie pracujemy też w grupie nauczycielskiej „Solidarności" i chodzimy na zajęcia związane z aktywnością seniorów. W Gdyni jest ponad 4000 takich miejsc i zajęć. Należą do nich m.in. lektoraty, obsługa komputera, zajęcia sportowe, wykłady i warsztaty.

Spotkania solidarnościowe organizujemy w lokalu należącym do miasta. W tym miejscu funkcjonują też inne organizacje pozarządowe. O wyznaczonej porze przychodzimy i mamy dwie godziny do wykorzystania. Robimy sobie tam imieninki, spotkania okolicznościowe przy kawie i ciastkach np. walentynki czy Dzień Kobiet.

Regina Ławniczak

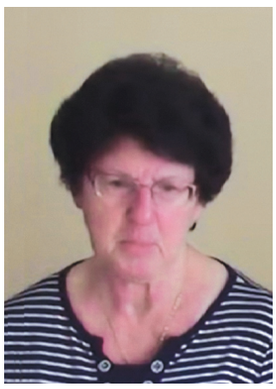

pracowała w Gdańskim Przedsiębiorstwie Robót Drogowych (Oddział Reda). W trakcie stanu wojennego wspierała związkowców.

Pracowałam w Gdańskim Przedsiębiorstwie Robót Drogowych (Oddział Reda). W zakładzie było spokojnie. Kolega, który dojeżdżał z Gdańska, był bardzo wtajemniczony w sprawy „Solidarności". Przekazywał, co działo się w Gdańsku i Gdyni. Oczywiście ludzie interesowali się wszystkim, jednak wielka polityka, znane nazwiska, wydarzenia poza Pomorzem traktowaliśmy bardziej jako ciekawostki. „Przecież są władze związku i po to zostały wybrane, by walczyć o sprawy zwykłych ludzi, będących na dole tej drabiny" – panowało myślenie.

Strajk w sierpniu 1980 roku przyjęliśmy z nadzieją. Jakoś tak uwierzyliśmy, że tym razem władza nie będzie strzelać do manifestujących i walczących o swoje prawa robotników. Kiedy już podpisano porozumienie nastąpiła w nas ulga – dogadali się.

W ogóle wtedy panowała jakaś taka podniosła atmosfera. Ludzie byli bardziej życzliwi dla siebie. Na pewno pomagało nam to, że Polak dwa lata wcześniej został papieżem. Przecież w czasie wielu sierpniowych strajków wywieszano portret Jana Pawła II. Organizowane były msze święte. Ludzie modlili się i wierzyli, że władza tym razem posłucha społeczeństwa.

Okres legalnej „Solidarności" to czas zwykłej pracy związkowej: premie, dodatki, pomoc socjalna. U nas w Redzie, mimo że leży tak blisko Gdyni, nie było wielkiej polityki. Ludzie żyli normalnie. Jak pojawiły się kartki, przyjęliśmy to z ulgą. Dlaczego?

Wiadomo, trzeba było stać w kolejkach. Wcześniej też one istniały, tyle że ludzie nie wiedzieli, czy stojąc w nich, wystarczy dla nich towaru. Po strajkach można było kupić tyle, ile wynosił przydział na kartce i ani grama więcej. Na tamten czas to było najlepsze rozwiązanie. Choć pamiętam, że co rusz pojawiały się informacje, że tony mięsa, wędlin, cukru czy innych towarów idą na wschód. Przypomina mi się lipiec 1980 roku, kiedy to w Lublinie kolejarze przyspawali pociągi do szyn. Pociągi jadące na Wschód…

Mimo że „Solidarność" działała na wielu polach i ludzie to akceptowali, czuło się jakiś strach. Czasami wracała pamięć Grudnia 1970. Te obawy wzmacniał fakt, że doszło do niego tu u nas, na Wybrzeżu. Co rusz docierały

do nas szczątkowe informacje o aresztowaniach czy przesłuchaniach działaczy opozycyjnych. Jednak chyba nikt nie przypuszczał, że nastąpi rozwiązanie siłowe w postaci wyprowadzenia wojska na ulice i zarządzenia godziny milicyjnej. Na pewno noc z 12 na 13 grudnia była dla wszystkich szokiem i zaskoczeniem. Ludzie szykowali się do świąt Bożego Narodzenia...

Kiedy internowano związkowców, kolega z Gdańska zaproponował, aby wspierać finansowo ich rodziny, które zostały bez środków do życia. Przez kilka miesięcy przy wypłacie oddawaliśmy pewną sumę na ten cel.

Stan wojenny był czasem smutnym i tragicznym, bo jednak padły strzały. Ludzie zostali zabici. Wolność została stłamszona i zamknięta w więzieniach. Ludzi upodlono, zniewolono, zaszczuto. Czołgi na ulicach zdławiły jakąkolwiek reakcję społeczeństwa. Wszędzie wojsko i milicja.

Dobrze, że wśród nieinternowanych pojawili się tacy, którzy pociągnęli innych do działania. Ważną rolę odegrali wtedy księżą. Oni wspierali nas modlitwą i dobrym słowem oraz użyczali pomieszczeń kościelnych, gdzie odbywała się działalność opozycyjna i pomocowa. Na Pomorzu osadzono wiele osób i ich rodziny potrzebowały pomocy materialnej. Wtedy zdaliśmy egzamin z człowieczeństwa, solidarności.

Popieram obecną władzę, jestem za praworządnością. Jednak nie podoba mi się, że niektórzy związkowcy bardzo zaangażowani wcześniej w sprawy sierpniowe są niczym chorągiewka na wietrze. Zmieniają poglądy i postawy, żeby jak najlepiej ustawić się po profity. Nie chcą przy tym brać odpowiedzialności. To mi się bardzo nie podoba.

Anna Maruszczak

pielęgniarka w przychodni zdrowia w Stoczni im. Komuny Paryskiej. Przewodnicząca Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”.

Pierwsze wspomnienia z okresu sprzed strajków sierpniowych w 1980 to – ładna pogoda i nastrój, który wtedy panował. No i mąż był w domu. On jest nawigatorem i akurat miał urlop. Potem, jak rozpoczęły się protesty i trwały rozmowy, dzień w dzień jeździł z synem pod stocznię i nagrywał wszystko, co się tam działo. Ja niestety chodziłam do pracy, bo nie miałam wolnego. W dodatku moja przychodnia nie mogła brać udział w proteście. Z opowiadań pamiętam, jak to wszystko wyglądało. Z pobliskich wiosek ludzie przyjeżdżali furmankami z jedzeniem i zaopatrzeniem. Mąż to wszystko nagrywał.

Pracowałam w portowym Zespole Opieki Zdrowotnej. Przychodnia na Chrzanowskiego była jednym z naszych oddziałów. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że w Stoczni im. Komuny Paryskiej wybuchł strajk i właściwie przestała ona pracować. Dziewczyny nam wszystko relacjonowały. Ponieważ placówka leżała w obrębie portu, mieliśmy raczej więcej informacji stamtąd niż ze stoczni. Tam był teren zamknięty i nie można było do niej wejść.

Już przed strajkami w Trójmieście docierały wieści o protestach na południu Polski – w Lublinie, Stalowej Woli – ale nie miałam źródła, żeby sprawdzić autentyczność tych informacji. Wiedziałam, że są strajki i że coś się dzieje, lecz nie miałam bezpośredniego kontaktu z kimś, kto by to zrelacjonował.

Na początku była euforia, zafascynowanie tym wszystkim. Jednak z każdym dniem trwania strajku narastała obawa, co się będzie działo, jak to będzie wszystko wyglądało, czy zakończy się pokojowo jakimś porozumieniem, czy nasza władza znowu wywinie nam numer.

Z drugiej strony z każdym kolejnym zakładem przyłączającym się do protestu rosła nadzieja. Myśleliśmy, że władza nie zrobi czegoś takiego jak w 1970 roku. Wówczas do zajść doszło na ograniczonym terenie, a 10 lat później sytuacja się zmieniła i komuniści nie mogli walczyć z całą Polską, nie mogli całego kraju spacyfikować. Miałam jednak nadzieję, że może papież się włączy i władza nie ośmieli się użyć siły.

Pamiętam, że bardzo przeżywaliśmy wybór Karola Wojtyły. Gdy po raz pierwszy po elekcji przyjechał z wizytą do Polski, to było coś takiego, że ściska-

ło serce, do oczu płynęły łzy. Wówczas nie wierzyliśmy, że może udać się wywalczyć wolność, że Jan Paweł II będzie osobą, która odmieni nasz los.

Pod koniec strajku, mimo zapowiedzi podpisania porozumień sierpniowych, zastanawiałam się już, co będzie później. Myślałam tak: „Pójdą, podpiszą i niby wszystko będzie w porządku, niby będzie fajnie i osiągnęliśmy to, co chcieliśmy. Ale co dalej? Czy władza zrezygnuje? Czy odpuści?".

W naszej przychodni związek zorganizowała Jagoda Greger, która pracowała jako technik RTG. Myśmy się do niego pozapisywali. Zauważyłam, że w tych pierwszych tygodniach czy miesiącach po rejestracji, jak się wchodziło do sklepu, ekspedientki mające wpięty znaczek „Solidarności" zupełnie inaczej zachowywały się w stosunku do klientów – były sympatycznie nastawione. Ogólnie odczuwało się wtedy taką więź między ludźmi.

Po rejestracji związku zaczęła się normalna, codzienna praca. Odbywały się zebrania, na których się obrywało za różne niedociągnięcia. Dopóki pracowała u nas Jagoda, która była przewodniczącą i funkcjonowała komisja zakładowa, byłam normalnym członkiem. Jako komisja próbowaliśmy pomagać pracownikom na tyle, na ile było to możliwe. W przychodni pełniłam wtedy funkcję przełożonej.

Na jej terenie działał kiosk Ruchu. Kupowało się tam gazety, kosmetyki, papierosy, czasami jakieś rajstopy. Kiedy przychodził deficytowy towar, nasza zakładowa „Solidarność" sprawdzała, ile tego jest. Pani, która prowadziła punkt, dostawała więcej, a każdy z członków po jednej sztuce. Tak reglamentowano, rozdzielano.

Wiosną 1981 doszło do poważnego kryzysu. W Bydgoszczy milicja zorganizowała prowokację wobec związku. To był taki pierwszy poważny zgrzyt w relacjach pomiędzy związkiem a władzą. O ile mnie pamięć nie myli, od tych spraw związkowych w rządzie był chyba Ciosek. Doszło do jakichś rozmów i porozumień. Mam przed oczami zdjęcia z tego szpitala, w którym leżeli Rulewski i Bartoszcze.

Mimo różnych zawirowań życie normalnie się toczyło i trzeba było sobie jakoś radzić Zaopatrzenie kulało. Wielu artykułów nie można było normalnie kupić. Władze wprowadzały kartki na coraz więcej towarów. Na szczęście mąż pracował na statku, więc przysługiwał nam większy przydział mięsa i innych rzeczy. Chodziło o to, żeby był lepiej odżywiony. Na dziecko też miałam większe porcje.

Radziłam sobie w ten sposób, że wymieniałam bony na cukier – którego wystarczało nam na długo, bo nie słodziliśmy – np. na ryż, kaszę mannę i inne produkty, które jedliśmy. Poza tym do naszej przychodni należały zakłady mleczarskie i zakłady mięsne w Gdyni, tak że było nam trochę łatwiej zdobywać podstawowe artykuły. Mąż za dodatek dewizowy przywoził sery z zagranicy, ubrania dla dziecka i inne rzeczy, których tutaj nie można było dostać. Jednak generalnie żyło się ciężko.

W 1981 roku, przed wyborami do komisji zakładowej, Jagoda Greger odeszła do pracy do Zarządu Regionu NSZZ Solidarność. Nie chciałam kandydować, ale zgłoszono mnie i panią rentgenolog ze Stoczni im. Komuny Paryskiej. Ona została przewodniczącą. Nie trwało to długo, bo zaszła w ciążę i po-

szła na urlop macierzyński. Od tamtego momentu pełniłam funkcję przewodniczącej, najpierw komisji międzyzakładowej, a później – kiedy nastąpił podział na dwie przychodnie – komisji zakładowej. Trwa to do dziś. Już mi się należy emerytura związkowa. Moją zastępczynią była Zefiryna Zuchowska i ona mi w tym pomagała.

Choć stan wojenny był dla wielu szokiem, władza się do niego szykowała. Na przełomie listopada i grudnia 1981 roku na ulicach zaczęło pojawiać się wojsko – pod pretekstem kontroli przemytników, szmalcowników. Wyglądało to na przygotowania do jakiegoś rozwiązania siłowego.

Zaczęłam się bać, ale z innego powodu. Najpierw była obawa, niepokój, a potem już autentyczny strach i towarzyszył mi długo. Pojawił się, gdy męża wywieźli na statek i zamustrowali. Urwał się z nim kontakt, nie wiedziałam, gdzie jest, co się z nim dzieje, a ja byłam z małym dzieckiem. Naturalnie mąż nie wiedział, że będzie wprowadzony stan wojenny i zabrał na statek bibułę. Chyba przez trzy miesiące nie miałam od niego żadnej wiadomości. Kiedy dzwoniłam do PLO, nie udzielali żadnych informacji. To był najgorszy okres lęku. To nie była obawa czy niepokój, tylko autentyczny strach.

Wprowadzenie stanu wojennego to był dla mnie szok. Byłam w domu. Oczywiście nikt nie wiedział, co się dzieje. Cisza. Telewizor – nic. Radio – nic. To była bardzo nietypowa sytuacja. Poszłam z dzieckiem do kościoła. Płakałam z bezsilności. W poniedziałek przyszłam do pracy. Dyrektor chyba – nie wiem tego na pewno, bo nam nie powiedział – dostał rozkaz, żeby zabezpieczyć wszystkie dokumenty i materiały „Solidarności". Na szczęście myśmy to wcześniej schowali i zabezpieczyli.

Zaraz po 13 grudnia dotarła do mnie informacja, że mąż mojej zastępczyni został aresztowany i nie było wiadomo, gdzie przebywa. Mężów innych koleżanek z portu też zatrzymali i również nie wiedzieliśmy, dokąd ich wywieziono. Kadrową była wtedy pani z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Przyszła do niej pracownica i zapytała, czy wie, gdzie jest jej mąż. Jak ona się na nią wydarła…

Mimo aresztowań, godziny milicyjnej, obecności współpracowników Służby Bezpieczeństwa i wojska, na terenie zakładu odbywały się spotkania i rozmowy członków „Solidarności". Przeprowadzaliśmy zbiórki i organizowaliśmy pomoc. Ulotki czy pisma trafiały tylko do zaufanych. W ogóle staraliśmy się z obcymi nie rozmawiać. W piwnicach mieliśmy magazyn bielizny. Czasami wychodziło się do niego pod pozorem układania czegoś i tam rozmawiało. Wisiał nad nami strach, ponieważ okazało się, że jedna z lekarek była TW. Zresztą dyrektor też był TW.

Mnie ani moich bliskich represje nie dotknęły. Nikt z członków zakładowej „Solidarności" ani z komisji zakładowej nie został aresztowany ani internowany. Jagoda się trochę obawiała, ale jakoś ją to wszystko ominęło. „Odsiew" zrobili raczej w zakładach przemysłowych.

W naszej parafii co tydzień po mszach rozdawano paczki. Przysługiwały one zwłaszcza rodzinom z dziećmi. Każdy maluch uczestniczący we mszy dostawał paczkę. To były różne rzeczy: olej, cukier, jakieś słodycze.

Oprócz wstrząsu stan wojenny wywołał we mnie olbrzymi bunt. Wtedy już się nie bałam, wręcz przeciwnie – była we mnie złość. Gdybym miała możliwość, gdyby mi dali broń do ręki, to bym ich wszystkich… Nie wiem, co bym z nimi zrobiła… Ubiła… Telefony wyłączone. Żeby przedostać się z miasta do miasta, trzeba było mieć przepustkę.

Moja mama mieszkała w Będzinie, a siostra w Dąbrowie Górniczej. Mama zmarła w czasie stanu wojennego. Miała prawie 70 lat. Była chora na serce; dostała zapalenia płuc i zanim nadeszła pomoc, było za późno. Jadąc na pogrzeb, musiałam mieć zezwolenie i przepustkę. Można stwierdzić, że mama jest ofiarą Jaruzelskiego i stanu wojennego. Nikt mi nie powie, że nie.

Mówi się, że w kopalni „Wujek" zginęło dziewięciu górników, ale nikt nie policzył, ilu takich bezimiennych ludzi jak moja mama straciło życie na skutek stanu wojennego. Bo nie dojechała pomoc, bo nie można było zadzwonić…

Dostałam telefon z poczty z powiadomieniem o śmierci mamy. Ale ja zadzwonić już nie mogłam. To była podwójna bezsilność, która tkwiła we mnie przez bardzo długi czas. Psychicznie odżyłam dopiero przy okazji pielgrzymki papieża w 1983 roku. Myśmy na nią pojechali. Działo się coś podobnego jak podczas pierwszej wizyty w 1979 roku. Byliśmy wtedy ze znajomymi w Poznaniu. Niby było spokojnie, ale czuło tę podniosłą atmosferę.

Cały czas wierzyliśmy, że komuna przegra. Mimo zakazu legalnej działalności podziemie istniało. To nie było tak, że zabronili i koniec. Dlatego też drugą podróż ojca świętego do Polski odbieraliśmy zupełnie inaczej. Ponownie pojawił się w nas ten Duch, o którym Jan Paweł II mówił cztery lata wcześniej i to postanowienie, że trzeba coś robić, że dosyć tego!

Myślę, że władza wiedziała, iż wiara podtrzymuje ducha w narodzie i dlatego postanowiła go złamać. Stąd porwanie i morderstwo księdza Jerzego. To było straszne i przerażające. Nie mogliśmy uwierzyć, że oni jednak się odważą i coś takiego zrobią. Uważam jednak, że ta okrutna zbrodnia bardziej nas zjednoczyła, niż pozbawiała nadziei. Rola wiary, kościoła była olbrzymia.

Bardzo ważna była dla nas wizyta ojca świętego na Wybrzeżu w 1987 roku. Pojechałam do Gdańska. Nie szłam potem na zadymę, bo byłam z dzieckiem, przyjaciółką i jej synem. Musiałam ich bronić, więc nie mogłam sobie na to pozwolić. Chociaż rok później podczas strajków szłyśmy również z dziećmi i jakoś się nie bałyśmy.

Mimo że nie uczestniczyłam w typowym życiu podziemnym, w pewnym stopniu angażowałam się w działalność opozycyjną. W moim przypadku bardziej odbywało się to poprzez ulotki, odezwy, spotkania. Byłam sama z dzieckiem, więc na więcej nie mogłam sobie pozwolić. To nie był żaden heroizm. Jak wiedzieliśmy, że ktoś może fotografować z ukrycia, spotykaliśmy się ukradkiem. W przychodni pracowały dwie, trzy osoby, którym się ufało i wiedzieliśmy, że nas nie wydadzą.

W maju w 1988 docierały do nas informacje o strajkach w Krakowie i Stalowej Woli, ale już nie z taką siłą jak te o protestach sprzed ośmiu laty. Co prawda pobudzały myślenie o zebraniu się do kolejnego zrywu, ale nie wywoływały już takiej nadziei jak pierwsze strajki. Przynajmniej we mnie.

Natomiast Sierpień 1980 to był fenomen. Wyzwolił olbrzymią nadzieję, olbrzymi potencjał i wiarę w to, że w końcu możemy żyć inaczej. Że możemy zrzucić jarzmo tych kilkudziesięciu lat niewoli. To była niewola – inaczej nie da się tego określić.

Wtedy wstąpił w nas optymizm, że może w końcu nam się to uda, że po tylu latach nastanie coś, co będzie można nazwać wolnością. Pojawił się ten duch wolności, taki powiew swobody. Miałam takie uczucie, jakbym urosła, zyskała skrzydła.

Jednak później spore rozczarowanie wzbudziły we mnie podziały w związku. Na spotkaniach w siedzibie „Solidarności" w Gdańsku mówiono, że Wałęsa nie jest czysty. Ponoć mieli podejrzenia czy nawet byli pewni tego, że on był współpracownikiem, a w stoczni wcale płotu nie przeskoczył. Utkwiło mi w pamięci, że Alina Pieńkowska powiedziała wtedy: – Ale ja nic na ten temat nie wiem.

Dobrze pamiętam jej słowa. Była tam jeszcze Teresa Kamińska. Czasami są takie małe fragmenty, wyrywki sytuacji, które zostają w pamięci na zawsze i nie da się ich wymazać.

Z tamtych lat pamiętam również ojca, jak przy pozamykanych, pozasłanianych oknach siedział z uchem przy radioodbiorniku i słuchał Radia Wolna Europa. Ojciec był piłsudczykiem, jako ochotnik brał udział w bitwie warszawskiej. On z mamą przekazali mi tę „miłość" do naszej powojennej władzy.

W moich czasach licealnych było wiadomo, że nauczyciel od przysposobienia wojskowego to tajny współpracownik. Była też nauczycielka rosyjskiego Wiera Illinicz-Nalewkowicz – tak kazała sobie mówić. Ona z mężem została oddelegowana do Będzina. Jej mąż był wojskowym. To znaczy, że kim był? No kim?

O mały włos by mnie ze szkoły nie wywalili, bo zapytałam nauczycielkę na lekcji historii, czy wie coś na temat Katynia. Biedna mama, potem została wezwana do szkoły…

Aleksandra Mietlicka

z wykształcenia jest architektem, absolwentką Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej. Obecnie Prezes Zarządu Dalmor SA. Pełniła różne funkcje w Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność", m.in. w Sekretariacie Kultury, była Prezesem Funduszu Gospodarczego. W okresie pracy w KK NSZZ „Solidarność" współpracowała z zagranicznymi narodowymi i międzynarodowymi organizacjami związkowymi, przeprowadziła afiliację NSZZ „Solidarność" do Związkowego Komitetu Doradczego przy OECD. Była Sekretarzem Generalnym RS AWS. Aktywnie działa w Stowarzyszeniu „Solidarni ze Stocznią Gdańską", uczestniczy również w przedsięwzięciach edukacyjno-formacyjnych, jest członkiem Klubu Myśli Jana Pawła II.

To, że z tamtym systemem nie jest mi po drodze, wyssałam z mlekiem matki. W mojej rodzinie panował po prostu antysocjalizm. Nie akceptowaliśmy tamtych zasad, sposobów działania i przede wszystkim światopoglądu. Jednak zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że jakoś musimy żyć w tamtej rzeczywistości. Babcia, która pochodzi z Kujaw, a jej ojciec był przed wojną kolejarzem, wpoiła nam reguły oparte na prawdzie i wierze. To była rodzina dbająca o tradycję. Mimo że rodzice mieli swoje mieszkanie, mieszkałam z babcią.

Pierwsze tragiczne wspomnienie mam z grudniowego poranka 1970 roku. Dziadek wszedł do domu i powiedział: – Dzisiaj nie idziecie do szkoły.

Był przy tym bardzo przejęty. Wspomniał coś o wojnie, rozruchach i niebezpieczeństwie, co absolutnie nakazywało nam go posłuchać. Myśmy mieszkali na Wachowiaka, takie poniemieckie domki.

Pamiętam również latające helikoptery. Przez okienko na strychu z siostrą oglądałyśmy, jak milicja gania młodych chłopaków z zabandażowanymi głowami. Widziałam też, jak przez okna wrzucali gaz. Miałam wtedy 12 lat.

Później dużo dyskutowało się o Gierku. Wiem, że rodzina nie ufała mu, „nie kupowała" jego zapewnień o lepszej przyszłości, choć jeszcze bardziej miała dosyć siermiężnego Gomułki. Pamiętam, że ojciec w marcu '68 był w Warszawie i potem opowiadał o tych rozruchach na Krakowskim Przedmieściu.

Lata 70. to takie pudrowanie trupa. „Coś się musi wydarzyć" – cały czas powtarzała babcia. Rok '76 przyjęłam już bardziej świadomie. Już rozumiałam, że władza niszczy wszelkie niezależne działania, a na protesty reaguje przemocą.

Ale nagle stał się cud. Polak został wybrany papieżem. W naszej rodzinie to było jak święto. Ogromna radość, że Pan Bóg się nad nami pochylił i ustanowił naszego kardynała na tronie Piotrowym. Dało nam to nadzieję. Nie wiedzieliśmy absolutnie, co to może oznaczać, ale podświadomie czuliśmy, że będzie miało swój ciąg dalszy.

No i ten cud nastąpił w postaci słów: „Niech zstąpi Duch Twój!". Miałam wtedy 20 lat i byłam studentką. Po pierwszej transmisji szybko podjęłam decyzję, że trzeba jechać do Krakowa. Należałam do GODA (Gdyński Ośrodek Duszpasterstwa Akademickiego. Skontaktowałam się z przyjaciółmi i namówiłam do wyjazdu. Tak naprawdę to nie musiałam ich przekonywać.

Słowa papieża odczytałam jako wezwanie – obudźcie się i działajcie! Gdzieś podskórnie wiedziałam, że to jest początek czegoś nowego. Wtedy uzmysłowiłam sobie, że uczestniczę w samoistnym policzeniu się.

W Krakowie poczułam inną atmosferę, nową, dotąd nieznaną. To miasto było enklawą wolności i wiary. Wyzwoliło się wówczas takie poczucie wspólnoty. Echa mszy na Błoniach do tej pory we mnie pobrzmiewają i cały czas determinują moją postawę.

W środowisku było już głośno o niezależnych strukturach – KOR-ze, Wolnych Związkach Zawodowych Wybrzeża, Ruchu Młodej Polski. Już wiedziałam o corocznych spotkaniach pod bramą Stoczni Gdańskiej, w miejscu tragedii Grudnia '70.

Babcia cały czas powtarzała, że coś musi się wydarzyć. I wykrakała *(śmiech)*. Nadszedł sierpień 1980 roku. W Gdyni – oprócz stoczni – stanęła komunikacja miejska. Zajezdnia była położona blisko nas i stąd szybko mieliśmy tę informację. Najpierw – wyposażeni w aparat fotograficzny – pobiegliśmy tam, by dokumentować historię, która dzieje się na naszych oczach. Wtedy szybko zdecydowaliśmy, że trzeba jechać pod stocznię.

Cały czas dopingowało się strajkujących. Zawsze zawoziłam im jedzenie. Towarzyszyło mi takie uczucie, że muszę tam być. Na terenie zakładu ks. Jankowski odprawiał msze. Pamiętam tę masę ludzi, w tym wielu turystów i zagranicznych.

Jednak nie było pewności, że wygramy. Było raczej odwrotnie: sporo niepewności i zastanawiania się, jak zareaguje władza. Cień Grudnia '70 ciążył. Dopiero z czasem, jak dołączały kolejne zakłady w całym kraju i przysyłały swoich przedstawicieli – o czym informowano zebranych przed bramą – rosła nadzieja, że wreszcie może się uda i władza zgodzi się na niezależne związki zawodowe. Latałam wszędzie, gdzie się dało – pod stocznię w Gdyni też. W każdym miejscu zabierałam ulotki, gazetki, żeby dokumentować historię.

Bieganie pod strajkujące zakłady przeplatałam staniem w kolejkach. Raz robiła to babcia, raz mama, raz siostra. Przecież jeść trzeba było. Kontaktowałam się też z ludźmi z uczelni. Wszyscy byli podekscytowani i pełni nadziei. Wiedziałam, że w działania studenckie zaangażowany jest np. Jacek Jancelewicz.

Ja jako studentka nie miałam poczucia ani potrzeby organizowania się. Oczywiście wiedziałam, że tworzy się Niezależne Zrzeszenie Studentów, ale dla mnie ważniejszy był ogólnopolski ruch społeczny.

W Szczecinie porozumienie podpisano w sobotę, 30 sierpnia, i to był dla nas sygnał. W niedzielę już od świtu byłam pod stocznią, zabrałam się z Gdyni na stopa. Nastąpił wybuch radości, euforii, gdy Wałęsa przy bramie ogłosił zwycięstwo.

Wtedy postanowiłam, że rzucę się w wir powstającej „Solidarności". Zaczęłam jeździć do Wrzeszcza do MKZ-tu i pomagać. Pracy był ogrom. Robiłam to ze świadomością, że trzeba pracować dla Polski, dla ojczyzny. W MKZ-cie wykonywałam proste rzeczy: przynieść, zanieść, przygotować salę dla prawników, zrobić kawę. Mówiąc dzisiejszym językiem, byłam wolontariuszką.

Poznałam tam wiele osób. Zaczęliśmy na swój sposób budować nowe środowisko. Dotarło do mnie, że robotnicy to tacy sami ludzie jak ja, fajnie się z nimi rozmawia, mają jasno określone cele, są zdeterminowani i potrafią walczyć o swoje. Ta grupa właśnie nas, naród, poniosła. To robotnicy stanęli do walki, która wtedy okazała się zwycięska.

Przez MKZ przewijały się różne osoby, w tym wiele znanych twarzy. Wtedy wszystkie drogi wiodły do Gdańska. Potem widziało się je w telewizji. Uzmysłowiłam sobie, że uczestniczę w czymś, co może i mnie doprowadzić do poziomu, gdy będę sprawczynią zmiany.

Pamiętam spotkanie z Wałęsą w Gdyni na stadionie. Pokazał się jako taki rasowy trybun ludowy. Masa ludzi przyszła wtedy go posłuchać. On wiedział, jak i co mówić. Ludzie bardzo żywo reagowali na jego słowa. Wyrażał te wartości, w które wierzyli. Co się potem okazało, to już inna historia. W każdym razie wtedy społeczeństwo bezapelacyjnie mu wierzyło. Zrozumiałam wtedy, że jako studentka winna jestem współtworzyć intelektualne zaplecze „Solidarności". Może właśnie dlatego nie zapisałam się do NZS-u? Za to cały czas działałam w GODA.

Studiowałam architekturę na Politechnice Gdańskiej. Wymagało to ode mnie dużego zaangażowania czasowego. Jednak robiłam wszystko, by z jednej strony nie zostawać w tyle na uczelni, a z drugiej na bieżąco uczestniczyć w działaniach związku. Byłam wolnym strzelcem, który z czasem zaczął przynosić informacje. Zżywałam się z ludźmi z komisji krajowej. Byłam w obsłudze zjazdu Solidarności. Rozdawałam na nim materiały. Uczestniczyłam w prowadzeniu biura tego wydarzenia.

Mocnym przeżyciem było dla mnie odczytanie Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej. Widziałam te spięcia i nerwowe dyskusje. Cały czas zastanawiałam się, czy to się uda, czy władza będzie ustępować przed kolejnymi postulatami związku. Mimo tej siły i masy członków miałam wątpliwości. Władza cały czas kąsała. Brałam pod uwagę nawet możliwość interwencji sowieckiej.

Bardzo dobrze pamiętam marzec 1981 roku. Po pobiciu w Bydgoszczy Jana Rulewskiego i innych działaczy trwały przygotowania do strajku generalnego. Wtedy nabrałam wątpliwości co do Wałęsy. Dogadał się z rządem i sam odwołał pogotowie strajkowe.

Gdy Ali Agca strzelał do papieża, od razu stwierdziłam, że ukartowały to komunistyczne służby. Sowieci bali się, że Jan Paweł II swoimi działaniami do-

prowadzi do upadku bloku wschodniego, a może nawet rozpadu Związku Sowieckiego. W sumie pośrednio to zrobił, ale potrwało to jeszcze kilka lat.

Gdy doszło do zamachu, poczułam diabła po drugiej stronie. Papież przeżył. Człowiek strzelał, a Pan Bóg uniósł te kule. To przeżycie było dla mnie bardzo dramatyczne. Traktowałam je jako walkę zła z dobrem. Trzeba pamiętać, że niemal w tym samym czasie przeprowadzono zamach na Ronalda Reagana.

W tamtym okresie byłam radykalna. Uważałam, że cały czas trzeba stawiać krok dalej, zdobywać przyczółki i odbierać komunistom jak najwięcej przestrzeni. Zdawałam sobie sprawę, że może dojść do konfrontacji. Pojawienie się inspekcji robotniczo-chłopskich uznałam za sygnał pokazujący, że władza nie zamierza odpuścić. Po pacyfikacji Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej zrozumiałam, że doszliśmy do ściany w relacjach z komunistami. Miałam przeczucie, że to się źle skończy.

Ludzie w krajówce i zarządzie gdańskim ścierali się coraz mocniej o strategię rozmów z władzą. Ja z jednej strony zgadzałam się z Gwiazdą, że trzeba być twardym, a z drugiej wierzyłam w intuicję Wałęsy, w jego nawet „ósmy" zmysł. Byłam skłonna wybrać jego opcję, choć docierało do mnie, że ma coś za uszami. Chodziło o lata 70., w których on ponoć coś podpisał i współpracował ze służbami tajnymi PRL.

W sobotę 12 grudnia 1981 byłam w domu. Jakoś tak wyszło, że nie uczestniczyłam w obradach komisji krajowej. Ktoś inny miał dyżur. Rano, 13 grudnia, włączyliśmy radio, a w nim gadał Jaruzelski. Wyłączyliśmy i po jakimś czasie znów włączyliśmy. A tam – ciągle Jaruzelski. Wtedy okazało się, że jest stan wojenny. Nie spędziliśmy razem tej nocy. Mama wyjechała z Gdyni. Tata był z najmłodszym u siebie w domu, ja z siostrą – u babci.

Najpierw się odnajdywaliśmy i upewnialiśmy, czy wszystko jest w porządku. W kościele Najświętszej Marii Panny panowało przygnębienie. Po mszy rozmawialiśmy i sprawdzaliśmy, kto jest, a kogo aresztowali.

Od poniedziałku zaczęliśmy się szukać w gronie osób zaangażowanych w „Solidarność". Stworzyliśmy listy zatrzymanych. Ustalaliśmy, kto się ukrywa, kto może ukrywać, jak zorganizować pomoc, jedzenie, „lewe" dokumenty, komu można ufać, kto raczej przeszedł na stronę władzy – takie standardowe przygotowania do walki. Cały czas nie dowierzaliśmy, że władza zdecydowała się na taki ruch.

Potem z siostrą zaczęłyśmy ręcznie pisać ulotki. Pewnego dnia wypadły nam one w autobusie spod płaszczy, ale obyło się bez konsekwencji.

Na politechnice rektor zawiesił zajęcia, więc mogłam bardziej zaangażować się w pomoc w ramach duszpasterstwa. Tak powoli, łapiąc kontakty z ludźmi z podziemia, zaczynałam w nie wchodzić. W kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa wzięłam udział w uroczystości upamiętniającej Grudzień '70. Była to pierwsza manifestacja mojej postawy.

Po latach zastanawiałam się, kiedy pierwszy raz podniosłam rękę ze znakiem victorii. Zrobiłam to na jednej ze mszy za ojczyznę. Zrozumiałam, że to był ten moment jednoznacznego określenia się.

Bardzo szybko dotarło do nas, że mieszkamy w państwie policyjnym. Objawiało się to na każdym kroku. W urzędach trzeba było załatwiać masę spraw, przybyło nowych druków. Weszły pozwolenia, przepustki na przemieszczanie się z miasta do miasta. Nie działały telefony. Korespondencję cenzurowano. Do tego podsłuchiwano i zakazano zgromadzeń. Tak ograniczano wolność.

Wtedy jedynym wiarygodnym medium były Radio Wolna Europa i Głos Ameryki. Tego się słuchało ze świadomością, że nie jest to legalne. Wszak władza próbowała zagłuszać te stacje. Poprzez reżimowe rozgłośnie i telewizję podważała wiarygodność przekazywanych w RWE i GA informacji i ośmieszała tych, którzy w nich występowali. My jednak słuchaliśmy, bo to właśnie one podawały informacje o internowanych, planowanych akcjach, demonstracjach i – przede wszystkim – podnosiły na duchu.

Stan wojenny, jego rozmiar i związane z nim represje, sprawił, że mój dotychczasowy brak akceptacji systemu przerodził się w czynny bunt. Mimo strachu spowodowanego tym, że komuna podniosła się na długie lata i była silniejsza, niż nam się wydawało, postanowiłam bardziej zaangażować się w walkę z nią.

W środowisku solidarnościowym pojawiały się głosy, że byliśmy słabo przygotowani na taką ewentualność jak stan wojenny, że komuna uśpiła naszą czujność. Znów pojawiły się informacje o agenturalnej przeszłości Lecha Wałęsy. Panowało mocne przeświadczenie, że obóz władzy wszędzie ma swoich agentów, donosicieli, szpiegów. Z tych rozmów wysnuł się jeden wniosek – oni nadal są silni!

W lipcu 1982 po zakończeniu roku akademickiego wyjechałam na naukową wycieczkę na Dolny Śląsk. Po drodze z grupą znajomych kupiliśmy świece i namalowaliśmy na karoserii i szybach różne hasła typu: „Precz z komuną", „Uwolnić Lecha", „Solidarność zwycięży". Zrobiliśmy to bardziej dla śmiechu niż wzmocnienia pewności siebie, bo przecież autokar pomazany świeczką nie mógłby zagrozić ustrojowi. Jednak okazało się, że ten nasz happening odebrano jako bardzo poważną antypaństwową manifestację. Na jakiejś stacji benzynowej zatrzymał nas esbek i zgarnął na komendę milicji.

Zaczęła się, kolokwialnie rzecz ujmując, jazda. Do esbeków i milicjantów nie docierały słowa naszych wykładowców, że to młodzieńcze wygłupy, że to nie ma nic wspólnego z polityką. Starliśmy napisy i pojechaliśmy dalej zgodnie z programem wycieczki.

Wróciliśmy do Gdańska, a tu awantura rozkręciła się na nowo: wezwania na komendę, przesłuchania, zastraszanie, skreślanie z listy studentów, szykany. Wtedy dotarło do nas, jak działa machina przemocy i inwigilacji. Gdyby nie osoby z dziekanatu i rektor, pewnie żadne z nas studiów by nie skończyło... Kadra naukowa nieźle się nagimnastykowała, by uchronić nas przed poważnymi konsekwencjami tego wybryku. Wysłała nas na urlopy dziekańskie, tymczasowo zawiesiła, chwilowo wykreśliła z listy studentów itp. Wykładowcy musieli cały czas zachowywać pozory.

Po przywróceniu na studia część z nas dostała nakaz pracy. Przykładowo ja byłam robotnikiem budowlanym. Z jednej strony było to absurdalne, że grupka studentów malując woskiem hasła na autokarze, może zagrozić wielkiemu

aparatowi rządzącemu krajem. Z drugiej pokazywało naszą siłę, bo oni rzeczywiście przestraszyli się tego „antysocjalistycznego" autobusu. Dla nich najwidoczniej ważne było też to, że my byliśmy studentami z Gdańska. Oni potraktowali naszą grupę jako jakichś emisariuszy wiozących wici rewolucyjne.

Nam, jak malowaliśmy te napisy, nawet przez myśl nie przeszło, że wywoła to taki skutek. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak wielkimi wrogami socjalistycznej ojczyzny jesteśmy. Natomiast miłym zaskoczeniem była postawa władz uczelni.

Gdy już trafiłam do stoczni z nakazem pracy, odcięto mnie od robotników. Dostałam swoje biurko i tam miałam cały czas siedzieć i w ogóle się stamtąd nie ruszać. Pierwotnie budowlańcem miałam być przez dziewięć miesięcy, ale już po trzech rektor pozwolił nam napisać podanie o zakończenie przymusowej pracy i powrót na zajęcia. Ja jednak uznałam ten rok za stracony i do nauki wróciłam dopiero w kolejnym październiku.

Ta cała sytuacja stanowiła dla mnie kolejne doświadczenie i jednocześnie wzmocnienie, gdyż tak naprawdę wygrałam dość poważną batalię z władzą. Uświadomiła ona również mi i moim kolegom, że władza się nas się najzwyczajniej w świecie boi.

W 1982 roku uczestniczyłam w demonstracjach w Gdyni. Miałam aparat i robiłam zdjęcia.

Przykładowo 1 maja uchwyciłam zomowców z tymi wielkimi plastikowymi tarczami. Ta manifestacja pokazała, że jednak nie wszystkich udało się im złamać, że są nowi, młodzi, gotowi do walki z komuną. Odważyliśmy się wtedy wyjść na ulice, by pokazać, że nie damy się stłamsić, zgnieść. Po mszy szliśmy z kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa do krzyża przed urzędem miasta, wtedy przy ul. Czołgistów. Oczywiście podążali z nami robotnicy. Pokazało to, że nie daliśmy się podzielić, że robotnicy idą pod rękę ze studentami.

Pod koniec '82 roku włączyłam się w kolportaż. Piotr Milewski organizował bibułę. Odbierał ją od kurierów przyjeżdżających m.in. z Warszawy. Również w Trójmieście sporo się drukowało. Moje zaangażowanie polegało na tym, że w mieszkaniu babci zorganizowałam punkt rozdziału nielegalnych wydawnictw. Kurierzy je przywozili, a kolporterzy odbierali i rozprowadzali po mieście. Przychodziły do mnie dwie osoby, a ja zawoziłam do trzeciej. Odbywało się to w miarę systematycznie.

Robiłam to z pełną świadomością, że w każdej chwili mogą zjawić się tzw. smutni panowie. Uważałam i kontrolowałam swoje zachowania. Mimo jakichś obaw wiedziałam, że muszę kolportować. Do tego jeszcze zbierałam fundusze na pomoc dla rodzin internowanych. Starałam się zachowywać wszystkie reguły konspiracji. Babcia zaakceptowała moje działanie w podziemiu.

Wtedy już inaczej traktowałam kolegów i koleżanki. Nie łatwo było się ze mną zaprzyjaźnić. Zresztą unikałam nowych znajomości. Starałam obracać w kręgu tych, których znałam. W działania wtajemniczyłam sąsiadkę, której ufałam. Było to na wypadek mojego aresztowania – ona mogła wyczyścić mieszkanie.

Po spotkaniu z ojcem świętym w Krakowie w '79 roku postanowiłam, że jak papież znów odwiedzi Polskę, to pojadę go zobaczyć na żywo. Dlatego w 1983 trafiłam na Stadion Dziesięciolecia i oczywiście do Krakowa. Na mszy czuć było niesamowicie pozytywną energię, niemal jakby Duch Św. zstąpił. Jan Paweł II stanowił taki promyczek w tej polskiej szarości. Potrzebowaliśmy jego obecności i działalności. Pielgrzymka miała nas pokrzepić po traumie stanu wojennego i dramatycznym 1982 roku.

Jak zapewne wielu ludzi, nie tylko z „Solidarności", mocno przeżyłam zamordowanie przez esbeków księdza Popiełuszki w 1984 roku. Pojechaliśmy grupą z duszpasterstwa na pogrzeb do Warszawy. Tego dnia stolica była smutna, dżdżysta, taka trochę bez wyrazu, jakby straciła coś albo kogoś bardzo ważnego. I ta przeogromna rzesza uczestniczących w ostatniej drodze ks. Jerzego. Do tej pory śmierć Popiełuszki jest dla mnie potworna. Żal potęguje fakt, że wielu z tych, którzy mieli wpływ na zamordowanie duchownego, dziś opływa w luksusy.

W 1985 roku w Święto Pracy razem z koleżanką wybrałyśmy się już tradycyjnie pod krzyż Grudnia '70 przed urząd miasta. Ludzi przybywało. Zaczęliśmy śpiewać „Boże coś Polskę" i modlić się. Okolicę obstawiło ZOMO. W pewnym momencie nakazali się rozejść. Twierdzili, że uczestniczymy w nielegalnym zgromadzeniu. Część odeszła, część została. Ja uklękłam. Nagle poczułam, jak mnie do góry podnoszą, a potem pakują do nyski... Tak zostałam zatrzymana. Zawieźli mnie do aresztu gdyńskiego, od strony Starowiejskiej. Wtedy wyłapali sporo ludzi. Do mojej celi trafiły dwie starsze panie. Z korytarza ciągle dochodził hałas otwieranych i zamykanych drzwi cel i głosy nowych chłopaków, zatrzymanych cały czas przybywało.

Trzymali nas trzy dni. Dawali chleb ze smalcem lub margaryną i czymś czarnym. Nie jadłam tego. Miałam przy sobie jakieś kawałki gazety i ołówek, więc robiłam zapiski. Następnie przewieźli nas na kolegium do urzędu miejskiego. Tam po kolei wzywali i orzekali kary pieniężne. Jak doszło do mnie, to stwierdzili, że skoro jestem studentką, wymierzają karę trzech miesięcy aresztu.

Gdy wróciłam do izby zatrzymań, strażnicy traktowali mnie dość przyzwoicie, pozwolili się wykąpać i przekazali słoik z jedzeniem od mamy. Moją babcię ostrzegła koleżanka, która była ze mną pod krzyżem. Na wszelki wypadek wyczyścili mieszkanie.

Uzasadnienie mojego zatrzymania było takie, że ja jako studentka – w domyśle: osoba inteligentną – muszę brać odpowiedzialność za swoje czyny. W związku z tym należało mnie przykładnie ukarać. Pogrążył mnie milicjant, który powiedział, że nie posłuchałam wezwania do rozejścia, tylko cały czas śpiewałam „Boże coś Polskę".

Dość surowa sankcja była efektem recydywy i stanowiła pokłosie sprawy z napisami na autobusie. Postanowiłam się odwoływać. Zabrali mnie do Gdańska na Kurkową, gdzie trafiłam do sześcioosobowej celi z kryminalistkami. Potem cały czas mnie przenosili.

W zakładzie szło wytrzymać wszystko. Jedynie myśli o najbliższych nie dawały spokoju. Zastanawiałam się, co u nich, czy też ponoszą jakieś konsekwencje, co sobie wyobrażają… Jednak przerażał mnie język osadzonych, prze-

kleństwa używane jak przecinki. Jak na zbawienie czekałam na czas spaceru, ponieważ wtedy mogłam zostać sama i nie słuchać ich pełnych przekleństw rozmów.

Ostatecznie odsiadkę skrócono mi do dwóch miesięcy. W tym czasie na Kurkowej siedzieli także Michnik, Lis i Frasyniuk. Bardzo chciałam się z nimi skontaktować.

Po wyjściu na wolność najnormalniej w świecie wróciłam do konspiracji i dystrybucji bibuły. Zatrzymanie mnie wzmocniło i jeszcze bardziej zmotywowało do walki z systemem. Podczas rozprawy w sądzie – widząc tych ludzi, którzy przyszli, by być ze mną, wesprzeć w trudnych tygodniach – przeżyłam jedną z najpiękniejszych chwil w życiu. To było coś, czego nie da się opisać. Przede wszystkim wielkie pokłady dobroci płynące od moich przyjaciół i ta ogromna, potężna energia od nich emanująca. Była ze mną rodzina, ludzie z duszpasterstwa i sąsiadka. Ich obecność podbudowała mnie. Ale moja siła wynikała też z wiary.

W 1985 roku na czele ZSRR stanął Gorbaczow. Jego postawa mnie zaskoczyła. My tu prawie zrezygnowaliśmy, a on nagle wprowadził *pierestrojkę* i ogłosił *głasnost*. Jaruzelski przy sekretarzu z Moskwy był taką polską smutą i do tego w czarnych okularach.

Drugą wielką niespodzianką w tamtym okresie była wiadomość, że ojciec święty odwiedzi tym razem Trójmiasto. To był 1987 rok. Pamiętam te udekorowane domy i radość na ulicach. Znów wszyscy byli razem. W kolejce spotkałam Lityńskiego, z którym dziś nie jest mi po drodze, ale wtedy to było nieważne. Mieliśmy poczucie absolutnej wolności. Ono było abstrakcyjne w kontekście tego, co działo się dookoła.

Papież znów podniósł nas na duchu i przekazał dużo dobrej energii. Jednak wtedy w ogóle nie przyszło mi do głowy, że oto znów jestem świadkiem wezwania do „odnowy ziemi, tej ziemi" i że za dwa lata będzie już po częściowo wolnych wyborach. Bardzo mi utkwiły słowa, w których prosił o myślenie długofalowe, w dalszej perspektywie. Euforię wyzwoliło słowo solidarność, które Jan Paweł II mocno zaakcentował.

W maju '88 pracowałam jako architekt w Zieleniaku w Gdańsku. Po majowym strajku zaczęliśmy bardziej otwarcie rozmawiać o powrocie legalnej „Solidarności". Widać było, że w podziemnym środowisku do głosu dochodzą młodzi, którzy z racji wieku nie strajkowali w 1980 roku.

Stocznia Gdańsk zorganizowała strajk solidarnościowy, by w ten sposób poprzeć protestującą Nową Hutę. Kontaktowałam się ze strajkującymi, przenosiłam ulotki i zbierałam informacje ze stoczni. Przy ogromnym oporze młodych Lechu nakłonił uczestników do wyjścia z zakładu. Tłumaczył to możliwością pacyfikacji.

Dla mnie to wyjście było bardzo smutne. Przecież przed stocznią – poza ZOMO – nikt nie stał, było puściutko. Byłam przy tym i robiłam zdjęcia. Pamiętam to jako trudne przeżycie. Obserwowałam wcale nie triumfalne wyjście ze strajku, tylko z takim poczuciem porażki. Jednak młodzi stoczniowcy mówili, że będzie ciąg dalszy...

W lipcu zaczęły się manifestacje, takie dość dziwne. Dołączyliśmy do nich. Jeździło się z gitarą, śpiewało zakazane piosenki – jak za okupacji – i rozdawało ulotki. Dużo szumu robili młodzi stoczniowcy z organizacji Dym. Obowiązkowo co niedziela chodziło się do kościoła św. Brygidy, a po mszy – na manifestację.

Od czasu do czasu ZOMO coś tam próbowało robić, jakoś przeciwdziałać. Jednak było widać, że i oni nie do końca wiedzą, w jakim kierunku rozwinie się sytuacja, i że być może niebawem ktoś inny będzie wydawał im rozkazy.

Wówczas młodzi byli przekonani, że już teraz nie mogą odpuścić. Ta postawa udzielała się również mnie. Podczas strajku sierpniowego w '88 byłam już wewnątrz stoczni. Znów odbywały się dyskusje – wychodzimy czy zostajemy. W tym przypadku uznano, że teraz to już musimy coś dostać od władzy. Młodzi opozycjoniści wcale nie chcieli się zgodzić na okrągły stół. Sytuacja diametralnie się zmieniła. Komuniści zmienili retorykę. Dogadywanie się Wałęsy z komunistami młodzi traktowali jako zdradę. Ja przekonywałam, że trzeba spróbować porozumieć się z władzą.

Na przestrzeni lat wielu ludzi zmieniło swoją ocenę okrągłego stołu. Kiedyś Kornel Morawiecki [przywódca Solidarności Walczącej – red.] sprzeciwiał się temu porozumieniu, a teraz mówi, że jednak to było dobre rozwiązanie. Natomiast ja wtedy opowiadałam się za okrągłym stołem, a teraz uważam, że umowa z władzą była złym posunięciem opozycji.

Małgorzata Miotke

w latach '80 pracowała jako nauczycie języka niemieckiego w Szkole Podstawowej nr 41 na Obłużu. Później w Stoczni Gdynia. Obecnie pracownik Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej.

W grudniu 1970 miałam 14 lat. Byłam w siódmej klasie szkoły podstawowej i nigdy nie miałam do czynienia ze środowiskiem robotniczym. Moi rodzice jakoś wpasowywali się w rzeczywistość socjalistyczną. Nie byli wielkimi działaczami partyjnymi, ale – po swoich przejściach wojennych – dostosowywali się do realiów. Chcieli po prostu jakoś żyć. Mama pracowała w prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Była na kierowniczym stanowisku, więc wiadomo, co się z tym łączyło. Przykre to, ale tak było. Tato wtedy już nie żył – zmarł w maju 1970 roku.

Mieszkałam przy ul. Derdowskiego, przy pl. Kaszubskim. Dla mnie widok robotników maszerujących w szarych strojach i żółtych kaskach, skandujących hasła typu „suche bułki dla Gomułki" i tak dalej to był szok. Po raz pierwszy widziałam taką masę ludzi zjednoczonych w jednej sprawie. Był też strach o mamę, która jako pracownik siedziała zamknięta w prezydium i widziała wszystko, co tam się działo.

Kiedy poznałam mojego męża, Jurka Miotke, miałam 18 lat. Dwa lata później wzięłam ślub. Dopiero wtedy zetknęłam się ze środowiskiem robotniczym, które dla mnie było zupełnie z innej bajki. W naszym domu zawsze panował dostatek. W ogóle nie mieliśmy świadomości, jak ciężko pracują ludzie i jak trudno jest im zdobyć to, co moim rodzicom – nie powiem, że łatwo – jakoś tam przychodziło.

Pobraliśmy się w 1976 roku, kiedy w kraju zaczęło się już coś dziać. Przed naszym ślubem władza ogłosiła duże podwyżki. Jednak to wszystko działo się jakby obok mnie. Byłam młoda, zakochana. W 1978 roku urodziło nam się pierwsze dziecko, a rok później – drugie.

Moja córka Joanna przeszła cztery operacje na otwartym sercu. Miała bardzo skomplikowaną wadę. W Polsce nie było dla niej ratunku, ale mój niezłomny małżonek nigdy nie odpuszczał…

Wówczas, żeby można było jechać na leczenie zagraniczne, trzeba było mieć skierowanie od lekarzy prowadzących. Oczywiście nikt nie chciał go wydać, bo przecież mówiło się, że w Polsce Ludowej problemy nie istnieją. Na

przekór władzy złapaliśmy kontakt z kliniką w Monachium. Wiedzieliśmy, że wykonuje się tam takie operacje. Aśka miała wtedy niecałe dwa latka. Najpierw ubłagaliśmy młodego kardiologa, żeby wypisał skierowanie. Notabene to był zięć słynnej profesor Dymnickiej, która absolutnie nie chciała wydać takiego pisma, bo twierdziła, że oni „się pogrzebią". Jej zięć widocznie nie siedział jeszcze w żadnych układach i dał nam wniosek o leczenie zagraniczne.

Później przyszła kolej na paszporty. Tragedia. Chodzenie, proszenie… Mowy nie było, żebyśmy pojechali oboje, więc zdecydowaliśmy, że pojedzie Jurek. Lecz zanim dostał paszport i wizę, upłynęło dużo czasu. A tutaj chodziło o życie.

Jurek miał w Niemczech stryja, który ożenił się z Niemką. Krewny stwierdził, że nam pomoże, ale kiedy zorientował się w cenie operacji, powiedział, że nie jest w stanie. Były to koszty przekraczające możliwości zwykłych Polaków.

Co ciekawe, ostatnią operację, która odbyła się 10 lat temu, finansowaliśmy z własnej kieszeni i była w zasięgu naszych możliwości finansowych. Kosztowała „tylko" 120.000 zł.

Kiedy Jurek wyjeżdżał po wizę powiedziałam: – Słuchaj, wejdź do episkopatu na Miodowej i zapytaj. Może znają kogoś, kto mieszka w Monachium? Może mają jakieś kontakty i udałoby się zmniejszyć koszty pobytu?

To był bodaj marzec 1981 roku. Jurek poszedł do tego sekretariatu. Pracowały tam siostry bezhabitowe, słynne „ósemki". Jedna z tych pań zainteresowała się sprawą i powiedziała, że zobaczy, co da się zrobić. Po jakimś czasie, kiedy byliśmy już zrezygnowani – bo okazało się, że nie ma jak tego sfinansować – dostaliśmy telegram o treści: „Proszę się ze mną skontaktować. Krystyna Szajer". Okazało się, że sprawa trafiła do prymasa, który natychmiast uruchomił swoje znajomości w niemieckim Caritasie. Zrobił to, choć byliśmy ludźmi z ulicy.

Jako dziecko odbierałam prymasa Stefana Wyszyńskiego jako wyniosłego, jako księcia Kościoła. Tak był przedstawiany w mediach. Natomiast z relacji ludzi, których znam od 37 lat, wyłania się zupełnie inny obraz tego człowieka. Mam na myśli człowieka, nie hierarchę kościelnego.

Pod koniec kwietnia Jurek i Aśka wyjechali. Wszystko zostało dogadane: niemiecki Caritas zapłacił za tę operację. Doszło do niesamowitego splotu wydarzeń: 13 maja był zamach na papieża i operacja Aśki, a 27 maja umarł prymas. Zdążyłam jeszcze napisać do niego list z podziękowaniem. Mąż z córką wrócili w maju 1981 roku. Aśka miała ogromną bliznę na klatce piersiowej. Była zestresowana i wystraszona.

My z tymi paniami, całym instytutem prymasowskim, utrzymujemy kontakt do dzisiaj. Swego czasu jeździliśmy do nich na wakacje do Choszczówki. Kapitalne, naprawdę wspaniałe kobiety. Jestem szczęśliwa, że mogłam nazywać Marię Okońską, założycielkę Instytutu Prymasa Wyszyńskiego, swoją przyjaciółką. Zmarła, mając 93 lata, ale była jak młoda dziewczyna – pełna zapału, wigoru. Kobieta wielkiej mądrości. Rozmawiałyśmy o wszystkim.

Pewnego razu chłopaki chcieli zrobić u nas w mieszkaniu skrzynkę kontaktową. Tak jak nigdy nie protestowałam, w tamtym momencie powiedziałam, że się na to nie zgadzam. Było mi szkoda chorego na serce dziecka i tyle.

Jak wspominam początek protestów sierpniowych? Nie wiem, w jaki sposób Jurek się dowiedział, ale przyszedł i poinformował mnie, że będzie strajk w Stoczni Gdańskiej. – Wydaje mi się, że u nas też coś się będzie działo – powiedział też wtedy.

Rzeczywiście – na drugi dzień się zadziało. Zadzwonił i powiedział, że nie wraca do domu, tylko zostaje w stoczni. O Andrzeju Kołodzieju mówiło się różne rzeczy. Natomiast to, jak poderwał brać stoczniową, było niesamowite. Z Andrzejem nie mieliśmy wtedy relacji. To znaczy Jurek na pewno miał, bo oni tworzyli wówczas już jakieś struktury. Ja kompletnie nie. Wiedziałam tylko, kim jest i że zainicjował strajk w stoczni.

Przeniosłam się do Gdyni, bo na Pogórzu z dzieciakami chyba bym umarła. Jurek od czasu do czasu wymykał się ze stoczni i podjeżdżał rowerem. Opowiadał, co się dzieje i jak to wszystko wygląda. Ja oczywiście – jak wszystkie żony – z wózkiem i wałówką chodziłam pod zakład. Kiedy było się już pod bramą, człowiek jakby przenosił się do innego świata. Po prostu czuło się, że to jest kawałek wolnej Polski, że wreszcie możemy coś powiedzieć bez skrępowania i obaw, że ktoś usłyszy i doniesie.

Wybuch strajku przywołał wspomnienia z Grudnia '70. Był strach, oczywiście. Ale po części podsycały go media. O co był ten strach? Przede wszystkim o to, że poleje się krew, że będą znowu strzelać. Natomiast nie miałam żadnych wątpliwości, że to jest jedyna szansa na poprawę sytuacji.

Wiedziałam, co działo się w Radomiu w 1976 roku i podczas poprzednich zrywów wolnościowych. Myślę, że gdyby oni w 1980 roku wyszli ze stoczni, byłoby to samo co wcześniej. Nas – dziewczyny, żony, które zostały w domach – ucieszył fakt, że nasi faceci nie wychodzą, tylko zamykają się w zakładzie. Liczyłyśmy na to, że komuniści się nie odważą zrobić tego co w grudniu '70. Strajk bardzo szybko się rozprzestrzeniał. Chodziłyśmy pod stocznię piechotą np. dlatego, że stanęła komunikacja.

Trochę widziałam to też z drugiej strony, z perspektywy mojej mamy. Ona była kierownikiem Wydziału Handlu i Usług w prezydium Miejskiej Rady Narodowej i organizowała zaopatrzenie. Wiem, ile artykułów pierwszej potrzeby pchała pobocznie do stoczni.

Wielkim – zarówno pod względem emocjonalnym, jak i religijnym –przeżyciem były msze odprawiane na terenie stoczni w czasie strajku. Uczestniczyłam w nich razem z moimi dziewczynami. Obaj bracia Jurka też pracowali w stoczni, więc za bramą stała cała nasza rodzina. To były niesamowite doznania. Patrzenie na tych chłopaków stojących w roboczych ubraniach w ogromnych kolejkach do spowiedzi, przyjmujących komunię, to były niesamowite przeżycia. Takie, których wcześniej się nie doznawało. Na zewnątrz nie było widać tej siły i jedności narodu. Co innego w stoczni. Tam to było po prostu coś nieopisanego. Chociaż Jurek mówił, że zdarzały się różne ekscesy, ponieważ nie wszyscy chcieli takich uroczystości. Bardzo dobrze. Nie wszyscy musieli tam siedzieć, prawda?

Wraz z pojawieniem się informacji, że w Gdańsku Międzyzakładowy Komitet Strajkowy wreszcie znajduje porozumienie z przedstawicielami rządu, zaczęliśmy myśleć, że tym razem nie dojdzie do rozlewu krwi, a władza wreszcie zrozumie potrzeby społeczeństwa. To była wielka nadzieja i duża radość, że jest szansa na to, żeby się w Polsce cokolwiek zmieniło. Rozmawiałyśmy o tym w damskim gronie, bo wszyscy faceci siedzieli przecież tam zamknięci. No, w każdym razie większość.

Różni ludzie mieszkali w blokach. U nas mieszkał prokurator, który w grudniu '70 przywalał niesamowite wyroki. Pewnej nocy zniknęły mu z fiata wszystkie koła. Ale generalnie ludzie byli zdecydowanie za „Solidarnością". Była radość, ale i niepewność, jak zachowa się władza.

Jak pamiętam wprowadzenie stanu wojennego? Siedziałam w kuchni z moją przyjaciółką ze studiów, z którą długo się nie widziałam. Poszłam do kuchni zrobić herbatę. Spojrzałam za okno: suki stoją na podwórku. Mieszkaliśmy na Pogórzu, na Turkusowej. Okazało się, że szukali Tadka Pławińskiego, przewodniczącego „Solidarności" ze Stoczni im. Komuny Paryskiej, który mieszkał po sąsiedzku. Myślałam, że chodzi o jakieś chuligańskie rozróby.

Rano włączyliśmy telewizor, a tam nie puścili „Teleranka". Zamiast niego nasz kochany pater, Wojciech Jaruzelski, poinformował, co się wydarzyło. Trochę się zestresowaliśmy, bo Jurek miał już swoją kartę więzienną. Był w domu. Nie wiem, dlaczego go nie wzięli. Ale z roboty oczywiście od razu go wyrzucili.

Nie chciałam zostać na Pogórzu z małymi dziećmi. Aśka miała dwa, a Magda trzy lata. Pomyślałam, że pojedziemy do mamy, która mieszkała na Derdowskiego. Zakotwiczyłyśmy tam na dość długo.

Jurek nie opowiadał mi wielu rzeczy. O kwestiach takich jak np. szkice broni dowiaduję się dopiero teraz. W sumie dobrze się stało, bo nie wiem, jak bym wtedy zareagowała. Obawiałam się o życie dzieci, rodzinę.

Jego znajomi zawsze mnie ostrzegali, gdy zanosiło się na rewizję. – Pani Małgosiu, Jurka zabrano. Na pewno zaraz będzie wizyta – mówili przez telefon. Wtedy moje trzyletnie dziecko siadało na parapecie i patrzyło, jaki samochód przyjedzie. W tym czasie ja z sąsiadką, którą zawsze wołałam, bo wolałam mieć świadka – chociaż pewnie to nie miało wtedy żadnego znaczenia – szukałyśmy, gdzie coś może być schowane. Ale w tym to lepiej orientowały się dzieci *(śmiech)*.

– Mamo, już są! – krzyczała Magda, która siedziała na parapecie. Bezbłędnie rozpoznawała samochód.

Panowie wchodzili, zaczynały się różne nieprzyjemne teksty. Nigdy nie byłam nastawiona specjalnie bojowo, ale jeżeli ktoś zachowywał się w stosunku do mnie nie fair, potrafiłam stosownie odpowiedzieć. Przeszukiwali wszystko, więc przewracali dom do góry nogami. Wszystko, co mieliśmy z drugiego obiegu, konfiskowali. Wśród tych rzeczy były bardzo ciekawe pozycje, z których niektóre chyba nawet nie zostały ponownie wydane. Trudno było wtajemniczać dzieci w głębsze przyczyny tych wizyt, ale dziewczyny wyczuwały, że to są ludzie gwałcący naszą prywatność.

Jurka wyrzucili z pracy po serii weryfikacji. Nie byłam w tym do końca zorientowana, bo oszczędzał mi takich informacji. Na szczęście dostał pracę w Peweksie. To taki bardzo ciekawy epizod w jego życiu. Mało ludzi o tym wie. Do Peweksu wciągnął go kolega, który podjął duże ryzyko, bo firmą rządził wtedy Marian Zacharski…

Po wybuchu stanu wojennego dostawaliśmy bardzo dużą pomoc z Niemiec, od obcych ludzi. Nasze adresy były przekazywane na Zachód. Z jedną rodziną utrzymuję kontakt do tej pory. Wymieniamy świąteczne życzenia.

Ale mimo to życie wtedy było koszmarem. Wielu naszych znajomych zostało internowanych. Bardzo pomagaliśmy Ewie Pławińskiej, żonie Tadka, która została kompletnie bez środków do życia. Jej mąż dosyć długo się ukrywał.

Z jednej strony to był bardzo trudny okres, ale z drugiej – bardzo fajny. Panował potworny marazm, kolejki od rana do wieczora, a nawet w nocy. Jednak ludzie byli blisko siebie, sąsiedzi się wspierali.

Przykładowo my przechowywaliśmy różne materiały, np. powielacze i inne cuda, w piwnicy sąsiada. To byli bardzo prości ludzie ze wsi, którzy zostali przeflancowani do Gdyni. Stefan dość długo to znosił, ale w którymś momencie poprosił, żebyśmy to zabrali.

Organizowaliśmy spotkania w domach, na których śpiewało się „Mury". Mocno się wspieraliśmy. Właśnie tak to pamiętam: że bardzo, bardzo pomagaliśmy sobie po sąsiedzku i wśród znajomych.

Nie pamiętam, który to był rok, kiedy po Polsce krążyła kopia Matki Boskiej Częstochowskiej. Byłam wówczas nauczycielką, pracowałam w Szkole Podstawowej nr 41 na Pogórzu, przy płk Dąbka. Wypożyczyliśmy z Jurkiem ogromny obraz, chyba Chrystusa, i chcieliśmy go ustawić przy drodze peregrynacji. Jurek wpadł na pomysł, żeby wstawić go za płot, na teren szkoły, aby go nie zniszczyli. Wstawiliśmy. Oj, działo się następnego dnia…

Wówczas dyrektorką szkoły była Nadzieja Kułakowska, straszliwy komuch. Jej małżonek pracował w Stoczni im. Komuny Paryskiej. Co ciekawe, w czasie strajku mój mąż ukrył tego człowieka w szafie przed ludźmi, którzy chcieli mu wymierzyć sprawiedliwość po swojemu. Nadzieja zrobiła – bo musiała – straszną awanturę o to, że święte malowidło znalazło się na terenie placówki, ale nie wyciągnęła żadnych konsekwencji. Myślę, że postąpiła tak z wdzięczności za akcję z jej mężem. Być może poniekąd popierała nasze działanie. Jednak mogła elegancko się ze mną pożegnać...

W czerwcu '87 roku spotkało nas ogromne szczęście. Trójmiasto odwiedził wreszcie Jan Paweł II. To było po prostu niesamowite. Nie-sa-mo-wi-te. Nie udało mi się zdobyć miejsca bliżej ołtarza. Jurek stał wtedy ze stoczniowcami, a w Gdańsku stał ze sztandarem na stopniach ołtarza.

Ojciec święty to osobny rozdział w naszym życiu. Pamiętam, jak został wybrany 16 października 1978 roku. Byłam wtedy w ciąży z Aśką, robiłam coś w kuchni. – Słuchaj, Karol Wojtyła jest papieżem! – krzyknął do mnie Jurek z pokoju. Popędziłam do niego z kaszą, którą akurat mieszałam. Ryczeliśmy jak bobry.

Natomiast tej wizyty nie umiem nawet opisać. Wszyscy, którzy tam byli, nigdy nie zapomną jego słów: – Jako pierwszą witam Gdynię.

Dla nas to było ogromne wsparcie duchowe. Momentalnie wychwytywało się z jego homilii subtelne aluzje polityczne.

Stałyśmy z siostrą na wysokości dawnego kina Goplana. Wiedziałyśmy, że nic stamtąd nie zobaczymy, ale wiedziałyśmy, że musimy tam być. Obserwowałyśmy ludzi i wielu – po których byśmy się tego nie spodziewały, bo ich znałyśmy – płakali. To były osoby, które wielokrotnie atakowały mnie za to, że nie należę do partii, Ligi Kobiet czy Związku Nauczycielstwa Polskiego. Te osoby stały tam, płakały, żegnały się, klęczały, padały na kolana… To było coś niewyobrażalnego.

Przed 1989 rokiem praktycznie nie miałam żadnych kontaktów z żonami innych działaczy podziemia. Jurek mnie od tego dokumentnie odciął. Działał zgodnie z zasadami konspiracji. Ale wiem, dlaczego to zrobił. Nie byłam specjalnie odporna psychicznie. Wychowywałam się w domu praktycznie w warunkach szklarniowych. Mąż zdawał sobie sprawę, że gdybym wiedziała, w co on się angażuje, przypłaciłabym to zdrowiem.

Moją największą pretensją do mojego męża jest to, że miał za mało czasu dla rodziny. Oczywiście, rozum podpowiadał, że tak musiało być, kiedy człowiek poświęcał się dla dobra ogółu, jednak serce się temu sprzeciwiało.

Gdybym jeszcze raz miała przeżyć to wszystko, pewnie niczego bym nie zmieniła. Nie zrobiłabym tego. Ale nawet gdybym chciała, nie dałabym rady inaczej pokierować swoimi poczynaniami.

Jestem osobą wierzącą, ale nie lubię pewnych ruchów oddolnych. Mam tu na myśli np. neokatechumenat. Moja mama przez 12 albo 13 lat należała do ruchu i w tym czasie bardzo odsunęła się od rodziny. Wtedy rodziły nam się dzieciaki i te więzi babci z wnukami nie zostały zawiązane, ponieważ ona wtedy bardzo zaangażowała się w tę grupę. Mama w tym roku odeszła. Jednak przed jej śmiercią zdążyłyśmy porozmawiać o tym okresie jej życia, bo wcześniej nie wyjaśniłyśmy sobie wszystkiego. Powiedziała, że jest świadoma tego, że może neokatechumenat niekorzystnie wpłynął na relacje rodzinne, lecz ona by niczego nie zmieniła.

Jerzy był zaangażowany w duszpasterstwo ludzi pracy, więc na bieżąco wiedziałam, co się dzieje. Zawsze byłam na wszystkich mszach za ojczyznę. Nie jeździłam na pielgrzymki, bo dzieciaki były małe i ktoś musiał ogarniać dom. Jurek mocno się angażował, zresztą nadal to robi, poza domem, więc to mnie przypadł ten obowiązek. Zawsze go wspierałam – w różny sposób.

Jurek jest bardzo skromną osobą. Nie mówię tego przez fakt, że to mój mąż i jesteśmy 42 lata po ślubie. Gdybym go nie ciągnęła za język i nie wypytywała, niczego bym się nie dowiedziała o jego aktywności. Nigdy sam z siebie nie mówił, że coś robi. Dla niego to było normalne: trzeba było coś zrobić, więc robił.

Świetny przykład stanowią plakaty ze szkicami, które pojawiły się na ubiegłorocznym X Festiwalu Niepokonani Niezłomni Wyklęci. Gdy je zobaczyłam, zrobiłam wielkie oczy.

Swego czasu w Komitecie Budowy Pomnika był taki pan, Andrzej Szmaciński, zresztą nasz sąsiad. Sprawa jakoś brzydko się skończyła, pojawił się jakiś problem… Jednak muszę podkreślić, że Jurek nie ma wrogów. Ani wśród komuchów, ani wśród swoich. Kiedy został wiceprezydentem Gdyni, wdrażał cztery AWS-owskie reformy, musiał współpracować z wieloma ludźmi. Wśród nich byli i lekarze i nauczyciele. On naprawdę nie ma wrogów. Potrafi dogadać się z każdym. Nigdy nie manifestował swoich przekonań. Działał po cichu, spokojnie, powolutku robił swoje. Był jak kropla drążąca skałę. To znamienne dla Jurka.

Nie byłam zaskoczona, kiedy dowiedziałam się, że przystąpił do Solidarności Walczącej. Notabene bardzo długo o tym nie wiedziałam. On w ogóle nie jest osobą, która gada, chwali się swoimi dokonaniami. To jest człowiek czynu. Zdawałam sobie sprawę z konsekwencji, jakie mogą wyniknąć z jego kontaktów z Andrzejem Kołodziejem i innymi ludźmi SW. Jednak popierałam to. Tak samo jak popierałam Solidarność Walczącą. Dlatego jestem przeciwniczką polityki grubej kreski.

Bardzo się cieszę, że powstała „Solidarność". Ona nadal jest bardzo potrzebna. Trochę rzeczy udało się wyczyścić, natomiast jeszcze dużo zostało do zrobienia.

W mojej ocenie również zaangażowanie polskich kobiet, w tym matek, było w czasach PRL-u bardzo istotne. Dlatego brałam udział w tzw. marszach głodowych. Rząd sam dawał nam ku nim argumenty. Przykładowo któregoś razu zmniejszył ustalone wcześniej przydziały mięsa i podniósł ceny innych produktów spożywczych. W reakcji na to dwa dni później ulicami Łodzi przeszedł pierwszy marsz głodowy, a w ślad za nią podobne inicjatywy odbyły się w innych miastach, również w Gdyni. Był to nasz – matek, kobiet – protest przeciwko temu, w jakiej rzeczywistości byłyśmy zmuszone żyć. Dla mnie, moich koleżanek i znajomych stanie w kolejkach po te ochłapy było straszliwie upokarzające. Czułyśmy się poniżone faktem, że chcąc wyżywić rodzinę, musimy stać od trzeciej w nocy po kawałek mięsa i nie mamy pewności, czy go dostaniemy.

Raz na rogu Starowiejskiej i Świętojańskiej stałam z dzieciakami w kolejce po adidasy dla męża. Fajne niebieskie adidasy – pamiętam je, jakby to było dziś. Stałam, stałam, stałam. Po czterech godzinach oczekiwania wreszcie znalazłam się przy ladzie. Podeszła staruszka – kombatantka z legitymacją i wykupiła ostatnie cztery pary… To naprawdę bolało. W mojej obecnej firmie pracuje wielu młodych ludzi. Gdy opowiada się takie historie, oni robią wielkie oczy i mówią, że to niemożliwe.

Wiem, że niektóre kobiety się organizowały i wzajemnie wspierały, podejmując wiele inicjatyw. To było np. robienie kapci czy szalików na drutach albo szycie ubranek dla dzieci. Jednak nie kojarzę tego typu przedsięwzięć na szerszą saklę. Nie należałam do żadnej takiej grupy. Trzymałam się raczej blisko Ewy Pławińskiej. Po sąsiedzku zawsze pomagałyśmy sobie w kwestiach takich jak pilnowanie dzieci czy zajmowanie kolejek.

Halina Młyńczak

córka ppor. Gustawa Szpilewskiego, który został zamordowany w Katyniu. 13 kwietnia 1940 r. została zesłana przez władze sowieckie go Kazachstanu. Powróciła do Polski w 1946 r. jest członkiem zarządu gdyńskiego oddziału Stowarzyszenia Rodzina Katyńska.

Na początku, jak to wszystko w sierpniu 1980 roku się zaczynało, byłam raczej obserwatorem. W lipcu i sierpniu byliśmy akurat na urlopie na południu Polski, w Karkonoszach i pamiętam, że pogoda była piękna. Oczywiście wiedziałam, że działają Wolne Związki Zawodowe, jest KOR, który powstał po demonstracjach w Radomiu i Ursusie. Jednak jeszcze wtedy nie byłam w zasięgu „podziemia", czy jak kto woli opozycji sprzed Sierpnia '80. Poza czytaniem „Robotnika", którego przynosił mi kolega, nie angażowałam się w żadne działania.

Pracowałam w zakładzie, ale nie w szewskim i nie krawieckim tylko w... Radmorze, który jeszcze wtedy nie nazywał się Radmor. Wyłonił się z MORS-u, gdyńskiego zakładu, a jego produkcja była i tajna, i jawna. Robiliśmy radiotelefony zarówno dla wojska, jak i dla milicji oraz służby szpitalnej. Pracowałam w tym czasie jako rzecznik patentowy, można powiedzieć – adwokat w sprawach techniki. Natomiast mój mąż był dyrektorem w tym zakładzie.

Do pracy wróciłam 15 sierpnia, ale już wcześniej dotarły do mnie pogłoski o Świdniku i Lublinie. Nagle dowiedzieliśmy się, że Stocznia Gdańska stoi! Pojechałam tam z ciekawości. Na górze siedzieli już młodzi ludzie i atmosfera była gorącą. Tu strajk, tu rodziny, rozmaici ludzie zainteresowani tym, co się właściwie dzieje. Wtedy nie wisiały jeszcze Postulaty, ale widać było za to obrazy Matki Boskiej, Papieża... A naprzeciwko bramy stoczni bloki, gdzie mieszkali eksperci odbierający jednostki, które produkowała stocznia.

Miałam wtedy pełną świadomość, że stoję tam nie jako przyjaciel władzy Polski Ludowej, tylko człowiek z doświadczeniem, z przeszłością, która tej władzy nie była nigdy na rękę. Za mną Sybir, ojciec, który zginął w Katyniu, wypadki z 1970 roku, gdy Gdynia była pacyfikowana przez władzę ludową po zmianie ekipy z Gomułki na Gierka. A tu dziś nagle słoneczne niebo, atmosfera, ludzie z entuzjazmem, ale i obawą w sercach. Byłam świadoma tego, co się dzieje, ale nie umniejszałam roli ZSSR i tego, co mogą zrobić. Czułam strach, bo w przemyśle stoczniowym na stanowisku technicznym pracowali mój brat i znajomi. Nie tyle myślałam o zagrożeniu ze strony naszych władz, ile od brata ze Wschodu...

Kiedy stanęła Komuna Paryska lataliśmy na msze do księdza Hilarego Jastaka. To on był naszym bijącym sercem. Nie mieliśmy jakiegoś ogólnego oglądu na wszystko, można powiedzieć – dobrej panoramy. A skąd ją można było wziąć? Tylko przez kościół. To, co powiedział w kościele ksiądz Hilary, było dla nas jak wyrocznia. Redemptoryści nie poszli i odmówili odprawienia mszy świętej, a ksiądz Hilary, wbrew władzom diecezjalnym, poszedł. Tak było. Mimo słów usłyszanych w kościele wciąż czułam duże rozdwojenie. Mąż na stanowisku dyrektorskim w Radmorze, ja jako pracownik Radmoru... To jedno, ale liczyła się przede wszystkim moja wiedza historyczna, utwierdzająca w przekonaniu o tym, że Sowieci nie popuszczą.

Obserwowałam i więcej uwagi poświęcałam temu, co dzieje się w Gdańsku. Codziennie jeździłam tam obserwować. Brat mojego kolegi, Skibińskiego, pracował w Stoczni Gdańskiej i to przez niego otrzymywałam informacje. Oprócz tego mój sąsiad pracował w Naucie i stąd też zdobywałam wiedzę o tym, jak rozwija się strajk.

A w Gdyni? Wiadomościami stamtąd dzieliła się ze mną koleżanka, Marysia Sułkowska. Pracowała tam w porcie jako księgowa i miała pod opieką pracowników z Kościerzyny. To była grupa ludzi pozbawiona kontaktu z rodzinami. W związku z tym, że Marysia tam pracowała, utworzyłyśmy spółkę. To był okres zbioru owoców, miałam porobione galaretki z czerwonej porzeczki, więc piekłam bułeczki, a Marysia dzień w dzień zanosiła je tym dokerom. Opowiadała, że ci dokerzy i inni pracownicy, chyba z Zarządu Portu, wypisywali różne hasełka, które szły na Śląsk, bo Śląsk jeszcze nie przystępował do strajku. Brzmiały mniej więcej tak: „Hutnicy, Ślązacy – gówno nie Polacy". Ale potem i Śląsk przystąpił i strajk się rozprzestrzeniał. Natomiast w głębi Polski panowały inne nastroje. Wiem to z autopsji, bo moja matka, mieszkając w Rzeszowie, słyszała pogłoski, że tam Niemcy chcą odebrać..., że inne zagrożenia... Wiele się wtedy słyszało.

A z tym, co się działo na miejscu zawsze byłam na bieżąco, bo mieszkałam w centrum. Słuchałam, co mówili ludzie na ulicy, w sklepie, w autobusie. Cóż mogę powiedzieć? Jedni byli rozentuzjazmowani, a inni pełni obaw o swoje rodziny. Obawiali się, że blisko, gdzieś na redzie stoją..., plotki nie plotki... Jan Czyszyn był wtedy admirałem... Marynarka wojenna na pewno szykowała się i czekała na rozkazy, jakie wydadzą Sowieci. Ale chyba władza się wtedy nie ujawniła.

Jaka była atmosfera? Mimo pewnego entuzjazmu rozważałam również, i nie tylko ja, scenariusz dramatyczny. W wielu z nas żyła obawa powtórki Grudnia '70. Nie u wszystkich, bo nie każdy uczestniczył w grudniowych wypadkach. Na przykład tak jak mój zakład, stoczniowcy czy ja bezpośrednio. A może było to raczej niedowierzanie? Choć była i obawa, bo minęło nie tak wiele czasu i od Poznania, i od przypadków gdyńsko-gdańskich. Jednak, mimo tej całej obawy, u ludzi rodził się entuzjazm. Uważaliśmy, że kościół jest z nami. Oczekiwaliśmy na słowo prymasa Wyszyńskiego. Kościół nie popierał tego, co powiedział. Jego słowa wybrzmiały, zostały wypowiedziane w Częstochowie i pojawiła się taka jakby dezaprobata. Jasne były dla nas słowa naszego księdza Jastaka, ale wiedzieliśmy, że biskup umywa ręce. Tacy byli zaskoczeni tym, co się

stało – wybuchem strajku, który rozprzestrzenił się na całą Polskę. U ludzi pojawił się duży entuzjazm, ale wynikało to poniekąd z niewiedzy. Nie brali pod uwagę, że układ wojskowy się nie rozpadł, Jałta działa i Polacy niekoniecznie muszą być popierani.

Zewsząd dochodziły jakieś wiadomości, sygnały, opinie i musieliśmy się w tym w jakiś sposób odnaleźć. Te wydarzenia i sygnały składały się na rzeczywistość. Mieliśmy ogród działkowy w Sopocie i tam na przykład dwóch chłopaków mojego sąsiada, przyszłego rektora szkoły morskiej, którzy mieli po osiemnaście lat albo trochę mniej i jeździli na rowerach do Gdańska, pobiła ubecja. I to pobiła dosyć mocno. Było zagrożenie dla wzroku i tak dalej. Więc te sygnały, że jest walka, zwłaszcza z młodzieżą, dochodziły. Młodzież była wtedy chyba bardziej zaktywizowana. Poza tym entuzjazm w młodzieży zawsze jest inny.

I cóż? Coś się działo i serce rosło. Potem napięcie jak gdyby malało, bo władze przyleciały do negocjacji. Wałęsa z długim długopisem objawił się nam tam jako zbawiciel i Mojżesz, który wyprowadzi nas nie wiem, z czego i w jaki sposób. Poniekąd tak było, bo jednak wynegocjowali msze święte w Bazylice św. Krzyża w Warszawie, które nadawał wówczas Program II Polskiego Radia. Pamiętam tę pierwszą mszę, ale to było już po zakończeniu strajku. Wynegocjowali i była to wielka zdobycz. A potem kartki mięsne... To dopiero było zbawienie! Co prawda funkcjonowały tak, że mięsa się na nich nie oglądało, tylko żebra ogolone z mięsa.

W dzień podpisania Porozumień Sierpniowych byłam pod Stocznią Gdańską, a potem szybko wracałam tu, pod naszą stocznię. Kiedy robotnicy wychodzili, panowała olbrzymia euforia. Wiedzieliśmy, że dokonało się coś bardzo ważnego. To było tak, jak gdyby wkraczała zupełnie nowa epoka. Pamiętam, że bardzo negatywnie ocenialiśmy doradców – „Geremków, różnych Mazowieckich". To było bardzo duże zaniepokojenie, że oni się pojawili i nagle przejęli inicjatywę. Konsekwencje ponosiliśmy bardzo długo.

Jednak strajk się skończył, porozumienia podpisane, więc czas wracać do pracy. Na dodatek rozpoczął się rok szkolny. Moja córka była wtedy nastolatką. Myśmy wtedy szkołę traktowali normalnie. Dzieci i młodzież chodziły w mundurkach i tenisówkach. Młodzież była ze sobą powiązana czy szkołami, czy ewentualnie nawet podwórkami. Nie przypominam sobie, żebyśmy mieli jakiekolwiek obawy związane z tym, że dziecko idzie do szkoły. Uważam, że ten problem nie istniał. Poza tym książki były dostępne. Dziś patrzyłabym optymistycznie na zbiór tych książek, jakie były. Były polskie lektury – i „Pana Tadeusza" i „Przedwiośnie" się czytało. Pamiętam, że pojawiła się na przykład seria Wańkowicza w abonamencie.

Natomiast takie typowe bytowe trudności, mimo kartek, nadal były. Kiedy wspominam zaopatrzenie w tamtych czasach, mam mieszane uczucia. Spuentuję to tak, że imieniny obchodziło się wszędzie. Wśród znajomych zawsze była szynka, stół był zastawiony. A jakim sposobem kobiety docierały do różnych mięs, wędlin, przetworów to było już ich tajemnicą. My osobiście „hodowaliśmy" w domu świnie. Ja niby dostarczałam chleb i inne rzeczy, a ktoś dla mnie tę świnię hodował. Oczywiście wiozło się prowiant od pracowników PGR-ów, w moim przypadku od rodziny. Oni mogli hodować świnie na własny

użytek. Ja niby w tym uczestniczyłam, dostarczając pokarm. W każdym razie na stołach polskich tego nie brakowało. W okresie przedświątecznym pojawiał się indyk w wielkiej ilości. To samo karpie, których nie można było zdobyć. Ale kiedy władza stanęła na wysokości zadania, można było kupić cytryny i pomarańcze, tylko trzeba było wystać w kolejkach. W związku z tym nie powiem, żeby ktoś głodował. Absolutnie nie. A w statystykach wyglądało to tak, że na głowę niemowlęcia przypadało trzysta kilogramów świniny albo czegoś innego. A kartki, można powiedzieć, pojawiły się jak błogosławieństwo. Dużym plusem dla nas było to, że na przykład wódka w moim domu nie istniała jako produkt do spożycia, tylko towar wymienny. Za wódkę można było kupić rozmaite rzeczy i się wymienić. Z czasem też pojawiły się towary dość luksusowe. Meble nie meble i temu podobne dobra, po które trzeba było oczywiście stać w kolejkach. Jawiło nam się to jakby otwarta furtka wolności. Wszyscy cierpliwie stali, opowiadali sobie kawały. Liczyliśmy, że zmienia się Polska i otwiera się ta furtka na wolność. Dosłownie.

Podsumuję to na swój sposób, tak jak to czułam. Rano kupowało się buteleczkę z kwaśnym mlekiem i prawie codziennie w głowie tkwiła modlitwa: „Dzięki Ci, Panie Boże. Nie mam śmietany, ale mamy pomnik". Pomnik Ofiar Grudnia 1970, który tutaj powstał. I to wszystko, to była taka nadzieja... Wróciły wartości ojczyźniane. Stopniowo zmieniała się mentalność społeczeństwa. Ludzie byli głodni wiedzy. Można było mówić o zakazanych do niedawna momentach polskiej historii. Muszę tu absolutnie wspomnieć księdza Jankowskiego, prałata z parafii św. Brygidy w Gdańsku, który zaczął organizować pierwsze msze katyńskie, mimo że jeszcze nie została ujawniona prawda przez Gorbaczowa, że zrobili to Sowieci, a nie Niemcy. Lataliśmy na te msze z pełną wiedzą, że oprócz uczestników z własnej woli, patriotów oraz członków rodzin, będzie nas zza filarów fotografować ubecja.

A ja? Czy mogłam wtedy już otwarcie mówić o Katyniu w zakładzie? Furtka na wolność została otwarta, to fakt. Ja jednak pamiętałam długie lata, milczenia i wymuszonych przekłamań. Kiedy zamordowali mojego ojca, miałam sześć, czy siedem lat. Nie mogłam mówić o tym od dzieciństwa. We wszystkich moich życiorysach musiałam oględnie pisać, że „zginął na wojnie". Było to prawdą, ale tylko jeśli chodzi o czas. Nie była to prawda objawiona tylko zakłamana. Jeżeli w ogóle pojawiało się hasełko „Katyń" to w takim kontekście, że zrobili to Niemcy, a nie „przyjaciele Sowieci". W życiorysie nie mogłam też nigdy napisać, że wywieziono nas na Sybir. Pisałam wtedy, że kończyłam szkołę w miejscowościach, w których byłam, nie ujawniając przy tym, jakie to było terytorium. Nie mogłam napisać, że to była deportacja, czystki etniczne na Wschodzie, na ziemiach, które zabrał nam Stalin na mocy układu jałtańskiego. Nie mogłam, bo nikt nie wpuściłby mnie na studia. Absolutnie. Inni za słowo „Katyń" siedzieli w więzieniach.

Dorastałam właśnie takich czasach. 1956 rok i apogeum stalinizmu. Pamiętam ten moment, kiedy umarł Stalin. Moja koleżanka z wydziału roniła łzy. Tak było! Potem nastał Bierut i tak dalej... Ja mimo tego zawsze znałam swoją tożsamość i wiedziałam po jakiej stronie, patriotycznej stronie, stała moja lwowska rodzina i ta z obecnej Białorusi, z Nowogródczyzny. Nikt nie musiał mnie edukować. Nawet matka nie musiała mi mówić. Wręcz genetycznie wie-

działo się, co można powiedzieć, a czego nie. To była epoka oszukiwania władzy. Zapisywali się do tego zasranego PZPR-u i agitowali. Ja nigdy. Nigdy nie miałam z tym nic wspólnego.

Przez wiele lat nie mogłam również głośno mówić, że pochodzę ze Wschodu, z Kresów. Jednak kto chciał, to odnajdował takie fakty. Możliwe, że to była większa inteligencja polska, a może i nawet większa znajomość historii i większe wnikanie w historię aniżeli jest teraz. Dosłownie. Ja na przykład czytałam w nocy, bo musiałam szybko książkę oddać. O czym czytałam? Na przykład książkę Andersa o Katyniu, z której dokładnie dowiadywałam się, jak to było. O armii Andersa, o szlaku bojowym. Ten, kto chciał, miał dostęp. A i mnie znajdowali i przekazywali.

Jeśli pragnęło się wiedzieć, to tę „zakazaną" wiedzę można było zdobyć. Choć było to w późniejszym okresie, chyba po stanie wojennym, to moja córka przywiozła z Londynu listę z ekshumacji, na której widniało nazwisko mojego ojca. Wiedziałam o tym już wcześniej, bo dostawaliśmy listy z Kozielska. Pojawił się też sygnał z Rosji, że zostali pomordowani. Przyznam jednak, że o te wiadomości było łatwiej w środowisku wysokiej inteligencji, a ja w takim właśnie przebywałam. Lekarze, inżynierowie... oni zawsze mieli większą świadomość patriotyczną. Kończyłam studia na elektronice, co było rzadkością wśród kobiet. W konsekwencji pracowałam w tym czasie w działach konstrukcyjnym i technologicznym. Wokół mnie byli ludzie wysokiej inteligencji. Jeżeli nie musiałam poświęcać dużo czasu na matematykę w szkole, miałam czas na taką literaturę, jaką chciałam. Sięgałam oczywiście do literatury przedwojennej. Ludzie przechowywali książki. Moja matka była ze Lwowa i na Cmentarzu Orląt jest pochowana jej rodzina. Ta historia była dla mnie powszechna i w moim środowisku ludzie nie byli durni. Mimo tego, w zakładzie, czyli w Radmorze, przez wiele lat nikt nie wiedział o mojej przeszłości i historii rodzinnej.

Potem kiedy można już było mówić otwartym tekstem, okazało się, że w Radmorze pracowali Sybiracy. Ojciec mojego kolegi, z którym niekoniecznie kontaktowaliśmy się, bo to był duży zakład, też został tam zamordowany. Był policjantem. Nie chwaliliśmy się tą wiedzą, bo do tej pory trzymam się pewnego poglądu. Myślę sobie – no dobrze, mój ojciec został zamordowany w Katyniu, ale dzieciom Sybiraków z wojska Andersa, którzy poginęli pod Monte Cassino i potem nie mogli tutaj wrócić mówiło się, że ich ojców nazywa się zaplutymi karłami reakcji. Potem była przecież jeszcze grupa dzieci z Zamojszczyzny czy wysiedlonych z Gdyni. Owszem, Katyń jest jak gdyby apogeum zbrodni, ale... Uważałam, że cierpiałam na Sybirze, z którego wielu nie wróciło, inni wrócili i poginęli gdzie indziej, na przykład pod Monte Cassino, ale cierpiały też dzieci Zamojszczyzny, dzieci Sybiraków, dzieci tych, którzy poginęli na morzu na „Błyskawicy". To jest moje nieszczęście i muszę walczyć o prawdę jak tylko można i pokazać, bo jest to krzywda dla narodu polskiego. Jako pierwsza z Gdyni pozbierałam i publikowałam nazwiska członków marynarki wojennej, którzy zginęli pomordowani w Katyniu, łącznie z Czernickim.

Wrócę jeszcze do czasów „sprzed sierpnia". Mąż, jak wspominałam, był dyrektorem technicznym i dyrektorem naczelnym w Radmorze i naturalnie miał rozmaitych podsłuchiwaczy – UB, bezpiekę i tak dalej, a i nasz dom na pew-

no był obserwowany. Po czasie i zupełnie przypadkiem dowiedziałam się poprzez kolegę, który został zwolniony z zakładu za noszenie odznaki „Solidarności" w stanie wojennym, że jeden prokurator z IPN-u pytał, dlaczego pani Młyńczak nie przychodzi zapytać się o swoje dokumenty. Mam absolutną pewność, że dwie osoby, które były przyjaciółmi domu, były wysokiej rangi ubekami. Nie wiem, czy na mnie donosili, czy raczej ochraniali. A ja, choć nie obnosiłam się ze swoimi poglądami, to jednak nigdy się z nimi nie kryłam. Jeśli ktoś zapytał mnie otwartym tekstem, to mówiłam o ojcu i o Sybirze, ale nie afiszowałam się tym w dokumentacji. W późniejszym okresie jechałam do Rzymu na spotkanie z papieżem i przywiozłam fotografię z Janem Pawłem. W zakładzie mówiono, że żona dyrektora chwali się papieżem i że to propaganda w najwyższym stopniu. Musieliśmy wtedy dokonywać wyborów, ale mądrych wyborów.

W zakładzie nie czułam inwigilacji. Może byłam, że tak powiem, mało ważnym człowiekiem. W naszym zakładzie byli więksi wojownicy, którzy najbardziej ujawnili się w stanie wojennym, ale stan wojenny to był już następny etap. Ten okres stanowi dla mnie do tej pory trudny temat. Mam dylemat z powiedzeniem, że źle go przyjęłam. Natychmiast poleciałam na mszę do kościoła, a tam odczytywano, że jest to wybór mniejszego zła. A tym mniejszym złem byli dla mnie Sowieci. Wiedziałam, że oni nie będą się cackać, tak jak nie cackali się w Gdyni. Chodziły pogłoski, że Jaruzelski uruchomił swoją armię i gdyby Sowieci weszli, to by walczył. Sowieci byli w Polsce – siedzieli w stoczniach, mieli swoje garnizony na zachodzie. W grudniu 1970 też pojawiały się, potem sprawdzone, pogłoski o tym, że Kliszko latał nad stocznią i mówił: „Zbombardujemy i koniec". Co to dla nich było rzucić bombę? To był wybór mniejszego zła.

Byłam w tym czasie rzecznikiem patentowym, natomiast mój mąż był dyrektorem w tym zakładzie. Był po tym samym wydziale i stopniowo awansował. Kiedy pewnej niedzieli rano zapukał pracownik i powiedział:

– Panie dyrektorze, wojsko jest w zakładzie.

Odprowadzałam go, mówiąc:

– Rysiek, nawet gdybyś miał się znaleźć na Sybirze, nie rób ty tylko krzywdy załodze.

Będąc w zakładzie, znałam wielu rozmaitych ludzi, którzy od razu chcieli zmieść władzę ludową. Mówiło się, że „na drzewach, zamiast liści, będą wisieć komuniści".

Ryśka zwolnili z pracy 12 stycznia 1982 roku. Przyjechał jakiś facet z Alei Zjednoczenia w Warszawie i wręczył mężowi pismo. Jak wiem, zwolnili go za to, że za bardzo sprzyjał „Solidarności". Poczułam wtedy ulgę, że z męża zdjęto odpowiedzialność. W zakładzie od razu były rozliczenia, aresztowania, ale mój Rysiek nie odpowiadał za to, bo go odwołali. Na dodatek ujawnili się konfidenci, którzy już teraz jawnie donosili. To była dla mnie pewna ulga.

Pamiętam z tamtego okresu sekretarza PZPR-u. Nazywał się Lech, imienia nie pamiętam. Miał aspiracje, żeby zostać szefem działu technologicznego. Wiadomo, że technologia w Radmorze to nie jest zakład szewski tylko profesjonalne urządzenia, a on był po szkole pedagogicznej. Chemik po szkole pedagogicznej. Jakie on miał kwalifikacje do bycia szefem działu technologiczne-

go? Mąż go nie awansował. Po wybuchu stanu wojennego ten człowiek często podkreślał:

– Jak przychodziłem do dyrektora to był poważny, ale jak przychodził ktoś z „Solidarności", to się uśmiechał!

Ta ścisła ciemnota, czy tam komuna, od razu się w stanie wojennym odrodziła i od razu dostawała swoje szanse. Kiedy męża zwolnili, nie chodził po żadnych komitetach, nie napraszał się, żeby go awansowali i dali gdzieś posadkę. Zawsze był dobrym matematykiem, a do tego umiał pracować z ludźmi. Zaczął szybciutko wchodzić w technikę cyfrową i zmienił zakład pracy na mniejszy. Pracował, znał angielski, zajmował się później tłumaczeniami technicznymi.

W stanie wojennym chętnie też wysyłali „na emeryturę". Działacze dostawali bilet w jedną stronę na wyjazd za granicę. Szacuje się, że wyjechało osiemset tysięcy ludzi. Mnie to bardzo bolało, bo była to utrata inteligencji, ludzi z inicjatywą. Niepowetowana strata do tej pory. Po stanie wojennym nasza córka wyszła za mąż. Ja z kolei nie przedłużałam pracy i dość młodo przeszłam na emeryturę, ale miałam przepracowane lata i studia za sobą.

Wspomnę jeszcze jeden, bardzo ważny dla mnie, wątek tej historii. Nie było to aż tak naturalne, ale pojechałam do Rzymu. Po wyborze naszego papieża nastąpiło u mnie przeistoczenie duchowe. Ujawnił mi się jego autorytet. W jego „Pamięci i tożsamości" było nawiązanie do przodków, do historii Polski i silne akcenty patriotyczne. I nadzieja. Przede wszystkim nadzieja.

Kiedy w czerwcu 1979 roku na ówczesnym Placu Defilad w Warszawie papież wypowiedział słynne słowa: „Niech zstąpi Duch Twój..." poczułam, że dla kraju nadchodzi ważny czas. To było jak namaszczenie Polski. Ten Duch zstąpił. Ja miałam inne powody, ale zawsze podziwiam ludzi, którzy mają dużą wiarę, nawet nie wiem z czego zrodzoną, bo nie mają dostępu czy do jakiejś książki, czy do szerszych dyskusji, spotkań środowiskowych, a wierzą. Dołączyłam do nich. To było moje credo: „Choć jeszcze Cię nie pojmuję, żyć bez Ciebie już nie próbuję". To było namaszczenie Polski i pomimo tych KOD-ów, nie-KOD -ów, wierzę w to, że Polska jest wybrańcem w Europie. Rodziny mimo wszystko trzymają się zasad Dekalogu. To są normy współżycia w społeczeństwie i Polacy mają te naturalne wartości, a nie dewiacje, które się pojawiły, a przed którymi przestrzegał papież Jan Paweł II. Też jestem namaszczona przez los, tylko trochę inaczej.

Później bardzo czekałam na przyjazd Jana Pawła II do Gdyni. I stało się! 10 czerwca 1987 roku, jak tysiące innych też udałam się na Skwer Kościuszki. Musiałam oddać parasol, bo uznano go za groźny sprzęt. Mieliśmy kościelne bilety wstępu. Nie miałam miejsca blisko Ojca Świętego, ale nie o to chodziło, przecież było nagłośnienie. Stałam chyba gdzieś koło obecnej Riwiery i chłonęłam każde jego słowo. Jeździłam za nim do Niepokalanowa, do Zakopanego, do Krakowa, na pielgrzymki i zupełnie wrosłam w tę atmosferę.

Swoje otwarte świadectwo dałam w książce „Jan Paweł II. Wspomnienia o człowieku, który zmienił świat". Są to wywiady zbierane na okoliczność beatyfikacji. Przyjechał do mnie dziennikarz, któremu chodziło o Katyń, Sybir, o te elementy mojego życiorysu, ale zauważył, że mam zdjęcie z papieżem w Rzy-

mie i zorientował się, że mogę coś więcej powiedzieć. I miał rację. Mogłam więcej powiedzieć.

W 1968 roku jechaliśmy z mężem na urlop do Zakopanego. Weszliśmy do przedziału, w którym siedział pewien pan. Najpierw nie było żadnej rozmowy, ale potem zaczęła się sprowokowana przez niego dyskusja. Coś czytałam, więc powiedziałam:

– O! Sztaudynger był w Trójmieście!

– Tak, Sztaudynger to nie tylko fraszki, ale i znawca literatury francuskiej – on na to.

Wywiązała się z tego dosyć intelektualna rozmowa, do której mąż nie wtrącał się za wiele. W końcu ten pan rzucił hasło „kościół", a mój mąż odzywa się na to:

– To głupota!

Uraziło mnie to niesamowicie. Mój mąż był bardzo szlachetnym człowiekiem, ale z wiarą było u niego nie do końca. Zapytałam więc kto, jeśli nie kościół, ma nauczyć Dekalogu, a on na to, że moralność komunistyczna. Więc mówię:

– Pokaż, gdzie to jest napisane?! Nie pokażesz, bo tego nie ma!

Ten pan nie stanął w mojej obronie, tylko skinął głową. Dyskusja trwała, pytał o wiele rzeczy, między innymi o książki Jasienicy, a ja mu odpowiadałam jak taka pensjonareczka. Wyszłam z przedziału, zostawiłam panów i słyszę, jak ludzie, którzy stali w korytarzu mówią, że jedzie biskup. Biskup-komunista – myślę sobie. Wróciłam do przedziału, a on się przedstawił:

– Jestem Karol Wojtyła. Zapraszam do siebie.

Powiedział to w taki sposób, jakbyśmy się przyjaźnili. Nic mi nie mówiło to nazwisko, ale za to mam bardzo dobrą pamięć wzrokową. Mieliśmy przesiadkę w Krakowie. Przyszedł go witać biskup Staś. Młody, ładny chłopczyk, oczywiście nie miał koloratki. Jeszcze nosił sygnet, co wydawało mi się staroświeckie. Taka durna byłam. Karol Wojtyła zaprosił nas do siebie, ale nie przyjęliśmy zaproszenia, bo przed pociągiem do Zakopanego szliśmy jeszcze do muzeum w Krakowie.

I potem stało się coś niewyobrażalnego! Karol Wojtyła zaczął mnie szukać. Pewnie dlatego, że pomyślał, iż spowodował silny konflikt z moim mężem. A myśmy się tutaj godzili bez problemu. Mąż nie wtrącał się ani w komunię córki, ani w nic. Któregoś dnia dostałam pewien liścik podpisany jak anonim – X. „Proszę przyjść, chodzi o pani podróż do Krakowa". Nie miałam pojęcia, o co chodzi. Niczego nie zgubiłam, niczego nie znalazłam. Nie poszłam.

Potem byliśmy w Teatrze Muzycznym. Spektakl został przerwany i ogłoszono, że Karol Wojtyła został papieżem. Jakby mnie kto obuchem uderzył! Wróciliśmy do domu, włączyliśmy telewizor, a ja się zastanawiam, skąd go znam. Potem nie spotkałam go już na żywo. Tylko na pielgrzymkach. Utracona szansa. Taki człowiek! Może niekoniecznie przeze mnie zlekceważony. Po prostu ubodło mnie wtedy to, że nie stanął w mojej obronie, kiedy broniłam kościoła. Pomyślałam wtedy, że jest komunistą...

Jadwiga Motyka

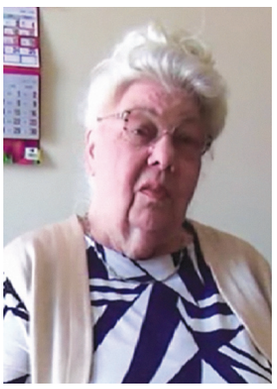

w latach '70 i ,80 pracowała jako nauczycielka, do dziś aktywna działaczka Koła „Solidarności" Oświaty Nauczycielskiej. Obecnie na emeryturze.

W życiu bywają takie chwile, podczas których jakaś siła rzuca nas na kolana. Człowiek klęczy, płacze i modli się. Mnie taki moment dopadł, kiedy usłyszałam o stanie wojennym. Siadłam i uszyłam wtedy mały woreczek na szyję. Ten woreczek przechowuję do dziś. Ale wcześniej był rok 1970.

Strzelano do robotników. Usłyszałam strzały o szóstej rano. Nie zapomniałam tego. Szłam za rękę z moim małym synem Jarkiem i wiedziałam, że muszę dostać się do pracy. Jakoś dotarłam na miejsce i pracowaliśmy, a później przyszła wiadomość, że w Gdyni są walki i nie wolno nam wypuścić dzieci do domu, dopóki nie odbiorą ich rodzice. Miałam kupiony bochenek chleba i do trzeciej czekałam z podpisaną listą aż każde dziecko zostanie odebrane. Dzieliłam ten chleb na te moje czekające dzieci. To było straszne przeżycie.

A teraz jak wrócić do domu? Zebrała się nas gromadka, która mieszkała w Gdyni. Jakiś kierowca przyjechał z Gdyni na Witomino i od razu powiedział, że nie ma mowy, żeby nas przepuszczono, bo przy prezydium są tłumy, największe rozruchy i strzelanie, latają helikoptery, więc nikt nas do Gdyni nie wpuści. Co było robić? Wpadliśmy na pomysł, żeby pójść do dentystki i wziąć od niej białe fartuchy. Ubraliśmy się w nie. Nauczyciel, ja i koleżanka. Wzięłam syneczka za rękę i szliśmy do Gdyni pieszo.

Doszliśmy do kordonu na ulicy Śląskiej, gdzie koło hotelu robotniczego stał oddział ZOMO w białych hełmach. Robotnicy rzucali w zomowców szczotkami do butów, miskami, kubkami, a zomowcy walili w te swoje tarcze. Wiem to z dobrych źródeł, że tylko minuty dzieliły od podpalenia całego hotelu łącznie z robotnikami. Mieszkam na Śląskiej i musiałam dojść do domu. Zatrzymali nas i zabronili iść dalej, bo wiedzieli co będzie za chwilę.

– Proszę przejść piwnicami! – usłyszałam.

Jak to piwnicami?! – pomyślałam. Przecież ja nie umiem chodzić piwnicami i nie wiem, jak można nimi przejść do swojego domu. Szłam więc Warszawską, przez podwórka. Starałam się iść odważnie i pewnie. W końcu przecież musiałam dojść do domu. Pewnie to trudne do uwierzenia, ale naprawdę helikopter rzucał nam pod nogi płonące petardy, które wybuchały i się rozwa-

lały. Przecież widzieli, że idzie kobieta z dzieckiem! Doszłam wreszcie do tego domu. To był rok 1970. Strasznie tragiczny. Strasznie!

Do dziś przechowuję gazety z tamtego czasu, chociaż dużo przekazałam dla „Solidarności", bo ciągle ktoś zbierał te pamiątki. Zbierałam gazety z tymi kłamliwymi odpowiedziami, ile osób zginęło, kto robił ten bunt, kto napadał na sklepy... A to nieprawda, żaden sklep nie został obrabowany! Byłam wtedy na tej ulicy, kiedy niesiono na drzwiach „Wiśniewskiego" i śpiewano pieśni, tylko że nie szłam z pochodem, bo musiałam jechać do pracy. Taki był rok 1970. Nie można było go zapomnieć. Długo żyliśmy tym rokiem i tymi obrazami.

Byliśmy świadomi wielu rzeczy. A skąd się brało wiedzę? Przede wszystkim z Kościoła. Z Kościoła Najświętszej Maryi Panny czy z kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa, gdzie cudowny ksiądz Jastak niczego nie ukrywał. Wstawił te drzwi, na których niesiono tego chłopaka i zakrwawiony sztandar w nawę.

– Teraz niech wyjdzie ten, kto przyszedł ze słuchawkami nagrywać moje kazanie – mówił, kiedy rozpoczynał mszę.

Czekaliśmy cichutko, czy skrzypną drzwi i wyjdzie ten, jak mówił – Judasz. Potem ksiądz rozpoczynał kazanie. Mówił i nauczał nas od serca.

Mieliśmy dzięki temu wiedzę, ale to kłamstwo nadal trwało. Zamazywanie win, ale nie można przecież zamazać w człowieku tego, co przeżył. Nie zamaże się ani oczu, ani sumienia. O innych odczuciach nie będę mówiła, bo człowiek musiał żyć, musiał pracować, musiał wracać do normy.

Nie dane nam było jednak wrócić do normy. Kiedy w niedzielę rano ogłoszono stan wojenny, stałam w kuchni. Nastawiłam radio i usłyszałam – „stan wojenny". Nie wiem, jaka siła rzuciła mnie na kolana. Uklękłam i płakałam... Dziś się z tego śmieję, dziś potrafię. Nie pamiętam gdzie był wtedy syn, mąż był na pewno na morzu, a ja sama, więc tragedia. Nie wiem skąd mi to przyszło do głowy, ale siadłam i zaczęłam szyć woreczek z materiału. Taki, który można zawiesić na szyję. Wiedziałam, że jeśli wyjdę z domu, to pójdę z niczym, ale chociaż w ten woreczek włożę najcenniejsze pamiątki. Nie wiem, co chciałam tam wkładać. Może obrączki, pieniążki, jakiś obrazek albo pamiątkowe zdjęcia? Ten woreczek przechowuję do dziś.

Mówią, że kiedy były strajki, to działacze działali i pomagali. Co działali?! Może w stoczni, gdy należało się do stoczniowców, łatwo było działać! Ale jak mógł działać zwykły gdynianin? Staraliśmy się jak to tylko było możliwe. Jedni wychodzili z domów, drudzy nie wychodzili. Miasta były puste, panowała cisza, ulicami nic nie jeździło. Pomyślałam, że w Stoczni im. Komuny Paryskiej pracuje mój kuzyn. Basia, jego żona, pewnie jest w pracy, a on w tej stoczni. Wiedziałam z ogłoszeń, że stoczniowców nie wypuszczano do domu i oni strajkowali, więc byłam bardzo ciekawa. Chciałam pójść do Jurka i do tych stoczniowców. Jakoś im pomóc, wesprzeć.

W tym czasie można było dostać tylko kurczaki i papierosy. Na dole miałam kiosk, więc kupiłam siatkę papierosów i pieczonych kurczaków, włożyłam tam jeszcze chleb i szłam pod bramę stoczni. Widziałam na ulicy jadące furmanki z kartoflami, które przyjechały z okolicznych wsi. Kaszubi przyjechali i mieli na wozach różne rzeczy. Od ziemniaków do jabłek w skrzynkach. Wieźli to wszystko stoczniowcom. Widziałam przez bramę jak stoczniowcy siedzą ści-

śnięci, równiutko jeden obok drugiego na ławkach. Nie puszczali ich do domów, bojąc się, że niektóry popije, niektóry nie wróci, że narobią bałaganu. Zresztą nie wiadomo, kto wśród takiej gromady stoczniowców może być. Siedzieli ciasno na tych ławach, obróceni twarzami do furtek, do wyjściowej bramy. Kiedy podchodziło się do głównej bramy, trzeba było powiedzieć, kogo się prosi. Wymienić nazwisko stoczniowca. Pomyślałam, że może ten mój kuzyn tam jest. Wymieniłam jego nazwisko i imię. Patrzę idzie młody Jurek i krzyczy:

– Ciociu, co ciocia tu robi?

– Jurek, przyniosłam ci siateczkę. Podziel się z kolegami – mówię.

Ucałowaliśmy się i uściskaliśmy. Serce mi pękło, jak trzeba było odejść od tej bramy. Tak pomagaliśmy, jak potrafiliśmy. Inni robili może większe rzeczy. Nauczyciele chodzili na wieczorne spotkania, wygłaszali wykłady z historii. To nie było łatwe. W domu baliśmy się o rewizję, bo nigdy nie było wiadomo, kto wpadał i po co. Mówili, że domy marynarzy są bardzo przeglądane, więc te wszystkie solidarnościowe rzeczy, które syn mi pościągał, znaczki-nie znaczki, plakaty, musiałam jakoś likwidować, chować, ukrywać, bo bałam się rewizji w domu. Jarek był po maturze i chyba po studium hotelarskim, więc cały czas osobiście namawiano go, żeby wstąpił do milicji. Odpowiadał „nie", więc w takich przypadkach zadawano następne pytanie:

– Dlaczego nie?

– Wstydziłbym się przed kolegami! – odpowiedział kiedyś bardzo szczerze. Na szczęście jakoś to przeszło bez bólu.

Pamięta się wiele. Pamięta też codzienność. Gdyby mnie ktoś zapytał, czy było ciężko, odpowiedziałabym – bo ja wiem? Ani kartki nas nie przeraziły, bo znałam kartki z okresu okupacji, kiedy na kartki były i landrynki, i marmolada. Do dziś nienawidzę marmolady, chociaż pewnie teraz jest inna. Po prostu się żyło.

Dziś tylko ciągle myślę o tym, jaka byłam naiwna. Mam ponad osiemdziesiąt lat, przeżyłam różne zmiany i kiedy tylko w Polsce ogłaszano zmiany, to ja szczerze, tak z głębi serca, wierzyłam, że już TA zmiana będzie na lepsze. Wierzyłam, byłam oddana, analizowałam i nikt nie mógł mi wyrwać tego, że już teraz stanie się na pewno. W ględzenie Gomułki trudno było uwierzyć, w Gierka uwierzyliśmy bardzo. Człowiek stamtąd, człowiek z Francji, który przeżył kopalnię, który widział tamten świat. To musiała być zmiana na lepsze. Każdy w to uwierzył i się zawiódł. A później uwierzyliśmy jeszcze raz. Wierzyłam w każdą zmianę. I guzik! Już chyba przestanę wierzyć w cokolwiek. Ja już nie wierzę w żadną zmianę.

Kiedyś, w ciężkich czasach, profesor wytłumaczył nam na historii, co to jest państwo. Zapamiętałam to i powtarzam przy każdej zmianie.

– Państwo to jest aparat przemocy i wyzysku. Każde państwo. Co to jest rząd? To jest aparat ucisku i przemocy. Oni układają prawo pod siebie – mówił profesor.

Niech mi teraz ktoś powie, który rząd osobiście się nie wzbogacił i który nam pomógł? W tej chwili mogę to powiedzieć szczerze: uwierzyłam w „Solidarność", do której należę do dziś. Chociaż to, że należymy do Koła „Solidarno-

ści" Oświaty Nauczycielskiej wygląda jak kpina. Chodzimy na zebrania w każdy wtorek, spotykamy się. Ale czy chodzę tam dla idei „Solidarności"? Nie! Chodzę tam dla przyjaciół, dla koleżanek, bośmy się zżyły i pokochały te wtorkowe „godziny dziesiąte". Wymieniamy się tam już nie ideą, nie hasłami, ale czymś innym... Może teraz dla nas ważniejszym? Tym jak żyć zdrowo, jak wysłuchać dietetyczki, jak wysłuchać pań z apteki, jak uwierzyć w tanie leki, których nadal nie ma.

To smutne, ale prawdziwe refleksje. Przez trzydzieści trzy lata pracy w szkolnictwie doczekałam się i odznaczeń, i medali, bo byłam i dziś nie wstydzę się tego powiedzieć, wzorową nauczycielką. Mam najwyższy medal za nauczanie, ale już niepłatny. Kiedy pani Suchocka zaczęła rządzić, zabrała nam dodatki za ciężkie warunki pracy po wojnie, czyli za lata nakazu pracy, zabrała nam też dodatki za medale. Tym już bezwartościowym medalem bawiła się moja wnuczka. A dodatki zostały mi zabrane.

Jestem nauczycielem z trzydziestotrzyletnim stażem pracy i od razu muszę powiedzieć, że nie były to lata zmarnowane. Moje zasługi to cudowni uczniowie i cudowne matki, bo zawsze łączyłam nauczanie z wychowaniem. Kiedy miałam wywiadówki, przychodzili na nie mama, tata i babcia, ponieważ chcieli poznać panią. I co dziś mam? 1600 złotych! To kwota już razem z dodatkami za +75 lat. Płacę prawie 600 złotych za mieszkanie, a 1000 zostaje mi na światło, gaz, telefon i telewizor. Co mi zostaje, żeby mieć mydło, buciki i zadowolenie z życia?!

A co znaczy dla mnie zadowolenie życia? Może czasem chciałabym obejrzeć jeszcze balet, który przyjechał z Leningradu. Bo jak nie zobaczyć, skoro ten balet jest pierwszy raz w Teatrze Muzycznym? Jak nie iść do kina na te wspaniałe filmy? Ale nie idę, bo bilety drogie. Muzeów też coraz mniej w moim życiu, bo wszędzie bilety... Na szczęście chodzimy z naszym kołem i zrobiliśmy bardzo dużo wycieczek. W 2000 roku byłam w Rzymie, ale też trzy razy w Wilnie, żeby pomóc dzieciom w różnych podwileńskich polskich szkołach. Zbieraliśmy po dolarze od każdej członkini „Solidarności", żeby zawieźć im pieniądze na odnowienie chociaż jednej klasy. Zawieźliśmy też prezenciki dla każdego dziecka. Przyjmowano nas po królewsku. Byłam też, chociaż nawet o tym nie marzyłam, w Tokio, Kuala Lumpur, Las Palmas, Singapurze, Hongkongu, Rotterdamie, Amsterdamie, Berlinie, Poczdamie, Budapeszcie i Pradze.

Widziałam więc świat, widziałam ludzi i kocham ludzi. A moim życzeniem dla wszystkich jest, byśmy na swojej drodze spotykali dobrych ludzi.

Danuta Mróz-Lisowska

prawnik. Wieloletnia radna Rady Dzielnicy Orłowo. Członek Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Orłowa. Członek Klubu Gazety Polskiej w Gdyni.

Kiedy w 1978 roku się tutaj sprowadziłam, w zasadzie nie miałam żadnych kontaktów z ówczesną opozycją. Byłam w tu nowa i powiem, że moje wspomnienia, to obrazy zachowane w pamięci zwykłego zjadacza chleba. Z tą różnicą, że zjadacza świadomego pewnych okoliczności, bo pochodzącego z domu z niepodległościowymi tradycjami.

Jak wszędzie, tak i w Gdyni mieszkają ludzie z całej Polski, a tych, którzy mają tutaj swoje korzenie od czterech czy pięciu pokoleń jest niewielu. Moje korzenie zaś wywodzą się z tak zwanej Zachodniej Galicji, czyli z dzisiejszego Podkarpacia. Było to małe, sympatyczne, galicyjskie miasteczko, gdzie młodzież żyje swoimi sprawami i nie ma raczej kontaktu ze światem, a już na pewno nie ze studentami z 1968 roku. Z domu jednak pamiętam odgłos zagłuszaczy, bo tata zawsze słuchał Głosu Ameryki, a z kolei siostra mojej mamy słuchała Radia Wolna Europa i potem wymieniali się informacjami. W grudniu 1970 roku miałam szesnaście lat i chodziłam do szkoły w Bielsku-Białej. Dzięki tacie i cioci wiedziałam, że coś się dzieje.

Dzięki cioci dowiedziałam się też o tym, że Karol Wojtyła został wybrany na Ojca Świętego, dowiedziałam się o tym w domu od cioci. Inna ciocia przybiegła do domu i w wielkich emocjach mówi:

– Słuchajcie, ciotka Kwiatkowska dzwoniła, że Wojtyła został papieżem!

A to był nasz arcybiskup z Krakowa. Mówię więc, że chyba ciotka zwariowała. Wypiła coś czy jak?

– Ciociu, a ty słuchałaś Wolnej Europy, żeby to potwierdzić? – pytam.

– Nie, ale ciotka słuchała.

To było niesamowite przeżycie. Karol Wojtyła bierzmował mnie jako biskup pomocniczy w 1962 roku. Wtedy jeszcze nikt nie przeczuwał, że będzie to taka znacząca postać. Wtedy, w momencie wyboru, jeszcze nie pracowałam, tylko mieszkałam z młodszą siostrą, która chodziła do szkoły. Widać było, że ludzie byli pełni radości, ale nie wiedzieli, co z tą radością zrobić. Tak to wtedy odbierałam.

O strajkach gdyńskich kolejarzy w lipcu 1980 roku dowiedziałam się od koleżanek. Wprawdzie byłam wtedy bezpośrednio po studiach i pracowałam jako biuralista w tak zwanej szafie przy Władysława IV. Mieściła się tam ekspozytura PKO BP. Miałam tam koleżanki, które przynosiły wydawnictwa i zostawiały, żeby można się było z nimi zapoznać. Dzięki temu wiedziałam już, że coś się zaczyna dziać. Poza tym zdążyłam się już zaprzyjaźnić z trochę starszymi ode mnie ludźmi „stąd", którzy ogromnie później przeżywali te strajki i dyskutowali na ten temat. Koleżanka, która mieszkała przy ulicy Abrahama i której okna jednego pokoju wychodziły na Świętojańską opowiadała, że do dzisiaj ma w pamięci idący tłum robotników, a potem czołgi na ulicy w 1970 roku. Ja słuchałam, ale nie będąc bezpośrednim świadkiem, nie przeżywałam tego tak jak ona. Widziałam za to, co się z nią działo. Czułam jej ogromny strach. Choć powiem szczerze, że jak mi to uzmysłowiła i o tym opowiadała, to i ja rzeczywiście zaczęłam przeżywać to dość mocno.

15 sierpnia 1980 roku poszłam do pracy i dowiedziałam się, że coś się dzieje. Jedna z informacji mówiła o tym, że kolejki jeżdżą z przerwami, a ja do pracy dojeżdżałam kolejką z Orłowa. Następnego dnia wyszłam na kolejkę na określoną godzinę, bo szłam do pracy na dziewiątą, ale nic nie przyjeżdżało. Na przystanku stało dużo ludzi i wszyscy się zastanawiali, co mają robić. Nie było to zradiofonizowane, więc nie wiedzieliśmy, czy coś pojedzie, czy nie pojedzie. Wszyscy przypuszczali, że prawdopodobnie kolejka dołączyła do strajkujących, bo coś dzieje się w stoczniach w Gdańsku i w Gdyni. Spora część ludzi bała się powtórki z 1970 roku. Bardzo się bali zwłaszcza miejscowi, trochę starsi ode mnie. Pamiętam, że przeszłam wtedy całą trasę do pracy na piechotę. Okazało się, że kolejki jeździły, ale średnio mniej więcej co godzinę.

Jak wspominałam, nie byłam wówczas zaangażowana w żadną walkę, w tę działalność, natomiast ze względu na tradycje rodzinne, wszyscy oczywiście sekundowali strajkującym, bo nie mogło być inaczej. W pracy część osób, głównie kobiety, bo to bank, była funkcyjnymi partyjnymi. Panie więc próbowały trzymać dyscyplinę. Okazało się jednak, że część koleżanek była zaangażowana, tylko ze strachu nie chciały się do tego przyznać. Jak potem był problem z rejestracją „Solidarności" jako ogólnopolskiego związku, to prawie cały bank PKO przy Świętojańskiej strajkował. Dziewczyny wreszcie się ujawniły i nie pracowały. Był to specyficzny strajk, ponieważ nie wywieszano transparentów na oknach, ale kiedy dyrekcja robiła obchód pokoi, panie siedziały przy biurkach z kartkami z napisem „Strajkujemy". Tak to wyglądało.

Którejś niedzieli, między15 a 30 sierpnia, bo wtedy się jeszcze w soboty pracowało, pojechaliśmy pod stocznię przy Waszyngtona. Stały tam „suki", ale muszę to powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że milicja nie była agresywna. Stali, pilnowali, mieli głupie mordy, ale nikogo nie atakowali. Próbowaliśmy robić zdjęcia zza tych suk, bo brama była obwieszona kwiatami i zdjęciami Ojca Świętego.

Sam moment podpisania Porozumień pamiętam jak dziś. Siedzieliśmy przed telewizorem u koleżanki z Abrahama, a przy ulicy 10 lutego, niedaleko poczty, była cukiernia. Mój wtedy jeszcze narzeczony poleciał do tej cukierni. Miał przynieść lody, a tu nie ma go i nie ma. Wpadł do domu na samo pod-

pisanie. Wszyscy siedzieliśmy z rozdziawionymi buziami i czekaliśmy na to podpisanie Porozumień Gdańskich. Bo, powiem szczerze, Szczecin, z oczywistych względów, aż tak nas nie interesował.

Był to czas, gdy już zaczęłam przeżywać te wydarzenia i naszą historię świadomie. Oczywiście nie znałam, jak większość zwykłych mieszkańców Gdyni, żadnych ważnych działaczy czy późniejszych przywódców. Owszem, niektóre nazwiska coś mi mówiły. Było mi znane nazwiska takie jak Gwiazda, czy Wyszkowski. Na pewno nie było mi znane nazwisko Wałęsa. Powiem szczerze, że kiedy pojawiło się nazwisko Wałęsy, a pojawiło się w Głosie Ameryki u nas w domu, bo wzorem ojca, zaczęłam sama słuchać, miałam takie wrażenie, że to nazwisko na początku było takim kolejnym nazwiskiem wymienianym obok innych. Dopiero później zaczęło to wyglądać tak, jakby ktoś zaczął nakręcać tę jego karierę. Ja jednak wtedy w ogóle nie zdawałam sobie z tego sprawy. O Borusewiczu zaś dowiedziałam się dopiero po tym, jak zaczęli go szukać po stanie wojennym. Oczywiście ci wszyscy doradcy typu Mazowiecki, Michnik, Geremek – te nazwiska były mi znane. Natomiast naszych działaczy z Gdyni raczej nie.

Te wszystkie wydarzenia stały się tak ważne, że z czasem zaczęłam żyć tymi sprawami Sprawdzałam informacje w naszej polskiej telewizji i konfrontowałam to z innymi dostępnymi źródłami. W momencie, kiedy Jaruzelski, oprócz tego, że był I sekretarzem, został jeszcze premierem, mój ojciec powiedział:

– To się dobrze nie skończy!

A mój ojciec w 1980 roku to był młody człowiek, bo miał pięćdziesiąt dwa lata. On to wszystko obserwował, analizował i wiedział, że to się dobrze nie skończy i wciąż podkreślał, żeby tylko Rosjanie nie weszli. Zresztą, pewne znaki dostrzegaliśmy osobiście i nawet nie były tu potrzebne żadne wydawnictwa. W marcu 1981 roku mój brat został powołany do wojska na roczną służbę. Pamiętam jego przysięgę po sześciotygodniowej unitarce. Odbywała się w dniu pogrzebu Prymasa Polski. Pojechaliśmy do mojego brata do Morąga. W tej jednostce już wtedy coś się działo, choć nie umiem nawet powiedzieć co. Ale jak mówił mój brat, ciągle ktoś przyjeżdżał do tej jednostki nie wiadomo po co. A potem wysłali ich do Braniewa, a z Braniewa jechali w grudniu przez pięć dni bojowymi wozami piechoty do Warszawy. Z tym że nie jechali ulicami czy szosami jako zwarta kolumna, tylko przemieszczali się po cichu lasami. Stali gdzieś na uboczach i znów jechali, znów stali i jechali. Jechali tak, żeby 13 grudnia być w Warszawie.

Historia to jedno, ale nie zapominajmy, że my wtedy musieliśmy zwyczajnie żyć i obok tych wydarzeń była też nasza codzienność i wspominane przez wszystkich problemy z aprowizacją, kolejki i wieczne zdobywanie, chociażby najprostszych produktów potrzebnych do życia. Słodzenia herbaty oduczył mnie jeszcze Gierek w 1976 roku, jak wprowadził kartki. Do dzisiaj nie słodzę, za co mu chwała. Pamiętam pierwsze kartki, które zostały wprowadzone. To były kartki na szynkę i mięso przed Bożym Narodzeniem w 1980 roku. Pamiętam, że z moim ówczesnym narzeczonym staliśmy na zmianę w kolejce na Świętojańskiej. On pracował w klubie Stal przy Skwerze Kościuszki. Godzinę jedno stało w kolejce, a drugie wracało do pracy i za godzinę zmiana. Staliśmy tam chy-

ba z pół dnia i nikt nikomu nie robił trudności, bo całe PKO stało. Dziś mogę powiedzieć, że było to upokarzające, ale wówczas człowiek chyba nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, do jakiego stopnia jesteśmy upodleni. Zajęci walką o codzienność i byt nie dostrzegaliśmy tego upodlenia. Ja zwyczajnie cieszyłam się, bo udało mi się kupić szynkę na święta.

U mnie w Orłowie przy ulicy Orłowskiej, dawnej Bohaterów Stalingradu, w okresie przejściowym znajdowały się obok siebie dwa sklepy. Sklep mięsny i sklep spożywczy. Wszyscy mieszkańcy z okolicy wiedzieli od zaprzyjaźnionych pań ekspedientek, kiedy dostarczą jakiś towar. To nieprawda, że one wszystkie były niegrzeczne, niemiłe, niechętne klientom i wciskające byle co. One nas informowały, kiedy spodziewane jest rzucenie towaru, a wtedy wszystkie siły rodzinne były montowane, żeby stanąć. Mało tego, w Orłowie przed Bożym Narodzeniem 1981, kiedy już w ogóle nic nie było, kolejka wyglądała w ten sposób, że ludzie trzymali się sznurka, żeby nikt nie wszedł. Ludzie stali przy linie i jeden drugiego nie wpuścił, nie było takiej możliwości. Jeden za drugim stał i trzymał linę jak przedszkolak. Dzisiaj aż trudno o tym mówić. Dziś nie palę, ale w tamtych czasach paliłam papierosy. Wtedy nie było jeszcze kartek i stałam jak ta boża sierota godzinami w kolejce, żeby kupić na przykład cztery paczki jakichś kubańskich papierosów. Stałam jak ten głupek…

Różne myśli człowiekowi przychodziły wtedy go głowy i czasem miało się ochotę uciec od tego wszystkiego jak najdalej. Raz mieliśmy nawet ku temu sposobność. Wyjechaliśmy z moim wtedy jeszcze nie mężem na rejs do Grecji. Mimo tego, że widać było, że coś się dzieje, to na zorganizowane rejsy żeglarskie można było wyjeżdżać. Moja koleżanka, ta, która mieszkała przy Abrahama, była wcześniej na jednym z takich rejsów. Nie spotkałyśmy się, a potem się okazało, że oni już nie wrócili, cała załoga pojechała do Austrii do obozu przejściowego. Powiedziałam do Andrzeja:

– Zostańmy, pojedziemy do Austrii i potem do Stanów.

– Ty chyba zwariowałaś! Ja mam uciekać z Polski?! – odpowiedział na to mój przyszły mąż. Więc przyjechałam za nim. Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, ale już nie ma czego żałować, w tej chwili jest za późno.

Pewnie to zabrzmi dziwnie, ale początkowo nawet nie wiedziałam, że wprowadzili stan wojenny. Szykowałam się do ślubu. Ślub był wyznaczony na 26 grudnia 1981 roku, a wesele miało się odbywać w klubie w Stali. Była tam tylko kuchnia, ale nie było kucharzy, nikogo, więc trzeba było wszystko przygotować we własnym zakresie. W związku z tym mój mąż na początku grudnia pojechał do Bielska-Białej. Tam mój ojciec zorganizował mięso, a ciocia zorganizowała wszystko, co potrzebne do wypieków. Miałam ich wszystkich odebrać z dworca. Nie miałam samochodu, ale umówiliśmy się, że podjadę z jakimś wózkiem albo sankami, żeby pomóc im przynieść te toboły. Stoję na kolejce w Orłowie, czekam aż przyjedzie pociąg z Bielska. Ludzie wysiadają, widzę tatę, a on z miejsca do mnie mówi, że stan wojenny wprowadzili.

– Co tata opowiada takie rzeczy?! Jaki stan wojenny?!

– To nie wiesz? Nie słuchałaś?!

– Nie. Radio wyłączyli.

Jechali w noc wprowadzenia stanu wojennego. Jechał mój mąż, mój tata i moja ciocia, ponieważ moja mama już tu była. Jechali z Bielska do Katowic i z Katowic do Gdyni. Na dworcu w Katowicach było już pełno patroli. I policja, i wojsko, wszystko chodziło po peronach. Mój ojciec zaniepokoił się tym, a potem w nocy przyszedł do nich konduktor i powiedział:

– Ludzie, wojna!

– Ruskie weszli? – tylko o to zapytał wtedy ojciec.

Gdyby nie to, że wyjechali z soboty na niedzielę, to by już nie dali rady w ogóle wyjechać. Na szczęście dojechali, ale mam jeszcze jedno wspomnienie związane z tymi przygotowaniami. Na trzynastego grudnia byliśmy umówieni z kuzynami w Gdańsku na Jaśkowej Dolinie i na Morenie. Umówiliśmy się z nimi, żeby ich zaprosić. Andrzej był z młodszego pokolenia, a ci kuzyni mieli już koło pięćdziesiątki, więc wypadało pojechać. Jechaliśmy autobusami i trolejbusami i widzieliśmy nastroje panujące wtedy wśród ludzi. Byli bardzo bojowo nastawieni i nie bali się mówić o tym otwarcie. Nie bali się rozmawiać między sobą o tym, że jutro nie idą do pracy, będą strajkować i tak dalej. A kiedy wracaliśmy, była już godzina policyjna. Nikt nas nie zatrzymał, ale koło budynku policji stał patrol i dopiero jak zobaczyli, że jestem tutejsza i tu mieszkam, bo oni mnie znali z widzenia, pozwolili mi przejść. Mój przyszły mąż mieszkał na Świętojańskiej, więc jak się zorientowałam, że może być różnie, sprowadziłam go do domu. Został w moim mieszkaniu, ale tatuś wtedy twardo powiedział:

– Ty z nim będziesz mieszkać dopiero po ślubie!

No i musiałam mieszkać z tatusiem i z mamusią na dole. 22 grudnia 1981 roku, po naszym ślubie cywilnym odbył się smutny obiad u moich rodziców na dole. Nagle usłyszeliśmy mocne stukanie, wręcz łomot do drzwi. Była nas garstka i wszyscy zamarli. Nikt nie czuł się podejrzany, bo i nikt nie prowadził jakiejś wielkiej działalności. Ten łomot przypomniał moim rodzicom II wojnę. Okazało się, że był to kolega z wojska mojego brata. Brat miał być świadkiem na moim weselu, a przyjechał żołnierz, który dostał przepustkę z jednostki wojskowej, z oddziału, gdzie w Warszawie służył mój brat. Puścili go na przepustkę, bo miał pogrzeb w rodzinie, a mojego brata na wesele siostry nie puścili.

– Czy tu mieszkają państwo Mróz? Bo ja mam wiadomość o Zbigniewie Mrozie! – tak brzmiały jego pierwsze słowa.

Słysząc coś takiego, każdy by zamarł ze strachu i obawy, że coś się stało. Nie inaczej było z nami. Mój tata, duży, silny mężczyzna, zbladł, a potem zrobił się zielony. Okazało się, że ten chłopak po prostu przyniósł wyrwaną z zeszytu kartkę z życzeniami dla nas od mojego brata. Dzisiaj, po tylu latach człowiek już tak tego nie przeżywa, ale w tamtym czasie wolałabym, żeby to się już nigdy nie powtórzyło.

Na wesele nie udało się sprowadzić żadnych przyjezdnych gości. Puścili tylko rodziców Andrzeja z Warszawy, bo mieli już skończone siedemdziesiąt lat. Oni przyjechali i bawiliśmy się w naszym dużym garażu pod ziemią. Zamiast spodziewanego wesela na około sześćdziesiąt osób miałam dwadzieścia z państwem młodym i z rodzicami. Ponieważ mieszkam w Orłowie w miejscu, gdzie naprzeciwko był posterunek milicji, mój ojciec poszedł powiedzieć,

że ludzie, którzy będą przychodzili to nie są spiskowcy tylko goście weselni, bo on córkę wydaje za mąż.

Goście, którzy nie mogli dojechać, wysyłali nam listy. Najciekawsze jest to, że listy z zagranicy mają pieczątkę „nie cenzurowano", a telegram z Polski z życzeniami od siostry mojego taty jest ze stemplem „ocenzurowano". Oczywiście podczas przyjęcia weselnego wszyscy piliśmy na pohybel Ruskim. Wódkę weselną kupowaliśmy na kartki, bo był specjalny przydział. Jak poszliśmy do Urzędu Stanu Cywilnego się zarejestrować, dali nam kartki na wódkę. Ponieważ nie było gości, piliśmy tę wódkę jeszcze przez dwa lata.

Po 13 grudnia w związku z przygotowaniami do ślubu nie chodziłam pod stocznię, a po ślubie trzeba było normalnie funkcjonować. Organizować jakoś życie, bo przecież wtedy się wszystko załatwiało. Dosłownie wszystko. Prawie nic nie można było normalnie kupić. Po wprowadzeniu Stanu Wojennego jeździliśmy do Kościoła Gwiazdy Morza do Sopotu. Z tego, co pamiętam, w trzecią niedzielę każdego miesiąca odbywały się tam spotkania z różnymi ludźmi. Pamiętam, że było spotkanie z Geremkiem. Nie będę tego ukrywała, że w tamtym czasie był to dla mnie mąż opatrznościowy. Mój ojciec z kolei jeździł na msze święte do św. Brygidy i chodził w kontrpochodach pierwszomajowych. Kiedyś przyjechał mokruteńki, stłuczony na kwaśne jabłko i mówi:

– Daliśmy im do wiwatu!

Myślę, że ówcześni działacze zasługują na ogromną wdzięczność. Ci, których znamy, wzięli na siebie całe odium. Ale bardzo istotny był też szeroki krąg poparcia wśród zwykłych, szarych ludzi, których nazwiska nigdy nie będą uwiecznione, bo byłoby tego za dużo. Oni w sumie nie uczynili nic takiego wielkiego i spektakularnego, ale stanowili falochron, mentalne oparcie dla tych, którzy stali na barykadach. A stanie na barykadzie w pojedynkę jest trochę bez sensu. Trzeba mieć oparcie gdzieś z tyłu, jakieś zaplecze, nawet jeśli to nie są działacze tylko zwykli zjadacze chleba. Jeśli człowiek działający wie, że oni mu sprzyjają, to chyba się lepiej czuje.

Działa to trochę podobnie jak z oparciem w wierze. Potrzebna jest świadomość, że nie jesteśmy na tym świecie sami. Mówię o tym, ponieważ pamiętam jak Papież był w Gdyni. Wtedy jeszcze stał stary budynek Teatru Muzycznego, który z każdej strony miał schody na zewnątrz. Takie jakby zapraszające trybuny. Nasz ksiądz prałat Zawadzki z Orłowa był asystentem Ojca Świętego na Skwerze. Oczywiście byłam tam. Moja córka była malutka, miała trzy lata. Poszliśmy tam z mężem i z mamą, bo ojciec został w domu. Natomiast na Zaspie byliśmy we trójkę, mój ojciec, mój mąż i ja. Oczywiście było to niesamowite przeżycie i muszę powiedzieć, że mimo tego ogromnego tłumu, wszyscy potem wędrowaliśmy do Wrzeszcza. Panował taki straszny ścisk, że gdyby coś się stało, to mogły być tysiące ofiar. Ale ludzie w tym ścisku przeszli pięknie i kulturalnie, choć część z nich była niesiona przez tłum. Niemożliwe przeżycie! Dla mnie było oczywiste, że jeżeli nam Ojciec Święty nie pomoże, to nikt nam nie pomoże. Już wtedy z punktu widzenia przeciętnego człowieka, mieszkańca Gdyni czy Trójmiasta, widać było, że komuna gnije. Były to już widocznie objawy. Nie tylko plamy opadowe, ale już pierwsze objawy gnicia. Pierwsze widoczne objawy widać było już podczas zimy stulecia. Natomiast myślę, że chy-

ba nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że to gnicie będzie miało negatywny wpływ na to, co się stanie potem. Nikt ani z mojego otoczenia, ani z otoczenia ojca tego nie przewidywał.

Wspomnę jeszcze święta wielkanocne 1982 roku, ponieważ mam z nimi związane o tyle dobre wspomnienia, że mój brat wrócił po służbie. Można powiedzieć – wypuścili go. Skończył roczną służbę i wrócił z Warszawy. Wiem, że wtedy na Wielkanoc było strasznie zimno, było zimno aż do maja. Śmialiśmy się, że Pan Bóg zesłał za karę taką pogodę. Tak nas tutaj gnębią, więc żeby im też dokuczało. Ten czas trochę się zaciera w pamięci…

Wreszcie nadszedł rok 1988 a z nim strajki majowe. Pracowałam wtedy w Wodociągach Gdańskich, a stocznia była dosłownie dwie ulice dalej. Przejeżdżałam koło tych krzyży, bo już miałam samochód, malucha. Coś znowu się działo, ale powiem, że z mojego punktu widzenia nie miało to już takiej energii jak wcześniej. Zajmowałam się działem technicznym i często przychodzili do mnie inżynierowie, ludzie czynu, robotnicy, mistrzowie od rozwiązywania problemów. Rozmawiając z nimi miałam takie nieodparte wrażenie, że ci ludzie nie mają tego entuzjazmu, którego można by się było spodziewać. Było wiadomo, że coś się dzieje. Owszem nie było takiego strachu jak w 1980 roku, ale entuzjazmu u tych ludzi też nie widziałam. A przecież to byli robotnicy. Dla mnie powinien to być wręcz festiwal radości.

Podobnie strajki w sierpniu 1988. Można powiedzieć, że w ogóle ich nie zauważyłam. Nie obierałam w żaden sposób. Powiem szczerze, że w 1988 roku nie kojarzę żadnego momentu, który byłby charakterystyczny dla tamtego okresu. Wiem tylko, że w grudniu 1988 roku, czyli już po tych wydarzeniach, wyjeżdżaliśmy w rejs czarnomorski. Gdzie indziej było trudno dostać paszport, ale tam nam pozwolili pojechać. Z taką agresją, takim trzepaniem, takimi rewizjami na granicy zarówno po polskiej, jak i sowieckiej stronie jeszcze się nie spotkałam. Jak dzisiaj na to patrzę, myślę, że być może był to po prostu przejaw bezsilności.

Niedługo później dotarło do mnie, że komuna się kończy. Mogę nawet wskazać, że było to w momencie, kiedy najpierw doszło do dyskusji Alfreda Miodowicza z Wałęsą, która odbyła się w studiu Telewizji Polskiej 30 listopada 1988 roku. A potem, 3 maja 1989 roku, był Michnik z Kwaśniewskim. Myślę, że Miodowicz był inteligentniejszy od Wałęsy, ale Wałęsa go pokonał, ponieważ dyskusja z wariatem jest dość trudna. Po drugie, w moim przekonaniu, Michnik pokonał Kwaśniewskiego. Wtedy właśnie zaczęłam mieć takie wrażenie, że coś się zaczyna dziać. Nie przypuszczałam, że dojdzie do jakiegoś „dealu", ale można było przypuszczać, że będzie porozumienie i że coś będzie się działo. Trzymaliśmy kciuki za jedną stronę, to było oczywiste. Niestety myliliśmy się. Wiem, że wszyscy mówią, że jeszcze oczekują na prawdziwą wolność.

Myślę, że gdyby mój ojciec, który zginął w 1993 roku, patrzył dzisiaj na to wszystko, powiedziałby, że mamy wolność, tylko że ona jest jeszcze kaleka i mimo wszystko wymaga poszerzenia. Nie giną ludzie polityczni. Nie słyszałam, żeby byli w tej chwili mordowani ze względów politycznych. Myślę, że poza paroma osobami typu Ania Kołakowska w zasadzie nie ma ludzi, którzy byliby szykanowani politycznie. Oczywiście być może wynika to też z tego, że te układy

się tak utrwaliły, że w tej chwili ci, którzy chcieliby coś zmienić, mają trudności z wyjściem na powierzchnię.

Można podsumowywać i wydawać opinie, ale powiem, że jestem przeciwna ujednoliceniu poglądów. Nie chcę, żebyśmy wszyscy byli bogoojczyźniani, chociaż jestem „absolutnym moherem". Słucham Radia Maryja, płacę na Radio Maryja, dekalog jest dla mnie podstawą w życiu i tak dalej. Mimo to nie pragnę, żeby wszyscy mieli jednolite poglądy. Myśmy w swojej historii przerabiali już jednolite poglądy. Słyszeliśmy już, że sukces partii jest sukcesem narodu. Bez względu na to, pod jakimi sztandarami ta partia by nie szła, to ja nie jestem PiS-ówką. Mimo tego jestem za PiS-em, bo jest mi bliski. Mój ojciec był na pierwszym i drugim Kongresie Porozumienia Centrum, ale czy dzisiejszy PiS jest tym samym, czym było Porozumienie Centrum? Myślę, że nie.

Powiem na koniec, że dla mnie najważniejsza jest Polska, jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało.

Wanda Olkowicz

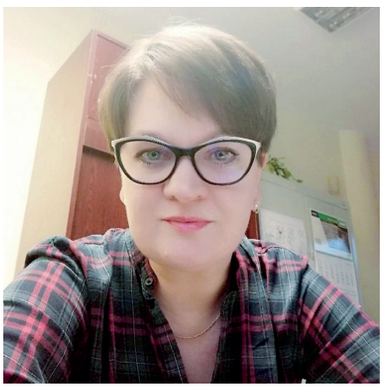

W latach 80' nastolatka. Córka Zenony Baranowskiej, pracownik ZUS.

Stan wojenny zatarł się w mojej pamięci i pozostały tylko urywane obrazy, ponieważ widziałam to wszystko oczami dziecka. Należę to tej grupy osób, która może głośno mówić, że wtedy włączyłam telewizor, a tam nie było Teleranka.

Moje pierwsze wspomnienie związane z tamtym okresem to wakacje 1980 roku. Wracam z tatą z Łodzi, mijamy stocznię, a budynek stoczni jest niesamowicie oświetlony. Pamiętam, że tata chyba mówił wtedy, że coś się dzieje, bo przecież jest późna godzina. Ciemno, sobota, a cała stocznia oświetlona. To pamiętam. Kojarzy mi się jeszcze taki wielki, ale groźny spokój. Spokój, który niesie ze sobą niepokój, a nawet strach. Przede wszystkim ta uderzająca cisza. Tak jak zawsze się otwierało okno latem, było słychać suwnice czy młoty. Zawsze panował hałas, a wtedy po prostu ogromna cisza, która waliła po uszach. Po prostu coś niespotykanego. To było przerażające.

A potem tata poszedł na ten strajk. Nie zastanawiałam się, dlaczego to zrobił, bo i skąd miałam się zastanawiać. Przyjmowałam wszystko jak dziecko i po prostu taty przez jakiś czas nie było w domu. Jeździłyśmy wtedy maluchem z mamą i z ciocią pod bramę stoczni. Pamiętam, że bardzo chciałam przemycić ulotki. Chyba te ulotki dostałam od taty. Schowałam je pod bluzkę, wsiadłam do samochodu, a jak wysiadałam, to już ich nie miałam. Nie wiem, co się z nimi stało, czy je zgubiłam po drodze. Wiem, że bardzo chciałam pomóc, żeby nie tylko mama przemycała te ulotki. Czułam, że to coś bardzo ważnego dla mojego taty, że muszę koniecznie te ulotki rozdać na podwórku. Czułam, że chcę też coś zrobić dla sprawy, choć nie za bardzo ją rozumiałam.

Z tych wizyt pod stocznią, przypominam sobie pewną sytuację dotyczącą mojego taty. Zawsze widziałam go w domu, gdzie chodził w zwykłym ubraniu. Pamiętam, że jak poszłam pod bramę, nagle zobaczyłam tatę w kasku i w typowo robotniczym stroju. Tata pracował w biurze, więc dziwiłam się, dlaczego nagle tak wygląda.

Kiedy rozpoczął się rok szkolny i wróciłam po wakacjach w mury szkoły wszystko jakoś oderwało mnie od tych strajków i ulotek. Poszłam do drugiej klasy i wiadomo fartuszki, śpiewanki i dużo rysowania. To mnie zajmowało, protesty robotnicze nie należały do tematów, o których rozmawiało się w takim wie-

ku. Dla mnie jednak sierpień znaczył wiele, bo doświadczyłam go przez nieobecność taty. To dla mnie było ogromnym przeżyciem. Taty nie ma w domu, jest gdzieś tam zamknięty! Tam są tłumy ludzi i pełno milicji! To na pewno było dla mnie wielkim szokiem, ale nie pamiętam jakiegoś wewnętrznego strachu o tatę. Poza tym rodzice wtedy ze mną o tym nie rozmawiali. Nie tłumaczyli. Mimo tego czułam, że tata robi coś dobrego, inaczej nie zostawiałby nas samych. Potem mama opowiadała mi, że, nie licząc wypraw pod stocznię, rodzice kładli mnie o ósmej spać, robili sobie herbatę, siadali do stołu i dyskutowali o sprawach politycznych. A mieli o czym rozmawiać, bo mama pracowała w aptece razem z żonami różnych oficerów Marynarki Wojennej i one były raczej przeciw Solidarności.

Stan wojenny to dla mnie również słynny brak Teleranka. Fakt, to był szok, że nie ma piejącego kogucika, że w ogóle nie ma telewizji. I pozostał jedynie ten obraz, a potem już dopiero wydarzenia związane z mszami za ojczyznę. Pamiętam jak byłam z babcią w kościele. Śpiewałyśmy i trzymałyśmy palce na znak Victorii, czyli ja jako 9-letnia dziewczynka również robiłam „zajączka". Pytałam potem mamę, dlaczego tak robiłam. Wiem, że robiłam to dlatego, że wszyscy, w tym babcia tak trzymali dłonie i śpiewali. Czułam, że powinnam tak robić, ale mama musiała mi to wytłumaczyć. Któregoś razu wyszłyśmy z kościoła i zapytałam mamę:

– Mama, dobrze zrobiłam?

– Bardzo dobrze zrobiłaś – usłyszałam.

Byłam z siebie dumna. Jakoś tak podświadomie czułam, że to, co robią rodzice jest dla mnie dobre i powinnam pomagać im ze wszystkich sił. Nie za bardzo rozumiałam czym jest „Solidarność", ale zawsze wiedziałam, a raczej czułam, że to jest ta dobra strona.

U nas na Obłużu stanu wojennego nie było widać. Na pewno nie stały tu czołgi, milicji też raczej było mało, zresztą wieczorami jako mała dziewczynka i tak nie wychodziłam z domu. Przecież to zima była i zmrok szybko zapadał. Czułam jedynie smutek, bo tu zbliżają święta Bożego Narodzenia, a nie ma tej świątecznej atmosfery, tylko jakieś takie przygnębienie. A dodatkowo, z koleżankami też się nie spotykałam, bo odwołali lekcje w szkole. Do centrum z mamą nie jeździłam, bo nie było takiej potrzeby. Mama robiła większość zakupów w sklepach na osiedlu. Tym bardziej, że przecież do centrum nie jeździło się tak jak teraz, tylko naokoło. Od ulicy Unruga do Pułkownika Dąbka było jedno wielkie pole. Tam była tzw. stacja POM czy coś takiego i tam wjeżdżały autobusy, więc jak nie trzeba było, to się nie jechało do Śródmieścia. Ogólnie było szaro i smuto. Tyle pamiętam.

A później miałyśmy większe zmartwienia. Tata chorował od 1983 do 1987 roku. W naszym domu rozegrała się prawdziwa walka o jego życie. I wtedy już te strajki stały się nieważne. Liczyłam i przeżywałam każdy kolejny dzień z tatą. Dla mnie w tym momencie to było najważniejsze. Później śmierć taty – to już w ogóle było straszne.

W tym okresie choroby taty bardzo pragnęłam pomóc mamie. Pamiętam jak poszłam do sklepu. Chyba po kawę. Była kolejka, chciałam dwie kawy i pani wyciągnęła mi tę drugą spod lady. W efekcie przyniosłam do domu dwie

kawy. Kawy w srebrnych torebkach! Do dziś pamiętam tę radość w domu, bo mama zawsze piła kawę. Zresztą, mimo swojego wieku, byłam przyzwyczajona do zakupów. Chodziłam do piekarni na Cechową, stałam w kolejce i wracałam z chlebem. Szybko nauczyłam się cierpliwości i wytrwałości, tak potrzebnych w tych kolejkach. A do tego zawsze wiedziałam gdzie co można dostać. Pewnego razu doszło nawet do sytuacji, kiedy daleko od domu, w centrum miasta mama zostawiła mnie w bardzo długiej kolejce. To była piekarnia przy ulicy Dworcowej, a ja nie przejmowałam się raczej tą odległością od domu, bo tam tak pięknie pachniało pieczonym chlebem. Sytuacja, która dziś jest nie do pomyślenia, a wtedy tak się robiło i było to wręcz normalnością. Stałam po ten chleb i pamiętam, że go dostałam.

W 1987 roku do Gdyni przyjechał papież Jan Paweł II. Pamiętam jak szłam z mamą pieszo, chyba ulicą Wiśniewskiego. Nie szło się samemu, tylko w grupkach. Dla mnie to był spory kawałek, ale wtedy tak fajnie się szło, tyle było emocji i radości, że w ogóle tego się nie czuło. Ta radość, że idziemy do Ojca Świętego. Ta radość, że przemówi. Ta radość, że tu jest… To w ogóle było coś niesamowitego. A potem siedziałyśmy szczęśliwe na trawie wiele godzin. Coś mi się też kojarzy, że chyba tata dostał wtedy ze szpitala zaproszenie na audiencję do kościoła. Że jako chory mógł mieć bliskie spotkanie z Ojcem Świętym… Ale to mi się tylko kojarzy.

Czym są dla mnie wspomnienia lat osiemdziesiątych? Wielka radość na początku, wakacje z tatą, potem wyprawy pod stocznię. Stan wojenny, który jakoś przeszedł obok mnie. A później choroba taty, pielgrzymka Ojca Świętego i śmierć taty. Potem potrzebowałam kilku lat, by dojść do siebie po tak wielkiej stracie. Aż nastała nowa Polska po wyborach w czerwcu 1989 roku. Ale to już chyba temat na inną opowieść.

Krystyna Olszewska

pracowała w Sekcji Służby Zdrowia Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność". Po 1989 roku szefowa Sekretariatu Lecha Kaczyńskiego Wiceprzewodniczącego NSZZ „Solidarność". Obecnie starszy wykładowca na Uniwersytecie Gdańskim w Zespole Lektorów Języka Angielskiego.

Elegancka, wręcz wypielęgnowana pani około czterdziestki. Perfekcyjna fryzura z blond włosów, błękitne oczy, futro i współgrająca z nim torba. Niby sympatyczna, kulturalna, miła i uprzejma pani ze wzrokiem pewnie utkwionym w rozmówcy. Ta pani siedzi na wprost mnie, przed moim biurkiem, uśmiecha się i zadaje kolejne pytania. Wie o mnie prawie wszystko. Ja odpowiadam, a jedną półkulą mózgu zadaję sobie pytanie. Czy tak rzeczywiście wygląda SB?! To jedno z wielu wspomnień z „tamtego okresu" i choć nigdy nie czułam się weteranką, to parę podobnych obrazów pozostało mi w pamięci.

W wakacje 1980 roku nie było mnie w Polsce, ale za to doskonale pamiętam grudzień 1970. Pamiętam, tym bardziej że mieszkałam wtedy w Gdyni przy ówczesnej ulicy Migały, obecnie Wójta Radtkego. Na rogu mieścił się szpital miejski, a mieszkający pod nami sąsiad był akurat na ostatnim roku medycyny, więc od razu pobiegł tam, żeby pomagać rannym. Oczywiście nie można było tego przeprowadzać, ale lekarze po cichu wszystko dokumentowali. Zdawał nam później całe relacje, jak wyciągano rannym kule. Wiem, że strzelano nawet do sanitariuszy czy do karetek, ale z tego, co pamiętam, ludzi zwożono do szpitala raczej prywatnymi samochodami. Sama słyszałam przerażający krzyk kobiet i widziałam ich ręce czerwone od krwi.

– Mordercy! – krzyczały te kobiety.

Krzyczały, żeby ludzie na mieście w ogóle wiedzieli, co się dzieje. Pochodu na Świętojańskiej nie widziałam. Najdokładniejsze relacje mam od wspomnianego sąsiada, który pracował w szpitalu. Pamiętam, że tam zabrakło leków, kroplówek, że pielęgniarki stały jak żywe stojaki, żeby pomagać ludziom.

W wakacje 1980 roku nie było mnie w Polsce, byłam w Szwecji. Pojechałam tam po śmierci mamy. Mama ciężko chorowała i sytuacja w szpitalu była trudna. Tato miał bliską znajomą w Szwecji, z którą się konsultował w sprawie mamy. Ta kobieta bardzo chciała pomóc, niestety mama zmarła. Tata dostał wtedy zaproszenie do Szwecji, jednak nie chciał z tego skorzystać i scedował je na mnie. Też byłam dość rozbita po śmierci mamy, ale pojechałam i tam śledziłam bieg wydarzeń. O strajkach 1980 roku dowiedziałam się ze szwedzkich gazet. Studiowałam wtedy socjologię w Krakowie i na uniwersytecie szwedzkim spotkałam o cztery lata starszego kolegę Jana Zagórę, który uczył już wte-

dy na Uniwersytecie w Sztokholmie. Razem z nim brałam tam udział w demonstracji i bardzo się cieszyłam, że w Polsce jest taki zryw wolnościowy. Nie znałam szwedzkiego, ale on tłumaczył mi artykuły z gazet i zaopatrzył mnie w różne książki. Potem przekazałam jedną z takich książek prof. Staniszkis. A kiedy wróciłam do kraju, jak najszybciej chciałam do tego wszystkiego dołączyć.

Jednak dość długo zostałam w Szwecji. Miałam zaproszenie na miesiąc. Kiedy się skończyło pracowałam u pewnej dziewczyny, Żydówki, która wyemigrowała z Polski w 1968 roku. Pilnowałam jej dziecka. Ona studiowała medycynę i była samotną matką. Mieszkałam razem z nią i w ten sposób zdobywałam środki na utrzymanie. W końcu, tak mniej więcej po pół roku, napisałam tam nawet pracę magisterską. Wyjeżdżając do Szwecji miałam już jej zarys, bo chciałam pisać na temat tego, jak przystosowała się Polonia w Stanach. Opisywałam płaszczyznę społeczną, polityczną i ekonomiczną. Ten kolega, o którym wspominałam, zaprowadził mnie na uniwersytet, pokazał mi bibliotekę, no i ksero. Powiedział, że tu jest o wiele łatwiej i nie muszę odręcznie robić notatek. I w końcu napisałam pracę pt. „Szwecja jako kraj imigrantów".

Z gotową pracą przybyłam do Polski. Był to rok 1980 początek 1981. Świeżo po obronie chciałam podjąć pracę i zostać w Krakowie. Niestety, nie mogłam znaleźć tam pracy związanej z moim zawodem i zatrudniłam się w Domu Małego Dziecka na Woli Justowskiej w Krakowie, chociaż było to trochę niezgodne z kwalifikacjami. Potem do Krakowa przyjechał kolega z Wybrzeża i poinformował mnie, że na Akademii Medycznej w Gdańsku powstaje nowy zakład – Zakład Podstawowej Opieki Zdrowotnej. Kieruje nim doktor, obecnie profesor, Marek Hebanowski, który poszukuje psychologów i socjologów. [profesor zmarł w marcu 2019 – przyp. red.] Długo się nie zastanawiałam. Od początku byłam bardzo zadowolona, miałam dobrego szefa i miłe koleżanki, z którymi robiliśmy różne badania.

W pewnym momencie dostrzegłam, że w ramach „Solidarności" powstała Krajowa Sekcja Medyczna, że mają zjazdy, na które przyjeżdża mnóstwo ludzi z całego kraju. Tworzyli oni wachlarz różnych poglądów na temat tego, jak uzdrowić służbę zdrowia. Stopniowo coraz bardziej się w to angażowałam, aż w końcu zaproponowano mi pracę w sekretariacie tej Krajowej Sekcji Medycznej. I znów długo się nie zastanawiałam. Nie bałam się i raczej martwiło mnie to, że miałam dobrego szefa i wszystko w pracy mi się dobrze układało. Trudno więc było mi rozstać się z tym Zakładem Podstawowej Opieki Zdrowotnej, ale przyszli koledzy i wytłumaczyli mi, że nie wzięłam ślubu z tym zakładem i żebym zrobiła tak, jak czuję. Żebym poszła tam, gdzie najbardziej się przydam, tam gdzie chciałabym być i najbardziej pomóc, bo „Solidarność" dopiero się tworzyła. No i poszłam.

Nasza siedziba mieściła się w pogotowiu przy Alei Zwycięstwa w Gdańsku. Mieliśmy tam dwa malutkie pokoiki. Sekcją kierowała Alina Pieńkowska. Byłam tam stosunkowo krótko i to wszystko było dla mnie nowe, więc raczej koncentrowałam się na sekcji medycznej. Moja praca w sekretariacie polegała na przykład na protokołowaniu zebrań Komisji Krajowej. Poza tym, jak to w sekretariacie, odbierałam telefony i tak dalej. Byłam zwykłym pracownikiem sekretariatu i miałam kontakt z różnymi komórkami z całego Trójmiasta. W tam-

tym czasie myślałam jeszcze bardzo pozytywnie. Oczywiście, dochodziły do nas informacje o Bydgoszczy, ale cały czas wydawało mi się, że to są incydenty, że członków „Solidarności" jest tylu, że dobro musi jakoś zwyciężyć i przeważyć.

Pracy w sekretariacie było zazwyczaj dużo, więc często siedzieliśmy do późna. Pamiętam dokładnie noc z 12 na 13 grudnia. Był jeszcze ze mną Rysiu Zając, który był z zawodu ortopedą i jeszcze jeden chłopak, z zawodu farmaceuta, ale on wyszedł wcześniej. Chyba około godziny dziewiątej wieczorem zorientowaliśmy się, że nie chodzi teleks. Później chcieliśmy dowiedzieć się, co się dzieje i zadzwonić do regionu, ale telefony też już nie działały. Zbliżała się godzina dziesiąta i Rysiu powiedział, żebym pojechała do domu, do Gdyni. Posłuchałam go i tak zrobiłam. Była noc, szłam do kolejki, a czołgi nacierały na miasto. Czułam się jakby nieomal zaczęła się wojna. Rysiu pobiegł do Bogdana Lisa, a Bogdan wyszedł akurat z zebrania Komisji Krajowej i chciał się chwilę przespać. Rysiu obudził go, ale Bogdan mu nie wierzył. Nie wierzył, dlatego że było już wiele fałszywych alarmów. Ciągle mówiono, że Rosjanie są już na granicy i będą nas atakować. W końcu jakoś go przekonał.

Dotarłam do domu, ale nie zdążyłam jeszcze położyć się spać, kiedy przywieźli do mojego mieszkania Bogdana Lisa. Przywiózł go Piotr Mierzewski, lekarz zawodu, który bardzo ściśle współpracował z Rysiem Zającem. Wiedziałam kim jest Bogdan, bo była to słynna wtedy postać, ale nie znaliśmy się osobiście. Może właśnie dlatego koledzy go do mnie przywieźli, by nie było podejrzeń ze strony SB. Bogdan mieszkał u mnie około miesiąca.

Bladym świtem13 grudnia Piotr Mierzewski, który miał małego fiata, pojechał do biura naszej sekcji i oczyścił biuro. Udało mu się jeszcze przed opieczętowaniem biura wziąć wszystkie papiery, żeby różne nazwiska nie wpadły w ręce esbecji. Przywiózł te wszystkie materiały do mnie do domu. Wsadziłam je gdzieś do tapczanu. Następnego dnia sama pojechałam do pogotowia, bo chciałam zobaczyć, czy na pewno dokładnie to wyczyścił, ale wszystko było już opieczętowane. Piotr Mierzewski był internowany, więc utrzymywałam kontakty z jego rodziną. Pomagałam im, kiedy czegoś potrzebowali. Czy to pieniądze, czy coś do ubrania albo jedzenia... Wiele osób pomagało w ten sposób.

Naturalnie zostałam wtedy bez pracy, bo wszystkie lokale „Solidarności" były opieczętowane. Było wiadomo, że nie można się legalnie zatrudnić i to wszystko było zakazane. A równocześnie trzeba było mieć pieczątkę w dowodzie, że się pracuje. Uratowała mnie wtedy doktor Barbara Przedwojska, która kierowała pogotowiem ratunkowym, a jednocześnie była ekspertem naszej sekcji medycznej. Zatrudniła mnie w sekretariacie pogotowia i dzięki temu mogłam mieć tę pieczątkę w dowodzie. Pracowała tam już co prawda jedna sekretarka, ale znalazło się miejsce i dla mnie. Pani doktor Przedwojska też zdawała sobie sprawę z tego, że długo tam nie pobędzie i za chwilę usuną ją ze stanowiska. Rzeczywiście niedługo po tym tak się stało. Została usunięta, a jej stanowisko obsadzono inną osobą. To był doktor Miądlikowski. Zanim jednak ją usunęli miałam wrażenie, że chce mi przekazać jak najwięcej rzeczy.

Oczywiście wtedy nie było łączności i myślę, że wiele osób zmarło z tego powodu, bo pomocy nie udzielano na czas. Na szczęście my jako pogotowie

mieliśmy jedyną łączność, bo karetki musiały się jakoś poruszać. Z tego względu esbecja była bardzo podejrzliwa w stosunku do nas. Ciągle podejrzewali, że przerzucamy ludzi albo jakieś gazetki. Podejrzewali też, że jedziemy nie tam, gdzie powinniśmy i nie po pacjenta, tylko w innym kierunku. Ale esbecja to jedno, bo z drugiej strony nie ufali nam sami strajkujący. W pewnym momencie trzeba było pojechać do pacjenta na drugi koniec miasta. Doktor Przedwojska wzięła mnie ze sobą, tylko po to bym leżała na noszach i udawała pacjenta. Było to chyba 17 grudnia, stocznia chciała się bronić, ludzie jeszcze stawiali opór i nikomu nie wierzyli nawet karetkom pogotowia. Pamiętam, że musieliśmy co parę metrów stawać. Doktor Przedwojska otwierała drzwi i mówiła:

– Popatrzcie, nie ma tu żadnych gazów łzawiących. Nie bójcie się, z karetki nie wyskoczą milicjanci, którzy będą was pałować. Tu tylko jedzie pacjent.

Wtedy ludzie podawali sobie dalej tę informację, żeby przepuszczać, ale i tak co parę metrów karetka się zatrzymywała, doktor otwierała drzwi i tłumaczyła. A ja tek leżałam na tych noszach i pamiętam tylko matowe szyby, taki prześwitujący pasek i oczy zaglądające do karetki. Po wszystkim doktor Przedwojska wytłumaczyła mi, o co chodziło. Nie wiedziałam o tym, że w 1970 roku milicjanci wyskakiwali z karetek i pałowali ludzi, używali gazów łzawiących i tak dalej.

W pogotowiu ciągle działy się jakieś nieprzyjemne rzeczy. A to ludzie na siebie nawzajem donosili, a to jedni drugim podrzucali jakieś ulotki. Panowała bardzo zła atmosfera. Raz przyszyła esbecja i chcieli mnie przesłuchiwać, ale doktor Przedwojska stanęła w mojej obronie i powiedziała, że ona będzie odpowiadać na wszystkie pytania.

Wychodziłam codziennie do pracy i nawet nie chciałam wiedzieć, co robi Bogdan. Nie chciałam z prostej przyczyny. Żebym rzeczywiście nie wiedziała w razie, gdyby esbecy przyszli i chcieli mnie przesłuchać. Dopiero po latach dowiedziałam się, że on nagrywał u mnie w mieszkaniu na taśmę odezwy do stoczniowców. Mówił tak, żeby podtrzymać ich na duchu i dawał im instrukcje, jak mają się zachowywać. Kontaktował się wtedy z różnymi osobami, między innymi z Bogdanem Borusewiczem. Zresztą Bogdan Borusewicz miał klucz do mojego mieszkania, ponieważ nie chciałam, żeby zimą spotykał się z kimś na mieście czy w lesie. Nie wiem, z kim się spotykał, nawet nie chciałam wiedzieć. Czuł się wręcz jak domownik. Pamiętam jak raz popsuł nam się klozet i nie można było wezwać nikogo z zewnątrz, np. hydraulika. Wtedy Rysio Zając przyszedł z taką spiralą i Bogdan też musiał to odkręcać, żeby coś tam odetkać.

Troszkę się w tamtym czasie bałam, jak zareagują sąsiedzi na dole. Przecież na pewno słyszeli, że mieszka tam jeszcze ktoś oprócz mnie, ale na szczęście nie miałam z ich strony żadnych kłopotów. Powiedziałam im dopiero po latach, bo wcześniej nie byli zorientowani.

Bogdan Lis wysłał mnie później do Sopotu, żebym dowiedziała się, co się dzieje z Leszkiem Kaczyńskim. Nie znałam wtedy Leszka Kaczyńskiego osobiście, ale poszłam do zaprzyjaźnionej rodziny, której byłam pewna. Oni znali Marylkę i Leszka. Potem dowiedziałam się, że Leszek jest w więzieniu. Bogdan często pytał też o to, jakie panują nastroje, co mówią ludzie. Od czasu do cza-

su wychodził z domu i spotykał się z różnymi umówionymi osobami z „Solidarności". W pewnym monecie nawet zmienił swój wygląd, żeby móc wychodzić, bo w tym czasie był już za nim wysłany list gończy. Zgolił brodę, założył okulary i czapkę zimową, której nie nosił.

Esbecja jednak wytrwale pracowała, węszyła i nie odpuszczała. Po latach Rysiu Zając, który niestety wyemigrował do Szwecji, mówił mi, że wypytywano go o mnie, że niby tworzono jakiś portret pamięciowy. Ale to był jeden jedyny raz. Bardzo dobrze pamiętam za to ten dzień, o którym wspomniałam na początku. Do sekretariatu, w sposób wręcz bezczelny, wtargnęła pewna pani. W sekretariacie pracowała koleżanka Ala. Nawet nie zdążyła zareagować, kiedy ta kobieta bardzo kulturalnym, choć nie znoszącym sprzeciwu i pewnym siebie tonem zapytała Ali:

– A gdzie tu siedzi Krysia?

Powiedziała to tak jakby mnie znała, a ja ją po raz pierwszy widziałam na oczy. Okazało się jednak, że znała mnie doskonale. Siedziałam za biurkiem, a ona usiadła naprzeciwko mnie. Bardzo elegancko ubrana, w takie futro, a do tego miała torbę na kolanach. Miała chyba około czterdziestki, blond włosy, błękitne oczy, była ładnie uczesana i wypielęgnowana. Patrzyła spokojnie na mnie i wypytywała się o wiele rzeczy. Nagle zapytała, czy znam Bogdana Lisa. Nie zaprzeczyłam. Powiedziałam, że to znana postać, członek Komisji Krajowej i wiele osób go zna. Wtedy dopiero zdałam sobie sprawę, że ona musi być współpracownikiem SB. Nie potrafiłam w to uwierzyć. Jedną półkulą mózgu zadawałam sobie jedno pytanie. Czy tak rzeczywiście wygląda SB? Niby sympatyczna, kulturalna, wypielęgnowana, miła, uprzejma pani z błękitnymi oczami. Siedzi, patrzy na mnie i się uśmiecha. To było moje pierwsze zetknięcie się z przedstawicielami SB. Ta kobieta wiedziała, że pracowałam w sekcji medycznej i miałam tam rozległe kontakty. Wiedziała też, że zatrudniłam się w pogotowiu. A kiedy mi to powiedziała trochę się wystraszyłam i zastanawiam się, czy mają aż takie tropy. Od razu powiedziałam o tym Bogdanowi Lisowi. Wtedy niestety Bogdan musiał się ewakuować i zmienił lokal.

W pogotowiu było coraz trudniej. Atmosfera gęstniała i robiła się coraz bardziej nieprzyjemna. Wyrwała mnie stamtąd pani Ola Ziaja, właśnie ta od kosmetyków. Była wtedy kierowniczką Wojewódzkiego Ośrodka Doskonalenia Kadr Medycznych i pamiętała mnie jeszcze z Zakładu Podstawowej Opieki Zdrowotnej. Dzięki niej mogłam pracować w tym ośrodku i byłam o wiele bardziej szczęśliwa niż w pogotowiu. Wspominam o tym, ponieważ ośrodek ten mieścił się na terenie szpitala zakaźnego i szpital ten dosyć często malowano ze względu na higienę. W tamtym czasie też odbywał się jakiś remont, więc postanowiłam to wykorzystać. Moje mieszkanie było bardzo zaniedbane i bardzo chciałam je pomalować, ale nie miałam farby. Po cichu umówiłam się z robotnikami, którzy malowali szpital, że za opłatą odstąpią mi troszeczkę farby. Załatwiłam tę farbę, ale przyjechałam do domu i nie mogłam w nocy spać. Po prostu gryzło mnie sumienie. Myślałam, że moi rodzice na pewno by tak nie postąpili, bo nieważne z jakich powodów, to jednak jest nieuczciwe. Ile ja się namęczyłam, bo nie wiedziałam, jak to powiedzieć tym robotnikom, tak żeby ich nie urazić. Powiedziałam prawdę. Wspomniałam, że moi rodzice by tak nie po-

stąpili i bardzo ich przepraszam, ale chciałabym zrezygnować z tej umowy. Nie mieli o to pretensji. Pamiętam też, że ulotki, które do mnie docierały rozdawałam albo pracownikom, albo tym robotnikom, którzy odnawiali szpital.

Od zawsze myślałam, że komuna upadnie, że prawda musi zwyciężyć i trzeba tylko trochę czasu. Byłam na pogrzebie księdza Popiełuszki. To był straszny dramat dla wielu Polaków. To, że mogli zamordować w tak bestialski sposób taką szlachetną osobę. Ale to tylko pobudzało nas do tego, żeby nigdy nie rezygnować z walki. Zawsze walczyć o prawdziwą, wolną Polskę i nie poddawać się. Wszyscy liczyliśmy na kolejny zryw, po którym znowu się zjednoczymy... Jednak po tylu latach siły społeczne zaczęły się wyczerpywać i chyba to pielgrzymka Ojca Świętego nas podbudowywała i skierowała ku dobru.

Kiedy w 1989 roku znowu powstała „Solidarność", Bogdan Lis zaproponował, żebym pracowała w dziale zagranicznym. W zasadzie jedynie tam siebie widziałam, bo znałam angielski. Wtedy też osobiście poznałam Leszka Kaczyńskiego. Wcześniej widziałam go tylko z daleka, bo był ekspertem sekcji medycznej „Solidarności" i doradzał. Był chyba najlepszym ekspertem w Polsce od zbiorowych układów pracy. A w 1989 to przede wszystkim on przeprowadzał wszystkie wywiady z ludźmi nowo przyjętymi do pracy. I nagle zaproponował mi pracę u siebie, w swoim sekretariacie. Zgodziłam się, choć na początku nawet nie wiedziałam, na czym to ma polegać.

Do Leszka często wpadał Jarosław Kaczyński, a telefonicznie kontaktowali się prawie codziennie. To Leszek wymyślił całą strukturę biur solidarnościowych i to on faktycznie kierował związkiem. On był mózgiem. Często bywało tak, że delegacje zagraniczne najpierw szły do Leszka, a później do Wałęsy. Ale jak Wałęsa naopowiadał różnych bajek, to trudno było to później odkręcić. Z tego powodu Leszek zmienił tę kolejność i ustalił, żeby najpierw szli do Wałęsy, a później do niego, aby w razie czego on mógł poprawić to, co Wałęsa naopowiadał.

Kiedy zatrudniłam się w „Solidarności" w 1989 roku bardzo uderzyła mnie jedna rzecz. Byłam zaskoczona, bo doświadczyłam tego, jakim językiem ludzie mówią i jak się do siebie nawzajem odnoszą. To była bardzo przyjazna atmosfera i mogę powiedzieć, że ten język polski był zupełnie inny niż w moich poprzednich miejscach pracy.

Czasem zastanawiam się dlaczego „Solidarność" przetrwała i zawsze dochodzę do wniosku, że przetrwała dzięki głównym wartościom. Wartościom, w które ludzie szczerze wierzyli.

Zofia Pawłowska

jako nastolatka wywieziona w głąb Rosji. Po powrocie do Polski pracowała w Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni, jako sekretarka rektora. W latach '80 sekretarz związku NSZZ „Solidarność" oraz czynna działaczka konspiracyjna.

Od dziecka miałam pogodne usposobienie. Od dziecka też wpajano mi i rodzeństwu głęboką wiarę. To w naszej rodzinie było zasadnicze. Już podczas pierwszych modlitw uczono nas, by zawsze polecać się Bogu, bo to właśnie jest najlepszą opieką. I rzeczywiście, wiele w życiu przeszłam, ale Ktoś zawsze nade mną czuwał i pozwolił, abym mogła dziś te słowa powiedzieć.

Mieszkaliśmy na Wileńszczyźnie, a kiedy miałam trzynaście lat znaleźliśmy się wśród wielu rodzin wywiezionych w głąb Związku Radzieckiego. Podczas pierwszych wywózek, dokładnie 10 lutego 1940 roku, zapakowali nas do wagonów bydlęcych i zaczęła się gehenna. Trzydzieści parę osób w jednym wagonie, mróz, brud, smród i raz dziennie wiadro zupy. Tak przez prawie cztery tygodnie. Babcia, mama, mój ośmioletni brat, piętnastoletnia siostra i ja.

Wreszcie dojechaliśmy, a tam czekały nas trzy tragiczne lata. Mieszkaliśmy w baraku i brat ciężko zachorował. Był umierający, ponieważ miał jednocześnie tyfus i krwawą dyzenterię. Na szczęście mama przeszła przed wojną kurs PCK i przyjęli ją do pracy do szpitala jako pielęgniarkę. Dzięki temu mogła zabrać brata do szpitala i dzięki jej opiece brat wyszedł z tego cało. Ja również zachorowałam na krwawą dyzenterię, ale mnie nie chcieli nawet przyjąć do szpitala, bo powiedzieli, że trupów już nie przyjmują. A jednak przeżyłam.

Na początku mnie z siostrą zabrano do szkoły. Nie na długo. Chcieli nam tam wmówić, że Boga nie ma, więc nabuntowałam całą klasę, a że zrobiłam to z dużym powodzeniem, to za karę zamknęli szkołę, a mama trafiła na czterdzieści osiem godzin do więzienia obozowego. Mama bardzo się wtedy bała, że zabiorą mnie do domu dziecka, ale nas od razu pognali do pracy w lesie. Dzieci, siekiery, piły, czterdzieści stopni mrozu… Miałam wszystko poodmrażane – ręce, nogi, policzki. Szybko okazało się, że nie bardzo się do tego nadajemy i przenieśli nas do innej pracy.

Długo można by opowiadać o tych latach. Wreszcie po tych ciężkich przejściach wróciliśmy przez Persję i Afrykę do Polski. Skończyłam studia, wyszłam za mąż, przeniosłam się na Wybrzeże i pracowałam w Szkole Morskiej.

Podczas naszej długiej drogi do Polski skończyłam w Afryce gimnazjum, a że bardzo dużo moich koleżanek i kolegów ze strachu nie wróciło do ojczyzny, to nawiązałam z nimi kontakt. Zapraszali mnie i przez to zaczęłam w tamtym czasie dużo wyjeżdżać za granicę. O dziwo udawało mi się dostać paszport. Nie wiem dlaczego, ale jakoś mi się udało. Przebywałam też dość długo w Ameryce, a jeszcze przed stanem wojennym, w latach sześćdziesiątych razem z mężem mieszkałam przez trzy lata w Brazylii. Mąż zabrał mnie tam tuż po ślubie. Zatrzymaliśmy się w Rio de Janeiro i tam mieliśmy mieszkanie.

Wszystko z tego powodu, że mój pierwszy mąż pracował w stoczni i prowadził prace nad budową statków dla Brazylii. Został zaangażowany na ostatnim statku budowanym w stoczni jako inżynier gwarancyjny na nadzór wszystkich czternastu statków, które były budowane dla Brazylii. Ciekawie tam było, ponieważ mąż nadzorując te statki, pływał na nich. Kiedy jeden z nich był już gotowy i mąż miał na nim płynąć, poszłam go na ten statek odprowadzić. Kapitan wyjrzał i mówi:

– A co to za pani tu stoi?!

– To moja żona – odpowiedział inżynier.

– I co?! Zostaje sama? Lepiej niech wsiada na statek. Płyńcie razem! – kapitan wręcz wydał polecenie.

Jak stałam, tak na ten statek wsiadłam i pływałam z mężem przez siedem miesięcy. Po drodze mąż pokupował mi co trzeba. Przyznam, że była to fajna przygoda. Byłam odważna, takie po prostu miałam usposobienie. Nawet jak nie mówiłam dobrze po angielsku, to nie bałam się z kimś porozmawiać. Poza tym w Brazylii poznaliśmy takie turystyczne towarzystwo. Oni mówili po portugalsku. Chodziłam z nimi po górach na wspinaczki, choć nie miałam o tym pojęcia. Owijali mnie po prostu linami i szłam! Nie bałam się. W Rio de Janeiro szłam na Głowę Cukru. Droga była śliska, a my byliśmy obwieszeni linami. Z jednej strony góra, a w dole – morze. Na szczęście nikt nie spadł. Nawet w gazecie o mnie napisali, że taka dzielna dziewczyna! A ja przecież przedtem nie chodziłam za bardzo po górach. To mąż mnie podciągnął.

Wróciliśmy do Polski i dalej pracowałam w Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni, jako sekretarka rektora. Tam też przeszłam tragiczne historie. Nie zapomnę tego momentu w grudniu 1970 roku. Wybierałam się do pracy, a na terenie Gdyni rozpoczęły się obstrzały. Pamiętam jak jechałam do szkoły pociągiem elektrycznym. Nagle zatrzymał się przed Gdynią, więc szłam piechotą po tych górkach, a obok szło wojsko z karabinami. Akurat nieśli ulicą na takich noszach [drzwiach – przyp. red.] tego chłopaczka co go zabili [Zbyszka Godlewskiego – przyp. red]. Stałam i patrzyłam przerażona, bo wszędzie obstrzały, wszędzie wozy pancerne, wszędzie ludzie z karabinami...

Przyjechałam do szkoły, a tam zaczął się już ruch. Przyjechało cztery albo pięć wozów pancernych. Obstawili szkołę, ponieważ było to dla nich strategicznie ważne miejsce, gdzie przebywało dużo młodzieży. Dyrekcja szkoły kazała nam trzymać się razem, żeby nas nie aresztowali. Chyba przez dziesięć dni, może dłużej, siedzieliśmy zamknięci w szkole. Porozkładali nam sienniki, spaliśmy na podłodze, a że była tam stołówka, to nas karmili. Siedzieliśmy i nie wiedzieliśmy co dalej. Wszędzie pełno żołnierzy, a wśród nich tacy, którzy

„gawarili pa ruski". To był trudny czas, ale jakoś się przeżyło. Już wkrótce czekały na nas kolejne przeżycia i kolejne ciężkie próby.

13 grudnia 1981 roku włączyłam radio, a tam ogłoszenie: stan wojenny! 14 grudnia zaczął się strajk okupacyjny w naszej szkole, który trwał do 16 grudnia. Rektor wtedy bardzo dbał o to, by studentom się nic nie stało. Wszyscy byli pozamykani i nie mogliśmy się stamtąd ruszyć. Później szkołę rozwiązali i wypuścili nas wszystkich. Zaczęliśmy się spotykać po domach, gdzie się tylko dało. Pamiętam, że Ewa Kubasiewicz z koleżankami i jeszcze parę osób zorganizowali się i pisali ulotki na maszynie. Nakryli ich i wszystkich wzięli do więzienia. Ewa Kubasiewicz dostała dziesięć lat, a Jurek Kowalczyk dostał dziewięć lat. Mnie na szczęście akurat tam nie było. Miałam się z nimi spotkać, ale coś mi wypadło i byłam w domu, więc mnie nie cupnęli. Chodziliśmy potem pod to więzienie, pokrzykiwaliśmy i śpiewaliśmy. Na szczęście nas nie przyłapali. Cała historia była bardzo smutna.

Parę dni przed ich aresztowaniem wznowiono zajęcia w szkole. Dalej więc pracowałam. Nie byłam jednak już sekretarzem rektora, bo jak powstała „Solidarność" to zrobili mnie sekretarzem związku i za karę, że byłam taka oddana „Solidarności", chcieli mnie wyrzucić z pracy. Robili wszystko, żebym się sama zwolniła. Raz kazali mi siedzieć przy jakimś stoliczku i robić kawę gościom, innym razem miałam tę kawę przynosić do innego pokoju i tak w kółko.

– Teraz dajcie mi jeszcze miotłę i szczotkę, to będę jeszcze zamiatać wszystkie korytarze, bo do tego też się nadaję – powiedziałam w końcu.

Wkurzyłam się wtedy, bo dowiedziałam się, że im zależało na tym, żebym sama się zwolniła. I tak zatykali mną dziury przez długi czas, a jak się to wszystko się uspokoiło, zatrudniono mnie w sekretariacie.

W tym czasie zdarzyło, że zaczęła się organizacja drukarska i drukowanie ulotek oraz książeczek. Poznałam wtedy takiego Kazika i urządziłam drukarnię w domu. Drukarnia działała już wcześniej w innym miejscu, jednak była za bardzo widoczna. A ja mieszkam w Kamiennym Potoku i mój blok jest pod samym lasem, więc było bezpieczniej. Co prawda to drugie piętro, ale można było wyskoczyć przez okno i od razu uciec do lasu, no bo przecież chodzili i szukali wszędzie. Pamiętam, że drukowaliśmy w nocy. Okna były oczywiście pozasłaniane kocami, żeby nie było widać światła. Na początku było to bardzo prowizoryczne więc się ulotki pisało na maszynie. Siedzieliśmy i stukaliśmy nocami. Sąsiedzi na pewno słyszeli, że coś się u mnie w mieszkaniu dzieje, na szczęście nikt mnie nie wydał. Później mieliśmy ręczną drukarkę. Choć lepsze to było od maszyny do pisania, to i tak nie to, co teraz. Wszystko szybciutko i czysto wydrukowane. Wtedy nieraz część kopii się plamiła i te odrzucaliśmy, ale jak odrzuciliśmy, to trzeba było coś z nimi zrobić. Brałam te zniszczone rzeczy do plecaka i szłam przez las do znajomych, żeby spalić to w piecu. Przecież nie mogłam tego wyrzucić na śmietnik, bo od razu by złapali. Nosiłam to, bo nie chciałam narażać chłopaków. Liczyłam na to, że babkę trochę lepiej potraktują. Ale jak wiem, traktowali i babki...

W tym czasie dowiedziałam się, że Roman Zwiercan jest poszukiwany przez SB. Nie miał gdzie mieszkać więc zaprosiłam go do siebie. W latach 80' mieszkało u mnie w sumie trzech chłopaków. Czasem organizowali różne spo-

tkania solidarnościowe. Dla bezpieczeństwa, kiedy wracałam z pracy, to zachodziłam do sklepów i chodziłam po różnych miejscach, żeby nie iść wprost do domu. Zawsze wyczuwałam jak ktoś za mną chodził i gubiłam takich. Kiedyś była taka sytuacja, że zebrali się u mnie działacze Solidarności Walczącej, a ja w tym czasie byłam w pracy. Nasz dom był obstawiony i funkcjonariusze stali nawet na schodach. Chcieli wyłapać tych, którzy są na zebraniu. Na szczęście akurat w tym czasie była taka babka, która przychodziła sprzątać mieszkanie. Posprzątała w innych pokojach, a ten, gdzie oni dyskutowali, zostawiła w spokoju, wyszła i zamknęła drzwi na klucz. Oni chyba pomyśleli, że nikogo nie ma w domu i poszli. Tak, przez zupełny przypadek, zostali uratowani. Niestety później ich wszystkich połapali. Andrzej był w więzieniu i Roman był w więzieniu. Bardzo się do nich przywiązałam, bo takie fajne chłopaki. Mój mąż pracował w stoczni i w tym czasie w ogóle nie przychodził do domu, bo Stocznia Gdańska też była obstawiona. Później zaczęły się aresztowania, a drukarnię trzeba było zlikwidować.

Przez całe lata 80' chodziliśmy też pod Stocznię Gdańską na protesty. Kiedyś, pewnie przez to, wezwali mnie na milicję. Siedziałam na korytarzu parę dobrych godzin. Wzięłam ze sobą pastę do zębów, szczoteczkę, ręczniczek, bo myślałam, że mnie wsadzą. Trzymali mnie w tym korytarzu chyba ze sześć godzin. Siedziałam i nie wiedziałam, co mam zrobić. Wyjść nie mogłam, bo wyjście było zabezpieczone. Wreszcie mnie wezwali. Przesłuchanie brzmiało mniej więcej tak:

– Czy pani słyszała, że tutaj, w Sopocie, okradli sklep?

– Nie słyszałam.

– A nie brała pani w tym udziału?

– A nie widziała pani czegoś? Bo to taki sklep z ubraniami...

– Wie pan, ja niczego nie potrzebowałam i nie mam pieniędzy, żeby coś kupować.

Trzymali mnie przez tyle godzin, bo widocznie chcieli coś wyłuskać. A później usłyszałam tylko:

– A, niech pani sobie idzie!

Tak się skończyło, ale co się nadenerwowałam to moje. Na szczęście mnie nie zamknęli. Ukrywałam się nawet trochę, ale później jakoś to minęło. Skończył się stan wojenny, zaczęło się normalne życie. Zaczęłam zwyczajnie pracować.

Przez ten cały czas polecałam się Bogu, tak jak nauczono mnie w dzieciństwie. I to była najlepsza opieka i ochrona przed wszystkim, co mnie w życiu spotykało.

Joanna Posmyk

w 1980 roku karierę zawodową rozpoczęła w Transbudzie. W podziemiu była łączniczką i kurierem. Od 1989 roku pracowała Biurze Zagranicznym Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność". Obecnie na emeryturze.

Z Grudnia '70 nie pamiętam za wiele. Jest jednak jedno wydarzenie. Postanowiłam pojechać z siostrą do Gdyni. Po drodze spotkałyśmy naszego ojca. Opowiedział nam o kolejce, którą jechał. To właśnie ten skład został ostrzelany na przystanku Gdynia Stocznia. Przestrzegał nas, abyśmy broń Boże nie wybierały się w tamtą stronę. A my odwrotnie, natychmiast postanowiłyśmy udać się w okolice stoczni. Dojechałyśmy do Wzgórza Nowotki, gdzie panowało straszne zagęszczenie gazu łzawiącego. Pierwszy raz miałam z czymś takim do czynienia. Następnie skierowałyśmy się w stronę ulicy Czołgistów, a tam... same czołgi! Wszędzie pełno milicjantów, wozów opancerzonych i nysek. Kontrolowali każdego, kto wychodził z dworca, a że nie miałyśmy przy sobie legitymacji, to uciekłyśmy.

Tak wyglądało moje pierwsze zetknięcie z polską wojną, choć dwa lata wcześniej już sama zaangażowałam się w akcję przeciwko komunie. Nie wiedzieć albo właśnie wiedzieć czemu zrywałam obwieszczenia, które władza wywieszała na murach w czasie wydarzeń marcowych. To był taki wewnętrzny odruch. Po prostu musiałam je zerwać, bo według mnie to nie powinno wisieć. Byłam świadoma tego, co wtedy działo się w ośrodkach akademickich, ponieważ razem z ojcem słuchaliśmy Wolnej Europy i Głosu Ameryki.

Nie mogę powiedzieć, że rodzice byli mocno zaangażowani i działali przeciw ówczesnej władzy, ale z całą pewnością mogę powiedzieć, że wychowywali naszą trójkę w takim duchu antykomunizmu. W domu cały czas przewijały się pewne idee. Mówiąc najprościej – mój ojciec czekał, aż generał Anders powróci do Polski na białym koniu. Marzyła mu się Polska sprzed wojny. Polska sprawiedliwa i demokratyczna. Polska bez komunistów. Zaraz po wojnie miał epizod walki, za co na jakiś czas trafił do więzienia. Jednak w latach sześćdziesiątych jego, a przez to nasz antykomunizm, przejawiał się przede wszystkim w słuchaniu Wolnej Europy. Często też siedziało się do późna w nocy i wymieniało poglądy, bo miałam znajomych, z którymi rozmawiało się o stanie państwa i o tym, jak długo Polacy wytrzymają obcy, narzucony system.

Wydarzenia z czerwca 1976 roku wstrząsnęły mną niesamowicie. Potem zaczęły docierać do mnie informacje o akcjach pomocowych i powstaniu Komitetu Obrony Robotników, który później przekształcił się w Komitet Samoobrony Społecznej KOR. Wiedziałam o szykanach, ścieżkach zdrowia, procesach politycznych. Wtedy jeszcze nie dojrzałam do zaangażowania się, ale poglądy miałam już wyrobione. Zaczęłam interesować się mocniej tymi sprawami. Chodziłam do kościoła, gdzie spotykałam ludzi zaangażowanych w budowanie niezależnych od władzy struktur. Zaczęłam bywać pod pomnikiem Sobieskiego w Gdańsku. Wtedy też dostałam ulotkę o uwięzieniu trzech działaczy Wolnych Związków Zawodowych: Błażeja Wyszkowskiego, Dariusza Kobzdeja i Tadeusza Szczudłowskiego.

Byłam osobą nieśmiałą, więc z jednej strony bardzo pociągała mnie ta działalność, a z drugiej nie miałam jeszcze odwagi na rozpoczęcie swojej drogi opozycjonistki. W każdym razie nagle pojawiła się nadzieja. Tą nadzieją był wybór Karola Wojtyły na papieża. Odwiedziła nas wtedy znajoma rodziców. Majątek jej rodziny graniczył przed wojną z ziemią rodziny Jaruzelskiego. Oczywiście było to na Kresach Wschodnich. Opowiadała, że była to bardzo porządna, patriotyczna rodzina. Ta znajoma nie pogodziła się ze zmianą systemu i wejściem bolszewików i zawsze mocno to akcentowała. W dniu wyboru Ojca Świętego przybiegła do nas i z wielką euforią krzyczała, że Polak został papieżem. Rzuciliśmy się sobie w objęcia i to była taka spontaniczna radość.

Rok później, po mszy warszawskiej odczułam takie duże wsparcie w wierze. Wtedy jeszcze nie rozumiałam, że Jan Paweł II zagrzewa nas do walki o prawa człowieka, ale czułam, że słowa, które wtedy wypowiedział, głęboko przemyślał i cała ta pielgrzymka z 1979 roku ma swój cel. Jaki? Dowiedziałam się rok później.

Jeszcze przed sierpniem docierały do mnie różne wydawnictwa drugiego obiegu. Zaczytywałam się wtedy w „Bratniaku" wydawanym przez Ruch Młodej Polski. Najczęściej dostarczał je nam mój brat, który już wtedy zaczął się „udzielać". Oczywiście robił to w wielkiej tajemnicy przed nami i rodzicami. Podświadomie czułam, że coś się zbliża i miałam nadzieję, że coś pęknie. W roku '80 studiowałam ekonomię. Na studiach również był mój brat. W tym czasie na Uniwersytecie Gdańskim studiował również Aleksander Kwaśniewski i mój brat miał z nim częste zatargi. Prowadził teatr studencki, a Kwaśniewski cały czas robił im pod górę. Kwaśniewski z ramienia samorządu studenckiego miał największy wpływ na aktywność studentów w sferze kultury i teatr TAKO nie mógł nic wystawiać bez jego zgody. Z moim bratem działał Leszek Biernacki, późniejszy współzałożyciel Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Do Kwaśniewskiego doszedł Jaskiernia, który również utrudniał życie mojemu bratu. Ostatecznie przedstawienia, których nie dało rady wystawić na uczelni, TAKO wystawiało na przykład na Długiej w Gdańsku.

O strajku w Stoczni Gdańskiej dowiedziałam się od rodziców, kiedy 14 sierpnia przyjechali z pracy. Zapaliła się wtedy w mojej głowie przysłowiowa żaróweczka. Postanowiłam natychmiast pojechać pod bramę Stoczni im. Lenina i na własne oczy zobaczyć co się tam dzieje. Jak dotarłam ujrzałam stoczniowców siedzących na murach, które były już pokryte hasłami. Strajk okazał

się faktem. Przed stocznią stała ogromna masa ludzi czekających na ogłoszenie nadawane co jakiś czas przez megafon. Informowano o tym, co się dzieje i dlaczego stoczniowcy strajkują. Próbowałam dowiedzieć się czego potrzebują.

Nastąpił wtedy wielki przypływ radości, ale pojawiły się również obawy. Moi rodzice martwili się o nas. Bali się, że rzucimy się w wir strajków i jak nie daj Bóg powtórzy się Grudzień '70, to już nas nie zobaczą. Mimo tego, że rodzice przestrzegali i apelowali o rozsądek, to nie było mowy, żeby nas utrzymać w domu. Młodość ma to do siebie, że bunt zazwyczaj wygrywa. Jeździłam więc tam, żeby napawać się tą atmosferą, tą przestrzenią wolności. Byłam zaskoczona organizacją strajku. Tym, że stoczniowcy wyciągnęli naukę z Grudnia '70 i tym razem zostali w zakładzie, nie ruszyli w miasto. Wprowadzenie prohibicji i jakiś taki wewnętrzny spokój pokazywały, że ten strajk nie jest spontaniczną akcją, której scenariusz ma się dopiero pisać. Wtedy właśnie uzmysłowiłam sobie, że te spotkania po kościołach i te nazwiska, które już znałam od kilku lat, to podstawy tego, czego właśnie jestem świadkiem. Zaczęłam wierzyć, że jestem świadkiem działań, które doprowadzą do rozpadu narzuconego nam systemu. Jeszcze w czasie strajku dochodziły informacje o aresztowaniach działaczy opozycji. To budziło obawy i pojawił się też strach przed interwencją sowiecką.

I wtedy zaczęło dziać się coś, czego zupełnie nie brałam pod uwagę. Do Stoczni Gdańskiej zaczęli przybywać przedstawiciele strajkujących zakładów spoza województwa gdańskiego. Znaczyło to, że strajk staje się protestem ogólnopolskim. A to już była siła. Ludzi jest coraz więcej, wszystkim chodzi o to samo i władza wtedy w sierpniu 1980 roku nie zatrzymała tej rodzącej się siły. Podpisano porozumienie. Zdecydowałam, że muszę jak najszybciej wstąpić do „Solidarności". Wtedy już przeszłam na studia zaoczne i pracowałam w zakładzie transportowym Transbud, w którym była zatrudniona moja mama. To był mój pierwszy zakład, w którym zapisałam się do NSZZ „Solidarność". Zostałam nawet wybrana do Komisji Rewizyjnej struktur zakładowych. Wyrzucili mnie jednak z tej firmy za wywieszenie flag podczas pogotowia strajkowego. Zahaczyłam się wtedy w zakładzie fotograficznym na Długim Targu. Do pracy przyjął mnie bardzo słynny fotograf, pan Pepliński. Później okazało się, że to jest bardzo dobry punkt w centrum Gdańska.

Samo formowanie się struktur „Solidarności" to był trudny okres. Jeszcze jak pracowałam w Transbudzie, pojawiali się podejrzani ludzie. Zadawali dziwne pytania, opóźniali założenie Komisji Zakładowej. Dość szybko zorientowaliśmy się, że są to celowe działania, a osoby te pracują na czyjeś zlecenie. Oczywiście nietrudno było domyślić się czyje. Byłam za młoda, żeby to wszystko dokładnie rozeznać. Ludzie się nie znali, a potem okazało się, że szefem, dobrze, że tylko na chwilę, został TW, podstawiony przez Ubecję.

Działając w strukturach związku odbierałam różne sygnały, również takie, które coraz mocniej pokazywały, że władza nie ma zamiaru oddać pola. Zwłaszcza po bydgoskim marcu 1981 roku było prawie pewne, że wcześniej czy później dojdzie do konfrontacji. Coraz częściej myślałam, że to może skończyć się źle. Wyższa Szkoła Pożarnictwa pokazała jednoznacznie, że coś nadchodzi.

Wierzyliśmy jeszcze, że Komisja Krajowa, która obradowała 12 grudnia znajdzie rozwiązanie. I to słynne powiedzenie Wałęsy do działacza z Łodzi: „Słowik nie kracz!", kiedy ten już późno wieczorem informował zebranych o tym, że przestały działać połączenia telefoniczne. I wykrakał!

O wprowadzeniu stanu wojennego dowiedziałam się od koleżanki. Przyjęłam tę wiadomość z przerażeniem, ale jednocześnie z natychmiastową gotowością do działania. Obudziła się we mnie taka złość, taka siła jakaś, że byłam gotowa stanąć do walki. Koleżanka poinformowała mnie o tym, że na Wydziale Ekonomii UG w Sopocie studenci zabarykadowali się w budynku i rozpoczęli strajk okupacyjny. Na początek postanowiłam zasięgnąć wiedzy z Radia Wolna Europa, żeby mieć, choć zarys tego, co dzieje się w kraju, jaki jest rozmiar tego stanu wojennego, co na to świat, co na to papież.

Działanie zaczęłyśmy od przepisywania ulotek i 16 grudnia, w rocznicę odsłonięcia pomnika Pomordowanych Stoczniowców, pojechałyśmy rozdać je pod stocznią. Zostawiałyśmy te ulotki w różnych publicznych miejscach, tak żeby ludzie je widzieli i brali. Nie mogło mnie też zabraknąć na demonstracjach. To był mój sposób wyrażania sprzeciwu. I znów polała się krew. Dowiedziałam się o zamordowaniu Antoniego Browarczyka. Jednak teraz władza miała już przeciw sobie całą rzeszę ludzi, którzy poczuli smak wolności. Zaczęłam wtedy poszukiwać jakiegoś kontaktu, bo chciałam się do czegoś przydać. Wiedziałam, że Bogdan Lis się ukrywa i dotarłam do kogoś, kto miał z nim kontakt. Tak się zaczęło moje podziemie na poważnie.

Zanim nawiązałam ten kontakt w naszym domu była rewizja. Stało się to przez brata, który już wtedy mocno funkcjonował w podziemiu. Jego popisowy numer to ostemplowanie kilkuset sztuk obwieszczeń o stanie wojennym taką wroną przypominającą hitlerowską „gapę". Robił to sam i wpadł. Został zatrzymany 2 lutego 1982 roku. Na szczęście wtedy nie było mnie w domu i dzięki temu nie zrobili przeszukania w moim pokoju. Gdyby to zrobili, to zapewne dołączyłabym do brata na Kurkowej. Po miesiącu udało się go wyciągnąć z więzienia dzięki zaświadczeniu od psychiatry. W tym czasie na Kurkowej siedziała między innymi Ewa Kubasiewicz.

Zostałam kurierem i moja aktywność wrosła diametralnie. Rozpoczęły się moje misje do Warszawy. Pośredniczyłam przede wszystkim w kontaktach między ludźmi podziemia na linii Trójmiasto – Warszawa. W konsekwencji zostałam kurierem podziemnych władz Regionu Gdańskiego do Zbyszka Bujaka – szefa Mazowsza. Jeżdżąc do stolicy przewoziłam zaszyfrowane wiadomości, listy i plany. Dojeżdżałam i spotykałam się z wyznaczoną osobą, oczywiście przy zachowaniu wszelkich zasad konspiracji. Te wyjazdy były często nagłe, zupełnie niespodziewane. Mój szef, czyli pan Pepliński, zwalniał mnie nie pytając po co, choć zapewne domyślał się co robię. Wszystkie moje urlopy poświęciłam na zadania kurierskie. Po pewnym czasie do tego doszedł jeszcze kolportaż. W kolportażu byłam jedną z osób, która zawoziła trójmiejskie wydawnictwa do Warszawy. Były to bardzo ciężkie i duże torby, które najczęściej przewoziłam koleją. Współpracowałam między innymi z Jagodą Greger. W moim mieszkaniu odbywały się też spotkania konspiracyjne, podczas których rozmawiano na wiele ważnych kwestii, chociażby dotyczących demonstracji. Do moich zadań na-

leżało również szukanie bezpiecznych mieszkań, w którym potem lokowaliśmy ukrywające się osoby.

Wiele razy miałam wrażenie, że jestem śledzona, a potem kluczyłam godzinami po mieście, żeby zgubić ogon. Kilka razy sytuacja była podbramkowa. Raz dostałam niezaszyfrowany telefon i mój kontakt warszawski został zdjęty, a mnie próbowano rozjechać. Ledwo uskoczyłam i to na pewno była próba zastraszenia mnie. Wyruszałam zazwyczaj wcześnie rano i wciąż czujnie obserwowałam, bo byłam przeszkolona i znałam numery rejestracyjne samochodów ubecji. Nieraz widziałam dziwne parkowania pod moim domem, jednak nigdy nie wpadłam. Jako kolporter i kurier grałam udając kobietę, która nie ma nic wspólnego z polityką. Starałam się dobrze ubierać, by pokazać, że dla mnie najważniejszy jest wygląd. To kłóciło się trochę z tymi ciężarami, które ze sobą taszczyłam, ale takie były czasy, że nawet największa dama mogła iść przez centrum miasta obwieszona zdobycznym papierem toaletowym. Zawsze sama musiałam wrzucić te ciężkie torby na górę, żeby nikt nie zorientował się co ja tam wiozę. Przed wyjazdem musiałam jeszcze znać miejsce poselskie, żeby dobrze ulokować się w konkretnym przedziale. Wtedy nie było jeszcze miejscówek na cały skład pociągu.

Tej konspiracji uczyłam się też z książek, ponieważ byłam dość oczytana w literaturze wojennej. Po latach uzmysłowiłam sobie, że to ja śledziłam tych, którzy mnie śledzili. Mam ogromną satysfakcję, bo nigdy nie dałam im powodu i nie złapali mnie na gorącym uczynku. Widocznie działali po omacku i pojawiali się nie wtedy, kiedy powinni. Świadomość inwigilacji pomogła mi i dzięki temu nigdy nie naprowadziłam ubeków na nikogo.

Raz, kiedy z „Kamery", bo tak się nazywał zakład fotograficzny, w którym pracowałam, wysłano mnie po pączki, zobaczyłam, że spod firmy ruszył za mną jakiś menel. Jak wracałam, on szedł przede mną. Nagle jak spod ziemi wyrósł kolejny „śledczy", tym razem nienagannie ubrany. Chyba miał mnie „przejąć", ale nie wiedział jak wyglądam.

– I jak? Dokąd poszła? – zapytał tego pijaczka, a ten zaczął dawać mu znaki, że ja właśnie idę za nim.

Wiele było takich sytuacji. Widziałam jak ludzie chowali się za samochody, nagle zerkali na witryny sklepów czy odwracali się na pięcie i szli i w innym kierunku. Przeszkolona wiedziałam jak patrzeć. Nawet na mojej obronie pracy magisterskiej pojawiło się dwóch smutnych panów, którzy na korytarzu studiowali plan zajęć. Dostałam wtedy takiego paraliżu, że nie mogłam mówić, bo myślałam, że przyszli po mnie. Z obrony dostałam przez to tylko czwórkę. Uratowała mnie pani promotor, która wyczuła, że coś jest nie tak, ale skoro praca na pięć, to dostanę cztery. Potem okazało się, że pani promotor też była z podziemia. Spotkałam ją w 1989 roku w Komisji Krajowej, kiedy Bogdan Lis organizował Biuro Zagraniczne, w którym zostałam zatrudniona.

Mimo tego, że stan wojenny był już odwołany, to nawet podczas pielgrzymki Ojca Świętego wszyscy wiedzieli, że żyjemy w państwie milicyjnym. Przyjazd Jana Pawła II do Trójmiasta był dla nas sygnałem. Może nie od razu zawołaniem do rewolucji czy wielkiego buntu, ale na pewno do policzenia się. „Jeden drugiego brzemiona noście" – to był nakaz, na który czekaliśmy. Prze-

cież to piękna kwintesencja słowa solidarność. W drodze na mszę byliśmy śledzeni, a potem mój kolega został pobity. Mój brat po uroczystościach na Zaspie oczywiście poszedł na demonstrację. Ja nie poszłam. Zdawałam sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na mnie ciąży, dlatego wolałam wrócić do domu. W ten sposób każdego dnia uczyłam się konspiracji. Najlepszą szkołą i ćwiczeniem konspiracji było podejmowanie decyzji, z którymi się nie zgadzałam. W maju '83 byłam w Warszawie w dniu pogrzebu zamordowanego przez milicję Grzegorza Przemyka, ale nie poszłam tam. Nie pojechałam również do stolicy, kiedy odbywały się uroczystości pogrzebowe ks. Jerzego.

Po wizycie Ojca Świętego znów powróciła nadzieja na pokonanie komuny. Nadzieja była wtedy już bardziej skonkretyzowana. Papież mówił o nas i za nas, choć do finału było jeszcze daleko. Po pielgrzymce ciężko zachorowałam.

W tamtych latach wyjechałam również na zaproszenie norweskich związków zawodowych i tam pracowałam. Część pieniędzy przekazywaliśmy na rzecz „Solidarności". Majowe i sierpniowe strajki '88 też obserwowałam z zagranicy. I tak do spotkania Wałęsa – Miodowicz. Wyjechało wtedy ze mną kilkoro działaczy związku z Trójmiasta. Zastanawialiśmy się wtedy, do jakiej Polski powrócimy. Dziś po latach mam takie poczucie, że w tej wielkie polskiej zmianie jest i kawałek mojego zaangażowania. Uważam, że dałam z siebie bardzo dużo. Ogromny stres i ogromny wysiłek fizyczny. To był mój wkład. Warto było.

Na koniec muszę powiedzieć, że o moje szczęście modliły się nieustannie dwie zakonnice, które były siostrami mojej mamy. Z mamą pojechałam jako kurier na swoją pierwszą misję do Warszawy. Wtedy właśnie odwiedziłyśmy jej siostrę urszulankę. Kiedy dostałam odznaczenie od prezydenta Lecha Kaczyńskiego, to przekazałam je mojej mamie. Za jej wspaniałą postawę, wyrozumiałość i nieustanne wspieranie mnie w mojej działalności.

Irena Różańska

żona strajkującego stoczniowca. Wraz z mężem zajmowała się kolportażem ulotek.

– Co?! Znowu zepsuliście ten telewizor?! Jak przyjedziecie, to zawsze tu wszystko rozwalicie! – dziadek kręcił tymi pokrętłami i krzyczał na dzieci. Kręcił i kręcił, dzieci kręciły i nic – śnieg.

Dopiero po jakimś czasie pojawił się pan w wojskowym ubraniu. Z jego słów wynikało, że stało się coś złego... W takich okolicznościach dowiedziałam się o stanie wojennym, choć na początku nie za bardzo rozumiałam, o co chodzi.

Najpierw jednak był rok 1980. Pojechaliśmy wtedy z dziećmi na wakacje do teściów na Służewo. Wracamy i patrzmy, że przy Gdańsku stoją dźwigi z napisami „Solidarność". Ten widok oflagowanej Stoczni im. Lenina w Gdańsku uzmysłowił mi, że znów się zaczęło. Zaczęły się strajki. Jak strasznie dłużył się nam wtedy przejazd z Gdańska do Gdyni. Ciekawiło nas, co zastaniemy na miejscu. Jak tam Stocznia Komuny Paryskiej?

Jak tylko przyjechaliśmy do Gdyni na dworzec, mąż zostawił mnie z dziećmi, wsiadał w trajtek, czy autobus, czy tam nie wiem w co i pojechał do stoczni. Zaraz... chyba już właściwe to autobusy nie jeździły i już nie pamiętam czym on pojechał. W każdym razie zostałam z dziećmi na dworcu. Coś czuło się w powietrzu, jakąś taką niesamowitą atmosferę, której nie da się opisać. Niby jeszcze wakacje, ciepło, słonecznie, a jednak jakoś inaczej. Do tego straszny, niesamowity rozgardiasz, a ja musiałam z dziećmi dotrzeć do domu. Pamiętam, że zatrzymała się betonomieszarka, taka kula, co robi beton. Kierowca pokiwał na mnie z dziećmi i odwiózł nas na Witomino. Rzeczywiście komunikacja miejska stała. Nic nie kursowało. Ludzie przemieszczając się po mieście musieli sobie radzić, pomagać jeden drugiemu. W tamtych dniach wielu kierowców bezinteresownie zabierało pieszych, którzy próbowali dostać się do zaplanowanych miejsc.

Tak naprawdę nasz powrót z wakacji okazał się powrotem do czegoś całkowicie niewyobrażalnego. No i od tego dnia właściwie się zaczęło. Mimo jakiejś dziwnej presji historii i grudnia '70 tym razem panowało przeczucie, że teraz się uda, że będzie inaczej. Może to atmosfera lata, a może ludzie naucze-

ni wydarzeniami sprzed dziesięciu lat, tym razem będą mądrzejsi i już bardziej solidarnie zawalczą o przyszłość.

Od tego momentu przez dwa tygodnie jeździłam z dziećmi pod stocznię, tam od strony Energetyków, bo tam panowie siedzieli na placu. Dzieciom oczywiście bardzo się to podobało, bo autobusy nie chodziły, więc zazwyczaj szliśmy pieszo licząc na czyjąś pomoc, a solidarność ludzi była wielka, więc zawsze ktoś nas do samochodu zabrał. Samochody się zatrzymywały, ludzie pytali, dokąd podwieźć i zabierali.

– Nie! Do tego nie wsiadamy! Poczekamy na ładniejszy! – potrafiły krzyczeć moje dzieci po tygodniu takich wypraw.

Sprawiało im to wiele radości. Mnie też, bo z jednej strony miałam możliwość spotkania z mężem, a dzieci z ojcem, a z drugiej te emocje towarzyszące strajkom były niesamowite. Zupełnie inne i takie nieznane. Choć panowała niepewność i czasami obawa, co zrobi władza, czy wejdą „ruskie", czy Polska nas poprze, to jednak była to taka dziwna radość, której nie dało się opisać. Czuło się, że jest inaczej. Ludzie śpiewali piosenki, na Stoczni odprawiano msze święte. I co bardzo ważne, nie tylko stoczniowcy, ale też pozostali ludzie upomnieli się o pomordowanych w 1970 roku. Do tego, tym razem strajkujący doskonale zadbali o informacje. Na mieście pojawiły się ulotki, gazetki i afisze. Nie potrzebowaliśmy oficjalnej prasy. Strajkujący mieli swoją drukarnię i wiadomości ze strajków całkiem sprawnie docierały do pozostałych mieszkańców.

Gorzej było z zaopatrzeniem. Przez te dwa tygodnie było strasznie ciężko. Autentycznie nie było co do gara włożyć, a przecież coś stale było potrzebne. Przed sklepami ustawiały się gigantyczne kolejki. Czasami stojący nie wiedzieli, co i o której rzucą, i czy w ogóle rzucą. A jednak ludzie stali i czekali. No bo co mieli zrobić?! Bo przecież jeść trzeba, tym bardziej, kiedy w domu były małe dzieci. Dawaliśmy jednak radę, a ludzie i w tej kwestii sobie pomagali.

Wreszcie Koniec strajków! Było cudownie i pięknie. Nie mówię o pogodzie tylko o naszych sercach. Przede wszystkim ogromne poczucie, że się udało, że władza ustąpiła, że obyło się bez czołgów, że wreszcie ktoś poszedł po rozum do głowy i wysłuchał polskiego robotnika. Milionów polskich robotników!

Ale później... Jak było? Różnie było. Chodziliśmy na te wszystkie uroczystości i msze. Pamiętam 1 maja, chyba w 1981 roku. Idziemy sobie spokojnie ulicą Władysława IV z dziećmi na spacerek. Nie szliśmy w żadnym pochodzie i był to tylko zwyczajny spacer, a tu armatki wodne! Polali na nas wodą! Jak ja wtedy strasznie zwyzywałam tego milicjanta. W tej złości miałam odwagę powiedzieć mu bardzo dużo rzeczy.

Ten czas się jakoś kręcił i powiem szczerze, że człowiek nawet nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Trzeba było prać, gotować, dawać jeść, jechać kogoś odwiedzić. Czasami trudno było związać koniec z końcem, ale trzeba było. Musiałam w końcu iść do pracy i przypadło to już na czas stanu wojennego. W 1982 roku zaczęłam pracować w Stoczni Marynarki Wojennej. Od tamtej pory było u nas w domu troszeczkę inaczej. Pieniędzy było więcej i dzięki temu dla mnie to życie było troszeczkę spokojniejsze. Miałam już ten komfort psychiczny, że są te dodatkowe pieniądze i nie trzeba myśleć o tym, że jeszcze czegoś nie ma i na coś nie starczy.

Stan wojenny przywitał nas poza Gdynią i to właśnie wtedy mój tata nakrzyczał na dzieciaki. Mąż musiał w sobotę 12 grudnia zostać w pracy, a ja pojechałam do rodziców szesnaście kilometrów od Malborka. Rano w niedzielę tradycyjnie miał być w telewizji oczywiście Teleranek. Włączamy telewizor, a tu „śnieg". Nic nie leci. Dziadek zaczął krzyczeć na niewinne dzieci. Kręcił tymi pokrętłami, denerwował się, dzieci kręciły i dopiero po jakimś czasie pojawił się pan w wojskowym ubraniu. Z jego słów wynikało, że w Polsce coś złego się wydarzyło. Na początku nie za bardzo rozumiałam, o co chodzi. Jakby zza jakiejś ściany docierały do mnie słowa, że jakaś wojskowa rada, stan wojenny, a może wojna, godzina milicyjna, zakaz zgromadzeń... To był szok!

Natychmiast złapałam wszystkie ciuchy i szybko z dziećmi na pociąg do Malborka, a potem autobusem do domu. Do dzisiaj to słyszę, jak w tym Malborku w głośnikach rozlegało się: – Uwaga! Uwaga! A w mojej głowie brzmiało to jak: – Achtung! Achtung! Cały czas huczało mi to w głowie. Panika na dworcu była okropna. Dosłownie jak z filmów o wojnie. Wszędzie ludzie i przepychający się tłum. Wyglądało to strasznie i nie było gdzie się wepchnąć. Mieliśmy jednak szczęście. Może dlatego, że byłam z dziećmi?

– Tu wchodźcie! – usłyszałam pośród zgiełku i zobaczyłam jednego z kolejarzy kiwającego na nas i wskazującego wagon.

Weszliśmy do pustego pomieszczenia na bagaże, bo chyba do tego ono służyło, siedliśmy sobie w kąciku i cichutko, spokojnie dojechaliśmy do Gdyni. A tam też przywitała nas straszna panika i nie zapomnę tego do końca życia. Dla mnie było to coś strasznego. Setki myśli kotłowały mi się po głowie. Nie było wiadomo, czy uciekać, czy trzymać dzieci, czy zostawić, czy wracać do rodziców, a może gnać do męża. To było wręcz straszne. Przerażające! Naprawdę nigdy tego nie zapomnę. No a później już ten czas jakoś mijał pomiędzy pracą, domem i walką o codzienne sprawy.

Stan wojenny wślizgnął się po prostu w naszą codzienność. W działaniach podziemia, zarówno w stanie wojennym jaki i po nim, uczestniczyłam tylko dzięki mężowi. Chodziłam z nim wszędzie. Wszędzie byliśmy wspólnie. Czy to na wyjazdach, czy na manifestacjach. Wszędzie razem. I chcąc nie chcąc sama była aktywnym „podziemiakiem". Roznosząc ulotki czy krzycząc na demonstracji stawałam jednoznacznie po określonej stronie. Stronie „Solidarności".

Któregoś razu mąż przywiózł jakieś ulotki, żeby porozdawać. Syn bardzo chciał pomóc i biegał po klatkach, między ludźmi, wszędzie. Bardzo dużo angażowaliśmy się rodzinnie w akcje ulotkowe. Mieliśmy dzięki temu poczucie, że robimy coś ważnego dla Polski. Nie siedzimy bezczynnie i obserwujemy, tylko działamy na tyle ile potrafimy. A dla syna była to raczej zabawa, choć pewnie też rozumiał, że to jest ważne i on również pomaga „Solidarności". Praktyczne u nas w domu zawsze były jakieś materiały. Zarówno w okresie legalnej „Solidarności", jak i w stanie wojennym. Mąż zawsze coś przynosił, a potem puszczaliśmy to w obieg. Gazetki i ulotki przekazywaliśmy sprawdzonym ludziom. Oczywiście mówiąc: – Po przeczytaniu podaj dalej. To było dla wszystkich niezmiernie ważne. Ludzie musieli wiedzieć co się dzieje. Chodziło o to, żeby pokazy-

wać działania podziemnej „Solidarności". Uświadamiać im, że nie poddaliśmy się i walka trwa nadal.

I trwała. Pewnego pięknego dnia, to było już w stanie wojennym, mąż zadzwonił do mnie do pracy i mówi:

– Szybko leć do domu i wszystkie papiery, które tam są zakop na działce. Zrób coś, żeby ich tam nie było! – a tego wszystkiego zebrała się cała waliza.

Ja szybko z Oksywia na Witomino. Złapałam tę torbę i na działkę. Łopata, dół i wszystkie papiery zakopane. Dzięki Bogu nie przyszli wtedy do nas sprawdzać, ale do sąsiadki z góry – tak. Zrobili całkowity kipisz w mieszkaniu. Nas na szczęście to ominęło. Gdyby jednak przyszli, różnie mogłoby się to dla nas skończyć. Kolegium murowane, ale mogliśmy też trafić do aresztu. Władza nie patyczkowała się z wrogami socjalizmu. Wiele można by było o tym czasie opowiadać. Każdy dzień w tamtych czasach przynosił nowe wyzwania i stawiał nas często przed trudnymi wyborami. W każdym razie to ZOMO stało naprzeciw nas, a my dokładnie wiedzieliśmy, jakiej Polski chcemy i dlatego robiliśmy to, co robiliśmy.

Co mi najbardziej utkwiło w pamięci z tamtych lat? Właśnie sierpień i stan wojenny. Najpierw ogromna radość i wiele spontanicznych działań. Budowanie „Solidarności". Długie rozmowy z ludźmi o przyszłości kraju. O życiu naszych dzieci za kilka czy kilkanaście lat. O tym, co robią szefowie związku. O tym, jak reaguje na to władza. No i towarzyszące temu wszystkiemu ogromne i czasem skrajne emocje.

A później już żyło się normalnie. Nie byliśmy nikim takim, żeby się nami interesowała milicja. Żyliśmy swoim życiem. To, co robiliśmy, to zrobiliśmy. Może mąż się w to bardziej angażował niż ja. A ja? Ja bardziej miałam dzieci na głowie. Żeby chodziły do szkoły, dobrze się uczyły, żeby później mogły iść na studia. O to chodziło.

Anna Rytelewska

w roku 1980 dziecko. Pedagog w Hospicjum Św. Wawrzyńca w Gdyni. Jest rodziną zastępczą dla kilkuletniej Ani, którą poznała w Hospicjum Bursztynowa Przystań.

Trudno mi to wszystko, te wyrywkowe obrazy, które zapisały się w pamięci, umieścić w czasie. Byłam za mała, ale pamiętam ciszę. Potem mama wytłumaczyła mi, że stocznia nie pracuje, bo jest strajk. Rodzice z kolei nie mogli wtedy strajkować, ponieważ szkoły miały wakacje, a rodzice byli nauczycielami w Szkole Podstawowej nr 39. Pamiętam też Magdę, córkę wujka Jurka, przybiegającą w nocy i mówiącą, że trzeba czyścić piwnicę, bo w domu jest rewizja. Madzia jest młodsza ode mnie chyba ze dwa lata, a ja miałam wtedy góra sześć lat!

Magda przybiegała w piżamie, bo przedostawała się do nas piwnicą, bez wychodzenia z klatki.

– Wujek, piwnica! – krzyczała hasło.

Tata ubierał się, szedł i przenosił co trzeba z ich piwnicy do naszej, a ja miałam w głowie: – Aha, oni zaraz przyjdą do naszej piwnicy. Takie rzeczy zostają dziecku w pamięci.

Kiedyś w nocy przybiegło do nas też dwóch uczniów taty. Powiedzieli tylko, że byli z ulotkami, rozwieszali gdzieś plakaty i ich gonią. Tata kazał mamie położyć ich spać na podłodze, na materacach, a sam ubrał się i zapytał tylko, z której strony jest ogon. Natychmiast poszedł inną drogą do ich mam, żeby biedne do rana nie osiwiały.

Nigdy nie było takiej sytuacji, żeby przyszli do nas jacyś rodzice z jakimiś pretensjami. Rodzice tych chłopców ufali tacie. Pewnie też byli z „Solidarności" i cieszyli się z tego, że ktoś przez modlitwę uczy ich synów patriotyzmu. O co chodziło z tymi chłopcami? Był taki czas, kiedy tata był animatorem w oazie. Dostał grupę kilkunastu chłopaków. Pamiętam, że przychodzili na spotkania, które były w dużym pokoju. Najpierw było spotkanie oazowe, Biblia i tak dalej, a potem zawsze tata otwierał barek i wyciągał swoje „skarby". Oni tylko na to czekali. Ja jako dziecko też na to czekałam, bo często zza zasłonki we wnęce słuchałam, co tata opowiada młodzieży.

Co tata miał w barku? Pieczęć, jakby takie zdjęcie, Jaruzelskiego na papierze toaletowym. Był też rysunek Urbana jak się modli, proporczyki, znaczki solidarnościowe i nie tylko. Mam wrażenie, że budowałam swoją świadomość na tym, co tata opowiadał tym chłopakom. Oni byli starsi, zadawali dużo pytań. Nasz tata nie jest duszą towarzystwa. Otwiera się, kiedy ma coś konkretnego do powiedzenia. Domyślałam się więc, że to są ważne sprawy. Skoro Urban i Jaruzelski byli na papierze toaletowym i można było się z nich pośmiać, to wiedziałam, kto jest dobry, a kto jest zły.

Wiedziałam też, że wśród sąsiadów mamy porządnych i zaangażowanych ludzi, takich jak wujek Jurek Miotke, który miał z tatą swoje sprawy. Ale wiedziałam też, że tata jednej mojej koleżanki to akurat jest tata, który nie powinien wiedzieć o pewnych rzeczach, bo stoi po drugiej stronie. W naszym domu polityka szła w parze z religią. To się wiązało ze sobą. Pamiętam choćby udział w Mszach za Ojczyznę, gdzie również my dzieci podnosiliśmy w górę ręce układając palce w znak Victorii. Stąd pamiętam mszę świętą w kościele św. Brygidy.

Do naszego domu przychodzili również absolwenci. Jak były problemy z zakupami, bo w sklepach nic nie było, to przynosili prezenty – były to zazwyczaj owoce i słodycze. Przysyłali też paczki z zagranicy. Poza tym mój dziadek był marynarzem i zawsze nam coś przywoził. Z kolei babcia pracowała w hali targowej. Miała tam swoje stoisko i dzięki temu mieliśmy świeże produkty, a raczej w ogóle coś mieliśmy.

Pamiętam jak w stanie wojennym mama mocno przeżywała i denerwowała się, bo pewnego dnia wezwał ją dyrektor szkoły na dywanik i pokazywał duże zdjęcia, które dostał od milicji. Na tych zdjęciach był mój tata, ale oczywiście do niczego się nie przyznawał. Zdjęcia zrobiono, kiedy tata wziął ze sobą uczniów na demonstrację. Dyrektor jednak nie wzywał taty, bo tłumaczył, że do niego brakuje mu już siły. Wzywał więc mamę i tłumaczył, że cały czas musi kłamać i że udawać, że nie rozpoznaje swojego nauczyciela. Tak mówił, a milicja wciąż go atakowała, bo nie potrafi zapanować nad swoim pracownikiem.

W tym czasie, czyli w stanie wojennym, rodzice przynieśli ze szkoły bardzo dużo krzyży, które dyrektor kazał im pozdejmować ze wszystkich sal szkolnych. Te krzyże zostały rozdane po sąsiadach i rodzinie. Wiem, że w wielu miejscach wiszą do tej pory.

Byłam dzieckiem i po prosu obserwowałam, ale dzięki temu wszystkiemu już wtedy wiedziałam, że ci „oni" są źli. Nachodzą tatę mojej koleżanki, mojego wujka, którego lubiłam i zaraz mogą też przyjść do naszego domu, a przecież my nic złego nie robimy! Tata modli się z chłopakami z Oazy, więc jak ktoś nachodzi dobrych ludzi, to musi być zły. Już wtedy w mojej świadomości funkcjonował ten podział na my i oni.

Tata angażował się też w wyjazdy w góry. Zabierał na nie ośmioklasistów i absolwentów, bo absolwenci bardzo długo się z nim trzymali, nawet będąc już w innych szkołach. Ja oczywiście też z nimi jeździłam i byłam w młodszej grupie. Najpierw plątaliśmy się tam między nimi jako dzieci, a potem wyrównaliśmy się wiekiem. Kiedy nadeszły już spokojniejsze czasy jeździłam jako opieka dla młodszych dzieci. Podczas tych trudniejszych czasów, jechaliśmy na tych wyjazdach na samych konserwach i pomarańczowym serze Reagana. To mu-

siało nam wystarczyć na cały wyjazd, bo w Zakopanem nic się wtedy nie kupiło. Na wyjazdy dostawaliśmy zazwyczaj dary od ks. Czerwińskiego z kościoła św. Andrzeja Boboli. Pamiętam to ostre chodzenie po górach i przegadane wieczory. Z jednej strony było to takie dodatkowe religijne wychowanie – msza święta, robienie trzydziestek, bo tata wciągał młodzież w takie rzeczy, a z drugiej strony patriotyzm. Te dwie rzeczy zawsze szły w parze.

I jeszcze ostatni obrazek. Byliśmy kiedyś na rekolekcjach w Topolnie, gdzie przyjechały też wszystkie dzieci Lecha Wałęsy, bo Wałęsa był wtedy internowany. Było to dla nas dziwne, ale one nie uczestniczyły w modlitwach i innych zajęciach rekolekcyjnych i zastanawialiśmy się, po co przyjechały na rekolekcje. Jak się później dowiedziałam, opiekunem tych niesfornych dzieciaków był Mieczysław Wachowski, a wtedy był to dla nas po prostu pan Mietek. Miał duży samochód i woził nas na wycieczki. Przyznam, że żadne dzieci nie zalazły mi za skórę tak, jak te podłe, małe Wałęsy.

Barbara Rytelewska

emerytowana nauczycielka Szkoły Podstawowej nr 41 i 39, członek NSZZ „Solidarność". Wspierała męża Jana w działalności wspólnoty religijnej.

Najbardziej utkwił mi w pamięci rok 1970. Później już przestawiłam się na pracę, na szkołę i na moje dzieci. To było najważniejsze. Mąż był „tam", więc stwierdziłam, że ja będę tylko w domu i w szkole. Wracam ze szkoły i jestem dla dzieci. Dziś nadal nie mówię o tym głośno, bo wciąż wydaje mi się, że coś straciłam. Coś przeszło obok.

Za to Grudzień '70, przeżyłam bardzo. Byłam młodziutka, miałam dwadzieścia lat i byłam panną. Kiedy to wszystko zaczęło się dziać, pracowałam w centrali międzymiastowej. Akurat poszłam na urlop dziekański i podczas tego urlopu zatrudniłam się na parę miesięcy właśnie tam. Tego dnia siedziałam na Katowicach. Pracowałam i niczego nie przeczuwałam. Nie wiedziałam jeszcze, że na mieście, wręcz pod naszymi oknami, dzieją się już takie rzeczy. Nagle ni stąd, ni zowąd, zaczynają do nas przychodzić rozmowy telefonistek z Katowic. Jako telefonistki znałyśmy się tylko po głosach i nigdy nie zgłaszałam się imieniem i nazwiskiem, mówiłam tylko „Gdynia 74". A tu jak grom z jasnego nieba:

– Co wy tam wyprawiacie?! Co wy chcecie z tą Polską zrobić?!

–???

Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Dziewczyny, które siedziały na Warszawie, na Łodzi też były zaskoczone. My wiemy, co u nas się dzieje. Wiemy, że nikt nie rozrabia, niczego nie rozwalamy. A te telefonistki rugały nas tak, jakbyśmy były czemuś winne, jakby tu była jakaś kontrabanda czy jeszcze coś gorszego.

Nie zdążyłyśmy się nawet wytłumaczyć, bo nagle wpadli jacyś ludzie, a z nimi żołnierze z karabinami. I koniec pracy! Musiałyśmy natychmiast wyciągnąć wszystkie kable. I koniec połączeń! Nikt już z nikim się nie połączył. Doskoczyłyśmy do okien. A z okien zobaczyłyśmy pochód, który szedł ulicą 10 Lutego. Szło mnóstwo ludzi i nieśli tego chłopaka na drzwiach.

W centrali stało chyba z sześciu rosłych panów. Myślę, że to byli żołnierze, bo nie byli ani wredni, ani nie przeklinali. Szybko odepchnęli nas od tych okien i zamknęli na noc. Zostało z nami wojsko. Poczta była zamknięta, telefony zostały wyłączone i nie mogliśmy się z nikim skontaktować. Na drugi dzień wypuścili nas do domów. Każda z nas dostała swojego żołnierza, który ją odprowadzał, niby to eskortował. Znowu przeżyłam ciężki szok, bo po drodze ten człowiek, który mnie prowadził został chyba ze trzy razy opluty. On na to nie zareagował! No bo co miał zrobić? Szedł po prostu przy mnie ze spuszczoną głową i nie odzywał się. Mieszkałam wtedy na Śląskiej. Kiedy weszłam na podwórko zobaczyłam mnóstwo ludzi. Nie wiem, czy to było wojsko, czy milicja, czy jacyś przebierańcy. Stały czołgi i samochody wojskowe, stała kuchnia polowa i paliło się ognisko. Po prostu wojna! Ten żołnierz odprowadził mnie aż do drzwi, ale nie chciał wejść na herbatę i nie odzywał się. Dostałyśmy wtedy przepustki pozwalające chodzić po mieście o każdej godzinie, bo w końcu praca była niby na noc. I chodziłyśmy do pracy, mimo że nie było żadnego łączenia.

Po urlopie dziekańskim wróciłam na studia. Wyjechałam na praktyki i tam poznałam przyszłego męża. On miał większy bagaż przeżyć. Już wtedy pracował w szkole i miał uczniów prawie w jego wieku, bo uczył mój rocznik. Pracował w Gdyni. Najpierw na Płycie Redłowskiej, a później w szkole na Obłużu. Tu mogłabym opowiadać o naszym spotkaniu, ślubie, rodzinie... Mogłabym, ale wspomnienia dotyczą innej sfery naszego ówczesnego życia.

W 1980 roku mieszkaliśmy w Gdyni i mieliśmy trójkę dzieci, więc byłam zajęta codziennością. Zawsze bardzo lubiłam i uspokajały mnie dźwięki dochodzące ze stoczni. Dla mnie może dlatego, że znane, są przyjazne. Kiedy je słyszałam, wiedziałam, że coś tam się dzieje, że ludzie pracują. Można powiedzieć takie ukojenie dla duszy. Aż tu nagle zrobiło się przeraźliwie cicho. Stocznia stanęła!

Nie jeździłam wtedy pod stocznię. Nadal przeżywałam raczej inne sprawy. Sprawy związane z dziećmi i ze szkołą. Miałam taką dobrze zapowiadającą się i sympatyczną uczennicę – Grażynkę Pławińską. Nagle okazało się, że muszą wyjeżdżać. Zwyczajnie znikać z kraju! Jak ja to przeżywałam! Przeżywałam właśnie takie drobne rzeczy, które dziś mogą wydawać się mało istotne. Dla mnie jednak były niesłychanie ważne. Poza tym, to też składało się na obraz tamtych wydarzeń. Po zakończeniu strajku zapisałam się do „Solidarności". Byłam wtedy związana z wydarzeniem odsłonięcia pomnika Ofiar Grudnia 1970. Projektantka tego pomnika mieszka niedaleko. Miałam jej szkice, ry-

sunki i dużo o tym rozmawiałyśmy. Przyznam, że tamten czas, czyli lata 1980 i 1981 roku to była wielka radość, po prostu jakiś festyn.

Stan wojenny zastał nas poza domem. W momencie wprowadzenia stanu wojennego mieliśmy akurat spotkanie Rady Nauczycieli. Przyszli tam jacyś mężczyźni, oczywiście z karabinami i... wyprowadzili Rytelewskiego. Po prostu wzięli go z tej rady! Nie myślałam wtedy, że mój mąż jest dzielny, czy jest bohaterem. Nie! No i się doigrał! – pomyślałam wściekła. Wstyd, hańba. Przesłuchiwali go, ja nie chciałam w ogóle o tym słyszeć. Dowiadywałam co się u niego dzieje dla dziewczyn, bo wciąż pytały. Co się stało? Gdzie jest Jasiu?

Mieszkaliśmy już wtedy na Turkusowej i znaliśmy Gosię i Jurka Miotke. On działał i sam był grudniowcem i cały czas był zaangażowany w podziemie. Cały czas był w ruchu i wspierał rodziny osób internowanych, zresztą sam był aresztowany. Obserwowali go cały czas funkcjonariusze SB, którzy systematycznie odwiedzali dom Gosi i Jurka. Pamiętam, że u nich wiecznie ktoś był i wiecznie im grzebali i znajdowali coś, co pewnie sami wkładali. To była naprawdę makabra. Wciąż odwiedziny SB i przeszukania.

Powiedzmy sobie szczerze. Nie byłam entuzjastką działalności mojego męża. Myślę, że Gosia tak samo nie była entuzjastką działalności Jurka i też się tym denerwowała. Kochałyśmy ich i mogli robić, co chcieli. Nikt nie stawiał im warunków. Ja po prostu przestawiałam się wtedy na zupełnie inne sprawy i nie chciałam nic wiedzieć i nic słyszeć. Jednak nie dało się tak całkiem wyłączyć. Kiedyś w nocy przybiegała do nas Magda, ich córka z informacją, że trzeba czyścić piwnicę, bo u nich w domu jest rewizja.

Wiedziałam, że mąż zaangażował się w podziemie. Działanie od zawsze miał we krwi. On tym żył. Potrzebował tej adrenaliny, a przy tym on w to wszystko wierzył. Jego uczniowie ufali mu do tego stopnia, że chodzili z nim na Msze za Ojczyznę i na demonstracje, które organizowała podziemna „Solidarność". Aż w końcu milicja czy ubecja rozpoznała go. Było to po manifestacji z okazji rocznicy Konstytucji 3 Maja. Oczywiście, nielegalnej manifestacji. Do szkoły przychodziła milicja przynosiła zdjęcia z manifestacji i pan dyrektor miał rozpoznać swoich nauczycieli, którzy wraz z uczniami uczestniczyli w demonstracjach organizowanych przez podziemną „Solidarność". To była Szkoła Podstawowa nr 39 na Obłużu, a mąż uczył tam wuefu. Był dobrym nauczycielem i trzymał młodzież w ryzach. Dyrektor bardzo go cenił i szanował. Kiedy tylko mógł, dawał mu nagrody. W pewnym momencie zaproponował mu nawet stanowisko wicedyrektora, ale Jasiu odrzucił to, bo nie chciał zapisać się gdzie należy. Dyrektor pokazał te zdjęcia mężowi i mówi:

– Zobacz! Jesteś na zdjęciu w pierwszym szeregu, z chłopcami! Z naszymi uczniami! Zlituj się, bo przecież mnie zamkną!

To były takie historie, że ja po prostu słabłam. Później dyrektor nie wzywał już męża, bo zwyczajnie nie miał już do niego siły. Wzywał za to mnie i tłumaczył, że cały czas musi kłamać.

– Jak ja mam dłużej tak przed nimi udawać? Mówić im prosto w oczy, że nie rozpoznaję swojego nauczyciela?! Przecież on tam stoi z uczniami. W pierwszym rzędzie z wielką flagą!

Nie krzyczał na mnie, tylko prosił, żebym porozmawiała z mężem, wytłumaczyła mu.

– Panie dyrektorze ja to wszystko wiem. Rozmawiam z mężem. Tłumaczę mu, ale nie mogę nic zrobić – mówiłam tylko.

Właściwie to powinnam wstydzić się tego okresu, bo zamiast być z nim na barykadzie zamknęłam się na to wszystko i nie chciałam nic wiedzieć, nic słyszeć. Martwiłam się jedynie, żeby cały i zdrowy wrócił do domu. Ktoś, kto znał mojego męża wiedział, że jemu nie dało się nic nakazać. Co by mu nie mówić i czego by nie tłumaczyć, to on i tak by zrobił co zaplanował i w co wierzył. On po prostu tak musiał. Musiał iść pierwszy, z flagą, wziąć ze sobą chłopaków i pisać z nimi po murach. Jak już poszedł pod nasz gdyński pomnik, to musiał porozmawiać z panią Walentynowicz.

Często zastanawiałam się jak mocno mój mąż jest w to podziemie zaangażowany. Jeżeli interesowała się nim Służba Bezpieczeństwa, to ja naprawdę o tym nie wiem. Z racji tego, że był nauczycielem wuefu zawsze musiał pracować na dwa etaty, więc cały dzień nie było go w domu. Często też jeździł z dziećmi na jakieś zawody i nie było go nawet całkiem długo. Nie wiem, co się wtedy działo i nie chciałam wiedzieć. Gdybym zainteresowała się, to może bym się czegoś dowiedziała. Ale ja nie chciałam wiedzieć. Nie chciałam o tym myśleć. Pamiętam jak przyszedł rozpromieniony i szczęśliwy, bo rozmawiał z panią Walentynowicz. Powiedział, że siedzieli sobie na murku i rozmawiali i on się dowiedział tylu ważnych rzeczy. Byłam zła i nie chciałam w ogóle tego słuchać. Powinien być w tym czasie ze mną, z naszymi dziećmi – myślałam. Fakt, że dzieci to on by ciągnął wszędzie, tylko ja nie pozwalałam. Nie mogę powiedzieć, że był złym ojcem, ale był przy tym taki niedojrzały. Jasiu wciąż był buntownikiem i to kierowało jego życiem.

Ale za to na Msze za Ojczyznę w parafii pw. św. Andrzeja Boboli chodziliśmy razem. Msza za Ojczyznę – oczywiście. Ale jakieś latanie po ulicach, po pomnikach z kwiatami?! Przecież oni tam stoją od piątej rano i czekają, kogo by ustrzelić! To mnie denerwowało. Dziś wiem, że to było potrzebne i że ktoś to musiał robić.

Czasem też jeździłam z mężem i jego uczniami w góry. Nie brałam jednak bezpośrednio w tym udziału tylko zajmowałam na przykład organizowaniem prowiantu. Na początku stanu wojennego byliśmy na rekolekcjach w Topolnie. Były tam wszystkie dzieci Wałęsy, bo Wałęsa był wtedy internowany. Opiekunem dzieci był Mietek Wachowski. Miał dużego busa i woził dzieci na wycieczki. Pamiętam, że Siostry Pasterki miały stare przeciekające umywalki i zniszczone sedesy. Mietek powymieniał im to wszystko. Wtedy nawet nie zastanawiałam się kim jest ten Mietek. Wiedzieliśmy, że to znajomy Wałęsy, który ma jakąś fabryczkę i produkuje śrubki. I mimo tego, że nie angażował się religijnie, to pomoc Pasterkom była nieoceniona. Siostry nie straciły złotówki, a miały super odnowione łazienki i ubikacje. A po latach patrzę w telewizji, a tu za Wałęsą stoi nasz Mietek!

A tak na marginesie, to te dzieciaki Wałęsów zachowywały się strasznie, nie przychodziły na żadne modlitwy i były okropnie rozpieszczone. Moja córka do tej pory wspomina, że zalazły jej za skórę.

Bywały też takie wyjazdy w góry, kiedy zostawałam w domu i załatwiałam takie rzeczy, których nie dało się zrobić, kiedy dom był pełen ludzi. Na przykład remont łazienki. Jasiu nie życzył sobie, żebyśmy w tym czasie kładli kafle w łazience. Oburzał się, że ludzie nie mają co jeść, a my tu kafle, taki luksus. Teściowa kupiła nam kafelki i one tak leżały i czekały, a Jasiu nie pozwalał ich kłaść. Mogłam to zrobić dopiero jak wyjechał. Śmiałam się, bo po jakimś czasie stwierdził, że fajnie, że są, bo są praktyczne i łatwiej utrzymać czystość.

Skoro wspomniałam już o tych codziennych, bytowych sprawach, to powiem, że posiadanie trójki dzieci było wtedy wyzwaniem. Kartki na żywność przechowujemy do dziś w albumie, bo niestety nie było ich za co wykupić. Na tyle, ile wystarczyło, coś tam się kupiło, ale było to zazwyczaj byle co. Nie mogłam przecież pójść w kolejkę o piątej rano, bo miałam dzieci i do tego cały czas pracowałam, więc co dostałam, to kupiłam i dużo kartek zostawało niewykupionych. Wymienialiśmy za to kartki na alkohol i dzieci dostawały za nie jakieś cukierki. Za kartki na papierosy też można było coś tam dostać. Czasem poratowali nas absolwenci naszej szkoły, uczniowie Jasia, którzy wyjechali na Zachód albo zostali marynarzami. Na święta dostaliśmy od nich paczki. Przede wszystkim słodycze i owoce. Jakaż wtedy była radość dzieci! Jeden tych absolwentów do dzisiaj co roku przychodzi ze skrzynką mandarynek, jakbyśmy nie mogli sobie kupić. To bardzo miłe...

Poza tym mój teść pływał, a teściowa miała stoisko spożywcze w hali, więc jak coś tylko przyszło, to dostawaliśmy i kawałek sera, jakiś olej i tego typu rzeczy. Babcia naprawdę bardzo się starała i dbała o nasze dzieci. Miała tutaj trójkę wnuków, a siostra Jasia, która mieszka dwa bloki dalej też miała trójkę dzieci. Nie pamiętam jakichś większych kłopotów. Pamiętam tylko, że nie było mnie stać, żeby wykupić te kartki. Czasem też po prostu nie kupowałam, bo nie chciałam kupować jakichś ochłapów za pieniądze, które były dla mnie bardzo dużo warte. Uważałam, że kupując to świństwo, nie zrobię z tych pieniędzy dobrego użytku. Ale nie było tak, że dzieci nie dojadały. Pochodzę z rodziny, w której się nie przelewało. Zawsze trzeba było się postarać o jedzenie, zjeść co jest, nie marudzić. W naszym domu też tak było.

A co do wydarzeń z tamtych czasów, to jesteśmy rodziną oazową i mąż w pewnym momencie został animatorem grupy chłopców. Dzięki temu jeden dzień w tygodniu miałam mieszkanie pełne młodych chłopaków. Można powiedzieć, że tu niby sprawy wiary, a tak naprawdę to była konspiracja. Przychodzili do nas do domu, czytali Pismo Święte, rozmawiali o Bogu, a gdy już kończyli te zajęcia, to zaczynała się polityka. Raz zrobili takie rysunkowe karykatury Jaruzelskiego na papierze toaletowym. Wyrzuciłam. To było obrzydliwe! Przestraszyłam się, bo jakby to wpadło w niepowołane ręce, to mogłyby być ciężko. Wolałam zareagować. Osobiście podarłam Jaruzelskiego na kawałki i wyrzuciłam.

Jasiu był dla tych chłopaków autorytetem. Kiedyś, już w stanie wojennym i tak gdzieś po drugiej w nocy, dwóch z nich przybiegło do nas. Przyszli, bo wiedzieli, że mogą i że Jasiu im pomoże. Powiedzieli tylko, że byli z ulotkami, rozwieszali gdzieś plakaty i ich gonią. Mój mąż postanowił, że zostaną u nas na noc. Dał im materace i kazał iść spać. Sam, mimo godziny milicyjnej, poszedł do ich

rodziców, by uspokoić. Kierując się tam musiał jeszcze zmylić milicjantów, którzy gonili tych uczniów. Z kolei innej nocy była afera, bo u Magdy, córki Gosi Miotke, znaleźli w łóżku jakieś ulotki. Podrzucili to i znaleźli...

Pamiętam też zdejmowanie krzyży w szkole, bo doświadczyłam tego osobiście. Cóż to było?! Cały stos zdjętych krzyży z tylu klas w takiej wielkiej szkole. Całe stosy tych krzyży leżały zwinięte w koce. Dyrektorowi kazano to zdjąć i wyrzucić, więc zaniósł i schował do piwnicy, ale my część z nich rozdaliśmy. Wiele z tych krzyży wisi do dzisiaj po sąsiadach i po rodzinie. Może to rozdawanie powinniśmy wtedy zorganizować inaczej? Podpisać je. Napisać skąd są, gdzie one wisiały. Kiedy, co i jak. A ja po prostu rozdałam je tym, którzy chcieli powiesić je w swoich domach.

Zdejmowanie krzyży przeżyłam również w Szkole Podstawowej nr 41 przy ul. Płk-a. Dąbka, obecnie CKZiU nr 2. Większość tamtejszych nauczycieli była w „Solidarności" i nikt nie chciał podjąć się zdejmowania krzyży. Podjęła się tego pani wicedyrektor. Co z nimi się stało? Nie wiem?

Kiedy w czerwcu 1987 roku przyjechał Ojciec Święty, pojechaliśmy wszyscy na Zaspę. Zrobiła się z tego wielka wyprawa, bo byliśmy bez samochodu i jechaliśmy kolejkami. Dzień wcześniej oczywiście byliśmy też na Skwerze Kościuszki. Pamiętam tylko coś takiego, że byłam zaskoczona ilością będących tam ludzi. Nie mogłam uwierzyć, że wszyscy ludzie, których tam zobaczyłam, są z Gdyni. Pamiętam też, że nagłośnienie było kiepskie, a dzieci się wciąż kręciły, więc za bardzo tego wydarzenia nie przeżyłam. Kazania Ojca Świętego słuchałam dopiero potem w domu z różnych nagrań. To taka karta w moim życiu, której powinnam się wstydzić. Nie przeżywałam tego aż tak bardzo. Oczywiście, wiadomo, Ojciec Święty, Polak, więc w kontekście wiary – jak najbardziej. Ale, żeby to kojarzyć z polityką? To raczej nie.

Danuta Sadowska – dawniej Kędzierska

w latach '70 zajmowała się kolportażem i poligrafią, działała w RMP, współpracowała z WZZ. Etatowy pracownik NSZZ „Solidarność". Po wprowadzeniu Stanu Wojennego poszukiwana przez SB, pozostała czynną działaczką opozycji.

Moje widzenie świata kształtowało się w domu, gdzie zawsze słuchało się Wolnej Europy. Żyliśmy biednie, pewnie jak większość Polaków w PRL-u. Ojciec po wojnie prowadził jakąś własną działalność, za którą w następnych latach, tych, które już pamiętam, był napiętnowany. Dosyć długo nie mógł znaleźć pracy, pamiętam jakieś chałupnicze prace, którymi rodzice próbowali się ratować, na przykład jakieś klejenie torebek na zamówienie… W końcu rodzice znaleźli pracę – prowadzenie kiosku Ruchu w ramach ajencji. Punkt mieli bardzo dobry – w Sopocie, naprzeciwko kas biletowych. To była bardzo ciężka praca, od 5 rano do 22-iej, codziennie. O swoich przeżyciach z czasów wojny nie mówili prawie nic. Wiedziałam tylko, że wojnę przeżyli ciężko. Rodzina Mamy żyła na mazowieckiej wsi. Ojciec Mamy, który był felczerem, za pomoc AK-owcom spędził wiele lat w więzieniu, ich Matka, moja Babcia zmarła pod koniec wojny, a siedmioro dzieci zostało samych i w dodatku napiętnowanych, jako rodzina wroga socjalistycznej ojczyzny. Mieli problem w dostaniu się do szkół, ze znalezieniem pracy, brat mojej Mamy został powołany do wojska, do karnej kompanii i wiele lat przepracował ciężko w kopalni. To naznaczyło ich postawę – komunizm jest nie do zaakceptowania, ale lepiej tego nie pokazywać na zewnątrz, bo trzeba przeżyć i chronić rodzinę… Ojciec pochodził ze wsi w poznańskim. Jako młody chłopak uratował się w ostatniej chwili przed rozstrzelaniem. Osiwiał mając dwadzieścia lat. Próbowali ze wszystkich sił uczciwie i ostrożnie budować swoje życie. Ojciec miał naturę społecznika, lubił działać, siedząc w kiosku doradzał wszystkim na około w sprawach podatkowych, bo znał się na księgowości, pisał ludziom podania do różnych instytucji – ten kiosk był naprawdę wielofunkcyjny, ludzie lubili tam przychodzić na wielogodzinne rozmowy…

A ja nasiąkałam Wolną Europą i lekturami. Dużo czytałam. Najbardziej pasował mi Sienkiewicz, Kamiński – Kamienie na szaniec, wiersze Baczyńskiego, Jack London, Wyspiański… W szkole średniej związałam się z Duszpasterstwem Akademickim w e Wrzeszczu. Zaczęłam chodzić na pielgrzymki do Częstochowy, an spotkania – to był inny wymiar i nowe środowisko. Tam poznałam Maria-

na Terleckiego, a przez niego trafiłam do zespołu założonego przez niego teatru – tam poznałam następnych – Antka Pawlaka, Maćka Grzywaczewskiego, później Arama Rybickiego. Teatr został rozpędzony przez SB, bo przygotowywana była jakaś nie bardzo prawomyślna sztuka. To był chyba 1973 rok. No i tak znalazłam się w towarzystwie, gdzie już czytało się i kolportowało literaturę „drugiego" obiegu. Zaczęłam chodzić na spotkania „samokształceniowe", na przykład do Jezuitów we Wrzeszczu, na ul. Mickiewicza. Tam był taki niesamowity ojciec Sroka. Chodziłam też do Dominikanów w Gdańsku, gdzie młodzieżą opiekował się ojciec Ludwik Wiśniewski. Te rozmowy, spotkania w tym środowisku, Wolna Europa i taka genetyczna lub może młodzieńcza bezkompromisowość – kształtowały moje widzenie świata. W szkole średniej, chodziłam do Liceum Ekonomicznego w Orłowie, zachęcano oczywiście do działania w ZMS – Związek Młodzieży Socjalistycznej. Pamiętam, że mój ojciec próbował mnie namówić, żebym się zapisała, bo to mi miało ułatwić życie. Nie mogłam zrozumieć, jak może mnie do czegoś takiego w ogóle zachęcać – on, który wiecznie słuchał Wolnej Europy i miał wyrobione zdanie o komunistach! Może chciał, w jego mniemaniu, dla mnie „lepszej" przyszłości… jego młodszy brat i bratowa byli mocno partyjni i dobrze ulokowani na intratnych, wysokich stanowiskach, ich dzieci nie miały problemów z dostaniem się do dobrych szkół czy później z pracą. Pewnie ojciec też chciałby dla mnie łatwiejszego startu. Ale dla mnie liczyły się proste i jednoznaczne kryteria – uczciwość i prawda. A prawdą był na przykład Katyń, o którym nie można było nawet wspominać. Prawdą była powszechna bieda i „sklepy za firankami" dla partyjnych. Prawdą było pałowanie studentów w 1968, choć z tamtego czasu pamiętam głównie gazy łzawiące i demonstracje młodzieży we Wrzeszczu – mieszkaliśmy w centrum, więc oczywiście pobiegłam zobaczyć to na własne oczy… Prawdą był Grudzień 1970…

W 1974 roku zdawałam na studia, na historię. O wyborze kierunku zdecydowaliśmy w grupie – z Aramem Rybickim, Antkiem Pawlakiem, Irkiem Gustem, Andrzejem Jarmakowskim. Szybko dołączył i Jurek Kuniewski i Grzesiek Pliszka. Razem poszliśmy na seminarium do prof. Romana Wapińskiego. Tworzyliśmy dobrze zorganizowaną grupę, choć na studia nie dostał się Antek Pawlak. Za to rok wyżej był Olek Hall. I w tej grupie „knuliśmy". Ruszył kolportaż i poligrafia, coraz częstsze spotkania. Nawiązaliśmy też współpracę z Bogdanem Borusewiczem, z Krzyśkiem Wyszkowskim… Dużo się wtedy działo. Protest przeciwko kartkom na cukier, protest przeciwko zmiano w Konstytucji w 1976 r, gdzie wpisano sojusz z ZSRR i przewodnią rolę PZPR, wydarzenia w Radomiu i Ursusie, organizowanie żałoby po śmierci Stanisława Pyjasa, zakładanie NZS-u na uczelniach. Z naszej grupy humanistycznej przedstawicielem był Grzesiek Pliszka. Poznałam wtedy wielu ludzi z innych gdańskich uczelni – Błażeja Wyszkowskiego, Staszka Śmigla Grażynkę Stankiewicz, Anię Młynik, Piotra Dyka, Darka Kobzdeja, Jasia Samsonowicza, W tym środowisku byli też starsi – Ania Walentynowicz, Joanna i Andrzej Gwiazdowie,. Mariusz Muskat prowadził u siebie w Sopocie Dom Kultury Niezależnej, a w służbówce u niego mieliśmy drukarnię. Drukowanie organizowaliśmy w wielu miejscach, czasem rodzice któregoś z kolegów wyjechali – to można było wykorzystać „wolną chatę", u różnych znajomych…

Powielacz można było przenieść w plecaku, ale nie był lekki. Organizowaliśmy też obchody „naszych" rocznic – 11 listopada, 3 maja.

Te wydarzenia znajdowały oczywiście swój wyraz w ulotkach, pisemkach, akcjach ulicznych. Ja w liceum musiałam opanować pisanie na maszynie i w tamtym okresie ta umiejętność okazała się nieoceniona. Maszyny do pisania elektryczne dopiero zaczęły się pojawiać, ale ja pisałam na zwykłej – nie tylko matryce, ale też i ulotki na papierze przebitkowym – dawałam radę na raz do dziesięciu sztuk przez kalkę… Pamiętam takie gorące akcje, że ktoś pisał tekst, ja przepisywałam to na matrycach i od razu szło na powielacz. Ze sprzętem było wtedy słabo, powielacz co najwyżej spirytusowy, ręczny, do którego trzeba było zorganizować papier i denaturat. Papier był sprzedawany na specjalne zamówienia, denaturatu też nie mogliśmy kupować większej ilości na raz, bo to było zbyt podejrzane… Zresztą i tak byliśmy podejrzaną grupą, zwłaszcza na uczelni byliśmy mocno rozpoznawalni, też przez to, że po akademikach i na wydziałach rozprowadzaliśmy ulotki i literaturę „drugiego obiegu". Funkcjonował już KOR, ROPCiO, powstały WZZ i RMP – choć w Trójmieście to było jedno środowisko, wszyscy się praktycznie znaliśmy i razem działaliśmy, nawzajem sobie pomagaliśmy. Wspieraliśmy się zresztą nie tylko w pracy podziemnej, tak po prostu przyjaźniliśmy się. Po latach Alinka Pieńkowska tak to podsumowała, że ona nie bała się represji, bo wiedziała, że w razie czego jej synkiem się zajmiemy, że ma innych za plecami… Dużo z tych przyjaźni przetrwało do dziś. Myślę, że to trójmiejskie podziemie – to było kilkadziesiąt osób, ale środowisko rozrastało się. Też za staraniem SB, dla którego stawaliśmy się coraz groźniejsi.

Niedługo trzeba było czekać na „wpadki" – zatrzymania i rewizje, aresztowania. Ja wpadłam na kilku rewizjach, byłam zatrzymana podczas rozprowadzania ulotek. To były zawsze bardzo emocjonujące chwile, zwłaszcza że postanowienia prokuratorskie zawsze były wystawiane po fakcie i przychodziły na adres zameldowania, czyli w moim przypadku – do rodziców. A rodzice reagowali bardzo nerwowo i wielkim lękiem. To było dla mnie poważnym hamulcem, nie mogłam znieść ich strachu o mnie, ich lęku o przyszłość. Pewnego razu zostali wezwani do dyrekcji Ruchu, gdzie funkcjonariusze SB i dyrektor zapowiedzieli im, że jeśli ja się nie uspokoję, to oni mogą się pożegnać z pracą i dostaną wilczy bilet. Dla nich to było prawdziwe zagrożenie. Po tej rozmowie postawili mi warunek, że mam się uczyć i zerwać wszystkie kontakty albo muszę się wyprowadzić z domu. Niewiele wówczas było możliwości zarobkowych dla studenta, nie miałam oczywiście żadnych oszczędności, więc nie była to łatwa decyzja, ale po prostu się wyprowadziłam. Pomógł mi wtedy Bogdan Borusewicz, który przewiózł mi rzeczy i załatwił jakieś pieniądze na wynajęcie pokoju. Mariusz Muskat zaciągnął mnie do pracy w charakterze ankieterki. Trochę wtedy podupadłam na zdrowiu, ale dzięki przyjaciołom dałam radę. Do pracy magisterskiej musiałam zbierać materiały w bibliotekach warszawskich, dzięki czemu nawiązałam tam kontakty i przewoziłam bibułę do Trójmiasta. Chciałam skorzystać z urlopu zdrowotnego, ale kiedy poszłam z tą prośbą, to usłyszałam, że ponieważ moją osobą interesuje się SB, to mam na to trzy miesiące i więcej szansy mieć nie będę. Obroniłam pracę w terminie, choć wielkim wysiłkiem. Po studiach oczywiście nie mogłam znaleźć żadnej pracy i w końcu zaczęłam pomagać rodzicom w kiosku Ruchu. To jednak okazało się świetnym

rozwiązaniem, bo lokalizacja kiosku w Sopocie przy kolejce miejskiej była po prostu idealna do koordynowania kontaktów, kolportażu bibuły, przekazywania informacji – Borusewicz mieszkał w Sopocie, Wyszkowski na Żabiance, zresztą i tak wszyscy jeździli kolejką… Rodzice raczej się w tym nie zorientowali, ale wkrótce przeszli na emeryturę – i znowu problem z pracą. Udało mi się znaleźć pracę na zastępstwo w świetlicy szkolnej, ale tylko do wakacji. Do wynajmowanego przeze mnie mieszkania wróciła właścicielka – zostałam „na lodzie". Było lato 1980 r. Zabrałam psa i pojechałam z namiotem w góry. Wróciłam 1 września… I okazało się, że mogę się przydać w MKZ NSZZ „Solidarność", gdzie się po prostu wprowadziłam. Po pracy po prostu zostawałam na noc… Pracowałam razem z Mariuszem Muskatem, Marysią Nowicką-Marusczyk i Leszkiem Kaczyńskim w Ośrodku Analiz Bieżących MKZ-tu.

O stanie wojennym zawiadomił mnie brat, który przyjechał z informacją, że do mieszkania rodziców o 5 rano przyszli po mnie uzbrojeni funkcjonariusze. Ja wtedy wynajmowałam pokój w Oliwie, ale natychmiast dostałam wymówienie. Tęga zima, godzina milicyjna, znajomi internowani, a ja poszukiwana… To był ciężki czas. Odwiedzałam znajomych i przesiadywałam do późna, żeby nie zdążyli wyprosić mnie przed godziną milicyjną. Nikt nie chciał wynająć mi mieszkania, do rodziców nie mogłam wrócić, o znalezieniu pracy nie mogłam nawet myśleć. Zaczęłam chorować i nerwowo reagować. Z jedzeniem też wtedy nie było łatwo, pamiętam, że poszłam kiedyś do znajomych, którzy mieszkali na trzecim piętrze – i niemiałam siły tam wejść. U nich była waga – ważyłam 45 kilo… Po jakimś czasie, kiedy w rozmowie ktoś powiedział słowo: dom, mieszkanie – to wystarczyło, żeby mi łzy zaczynały lecieć bez opamiętania… Taka depresja po prostu. Pomagali mi trochę dwaj koledzy, których poznałam w MKZ-cie. Norbert Wawrzyniak i Paweł Popielarski – jak się potem okazało – nie bezinteresownie, takie mieli zadanie…

Oczywiście próbowałam włączyć się w cokolwiek, odnalazłam kilku znajomych na wolności i zbierałam informacje, przekazywałam bibułę, szukałam możliwości kwater dla tych najbardziej potrzebujących. Kiedyś przekazałam adres dla Bogdana Borusewicza i następnego dnia byłą tam ostra rewizja. To mnie wystraszyło, bo oznaczało po pierwsze, że gdzieś blisko mnie nastąpił przeciek, po drugie ja stałam się podejrzana… Nie byłam w stanie ustalić źródła, więc zamroziłam swoje kontakty, żeby przerwać taką możliwość. Dopiero po latach w IPN-ie znalazłam odpowiedź – to mój przyjaciel – Norbert Wawrzyniak funkcjonował jako TW „Kieł".

Na szczęście rodzice mojej przyjaciółki zaproponowali mi pokój u siebie i jednocześnie pomogli mi znaleźć pracę opiekunki, oczywiście nieformalnie. Od czasu do czasu docierała do mnie pomoc z podziemia. Było już dobrze. Po amnestii dla kobiet próbowałam znaleźć pracę – nie mogłam przecież bez końca żyć na koszt innych. Krzysiek Dowgiałło znalazł mi lokum, a po długich pertraktacjach i wstawiennictwu znajomych znalazłam pracę w izbie przyjęć Szpitala Reumatologicznego w Sopocie. Później zmieniałam kilka razy pracę, aż Paweł Popielarski „wpadł" na pomysł, że trzeba coś zrobić dla ludzi wychodzących z więzień, z „ internatów", którzy zostali bez środków do życia. Trzeba założyć spółdzielnię pracy i ich zatrudnić. Moja naiwność i łatwowierność była ogromna – oczywiście pomysł podchwyciłam, a ponieważ ja miałam naj-

więcej kontaktów z opozycji, to zaczęłam rozpuszczać wici i zbierać potrzebujących. Spółdzielnia się rozkręciła, zlecenia zaczęły napływać, ludzie zaczęli „stawać na nogi" i w najlepszym momencie Popielarski zaczął akcję niszczenia. Po latach widzę to jasno – taka gra operacyjna – zebrać jak najwięcej podejrzanych w jednym miejscu, gdzie łatwo ich kontrolować, a potem ich skłócić, poróżnić środowisko, obrzucić pomówieniami i plotkami. Efekt łatwy do przewidzenia – towarzystwo rozbite. Najpierw miał być zwolniony Witek Marczuk – ot, tak po prostu. Ja byłam w zarządzie i nie zgodziłam się. No to dostałam zwolnienie dyscyplinarne. Za mną ujęli się główny księgowy i dyrektor techniczny. Oni też zostali dyscyplinarnie zwolnieni…

Ta operacja nie do końca się udała, bo zaczęliśmy się bronić, poszliśmy na korepetycje z prawa pracy do Leszka Kaczyńskiego i do sądu… Dobrze zostaliśmy przeszkoleni, bo żadnej sprawy nie przegraliśmy, choć przeciwko sobie mieliśmy wykształconych prawników i sąd. Ale towarzystwo i tak zostało poróżnione. Obmowy, podejrzenia i po prostu kłamstwa rzucane w środowisku – to było dla mnie zbyt wiele. W końcówce lat osiemdziesiątych wycofałam się z działania.

Potem te informacje o przygotowywanym porozumieniu, okrągłym stole i niby wolnych wyborach… trudno było uwierzyć, że ten cały wysiłek i walka mogą zakończyć się czymś takim, że można z takim cynizmem oszukać i wykorzystać ludzi, że można zniszczyć nadzieję i jeszcze mieć usta pełne haseł „Solidarności". A najgorsze jest to, że znalazło się tylu chętnych do głosowania na tych uwłaszczonych komunistów.

Nie żałuję niczego ze swojej drogi życia, w sumie to był trudny, ale piękny i dobry czas, gdy w prosty sposób można było określić dobro i zło, kiedy honor i lojalność były wartością niepodważalną, a ludzie potrafili poświęcać swój czas, zdrowie, a często i życie dla dobra wspólnego, jakim była niepodległość Polski. Pozostały przyjaźnie i pamięć o tym, że takie sprawy jak „Solidarność" są możliwe…

Jadwiga Skąpska

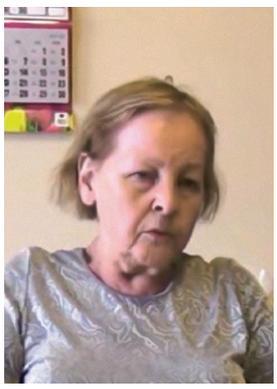

pracowała w Fabryce Aparatury Mleczarskiej w Pruszczu Gdańskim, w dziale kadr. Od sierpnia 1980 działaczka „Solidarność", gdzie pełniła funkcję sekretarza. Czynnie wspierała strajki.

Tamte czasy nie należały do łatwych i przyjemnych, a żyć było trzeba. Żyliśmy więc pomagając sobie na tyle, ile każdy mógł i potrafił. I to była prawdziwa solidarność. Taka zwykła, ludzka i bezwarunkowa solidarność. Naprawdę czuło się, że nasz związek jest naprawdę nasz, że jesteśmy armią ludzi, którzy sobie wzajemnie ufają i wspólnie działają dla ojczyzny.

Do Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych „Solidarność" wstąpiłam w 1980 roku, w momencie, gdy tylko zaczęły się one tworzyć i pełniłam w nich funkcję sekretarza. Pracowałam w Fabryce Aparatury Mleczarskiej w Pruszczu Gdańskim i kiedy zaczęły się strajki wydawało mi się, że tam Gdańsku, był wielki świat, gdzie dzieje się wielka polityka, że oni mają łatwiej... Tak myślałam. A przecież to wszystko dotyczyło i nas, i my również byliśmy niezwykle ważną częścią tych wydarzeń.

Podczas strajków w 1980 roku pomagałam na różne sposoby. Dostarczałam ryzy białego papieru na ulotki. Woziłam ten papier też do WPS-u. Dostarczało się ten papier do dziewczyny o pseudonimie „Zośka".

Wcześniej, kiedy byłam już w związkach, chodziłam na halę fabryczną, bo musiałam pilnować listy obecności i obserwowałam, czy aby komu nie dzieje się krzywda i tak dalej. A w czasie, kiedy odbywały się u nas strajki, szybko brałam się do pracy i sprawdzałam kogo nie ma, by osłaniać nieobecnych. Mogłam to robić, bo pracowałam w kadrach, więc natychmiast wystawiałam takim osobom delegację. Często najeżdżała nas milicja i w pierwszej kolejności prosiła o listę obecności, bo najważniejsze było, żeby sprawdzić, kto jest, a kogo nie ma.

– W tej chwili go nie ma. Przepraszam bardzo, jest w delegacji – mówiłam w takich sytuacjach.

Bywało i tak, że trzymałam już ten druczek delegacji przy sobie i szybko go wypisywałam.

– Weź szybko coś zrób, bo już milicja przyjechała i dopytują się o niego – proszono mnie.

No to ja szybciutko wypisywałam, walnęłam pieczątkę dyrektora, żeby potwierdzić, potem swoją pieczątkę i tłumaczyłam kontrolującym, że pracownik jest w delegacji skierowany przez zakład, na przykład do napraw czy przeglądów. Podobnie reagowałam, kiedy ludzie gromadzili się i jak coś się działo. Czasy przecież były niespokojne i ludzie chcieli dochodzić swoich praw. Często przerywali pracę i gromadzili się, by debatować, dyskutować, wypracować postulaty, które potem trafiały do dyrekcji zakładu.

Oprócz tych delegacji przepisywałam różne rzeczy na maszynie i jak coś było potrzebne, to ludzie przychodzili do mnie. Trzeba przyznać, że „papier" zawsze był bardzo przydatny, ale zdobyć było go ciężko. W naszej fabryce ludzie wiedzieli, że mogą na mnie liczyć. Nie tylko w przypadku wypisania delegacji, czy zamaskowania nieobecnych.

Krótki okres legalnej Solidarności to czas, w którym u nas w Pruszczu, załatwiało się przede wszystkim ludzkie sprawy. Premie, dodatki, regulacje płac, pomoc w uzyskaniu mieszkania, paczki na święta dla dzieci, wczasy, i tak dalej. Zwykła związkowa robota w przedsiębiorstwie państwowym. Trwało to do ogłoszenia stanu wojennego, a potem jak wiadomo legalna działalność „Solidarności" została zakazana, a wielu działaczy trafiło do więzień.

Trójmiasto już w Grudniu 1970 roku zostało naznaczone krwią i śmiercią. I nie da się o tym zapomnieć. W stanie wojennym też obawialiśmy się najgorszego. Przecież ofiary śmiertelne były również i w tym czasie. Aresztowani nie wiedzieli gdzie ich wywiozą, a do tego na początku stanu wojennego krążyły plotki, że internowanych wysyłają na Syberię. Przecież wszyscy wiedzieli, że ruskie wojska stały za granicą. A ile ich przecież stacjonowało jeszcze w Polsce?

Wspomnienia z początków stanu wojennego w moim zakładzie mam bardzo przykre. Zakład funkcjonował w zasadzie normalnie, jeśli za normalność przyjmiemy, że nie został zamknięty i ludzie przyszli do pracy. Przy czym określenie normalność w tamtym okresie jest dalekie od normalności takiej zwykłej, codziennej. Stan wojenny to był szok dla wszystkich. Zarówno dla nas – ludzi „Solidarności", jak i dla „nich", tych, którzy nie akceptowali niezależnego związku. Tak naprawdę nikt nie wiedział co będzie dalej, jak to wszystko się potoczy. Spodziewaliśmy się nawet wojny domowej.

W pierwszych dniach stanu wojennego ludzie zbierali się w grupki, rozmawiali na hali. Dyskutowali, opowiadali o swoich odczuciach. Mówiono o internowanych i potrzebie pomocy ich rodzinom. Przy tym jednak niektórzy ludzie byli paskudni. Chodzili, dogadywali, próbowali bagatelizować stan wojenny, naśmiewali się z internowanych i ukrywających się, a nawet donosili. I bardzo bolało, że wśród podobno zżytej załogi znaleźli się konfidenci, którzy za swoje donosy oczekiwali nagród i gratyfikacji. Być może byli i tacy, którzy donosili z przekonania. Wcześniej nie ujawniali się, ale po wprowadzeniu stanu wojennego nadstawiali uszu, by potem poinformować odpowiednie służby i donieść na kolegów z pracy. To było obrzydliwe.

Mimo wszystko tworzyły się grupki, bo ludzie chcieli się zorganizować. Chcieli wiedzieć, co dzieje się w Trójmieście i w całej Polsce. Narodziny „Solidarności" zmieniły naszą mentalność i przestaliśmy się bać. Albo inaczej – nasz strach, jeśli występował, to był pokonywany nadzieją i solidarnością, tą zwykłą,

ludzką. Dla mnie w stanie wojennym porzekadło, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie, nabrało nowego wymiaru.

Bardzo ważne w tamtym czasie dla mnie i mojej rodziny było uczestnictwo w mszach w Kościele św. Brygidy. Staraliśmy się nie opuścić żadnej mszy i tak układaliśmy sobie niedziele, by zawsze być w „Brygidzie". Jeśli msze były zapowiadane okazjonalnie, to też robiliśmy wszystko, by w nich uczestniczyć. Byliśmy nawet, jak odbywały się strajki w Gdańsku. Wiele uroczystości w Kościele św. Brygidy kończyło się demonstracjami na ulicach Gdańska. Czasami też trzeba było uciekać, bo zomowcy pałowali, lali wodą, rzucali petardy z gazem. Zdarzało się tak, że trzeba było wracać w pośpiechu do kościoła, choć i tam czasami zomowcy wrzucali petardy. Człowiek uciekał gdzie mógł, gdzieś tan wpadał, chował się i informował innych uciekających, by oni nie zostali zaatakowani lub zatrzymani. Bywało ciężko. W kościele zawsze można było schować się i w ciszy pomodlić. „Brygida" to była taka opoka, miejsce gdzie ludzie Solidarności czuli się jak u siebie. Choć na zewnątrz trwały gonitwy i walki z ZOMO, to w kościele panowała powaga i ludzie czuli się bezpiecznie.

Chodziliśmy też na manifestacje organizowane po mszach, no ale wtedy gonili nas strasznie. Na tych Mszach za Ojczyznę zawsze czuło się podniosłość. Kościół przeważnie był pełny. Ludzie w powadze i ciszy słuchali kazania, a jak zaczynało się śpiewanie „Boże coś Polskę", to wszystkie ręce szły w górę ze znakiem Viktorii. To podnosiło na duchu. Wiedzieliśmy, że przecież komuna nie będzie trwać wiecznie. Sierpień '80 pokazał, że Polacy potrafią pokonać władzę. Do tego był z nami Ojciec Święty Jan Paweł II. To Jego słowa obudziły w nas potrzebę walki o wolną Polskę i godne życie.

W „Brygidzie" działy się różne rzeczy. Były msze, nieraz spotkania, na które przychodzili działacze, gdzie omawiano wspólnie różne, ważne rzeczy. Każdy mógł się wypowiedzieć, podzielić swoimi spostrzeżeniami i pomysłami. To była taka wolna, nieskrępowana przestrzeń, choć za murami świątyni szalało ZOMO i krążyli esbecy. W „Brygidzie" rodziła się nadzieja. Ludzie wymieniali się informacjami. Rodziły się przyjaźnie. Podziemniacy nawiązywali kontakty. Można było zaopatrzyć się w odpowiedni znaczek Solidarności, dostać najnowszą bibułę i kupić książki drugiego obiegu.

Zawsze bałam się o męża, bo on „dyskutował" może trochę więcej i był bardziej zaangażowany w działania. Ale ja zawsze byłam z nim! Miałam świadomość, że działa w podziemiu, że robi coś, za co komuniści mogą posadzić go w więzieniu. Nieraz musiał się ukrywać. Nie wracał do domu, bo było już bardzo gorąco. Szedł nocować do jakichś znajomych, bo w domu mogli po niego przyjść. A tak to go nie ma i nie wiem, gdzie jest. Wiedziałam, że to, co robi, jest niezmiernie ważne. Że takich jak on jest wielu i to właśnie im dziś zawdzięczamy wolną Polskę. Mimo to, wiele osób nadal tego nie rozumie, bo nie wie, albo nie chce wiedzieć. Ludzie podziemia cały czas narażali się ze świadomością, że ich działalność może skończyć się nawet śmiercią. Działali jednak, bo stawka była najwyższa. Stawką była Wolna Polska! Dlatego, choć drżałam ze strachu, to nie krytykowałam działań męża. Rozumiałam, dlaczego to robi.

Cały czas słyszało się, że ten czy tamten został aresztowany. Ja również bałam się, że w końcu nadejdzie ta chwila, w której złapią mojego męża i być

może nie będę go widzieć przez lata. Tak się wtedy myślało, bo komuniści potrafili karać srogo. To było straszne. Ten wielki lęk. Nie chodziło o to, żeby go wzięli, bo gdyby wzięli, to by wzięli. Bałam się, że mogą go tam pałować i bić, a potem zostawić na pastwę losu. A wiadomo, co się dzieje z takim człowiekiem... Przeżyć to – to było coś strasznego. Jak sobie to przypomnę, to wciąż lecą mi łzy. Okropne. To wszystko było okropne.

A w 2000 roku zlikwidowano nasz zakład. Musiałam wtedy wszystko pozałatwiać i powystawiać świadectwa wszystkim pracownikom, bo pracowałam na stanowisku kierownika kadr...

Małgorzata Sokołowska

dziennikarka, autorka książek o Gdyni. Córka opozycjonistki Wiesławy Kwiatkowskiej. Uhonorowana Nagrodą Artystyczną Prezydent Gdyni GALION oraz Medalem im. Eugeniusza Kwiatkowskiego.

Rok 1980 zawodowo to był chyba najszczęśliwszym czasem w moim życiu, bo dostałam się na staż do tygodnika ogólnopolskiego „Czas". Byłam świeżo po studiach, przez chwilę pracowałam w biurze i to był dla mnie dramat. Gdy przyjęli mnie do „Czasu", fruwałam po schodach z radości. Przeszczęśliwa brnęłam w śniegu po wsiach, po Gminnych Ośrodkach Kultury. A potem był Sierpień. Dla nas wszystkich było to coś pięknego, dlatego że prawie wszyscy z redakcji „Czasu" natychmiast całe serce oddali sprawie. Większość oddała legitymacje partyjne. Jedni w sierpniu, inni – myślę, że ci odważniejsi – w dniu wprowadzenia stanu wojennego. Pisaliśmy i pisaliśmy. Cenzura wtedy chwilowo zelżała.

Sam Sierpień '80 zaczął się dla mnie banalnie. Byłam u koleżanki w śródmieściu i musiałam od niej wrócić do domu na Witominie. Czekałam i czekałam na autobus, ale go nie było. W końcu ktoś powiedział, że dzisiaj nic nie przyjedzie, więc pomaszerowałam na piechotę. To był jedyny raz, kiedy szłam. Od następnego dnia każdy jadący samochód, jeśli tylko miał choć jedno wolne miejsce, stawał i ludzie się nawzajem podwozili. To było wspaniałe i budujące. Mój mąż był lekarzem i pracował wtedy w przychodni na Obłużu, więc wysyłali po niego karetkę z przychodni. Jechali tą karetką, zobaczyli, że idzie pani z dzieckiem. Zatrzymali się i powiedzieli: „Proszę bardzo, podwieziemy panią". A ona mówi: „Serdecznie dziękuję. To jest czwarty samochód, który się zatrzymuje, a ja wyszłam na spacer z dzieckiem". To było naprawdę niesamowite. Pamiętam to jak zdjęcie.

Nie siedziałam w stoczni, czułam jednak, że uczestniczę w czymś niesamowitym. Było to niezmiernie ważne i potrzebne Polsce, potrzebne nam wszystkim. Kibicowałam strajkującym całym sercem, ale byłam w dziale kulturalnym, w związku z tym… Tylko tym się żyło. Nie tylko w pracy, ale i w domu. Pod skórą był strach. Przecież od Grudnia '70 mijało dopiero dziesięć lat. Wielu zastanawiało się wejdą czy nie wejdą?

Obsługiwałam wtedy prasowo festiwal piosenki w Sopocie. Cenzura zabroniła śpiewać Izabeli Trojanowskiej „Podaj cegłę, podaj cegłę, zbudujemy

nowy dom…". Przyjechało mnóstwo dziennikarzy muzycznych z całej Polski. Byli niezwykle ciekawi, więc byłam przez nich bez przerwy przesłuchiwana: Co to się będzie działo? I ciągle pytali: wejdą czy nie wejdą?

Redakcja nie opublikowała mojego artykułu o festiwalu, który wcale nie był zły. Uznali, że to nie czas i nie pora, żeby pisać o festiwalu. Zapłacili mi, a ja się z tym absolutnie zgodziłam, choć napracowałam się bardzo. Tydzień

Gdy strajk zakończył się, z jednej strony była wielka radość, ale z drugiej strony już zaczynał być niepokój. Wszyscy fascynowaliśmy się Wałęsą, ale coś tam ciągle nie grało, ciągle pojawiały się fałszywe nuty.

A dookoła ta potworna propaganda. Byliśmy niesamowicie atakowani przez telewizję. Bez przerwy mówiono o tym, do czego to „Solidarność" doprowadziła. W sklepach nic nie ma. Dlaczego? Bo „Solidarność". Na „Solidarność" wylewano kubły pomyj. Trudno było trzymać prosto głowę, kiedy było się atakowanym ze wszystkich stron. W rodzinach ludzie zaczęli się dzielić, to było bardzo trudne.

W tym wszystkim od początku była moja mama, Wiesława Kwiatkowska. Wielokrotnie rozmawiałyśmy o tym, co się dzieje. Wypracowałyśmy taki sposób relacji, w których mama nie zakazywała mi ani nie namawiała. Decyzje zawsze leżały po mojej stroni. Ale czułyśmy podobnie. Dla nas to było strasznie ważne, bo Sierpień pozwolił odczuć Grudzień. Uczestniczyłam w tym. Moja mama była pierwszą osobą, która zaczęła spisywać relacje i spotykać się z ludźmi, którzy zostali ranni lub skatowani podczas Grudnia '70. W Międzyzakładowym Komitecie Założycielskim NSZZ „Solidarność" we Wrzeszczu powstała sekcja historyczna, w której mama pracowała. Kierownikiem był Janusz Krupski, który zginął w katastrofie smoleńskiej. Pamiętam, jak mama zaprosiła Adama Gotnera, który 17 grudnia 1970 r. dostał sześć kul. To było niesamowite. Pamiętam to spotkanie jak zdjęcie… To jest pamięć błyskowa: człowiek zapytany o traumatyczne zdarzenie, poda każdy szczegół. Pamiętam jak Adam Gotner opowiadał i w pewnym momencie nie wytrzymał, popłakał się. To było cos w rodzaju spowiedzi, wyrzucenia z siebie tak długo skrywanych emocji i strasznych krzywd. Ludzie dokładnie pamiętali wszystko ze szczegółami.

Mój Sierpień bardzo się łączy z Grudniem poprzez to, że ludzie wreszcie zaczęli mówić, opowiadać, wyrzucać z siebie to wszystko, co tłamsili przez te dziesięć lat. Skończyło się tym, że moją mamę aresztowali. To jest dla mnie Sierpień. Wiele osób żyło tworzeniem Związku Zawodowego, a myśmy z mamą żyły Grudniem '70. Prof. Jerzy Eisler mówił, że nikt nie zrobił tyle dla Grudnia w Gdyni, co Wiesia Kwiatkowska, dlatego że „wyciągała" z nich zeznania. Była jedyną osobą, której opowiedział Wiesław Kasprzycki jak został strasznie skatowany w podziemiach Miejskiej Rady Narodowej.

Dołączam się do twierdzenia, że takiego Sierpnia '80 w Gdyni nie byłoby, gdyby nie Grudzień '70. Stąd ta międzyludzka solidarność. I ulga, że robotnicy nie wyszli zna ulicę. Dlatego tyle osób przychodziło pod bramy stoczni. Ja nie chodziłam. Przez cały czas jeździłam głównie do Gdańska do redakcji – tam było co robić. Kolegom nie wchodziłam im w paradę, bo to nie o to chodziło.

Po sierpniu poczuliśmy chwilową odwilż. Nie blokowano pisania o trudnych sprawach. Był to czas dla odważnych. I choć przecież dalej działały służ-

by PRLu, wielu dziennikarzy bało się jakby mniej. Również i ja poczułam tę odwilż. „Czas" to był ceniony tygodnik, więc zgłaszano się do nas z bardzo trudnymi tematami. W tej chwili, z dzisiejszego punktu widzenia, to nie była żadna odwaga, ale wtedy odwaga było pisać o niegospodarności, pokazywać zanieczyszczenie Zatoki Gdańskiej. Zakaz kąpieli wprowadzono dopiero po sierpniu, choć już od kilku lat byłą rynsztokiem. Do dzisiaj wykorzystuję zdjęcia z „Czasu" z tabliczkami „Zakaz kąpieli i wchodzenia na piasek". Nie było oczyszczalni ścieków, wszystko szło prosto do Zatoki na odległość dwóch kilometrów – i o tym wreszcie można było mówić, pisać, robić rozmowy.

Sytuacja gospodarcza stale się pogarszała. Moim zdaniem było to robione absolutnie celowo. Pamiętam, że siedziałam przy oknie z widokiem na sklep spożywczy, pisałam jakiś artykuł do „Czasu", dzieciaki biegały po podwórku… Cały czas mam maszynę, na której wtedy pisałam. Jakie komputery? Kto tu słyszał wtedy o komputerach? Dzieciaki krzyknęły: „Masło przywieźli". Rzucało się robotę i pędziło się do kolejki.

Świeżo po ślubie wzięliśmy z mężem kredyt dla młodych małżeństw. Można było kupić meble tylko takie, jakie akurat były, a nie jakich się szukało. Więc w sklepie handlowało się z innymi, którzy nie mieli tego kredytu. Odbywało się to w taki sposób, że oni na przykład kupili nam stolik, a my im na kredyt co innego. Oni chcieli fotele, a myśmy chcieli regał, więc wymienialiśmy się cichaczem w sklepie. Kombinacje dookoła.

Po Sierpniu niepokój cały czas narasta, bardzo podsycany przez propagandę, której przewodził Jerzy Urban, a sytuację rozładowywały chyba tylko dowcipy. Gdy Urban ogłosił w czasie swej telewizyjnej konferencji prasowej, że Polska wysyła śpiwory dla bezdomnych w Nowym Jorku, od razu pojawił się dowcip-ogłoszenie: „Zamienię apartament w Warszawie na śpiwór w Nowym Jorku". Po wydarzeniach bydgoskich: „Syna zomowca zamienię na córkę. Może być kurwa". Kocham te dowcipy. To było rozładowujące. Albo taki: „Czy jest ser pełnotłusty? Pełnotłusty w PRL jest tylko premier!". Myśmy się jednocześnie bawili… Pietrzak swoim kabaretem dodawał nam sił i przede wszystkim rozśmieszał komentują bieżącą sytuację. Kultura w tamtym okresie wyglądała bardzo ciekawie! Zostałam wysłana przez redakcję na wystawę rysunków dziecięcych, która była w jakiejś gdańskiej galerii. Autorami były dzieci z Trójmiasta, z pierwszych klas podstawówki. To było bardzo ciekawe i poruszające, bo na tych rysunkach był Janek Wiśniewski niesiony na drzwiach, strajk w stoczni… Mam gdzieś nawet zdjęcia z tej wystawy, były publikowane w „Czasie".

W tamtym okresie bardzo ożywiła się kultura niezależna. Ludzie poznali bardów „Solidarności". Kaczmarski, Gintrowski, Pietrzyk, Cholewa… Kasety z ich utworami krążyły między ludźmi. Tego po prostu słuchała się non stop. Wiersze były przepisywane i podawane dalej. Uczyliśmy się ich na pamięć. Piosenki „Boże nasz, jak ten strajk…", „Nie mam teraz czasu dla ciebie", „Żeby Polska była Polską" śpiewał cały kraj, a „Janek Wiśniewski padł" przez „Człowieka z żelaza" nabrał jakby nowego wymiaru. Mimo tego, że do produkcji Andrzeja Wajdy można mieć wiele uwag. W filmie jest ocenzurowana wersja i są tory tramwajowe na ulicy Świętojańskiej. To była arogancja, lekceważenie szczegółów. Tak nie wolno… Gdynia i tory tramwajowe… Tu nigdy tramwaj nie przeje-

chał… Do Wajdy mam dużo zastrzeżeń. Nigdy nie wybaczyłam mu filmu „Lotna". Jest tam scena, w której ułan pędzi na koniu i szabelką tnie lufę czołgu. Moja mama zwróciła mi na to uwagę, kiedy jeszcze byłam dzieckiem. Jak Wajda mógł to zrobić?

Gdynia ma wielki swój udział w kreowaniu kultury pozaoficjalnej. „Kolęda Nocka" to było wydarzenie, nie można było dostać biletów, żeby na to pójść. Pamiętam, że zostałam wysłana do Warszawy, żeby zrobić dwugłos o teatrze: Hanuszkiewicz-Holoubek. To było wiosną 1981 roku, jeszcze przed stanem wojennym. Obaj byli dość mocno zaangażowani po stronie „Solidarności", zwłaszcza Holoubek. Z nim rozmowa była bardzo przyjemna. Starał się być pomocny, a ja, stażystka, cala dygotałam. Przed taką osobą należało prawie przyklęknąć, a nie rozmawiać (śmiech). To było bardzo ciekawe. On przecież też był zaangażowany w działalność polityczną. Natomiast Hanuszkiewicz na samym wejściu mnie ochrzanił, że takie ważne rzeczy dzieją się w kraju, a ja przychodzę o teatrze rozmawiać. Wtedy przestałam się bać i dygotać. Powiedziałam, że kultura jest tak samo ważna jak cała polityka, nawet czasami ważniejsza. Pamiętam ostatnią sztukę w Teatrze Miejskim, który jeszcze wtedy nazywał się chyba Dramatyczny. Dyrektorem lub kierownikiem literackim był mój kolega ze studiów – Krzysiu Wójcicki. Nie pamiętam tytułu – to była taka dawna, fantastyczna komedia, bardzo pięknie nawiązująca do ówczesnej sytuacji. Wybawiliśmy się fantastycznie. Wróciłam do domu i… rano był stan wojenny.

Byłam chyba w środku przygotowana, że coś takiego się stanie. Coś podświadomie mówiło mi, że władza nie odpuści. Cały czas się tego bałam, ale mam taki charakter, że staram nie przejmować rzeczami, na które nie mam wpływu, więc nie martwię się na zapas. Czasami byłam sparaliżowana ze strachu, jak rzucała się ta propaganda. Albo podczas oglądania się „Dziennika Telewizyjnego", który zawsze kończył się hymnem. Porażał i przerażał. Ale ja cały czas byłam dobrej myśli, że tym razem na pewno nam się uda.

Nie bałam się również o mamę. Wykonywała trudne działania, ale to była przecież sekcja historyczna, zajmowała się zbieranie relacji. Chodziła nawet na rozmowę do dowódcy marynarki wojennej adm. Janczyszyna. Cały czas mówiło się, że tylko milicja strzelałą w grudniu 1970, a przecież wojsko i marynarka wojenna też mają swoją czarną kartę z 1970 roku. Jeździła wszędzie, wdzierała się do najróżniejszych archiwów. Była zawsze bardzo przebojową osobą. Nie bałam się, bo robiła taką ważną rzecz. Niby komuna też uznała, że to rzeczywiście były błędy i wypaczenia. A że będą się potem mścić? To mi nie przyszło wtedy do głowy. Może byłam jeszcze za głupia.

Dlaczego mówię o tej pamięci błyskowej? Czytałam taką książkę „Trening mózgu" na temat działania mózgu autorstwa Larry'ego McCleary. To książka o tym, jak pracuje mózg, jak go ćwiczyć, trenować, żeby nie zgłupieć na stare lata. W całej tej grubej książce jest jeden przykład odnoszący się do historii. Jest napisane: „Jeśli jesteś Polakiem i w momencie wprowadzenia stanu wojennego byłeś w Polsce, zapytany o to, co się wtedy wydarzyło, opowiesz ze szczegółami. Będziesz pamiętał kolory, zapach, wszystko – to jest pamięć błyskowa". Poraziło mnie to.

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 mój mąż miał dyżur w szpitalu, a ja siedziałam sama w domu i nie wiedziałam nawet, że telefony wyłączyli. Nie miałam potrzeby dzwonić do nikogo o północy. Nie oglądałam telewizji, czytałam sobie. Rano przyszedł mąż i zapytał, czy wiem, co się stało. Akurat wtedy odkurzałam i pamiętam pomarańczową wykładzinę. Nienawidzę od tamtego dnia pomarańczowego koloru, a odkurzacz i wykładzina były pomarańczowe, i dowiaduję się czegoś takiego. Telefon nie działa, więc jadę, zaczęłam stukać. Mamy nie ma. Mieszkała w Chyloni, ja na Witominie. Wiedziałam, że są aresztowania, ale nie wiedziałam, czy aresztowali mamę. Ona była bardzo ruchliwą osobą. Mogła gdzieś się ukryć, zamelinować. Ale też mogła być u znajomych. Dziś wiem, że była już aresztowana.

W końcu dostałam zawiadomienie z prokuratury. To było już po świętach. Do tamtej pory jeździłam, pytałam, szukałam, nic nie wiedziałam. Po świętach dostałam karteczkę z prokuratury i wtedy natychmiast rzuciliśmy się do działania. Najpierw pytałam moich kolegów z redakcji, kto ma dojścia do więzienia na Kurkowej, bo przecież mama potrzebowała krem do twarzy i papierosy. Bez kremu i papierosów się nie da – kobieta bez kremu nie egzystuje. Mój kolega Tadeusz Woźniak przypomniał sobie, że kiedyś robił wywiad z kimś z więziennictwa i pognał do tego człowieka, który był już na emeryturze. Ściągnął go do siebie do domu, zjedliśmy kolację, wypiliśmy wódkę. Miałam przygotowaną paczkę, on to wziął. Zanim oficjalnie mogłam wystąpić o zgodę o widzenie i na tzw. wypiskę, czyli karteczkę, co może być w paczce. Dla mamy to było bardzo ważne, bo nagle ktoś przychodzi z paczuszką. Wiedziała już, że my wiemy i działamy.

Jak wspominam stan wojenny, to przypomina mi się taka historia z Grudnia '70. Wtedy żyliśmy w zupełnie innej rzeczywistości niż teraz. Co innego mówiło się oficjalnie, a co innego w domu. U mnie w domu zawsze słuchało się Radia Wolna Europa, natomiast wiedziałam, że na zewnątrz nie można. Pamiętam, jak krótko po Grudniu 1970 roku wychodzę po bułki i na ścianie szczytowej jednego z bloków w Chyloni jest napis „MO Mordercy" taką turkusową farbą. Wracam do domu i widzę, że na klamce jest taki niebieski kolor. Od razu wiedziałam. Szybko zdrapałam tę farbę, którą tam zobaczyłam i nic nie mówiłam mamie. Mama nic nie mówiła, ale wiedziałam, kto to zrobił.

Po wprowadzeniu stanu wojennego, mając świadomość, co się dzieje i jaka jest skala internowań i aresztowań, na początku nie bałam się o mamę, przecież nie robiła nic złego. Również nie dopuszczałam myśli, że to może się źle skończyć, że mogą być jakieś straszne wyroki albo jeszcze coś gorszego. Skupialiśmy się na tym, żeby działać.

Dziennikarzom zrobili weryfikację. Byliśmy po kolei wzywani do pokoju, w którym siedziało trzech facetów i nas wypytywali. Mnie spytali na przykład, czy pochwalam wprowadzenie stanu wojennego. Od razu wyleciałam z hukiem. Rozwiązali nam całą redakcję po tej weryfikacji. Tadeusz Woźniak i jego żona Marzena oboje wywaleni z roboty, zostali bez środków do życia, a przecież mieli dziecko. Ja miałam męża, który pracował, więc to zwolnienie mnie aż tak nie bolało. Zaraz potem okazało się, że jestem w ciąży. Jeździłam od wię-

zienia do więzienia z paczkami, na widzenia z mamą w coraz bardziej zaawansowanej ciąży. To było naprawdę trudne.

Pamiętam taki moment. Stoimy przy sądzie Marynarki Wojennej na Kamiennej Górze i czekamy na proces m.in. mojej mamy Wiesi Kwiatkowskiej, Ewy Kubasiewicz, jej syna Marka Czachora i jego kolegów. Jest 2 lutego, ja z mężem, obok grupka studentów z politechniki, sporo osób. Obok nas trochę zomowców i ich dowódca, który był tak rozsierdzony, że o mało nie eksplodował. Pamiętam, że zanim wpuścili mnie do środka, przechodził ulicą wysoki, bardzo przystojny chłopak w wysokich butach z jasnej skóry. Zaraz do niego wrócę. Wpuścili mnie do sądu na rozprawę, mój mąż szedł za mną, ale jego już nie wpuścili. Nie wiedziałam, co się z nim stało. Potem się okazało, że od razu wzięli go za kołnierz i wsadzili do suki pod zarzutem usiłowania wpływania siłą na sąd, zamieszki pod sądem i tak dalej. Z tych wszystkich studentów, którzy tam stali, wpuścili tylko po jednej osobie z rodziny, a całą resztę zapakowali do ciężarówki i wywieźli. Potem, jak już wyciągnęłam męża z więzienia następnego dnia, pytałam go, czy zwinęli też tego chłopaka. Powiedział, że tak. Że jechali, zatrzymali się przy nim, wzięli za łeb i też go wrzucili, chociaż szedł koło sądu i nawet nie zerknął w bok. Po prostu ładny chłopak w zagranicznych butach (śmiech). Mąż mi opowiadał, że gdy jechali, studenci pukali do szoferki i mówili „Herr Obersturmbannführer, czuć gaz!". A w areszcie na Starowiejskiej, gdzie wsadzili mojego męża „za próbę wywierania nacisku na sąd", za klawiszy robiła drogówka. On znał milicjantów drogówki, bo pracował na izbie przyjęć w szpitalu, a oni tam często przywozili różnych ludzi, w związku z czym znali się z widzenia. Pytali: „Panie doktorze, co pan tutaj robi?". Posadzili i go w celi z jakimś złodziejem samochodów. Jeden z tych milicjantów, który robił za klawisza – chociaż było już dawno po obiedzie – przyniósł mężowi miskę zupy ogórkowej. Do dzisiaj pamięta, że to była ogórkowa. Miał tak skręcony żołądek, że nie miał ochoty jeść. A ten złodziej mówi: „Co tu się porobiło, że osobno zupę przynoszą?". Zjadł tę zupę, bo mąż nie chciał.

Na rozprawę mamy szłam przekonana, że nie obejdzie się bez odsiadki. Jak to się wtedy mówiło: „wszyscy porządni ludzie siedzą albą będą siedzieć"! Wiedziałam, jaki jest akt oskarżenia. Ciekawe było obserwowanie sędziego, który był kompletnie niezainteresowany tym, co mówią adwokaci. Po prostu sobie siedział. Tak jakby wiedział, jaki jest wyrok, zanim on w ogóle zapadł. Muszę powiedzieć, że to się później potwierdziło. Sędzia nazywał się Andrzej Grzybowski. Prokurator żądał trzy i pół roku, a on dał mamie pięć. W 1990 roku chciał się spotkać z moją mamą. Mama go wtedy zapytała, kto mu kazał skazać ją na pięć lat. Powiedziała, że nie wierzy, że sam to wymyślił. Odrzekł, że Janczyszyn, z którym mama robiła wywiad dotyczący roli marynarki wojennej w Grudniu 1970 roku.

I wyrok zapadł. Mama została osadzona. A nasze życie wyglądało tak, że latało się najpierw, by zapewnić sobie odpowiednią ilość widzeń, żeby były wypiski. A w sklepach nic nie ma. Papierosy były bardzo trudne do zdobycia – tylko na kartki i to jeszcze jakie straszne! Ale jak człowiek mieszka w jednym mieście, to wszystkich zna. Wystarczyło, że ogłosiłam wśród znajomych, że potrzebuję papierosów. Proszę bardzo.

Ja nie znałam wielu osób z podziemia, nie byłam tak zaangażowana. Potem pomyślałam o tym, że mama chyba trochę mnie chroniła. Spotykałam się na przykład z rodzinami osadzonych. Bo jeżeli ktoś miał przepustkę i mógł jechać, kontaktował się ze wszystkimi i pytał co komu zabrać. Lataliśmy do Warszawy na spotkania z adwokatami. To było też ciekawe, bo nie było taksówek. Taksówkarz sam sobie wybierał trasę, którą pojedzie. Nie można było zadzwonić po taksówkę, co dzisiaj może wydać się przedziwne. Z Witomina musiałam iść na piechotę na dworzec, żeby pojechać do Warszawy i spotkać się z adwokatem. Mieliśmy tam jakiegoś konsula amerykańskiego. Próbowaliśmy spiskować, szpiegować, ale to było naiwne. No i oczywiście jeszcze spotkania środowiska dziennikarskiego u dominikanów w Gdańsku. Wymienialiśmy się tam doświadczeniami, wymyślaliśmy, co możemy robić, jak możemy sobie wzajemnie pomagać. Kiedy dostawało się zakaz pracy z RSW (jak prawie my wszyscy z „Czasu"), właściwie dostawało się zakaz pracy jako dziennikarz. Ponieważ byłam w ciąży okazało się, że muszą cofnąć wywalenie mnie z pracy, ale zdegradowali do korekty. Pamiętam, że miałam przyjechać rano 4 maja by czytać i sprawdzać błędy w artykułach do „Wieczoru Wybrzeża", który ukazywał się wtedy po południu. Siedziałam i cały czas zalewałam się łzami od gazu łzawiącego jeszcze z 3 maja i czytałam o tym, że było bardzo spokojnie, nic się nie działo. Od tego można było zwariować, więc poszłam na zwolnienie. Potem już się więcej nie pokazywałam w żadnym RSW. Później pracowałam w Spółdzielni Autorów i Ilustratorów, a w 1989 roku był „Tygodnik Gdański". Moi byli szefowie zadzwonili, że wracamy i działamy. Znowu wróciło trochę szczęścia.

W naszym życiu ważną rolę odgrywał Karol Wojtyła. Został wybrany na papieża dzień przed moimi imieninami. Miałam ukochaną babcię, która była prostą osobą, ale bardzo interesującą się wszystkim. Słuchała wszystkich możliwych rozgłośni i była na bieżąco ze wszystkim. Mieszkała w Kolibkach, ale w tej części, gdzie były ogródki. Była bardzo przedsiębiorczą osobą i ciągle coś musiała robić. Tam dość często przychodził zięć mojej babci, u którego wtedy z mężem mieszkaliśmy świeżo po ślubie. 16 października oglądaliśmy „Dziennik Telewizyjny", w którym po raz pierwszy poinformowano, że Karol Wojtyła został papieżem. Pięć minut później przyszedł wujek. Żeby dostać się z Kolibek na Kamienną Górę, potrzebne było pół godziny albo dłużej. Pytamy: „Wujku, słyszałeś, że Karol Wojtyła został papieżem?". „Tak". „A od kogo?". „Od babci" (śmiech). Potem była Wigilia. Włączyliśmy radio i o północy odezwał się Dzwon Zygmunta. Wcześniej tego nie było. Mam dreszcze, jak to wspominam. Siedzieliśmy całą rodziną, jakieś 20 osób, i to wspólnie przeżywaliśmy. Moja babcia powiedziała pewnego dnia, że dwie wojny przeżyła, ale trzeciej nie przeżyje. Gdy wprowadzili stan wojenny, babcia umarła. Płaczę za każdym razem, kiedy o tym mówię. W stanie wojennym mamę aresztowali, a babcia tego nie przetrwała.

I wreszcie po ośmiu miesiącach Ojciec Święty przybył do rodzinnego kraju. Pamiętam, że oglądałam to na uczelni. Jeździłam wtedy na studia doktoranckie i akurat nie mogłam oglądać w domu. Dla mnie ciekawe było to, że mogliśmy zobaczyć, ile nas jest. Telewizja wprawdzie bardzo się starała, by pokazać cztery stare zakonnice w miejsce tłumów. Ale my, Polacy, zobaczyliśmy, ilu nas jest. Dopiero potem analizowało się słowa. Najpierw się patrzyło

i chłonęło. Dla mnie mocniejsze było, gdy papież przyjechał do Polski w 1983 roku. Jaruzelski wita go na lotnisku, ma karteczkę, czyta i karteczka mu zaczyna drżeć… Tak latał, dygotał cały! To było dla mnie wielkie szczęście patrzeć, że bandyta Jaruzelski się trzęsie.

I nadszedł moment, że Jan Paweł II odwiedził Trójmiasto w czerwcu 1987 roku. To był czas, gdy rzadziej widywałam moją mamę, bo ona była niespokojnym duchem i konspirowała. A ja miałam pięcioletnią córkę, więc byłam trochę wszystkim zajęta, ale oczywiście z samego rana pognałam na spotkanie z papieżem. W najdalszych dzielnicach w mieście nie było okna, które nie byłoby udekorowane. Z mamą się nie spotkałam – bo nie było łatwe ją złapać (śmiech). Okazało się, że ze względów bezpieczeństwa ileś tam osób prewencyjnie aresztowano na trzy dni „dla bezpieczeństwa papieża" i wywieźli do Tczewa. Mamę też. Mało tam nie wybuchła ze wściekłości. Przygotowała wtedy dla papieża informację o historii Gdyni. Dopiero jak robiłam na 30-lecie książkę o spotkaniu z papieżem i przekopałam się przez wszystkie IPN-owskie, UB-eckie, SB-eckie raporty, uderzyło mnie to, że papież był w Gdyni dlatego, że osobiście sobie tego zażyczył. To był duży konflikt. Wtedy jeszcze była diecezja chełmińska i gdańska. Gdynia była w chełmińskiej, a Gdańsk – w gdańskiej. Obaj ordynariusze kombinowali, jak sobie dokuczyć. A z kolei władzom chodziło o to, żeby papież jak najmniej był w miastach. Na mszę w Rębiechowie nie zgodziła się diecezja gdańska, bo Rębiechowo leżało w diecezji chełmińskiej. Mówili, że Gdynia i skwer Kościuszki odpada, bo ludzie powpadają do wody. No to niech będzie w Sopocie na molo… I tak sobie debatowały te dwie diecezje i SB. A papież powiedział, że on sobie życzy być w Gdyni, bo to jest miast zbudowane myślą i pracą Polaków i z szacunku dla Eugeniusza Kwiatkowskiego chce być w Gdyni. I skończyła się dyskusja. Siostra Eugeniusza Kwiatkowskiego była na tej mszy w pierwszym rzędzie. Opowiadała mi pani Marianna, jej synowa. Mam też piękne zdjęcie, jak papież podszedł się przywitać z panią Zofią. Jan Paweł II jeszcze jako arcybiskup krakowski celebrował uroczystości pogrzebowe ministra Kwiatkowskiego na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Msza w naszym mieście odprawiona została na skwerze Kościuszki. Dla Gdyni to było bardzo ważne, dla Kaszubów też. Papież bardzo to podkreślał, cytował Hieronima Derdowskiego. To było naprawdę wielkie, ważne. Pielgrzymka Kaszubów z figurką Matki Boskiej Swarzewskiej – oni chcieli przypłynąć łodziami, ale SB im zabroniła: tylko samochodami. Więc przyszli pieszo. Ruszyli chyba o czwartej rano, kolejne osoby dochodziły z różnych mijanych wsi. I tak Matka Boska Swarzewska stanęła na ołtarzu.

Wtedy poczułam, że papież przybył do nas z misją, że coś nam przekazał ważnego, że Ojciec Święty znowu przyjechał po to, żeby nas do czegoś pociągnąć, żeby w czymś pomóc. Absolutnie jestem o tym przekonana. Znowu mogliśmy się policzyć, pokazać, że nie daliśmy się tak rozgonić tym stanem wojennym, tymi karami, więzieniami. I ofiarami śmiertelnymi. To było coś koszmarnego, ale ja już od sierpnia nie czułam nigdy takiego strachu. I teraz znów do Polski przyleciał z Watykanu nasz Ojciec Święty.

Aż nadszedł rok 1989, wybory. Powstaje „Tygodnik Gdański". Latamy, rozmawiamy z kandydatami na posłów (rozmawiałam m.in. z Jarosławem Ka-

czyńskim w mieszkaniu Lecha w Sopocie). Cieszyłam się i wtedy po raz pierwszy rozjechałyśmy się z moją mamą. Moja mama była absolutnie przeciwna – powiedziała, że to są tylko częściowo wolne wybory. Była zdruzgotana tym, w jakim kierunku Polska idzie po Magdalence i Okrągłym Stole. Ja tego wtedy nie widziałam. Jestem bardzo zła na siebie, że tego nie widziałam. Żebym mogła napisać reportaż uczestniczący, zrobili mnie wiceprzewodniczącą komisji wyborczej w Małym Kacku. Pracowałam od piątej rano, to było bardzo ciekawe doświadczenie, dlatego że kiedy doszło do liczenia, członkowie powiedzieli: „Ale myśmy nigdy nie liczyli. Zawsze ktoś przychodził i podawał". A tu trzeba było liczyć. O 22 zamknęliśmy lokal wyborczy, zaczęliśmy liczyć. Najciekawsza była Karta Krajowa. Mieczysław F. Rakowski był tak wykreślany, że wydrapywano na nim dziurę długopisem. Wiele osób po prostu skreślało cała listę. W związku z tym latali umyślni i mówili, że jeśli kreska nie dosięga do nazwiska, to trzeba policzyć. W ten sposób prof. Adam Zieliński z PZPR przeszedł. Pamiętam przewodniczącego komisji, takiego starego partyjniaka, który, kiedy zobaczył, w jakim kierunku idą głosy, o mało nie eksplodował i nie pobił męża zaufania.

Podsumowując tamten okres myślę, że najpiękniejsza była wzajemna bezinteresowna pomoc w czasie strajków. Jak człowiek był stłamszony, mógł sobie przypomnieć, że nie jesteśmy tacy źli. Nawet jak potem zaczęliśmy sobie skakać do oczu i ze sobą walczyć, to było fantastyczne. A potem straszne było dla mnie więzienie mojej mamy i „turystyka więzienna". Mama była bardzo dzielna, świetnie się trzymała. Ale gdy po procesie przewieźli ją z Kurkowej do Bydgoszczy, do Fordonu, stamtąd do Grudziądza, do ciężkiego więzienia bez kanalizacji – to było okropne. A potem z powrotem do Fordonu, a na koniec była gdzieś za Głogowem. Tam sama chciała, bo to było więzienie półotwarte. Powiedziałam, żeby jechała tam, gdzie będzie jej lepiej, a ja dojadę. Pamiętam jazdę pociągiem, którym chyba wracali żołnierze po przysiędze. Szpilki by się tam nie wcisnęło. I tak się jechało.

Któregoś dnia siedziałyśmy z mamą wieczorem, a ona po prostu się popłakała. Mówiła, że nie po to siedziała, żeby wszyscy tak kradli, jak się nachapywali, żeby była gruba kreska. Rozpaczała. I miała rację, a ja tego na początku nie widziałam. Potem przejrzałam na oczy. Rzadko rozmawiałyśmy na te tematy, bo miałyśmy tyle wspólnych pasji dotyczących Gdyni i historii. Wracając z archiwum, zawsze musiałam skręcić do mamy, żeby – pełna wrażeń – podzielić się jakimiś idiotyzmami, które znajdywałam. Z nikim się tak nigdy nie śmiałam jak z moją mamą.

Joanna Statuch

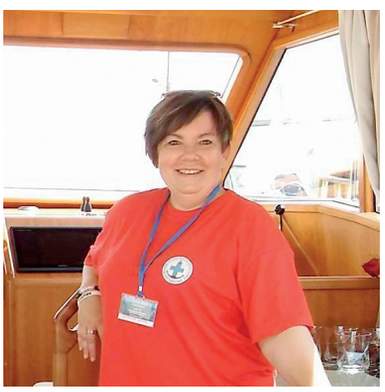

w latach 80' nastolatka. Obecnie pracownik Urzędu Miasta Gdyni, Przewodnicząca Klubu Turystycznego PTTK Wybrzeże, zaangażowana społecznie w sprawy Witomina. Organizatorka licznych przedsięwzięć dla seniorów oraz akcji pomocowych, np. zbiórki potencjalnych dawców szpiku.

Początek wakacji 1980 roku nie jest w mojej pamięci czymś szczególnym i na pewno nie łączyłam tego czasu ze strajkami. Pamiętam szarość i burość. Taki ogólny, smutny obraz. Konkretnie to pamiętam moją specyficzną sytuację życiowo-rodzinną, która przypadła właśnie na ten okres sprawiając, że musiałam wydorośleć i stać się dojrzała wcześniej od moich trzynastoletnich rówieśników.

Jaka była ta moja sytuacja? Tata, jak to w tamtych czasach Gdyni, pływał i w związku z tym bardzo często nie było go w domu, a moja mama w tamtym okresie poważnie podupadła na zdrowiu i ciężko chorowała. Do tego sytuacja w kraju była jaka była. Mam tu na myśli tę szarą i trudną codzienność. Przede wszystkim kartki i problemy z dostępnością towarów. W związku z tym spadło na mnie wszystko to, czym normalnie powinni zajmować się rodzice trzynastoletniego dziecka, czyli robić zakupy oraz zadbać o dom i inne sprawy. Pamiętam komentarze mam moich koleżanek i kolegów, które widząc mnie stojącą w kolejkach, mówiły:

– Ale ty jesteś odpowiedzialna i dorosła. Jak ja bym chciała, żeby moje dzieci tak pomagały – te sytuacje najbardziej utkwiły mi w pamięci.

Od trzeciego roku życia mieszkam na Witominie. Moi rodzice dostali mieszkanie w 1970 roku i wprowadziliśmy się na Witomino, na ulicę Konwaliową. Vis-à-vis znajdowały się pawilony handlowe. Był tam na przykład sklep mięsny. Jeden, jedyny sklep mięsny z tradycyjnymi kaflami, w którym pani cięła mięso tasakiem. Obowiązywały oczywiście kartki i przydziały na te kartki. Aby się załapać i cokolwiek dostać, trzeba było stanąć w kolejce o godzinie piątej rano czy nawet wcześniej, mimo że sklep otwierano o dziesiątej albo jedenastej. Coś mi się kojarzy właśnie ta godzina jedenasta. Nie wiem, czy otwierano wtedy sklep, czy może przywożono towar? Do dziś pamiętam, że mama mi nie pozwalała chodzić do tej kolejki o godzinie trzeciej czy czwartej, choć latem było o tej porze już jasno. Miała rację, przecież miałam zaledwie trzynaście lat.

Ustawiałam więc budzik po czwartej, wstawałam i szłam do tej kolejki. Z reguły byłam tam już piętnasta czy dwudziesta.

Ta kolejka to była dopiero ciekawa sprawa. Na Witominie była Restauracja Wrzos, która teraz nazywa się Jedyna i ta kolejka, w której stawałam o piątej rano, była właśnie pod tą restauracją. Ci, którzy przychodzili później, stawali już dalej. Ja z kolei zawsze byłam najmłodsza, bo z reguły stały osoby pełnoletnie. Śmieję się dziś, że byłam zawsze „wykorzystywana". Chyba około jedenastej przyjeżdżały charakterystyczne samochody z towarem, a był tam też sklep spożywczy. Kiedy ludzie z kolejki widzieli, że na zaplecze tych pawilonów jedzie jakiś samochód, rodziła się nadzieja, że jedzie do mięsnego, ale stuprocentowej pewności jednak nie było.

– Leć dziecinko tam z tyłu na zaplecze i sprawdź, czy to do mięsnego przywieźli, czy nie – prosili mnie zawsze w takich sytuacjach.

W tej chwili śmieję się z tego, ale wtedy czułam się niezwykle ważna. Miałam przecież misję do spełnienia! Biegłam i przynosiłam tę cenną informację. Naturalnie musiałam szybko nauczyć się orientować w towarach. Fakt, że tego towaru nie było, że brakowało, ale jak już coś się pojawiło, to warto wiedzieć co się bierze. Pamiętam taką jedną sytuację w sklepie spożywczym, kiedy rzucono porcjowany w kosteczki żółty ser. Był pakowany po dwadzieścia deka, bo przydział wynosił właśnie dwadzieścia deka na głowę. Wydaje się to trochę dziwne jak na tamte czasy, ale musiały być tam wtedy dwa albo trzy rodzaje tego sera. Stałam więc i wypytywałam panią ekspedientkę o te gatunki sera, autentycznie po to, by ustalić, który jest lepszy i który wziąć.

– O mój Boże, żeby mój Maciek był tak obeznany w tych produktach! Żebym mogła go kiedyś posłać po jakieś zakupy. Nie mogę go posłać, bo wróci z byle czym! – podkreślała mama mojego kolegi, bo akurat stała obok mnie.

Nie mogę powiedzieć, że moje trzynastoletnie życie było totalnie przestane w kolejkach. Nie chodzi o to, żeby tak to skwitować. Myślę jednak, że zdecydowanie więcej stałam w tych kolejkach i musiałam nauczyć się więcej takich praktycznych i życiowych rzeczy niż moi rówieśnicy.

Samego wybuchu strajków w sierpniu 1980 roku za bardzo nie pamiętam. Moi rówieśnicy – pewnie bardziej chłopcy, bo są odważniejsi – gdzieś tam się umawiali i jechali. A jak nie jechali, to przynajmniej na ten temat rozmawiali. Wydaje mi się, że w tamtym czasie byłam na tyle pochłonięta specyficzną sytuacją rodzinną i tym, że muszę zastąpić głowę rodziny, że nie kojarzę takich rozmów czy chęci jakiegoś zrzeszenia się.

Owszem, jak już wiadomość o strajkach rozeszła się po mieście, to również u nas w domu o tym się mówiło. Jednak mama nie roztoczyła nade mną żadnego parasola i nie mówiła:

– Słuchaj, Asia, ty nigdzie nie jedź. Zostań na Witominie do końca wakacji!

Może dlatego nie mówiła, bo byłam takim trochę ugrzecznionym, niespecjalnie wychylającym się dzieckiem. Pewnie wynikało to z faktu, że jako małe dziecko byłam dosyć chorowita. Jestem jedynaczką, ale mama absolutnie nie roztaczała nade mną parasola z tego powodu. Było wręcz odwrot-

nie. Chciała mnie wychować w taki sposób, żebym wiedziała, że wszystko jest dla mnie, że mogę zdobyć wszystko i nie muszę się czegoś bać. Mama ufała mi i wiedziała, że to, co robię jest zawsze wyważone i przemyślane, więc jeśli pojechałabym pod Stocznię, to znaczy, że tak musiało być.

Z 1980 albo 1981 roku utkwił mi moment, kiedy na Witomino nie jeździły autobusy. Pamiętam pielgrzymkę ludzi idących ulicą Kielecką w dół, bo autobusy nie jadą, a trzeba dostać się do Śródmieścia albo gdzieś dalej, na przykład do kolejki. Jak ja się wtedy cieszyłam, że do centrum jest tak blisko i zbiec parę minut w dół to nie jest taki problem.

Kolejki były, problemy z zaopatrzeniem również, ale jako specyficzna gospodyni domowa, miałam ten komfort, że tata co jakiś czas poprzywoził z kolejnego rejsu artykuły spożywcze. Wiadomo, że praca marynarza to takie trochę okno na świat. A że byłam i nadal jestem dziewczyną o dobrym sercu, więc chciałabym wszystkim pomóc. Pamiętam jak moja mama zawsze śmiała się, że jak tato przypływał, to ja najchętniej obdarowałabym wszystkich tym, co przywiózł. To fakt i miałam gdzieś tę świadomość, że mam trochę lepiej niż moi rówieśnicy. Borykałam się tak jak każdy z kartkami i z tym wszystkim, ale kiedy przyjeżdżał tata, było tego wszystkiego trochę więcej i było trochę lepiej. Więc jak tato przywoził z Afryki dwa kartony bananów, które były w chłodni, obdarowywałam nimi wszystkie koleżanki w klasie. Byłam taka nadgorliwa, że nie robiłam tego na zasadzie handlu wymiennego, tylko chciałam wszystkich obdarować, żeby zakosztowali trochę tego „Zachodu".

A co do handlu wymiennego, to pamiętam, że sąsiadka mojej babci mieszkająca na Grabówku miała rodzinę na wsi. Wiadomo – wieś, świniaki, jajka, a najbardziej chodziło właśnie o mięso. Pamiętam, że było to krótko przed Świętami Bożego Narodzenia, bo przypłynął tato i przywiózł świąteczne rzeczy. Orzechy i bakalie i inne produkty, których u nas nie było. Ta sąsiadka przywiozła od swojej rodziny jakąś część świniaka. Za mięso otrzymała pomarańcze, różne owoce, orzechy, bakalie i czekoladę. Mało tego, dostała jeszcze marcepany, które na tamte czasy stanowiły niesowity rarytas, więc tamci ludzie byli zachwyceni. Pamiętam tę jedną, jedyną sytuację handlu wymiennego. Być może było ich więcej, ale tę pamiętam może dlatego, że wydarzyła się przed świętami.

Czasami zastanawiam się nad tym, dlaczego nie kojarzę i nie pamiętam niektórych rzeczy i wydaje mi się, że bardziej skupiłam się na tej prozie życia codziennego. Na tym, że taty nie ma, mama jest schorowana i praktycznie nie wychodzi z domu, a żyć trzeba. I to jeszcze w takiej trudnej sytuacji, w jakiej był wtedy kraj. Pamiętam, że robiłam sobie sama kanapki do szkoły, co dla moich koleżanek i kolegów z klasy było szokiem. Ich mamy wstawały rano i robiły im kanapki, a ja byłam samodzielna. I tak mijały kolejne miesiące.

Oczywiście wiedziałam, co dzieje się w Gdyni. Że powstała Solidarność, że od czasu do czasu organizowane są strajki. Potem często zastanawiałam się, czy odczuwałam tę wolność. Jedyne co mi przychodzi na myśl, to taka serdeczność ludzi w stosunku do siebie. To pamiętam. O wielkiej polityce jednak nie miałam pojęcia.

Z 13 grudnia 1881 roku utkwił mi w głowie jeden charakterystyczny obrazek. Okna naszego mieszkania na Konwaliowej 4 wychodzą tylko na jedną stronę, na ulicę Rolniczą, a po drugiej stronie ulicy Rolniczej jest jednostka wojskowa. Z moich okien widziałam bramę wjazdową i dach. W jednym z tych budyneczków wojskowych – bodajże tym środkowym – mieścił się sklep wojskowy, więc był troszeczkę lepiej zaopatrywany. Nie pamiętam teraz dokładnie, ale prawdopodobnie były wyznaczone jakieś dni, kiedy mogły w tym sklepie kupować osoby, które nie były wojskowymi. Kilka razy stałam w tym sklepie w jakiejś kolejce. Wracając do samej jednostki wojskowej, pierwszą rzeczą, która uświadomiła mi, że coś się dzieje, zanim jeszcze dotarło do mnie, co wydarzyło się tamtego dnia, było to, że kiedy wstałam i odsłoniłam okna, na dachu jednostki zobaczyłam żołnierzy z karabinami. Wcześniej ich tam nie było. Kojarzę, że tato był wtedy w domu, bo pamiętam rozmowę przy śniadaniu o tym, że coś się wydarzyło. Do dzisiaj mam przed oczami obraz tych żołnierzy na dachu jednostki. Rodzice potem powiedzieli mi, co się wydarzyło, ale chyba do końca nie dotarła do mnie powaga sytuacji. To nastąpiło dopiero później.

W stanie wojennym byłam już o rok starsza, więc trochę inaczej patrzyłam na pewne rzeczy. Pamiętam, że zapanował pewnego rodzaju niepokój. Nie strzelają, więc może nie jest tak strasznie źle, ale gdzieś dochodzą informacje o internowaniach. Z opowiadań mojej babci pamiętam też historię, która mocno podziałała na moją psychikę w takim sensie, że trzeba było bardzo uważać, co się mówi. Babcia któregoś razu przyjechała do nas z Grabówka i opowiedziała, że stała w sklepie, usiłując coś zdobyć. Coś jej się w tym sklepie nie spodobało i skomentowała, że czegoś nie ma albo coś jest niefajne, niełądne, nieświeże. Jakiś pan, który stał dwie osoby za nią, wychylił się z kolejki i ostrym, zasadniczym tonem powiedział:

– A co się pani nie podoba?!

Babcia tak przestraszyła się tonu i postury tego mężczyzny, że coś tam kupiła i szybko wyszła ze sklepu. Miała jakąś czapkę czy chustkę, którą albo zdjęła, albo nałożyła, żeby wyglądać trochę inaczej i dalej „w długą", byle domu. Pamiętam, że kiedy babcia opowiedziała mi tę historię, pomyślałam sobie, że dobrze, że się babci nic nie stało, że nic jej nie zrobili, nie aresztowali, nie wzięli na przesłuchanie. Chyba właśnie wtedy dotarło do mnie, co dzieje się w naszym kraju, jak bardzo trzeba na każdym kroku uważać, nawet na to, co się mówi. Pomyślałam sobie wtedy: – Boże, to mam się bać teraz wszystkiego? Co mam powiedzieć?!

Pamiętam mojego kolegę Jacka Gajewskiego, który był w naszej klasie najbardziej przebojowy i odważny. Pamiętam jak dziś. Przyniósł tak zwane oporniki do szkoły i pokazał nam. Podejrzewam, że był poinstruowany przez kogoś z dorosłych. Powiedział, że musimy się solidaryzować z innymi. Jako młodzi specjalnie nic nie możemy zrobić, ale będziemy, chociaż nosili te oporniki na znak buntu. I ta ugrzeczniona dziewczynka oczywiście wpięła sobie ten opornik i poszła z nim do domu.

– Boże, dziecko, coś ty zrobiła?! – wykrzyknęła przerażona mama.

– Mamo, wszyscy w klasie to noszą! To miałam się wyłamać? Jednoczę się i solidaryzuję z moimi kolegami i koleżankami – odpowiedziałam, chyba nie do końca świadoma tego, co robię.

Mama przymknęła na to oko i przebolała. Pamiętam, że nosiliśmy te oporniki jeszcze przez długi czas. Miałam wrażenie, że nauczyciele patrzyli na to z przymrużeniem oka. Nie kojarzę jakichś restrykcyjnych sytuacji, choć mieliśmy taką zasadniczą matematyczkę i ona dosyć mocno to krytykowała. Może należała do jedynej słusznej siły?

Pamiętam też rozpoczęcie pierwszej klasy Liceum Ekonomicznego na Orłowie. To był rok 1983. Były to czasy, kiedy w szkołach organizowano różne spędy okolicznościowe. 1 września mama wyszykowała mnie i poszłam cała przejęta na rozpoczęcie roku. Nikt nie spodziewał się, że ten dzień potoczy się tak, jak się potoczył. No bo ile trwa rozpoczęcie roku? Dwie godziny? Powitanie, przejście do klasy, plan lekcji na pierwszy tydzień, sprawy organizacyjne i po dwóch godzinach dziecko wróci do domu na Witomino. Nie było wtedy telefonów komórkowych, więc jak dziecko nie wracało, rodzic siedzący w domu nie wiedział, co się dzieje. Nikt z dyrekcji szkoły oczywiście nie poinformował wcześniej, że po uroczystym rozpoczęciu w szkole dzieci zostaną wywiezione autobusami na Westerplatte na poważniejsze uroczystości. Pamiętam, że był niesamowity upał, bo gotowaliśmy się w tych autobusach bez klimatyzacji, a potem topiliśmy się, stojąc na Westerplatte. Jak przyjechałam po południu do domu, to moja mama i mama Doroty, koleżanki z klatki obok, która też rozpoczynała naukę w „ekonomiku", były całe przerażone i rozdygotane.

Czas szkoły średniej niesie ze sobą jeszcze jedno wspomnienie. Można powiedzieć – wspomnienie motoryzacyjne. Bardzo wcześnie zrobiłam prawo jazdy, bo tata był za granicą, mama schorowana i często trzeba było ją zabierać do lekarza. Mieliśmy samochód, więc ułatwiło to załatwianie wielu spraw. Prawo jazdy można było robić po ukończeniu siedemnastu lat. Kończyłam siedemnaście lat w kwietniu, a rodzice wysłali mnie na kurs w lutym, bo te siedemnaście należało mieć skończone podczas zdawania egzaminu. Oczywiście byłam najmłodsza, a do tego mając siedemnaście lat wyglądałam na trzynaście. Mieliśmy samochód, ale wiadomo, że były to czasy, kiedy benzyna też była na kartki. W związku z tym bardzo pożądanym artykułem był kanister. No i pewnego dnia udało mi się zdobyć ten wspaniały artykuł. Nie pamiętam, czy to ja dowiedziałam się, czy to mama dowiedziała się od kogoś, że w sklepie przemysłowym w Sopocie mają rzucić kanistry. Ten sklep był przed Monciakiem, w bocznej uliczce. Pojechałam do Sopotu i zdobyłam! Szczęśliwa targałam później te dwa kanistry do domu i oczywiście tym szczęściem chciałam podzielić się z tatą. Zrobiłam to jedynym możliwym wówczas sposobem, czyli listownie. Pisałam do taty listy, które przychodziły dopiero po dwóch miesiącach, więc informacje były czasami już nieaktualne. Pamiętam jak dziś, że pełna dumy napisałam w liście: – Tato, załatwiłam dwa kanistry na benzynę! Jaka ja byłam wtedy z siebie dumna!

Wrócę jeszcze do tych spędów okolicznościowych, bo mam związane z nimi jeszcze jedno wspomnienie. Przez cały okres szkoły średniej nie chodziłam na pochody pierwszomajowe i byłam tam jeden, jedyny raz. W roku, kiedy

miałam zdawać maturę, czyli w 1987. Chodziłam wtedy do Liceum Ekonomicznego na Orłowie. Oczywiście nie powiedziano nam tego wprost, ale gdzieś między wierszami mocno dano nam do zrozumienia, że jeśli nie będziemy na tym pochodzie pierwszomajowym, będzie to miało przełożenie na wyniki naszych egzaminów. Jakie przełożenie? Tego też nam nie powiedziano, ale wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Rozmawiałam wtedy z rodzicami i wspólnie doszliśmy do wniosku, że pójdę jednak na ten pochód, żeby nie mieć ewentualnych problemów. To był jeden jedyny raz, kiedy byłam na pochodzie pierwszomajowym.

Bardzo entuzjastycznie wspominam czerwiec 1987 roku i pielgrzymkę Ojca Świętego! Pochodzę z takiej normalnie religijnej rodziny – nie fanatycznie, ale dosyć wierzącej, więc oczywiście sam fakt, że papież został wybrany spowodował wielką euforię. Usłyszałam tę informację w radio. Oczywiście byłam tutaj, w Gdyni na 10 Lutego i kiedy przyjechał, stałam w tym tłumie. Chciałam pojechać również do Gdańska, ale pamiętam przestrogi mojej mamy, która mówiła mi:

– Nie. Tam do Gdańska to jednak nie jedź, bo w Gdańsku może nie być tak spokojnie, jak w Gdyni.

Kuzyn mojej mamy jest księdzem. Był wtedy na parafii w Jarocinie i przyjechał specjalnie, kiedy Ojciec Święty był w Trójmieście. On był w Gdańsku, ale jedyna przekazana przez niego opowieść, jaką pamiętam jest taka, że z racji tego, że udało mu się dostać od tyłu za ołtarz, miał możliwość uściśnięcia dłoni Ojcu Świętemu. Natomiast ja niestety nie byłam tam osobiście, tylko oglądałam w telewizji.

Zaraz po „ekonomiku" poszłam do pracy, a troszkę później studiowałam zaocznie. W 1988 roku był najpierw maj, a potem sierpień i wtedy już bardziej świadomie reagowałam na strajki. Pamiętam, że tato był w domu. Pamiętam też śp. dziadka, który był wielkim społecznikiem. Dużo z nim wtedy rozmawiałam i te rozmowy uświadamiały mi, że coś się zmienia, że idzie nowe. Pojawił się jednak duży znak zapytania. Jak to nowe będzie wyglądało? Pojawiła się również duża obawa o to, żeby ta zmiana odbyła się w pokojowy sposób. Żeby nie było takiego rozlewu krwi jak w 1970 roku w Gdyni.

A jeżeli chodzi o rok '70 to znam go z opowieści, bo miałam wtedy dwa latka. Mama mi opowiadała, że kiedy działy się te wydarzenia grudniowe, ona właśnie odbierała klucze do mieszkania. Idąc po klucze, natknęła się na żołnierzy, na czołg, na lufę, która nagle pojawiła się przed jej nosem. Opowiadała mi to wszystko w czasie, kiedy miałam dwanaście czy trzynaście lat. Potem kiedy przyszły lata 1988 i 1989, miałam w głowie te opowieści i pojawiły się we mnie lęk i obawa, żeby to się nie powtórzyło. Jak wszyscy pragnęłam, żeby te zmiany odbyły się łagodny i pokojowy sposób. I udało się.

Po zmianie systemowej nagle uświadomiłam sobie, że nowe wkroczyło również do handlu i codziennego życia. Nagle w sklepach, gdzie kiedyś były tylko puste półki, zrobiło się kolorowo i obficie. Milion szynek, milky waye, snickersy, chipsy i tak dalej. Pamiętam moją pierwszą reakcję. O kurcze, jednak można! – tłukło mi się w głowie. Nie zapomnę też pierwszego supermarketu, który nie miał rangi dzisiejszych wielkopowierzchniowych sklepów czy gale-

rii handlowych, ale na tamte czasy był czymś większym niż zwykły, mały sklepik osiedlowy. Pamiętam, że kiedyś specjalnie pojechałam na Grabówek, żeby zabrać moją babcię i pójść z nią do tego sklepu. Chciałam pokazać jej, że się zmienia i wszedł kapitalizm. W tym sklepie po raz pierwszy spotkałam się z wózkami. Nie z koszykiem, tylko z wózkiem!

Po tylu latach patrzę na siebie i wiem, że gdyby coś podobnego działo się teraz, to chyba dziś byłabym bardziej skłonna do pójścia „na barykady" i pociągnięcia tłumu za sobą czy raczej wspólnej walki. Mnie samej wydaje się to dziwne, bo właśnie młodzi są bardziej skłonni do zrywów i walki. Ale wtedy byłam spokojniejsza i bardziej obserwowałam oraz byłam pochłonięta codziennością, niż uczestniczyłam w tym wszystkim.

Halina Stodolska

żona i siostra działaczy konspiracyjnych.

Trudno jest wspominać okres sprzed 1989 roku. Lata 70 i 80 nie są dla mnie dobrym wspomnieniem. Wiele sytuacji i wydarzeń nie nastrajało do pozytywnego patrzenia w przyszłość. Budziło ogromny lęk. Byłam matką i pamiętam ciągły strach o bezpieczeństwo i przyszłość dzieci. Do tego w okresie sierpniowych strajków byłam w ciąży. Powiem szczerze – wyparłam wiele wspomnień z tamtego okresu. Za dużo mnie to wtedy kosztowało, bym teraz to rozpamiętywała. Tak naprawdę, to chyba nie chcę pamiętać.

Mój mąż pracował w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym, które mieściło się w Redłowie, tam gdzie dziś jest Pomorski Park Naukowo-Technologiczny. W jednym miejscu były autobusy i trolejbusy. Dziś to jest Przedsiębiorstwo Komunikacji Trolejbusowej i znajduje się na Leszczynkach obok kościoła św. Józefa. Mąż od początku angażował się w działalność w „podziemiu". Angażował się również mój brat. Ta ich działalność powodowała, że wokół naszego domu zawsze się coś działo. Budziło to we mnie dużo obaw i starałam się unikać spraw związanych zarówno z legalną działalnością mojej rodziny, jak i później z funkcjonowaniem męża i brata w strukturach podziemnych. Zwyczajnie, przerastało mnie to. Zbyt często słyszałam o aresztowaniach i śmierci. Rodzina biorąca udział w akcjach podziemnej Solidarności była bardzo narażona na zatrzymanie i osadzenie w więzieniu. Strasznie tego się bałam.

Dziś miesza mi się okres legalnego istnienia Solidarności ze stanem wojennym. Faktem jest jednak, że urodziłam dziecko i pamiętam, że nieraz wychodziłam z maluszkiem na spacer, by nie uczestniczyć w podziemnych spotkaniach, które odbywały się u nas w domu. Ulice jednak też nie były bezpieczne. Często zdarzało się, że musiałam uciekać do domu, by uniknąć tego wszystkiego. Wszechobecne patrole milicji, demonstracje, pościgi. To naprawdę nie napawało radością. To budziło lęk i przerażenie! Szczególnie kiedy szło się z małym dzieckiem w wózku. I jak wszyscy wiemy, nie było to bezpodstawne.

Jedno wydarzenie utkwiło mi w pamięci na zawsze, bo łączyło się ono właśnie z tym ogromnym strachem o dziecko. Szłam z wózkiem ulicą na Wzgórzu Marcelego Nowotki, dziś jest to Wzgórze Św. Maksymiliana. Nieopodal kościoła franciszkanów. Odbywała się tam chyba jakaś demonstracja. Ludzie biegali wokół świątyni. Było dużo krzyku. Naokoło było pełno milicji czy ZOMO.

Rzucali petardy. Nie pamiętam już czy tylko dymne, czy łzawiące. Ludzie biegali, krzyczeli, rzucali, chyba kamieniami w zomowców, a ci odpowiadali tymi petardami i walili pałkami w tarcze. Bałam się, że taka petarda trafi w mój wózek. Strach, jaki mnie wtedy opanował kazał mi uciekać z dzieckiem jak najdalej od tego miejsca. Udało mi się wydostać z tego tłumu i dotrzeć do jakiejś klatki schodowej, w której się ukryłam. I tak czekałam tam, by wszystko się skończyło. Nie pamiętam jak długo się ukrywałam, bo dominował paniczny strach o dziecko. Musiało być bardzo ostro, bo dochodziły mnie odgłosy demonstracji. Ludzie walczyli z milicjantami. Wreszcie nastała cisza i mogłam wyjść. Potem kiedy wychodziłam na spacer rozglądałam się i nasłuchiwałam, czy gdzieś nie dzieje się coś złego. Wciąż byłam bardzo ostrożna i czujna. Robiłam wszystko, by unikać takich sytuacji. Dlatego właśnie chyba we mnie zostało tylko to jedno traumatyczne wspomnienie, bo życie dziecka było dla mnie najważniejsze.

Ten okres, przede wszystkim okres stanu wojennego nie jest dla mnie dobrym wspomnieniem. Zaangażowanie w działalność „Solidarności" doprowadziło mojego brata do więzienia w Potulicach. Swoim udziałem w różnych akcjach i działaniach tak naraził się władzy, że postanowiła go aresztować. Wtedy pojawił się strach, że trafi tam również mój mąż. Żyłam w ciągłym zagrożeniu, że zjawią się ubecy i zabiorą mi męża, a dzieciom ojca. Z kolei jako siostra czułam się w obowiązku odwiedzać uwięzionego brata. Jeździłam do niego i woziłam mu paczki. Wiem, że wielu działaczy trafiło w tamtym czasie za kraty. Dziś to rozumiem, ale wtedy przeżyłam szok i byłam w ciągłym stresie.

Unikałam spraw związanych z podziemiem. Nie chciałam nic wiedzieć o tym, co robią mój mąż i brat. Choć zdawałam sobie sprawę z tego, że zarówno mąż, jak i mój brat działają i narażają nie tylko siebie, ale i całą rodzinę. A oni byli bardzo zaangażowani, pochłonięci swoją misją i walką z komuną. A ja będę zawsze powtarzała, że byłam matką i musiałam opiekować się dziećmi. Były zbyt małe, by móc je, choć na chwilę zostawić. Dlatego też w ogóle nie chciałam wchodzić w żadne szczegóły związane z podziemną działalnością mojej rodziny. Wystarczała i denerwowała mnie świadomość, że moi najbliżsi zdecydowali się działać przeciwko władzy. Bałam się, że to się naprawdę źle dla nas skończy. I to wylądowanie brata w więzieniu było chyba lepszym rozwiązaniem niż na przykład jego śmierć. Przecież mogli go zastrzelić podczas demonstracji. Mógł być po prostu skrytobójczo zmordowany przez nieznanych sprawców.

Tak w tym ciągłym strachu z tym bagażem negatywnych doświadczeń dotrwałam do roku 1989. Oczywiście mój mąż i brat cały czas działali. Choć wszyscy mówili, zwłaszcza po pielgrzymce Ojca Świętego i mszy na Skwerze Kościuszki w czerwcu 1987 roku, że komuna musi upaść, że to już blisko, ja nadal byłam pełna obaw. Zbyt wiele widziałam i nasłuchałam się z różnych stron. Nadal bałam się, że znów aresztują i zamkną brata albo męża. Dlatego, nawet te późniejsze wspomnienia nie są miłe. Oczywiście nadejście roku 1989 wzbudziło na początku nadzieję, a potem radość. Choć nadal przyjmowałam to z lekkim niedowierzaniem. W końcu powołanie związku Solidarność też dawało nadzieję, wtedy w 1980 roku, a wiemy jak się skończyło w grudniu 1981 roku. Stąd i w 1989 roku miałam obawy, że władza oddaje kawałek pola, by za chwilę znów zaatakować.

Ale zmiana stała się faktem! Może nie była w pełni taka jakby naród jej oczekiwał, ale nastała wolność. Jednak to, co dzieje się po tych czerwcowych wyborach w 1989 roku nie jest motywujące. Zmieniające się rządy, agresja i nienawiść. Żyłam nadzieją, że to wszystko potoczy się troszeczkę inaczej. Że nie naród będzie jednomyślny, a nie skłócony.

Podsumowując, to zostawiłam pole do działania bratu i mężowi. Sama zaś zajmowałam się dziećmi i domem. Na pewno dzięki temu mój mąż mógł bardziej angażować się zarówno w „Solidarność" legalną, jak i podziemną. Dom zaś miał być ostoją spokoju, do której mógł powracać i odpoczywać. Robiłam wszystko, by tak było, choć nie zawsze mi się udawało, bo mąż to „podziemie" często przynosił do domu. Wiecznie prosiłam go, by nawet nie opowiadał mi o tym, co robi. Zresztą mój mąż i bart, jak działali wtedy, tak działają do tej pory. Na szczęście teraz jest inaczej. Legalnie, spokojnie i bezpiecznie.

Bogusława Strumiłło

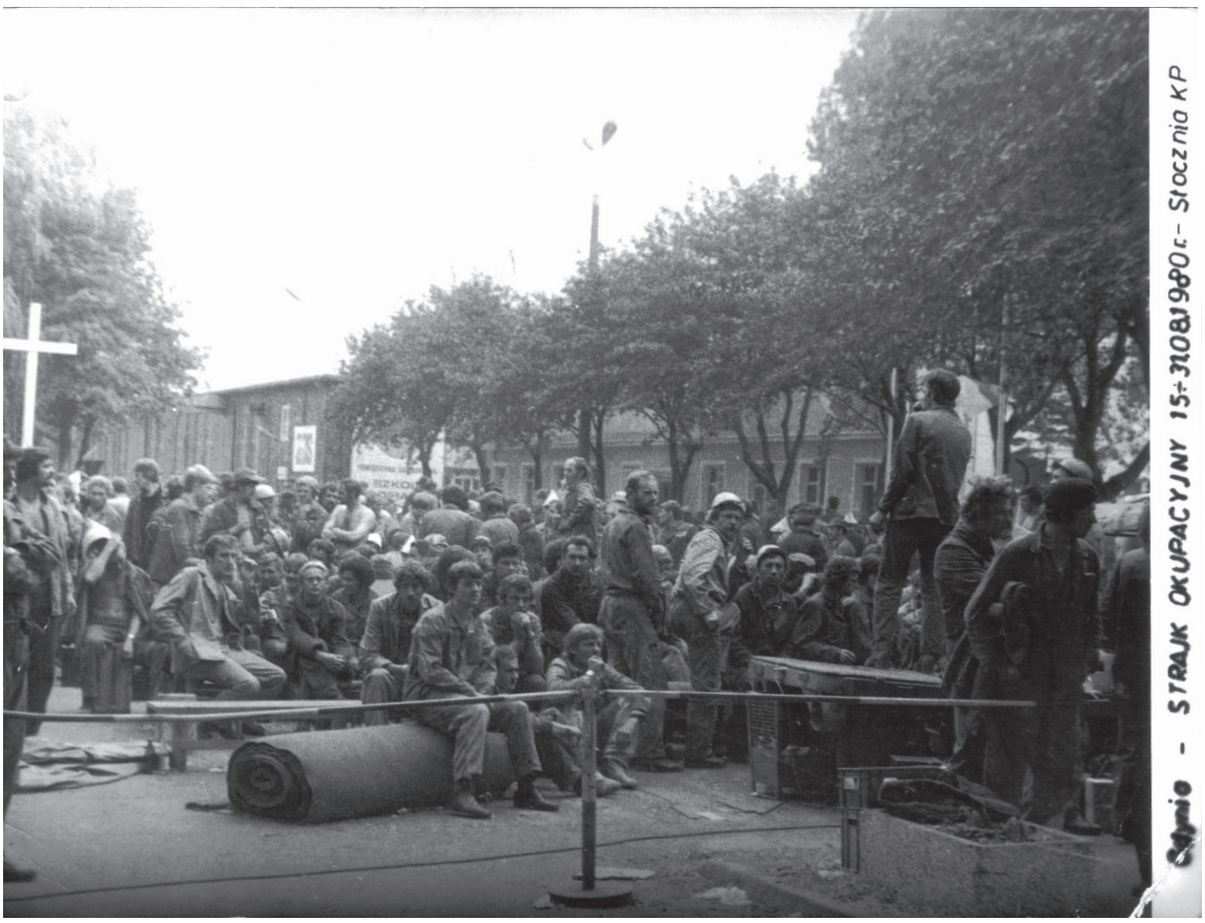

nauczyciel, polonistka, członek NSZZ „Solidarność". Pełniła funkcję wicedyrektora w Zasadniczej Szkole Budowy Okrętów przy Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Organizowała spotkania uczniów pod Pomnikiem Grudnia 1970.

Nie można mówić o Sierpniu 1980 roku bez sięgnięcia pamięcią do Grudnia '70. Byliśmy mocno związani ze stocznią i w pewnym sensie dyrekcja szkoły podlegała władzom stoczniowym. Musieliśmy robić wiele rzeczy tak, jak życzyła sobie stocznia. Często przekazywano nam to podczas specjalnych zebrań. Podczas jednego z takich zebrań poinformowano nas o wszystkich planowanych podwyżkach. Wtedy dopiero się zaczęło.

Wydarzenia grudniowe rozpoczęły się od takich właśnie przyziemnych ludzkich spraw. Od oburzenia, że sytuacja się pogorszy. Do Urzędu Miasta udała się delegacja i były tam jakieś rozmowy. Nie mieliśmy pojęcia, jak to wszystko się tam odbywa, ale pamiętam dokładnie ten dzień, kiedy powiedziano nam, że na razie nie możemy wyjść ze szkoły. W tym czasie starsza córka była w szpitalu. Na szczęście moja sąsiadka, która pracowała w szpitalu, przywiozła ją do siebie. Wróciłam do domu i oczywiście było polecenie, że następnego dnia idziemy wszyscy do pracy. Wieczorem w telewizji pan Kociołek powtórzył to samo. Zadzwonił do mnie sąsiad. Nie wiem skąd miał taką informację, może był partyjny i dostał jakąś wiadomość, ale powiedział:

– Nie idź jutro do pracy, zostań w domu.

Odpowiedziałam, że muszę iść. Skoro powiedzieliśmy uczniom, że mają iść do szkoły, to jak my, nauczyciele, mamy zostać w domu? Jak powiedziałam, tak zrobiłam i wybrałam się do pracy. Autobus podjechał do Placu Konstytucji przed sądem i na tym się skończył mój udział, bo były tam tłumy ludzi, czołgi, żołnierze i nie było mowy o tym, żeby przedrzeć się dalej do wiaduktu. Nie udałoby się, nawet gdyby ktoś chciał pójść pieszo. W tym czasie trwała już strzelanina na pomoście.

Odebrałam to bardzo osobiście i mocno, dlatego że wśród pierwszych zastrzelonych znalazł się Zygmunt Polito. Chłopak, którego byłam wychowawczynią przez trzy lata. Był moim uczniem, więc bardzo mnie to poruszyło. Później poruszyły mnie też opowieści o tym, jak wyglądał jego pogrzeb. I nie tylko jego, ale też innych ofiar wydarzeń grudniowych. Na Placu Konstytucji spotkałam kilku naszych uczniów i powiedziałam im, że nie pójdziemy do szkoły. Wróciłam do domu z jednym z nich. Z tym, który mieszkał w sąsiedztwie. Zresztą później działał w komisji „Solidarności". W tym czasie zaczęły się też zajścia przed Urzędem Miasta. Bez przerwy latały samoloty i atakowali ludzi gazami. Jeden samolot podleciał nad szkołę podstawową na Redłowie, w której były dzieci. Szkoła została obrzucona gazami. Najbardziej jednak tragiczne było to, co działo się pod Urzędem Miasta. Przed południem zostali zabici ludzie, a co się działo potem...

Mieliśmy takiego ucznia, który był w drugiej klasie i mieszkał blisko Urzędu Miasta, bo przy Bema. Chłopiec miał 16 lat. Zastanawiałam się co się z nim dzieje. Czy on usiedzi w domu? Jego mama była pielęgniarką i była akurat w szpitalu, bo nikt z personelu szpitala nie mógł wyjść. Wszystkich zatrzymali w szpitalu. Chłopiec nie miał ojca, ponieważ rodzice dawno się rozeszli i matka wychowywała go sama. Nie miał go kto zatrzymać w domu i ten biedny Wiesiu został złapany pod Urzędem Miasta. Wiem od niego, że w piwnicy Urzędu Miasta pobito wtedy do nieprzytomności masę ludzi. Byli nawet tacy, którzy umarli na skutek odniesionych ran. Ten chłopiec opowiadał mi, że w pewnym momencie zjawili się tam lekarze, żeby przeprowadzić selekcję tych pobitych i między innymi jego zabrali do karetki. W karetce przyglądnął mu się lekarz i powiedział do kierowcy:

– Nie do Redłowa, do Miejskiego! To jest syn naszej pielęgniarki!

Wiesiu podkreślał, że jeszcze wtedy można go było rozpoznać, bo potem to był już jednym wielkim, spuchniętym klocem. Odwiedziłam go w szpitalu, rozmawiałam z jego matką i z nim. Chłopak został kaleką na całe życie. Miał tak stłuczone narządy wewnętrzne... Nerki, wątrobę. Strasznie! I właściwie już wszystko się przed nim zamknęło. Wiesiu nie nadawał się do pracy w stoczni, bo był kaleką, ale gdyby udałoby mu się skończyć szkołę, mogliby mu wtedy dać jakąś pracę, bo w stoczni był Wydział Pracy Chronionej. W szkole zaś panowała taka atmosfera, że wszyscy chcieli jak najbardziej pomóc tym, którzy zostali poszkodowani i jakoś udało nam się zapisać go do wieczorówki. Skończył tę szkołę. Potem widziałam go jeszcze kilka razy, ale w tej chwili nie mam z nim żadnego kontaktu. Ktoś mi powiedział, że on już nie żyje. To bardzo prawdopodobne, bo był za mocno pobity.

O Grudniu, docierały do mnie przeróżne historie. Już później dowiedziałam się też o tym, że został zamordowany młody człowiek, krewny pani, która mi o tym opowiadała. Matce nawet nie pozwolono zajrzeć do trumny, żeby potwierdziła, czy to jest jej dziecko, czy nie. Został pochowany, a oni w nocy poszli na cmentarz i odkopali ten grób. Dokąd matka nie otworzyła trumny i nie zobaczyła, że to jest jej dziecko, dotąd nie mogła znaleźć spokoju. Wrócili, a że ona mieszkała w domku jednorodzinnym, to spalili wszystkie ubrania, w których byli na cmentarzu. Ta kobieta płakała – jak mi to po latach opowiadała.

Przez wszystkie lata po tragedii, w grudniu w szkole panowała bardzo podniosła atmosfera. Organizowano wyjścia w miejsce, gdzie stoi teraz Pomnik Poległych Stoczniowców 1970. Odbywały się tam różne apele i młodzież zawsze chciała iść i w tym uczestniczyć. Oni wszyscy byli bardzo mocno w to zaangażowani. Podobnie jak większość nauczycieli. To wryło się w naszą świadomość tak, że nikt o tym nie zapomni. Nikt! I choć mija prawie 50 lat od tej wielkiej tragedii, to w Gdyni ta pamięć będzie żyć. Nawet wtedy, kiedy niektórzy będą chcieli ją wymazać. W tę pamięć wpisana jest krew niewinnych zamordowanych przez komunistów. Dlatego 17 grudnia 1971 wszyscy byliśmy w miejscu, gdzie teraz jest pomnik. Cała szkoła! To było o szóstej rano. Wtedy zupełnie o tym nie myślałam i w pewnym momencie powiedziano mi jedynie, bym się w to tak mocno nie angażowała. Ale ja angażowałam się tylko uczuciowo. Nic nie zrobiłam, niczego nie zorganizowałam, tylko uczestniczyłam w tym, w czym uważałam, że powinnam brać udział.

Wydaje mi się, że władze stoczni trochę bały się wtedy tego wszystkiego. Podeszły do tego asekuracyjnie, przyjęły taką pozycję wyczekującą. Były to lata, kiedy mieliśmy bardzo dużo absolwentów. Szkoła miała 1200 uczniów, więc do stoczni szło dużo młodych. Młodych, którzy mieli już pewną świadomość, bo mimo że obowiązywały programy, myśmy w szkole stawiali jednak na wychowanie patriotyczne. Piaśnica, Westerplatte i Gdynia – to było naszym programem wychowawczym. Pierwsze klasy jechały na Westerplatte, w następnym roku ci, co byli na Westerplatte, jechali do Piaśnicy. Zawsze odbywały się tam uroczyste apele, składało się kwiaty, podobnie jak tutaj. Nawet w czasie stanu wojennego odbyliśmy tutaj apel i musiałam wystąpić – mam nawet pismo z Urzędu Miasta – że jestem odpowiedzialna za to, żeby się nic złego nie stało.

Duża grupa naszych nauczycieli nie była partyjna i miała związki ze stoczniowcami, zresztą kilkoro stoczniowych inżynierów też wykładało u nas przedmioty techniczne. O Polsce, zmianach, polityce rozmawiało się cały czas. Ludzie słuchali Wolnej Europy i to dawało tematy do dyskusji. Było bardzo dużo takich osób. Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że polonistki są zawsze bardziej otwarte na innych ludzi. Było nas tam kilka polonistek i właściwie żadna z nas nie była ani partyjna, ani anty. Przynajmniej pod tym względem wszystkie stanowiłyśmy jedność.

Kultywując pamięć Grudnia '70 doczekaliśmy sierpnia 1980 roku. Ktoś mi nawet powiedział, że byłam w szefostwie szkoły, która „wychowała powstańców". Buntowników, którzy w sierpniu 1980 roku zrobili bezkrwawe powstanie. Wszystko zapoczątkowała Stocznia Gdańska, ale Gdynia mocno włączyła się

w te wszystkie sprawy. To fakt, że „wychowywaliśmy" naszych uczniów i myślę, że wśród nich byli ci, którzy dziesięć lat później czynnie uczestniczyli w wydarzeniach sierpnia 1980. Nie kierowała nimi zemsta, ale chęć walki o to, żeby zwyciężyło to, co dobre.

W latach siedemdziesiątych uczniowie nie zwierzali się nauczycielom, więc nie potrafię nic powiedzieć o ich działalności. Na stoczni było poruszenie po czerwcowych wydarzeniach w Radomiu, Płocku i Ursusie. To docierało też do naszych uczniów. Do tych, którzy mieli kontakty z ludźmi ze stoczni. Mimo to wydaje mi się, że nie za wielu wiedziało o KOR-ze czy Wolnych Związkach Zawodowych. Mieli styczność ze stocznią, ale to były dzieci. Przecież to byli chłopcy po piętnaście, szesnaście lat. Przywiezieni do Gdyni, rozlokowani gdzieś po kwaterach i odizolowani od rodziców. Oni się nie interesowali tymi sprawami. A jeżeli się interesowali, nam przecież tego powiedzieć nie mogli. Nauczyciel nie był chyba dla nich aż tak bliską osobą, żeby mogli się zwierzać ze swoich bardzo osobistych doświadczeń politycznych. Poza tym z pewnością obawiali się konsekwencji.

Październik 1978 roku dał nam nadzieję. Wybór krakowskiego kardynała na głowę Kościoła Katolickiego sprawił, że w ludziach znów coś drgnęło. Zapanowało wielkie poruszenie. Szkoła też bardzo to przeżyła. Jak papież rok później przyjechał do Polski to nawet wszyscy partyjni zgodzili się na udostępnienie telewizji, żeby uczestniczyć w uroczystościach.

Kiedy wybrano papieża moja koleżanka pojechała do Warszawy. Wszystko postawiła na głowie, żeby się dostać na Plac Defilad w czerwcu 1979 roku. Jan Paweł II był ważny dla naszej kadry. A już po „Niech zstąpi Duch Twój..." większość z nas uważała, że pokazał narodowi – jestem z Wami! To były czasy, kiedy wszystko się naprawdę mocno przeżywało. Jedna z koleżanek pojechała w tym czasie do Francji. Wychodziły tam książki poświęcone poszczególnym pielgrzymkom papieża. Przywiozła mi książkę z drugiej pielgrzymki i oficjalnie wręczyła mi ją w sekretariacie. Stał tam pewien pan i patrzył na to. Myślę, że w głębi duszy też chciał ją mieć, ale może nie wypadało mu wtedy głośno tego powiedzieć. Niektórzy byli w pewnym sensie ograniczeni swoją przynależnością. Nawet wtedy, kiedy wiedzieli, że my mamy rację.

Kiedy założono Wolne Związki Zawodowe ja o tym nie wiedziałam. Może nie zasługiwałam na tyle zaufania. Mimo wszystko, to do mnie to nie dotarło. Dotarło innymi kanałami. Chociaż studiowałam w komunistycznych czasach, to jednak miałam kontakt z ludźmi, którzy potem wiele znaczyli. Jacek Kuroń był na historii o rok wyżej ode mnie, a ja byłam na polonistyce. Miałam oczywiście kontakty z wieloma osobami. Mówiło się, słuchało, rozmawiało i przywoziło różne rzeczy.

Kiedy zaczynały się strajki w 1980 roku, nie było mnie w Polsce. W tym czasie firma mojego męża dostała kontrakt w Niemczech i mąż był w Kolonii. Pojechałam do niego w czasie wakacji i wróciłam dopiero po dwudziestym, więc strajki już trwały. Musiałam jednak przygotować nowy rok szkolny. Wiedziałam już, co się dzieje i jak przyjechałam, pierwsza rzecz, jaką zrobiłam, to zadzwoniłam do Komitetu Strajkowego Stoczni Gdynia, aby zapytać, jak widzą początek roku w szkole. Powiedzieli mi, że mam normalnie rozpoczynać rok

szkolny. Wszystko było przygotowane, rok szkolny się zaczął i dowiedzieliśmy się, że mamy prawo zmodyfikować sobie programy. Dotyczyło to polonistów i historyków. Oczywiście skorzystaliśmy z tego skwapliwie, ale wiem, że nie wszystkie szkoły to zrobiły.

Z tą modyfikacją programów wiąże się bardzo miłe wspomnienie. W klasie, w której uczyłam polskiego, znalazł się chłopiec przeniesiony z innej klasy. Jego matka całymi dniami pracowała, więc on uczestniczył w zajęciach świetlicowych. Były tam studentki – wolontariuszki. Któraś z nich zainteresowała się zeszytem z języka polskiego tego chłopca. Później przyjechała do mnie do szkoły i mówi:

– Co się dzieje? Jeszcze nie widziałam, żeby był taki program polskiego. Ale wie pani? On jest taki zadowolony, tak się cieszy!

Powiedziałam tylko, że też się cieszę.

Wszystkie strajki, które się odbywały, mieliśmy też automatycznie w szkole. Uczestniczyliśmy we wszystkim i staraliśmy się pomagać. Pamiętam jak szykanowali Jurka Miotke. Miał bardzo trudną sytuację, chore dziecko. Chciałam mu dać możliwość, żeby trochę zarobił, więc zaczął uczyć w szkole. Oni nie mogli uczyć na pełne etaty, ale stoczniowcy-inżynierowie mieli u nas po sześć godzin lekcji.

W latach siedemdziesiątych uczniowie nie zwierzali się nauczycielom, ale po zarejestrowaniu „Solidarności" sami zaczęliśmy bardziej angażować młodzież do spraw rocznicowych. W naszej szkole była grupa nauczycieli, którzy nie bali się i mieli doskonały kontakt z uczniami. Byli to między innymi: Jadzia Andrzejewska, bardzo aktywny Jurek Sińczak i Krysia Krzewska.

W grudniu 1980 roku staje pomnik Ofiar Grudnia 1970. Na jego odsłonięciu byliśmy wszyscy. Całuteńka szkoła! Pamiętam, że było piekielnie zimno. Trzeba było iść ze szkoły do pomnika i od pomnika do szkoły. Dopiero potem zaczęły się lekcje. To było niesamowite, niepowtarzalne uczucie! Młodsza córka była wtedy ze mną. Wierzyłam już wtedy, że uda się dogadać i Polska się zmieni. Spotkałam się też z Anią Kowalczykową, dzięki której trafiłam na ludzi, którzy niesamowicie mnie podbudowali.

W 1918 roku moja córka była w Anglii. W Londynie działała księgarnia, w której Polacy mogli wybrać sobie za darmo dwie książki drugiego obiegu. Córka miała wtedy osiemnaście lat. Chodziła do „Trójki" i była w klasie wykładowej z językiem angielskim, więc zgodziliśmy się, żeby pojechała do Londynu. Poszła do tej księgarni i wybrała książkę o Katyniu, bo wiedziała z domu, co to jest. Los tej książki też jest ciekawy. W pewnym momencie zaczął mnie odwiedzać jeden z absolwentów, który w 1981 roku był w marynarce wojennej i odbywał trzyletnią służbę wojskową. Poprosił, żeby Asia, moja córka, uczyła go angielskiego, bo jak mówił – zgłupieje do końca w tym wojsku. Rozmawialiśmy o różnych sprawach i mieliśmy do siebie nawzajem zaufanie. Pożyczyliśmy mu tę książkę o Katyniu i on zabrał ją na okręt.

W stanie wojennym zrobili im jakieś szkolenie uświadamiające o konieczności wprowadzenia stanu wojennego i o tym, jakie to jest wielkie dobro dla narodu polskiego. A on nie wytrzymał i powiedział, że nie może się z tym zgodzić, skoro giną ludzie, skoro Polacy są mordowani przez Polaków. Do tego po-

zwolił sobie na uwagę, że ZSL to jest satelitarna organizacja PZPR-u. Przyszła żandarmeria i aresztowali go.

– Kolego, mogę ci w czymś pomóc? – zapytał cicho jeden z żandarmów, kiedy załatwiali formalności z dowódcą.

To jest znamienne. Niby nic wielkiego. Ale on miał w szufladzie tę książkę i poprosił tamtego, żeby wrzucił książkę do morza. I tamten wrzucił. Książka o Katyniu leży więc gdzieś na dnie w Porcie Marynarki Wojennej. Działo się to na samym początku stanu wojennego. Dowiedziałam się o tym, że Stasiu został aresztowany, bo przyszedł do mnie uczeń technikum. Nie znał mnie, ale przyszedł mi powiedzieć, że przysłał go Stasiu i że był z nim w areszcie przy Starowiejskiej. Trafili do tego aresztu podobne jak wielu chłopców, którzy tu biegali i roznosili ulotki. Chłopak powiedział też, że Stasio prosi o pomoc, bo grozi mu duży wyrok. Był spod Łomży i poprosił, żebym zawiadomiła jego wujka, który pracował w porcie. Mieszkali w domkach jednorodzinnych na Grabówku, poszłam tam, przekazałam informacje i jego ciocia bardzo się w to zaangażowała. Natychmiast poszła do prokuratora wojskowego. Ten powiedział jej, z którego paragrafu jest oskarżony i że grozi mu nawet kara śmierci.

– Panie prokuratorze, czy chłopak, który przyjechał ze wsi, spod Łomży, mógł się stać aż takim wrogiem Polski, że grozi mu kara śmierci?! – ona na to.

Dowiedziała się od prokuratora, że będzie potrzebny adwokat wojskowy. Na szczęście okazało się, że kuzynka tego aresztowanego chodziła do ogólniaka z dziewczynką, której ojciec był prawnikiem wojskowym. Poszłyśmy wtedy z Anią, ciocią chłopca, którego przysłał Stasiu, do tego pana adwokata. Powiedział, że jak najszybciej będzie potrzebna opinia, bo sprawa odbędzie się zaocznie i że nikt nie ma prawa na niej być. Poszłam po tę opinię, ale nie chcieli mnie w ogóle wpuścić na teren szkoły. Wszędzie wojsko. W końcu mnie wpuścili. Napisałam szybko tę opinię, przystawiłam pieczątki. Ale on po mojej szkole skończył jeszcze „Condradinum" i chodziło o to, żeby dostać jeszcze opinię stamtąd. Tam zastępcą była moja przyjaciółka. Moja córka pojechała do Gdańska do „Condradinum" i przyjaciółka napisała opinię. Do tego miałam jeszcze wycinek z gazety. Było tam napisane, jak się ładnie zachował w stosunku do jakiegoś człowieka, który był kaleką. Ten wojskowy, porządny człowiek, wysłuchał tego wszystkiego, wziął te opinie, pokiwał głową i mówi:

– Jak tak ludzi wychowywaliście w tej szkole, to się nie dziwię, że oni zasługują teraz tylko na więzienie.

Powiedział to w dobrej wierze i czułam jakby wtedy mrugał do mnie porozumiewawczo. Myślę, że miał dużo odwagi, żeby przyznać, że jednak jest po naszej stronie. To według mnie, dużo znaczyło – to, że tak się zachował i przyjął tę sprawę. Skończyło się tak, że Stasio dostał rok więzienia. Z Gdyni przenieśli go na Kurkową. Potem wniósł o rewizję. Zmniejszyli mu karę do pół roku, pozbawili go stopnia wojskowego i możliwości dokończenia służby. A potem przenieśli go do więzienia do Koronowa i tam zakończył swój wyrok. Później zaopiekował się nimi jakiś kościół z Bydgoszczy, ale nie wiem, która parafia. Po wyjściu z więzienia miał mundur marynarski jeszcze z zimy, oczywiście już bez żadnych dystynkcji wojskowych. Zaproponowali mu cywilne ubranie, bo musiał wrócić do Gdyni. Powiedział, że nie i że pojedzie w czerwcu właśnie w tym mundu-

rze, żeby ludzie widzieli. Znowu postanowił sobie zamanifestować. Wrócił do Łomży, do dzisiaj mam z nim kontakt. Kiedy mieliśmy z mężem 50-lecie małżeństwa, byliśmy u niego w gościnie. Jak się trochę uspokoiło, ożenił się i wyjechał do Włoch. Był tam, dopóki jego synek nie poszedł do szkoły. Powiedział, że nie chce kształcić swojego dziecka we Włoszech i wraca do Polski. Wrócił do Łomży.

I jeszcze jedna historia młodego człowieka uwikłanego w te wydarzenia. W moim sąsiedztwie mieszkali państwo Jankowscy. Mieli syna, który kończył w tym czasie studia w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Sopocie. Był zaangażowany w działalność podziemną. Wreszcie przyszli, żeby go aresztować. On biedny myślał, że uda mu się uciec, ale złapali go w naszych piwnicach. Nie wiem, jak duży miał wyrok, ale przebywał w Potulicach. Potem jeździłam tam z jego rodzicami. Jeden z absolwentów podał mnie jako osobę, która ma prawo go odwiedzać, bo chłopak nie miał rodziców i też nie był stąd. I jeździłam do Potulic z Jankowskimi. Pan Bień, ojciec pana Bienia, który jest teraz we władzach miasta, przychodził do mnie co miesiąc i przynosił albo paczki żywnościowe, albo pieniądze dla tego chłopca. Pochodziły z kościoła z Obłuża, a wtedy proboszczem był tam ks. Czerwiński. Z panem Bieniem spotkałam się potem w zupełnie innych okolicznościach, zresztą do dzisiaj jak się spotykamy, to rozmawiamy.

Miałam też, tutaj za ścianą, sąsiada, nazywał się Sochaczewski i był głównym konstruktorem w stoczni, a jako młody człowiek brał udział w powstaniu warszawskim. Wybierał się do Warszawy z „podziemnymi" materiałami, ale tutaj, na końcu ulicy, miał wypadek samochodowy i zginął. Wtedy przyszedł milicjant, zadzwonił do mojej córki, bo u niego nikogo nie zastał – on był samotny. Zapytał, czy można uzyskać jakąś informację, gdzie jest jego rodzina. Córka powiedziała, że nie zna adresu, ale że mama zna i że jej przekaże. Przyszło mi wtedy w udziale spełnić przykry obowiązek. Iść do Ani i zawiadomić ją o śmierci brata. Poszłam do niej z moim przyjacielem Edkiem. Pamiętam to jak dziś. Wchodzimy, a ona pyta:

– Co, pewnie znowu któregoś z twoich aresztowali?

Mówię, że nie, że tym razem nikogo nie aresztowali. Musieliśmy jej o tym powiedzieć. Okazało się, że milicja zażyczyła sobie, żeby przyjść i odebrać rzeczy, które miał przy sobie. Ania zapytała, czy z nią pójdę. Poszłyśmy do komendy miejskiej. Ania zastanawiała się, co się z tym stało, co to będzie, jak oni to wszystko mają. Okazało się, że prawdopodobnie ci z pogotowia, którzy przyjechali, stwierdzili zgon i zawieźli ciało do Akademii Medycznej, musieli schować część materiałów, bo nie było ich na milicji. To była ta solidarność, nawet w stosunku do nieżyjącego. Jakieś materiały jednak tam zostały i ten pan oficer zaczął wypytywać, gdzie on jechał. Ania mówi, że do Warszawy.

– Po co?

– Miał otrzymać Krzyż Powstańczy.

– No tak! Bo teraz wszyscy, nawet jak mieli pięć lat, to byli powstańcami! – on na to z przekąsem i wielką ironią.

Nie odezwałyśmy się jednak. Oficer zaczyna wyciągać te dokumenty i co znalazł?! Zdjęcie z chrztu najmłodszej Wałęsówny! Wziął je do ręki i pyta co to.

– To zdjęcie z chrztu Wałęsówny.

– Nie widzę na zdjęciu królowej angielskiej! Podobno miała być – odpowiedział. Oddał jednak te materiały i szczęśliwie stamtąd wyszłyśmy.

Pan Sochaczewski wiózł do Warszawy sporo materiałów, bo jego siostra Anna Kowalczykowa pracowała w sekretariacie Lecha Wałęsy. W ten sposób znalazłam się wśród ludzi, którzy byli niesamowicie aktywni. Pogrzeb brata Ani prowadził ks. Jastak, a msza święta była wielką manifestacją. Uczestniczyli w niej wszyscy znajomi Ani z „Solidarności". Do tego inni znajomi i sąsiedzi. To był wielki pogrzeb. Ania potem co roku w rocznicę śmierci brata zamawiała mszę świętą i organizowała spotkanie. Te spotkania odbywały się najpierw u niej w domu, ale to grono tak się powiększało, że w końcu zaczęliśmy się spotkać w redakcji „Gwiazdy Morza" w Sopocie, gdzie Ania pracowała. Raz był tam nawet pan Lech Kaczyński z żoną. Akurat wtedy przebywał w Gdańsku i też należał do grona jej znajomych.

Anna działała bardzo dużo. Potem pracowała jeszcze w komisji charytatywnej przy kościele św. Brygidy. Jeździli stamtąd do Potulic. Ja też jeździłam tam kilka razy. Podstawiano autokar i za każdym razem były przygotowane paczki dla więźniów. Dobrze, że były, bo przecież myśmy sami mieli kartki i niewiele można było na nie dostać. Nieraz człowiek dostał dwa kilo jakiejś chabaniny albo kości. I co? Z czym jechać do takiego młodego człowieka?

Moja starsza córka też ma specjalną historię związaną ze stanem wojennym. Kiedy ogłosili stan wojenny, ona wychodziła za mąż i musiało to wyglądać inaczej. Szybko z kościoła do domku i wszyscy pilnowali się, żeby z przyjęcia wyjść przed dwudziestą drugą. Tradycją było wtedy, że młodzi składali swoje ślubne kwiaty pod Urzędem Miasta. Mojego zięcia nic nie obchodziło i najważniejsze było dla niego, żeby pojechać tam z żoną i złożyć kwiaty, a myśmy siedzieli i czekali, aż on wróci i zastanawialiśmy się – wróci, czy nie wróci, czy go nie zamkną. Wydaje mi się, że już wtedy milicja starała się troszkę udawać, że nie widzi.

Kiedy ogłoszono stan wojenny męża nie było, bo pracował w Niemczech i on to przeżył jeszcze bardziej niż ja, bo dowiedział się z radia, co się dzieje w Polsce, a nie było przecież już żadnego kontaktu. Potem jeździł do ambasady i załatwiał, żeby móc przyjechać na święta do Polski. Wtedy dużo ludzi z jego firmy chciało przyjechać, a on nie mógł być takim egoistą, więc musiał zorganizować jakiś transport. Przyjechał do Gdyni i w tym busiku, jechało też iluś tam pracowników. Ponieważ mąż jako jedyny miał zezwolenie na przejazd przez granicę i jazdę po Polsce, musiał czekać aż kierowca wszystkich rozwiezie. Wreszcie został już tylko mąż i kierowca. Wracali z Obłuża i tuż koło mojej szkoły, zostali zatrzymani i aresztowani. Oczywiście później go puścili. Zawieźli go chyba do przedsiębiorstwa i tam musiał poczekać, aż minie godzina milicyjna. Przyjechał do domu, ale kazali mu się później przez ileś tam dni meldować. Co ciekawe najpierw trafił do komisariatu portowego i okazało się,

że „przyjmujący" go milicjant był naszym absolwentem. Zobaczył nazwisko, a później mąż pytał mnie:

– Gdzie ty masz te znajomości?! Ten milicjant pytał się, czy jestem twoim mężem.

Potem odesłali go do komendy miejskiej, gdzie odbył „długie rozmowy".

W latach osiemdziesiątych wiedziałam, co się dzieje w stoczni. Wszystko docierało, łącznie z materiałami. Była tego masa i przekazywało się to dalej. Czułam wtedy, że muszę w tym uczestniczyć, choć uważam, że nie robiłam nic wielkiego, ale jak to mówią – ziarnko do ziarnka... Na szczęście nie miałam żadnej wizyty smutnych panów. Widocznie byłam za mało aktywna, żebym zasłużyła na taką wizytę. Chyba nawet ta moja działalność nie była aż tak zakonspirowana. Co miałam, to dawałam potem sąsiadom i gdyby ktoś chciał, mógłby spokojnie przekazać komu trzeba. Zresztą była wtedy cała masa ludzi, którzy nosili to i rozdawali. W sąsiedztwie mieszkał też taki pan Pelc, który był stoczniowcem, a potem pracował w Ceto i aresztowali go za to, że znaleźli przy nim prasę podziemną. To po prostu krążyło i czytaliśmy to bez końca. Te wszystkie wiersze pisane przez domorosłych poetów... Ale to było nieważne, ważna była treść. Docierały wtedy do mnie informacje o tym, że nasza młodzież też angażuje się w podziemie, że jeżdżą do Gdańska, do Św. Brygidy i na demonstracje.

Moim zdaniem ogromną rolę w pokonaniu komunizmu odegrał Karola Wojtyła i jako polski ksiądz, potem biskup i kardynał, a przede wszystkim jako papież Jan Paweł II. Jako papież stał się naszym głosem, którego nie dało się zagłuszyć. Wszystkie pielgrzymki papieża to były wielkie, niezapomniane, głębokie przeżycia, które pozostaną w nas na zawsze. Według mnie były to czasy, w których wyzwoliło się w ludziach wiele dobra. Nie tylko w 1987 roku, ale już od momentu stanu wojennego. Tak jakby nagle eksplodowało dobro. Ludzie byli tak solidarni i tak zjednoczeni, że właściwie na każdego można było liczyć. Żali mi tego i dziś tego mi brakuje. Po tych wszystkich przeżyciach chyba nadal jesteśmy zbyt idealistycznie nastawieni do życia. A nie jest przecież możliwe, żeby coś takiego trwało wiecznie.

Aby podsumować, powiem, że byłam w 2019 roku na uroczystości wręczenia medali im. Eugeniusza Kwiatkowskiego podczas uroczystej sesji Rady Miasta Gdyni. Jurek Miotke otrzymał to wyróżnienie i mówił o tym, komu to zawdzięcza. Jak to zwykle Jurek – nie tylko o mnie nie zapomniał, ale tak mnie gloryfikował, że czułam się tak, jak gdybym to ja otrzymała ten medal. Tak pięknie mówił. Jeżeli znajdzie się uznanie u ludzi, w których człowiek chciałby włożyć coś dobrego i okazuje się, że z tego wyrosło piękne dobro, to są największe nagrody. To jest największa nagroda dla nauczyciela. A co tam taka zasadnicza szkoła! – mówiło się zawsze. Niski poziom, do niczego nie dojdą i tak dalej, robociarze... A ilu było tam wspaniałych, wrażliwych ludzi?! Kiedyś czytaliśmy Kasprowicza i uczeń powiedział mi po lekcji:

– Wie pani, ten wiersz to jednak jest ładny.

Czy to nie jest nagroda? To znaczy, że dobrze przeprowadziłam tę lekcję. Jeden powiedział, a może inni poczuli to samo, ale wtedy nie powiedzieli?

Wiesława Suzga

żona uczestnika strajków i działacza podziemia Tadeusza Suzgi, aresztowanego i więzionego za działalność w tzw. Drugiej Komisji Krajowej.

W 1970 roku mieszkałam jeszcze jako panna w Łebie i w grudniu normalnie przygotowywaliśmy się do Bożego Narodzenia. O wydarzeniach grudniowych nic wtedy do nas nie docierało. Władza zadbała o to, by poza Trójmiastem ludzie nie wiedzieli o dramacie, który rozegrał się w Gdańsku i Gdyni. Wiedzieli jedynie Ci, co słuchali Wolnej Europy, ale w malutkiej Łebie raczej takich osób nie było za wiele.

W 1972 roku wyszłam za mąż i rok później przeprowadziliśmy się do Gdyni. Dopiero po przeprowadzce zaczęły do mnie docierać informacje o grudniowej tragedii. Wtedy dopiero wypytałam Tadeusza, a on opowiedział mi bardzo dużo. Mąż mieszkał w centrum Gdyni, więc widział to wszystko na własne oczy, brał udział w marszu pod Urząd Miasta. Na początku było to dla mnie nie do pojęcia, że Polak może strzelać do Polaka. Dopiero kiedy to wszystko sobie przemyślałam, zaczęło do mnie docierać, że wtedy doszło do strasznych rzeczy, że ileś osób zostało zamordowanych, ileś kolejnych przeszło ścieżki zdrowia, ileś zostało kalekami do końca życia, masa ludzi straciła pracę, a drugie tyle musiało się ukrywać. Podobno nawet do tej pory są nazwiska osób, które wtedy w ten grudniowy poranek wyszły z domu i do dziś nie wróciły. Nie było ich też wśród oficjalnie zabitych... Najbardziej poruszyła mnie i zabolała opowieść o tym, że mój Tadeusz ponad trzy godziny leżał ranny przy płocie Stoczni. Potem jakoś zebrał siły i dotarł pod Urząd Miasta. A tam wojsko i milicja znów zaczęły strzelać. Wtedy Tadeusz uciekł przez tory do Hotelu Bałtyk. Uciekał i słyszał tylko świst kul. W hotelu ktoś wypuścił tylnym wyjściem tych wszystkich, którzy się ukryli, wiedząc, że właśnie wtargnęli milicjanci, by szukać zbiegów sprzed urzędu.

Z tego, co pamiętam z jego opowieści, to Tadeusz zaczął już konspirować po wydarzeniach marcowych 1968 roku. Opowiadał mi o tym wszystkim. Uwierzyłam i zrozumiałam wtedy, że tamta władza jest zła, że nie działa w interesie Polski i Polaków. Mając świadomość Grudnia '70 nie mogłam już wierzyć Gierkowi i jego ekipie. Od samego początku naszego małżeństwa Tadeusz jednoznacznie określił swój stosunek do komuny. Za każdym razem akcentował, że

jest jej wrogiem, że nie zgadza się na taki system i taką władzę, która tak naprawdę sprawowana jest w Moskwie.

Nie ukrywam, trochę mnie to przerażało i martwiłam się o męża. Bałam się o to, że wcześniej czy później coś wywinie. Coś zrobi, a wtedy oni zrobią mu coś dużo gorszego i straszniejszego. Bardzo często czekałam w domu zaniepokojona, bo było już późno, a on nie wracał. Już w latach siedemdziesiątych angażował się w różne działania w kościołach. Występował podczas mszy, spotykał się z ludźmi na plebaniach, coś kolportował, brał udział w różnych debatach. Najczęściej jednak uczestniczył w różnych wydarzeniach w kościele pw. Chrystusa Króla w Małym Kacku. Działał też u ks. Jastaka i ks. Ryby. Współpracował z księdzem Edmundem Skierką, który oficjalnie głosił swoją niechęć do komuny i podczas kazań jednoznacznie opowiadał się po stronie ludzi walczących z PRL-em. Tadeusz jeszcze przed '80 rokiem przynosił z kościoła pw. Najświętszej Marii Panny jakieś wydawnictwa, ale o tym dowiedziałam się dopiero w latach osiemdziesiątych. Wtedy pracował w Instytucie Meteorologii i tam je zanosił. Kiedyś zrobili na niego nagonkę, choć nie mieli pewności, że to on. Został jednak rozpoznany w kościele i tak go skojarzyli.

Tadeusz oczywiście wszystkiego mi nie mówił. Z jednej strony nie chciał mnie denerwować, a z drugiej pewnie obowiązywały go jakieś zasady konspiracji. Pamiętam, jak powiedział mi, że powstał Komitet Obrony Robotników. Było to jakoś zaraz po wydarzeniach w Radomiu w 1976 roku. A potem opowiedział mi o Wolnych Związkach Zawodowych. Mimo tego, że sama byłam przeciw komunie, to zaczęło mnie to martwić. Naprawdę zaczęłam bać się o niego. Nie mówiłam mu tego, bo akceptowałam to, co robi i wiedziałam, że jest po dobrej stronie. Zdawałam sobie przecież sprawę z tego, kto nami rządzi i widziałam jak wygląda życie zwykłego człowieka. Wolałam więc zacisnąć usta i słuchać. Nigdy nie odradzałam mu niczego i nie wzbraniałam.

Bardzo radośnie przeżyłam wybór Karola Wojtyły na papieża, bo tak jak wielu – miałam nadzieję, że Ojciec Święty pomoże, że zrobi dla swoich rodaków coś dobrego. Wtedy nie myślałam, że Jego pierwsza pielgrzymka to była iskra, ale i tak ufałam Jego słowom i działaniom. W każdym razie lżej się na duszy zrobiło. Papież Polak stał się naszym rzecznikiem, głośno mówił o sprawach Polski i Polaków i to musiało przynieść jakiś efekt. Przecież powiedział „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!". Tego chyba komuniści przestraszyli się bardziej niż wszystkich dotychczasowych protestów. Na swój sposób papież wskazał nam wtedy drogę. Powiedział idźcie walczyć... no i my poszliśmy. Znaczy się – mój mąż poszedł, a ja go wsparłam.

W sierpniu 1980 roku, w dniu wybuchu strajku byłam w pracy. Moja firma – Spółdzielnia Pszczelarska, mieściła się przy ul. Świętojańskiej nad siedzibą Społem. Pamiętam, że ktoś podszedł do okna i krzyknął, że milicyjne wozy opancerzone jadą w stronę Placu Kaszubskiego, czyli pewnie na stocznię. Wtedy bardzo poważnie się przestraszyłam. W mojej świadomości jakby ożyły opowieści Tadeusza o Grudniu '70 i zlękłam się, że teraz może wydarzyć się to samo. Spotkałam się z mężem i dostrzegłam jego ogromne podminowanie. Był cały spięty, ale przy tym też bardzo radosny, jakby od dawna na to czekał. Wiedziałam już wtedy, że żadne moja słowa do niego nie dotrą, żadne powstrzymywanie

czy uspokajanie. Zdawałam sobie sprawę z tego, że on właśnie wszedł w swój żywioł. Stało się! Teraz albo nigdy! Wreszcie nastał ten czas... czas odnawiania oblicza tej ziemi. Miałam nadzieję, że tym razem wynik może być pozytywny dla Polski i Polaków. Myślałam nawet o tym, że zmieni się ustrój, że skończy się czas makaronów i octu w sklepie, że zaczniemy żyć po ludzku.

Mój mąż w ,80 roku pracował już w Kombinacie Budowlanym przy ul. Olimpijskiej. Tam bardzo szybko przyłączyli się do strajku w stoczni. O tym, że mąż strajkuje domyśliłam się, bo po prostu nie wrócił z pracy. Wcześniej rozmawialiśmy o możliwości protestu w kombinacie i chyba właśnie tak mnie do tego przygotował. Powołali Komitet Strajkowy, wyznaczyli przedstawicieli i zaczęło się. Oczywiście Tadeusz został też przedstawicielem i negocjował z dyrekcją przedsiębiorstwa. Ja w swoim zakładzie nie strajkowałam. U nas po prostu nie zaiskrzyło. Wreszcie mąż skontaktował się zemną telefonicznie i w pierwszym odruchu kazałam mu przyjść do domu, ale potem już doszliśmy do porozumienia, więc uspokoiłam się i czekałam na rozwój wydarzeń. Śmieję się dzisiaj, że podczas tej rozmowy negocjował też ze mną.

Skoro już zaczął strajkować to moją powinnością, jako żony, było wspieranie męża. Dlatego postanowiłam chodzić pod kombinat i zanosić jedzenie, ubrania i środki czystości. Pierwszym razem poszłam tam z mamą Tadeusza. To była bardzo odważna, zdecydowana i doświadczona przez życie kobieta. Wiem, że nie bała się nawet milicjantowi wykrzyczeć w twarz swojej złości. W Grudniu '70 stanęła na Świętojańskiej naprzeciw milicjantów, którzy szli pacyfikować tłum i nawymyślała im od pachołków. Teściowa podnosiła mnie na duchu. Mówiła, że ten strajk zmieni Polskę, że musimy wspierać Tadeusza i jego kompanów, bo komuniści tego też się boją. Dlatego my, polskie kobiety, musimy twardo stać przy swoich synach, mężach, braciach, ojcach, by pokazać władzy, że strajk jest po obu stronach bramy zakładu. W środku strajkuje załoga, a na zewnątrz ze strajkiem są kobiety mężczyzn, którzy protestują.

Kiedy zaczęły docierać informację o rozprzestrzenianiu się strajku na cały kraju, to mimo strachu, pojawiła się też wielka radość i nadzieja na lepsze jutro. Ważne było też to, że robotnicy wyciągnęli naukę z Grudnia '70 i Czerwca '76. Zostali w zakładach pracy i nie wyszli na ulice.

– Jakbyśmy wyszli, to by nas wybili jak kaczki – podkreślał mój mąż.

Jako przedstawiciel strajkującej załogi Kombinatu Budowlanego Tadeusz był też w Stoczni Gdańskiej. Razem z kolegami z bazy wpadli na pomysł, by zorganizować niezależną informację i zorganizowali to bardzo ciekawie. Do Gdańska pojechała „gruszka", taka wożąca beton, a te samochody miały zamontowane radiostacje, by mieć kontakt z bazą. Stamtąd łączono się z bazą przy ul. Hutniczej w Gdyni, a stąd z Wejherowem. I tak w ciągu kilkudziesięciu sekund i Gdynia, i Wejherowo na bieżąco miały informacje z negocjacji w sali BHP. W ostatnich dniach transmitowano je na żywo. Mój mąż obsługiwał tę radiostację, a komuniści nie mogli odgadnąć, w jaki sposób oni przekazują te wiadomości. Jak mi mówił mąż, w wielu innych zakładach, zdemontowano na okres strajku wszelkie krótkofalówki.

Tadeusz miał w tamtym czasie taką starą, ledwo jeżdżącą Warszawę. Podczas strajku, razem z kolegą mieszkającym na Witominie przewozili różne

materiały. Przede wszystkim ulotki, matryce i farbę drukarską. Czasami jadąc przez Gdynię rozrzucali te ulotki bezpośrednio z samochodu. Ludzie je zbierali i tak informacja się rozchodziła. Wiadomo, w tych ulotkach były przedstawiane działania Komitetu Strajkowego i lista kolejnych zakładów, jakie przystąpiły do strajku. Raz wracając z bibułą z Wejherowa i zaczęli rozrzucać na ul. Chylońskiej. W pewnym momencie za nimi pojawiło się sporo niebieskich kogutów. Udało im się uciec na Witomino. Tam schowali się i czekali ponad godzinę. Po godzinie postanowili Kielecką jechać dalej do Gdańska, a tu za wiaduktem wszystko było już obstawione przez milicję. Okazało się, że czekali na nich. Sytuacja jednak zrobiła się bardzo ciekawa, bo mimo wezwań mój mąż i jego kolega Jurek nie wychodzili z samochodu. Rozmawiali z milicjantami przez uchylona szybę. Tadeusz dał milicjantowi jedynie dowód rejestracyjny i te rozmowy trochę trwały. Powoli wokół zaczęło się zbierać coraz więcej ludzi, aż zebrało się ich tak dużo, że powstał taki kordon, który oddzielił warszawę od milicjantów. Wtedy mój mąż ruszył i szybko dotarli do bazy przy ul. Olimpijskiej, a tam milicja już dostać się nie mogła. Po zakończeniu strajku milicja sama przywiozła ten dowód na bazę. Dzięki wsparciu przechodniów uratowane zostały ulotki, które potem rozrzucono z dachu bloku przy ul. Władysława IV i na Stoczni Marynarki Wojennej. Dużo ulotek rozrzucono też z autobusów. Te praktyki wykorzystywano później w stanie wojennym.

Po zakończeniu strajku w kombinacie Tadeusz działał w Komisji Zakładowej Solidarności, bo oczywiście od razu przystąpił do nowego związku zawodowego i został wybrany wiceprzewodniczącym. Był obserwatorem I Zjazdu w Hali Olivii. Ja natomiast nie przystąpiłam do związku. U mnie w Spółdzielni Solidarność została założona bardzo późno i tworzyli ją ludzie, z którymi nie chciałam mieć za wiele wspólnego. Byli to partyjni, ludzie szefostwa, wyznaczeni przez Komitet Wojewódzki PZPR. Nie podobało mi się to.

Wtedy na chwilę przestałam się bać. W końcu władza zarejestrowała „Solidarność" i dyrekcje akceptowały związek w swoich przedsiębiorstwach. Mój mąż był w swoim żywiole, a ja wspierałam go. Podczas wydarzeń bydgoskich, kiedy Solidarność ogłosiła Ogólnopolskie Pogotowie Strajkowe, które miało skończyć się strajkiem generalnym, mąż ostrzegł mnie, że może być bardzo ostro, że związek będzie walczył, ale jeszcze wtedy nie bałam się. Nadal liczyłam, że działania „Solidarności" przy wsparciu kościoła i papieża doprowadzą do zmiany ustroju w Polsce. Bałam się, ale byłam „za". Tadeusz bardzo szybko miał informacje o pobiciu Jana Rulewskiego, bo nasza koleżanka, nieżyjąca już Jolanta Banach była krewną szefa Regionu Bydgoskiego. Wtedy pojechał do drukarni, zrobili plakaty i obkleili całą Gdynię.

Stan wojenny całkowicie nas zaskoczył. Bardziej mnie, bo mąż co jakiś czas przebąkiwał o działaniach dywersyjnych mających polegać na zmianach nazw ulic, kierunków, np. do stoczni, portu. Ja jednak nie przypuszczałam, że władza zdecyduje się na taki krok. O samym wprowadzeniu dowiedziałam się z telewizji. Włączam, a tu przemawia Jaruzelski. Słucham, a on ogłasza coś, co nazywa się stanem wojennym. Zanim włączyłam telewizor mąż chciał do kogoś zadzwonić, a tu cisza w telefonie. Chciał się z kimś umówić na dostarczenie matryc. Zawsze rozmawiali szyfrem. Tak, że nawet ja nie wiedziałam, że np. ustalają druk gazetek czy ulotek. Jak dotarło do nas, że stało się najgorsze,

mąż zebrał się i natychmiast pojechał do kombinatu. Zjawili się wszyscy ci, którzy mieli się zjawić, po to by „posprzątać" pomieszczenie „Solidarności". Udało im się wszystko wywieźć. Na drugi dzień zjawiła się służba bezpieczeństwa, ale zabrała już tylko resztki. Bardzo szybko dotarła do mnie też informacja o internowaniu solidarnościowców. Pomyślałam, że skoro nie zabrali Tadeusza, to znaczy, że mogę być spokojna, choć on oczy miał zawsze naokoło głowy i mówił mi, że zdaje sobie sprawę z tego, że za nim też mogą „chodzić".

Oczywiście rzucił się od samego początku w wir konspiracji, zebrał zaufanych kolegów i rozpoczęli druk ulotek. Rozchodziły się one błyskawicznie. Mieli swoje kanały i jacyś łącznicy dostarczali je komu trzeba i gdzie trzeba, a potem były kolportowane i w zakładach pracy i na ulicach Gdyni. Część trafiała też do Wejherowa czy Rumi, a może w więcej miejsc. Mąż był dobrze zakonspirowany, unikał przypadkowych spotkań i nieznajomych osób. I tak to trwało prawie rok.

Byłam zdziwiona, że udaje im się tak wodzić komunę za nos. Nie protestowałam, bo wiedziałam, że mąż działa w słusznej sprawie. Kiedyś mocno go pobili na klatce schodowej, w naszej kamienicy przy Świętojańskiej. Mąż wracał akurat do domu z warzywami i mimo skatowania pozbierał je i dotarł na trzecie piętro. U lekarza w historii choroby zostało wpisane, że został pobity przez SB, jednak kiedy zgłosił ten fakt na milicji, to w ogóle nie chcieli z nim gadać. Poszłam razem z nim na komendę na Portową. Śmiali się z Tadeusza, że swoją postawą sam do tego doprowadził. Potem po latach mąż rozpoznał jednego z tych, co go pobili, takiego rudego. Najprawdopodobniej mieszkał on w tej kamienicy przy Hotelu Gdynia. Jak zobaczył męża zaczął uciekać, a Tadeusz za nim krzyczał.

Jak go pobili, już po wizycie w szpitalu, długo rozmawialiśmy i prawie zdecydowaliśmy się na wyjazd. Tadeusz postanowił jeszcze o tym porozmawiać ze swoją matką, a ona zaoponowała, dlatego wtedy nie wyjechaliśmy. Zresztą co jakiś czas oferowano nam paszporty i możliwość wyjazdu za granicę. Oczywiście nie zgadzaliśmy się na to.

W drukarni na Małym Kacku przy ul. Olgierda 7 drukowane były różne rzeczy. Ulotki, odezwy, plakaty oraz gazetki. Przedrukowywano też materiały od „Solidarności Walczącej" z Wrocławia. Wydawano oświadczenia jako II Komisja Krajowa. To bardzo irytowało władzę, bo nie wiedzieli kto się za tym kryje. Materiały podpisywano pseudonimami. Esbecja szalała, a do męża docierały informacje, że są prowadzone szerokie działania SB mające na celu odszukanie działaczy II Komisji Krajowej.

Na początku grudnia 1982 roku Tadeusza zaproszono na spotkanie w tej drukarni. Idąc mówił, że to wbrew jego zasadom, ale pójdzie, bo podobno mają być ważne sprawy omawiane, m.in. co dalej z II Komisją Krajową. Jak dotarł na Olgierda, już w środku zobaczył takiego wysokiego mężczyznę, który nie spodobał mu się i budził podejrzenia. Tadeusz nie zastanawiając się długo postanowił natychmiast wyjść z tego domu. Było jednak już za późno. Nie wiem, czy go sfotografowano, czy nagrano, ale już był spalony. Na drugi dzień rozmawiał ze swoim kolegą z grupy podziemnej i pytał kim jest ten wysoki facet. Dowiedział się, że tamten bardzo chciał dołączyć do konspiracji. Dość

szybko okazało się, że to syn komandora Marynarki Wojennej, który jest tajnym współpracownikiem SB.

Po kilku dniach mąż wrócił z drukarni z teczką pełną gazetek. Było to 1500 egzemplarzy bibuły z Wrocławia. Teczkę postawił za nogę pod masywny stół. Około czwartej lub piątej nad ranem rozległo się pukanie do drzwi. Byliśmy do tego przyzwyczajeni, bo wtedy roznoszono mleko pod drzwi mieszkań, a my dość często zapominaliśmy wystawić butelkę na wymianę i dlatego roznosiciele mleka pukali po czwartej nad ranem do naszych drzwi. W tej konkretnej sytuacji Tadeusz zadziałał jak automat. Chwycił pustą butelkę, uchylił drzwi nie zwalniając łańcucha i wystawił rękę. I to było jego ostatnie podanie butelki. Stojący na zewnątrz chwycił Tadeusza za przegub i nie puścił. Za drzwiami było ich kilku, w tym dwóch żołnierzy z karabinami. Wystraszyłam się bardzo, kiedy weszli do mieszkania. Byli wyjątkowo grzeczni. Rozpoczęło się przeszukanie. Było to 7 grudnia 1982 roku. Po tym przeszukaniu dom wyglądał jakby przeszło tornado. Najśmieszniejsze jest to, że nie znaleźli tej teczki z bibułą za nogą stołu. Ale znaleźli za to inne materiały, które im wystarczyły do zatrzymania męża. Oczywiście okazał się groźnym bandytą, który swoimi działaniami stwarza ogromne zagrożenie. I przede wszystkim chce obalić socjalizm! Aresztował go ubek Juszczuk. Zawieźli go na Kurkową do Gdańska, gdzie dowiedział się, że aresztowanie to efekt wcześniejszego spotkania na Olgierda. Skatowali go wtedy i straszyli, że załatwią jego rodzinę. Wtedy zgarnięto praktycznie całą grupę. Kolega, który zwołał tamto spotkanie też był zatrzymany, lecz szybko go wypuszczono.

Po tym aresztowaniu gazety rozpisywały się, że zatrzymano groźnych przestępców. Do tej pory przechowujemy wycinki prasowe z tamtego okresu. W sumie zatrzymano dziesięć osób. Dostali trzymiesięczne sankcje, a w areszcie siedzieli osiem i pół miesiąca aż do sprawy. Do końca lutego w ogóle nie widziałam męża, nie miałam praktycznie żadnych wiadomości. Jeździłam do prokuratury na Kamienną Górę starając się o zgodę na widzenie. Odsyłali, mówili, że jeszcze nie teraz, że trwają czynności. Później dowiedziałam się od męża, że próbowano go przekabacić, namówić do przyznania się do wszystkiego. Chcieli, aby przeszedł na ich stronę, a oni wtedy wszystko załatwią i my w spokoju wyjedziemy sobie zagranicę, gdzie tylko będziemy chcieli.

W końcu udało mi się otrzymać zgodę na widzenie. Pojechałam na Kurkową, a tam mi powiedzieli, że męża nie ma. Przeraziłam się. Targały mną najczarniejsze myśli. Dopiero po kilku minutach ktoś powiedział, że Tadeusz jest w oliwskim szpitalu na Polanki na badaniach. Pojechałam wtedy do tego szpitala z mamą Tadeusza. Próbowano z nich zrobić „czubków". Szefem był tam komandor Bluma. Swego czasu sama leczyłam się u niego. Poszłam więc i poprosiłam o pomoc. O dziwo zgodził się i wprowadził mnie na ten oddział, gdzie Tadeusz był badany. Na straży stał tam człowiek ze Służby Więziennej. Nie chciał mnie wpuścić, ale po interwencji komandora stanął tylko na baczność i wpuścił. I wreszcie po raz pierwszy od aresztowania zobaczyłam męża! Dałam mu nowe ubranie. Potem opowiadał, że wywołało to spore zamieszanie, bo do szpitala pojechał w jasnych spodniach i ciemnym swetrze, a wrócił w czarnych spodniach i jasnym swetrze. Strażnik próbował wmówić mężowi, że inaczej wszedł do lekarza, na co Tadeusz szedł w zaparte, że to niemożliwe. W więzie-

niu też się zorientowali, że mąż ma nowe ubrania. Siedział wtedy między innymi ze Zbigniewem Lisem i Jackiem Kurskim. Jak mąż siedział pomagano mi i Tadeusz Bień dostarczał paczki. I tak czekałam na dalszy rozwój wydarzeń.

Sprawa jednak się nie odbyła, bo w lipcu 1983 roku władza ogłosiła amnestię.

– Bierz ciuchy i wypierdalaj! – takie słowa usłyszał wtedy Tadeusz od strażnika.

Przed wyjściem nakłaniano go by podpisał lojalkę, Tadeusz jednak nigdzie nie złożył swojego podpisu. Zresztą on nigdy niczego nie podpisywał. Nie wiedziałam, że on wyjdzie i nie czekałam w domu. Akurat byłam z koleżanką w kawiarni Hotelu Gdynia. Spotykali się tam ludzie związani z podziemiem. Siedzę sobie przy stoliku, piję kawę, a tu nagle Tadek staje przede mną. Przeżyłam szok, a zaraz po tym wielką radość.

Potem zaprosił nas ks. Jankowski. Dał po parę złotych i po reklamówce. Wszyscy jak gdyby przeszli do porządku dziennego i uznali, że nie wymagamy już żadnej pomocy. Jedynie ks. Hilary Jastak nie odwrócił się i od niego dostaliśmy wiele pomocy i paczek żywnościowych. Tadeusz na drugi dzień po wyjściu z więzienia poszedł do ojca Edwarda Ryby, do redemptorystów. Działało tam duszpasterstwo ludzi pracy. Tadeusz postanowił zaangażować się i dalej działać na rzecz podziemnej „Solidarności". Mówił mi nawet, że ma świadomość, że nadal będą za nim ubowcy chodzić, ale on nie potrafi siedzieć bezczynnie.

Pamiętam, że bardzo przeżył śmierć księdza Jerzego Popiełuszki, którego znał osobiście. Bywał w Warszawie, bywał u niego na plebanii. Jeździł tam z Szymonem Pawlickim. Załamaliśmy się wtedy. Mąż postanowił pojechać do Pelplina do biskupa Przykuckiego i poprosić go o spowodowanie odczytania we wszystkich gdyńskich kościołach informacji, że konkretnego dnia będą biły dzwony wszystkich świątyni, jako upamiętnienie zamordowanego ks. Jerzego Popiełuszki. I tak się stało. Była to dość mocna manifestacja. Potem w Gdyni organizowano Msze za Ojczyznę. Pojawiała się tam m.in. Wiesława Kwiatkowska, z którą Tadeusz współpracował podczas swojej działalności w kościołach. Czas żyłam nadzieją, że wreszcie uda się pokonać komunę.

Oddzielna opowieść to dbanie o dom i codzienność. Kolejki, kolejki, kolejki! I tak bez końca. Ile ja się nastałam w kolejkach. A to coś rzucili w delikatesach, więc człowiek leciał, stał kilka godzin, a na koniec okazało się, że nie wystarczyło… Za wszystkim stałam. Masło przyszło z Holandii, to stałam, doszłam wreszcie i co? Nie ma! Właśnie zabrakło! Kiełbasa i mięso na kartki, ale jakoś człowiek się przyzwyczaił. Wiem o przywożeniu w tamtym czasie mięsa z kaszubskich wsi, ale ja nie miałam tu rodziny ani znajomych, więc nie mogłam nic załatwić. Jadło się inaczej niż teraz. Jajka sadzone, schabowe z mortadeli... Normalnie pyszności!

A w 1985 wezwali nas, od razu dali paszporty i praktycznie wyrzucili z kraju. To wszystko zadziało się tak szybko! Trafiliśmy do Norwegii. Zabrano nam paszporty. I tak zostaliśmy pozbawieni ojczyzny. Na szczęście w nowym kraju dobrze się nami zajęli. Była praca, dom, wsparcie, aż w końcu obywatelstwo i tak staliśmy się poddanymi króla Olafa V. No ale Tadeusz nie byłby sobą, gdyby czegoś wciąż nie kombinował. Trzy razy udało mu się dostać do Polski przez

zieloną granicę i spotkać ze znajomymi. W Norwegii zaś zorganizował Klub Polski, który organizował spotkania poświęcona Polsce. Mieszkając tam czekaliśmy w napięciu, kiedy będziemy mogli wrócić. Strajki w 1988 dały nadzieję. Cały czas jednak odmawiano nam prawa wjazdu do Polski. Dopiero po okrągłym stole wystąpiliśmy do ambasady o wydanie paszportu. W końcu udało się! Myśleliśmy, że oddadzą nam te stare, ale okazało się, że zostały odesłane do kraju już w 1985 roku. Dostaliśmy nowe, konsularne. Postanowiliśmy sprzedać dom w Norwegii, kupiliśmy samochód ciężarowy, zapakowaliśmy co chcieliśmy zabrać i wróciliśmy do Polski. Tak naprawdę jechaliśmy w nieznane. Kilka dni pomieszkiwaliśmy u znajomego męża na Karwinach. Potem na 5 lat wyjechaliśmy do Łodzi na studia, by wrócić do nowego domku w Pierwoszynie.

Do dziś są pewne sprawy, o których Tadeusz nie mówi nawet mi, i nie wiem, czy kiedykolwiek komukolwiek powie. Chodzi zapewne o nazwiska osób z jego grupy, która tak dawała się komunie we znaki. Wiem, że dwóch kolegów męża już nie żyje. Jak tak myślę po latach, to wydaje mi się, że na swój sposób wspierałam jego działania. Choćby tym, że nie zabraniałam i nie zrzędziłam, choć ciągle się bałam.

Elżbieta Szymańska

prywatny przedsiębiorca już w latach '80 – prowadziła przy ul. Świętojańskiej Salon Piękności vis-a-vis Urzędu Miasta, w którym w stanie wojennym mieścił się punkt kontaktowy, gdzie przekazywano prasę podziemną.

Jest rok 1970, grudzień. Tłumy zbierają się pod Urzędem Miasta. Jestem tam i ja. Ludzie maszerują, niosą na drzwiach jakiegoś człowieka, którego zastrzelono. Było wiadomo, że to się działo w stoczni. Atmosfera grozy, zaczynają latać helikoptery. Ktoś przemawiał, to już się wszystko zakończyło. Minęło kilka godzin, rozstajemy się i idziemy do domów...

Mieszkałam na ulicy Kieleckiej i żeby spod urzędu przejść do domu, musiałam iść pod wiaduktem. Dla mnie za długo więc poszłam przez tory. Jestem już na torach, przeskakuję i nagle czuję na sobie ciężar. Upadł na mnie młody człowiek. Przerażona słyszę:

– Uciekaj, babo!

Patrzę a ci przez te tory w kierunku Kieleckiej! Ten człowiek był we krwi, położyłam go, nie sprawdziłam nawet co z nim. Nie wiem nawet kim był. Chyba był śmiertelnie ranny. W każdym razie zostawiłam go na tych torach i uciekałam w kierunku Kieleckiej. A na Kieleckiej był hotel Bałtyk, w którym zatrzymała się delegacja Anglików. W tym hotelu był kiosk z papierosami. Wchodzę tam i słyszę:

– Pani Elu, niech pani ucieka! Myśmy pozanosiły tych Anglików w prześcieradłach do pokojów! Czekamy, żeby pogotowie przyjechało.

Tam był taki tarasik i ci Anglicy z ciekawości wyleźli, żeby zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz. A jak wyszli, to ich dorwali i spałowali. Chyba ZOMO, bo kto inny w tym czasie? I już im się odechciało oglądać Polskę i stocznię!

Rok 1980 to była niesłychana radość. Coś się dzieje i może zapowiada się na jakiekolwiek zmiany na lepsze! A żyło się wtedy bardzo trudno. Choć ja nigdy nie byłam w biedzie ani w ciężkich warunkach. Bo i wygodnie mieszkałam, i miałam dobrą, dobrze płatną pracę. Mimo to w 1980 roku bardzo chciałam być aktywna i pomóc. Śledziłam wydarzenia w stoczni głównie w radiu i dzięki znajomym. Brałam garnki, gotowałam i woziłam pod bramę stoczni. Robiłam to z ogromnej sympatii do tych ludzi. Jak podchodziłam pod tę bramę, czułam, że to wzniosły moment. Wspierałam tych młodych ludzi, którzy byli pełni optymizmu i nie mieli żadnych wątpliwości. Moja rola sprowadzała

się gównie do tego. Rozmawiałam z nimi przez bramę. Wiem, że oni na pewno czekali na wsparcie, ale niekoniecznie na te dary. Nie widziałam, żeby byli głodni, ale czułam, że bardzo potrzebują takiego duchowego wsparcia, potwierdzenia, że to się musi udać. Nawet przez moment nie widziałam u nich żadnych wątpliwości, a jeździłam tam przez kilka dni.

Bardzo chciałam gdzieś się dostać, żeby cokolwiek robić. Żebym mogła choć roznosić ulotki. Po czasie dowiedziałam się, że wielu z moich znajomych było pomocnych i aktywnych, ale widocznie nie mówiło się o tym głośno. Nie wiedziałam jednak, gdzie mam się udać, żebym mogła zacząć działać. I to jest cały mój udział w sierpniu 1980. Nie mówiłam nikomu o tym, że tam jeżdżę. Uważam, że to nie był z mojej strony żaden wyczyn ani bohaterstwo.

Potem, już po sierpniu, spotykaliśmy się prywatnie, między innymi u Wiesi Kwiatkowskiej, która była dziennikarką, i od niej dowiadywaliśmy się później z pierwszej ręki, co i kto, bo ona miała więcej kontaktów. To był cudowny, wspaniały czas. Łączyliśmy się. Później jak już były wiece, brałam udział we wszystkich. Jeździłam też do kościoła św. Brygidy. Pamiętam, chociaż nie wiem, czy to było w 1980 roku, jak miała przyjechać rodzina Kennedych. Wiadomo, wielki świat, Ameryka, high life... Były tłumy ludzi. Myślałam, że zajadą jakieś mercedesy albo coś takiego. Patrzę, a tam przyjechały dwa rozklekotane SAN-y, z których wyszły córki i bliska rodzina. Później w Brygidzie odbyła się msza święta z ich udziałem. Na tle tego, co się działo, to było coś takiego, co dawało nam nadzieję, że jest poparcie. I to z Ameryki!

Z zawodu jestem kosmetyczką, więc miałam duży kontakt z ludźmi, głównie z kobietami. W 1980 roku założyłam pierwszy prywatny gabinet kosmetyczny. Pracowałam w takiej Spółdzielni Fryzjersko-Kosmetycznej, a że akurat zwolnił się lokal, to udało mi się stamtąd wyrwać. Łatwo nie było i bardzo mi to utrudniano, łącznie z moim prezesem, który uważał, że jestem bardzo dobrym pracownikiem. W tamtym czasie funkcjonowały takie osiedlowe rady i kiedy ich działacze dowiedzieli się, że chcę gabinet kosmetyczny otworzyć... W tym komunizmie, taki luksus, babie się w głowie przewraca! To było bardzo źle widziane. W końcu dopięłam swego i dostałam zezwolenie, choć po znajomości. W związku z tym przychodziło do mnie dużo kobiet, także tych wpływowych, które coś znaczyły w różnych środowiskach. Przychodziła na przykład Franciszka Cegielska, przychodziły babki z urzędu i tak dalej. Wszyscy znali moje poglądy, bo się nie krępowałam i wyrażałam je, nie słuchając, co one mają do powiedzenia. Jestem bardzo empatyczna i wystarczy jedno zdanie, a już wiem kto po czyjej jest stronie.

Okres „Solidarności" obfitował w wiele wydarzeń. Dużo rozmawiało się o kondycji władzy i o tym, co myślą w Moskwie i czy planują interwencję zbrojną. Co jakiś czas jak grom z jasnego nieba pojawiła się informacja, że Ruskie stoją za Bugiem. Stali tam pewnie od 1945 roku! Zresztą w Polsce też ich było co niemiara. Baliśmy się, że Breżniew postawi Jaruzelskiemu jakieś ultimatum. Jak w marcu '81 doszło w Bydgoszczy do awantury na Wojewódzkiej Radzie Narodowej, to rozmawiało się o tym, że to jest prowokacja. Żyliśmy tym i cieszyliśmy się, że w ogóle coś się dzieje, że to wszystko zaczyna dziać się na otwartej scenie, a nie w zakamarkach. Władza jednak na początku udawała, że chce rozmawiać, potem jednak było coraz gorzej.

A stan wojenny? Dwunastego są imieniny Aleksandry, jestem na przyjęciu na ulicy Wejhera na Żabiance w Gdańsku. Wszyscy świetnie się bawimy, okna pootwierane. Koło dwunastej jeden z biesiadników, mąż solenizantki, wziął i wywalił marynarkę przez okno. Poszedł po nią, wraca i mówi:

– Ja chyba za dużo wypiłem.

Zaczął nam opowiadać o wojsku i o tej sytuacji, powiedziałabym, wojennej. Pomyśleliśmy, że się urżnął kompletnie i ma jakieś zwidy. Szybko jednak zmieniliśmy zdanie. Wyszliśmy i rzeczywiście! Dwa wyjścia dalej mieszkali państwo Gwiazdowie i chyba po nich przyjechała milicja. Było ich mnóstwo. Nieprzyjemnych i agresywnych typów. To było wielkie zaskoczenie i szok. Czuło się wrogość. Inwazja! Pojechaliśmy do domów. W niedzielę rano włączyłam radio, a tam jakieś niespójne informacje. W telewizji muzyka żałobna.

– Telewizor nie działa. Coś lata – zauważył mąż.

Przychodzę a tam... Jak ten spiker w mundurze wojskowym się nazywał?! Nie pamiętam, ale jego gębę zapamiętałam na całe życie. Wyprostowany, sztywny, mówiący silnym, zdecydowanym głosem. Obwieścił zwycięstwo. Złapaliśmy za telefon, ale nie było połączeń. A co to?! Trzecia wojna światowa? – myślę sobie. A jak obejrzałam przemówienie Jaruzelskiego, to szlag mnie trafił. Całe wystąpienie dla dobra ludu, w imię partii! Samo dobrodziejstwo nas spotkało. Dobrodziej uchronił nas przed atakiem! Jednak mnie to nie przestraszyło. Ja w ogóle nie bałam się niczego. Do dzisiaj się nie boję.

A potem nastały smutek i beznadzieja. To było bardzo smutne, ale nie przypominam sobie, żebym z kimkolwiek rozmawiała na ten temat. Wszyscy narzekaliśmy, naśmiewaliśmy się z WRON-y, całego tego wspaniałego ZOMO, przewodniej partii i tego wszystkiego. Natychmiast powstało kilka dobrych dowcipów, którymi próbowaliśmy zrównoważyć ten bezmiar terroru zafundowany nam przez władzę. Wśród moich znajomych było kilka internowanych pań. Największe wrażenie zrobiło na mnie skazanie Ewy Kubasiewicz. Przecież kara była niewyobrażalnie nieproporcjonalna do przewinienia. To było okropne! Wśród najbliższych komentowało się, że to skandaliczny wyrok, nieadekwatny do niczego.

Mieliśmy pewność i nie budziło to żadnych wątpliwości, że wszystko to dzieje się na zlecenie i w ścisłej współpracy z Sowietami. Z drugiej strony nie wierzyliśmy, że stan wojenny będzie trwał wiecznie. Mieliśmy nadzieję, że prędzej czy później coś musi się jednak zmienić. Tak. Wszyscy tak myśleliśmy, że to potrwa jakiś czas, ale to nienaturalny stan. A z tą obroną przed najazdem to blef i wszyscy to powtarzali.

Poczułam wtedy, że muszę pomóc rodzinom internowanych. Przelewało się jakieś niewielkie pieniądze na konto czy dawało komuś do ręki, ale to nie była jakaś regularna pomoc. Do gabinetu przynoszono mi gazetki podziemne, a ja rozdawałam je, komu trzeba było. Mój gabinet mieścił się prawie naprzeciwko urzędu na Świętojańskiej, więc punkt idealny. Choć nie zawsze, bo kiedyś coś się działo pod tym urzędem, a my leżeliśmy, bo strzelali. Pamiętam, że zamknęłam wtedy gabinet i poszłam w ten tłum. Szłam i czułam, że krąży tam „obce ciało". Nie wiedzieć czemu i skąd kręcili się młodzi ludzie, nawet nieźle ubrani, w dobrych nastrojach i dobrze zbudowani. Czułam, że to jest prowokacja i odezwałam się do jednego z nich:

– W jakiej roli pan tu występuje?

Później wróciłam do gabinetu i obserwowałam. Musieli być na jakimś rauszu, bo zachowywali się okropnie. Miałam cały plac przed sobą i widziałam przez wielkie okna, co się dzieje. Nagle widzę, że idzie dwójka dzieci. Dwóch chłopców. Oni zaraz za te dzieci i wciągnęli je do takiego wozu. Wyskoczyłam i krzyczę:

– Wara od tych dzieci!

Zobaczyli wściekłą babę i te dzieci wypuścili.

– Pani Elu, pani Elu! Co pani wyrabia?! Pani naraża siebie i nas! – krzyczeli ludzie z okien, bo tam już był teatr w oknach na poduszkach.

To był oburzający incydent, ale dałam radę. Uratowałam tych chłopców, wzięłam do gabinetu, dowiedziałam się, gdzie pracuje ich mama. Okazało się, że ci chłopcy szli do matki, która pracowała w sklepie spożywczym.

Pewną konsekwencją stanu wojennego stało się bestialskie zamordowanie ks. Jerzego Popiełuszki. To było straszne, bo dużo się o nim słyszało. Ja słyszałam nagrania kazań. Był odważny, mądry, budujący. Nie było mowy o wrogości czy odwecie. Wręcz przeciwnie – zawsze mówił o wybaczaniu. – Co, do cholery, ciągle tej swołoczy wybaczać? Końca nie ma?! – myślałam sobie słuchając tych słów.

A kiedy doszło do tego nieszczęsnego, tragicznego porwania, to co można było zrobić? Wszyscy bardzo to przeżyliśmy. W tym czasie w kościołach funkcjonował jakby taki wentyl. Pamiętam, że chodziłam na spotkania do franciszkanów, do Serca Jezusowego. Byli też redemptoryści, ks. Jastak, który gromadził wokół siebie ludzi o tych samych poglądach i tym samym nastawieniu. Zbieraliśmy się tam i dobrze się czuliśmy. Myślę, że w tym czasie ludzie bardzo się zjednoczyli. Takie drastyczne sytuacje zawsze nas łączą. Smutne jest jednak to, że wystarczy delikatny powiew dobrobytu i już nas to wszystko dzieli. Nie wiem, jak to jest?!

Msza odprawiana przez Ojca Świętego w czerwcu 1987 roku na Skwerze Kościuszki mnie ominęła. Niestety byłam wtedy w szpitalu. Wszystko przeżywałam, bo zbieraliśmy się w kościele i rozmawialiśmy o tych wydarzeniach i o tym niezwykłym, nadzwyczajnym wydarzeniu. Rozmawiałam w szpitalu z lekarzami. To było nadzwyczajne, a jednocześnie starano się bardzo umniejszyć rangę tego wydarzenia. Nie mogę sobie przypomnieć, co mnie tak w tamtym czasie uderzyło. Ale gdynianie się nie dali i przyszły tłumy. Po pielgrzymce na pewno byliśmy wszyscy wzmocnieni. Wierzyliśmy, że mamy rację, że warto. W tym przesłaniu chodziło m.in. o to, żeby mieć odwagę, nie rezygnować ze swoich celów. Żebyśmy się łączyli, nie dzielili. Myślę, że to było nadzwyczajne. Tak jak wszystkie Jego wystąpienia. Pamiętam pierwszy przyjazd Jana Pawła II do Warszawy. Stałam pod Kolumną Zygmunta. W tym tłumie zobaczyli mnie jacyś Amerykanie. Amerykański dziennikarz podszedł do mnie i zapytał, skąd jestem. Powiedziałam, że z Gdyni. Mąż stał obok i powiedział, żebym dodała więcej szczegółów. W ten sposób chciał mi zwrócić uwagę na to, że za dużo mówię.

W czasie tak wielkich zmian i zmagań ludziom włączają się różne instynkty. Również u nas w Gdyni są tacy, którzy nadal wierzą w „Solidarność" i tacy, którzy nie mogą zaakceptować tego, co ona zrobiła. Myślę, że to nadal w lu-

dziach siedzi, choć upłynęło już tyle lat. Myślę, że zawsze byliśmy podzieleni. Byli ludzie bardzo odważni i działający, ale było też bardzo dużo osób, które miały za złe. Zarzucali nam, że nasza postawą doprowadzimy do tego, że Sowieci wejdą i zniszczą kraj. Twierdzili, że przecież się odbudowaliśmy i jest dobrze. Ta stagnacja im pasowała. No i to budujące hasło: „Po równo wszystkim". Wszyscy mamy te same żołądki! – to był argument. Myślę, że te podziały funkcjonowały od zawsze. Każda postawa zależy od życiorysu i tego, co kto wyniósł z domu.

Wiem, że byłam pod lupą esbecji, choć nie wiem jak długo. Kiedyś spotkała mnie taka dziwna sytuacja. Chciałam wyjechać za granicę i pamiętam, jak poszłam po paszport do urzędu przy ulicy Portowej. Były jakieś rozmowy, później jakaś podmianka, usiadł jakiś inny pan. Były dowcipy.

– Proszę pana, wracajmy do sprawy, bo potrzebuję paszportu! – mówię wreszcie.

A on wyskakuje z pytaniami. Gdzie pani pracuje? Co pani robi? Czy pani lubi coś tam?

– To nie na tę okoliczność mnie pan wypytuje. Ja tu po paszport przyszłam! – stwierdziłam, bo w pewnym momencie padła taka sugestia, żebym częściej się z nimi spotykała.

Wiedziałam dokładnie, o co im chodzi. Byłam dla nich łakomym kąskiem. Przecież do mnie przychodziły panie z różnych środowisk. Moimi klientkami były też milicjantki. Wtedy zaczęła się ta moda i wszystkie nagle wielkie damy się porobiły, głównie te z „czworaków". Lubiły do mnie przychodzić, ponieważ miałam bardzo dobrze wyposażony gabinet. Mój mąż pracował w tym czasie w Niemczech w fabryce, gdzie produkowano te słynne solaria. Poza tym zawsze byłam na bieżąco z nowinkami i dzięki temu zdobyłam popularność wśród kobiet. Zawsze nastawiałam spokojną muzykę i mówiłam:

– Pani odpocznie – bo ona akurat zaczynała opowiadać o mężu, o przyjacielu, o dzieciach. Co mnie raczej specjalnie nie interesowało, a wręcz męczyło.

Zawsze nastawiałam muzykę i w ten sposób chroniłam się przed ich męczącymi opowieściami i wynurzeniami. Więc takiej wymiany zdań specjalnie nie było. Specjalnie nie prowadziłam takich rozmów.

Już pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęłam dowiadywać się kto z moich znajomych działa w podziemiu. Po pielgrzymce Ojca Świętego nastąpiło pewne rozluźnienie. Choć jeszcze w 1988 oni próbowali trzymać rękę na pulsie. Nawet do zakładu zaczęły przyłazić mi jakieś dziwne kobiety. Choć zamawiały usługę, to tak naprawdę nie przychodziły po to, by wyjść pięknymi. Wiedziałam, że to była obserwacja i próby wyciągnięcia ode mnie informacji. Te kobiety prowadziły ze mną rozmowy, tylko ja się nie dałam.

Nigdy nie potrzebowałam obnosić się z moimi poglądami. Kto miał wiedzieć to wiedział. Ludzie z podziemia znali moje przekonania, bo znaliśmy się od lat. Nikt mnie nigdy nie ostrzegał, nie było jakichś specjalnych zaleceń dotyczących ostrożności. Znaliśmy się przecież prywatnie. Znaliśmy własne życiorysy, opowiadania z domów rodzinnych. Kto skąd jest, kto, za czym i za kim. Opowiadałyśmy sobie o tym, skąd są nasze rodziny i wiedzieliśmy o sobie dużo, a łączył nas przede wszystkim kościół.

Aleksandra Szyszkowska

pracownica Polskich Linii Oceanicznych, kasjerka wypłacające pensje marynarzom. W 1996 roku odeszła na rentę.

Niewiele mogę powiedzieć o latach osiemdziesiątych. Byłam wtedy wyłączona i nie angażowałam się w politykę czy coś takiego. Zajmowałam się domem i córką. Wiedziałam, że ludzie walczą i całym sercem popierałam ich strajki, ale tylko tyle.

Owszem coś pamiętam. Pamiętam tę atmosferę, bo wakacje 1980 roku od samego początku pachniały zmianą. Czuło się, że coś może się wydarzyć. Już w lipcu docierały do mnie informacje o strajkach w Lublinie. Znajomi mówili, że cała Polska może się ruszyć, że ludzie mają już dość, że tym razem nie odpuścimy władzy i będzie musiała się ugiąć. Działo się to praktycznie w całej Polsce. Ale o tym, że może stanąć stocznia, nie myślałam. Po prostu pochłonięta codziennością nie zastanawiałam się nad tym. Jednak 15 sierpnia Stocznia im. Komuny Paryskiej stanęła. Przyswoiłam to sobie i pojawiły się pewne obawy i wątpliwości, ponieważ pamiętałam Grudzień '70. Przecież wtedy zginęli stoczniowcy.

Ten rok 1970 pamiętam. Przeżyłam to bardzo osobiście. Pamiętam, że wcześniej szłam z jakąś manifestacją pod Urząd Miasta. Później przemawiał

w telewizji Kociołek i powiedział, że jutro wszyscy mają iść do pracy. Ludzie w to uwierzyli i poszli, a o szóstej rano była ta strzelanina.

Mieszkałam na Wzgórzu Maksymiliana i kiedy schodziłam schodami koło franciszkanów, zaczepiała mnie sąsiadka i pyta:

– Dokąd pani idzie?"

– Do pracy!

– Mój mąż poszedł do stoczni o szóstej rano, a tam strzelają! – płakała na tych schodach i prosiła, żebym się cofnęła.

No ale jak nie iść do pracy?! Jak to? Poszłam na przystanek koło poczty na Świętojańskiej, ale nic już nie jeździło. Stało tam tylko kilku panów w mundurach ze Szkoły Morskiej. Jechaliśmy wszyscy na Grabówek, więc zabraliśmy się taksówką. Dotarłam do pracy, ale nie mogłam już stamtąd wrócić, bo cała ulica Czerwonych Kosynierów, dziś Morska, była obstawiona zomowcami.

Bałam się. Moja siostra mieszkała w Chyloni, więc udałam się do niej. Dzwonili z pracy, pytali, gdzie jestem, bo się o mnie bali. Udało mi się skontaktować z mamą. Mieszkała na Pogórzu. Dowiedziałam się od niej, że wokół jest tyle gazów łzawiących, że nie mogą otworzyć okna. A tam było przecież moje półroczne dziecko! Musiałam po nie jechać, ale żaden taryfiarz nie chciał mnie zawieść, po prostu się bali.

– Pani wie, co tam się dzieje?! Szyby mamy powybijane! – powtarzali.

Wreszcie jeden pan się zgodził pod warunkiem, że będę z nim wracać. Jechaliśmy i widziałam szpaler przy ul. Czerwonych Kosynierów, pokrwawione, zabandażowane głowy. Kiedy przejeżdżało się koło wiaduktu na Śląskiej, miałam wrażenie, że były tam zwłoki poprzykrywane papierami. Ludzie wokół krzyczeli:

– Gdzie wy jedziecie? Cofajcie się, bo tam rzucają!

I rzeczywiście, wszystkie samochody miały pobite szyby. Ale ten pan jechał lasem, od strony Redłowa, i jakoś dojechaliśmy na to Pogórze. Wzięłam pieluchy, córkę i pojechaliśmy z powrotem. Przez tydzień mieszkałam u mojej siostry. Był tam blok wojskowy, a bloki policyjne były gdzieś koło Zamenhofa i tylko w nocy patrzyłyśmy z siostrą, jak oni nocami biegają po piwnicach. Wszystko działo się w nocy. Bardzo to przeżywałam.

A sierpień 1980? Na pewno się bałam i przeżywałam to, ale nie mogę powiedzieć, że wtedy było mi źle. To, jak wspominałam, nie dotyczyło mnie. Nie byłam z nikim politycznie związana, więc nikt mnie nie nagabywał. Żyłam sobie spokojnie – tak, jak zawsze. W moim życiu nic się nie zmieniło. Oczywiście, obserwowałam to, co się dzieje. Kiedy wybuchły strajki sierpniowe rozmawiało się dużo. Oj bardzo dużo się rozmawiało! I z rodziną i ze znajomymi. Każdy praktycznie chciał wiedzieć, co dzieje się w Stoczni, Porcie czy w ogóle w Gdyni i Gdańsku. Wszyscy zastanawiali się dokąd to zmierza i przede wszystkim, co zrobi władza. Jak zareaguje, czy znów zacznie strzelać, a czołgi wyjadą na ulice. Bałam się powtórki Grudnia '70. Przeżywałam to, ale cały czas liczyłam na Stocznię Gdańską, na to, że oni to wszystko załatwią. A dziś nad tym ubolewam, bo to nie miało być tak załatwione.

Nie angażowałam się, ale miałam wyrobione zdanie. W pewnym momencie syn moich znajomych biegał po ul. Krasickiego i rozdawał KOR-owskie czasopismo. Jak zaczęłam to czytać i analizować, kto tam jest na tych listach, stwierdziłam, że to wszystko stalinowskie dzieci. Doszłam do tego jeszcze zanim były strajki. Wiedziałam, że to jest oszustwo, widziałam to w tych broszurkach KOR-u. Cóż tu mówić? Słuchało się wtedy Radia Wolna Europa czy Radia Luksemburg i usłyszałam kiedyś Geremka, jak szkalował Polskę. Powiedziałam wtedy, że to są fałszywcy i zmieniłam punkt widzenia na to wszystko. I to się potwierdziło. Oni się pod nich podszyli, żeby na naszych plecach dojść do władzy.

Poza tym i może będzie to dziwne, ale żyło mi się dobrze. Choć dla wielu Polaków życie w tamtych czasach to była prawdziwa gehenna, ja muszę powiedzieć, że dawałam sobie radę. Braki w zaopatrzeniu i ten wieczny kryzys w mojej rodzinie nie wzbudzał zagrożenia. Miałam zapas potrzebnych produktów i nie było potrzeby, że muszę akurat kupić buty czy coś. To akurat mnie nie interesowało. Mój mąż pływał i zawsze ustalaliśmy, co ma przywieść z kolejnego rejsu. Starał się zawsze kupić co trzeba i dzięki temu mieliśmy pewien komfort. Poza tym, jeśli chodzi o towary spożywcze, jakoś wspólnie się dzieliliśmy. To moja mama poszła i coś kupiła, a to ja kupiłam. Jakoś dawaliśmy sobie radę. Cukru z kartek miałam tyle, ile nigdy w życiu. Mąż był na statku, więc nie korzystał, ja też mało słodziłam. Kartki na cukier oddawałam innym, bo miałam nadmiar. Radziliśmy sobie wbrew temu, co wszyscy mówią o kartkach, o tym, że brakowało butów i innych rzeczy.

Ten stan to było coś nienormalnego i mimo tego, że nie odczuwaliśmy braków, to jakoś w tej rzeczywistości należało funkcjonować. Mąż przywoził również artykuły spożywcze, w tym owoce i słodycze. Kiedy córka chodziła do szkoły, to dawałam jej te rarytasy do szkoły. Ale jeśli już dawałam, to dla wszystkich. Nigdy nie było tak, żeby niosła coś do szkoły i nie mogła się podzielić. Albo dawałam tyle, żeby mogła się ze wszystkimi podzielić, albo nie dostawała w ogóle. Chodziło mi o to, by nie budować barier pomiędzy dziećmi, że ktoś jest lepszy, bo ma banany czy pomarańcze albo jakieś słodkości z Zachodu. Dzieci nie rozumieją wielu spraw dorosłych, a różnice bardzo często wykorzystują do generowania niepotrzebnych konfliktów czy pokazywania, kto jest bogatszy czy lepszy. Nie pozawalałam córce na takie zachowania.

I tak powoli się żyło po tym Sierpniu. Mąż marynarz, więc nie za bardzo docierało do mnie to, co działo się wokół „Solidarności". Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że władza nie odpuści. Ludzie opowiadali różne rzeczy. Słyszałam o aresztowaniach, a różnych strajkach i akacjach protestacyjnych, ale z czasem stawało się to naturalne. Ludzie po prostu walczą o swoje i chcą jak najlepiej dla kraju.

Stan wojenny był dla mnie ogromnym i złym zaskoczeniem. Pierwsze wrażenie było straszne, bo nie wiedziałam, co ten stan wojenny znaczy, na czym polega. Ale potem było spokojnie i już nie robiło to na mnie większego wrażenia. Było spokojnie, bezpiecznie i nie analizowałam. Pierwsze wrażenie było okropne, ale potem, kiedy zobaczyłam, na czym to polega... Nie zauważyłam, żeby działo się coś poza godziną milicyjną i tym, że trzeba było wracać

do domu. Mąż, kiedy był w kraju, musiał chodzić na statek z przepustką. Dla mnie najważniejsze było bezpieczeństwo mojej rodziny. I chyba nie do końca zdawałam sobie sprawę z ogromu restrykcji i inwigilacji ze strony władzy. Czasami ktoś mówił o internowanych, więzionych czy prześladowanych. Nie wiedziałam jak mogę pomóc i chyba trochę bałam się, że jakoś i mnie może to dotknąć.

Niewiele pamiętam z tego stanu wojennego. Chyba bardziej nasze żarty z sąsiadką, że możemy po godzinie 22 wracać spokojnie do domu. Miałyśmy kolegę wojskowego i jak wracałyśmy rano z nim, to nas puszczali, bo przecież szłyśmy z wojskowym. Mleczko spod drzwi się z rana wypiło i wracało spokojnie, mimo tych niespokojnych czasów.

Z drugiej strony miałam już wyrobione zdanie. Załucki mnie nawet wciągnął i byłam mężem zaufania Wałęsy. Dzisiaj pluję na to, co zrobiłam.

Chyba najważniejsze w tym wszystkim dla mnie było to, że mieliśmy Papieża Polaka. Oczywiście byłam na uroczystościach w 1987 roku, kiedy Jan Paweł II odwiedził Gdynię. Stałam godzinami, najpierw na 10 Lutego, jak przejeżdżał, a potem przenieśliśmy się na Skwer. To było piękne – te słowa, to przesłanie. Uczestnicząc w tej mszy świętej, pomyślałam, że papież przyjechał i znów dał nadzieję, natchnął nas do tego, by coś się zmieniło. Jakbym wewnętrznie tego chciała. Oglądałam i słuchałam z głębokim zainteresowaniem. To było bardzo duże przeżycie. Wtedy przypomniały mi się słowa „Niech zstąpi Duch Twój..." wypowiedziane w Warszawie w 1979 roku, podczas pierwszej pielgrzymki. To wszystko było tak mądre. Żeby tylko ludzie zatrzymali sobie na dłużej w sercu to, co usłyszeli, to byłoby dobrze.

A potem jakby czas przyspieszył. Nawet nie obejrzałam się, a tu nadszedł rok 1989 i te niby zmiany. Źle się stało, że tak to się w Polsce odbyło. A o części „Solidarności" z tamtego okresu to nie chce mi się nawet mówić, po prostu ich wykreślam. Wkurza mnie ta „Solidarność". Nie mówię o prawdziwej „Solidarności", tylko o Borusewiczach i tych innych. Miliony ludzi były w prawdziwej „Solidarności", a nie ci, co się podszywali...

Nie interesowałam się polityką, ale za to wychowanie córki pochłaniało mnie niesamowicie. Najpierw szkoła podstawowa i wspaniali nauczyciele, którzy wcześniej uczyli mnie. Relacja z nimi była doskonała. Były tam też fajne matki – robiłyśmy kanapki w domu i zanosiłyśmy dzieciom na długą przerwę. Do tego kakao, mleko – wszystko społecznie, ze składek. Lata córki w szkole podstawowej wspominam bardzo miło.

A później była szkoła średnia mojej córki. Choć wiem, że szkoła ta, czyli słynna „Trójka", bardzo często stawała się takim miejscem nieskrępowanego przepływu idei, to moja córka nie angażowała się politycznie. Ona grała w siatkówkę w Starcie Gdynia i to był jej świat. I chyba przez tę siatkówkę miałam najwięcej problemów, ponieważ nauczyciele wzywali mnie i tłumaczyli, że siatkówka jej chleba nie da. A córka nieraz opuszczała lekcje z powodu treningów i wyjazdów.

Pamiętam taki epizod, podczas jednego z turniejów. Do Polski przyjechała drużyna z Kilonii. Odbyło się wtedy spotkanie w moim mieszkaniu. Nasz lekarz, trener i ci z Kilonii. Niemcy wtedy przywieźli dary dla naszych dziewczyn

i zostawili u mnie, bo nie chcieli dawać przełożonym. Wyczuli naszych działaczy i obawiali się tego, iż te dary nie trafią do zawodniczek, tylko Zarząd klubu je sobie przywłaszczy. W klubie się chyba o tym nie dowiedzieli, ale dziewczyny ze Startu dostały co trzeba i podzieliły się między sobą. To było bardzo fajne. Oni sami to zaproponowali.

Nie politykowaliśmy, nie było na to czasu. Córka miała tu szkołę, tam trening – chodziłam z nią, zawoziłam, odwoziłam też inne dziewczyny z drużyny. Mogę powiedzieć, że w taki sposób się angażowałam. Tak właśnie się żyło i panowała jakaś większa integracja, większa życzliwość. A teraz według mnie jest okropnie. Mimo że była komuna, ludzie byli dla siebie bardziej życzliwi. Wiem, że to, co działo się w tamtych czasach było złe, ale na własnej skórze nie odczułam tego kryzysu, a bardziej życzliwość ludzką.

Pracowałam w Polskich Liniach Oceanicznych. Pracowałam tam od 1980 do 1996 roku. Nie pamiętam już wszystkich osób, ale pamiętam Rydzewskiego i Bilińskiego, który był wtedy komisarzem. Swego czasu miałam nieprzyjemną sytuację z Jackiem Cegielskim. Pracował chyba gdzieś w Norwegii i miał działać na korzyść marynarzy, w jakieś norweskiej organizacji. Kiedyś przyszedł do PLO pobrać swoją pensję. Nie wiem z jakiej racji, ale przyszedł. Pracowałam w dziale socjalnym i wypłacałam zapomogi. Stanął przede mną i mówi:

– Jestem Cegielski i proszę o pensję!

– Dowód poproszę – ja na to.

– A moje nazwisko pani nic nie mówi?!

Ożty dziadu! – myślę sobie i mówię:

– Wie pan co? Niejednemu psu Burek na imię.

On się nazywa Cegielski, więc mam mu wydać pieniądze bez dowodu? Postawiłam na swoim i mówię:

– Nawet jakby przyszedł tu minister, to by musiał pokazać ten dowód!

Wtedy przybiegła moja koleżanka Mirka z „Solidarności" i mówi:

– Olu, potwierdzam, że to jest pan Jacek Cegielski.

Wiem, że przez PLO przechodziły z Zachodu różne materiały. Nie wiem kto się tym zajmował. Pracowali tam różni ludzie, bardzo wielu powiązanych z władzą. Obecny eurodeputowany Janusz Lewandowski, ten szkodnik, też wtedy działał w PLO – bardzo często go tam widziałam. A o tym, że marynarze przemycali coś dla podziemnej „Solidarności" dowiedziałam się dopiero po 1989 roku. I to bardziej z gazet czy telewizji niż od samych pracowników.

Po zmianie, podobnie jak wszędzie, również w PLO zaczęło się źle dziać. Cały czas mówiono nam, że albo nas sprywatyzują, albo wykupią, albo w ogóle rozwiążą. Uprzedzali. Przychodził pan komisarz i mówił:

– Dziewczyny, jak ktoś może, to niech się stara szukać pracy na własną rękę, bo będzie reorganizacja.

Tak nas straszyli tym wszystkim. Straszyli, że będą spółki, więc każdy się zastanawiał i drżał, czy uda mu się przejść do spółki, czy nie. Ten początek lat dziewięćdziesiątych to były bardzo nerwowe czasy. Jeden drugiego podkopywał, bo chciał być lepszy, a może po prostu chciał przetrwać.

Kiedy oni zaczęli tworzyć te różne spółki, wielu marynarzy zostało zwolnionych z PLO. Zostali bez środków do życia. Jeśli żona pracowała, to jeszcze jakoś się utrzymywali, ale jeśli żona nie pracowała, a mąż został zwolniony, nie mieli środków do życia. Pobierali zapomogi. Nieraz przychodzili, płakali i żalili się przed okienkiem. Pamiętam jak podkreślali, że kiedyś przywozili prezenty dla urzędniczek do biura, a teraz żebrzą i muszą brać zapomogi. To było dla nich bardzo upokarzające. Wielu nie mogło się z tym pogodzić. A potem jeszcze te dziadowskie emerytury... teraz już mają lepsze, ale wtedy była rozpacz i tragedia.

Stanisława Tarnacka

pracowała w Zakładach Rybnych w Gdyni, a później jako kucharka w Szkole Podstawowej nr 5. Żona Andrzeja Tarnackiego – strajkującego stoczniowca. Obecnie na emeryturze.

Grudzień '70 dla mnie, dziewczyny z Kielc, to było jak wojna. Te czołgi na ulicach! 17 grudnia wracałam z pracy, a to, co ujrzałam przeraziło mnie. Bałam się, że i mnie zabiją. Bałam się o zdrowie i życie męża i córki, która miała trzy latka. Po co ja tu przyjechałam?! – pytałam sama siebie. Przez całe lata siedemdziesiąte wracał mi widok tych czołgów i tłumu na Świętojańskiej. Czuję nawet, jakoś tak wewnętrznie, też gaz łzawiący. Minęło już prawie 50 lat, a ja nie mogę zapomnieć tej tragedii.

W latach 70. pracowałam na Placu Kaszubskim, a mieszkaliśmy na Małym Kacku w wynajmowanym portowym mieszkaniu służbowym. Mieszkaliśmy tam z kolegą męża i jego matką. Tam też moja córka chodziła najpierw do żłobka, a potem do przedszkola. Przez to wielokrotnie pokonywałam drogę z pracy do przedszkola. Pokonywałam ją w strachu. Człowiek drżał, że nie dojdzie, bo widział wycelowane lufy. Bałam się, że nie zdążę odebrać dziecka z przedszkola, że się spóźnię, bo nie było czym dojechać, tylko trzeba było pokonywać codziennie taką trasę. Na szczęście moje dziecko miało wspaniałe wychowawczynie. Zawsze powtarzały, że i tak czekałyby na mnie i zostały do końca z dziećmi. Wiedziały, że sytuacja jest trudna. Czasem dziecko odbierała matka kolegi mojego męża, ponieważ oboje pracowaliśmy i nie było innego wyjścia.

Jak przyszedł sierpień 1980 starsza córka miała już trzynaście lat, a młodsza dopiero dwa. Andrzej, mój mąż, pracował w Porcie w Gdyni. Ta cała sytuacja była dla mnie tak stresująca, że z obawy o zdrowie i życie dzieci chciałam wracać na Mazury do rodziców męża. Wtedy Andrzej musiał sobie załatwić przepustkę. Udało mu się i przyjechał do domu. Starał się mnie uspokoić. Tłumaczył, że ten strajk już długo nie potrwa. Ale stres i tak był ogromny. Tego samego dnia wrócił do portu. Pamiętam jak wtedy młodsza córka stawała na kanapie i patrząc w okno machała rękoma krzycząc: – Tata! Tata!

Kiedy dorosła śmialiśmy się z tamtej sytuacji mówiąc, że już jako dwulatka wiedziała kim chce być w przyszłości. Ukończyła studia muzyczne i jest dyrygentem. Prowadzi gdyńsko-kosakowski chór Sounds of Freedom, który występuje również dla „Solidarności".

Podczas strajku zostawiałam dzieci i zawoziłam mężowi do Portu kanapki. Przebywali tam w zimnych wagonach lub stali pod bramą. Dostawali zupę, a dodatkowo ludzie z okolicznych bloków przynosili coś do jedzenia. W porcie w nocy sprawowano warty i robotnicy pilnowali, żeby żaden zomowiec czy prowokator nie wszedł na teren portu. Andrzej opowiadał, że wieczorem przeskakiwali przez płot i chodzili na msze do stoczni. W dzień, uciekając przed słońcem chowali się w wagonach kolejowych. Tam dyskutowali o zmianach w kraju, ustalali postulaty, słuchali opowieści o Grudniu '70. Rozmawiali o Wałęsie i wierzyli, że on doprowadzi do końca strajku, bo wówczas był dla nich ich autorytetem. Dziś wygląda to już inaczej.

Strajk się skończył i starsza córka do dziś pamięta powrót taty. Była ogromne zaskoczona jego wyglądem. Na co dzień w domu zawsze był ogolony, a ze strajku wrócił z wielką brodą. Córka była tak zaskoczona i zdezorientowana, że nie wiedziała, czy ma się z nim witać, czy poczekać aż się ogoli.

Pracując i zajmując się dziećmi nie uczestniczyłam w akcjach. Jedynie z opowieści męża wiedziałam, że do portu docierały ulotki rozprowadzane przez ludzi z „Solidarności". Co jakiś czas opowiadał też, że delegaci jeżdżą do Gdańska i tam ustalają jak ma działać nowy związek. Wiem, że nie mówił mi o wielu sprawach. Wiedział jak się szybko denerwuję i jak bardzo boję się o rodzinę. Pamiętam z tamtego okresu, że ludzie stali się jacyś tacy bardziej sympatyczni, chętni do pomocy i otwarci.

W stanie wojennym mąż musiał mieć przepustkę do pracy, bo od 22 obowiązywała godzina milicyjna, a ZOMO bardzo sumiennie tego pilnowało. To, co zrobił Jaruzelski było dla mnie ogromnym zaskoczeniem. Po jedenastu latach znów zobaczyłam czołgi na gdyńskich ulicach. Jednak zahartowana Grudniem '70 zacisnęłam zęby i stwierdziłam, że trzeba żyć dalej i nie poddawać się.

W telewizji widziało się tylko propagandę i ataki na „Solidarność". Ile jadu się wtedy wylało! W szkalowaniu ludzi „Solidarności" przodował Urban. Do tego uwięziono tyle ludzi! Rozmawiało się o tym, że gdynian wywieźli do obozu w Strzebielinku za Wejherowo, a w kościołach prowadzono zbiórki dla rodzin tych aresztowanych działaczy „Solidarności".

Ten czas kojarzy się też nieodłącznie z problemami bytowymi. Pamiętam jak martwiłam się, że nie dostanę żywności, bo na półkach w sklepie stał tylko ocet. Były kartki i prawie na wszystkie produkty trzeba było czekać w kolejkach. Czekało się, a potem wydzielali ser i masło. Wiele razy brakowało podstawowych produktów. Smutne to było, bo nawet sąsiedzi potrafili wypchnąć człowieka z kolejki. Choć czasem zdarzało się, że ci, którzy wiedzieli, że są dzieci w domu, przepuszczali mnie. Każdy był wtedy nerwowy, bo się bał, że nic nie dostanie, że dla niego nie wystarczy.

Musiałam jakoś zadbać o rodzinę. Pochodzę z Kielc, a mąż spod Giżycka na Mazurach i nie mamy na Kaszubach na wsi żadnej rodziny, więc o to zaopatrzenie było dużo trudniej. Jednak udawało się zdobywać jedzenie i środki czystości. Dla niejednej polskiej kobiety stan wojenny był wielkim sprawdzianem w radzeniu sobie w trudnych sytuacjach. Bardzo podziwiam te, które potrafiły łączyć działalność najpierw w „Solidarności", a potem w podziemiu, mając do tego cały dom na głowie i jeszcze kilkoro dzieci.

Joanna Tendera

w okresie stanu wojennego nastolatka, która atakowała zomowców woreczkami z wodą. Obecnie pracownik Tesco. Sama określa się jako dziecko PRLu.

Urodziłam się w bardzo ciekawych, a zarazem ciężkich czasach i mam dużo historii zapamiętanych z tamtego okresu. Po latach postrzegam to zupełnie inaczej. Po latach człowiek zrozumiał, ale wtedy byłam dzieckiem. Czasami nawet mam do siebie żal, że nie przeżyłam tego wystarczająco świadomie. A może jednak właśnie ta dziecięca, a później młodzieńcza wrażliwość pozwoliła mi „dostrzec" coś więcej?

W 1980 roku nie rozumiałam co się dzieje. Nie potrafiłam pojąć, że tu są ludzie dobrzy, a tam źli. Mieszkaliśmy przy ul 3 Maja i w grudniu 1981 roku koło naszego kościoła szło wojsko. Ci źli i dobrzy walczyli ze sobą. Bardzo to przeżyliśmy, bo ludzie chowali się w naszym kościele, a dwóch księży z naszego kościoła zostało wtedy aresztowanych. Było to dla nas bardzo niesprawiedliwe. To przecież byli nasi księża! Przecież przygotowywali nas do komunii, a tu zabierają ich jak jakichś zbrodniarzy! Nie bardzo rozumiałam, dlaczego ci ludzie walczą i o co w tym wszystkim chodzi.

Obok nas były górki, gdzie przebiegały tory i tam, za tymi torami, stacjonowali ci „źli". Ale przecież oni też byli głodni i chcieli pić, więc wychodząc z psem nosiłyśmy im z Kasią, moją koleżanką, termosy i kanapki. Nie rozumiałam, że człowiek, który tam siedzi ma być wrogiem. Nie widziałam go nigdy z bronią, nie widziałam tych ataków, bo przecież dzieci nie musiały tego widzieć. Dopiero teraz są filmy, w których widać, jak oni podnosili na nas ręce. Natomiast we mnie, nawet pomimo tego, że na przykład aresztowali naszych księży, było coś takiego, taka świadomość, że oni też mają jakieś potrzeby. Też są głodni czy zmarznięci.

To pierwszy obraz. Wiele z nich łączy się ze sprawami typowo bytowymi, bo to były ciężkie czasy i w sklepach panowały pustki. Nie mam żalu, że miałam mało słodyczy, że trzeba było się dzielić albo czegoś w ogóle nie było. No bo do kogo mam mieć żal? Rodzice na to wpływu nie mieli. Człowiek cieszył się pomarańczą, która była na święta. Cieszył się, bo mamie udało się przywlec do domu masło, papier toaletowy albo coś innego. Na podwórku zawsze ktoś dawał cynk, że gdzieś tam jest masło, gdzieś jest papier toaletowy czy coś innego. Dostawałyśmy wtedy drobne pieniądze, szłyśmy na Obrońców

Wybrzeża i wracałyśmy dumne, że mamy korale z szarego papieru toaletowego. Jak tak teraz o tym pomyślę, to nie wiem, czy bym się aż tak cieszyła, gdyby moje dziecko chodziło z papierem toaletowym na szyi i było z tego dumne. A to stanowiło wielką sprawę – załatwienie czegoś takiego dla rodziny!

Nie mam żalu, ale kilka smutnych wspomnień jednak gdzieś w sercu pozostało. Kiedy wprowadzono kartki, często gęsto stało się w kolejce. Problem w tym, że się stało, ale jak już się swoje wystało, to i tak niekoniecznie coś tam jeszcze dla nas było. Odchodziło się więc z kwitkiem. Pamiętam pewną sytuację. Na Starowiejskiej stanęłyśmy z mamą, bo były tam cienkie parówki. Zapach w sklepie był taki... No po prostu niesamowity! Przed nami stała babka, która też była z córką, trochę młodszą ode mnie. Kiedy byłyśmy już przy ladzie, zostało jakieś półtora kilograma tych parówek, więc ekspedientka powiedziała, że ponieważ są dwie mamy z dziećmi, ona chciałaby podzielić je po połowie. Na to ta babka podniosła głos i jak zaczęła krzyczeć! Powiedziała, że ma niepełnosprawne dziecko i że ma tyle kartek i tyle jej się należy. Rozpłakałam się w tym sklepie. Obeszłam się smakiem i zapachem tych parówek. Jak bardzo było mi wtedy przykro. Mało tego w ciągu jednego dnia trafiłyśmy na trzy kolejki, w których stała ta kobieta i stała zawsze przed nami. Tego samego dnia poszłyśmy gdzieś dalej, do innej kolejki, gdzie były cytryny. I ta sama sytuacja, że ona była dosłownie parę osób przed nami. No i te cytryny się kończyły. Któraś z ekspedientek powiedziała, że może podzielmy po pół kilograma. A ona oczywiście z awanturą, że nie, że jej się należy i że kupuje wszystko to, co zostało.

To są takie smutne rzeczy. Ale pamiętam też te weselsze wydarzenia. Kiedy odniosłyśmy wielki sukces konsumencki, choć na koniec okupiony klęską. Pamiętam, że to na pewno były wakacje, bo z Kasią spędzałyśmy dużo czasu na podwórku. Nagle dostałyśmy cynk, że przyjechały owoce i że są arbuzy. Nie pamiętam, czy Kasia wzięła pieniądze z domu. Jej mama pracowała, a moja nie, więc na pewno ja poszłam do domu i nie dość, że dostałam od matki jakieś pieniądze, to jeszcze rozwaliłam swoją skarbonkę. Pobiegłyśmy do sklepu warzywniczego do pana Marchewki na 10 Lutego, róg Władysława IV. Stałyśmy w ogromnej kolejce i wreszcie takie dwa pyrdki podeszły do lady i mówią pani, że chcą arbuza. Pani wyciągnęła jednego, a my na to:

– Mały!

Wyciągnęła następnego, a my znowu:

– Mały!

– Przecież wy tego nie udźwigniecie! – powiedziała.

A my na to, że mamy pieniądze ze skarbonki, od mamy i od taty, więc pani za ladą spełniła naszą prośbę. Ja oczywiście zawsze chojraczyłam, ale nie zdawałam sobie sprawy, że ten arbuz będzie taki ciężki. Do tego Kasia była jeszcze mniejsza ode mnie. Po wyjściu ze sklepu okazało się, że ten arbuz jest tak ciężki, że nie da rady i trzeba go kulać, więc go dokulałyśmy do domu. I już czułyśmy smak tego arbuza... a tu nagle tragedia! Jak się wchodzi do nas do klatki, na półpiętrze jest parę schodków. Owszem dałam radę i dźgnęłam tego arbuza, ale mi wypadł. I pękł! Siedziałyśmy na tych schodach i ryczałyśmy. Coś tam uratowałyśmy, ale żal był ogromny. To są takie różne wspomnie-

nia, a to z tym arbuzem chyba było dla mnie najgorsze. Do tej pory mam tak, że dla mnie arbuz to jest najsmaczniejszy i najlepszy owoc. Nawet w pracy sobie kupuję. Jak byłam w ciąży to tak samo – arbuz prawie większy od brzucha, a ja musiałam go wciągnąć.

Mówię Kasia, moja koleżanka, ale powinnam chyba dodać coś więcej. Kasia jest córką pani Marysi, czyli Marianny Doliwy-Dobrowolskiej. Starsza siostra Kasi była w wieku mojego brata. Nasi rodzice też się przyjaźnili. Mój ojciec miał na imię Jerzy, Kasi tak samo. Nasze babcie to Zofia i Genowefa. A pani Maria była tak jakby moją drugą matką. Jak przyszłam do pani Marii, to zawsze dostawałam jeść. Zapraszała też nas na święta. Zapamiętałam z tego domu wiele fajnych świąt i ciepłej, rodzinnej atmosfery. Pani Maria zawsze piekła bardzo dużo różnych rzeczy. Zresztą tak jest do tej pory. Moja mama miała albo kupne, albo coś tam zrobione w prodiżu, a pani Maria robiła torty i w ogóle. Zawsze fisiowała z tymi potrawami i ciastami. Do tej pory jak tam pójdziemy, ona zawsze ma wszystko własnoręcznie upieczone. Zresztą u nich zawsze była muzyka, śpiewanie i granie. To stwarzało tak, ciepłą, rodzinną atmosferę. To był zupełnie inny dom.

W czasie gdy wybuchły strajki, w sierpniu 1980 r. moi rodzice byli w dużej rozterce. Byli trochę zażenowani, bo nie mogli sami strajkować. Byli pro solidarnościowi, choć ze względu na to, że byli lekarzami, to zmuszano ich do podpisywania różnych, politycznych rzeczy. W domu byliśmy raczej w obozie „Solidarności". Mama opowiadała, jak było wcześniej i dlaczego to wszystko się dzieje. Że to jest walka rządu o to, kto ma rządzić, jak ma rządzić i dlaczego w Polsce ma być tak, a nie inaczej. Opowiadała, ale ciężko mi to umiejscowić w czasie. Wielu szczegółów z tamtego czasu nie pamiętam. Poza tym był to taki okres, że dzieciom nie wszystko się mówiło. Wiem, że ludzie żyli strajkami, ale ja nie pamiętam takiego obciążenia tymi wydarzeniami. Pamiętam, że moja babcia o tym opowiadała i robiła koło tego taką groźną i tragiczną atmosferę. Powtarzała, że wojsko, że zabijają, że ludzie pracy i tak dalej. Dziś bardziej doceniam to, że żyłam w takich czasach, natomiast wtedy nam, dzieciom, nie pompowano w głowy tak bardzo tego, że działa się taka tragedia.

Mimo wszystko były momenty, kiedy rodził się we mnie bunt. Na przykład 1 maja, kiedy organizowano pochody i zmuszano nas do uczestniczenia w nich. Za czasów harcerstwa chodziłam jeszcze chętnie. Wtedy było mogłam dumnie pokazać, że jestem harcerką. Natomiast denerwowało mnie ogromnie, kiedy trzeba było iść z klasą i trzeba było zakładać chusty i mundurki. Pamiętam, że robiłam wszystko, kłóciłam się z rodzicami, że na ten pochód nie pójdę, bo dla mnie to jest jakaś paranoja i to o niczym nie świadczy. To chodzenie Świętojańską mnie załamywało. Zresztą szkoła była bardziej polityczna, a chodziłam do „jedynki" na 10 Lutego. Pamiętam, że oni tam starali się chłodzić i wyciszać te wszystkie emocje.

Nie mieliśmy w rodzinie ani wśród znajomych nikogo ze stoczni, więc nie dochodziły do nas informacje stamtąd. Tylko to, co w gazetach, w telewizji, ewentualnie jakieś plotki. Przez to nie miałam żywego kontaktu z tym, co się działo. Dopiero teraz mam znajomych, którzy mieli bezpośredni kontakt z tymi wydarzeniami. Po latach okazało się, że ojciec koleżanki strajkował i był inter-

nowany, a ojciec kolegi z pracy zginął za czasów „Solidarności". O tym, co się wtedy wydarzyło dowiadywałam się po latach, latach, latach... czytając książki. Przedtem to do mnie nie dochodziło. Dwa czy trzy lata temu zainteresowałam się książką Danuty Wałęsy. Może nie ma tam dużo o strajkach, natomiast więcej o tym, co działo się w tamtej rodzinie i jaką ona była kobietą. Wcześniej naprawdę miałam niezbyt dobre pojęcie o Danucie Wałęsowej. Przeczytałam tę książkę dwa razy, bo uważałam, że w niej jest taka siła. Tak fajnie jest napisana i nawet czytając drugi raz czułam jakbym dopiero ją odkryła. To było takie moje zaskoczenie.

W pamięci utkwiło mi wprowadzenie stanu wojennego z punku widzenia dziecka. Nie było programu dla dzieci w telewizji i wyłączyli nam też telefony. Jakże byłam tym oburzona! Zamknięto też szkoły i to było coś takiego, że nagle nam coś ewidentnie odbierają. Już jako dziecko tak czułam.

Mam dwudziestoletnią córkę Martę, która jest jedynaczką. Czasem rozmawiałam z nią o pewnych wartościach, o tym, co się dzieje, co się powinno albo czego się nie powinno i wydaje mi się, że ona to bagatelizowała. Jest mądrą dziewczyną. Pracuje, studiuje, stara się i ludzie ją chwalą. A ja zawsze miałam z nią konflikt i miałam pretensje, bo uważałam, że jest za mało pomaga innym. Chyba nie potrafiłam i nie umiałam pewnych rzeczy rozwiązywać, bo moje spostrzeżenia wciąż przechodzą przez ten pryzmat dzieciństwa. Rozmawiam z nią i opowiadam, jak trzeba było walczyć o to, żeby dostać masło czy jak stało się w kolejkach, albo że cieszyłam się z korali z papieru toaletowego. I co słyszę?

– Daj na pizzę – albo coś w tym stylu.

A ja jej wtedy mówiłam, że takie kieszonkowe było sporadycznie. Byłam dumna z tego, że mój ojciec Jerzy Dosz był lekarzem tak, jak i mama. Zawsze jak przechodził podwórkiem, to się z nami witał i dawał mi dwa złote, złotówkę czy złoty pięćdziesiąt.

– Masz na loda – mówił.

A to były dla dziecka ogromne pieniądze. Lecieliśmy wtedy wszyscy na róg 3 Maja i 10 lutego do pana, który sprzedawał wodę mineralną z saturatora.

Parę lat temu w Gdyni był nagrywany był jakiś film pod Urzędem Miasta, chyba „Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł". Przez przypadek tam zjechałam, nawet nie wiedziałam, że coś takiego się dzieje. Wszystko było wysypane żwirem, stały stare samochody MO i tak dalej. Jakbym znalazła się z powrotem w dawnym świecie się… nie potrafiłam tego Marcie wytłumaczyć. Wtedy była jeszcze mała i pytała, co tu się dzieje, a ja mówię:

– Zobacz, takie samochody kiedyś jeździły, tak to kiedyś wyglądało.

Trochę irracjonalnie zastanawiałam się wtedy, jak oni w ogóle to wszystko uprzątną. Nawet nie wiem, czy w końcu oglądałam ten film. Te wszystkie historie jakby przypominają się w moim życiu etapami.

Co dalej? W 1985 roku miałam 15 lat i pamiętam, że pod kościołem często odbywały się zadymy. Dla nas była to wtedy świetna zabawa. Braliśmy worki z wodą i rzucaliśmy wmilicję. Nie pamiętam takiej sytuacji, żeby potem ktoś przyszedł przez to z pretensjami.

Nie miałam wprawdzie, z racji wieku kontaktu z prawdziwymi konspiratorami, ale cała moja sympatia skierowana była wtedy ku ludziom, którzy nie zgadzali się z władzą. Należałam do harcerstwa, ale to nie było takie normalne harcerstwo, tylko takie bardziej z podziemia. Dzięki harcerstwu przeżyłam największy bunt polityczny, jaki kiedykolwiek zrobiłam. Mówię, że zrobiłam, ale po prawdzie było to zupełnie nieświadome działanie. Było to na obozie harcerskim. Pamiętam, że jakoś wtedy tak wyszło, że tata nic o tym nie wiedział, a mama nas spakowała i pojechaliśmy. Podczas tego obozu odbywały się msze przy specjalnie przygotowanym w lesie ołtarzu. Była tam biało-czerwona flaga I inne polskie, patriotyczne elementy. Pech jednak chciał, że w obozie uczestniczyła dziewczyna, której ojciec był wojskowym. Wiadomo, że biedna dziewczyna nie zrobiła tego świadomie, ale informacja o tych mszach dotarła do jej ojca. Nie wiem, czy ojciec przyjechał do niej w odwiedziny, czy ona napisała do domu list. Na pewno jednak do ojca dotarła informacja, że była na takiej pięknej mszy i bardzo jej się to podobało... No i nagle okazało się, że ten nasz obóz to nie jest taki obóz harcerski, na jaki jeżdżą socjalistyczni skauci. Oczywiście rozwalili całą naszą drużynę, a myśmy musieli natychmiast wracać do domów i były z tego wielkie kłopoty.

Pamiętam ten młodzieńczy bunt. Dlaczego nam to rozwalili?! Przecież nic złego nie robiliśmy! Oczywiście byłam do tej dziewczyny wrogo nastawiona. Wszyscy byliśmy na nią obrażeni. Jak ona mogła wygadać?! A ona przecież nie chciała donieść, bo przecież była z nami i chciała tam być. To była raczej kwestia tego, że podzieliła się tym, że coś takiego się dzieje i to się jej podoba.

Kiedy w 1987 roku do Gdyni przyjechał papież, uczyłam się w szkole fotograficznej, bo jestem taką raczej artystyczną duszą. Umiałam znaleźć sobie zajęcie i towarzystwo, a przy tym wiadomo, że do dwudziestego roku życia to jest taki etap poszukiwania i mogę opowiedzieć o tych czasach właśnie przez ten młodzieńczy pryzmat. Moda, kino, spotkania...

Chyba najgorzej było z modą. Był taki czas, że każdy chciał się w jakiś sposób wyróżniać. Mój brat jeździł do Łodzi i kupował bawełniane skarpetki i bieliznę. Sprzedawaliśmy je później na rynku w Gdyni albo na Zaspie, żeby mieć dodatkowe pieniądze. Potem złapała go milicja i brat dostał jakiś mandat, a mnie, jako nieletniej, nic się wtedy nie stało.

Wiecznie trwała walka o to, żeby oryginalnie wyglądać. Za moich czasów w ogóle nie było mowy o czymś takim, żeby chodzić do szkoły i malować się, tapirować włosy czy robić trwałą. Miałam długie włosy, bo to były takie były czasy, że mama nie obcinała włosów i chodziłam z długim warkoczem. W ostatniej klasie szkoły średniej, w ramach buntu, pofarbowałam sobie grzywkę na blond, bo normalnie mam dużo ciemniejsze włosy.

Nauczona doświadczeniem, już wcześniej powiedziałam mojemu dziecku, że jeżeli będzie to w jakichś normalnych granicach, że jeśli nie będzie straszyć, to chcę uszanować jej potrzeby. Chciałam, żeby wyrażała siebie, nawet za pomocą przysłowiowej pofarbowanej grzywki. Powiedziałam, że mogę jej pozwolić na pewne rzeczy, natomiast na inne będzie musiała poczekać, aż skończy osiemnaście lat.

Pamiętam to farbowanie włosów. Starałam się dostać na praktyki do fotografa i to mnie wyróżniało – jakbym już jedną nogą była w lepszym, dorosłym świecie. Chodziłam też na dyskoteki, do kina. To było dostępne, natomiast największy kłopot, chyba przez cały ten okres, był z pieniędzmi i brakiem ubrań. Sposobem na radzenie sobie z tym była wielka pomysłowość ludzi. Na przykład przerabiało się różne rzeczy. Ja miałam ciotkę w Szwecji i nieraz coś przywoziła albo przysłała nam jakąś paczkę. To było coś! Poza tym też wiecznie coś przerabiałyśmy, żeby oryginalnie wyglądać. Wiem, że za granicą nas żałowali, że jesteśmy w centrum tego, co się działo. A my jako młodzi ludzie... po prostu staraliśmy się wyróżnić i cieszyć życiem.

Niesamowicie przeżyłam informację o zabójstwie księdza Jerzego. Na pewno ze względu na to, że zabili osobę duchowną. Był we mnie taki bunt! Jak można?! Ale dopiero po latach, po obejrzeniu filmu i przeczytaniu książek, zrozumiałam co to była za tragedia. Może się tym nie interesowałam, a może chronili mnie rodzice. Może nie chciałam o tym rozmyślać. Może byłam za młoda...

Dopiero kiedy byłam w Warszawie, gdzie jest kościół pod wezwaniem ks. Popiełuszki, dopiero po spotkaniach z innymi ludźmi pewne sprawy do mnie doszły. Różne rzeczy przyszły dopiero po latach. A przyjazd Jana Pawła II do Gdyni nie zrobił na mnie specjalnie jakiegoś wrażenia. Całą drogę na skwer słuchałam kazania, ale gdybym miała wtedy trzydzieści czy czterdzieści lat, pewnie inaczej odebrałabym te słowa. Dopiero po latach, kiedy zaczęłam o tym czytać, pomyślałam: – Boże, przecież to było prawie na mojej ulicy!

Dostałam nawet od pani Marii taki album ze zdjęciami. Pani Maria jest taką prawdziwą gdynianką. Myślę, że gdybym po śmierci rodziców nie wyprowadziła się z 3 Maja, może moja droga potoczyłaby się inaczej. Wyjechałam i mieszkałam na Witominie, a teraz na Dąbrowie. To już dwadzieścia kilka lat, chyba nawet więcej niż tego życia na ulicy 3 Maja. Mam do tego miejsca bardzo wielki sentyment. Jak tam idę, to jest zawsze zapach klatki i ta winda. A róg 3 Maja i Batorego to jest w ogóle szczególne dla mnie miejsce. Z balkonu widziałam mnóstwo różnych i ważnych rzeczy. Wszystkie procesje, samochody, wojsko, wszystko się tutaj działo. Wtedy to była taka duma. To się dzieje przy mojej ulicy, pod moimi oknami!

Pamiętam też jak podczas mszy w kościele podnosiłyśmy palce w kształcie litery V. Może nie bardzo to rozumiałyśmy, ale pozwalało poczuć, że też jesteśmy częścią tego wydarzenia. Ksiądz Jastak zrobił wiele rzeczy. Była tam przecież kaplica „Solidarności" i tak dalej. Już wtedy rozumiałam, że to był taki podzielony świat i człowiek musiał wiecznie uważać, w zależności od tego, w jakiej znalazł się sytuacji. Musiał uważać, żeby z czymś nie wybuchnąć i nie ujawniać, że jest bardziej solidarnościowy niż polityczny, bo to mogło być różnie odebrane. I wciąż czuło się ten podział w Polsce i podział w Gdyni.

Pamiętam również jaka była wielka radość, gdy ks. Kurek i ks. Borkowski zostali wypuszczeni z więzienia, choć niedługo później zostali oddelegowani do innych parafii. Może dziesięć lat temu, kiedy zaczęły się czasy Facebooka, zaczęłam szukać i jednego z nich znalazłam w Pruszczu Gdańskim, a drugiego znalazłam gdzieś w Kartuzach czy Kościerzynie. Szukałam, kopałam, kopałam

i okazało się, że nie żyje. Chciałam tam jechać i zobaczyć go po latach, a znalazłam informację, że nie żyje.

Ten kościół był wtedy ważny w naszym życiu. Jak to się mówi „za naszych czasów" było prawo i kościół. Wiele rzeczy nie mogło się odbyć i nie odbyłoby się bez roli kościoła. Księża, którzy nas prowadzili, mieli na nas naprawdę bardzo wielki wpływ. I to się wspomina. Na przykład w naszej parafii był taki ks. Dominik. Bardzo przyjazny człowiek, tłumaczył różne zagadnienia, również to, co się dzieje w kościele, ale tłumaczył w taki sposób, że to było dla mnie bardzo dalekie. Nie mogę powiedzieć, żeby ks. Borkowski i ks. Kurak byli źli, ale na przykład ks. Kurak bardzo często wymagał od nas o wiele więcej, a ks. Borkowski był za to bardziej uśmiechnięty. Pamiętam, jak kiedyś byliśmy na górkach. To było takie nasze drugie podwórko, bo ulica 3 Maja była cała wybetonowana. No i jak byliśmy trochę starsi, mieliśmy już pozwolenie od rodziców, żeby bawić się na górkach. Byliśmy tam I widzimy, że jedzie ks. Borkowski na rowerze. Podjeżdża do nas w sutannie, na pomarańczowym rowerze Wigry:

– Co tam, dziewczynki? Będziecie dzisiaj na religii? – dosłownie dwa zdania.

Ale dla nas to było wydarzenie! Że on na tym rowerze i że się do nas odezwał. To było dla nas niesamowite, bo on zawsze tylko kościół, kościół, kościół... Potem długo przeżywaliśmy to, że on może być taki ludzki i że jeździ na rowerze.

Niewiele wtedy rozumiałam. Wiedziałam, że rodzice są za „Solidarnością". Babcia i rodzice tłumaczyli mi, na czym to polega. Że są tacy politycy i że tak nie może być. Do dziś mam w głowie na przykład Lecha Wałęsę. Pamiętam jak myślałam, że taki normalny, zwykły człowiek targnął się i walczył o nas. A teraz różnie o nim piszą. Ale chyba cały czas byłam w zupełnie innej bajce i jak mówiłam, to zaczęło do mnie dochodzić dopiero po czasie. Dopiero po latach człowiek zrozumiał, o co była ta walka i jak wielkie miała znaczenie.

Bożena Tyrka

w latach '80 pracowała w handlu, mąż Andrzej Tyrka brał czynny udział w strajkach.

To były takie dziwne czasy. Człowiek bał się o wszystko. W pamięci cały czas mieliśmy Grudzień '70. Docierały informacje o aresztowaniach, o przesłuchaniach. Władza nie odpuszczała. Były rewizje w domach, wezwania na milicję, a i wśród robotników zdarzali się tacy, którzy „pracowali" dla władzy. W tym wszystkim my – małżeństwo tuż po ślubie. Młodzi, przed którymi stoi całe życie, a tu taka sytuacja.

W 1980 roku, jak zaczęły się strajki, pracowałam w handlu, a Andrzej, mój mąż, w Stoczni im. Komuny Paryskiej. Kiedy wybuchł strajk Andrzej przyłączył się do niego. On strajkował, a ja dowoziłam mu jedzenie. Komunikacja w Gdyni praktycznie stała, nie kursowały autobusy i trolejbusy, więc trzeba było chodzić do stoczni na piechotę. Czasem ojciec, który już nie żyje, podwoził mnie samochodem. Woził mnie swoim maluchem i sam proponował, żeby jechać w odwiedziny. Ale zawsze był ten strach, że zatrzymają samochód, wylegitymują, będą pytać:

– Dokąd jedziecie?! Co wieziecie?! – przecież tak właśnie było.

Jeśli akurat tata nie mógł, to pod bramę chodziłam, albo jeździłam na rowerze. Mieszkaliśmy na Pustkach Cisowskich, więc do pokonania był spory kawałek drogi. Ale żeby to była zwykła przejażdżka rowerem czy spacer. Nie! Za każdym razem robiła się z tego wielka wyprawa. Nie dosyć, że było tego kilka ładnych kilometrów, to jeszcze to przygotowane jedzenie swoje ważyło. Wiedziałam jednak, że to mój obowiązek, że mój mąż strajkując robi coś bardzo ważnego.

Od samego początku, kiedy zaczął się strajk bardzo się bałam. Być może wpływała na to dodatkowo świadomość Grudnia '70. Strach spotęgowany był niepewnością, bo nikt nie wiedział, jak to się zakończy. Przecież władza dziesięć lat wcześniej strzelała do stoczniowców. Nie było pewności jak tym razem to się potoczy i czy znów komuniści nie użyją czołgów do „rozmowy z narodem".

Strach brał się również z tego, że byliśmy młodym małżeństwem. Tu w domu ja, młoda dziewczyna, a tam za bramą mąż, którego przyszłość jest niewiadomą. Andrzej mógł wyjść ze stoczni, ale nie chciał, strajkował. Pewna

grupa ludzi poszła sobie wtedy do domów i ich żony były szczęśliwe, bo miały mężów na miejscu. A później, jak się wszystko skończyło, te osoby miały najwięcej do gadania, choć w stoczni nie siedziały ani godziny.

Andrzej zaś poszedł na drugą zmianę i nie wrócił. Został w stoczni, tak jak wielu jego kolegów, nie tylko po to, by upomnieć się o swoje sprawy, ale przede wszystkim solidaryzować z innymi robotnikami strajkującymi w innych zakładach Trójmiasta. Pamiętam, jak opowiadał o mszy świętej w stoczni. Opisywał jej doniosłość i podniosłość. Mówił o stoczniowcach w niej uczestniczących, o ogromnych emocjach i o sile jaką wtedy poczuli. To już samo w sobie było niesamowite. Zaakceptowałam decyzję męża, ponieważ wspólnie z ogromną częścią załogi Stoczni strajkował, by wreszcie było lepiej. To było ogromne ryzyko, ale na tamten czas, chyba byliśmy gotowi je ponieść.

Chodziłam do Stoczni i do pracy na piechotę, bo wszystko stało. W sklepach też wszystko stało jak należy. Butelki z octem i jakieś przetwory w słoikach. Pięknie stały, ale tylko one, bo z jedzeniem było ciężko. Wszystko trzeba było dosłownie zdobywać i wywalczyć w kolejkach. Ciężko było nawet z ubraniami i butami, bo butów też nie można było dostać. Jak kiedyś rzucili kozaki, to tylko Relaksy i każdy w nich chodził. Kiedy jechaliśmy po ślubie w góry, pojechałam w butach, które miałam na ślub. W szpilkach! A potem chodziliśmy tam na miejscu po sklepach, żeby kupić jakieś buty, które będą nadawały się w góry. Pamiętam, że dostałam jakieś drewniane trepy i tak się chodziło.

Wprowadzenie stanu wojennego przeżyliśmy bardzo. Po wielu miesiącach działania „Solidarności" wierzyliśmy, że w tym kraju uda się wprowadzić zmiany. Było ciężko, jednak wierzyliśmy. Przecież po to były sierpniowe strajki. Czuliśmy, że władza nie odpuszcza, ale też wydawało nam się, że jakoś przycichła. I tak chyba trochę w tej nieświadomości działań władzy doczekaliśmy 13 grudnia 1981 roku. Rano włączamy telewizor i nie ma nic. Tylko Jaruzelski wygłasza swoje orędzie. Wszędzie czołgi, żołnierze i godzina milicyjna. Nowa rzeczywistość zaskoczyła i sparaliżowała wszystkich. Ludzie bali się nawet wychodzić ze śmieciami po godzinie 22. Bali się, bo mogli wyjść i nie wrócić. Tam gdzie teraz jest obwodnica stały czołgi. Po ulicach jeździły militarne samochody. Dla pokolenia, które nie przeżyło II wojny światowej, obraz wojska na ulicach był bardzo przytłaczający. Wojsko i milicja na każdym kroku. To rodziło to najczarniejsze uczucia. Było ciężko.

O samej działalności męża wiedziałam niewiele. Andrzej prawie o tym nie mówił i mogłam jedynie się domyślać. Mówił mi tylko to, co mógł mi powiedzieć. Nie mogłam wiedzieć zbyt wiele, bo gdyby mnie zamknęli czy wzięli na przesłuchanie, to nie wiem, co bym powiedziała. Tak to było. Uważam, że mąż chronił mnie tym milczeniem o podziemiu. Andrzej działał, był zaangażowany i to on najlepiej wiedział co robi i o co walczy.

Mamy dwoje dzieci. Mój młodszy syn, który teraz ma 21 lat, jeszcze do tego nie dorósł i nie zna tamtych wydarzeń. Beata zaś urodziła się w 1987 roku i ona jest ciekawa tamtych czasów i wydarzeń. Często rozmawia z mężem i pyta go o wiele rzeczy. Interesuje się książkami i tym, jak było kiedyś. Andrzej zabierał ją nawet na jakieś wyjazdy. Uczestniczyła w uroczystościach, które od-

bywały się, a to w Częstochowie, a to w Gdyni, kiedy był papież. Widziałam, że wszystko to bardzo przeżywała.

Przeżywała to również w tamtych czasach, choć była małym dzieckiem. Była maleństwem, ale chyba czuła uczestnicząc w wydarzeniach, że dzieje się coś ważnego. Na pewno czuła nasze emocje i udzielała się jej ta atmosfera. Widziała i słyszała przecież ludzi naokoło, ich uczucia i zaangażowanie. Mam nawet wrażenie, że sama też wtedy chciała dać coś od siebie. Jak widziała biało-czerwone wstążki, od razu krzyczała po swojemu: – Siolidarność!

Ze stoczni i z parafii Matki Boskiej Różańcowej na Demptowie jeździliśmy na pielgrzymki, ja byłam na trzech takich pielgrzymkach. Za każdym razem było to niesamowite przeżycie. Być w Częstochowie razem z tysiącami innych ludzi, którzy wiedzą, po co tu przyjechali! Wstępowała w nas wiara. To dawało nadzieję i czuliśmy, że jesteśmy razem, że Maryja jest po naszej stronie, że jesteśmy świadkami i uczestnikami czegoś wielkiego i niezmiernie ważnego dla Polski.

Teraz czas na krótką refleksję. Czy jest lepiej? Czy wywalczyliśmy lepsze czasy? Owszem, z jednej strony jest lepiej, ale z drugiej gorzej. Bo jak kiedyś chciałam iść do lekarza, to poszłam, poczekałam dwie, trzy godziny przed gabinetem i dostałam się, a w tej chwili muszę wstać o piątej rano, żeby pójść i zarejestrować się, ale wcale nie jest powiedziane, że dostanę się do lekarza. To trzeba zmienić. Jak jestem chora, od razu powinnam mieć zrobione badania, a nie czekać pół roku, aż zrobią mi badania, w momencie, kiedy już wyzdrowieję. Co z tego, że mamy w sklepach dużo wszystkiego, jak ludzie teraz pieniędzy nie mają? Kiedyś było odwrotnie. Może były pieniążki, chociaż na pewno wszyscy ich nie mieli, ale w sklepach nic nie było. Kiedyś za telewizorem czy za pralką, czy za czymkolwiek trzeba było stać. Była komisja kolejkowa. Po mięso wchodziła co trzecia ciężarna. Pamiętam, że Andrzej zawsze tworzył komitet kolejkowy, bo to on chodził po mięso. Pilnował porządku, żeby dostać i żeby dostali inni ludzie. Chodziło się w nocy nawet do piekarza po chleb, żeby na przykład mieć w święta świeże pieczywo. Andrzej też w nocy po ten chleb chodził. Raz zdarzyło się nawet tak, że przyniósł dla wszystkich ten chleb na święta, ale bez soli, bo zapomnieli wsypać.

Kiedy trwały strajki, nie miałam jeszcze dzieci, tylko Andrzeja. Mogłam sobie chodzić do pracy i jeździć do niego. Wiadomo, człowiek się bał, ale coś się działo. Coś, co dawało nadzieję. Ludzie angażowali się, poświęcali, bo chcieli zrobić coś dobrego. Byli w tym niesamowicie solidarni! Smutne jest jednak to, że nie wszyscy rozumieli powagę strajków i nie czuli odpowiedzialności za Polskę i naszą przyszłość.

Agnieszka Warmowska

uczestniczka strajku w 1980 roku w PKS Gdańsk. W stanie wojennym organizatorka zbiórek dla internowanych w Strzebielinku i ich rodzin.

– Pani Agnieszko, w co się pani plącze?! Przecież panią zaraz za to przymkną! – usłyszałam od kierowniczki, ale co miałam robić? Powiedziałam, że to nieważne i dalej robiłam swoje, bo chodziło przecież o ratowanie kobiet w ciąży.

Działo się to podczas grudnia 1970 roku. Pracowałam wtedy w PKS-ie w Gdańsku i żeby dotrzeć do pracy, trzeba było najpierw nałykać się dymu i paskudnego gazu łzawiącego. Tłum ludzi szedł, w wśród nich kobiety w ciąży. Szli jak bydło i nikt nie zwracał na te kobiety uwagi. Wyrywałam je z tego tłumu i zabierałam na dyżurkę. Właśnie wtedy kierowniczka mnie tak ostrzegała, ale była to bardzo uczciwa osoba i mimo tych słów, nie miała nic przeciwko temu. Umieściłam wtedy pięć osób w pokoju sypialnym, żeby mogły poczekać do odjazdu jakiegokolwiek autobusu, bo przecież autobusy nie kursowały prawie nigdzie. Cały czas braliśmy udział w tych wydarzeniach. Mieściliśmy się w takim punkcie, że nie dało się przed tym uchronić. Tam zawsze spotykali się różni ludzie i było dużo ulotek. Oczywiście ścigali nas za to.

Żeby wrócić do Gdyni, mieliśmy specjalny autobus. Mąż pracował jako kierowca i był zaufanym człowiekiem. Kolejki nie kursowały albo kursowały w naprawdę dziwnych odstępach. Dyrektor zatem zgodził, żeby, żeby mąż zabierał pracowników z pracy i ich rozwoził. Parkował przy Morskiej. Mieszkaliśmy wtedy najdalej z całej grupy, bo w Gdyni Chyloni.

W Czarny Czwartek wyjechałam z Gdyni przed strzelaniną. Wszystkiego dowiadywało się wtedy albo w pociągu, albo na peronach, bo przecież to, co się działo w Stoczni Gdyńskiej to było coś okropnego. To było tak tragiczne, że nie opowiadało się o tym dzieciom. Portowcy i stoczniowcy do dzisiaj o tym mówią. Nieraz wspominają tego zastrzelonego ze stoczni, którego nieśli na drzwiach. Jest to namalowane na murze i można to zobaczyć idąc ul. Janka Wiśniewskiego w stronę dworca Gdynia Główna. Dziś wspomina się i starsi ludzie bardzo często do tego wracają.

W święta 1970 było już spokojniej, ale to, co się stało nadal siedziało w człowieku. Bałam się, że ktoś może przyjść i zabrać męża albo mnie, bo my-

śmy bardzo dużo się udzielali. Robiliśmy kanapki i gotowaliśmy całe kotły jedzenia dla pracowników. Wtedy akurat się nie bałam.

– Ty się, Agnieszka, w ogóle nie przejmujesz – mówili ludzie.

Pewnie się przejmowałam, ale byłam przy tym pewna, że nic się koło mnie nie stanie, że Opatrzność Boska czuwa. Bardziej martwiłam się o męża, bo to był taki naprawdę zawzięty facet. Mogę powiedzieć, że wtedy w Grudniu '70 roku ukształtował się w nim przyszły solidarnościowiec. Od tamtej pory mocno angażował się w akcje związane z prawami człowieka i brał udział prawie we wszystkim.

A później był wybór Polaka na papieża. Długo to przeżywałam. Kiedy widziałam w telewizji, jak Ojciec Święty przemawia, było to dla mnie tak uroczyste, że nie mogłam powstrzymać łez. Jaki to był człowiek! I to z naszego kraju! Bardzo się cieszyłam, bardzo – tak jak cała moja rodzina. Cały czas siedziała we mnie nadzieja na to, że ten człowiek coś zmieni i coś zrobi, żeby Polska stanęła na nogach. Naprawdę w niego wierzyłam. Prawie jak w Boga.

Nadszedł pamiętny sierpień 1980 roku. Wybuchł strajk w Stoczni Gdańskiej. Informacje o strajkach rozchodziły się błyskawicznie. Byliśmy bardzo związani i zżyci ze stocznią. Wtedy stocznia i PKS to tak jakby jedna rodzina. Byliśmy oddzieleni murem postawionym między stocznią a PKS-em, gdzie mieliśmy swoje warsztaty na Wałowej 19. Tą drogą dostarczaliśmy zaopatrzenie do stoczni. Mąż miał zezwolenie na przejazd. Miał stałą przepustkę na przejazdy autobusem i mógł jeździć też gdzieś dalej. Dzięki temu jeździł i przywoził zaopatrzenie, i ziemniaki, i świniaki... Wszystko przechodziło przez płot stoczni i w ten sposób stoczniowcy dostawali żywność. Mieli zrobione przejście między murem a stocznią i tamtędy przerzucali jedzenie, które przywoził mąż. Mąż nigdy nie podjeżdżał pod bramę, tylko wjeżdżał z PKS-u na swoją bazę i dopiero tam wszystko rozładowywali.

Jak większość z nas, miałam obawy, czy nie powtórzy się to, co w grudniu 1970. Jednak teraz stocznia była przygotowana do strajku. Ale w ,80 roku jakoś inaczej to wszystko się potoczyło. Ludzie bardziej się zaangażowali i nie dali się sprowokować. Nie wyszli na ulice. A najpiękniejsze było to, że już na drugi dzień po Gdańsku stanęła Stocznia Gdynia. Bardzo szybko zaczęły przyłączać się też inne zakłady, a potem strajk rozprzestrzenił się na całą Polskę. Kiedy do strajków dołączały kolejne zakłady, bardzo się baliśmy. To już była prawdziwa zawierucha. Wydaje mi się, że panowało wtedy dużo nienawiści między ludźmi. Nie solidarność, a zemsta. Wcześniej wszyscy szli jeden za drugim, a później... Nie chciałabym nigdy, żeby to wróciło. Znaczy się Grudzień '70. Ale liderzy dość szybko opanowali tę chęć zemsty.

Moje dzieci były już trochę starsze, ale wiecznie bałam się, że mogę wrócić, ale ich może już nie być w domu. Był jakiś taki strach, że komuna spróbuje z innej strony. Okazało się na szczęście, że byli zbyt zajęci ratowaniem tego, co mieli albo przepychankami u siebie w komitetach.

Cały czas mieliśmy informacje o strajkach ze stoczni gdyńskiej. Rozmawialiśmy o tym przy okazji jak tylko spotykaliśmy znajomych. Pytaliśmy, jak to przeżyli.

– Żyjemy. To najważniejsze! – mówiło się wtedy.

Później ci ze stoczni gdyńskiej zaczęli opowiadać, co się działo. Bo przecież, kiedy byłam w Gdańsku, to tego nie widziałam. W czasie strajków bardzo często bywałam pod bramą Stoczni Gdańskiej. Uczestniczyliśmy w mszach świętych i do końca myśleliśmy, że nie dojdzie do podpisania Porozumień Sierpniowych. A kiedy już do tego doszło, zaczęliśmy inaczej oddychać. Główną założycielką związków w zakładzie pracy była moja koleżanka. Ja funkcjonowałam jako pomoc albo zastępowałam ją podczas nieobecności. PKS bez przerwy brał udział w strajkach. A ponieważ pracowaliśmy z mężem w jednym przedsiębiorstwie, to mieliśmy straszne przeżycia. Matka wiecznie obawiała się o to, co zrobi jak zamkną nas obydwoje.

– Mamusiu, zobaczysz, że wszystko będzie dobrze – powtarzałam jej w kółko.

Modliła się, żebyśmy szczęśliwie przyjechali. A jak wróciliśmy, to już było dobrze.

Braliśmy udział w uroczystości odsłonięcia pomnika Ofiar Grudnia 1970 w Gdyni i w Gdańsku. Wierzyliśmy w to, że papież nie dopuści do tego, żeby to poszło w niepamięć. Te wydarzenia były naprawdę bardzo podniosłe i przypominające te straszne chwile sprzed dziesięciu lat. Te pomniki udało się postawić w ciągu kilku miesięcy! Z jednej strony ludzie się wtedy cieszyli, ale z drugiej myślało się, że to jeszcze nie koniec i będzie ciąg dalszy.

Stan wojenny zastał mnie w PKS-ie w Gdańsku. Byłam wtedy w pracy. Przez to wszystko do domu wróciliśmy z mężem dopiero w nocy. Jednak te pierwsze dni stanu wojennego uciekły mi z pamięci. Pamiętam, że zawsze na pierwszym miejscu był kościół, a ludzie bali się cokolwiek mówić.

Chłopaki z naszego zakładu byli internowani. Siedzieli w Strzebielinku. Jeden dostał tam zapalenia płuc i bardzo szybko zmarł. Byli tam bici. Kiedy wrócili to opowiadali. To, co usłyszeliśmy przechodzi ludzkie pojęcie. Co tam się z nimi wyprawiało! Organizowaliśmy zbiórki dla ich rodzin. Jeździliśmy też do tych internowanych. Sama jeździłam do Strzebielnika do Romana Siudy, który był kolegą męża. Mogły do niego wejść tylko dwie osoby i musieliśmy zamówić wizytę.

W tamtym czasie nie mówiło się o tych chłopakach. Nawet gdyby wiedziało się o tym, że ktoś został zatrzymany czy internowany, nigdy nie wspominało się o takich ludziach, bo wiadomo było, co ich będzie czekało. Chodziło o to, żeby nie wykłapać za dużo, bo ktoś mógł podsłuchać i donieść wiadomo komu. Trzeba było milczeć. W myśl zasady „im mniej się wie, tym krócej się zeznaje".

My martwiliśmy się o dzieci, a w stanie wojennym nasze dzieci martwiły się o tatę. Jak tylko tata przyszedł do domu, od razu była inna atmosfera. A poza tym staraliśmy się żyć spokojnie. Mówiło się jak najmniej, żeby znowu nie przyszła milicja. Najbardziej baliśmy się o męża. Dzieci nie bały się tak o mamę, jak o niego. Mąż interesował się konspiracją – tymi ulotkami, gazetkami. Zawsze mieliśmy tego nawrzucane w autobusach i mąż musiał to jakoś „likwidować", bo przecież zaraz by go za to zabrali. Rozdawało się więc to albo wyrzucało gdziekolwiek. Dawało się też innym chłopakom, bo przecież było wielu kierowców.

Bardzo często chodziłam na Msze za Ojczyznę do kościoła św. Brygidy. Wracaliśmy stamtąd z chorągwią. Na demonstracje też braliśmy ze sobą chorągiew, żeby było nas widać. Mieliśmy bardzo dużo odważnych ludzi, którzy się nie bali. Ale strach i tak czasem był taki zwyczajny, ludzki, bo przecież ileż razy dostaliśmy dymem, odłamkiem albo czymś... Ale jakoś człowiek to wszystko przetrzymał i przeżył. Nawet jak wychodziliśmy z kościoła św. Brygidy, nie wiedzieliśmy, czy dojdziemy do domu. Tam zawsze była zadyma. Na te nabożeństwa chodziliśmy, o ile dało się przejść, bo jeśli była zawierucha to nie udawało się dojść do kościoła. Mocno przeżywaliśmy śmierć ks. Jerzego. Zawsze wiedziałam, że księdza Popiełuszkę porwali nie powiem brzydko kto. Choć nikt tego nie chciał to mówiło się, że go znajdą i na pewno będą chcieli go zniszczyć. Gadało się o tym, że zrobią z nim „porządek". Ale ja miałam nadzieję, że go nie znajdą. Ale jednak znaleźli. Pojechaliśmy do Włocławka, żeby zobaczyć, to na własne oczy. Strasznie to przeżywaliśmy.

Staraliśmy się, być ze wszystkim na bieżąco. W informacje z reżimowych mediów nie wierzyłam i słuchałam Radia Wolna Europa. Trzeba było robić to po cichu, bo wiadomo, że jak się miało sąsiadów komunistów, to należało uważać. Ale kiedy mieszkałam w Gdyni na Morskiej, nie musiałam się obawiać. Tam jak się słuchało radia, to wszyscy słuchali. Mieszkali tam portowcy i stoczniowcy, więc było raźniej.

Podczas trzeciej pielgrzymki Ojca Świętego w 1987 roku, byłam na Zaspie. Nieważne gdzie był papież – czy tu, czy na Westerplatte, czy gdziekolwiek – dla mnie to zawsze było wielkie przeżycie. To było tak jakby przyjechał ktoś święty. Niby zwykły, normalny, ale w człowieku cały czas było coś takiego, że On na pewno zostanie świętym. Jak na pogrzebie Ojca Świętego zaczęła zamykać się ta książka, pomyślałam, że to naoczne świadectwo. Nie mogłam za bardzo rozmawiać na te tematy z mężem, bo on zaraz szedł dalej z wieściami. Wiedziało się dużo rzeczy, ale nie można było wszystkiego mówić, bo on to wszystko za mocno przeżywał. Więcej rozmawiało się o tym z dziećmi, na bieżąco. Muszę podkreślić, że w naszej rodzinie papież cały czas był i jest.

Strajki w 1988 roku pokazały, że „Solidarność" nadal żyje, ale to wyjście ze Stoczni Gdańskiej, takie w ciszy i samotności, bez poparcia innych zakładów, było straszne. To znowu wróciło, powtórzyło się, pojawiła się obawa, jak to się skończy. W człowieku był lęk, strach, bo przecież się wszystko pamiętało z poprzednich lat. Zadymy, strzelaniny, to wszystko... Człowiek deptał po człowieku, jeden do drugiego strzelał... Mój mąż wtedy znów chciał się angażować, walczyć. Musiałam go gasić, uspokajać.

– Januszku, przestań, przecież ty nie masz o tym pojęcia – mówiłam mu.

Janusz zawsze za dużo mówił na komunistów. Miał być nawet zamknięty, ale jakoś go z tego wyciągnęłam. Była wtedy i milicja i przesłuchania. W tamtym czasie przewodniczącym POP (Podstawowa Organizacja Partyjna PZPR) był taki Mączka.

– Heniek, taki kolega byłeś, a teraz nie bronisz Janka i chcecie go zamknąć?! – powiedziałam wtedy do niego.

Mężowi zaś powtarzałam, że wszyscy go proszą, żeby nigdzie się nie plątał. Nawet dzieci mu to powtarzały. A on nie mógł przeżyć tego, że coś się dzie-

je. Że koledzy na niego donosili i doskonale wiedział kto donosił. Bardzo się tym przejmował.

– Po co ty się tam wciąż plączesz? Przecież widzisz, jaka jest atmosfera – mówiłam, bo już nawet ja nie chciałam o tym wszystkim wiedzieć.

Na szczęście nie przywoził do domu podziemnych materiałów. Choć mieliśmy rewizje, to nic nie znaleźli.

Czasy były ciężkie nie tylko ze względu na te dramatyczne wydarzenia. Człowiek przecież musi jakoś żyć, rodzinę nakarmić i ubrać, a o to łatwo nie było. Jak zatem człowiek cokolwiek kupił czy dostał, to naprawdę bardzo się z tego cieszył. Te kolejki za kiełbasą, za szynką... Jak się wystało i dostało szynkę na święta to był rarytas. Dzisiaj tego jest dość, ale wówczas były inne czasy. Jak dostaliśmy mieszkanie, to trzeba było stać za meblami. Ciężko się to wspomina. Dziś wydaje się to niemożliwe. No i te kartki! Siostra miała dużo dzieci i nie wykorzystywała całego przydziału więc dostawałam od niej kartki i wówczas kupowałam to, co potrzebowałam, bo na szczęście było za co. Dużo rzeczy dostawało się też po znajomości. PKS-ami jeździły kierowniczki sklepów i od nich dostawało się bardzo dużo rzeczy. Wiele jednak wystało się w kolejkach. Jak się dowiedziało, że coś gdziekolwiek jest, to się biegło i załatwiało. Wtedy były pieniądze, tylko że... Rzeczy, które przywoził mąż dla stoczniowców, od razu szły do stoczni. Nigdy nie braliśmy z tego nic dla siebie. Jak coś mieliśmy, to od rodziny na wsi. Ale to akurat jak się trochę uciszyło i uspokoiło.

W 1989 roku do samego końca nie wierzyłam w to, że to będzie koniec. Myślałam, że oni cały czas będą jeszcze między nami mieszać i nie dadzą się odsunąć od władzy. Tak było, jest, ma być i będzie! Myślałam, że to się nie skończy. Z jednej strony cieszyłam się w 1989 roku, bo chodziło o to, żeby tylko odsunąć komunistów. Pamiętam, że w domu nie można było nic mówić na ten temat, bo mąż od razu się nakręcał.

– Już znowu zaczynacie?! – krzyczały dzieci, jak się tylko pojawiał ten temat.

Co mi najbardziej utkwiło w pamięci z tamtych dni? Grudzień '70. Cały czas mam w pamięci ten tłum ludzi, który idzie do PKS-u do góry i to jak zaczęli walić. Tam dopiero się wyprawiało! To było coś okropnego i zostało mi do dzisiaj w pamięci. Kiedy wychodziłam i ratowałam te babki w ciąży, dostałam kilka razy pałą. Miałam potem problemy z kręgosłupem i przez dłuższy czas się leczyłam. Nigdy w życiu nie chciałabym, żeby to wróciło!

Romana Wasilewska

w latach '80 pracowała Zakładzie Doskonalenia Zawodowego w Gdańsku. Dyrektor Pionu Usług Księgowych w ENERGA Centrum Usług Wspólnych Sp. z o.o. Apteka.

W grudniu 1970 roku miałam piętnaście lat i uciekłam z domu, bo przecież gdybym powiedziała prawdę, to nikt by mnie nie z domu nie wypuścił. Chyba musiałam wiedzieć, co się dzieje, bo inaczej bym nie poszła. To było tak dawno temu, że trudno mi dziś powiedzieć, skąd miałam tę wiedzę. Wydaje mi się, że doszły do mnie jakieś informacje o tym, że coś dzieje się w stoczni.

Sytuacja wyglądała tak, że przez nasze podwórko, przez nasze bloki, przechodzili ludzie, którzy wcześniej jechali kolejkami ze stoczni. Ponieważ chciano ich rozgonić, przechodzili przez tory, przez Śląską, a następnie przez teren, gdzie mieszkałam. Wybiegłam z domu i poszłam na Władysława IV, bo tamtędy szli ludzie w kierunku Urzędu Miejskiego. Musiałam wiedzieć, dlaczego oni idą, bo przecież inaczej bym nie poszła. Dotarłam na Władysława IV, a tam właściwie ludzie już nie szli, bo szło tamtędy ZOMO, więc tłum szedł przez Świętojańską. Na Świętojańskiej też byłam i tam widziałam, jak na drzwiach niesiono zabitego człowieka. Wiele lat później poznałam jego nazwisko. To był Zbigniew Godlewski, choć cała Polska zna go bardziej jako Janka Wiśniewskiego. Potem ze Świętojańskiej przeszłam znów na Władysława IV, więc widziałam, jak zaczęli spychać ludzi. Ludzie ustawili się na rogu między Władysława IV a Świętojańską, tam gdzie był sklep z materiałami. Wybrali całą kostkę z jezdni i rzucali w ZOMO. Potem przedostałam się razem z innymi pod wiadukt, żeby wrócić do domu na Śląską.

Trudno mi powiedzieć, czy wtedy jako piętnastoletnia dziewczyna zdawałam sobie sprawę z tego, w czym uczestniczyłam. Na pewno miałam jakieś skojarzenia z wojną, dlatego że moi dziadkowie pochodzą ze Stanisławowa, ze Wschodu i często opowiadali mi o tym, co się działo w czasie wojny. O Ukraińcach, o Katyniu. Wiedziałam o tym wcześniej niż inni ludzie z uwagi na to, że moi dziadkowie przyjechali do Gdyni razem z moją mamą dopiero w 1945 roku. Ta sytuacja, która wtedy wydarzyła się na ulicach skojarzyła mi się trochę z opowiadaniami dziadków. Ludzie zaczynają wychodzić na ulice, coś robić, zaczynają walczyć. Dziś trudno mi powiedzieć, czy miałam już wtedy świadomość polityczną. Chyba bardziej obserwowałam.

Doskonale za to pamiętam Sierpień 1980. To jest nie do zapomnienia, choć przyjęłam to tylko i wyłącznie jako rzecz zasłyszaną. Miałam małe dziecko, moja córka urodziła się w sierpniu 1979 roku. Do tego studiowałam wtedy zaocznie, bo jak się miało małe dziecko, to nie można było studiować dziennie. Wtedy jednak już zdawałam sobie sprawę z tego, o co ludzie walczą, że chcą zmian i wiedziałam, komu to się nie podobało, co było. Ja słyszałam i obserwowałam, a mój mąż był już wtedy w to zaangażowany. Myślę, że wtedy człowiek miał bardzo dużo nadziei, że się zmieni. Że wreszcie nadszedł moment, że coś się wydarzy. No i śmieję się dziś, że się wydarzyło, ale się nie zmieniło.

W czasie strajku dużo mówiło się o postulatach i oczekiwania też były duże. W miarę jak przyłączały się kolejne zakłady, oczekiwania rosły razem z nadzieją. Zawsze tak jest, że im więcej ludzi się angażuje, tym bardziej ma się nadzieję. Wtedy była to nadzieja, że nie uda się tego zdusić. Nie miałam znajomych, którzy pracowali w stoczni, więc i informacji miałam mało. Najwięcej informacji pojawiło się wtedy, kiedy mąż zaczął organizować „Solidarność" w swoim zakładzie. Mąż pracował w olbrzymim przedsiębiorstwie, jakim było WPHW. Marian wykorzystywał to i jeździł po całym województwie, bo firma miała wiele oddziałów, sklepów i warsztatów. Jeździł, rozmawiał i namawiał. Ludzie chętnie zapisywali się, ponieważ wszyscy chcieli zmian. Mąż miał kilku zaufanych pomocników i z nimi budował struktury związku. Pojawiło się wiele nadziei i planów na reorganizację. Handlowcy mieli też swoje postulaty. Pamiętam jednak, że z uwagi na charakter tego przedsiębiorstwa ciężko było zebrać wszystkich w jednym miejscu. Do tego władze firmy wcale nie były przychylne nowemu związkowi.

Na początku żyliśmy w niepewności i w lekkim strachu. Ja nie pracowałam, bo było małe dziecko. Ale wydaje mi się, że mimo tego panował bardzo duży optymizm. Oczekiwaliśmy, że te działania przyniosą coś dobrego i zmieni się cały układ społeczny. Widzieliśmy doskonale, że tylko pewne grupy społeczne żyły w dobrobycie. Miałam koleżanki, które miały rodziców – a przynajmniej ojców – na wysokich stanowiskach w marynarce wojennej i, wychodząc za mąż, dostawały urządzone mieszkanie ze wszystkim, co sobie życzyły. A jak nam się urodziła córka, to mąż jeździł po całej okolicy, żeby kupić pralkę automatyczną. One miały wszystko na „pstryk". Tak było!

Przez krótki moment pracowałam w Zakładzie Doskonalenia Zawodowego w Gdańsku na Miszewskiego. Tam był partyjny dzielnicowy i w soboty czy w niedziele organizował takie specjalne dni handlowe. Panie z tego środowiska mogły sobie wtedy kupić skórzane kurtki, płaszcze i buty. A tego przecież w ogóle nie było na rynku! Doskonale o tym wiedziałam, ale to były za niskie progi na moje nogi. To było dostępne tylko dla grupy partyjnej. Ja co najwyżej mogłam uczestniczyć w handlu wymiennym. Oczywiście tylko wtedy, kiedy sama mogłam coś załatwić i miałam coś do zaoferowania.

Sprawy „Solidarności" interesowały mnie, dopóki mąż był tym zainteresowany. A był zainteresowany do czasu, ponieważ w którymś momencie przestał być zadowolony z ich pracy. Trudno mówić o moich, takich bardziej osobistych odczuciach. Właściwie zawsze brałam pod uwagę, to co mówi mąż. Nie miałam własnej wiedzy, więc jego entuzjazm był zawsze moim entuzjazmem.

Opowiadał o tych spotkaniach z takim zaangażowaniem i to się udzielało. Natomiast jeżeli przychodził i mówił, że coś jest nie tak i że zaczynają dziać się różne niedobre rzeczy, to podobnie jak on, czułam złość, smutek i rozgoryczenie.

A były ku temu powody, ponieważ później okazało się, że do „Solidarności" dostały się osoby, które w ogóle nie brały udziału w strajku i przyszły nie wiadomo skąd. A ci, którzy coś zrobili, zaangażowali się i włożyli w to całe serce, w którymś momencie właściwie zostali z niczym. Oczywiście po wycofaniu się męża z „Solidarności" dalej interesowaliśmy się tym, co się dzieje, ale trzeba było również normalnie żyć. Wszystko, co się zdarzyło, było słuszne, poza wspomnianymi ludźmi. Zresztą nasze gdyńskie środowisko jest mocno specyficzne. Mieszkają tutaj też ludzie po marynarce wojennej, którzy mają określone poglądy.

Kiedy Jaruzelski wprowadził stan wojenny zrozumiałam, że stało się coś strasznego. Aż się w oczach łzy zakręciły. Z Radia Wolna Europa dowiedzieliśmy się o akcji internowania działaczy. Wszyscy wtedy słuchali, bo czego innego było słuchać? A reszta to już pocztą pantoflową, bo przecież ktoś coś zawsze wiedział. Wtedy, w dniu wprowadzenia stanu wojennego poszliśmy na mszę do Najświętszego Serca Pana Jezusa, do ks. Hilarego Jastaka. Wtedy, pierwszego dnia wojny właściwie jeszcze nikt nie wiedział, co myśleć na ten temat. Był tylko suchy komunikat, żadnej informacji. Ale ludzie się też bali. Ja sobie wtedy myślałam, że nigdy nie wiadomo, czy nie będą chcieli aresztować męża. Nie mówiło się dużo na ten temat, bo nie było o czym mówić, ale wcale nie byłabym tym zdziwiona, gdyby tak się stało.

Szybko dowiadywaliśmy się o kolejnych aresztowaniach. Najpierw tylko o Wałęsie i wszystkich tuzach. Z naszych znajomych siedział Andrzej Klimiuk, mąż mojej koleżanki Wiesi. Siedział półtora roku, aż końcu wyciągnęła go „na serce". Był chyba we władzach „Solidarności" w Hartwigu. Koleżanka miała małe dziecko i została bez środków do życia, więc organizowano jakieś zbiórki. Nawet gdy byliśmy u Agaty jak kończyła roczek, to zbieraliśmy jakieś pieniądze, żeby Wiesi pomóc, bo była sama.

Kiedy odbywała się pielgrzymka Ojca Świętego pracowałam w wodociągach i dostałam kartę wstępu. Byłam nawet w takim sektorze, że widziałam papieża. Jaka to była wielka radość! Wielkie wydarzenie! Panowała niesamowita atmosfera życzliwości. Ludzie byli dla siebie uprzejmi i jeden drugiemu pomagał. Coś takiego, czego tak normalnie w ogóle się nie spotyka. Taka atmosfera przyjaźni była też, kiedy papież był na Hipodromie w Sopocie. Ludzie byli wspaniali. Ale nie pamiętam, żeby padło wtedy jakieś odniesienie do tego, że coś się wydarzy. Ciągle wydawało mi się, że po tym, co zdarzyło się w latach osiemdziesiątych, gdzie to wszystko poszło zupełnie innymi drogami, nikt już chyba tak na ten temat nie myślał. Trzeba było żyć, wszystko sobie poukładać, były dzieci do wychowania. A na Zaspie nie byłam, był mąż. Później już wydawało mi się, że wtedy faktycznie coś może się wydarzyć, coś zmienić. A i nasze życie też powoli się zmieniało, dlatego, że zaczęliśmy zupełnie inaczej funkcjonować.

Największą tragedią tamtych czasów był okrągły stół i ustalone na nim „prawie" wolne wybory. Wydaje mi się, że to była fikcja i Polska wtedy wcale

nie odzyskała niepodległości. Bardzo chciano, żeby ludzie tak myśleli, ale jednak pieniądze i idąca za nimi władza zostały po innej stronie.

Zresztą dało się to zauważyć nawet później, już w latach dziewięćdziesiątych. W pewnym momencie zmieniliśmy swoją działalność, ale zawsze okazywało się, że jak ktoś miał bardzo dobry sklep albo bardzo dobrą hurtownię, to albo pochodził ze służb, albo z marynarki. Z tego starego układu. W konsekwencji pieniądze dalej były tam, gdzie były wcześniej. Zwyczajne uwłaszczyli się i to było widoczne na każdym kroku. Jak w tamtych czasach funkcjonowała jakaś porządna restauracja, można było zaraz się domyślać kto jest jej właścicielem. A my na przykład nie mogliśmy dostać koncesji na alkohol, bo nie byliśmy z tego układu.

Było ciężko i mimo tej całej walki i pozornych zmian wciąż nie jest normalnie.

Jagoda Wawrowska

w roku 70' dziecko. W 1982 roku wyemigrowała z Polski. Po 20 latach emigracji wróciła do Polski. Zaangażowana w Ruch Kontroli Władzy/Wyborów, przedstawicielka na Pomorze. Członek Klubu Gazety Polskiej. Związana z fotografią.

Szary i dżdżysty, przesiąknięty wilgocią, która oblepiała wszystko i przenikała przez ubranie aż do skóry. Właśnie tak pamiętam grudzień 1970 roku.

Tego dnia siedzieliśmy w szkole i czekaliśmy aż rodzice nas odbiorą. Byliśmy zaskoczeni, bo to się nigdy wcześniej nie zdarzało. Zawsze po lekcjach wszystkie dzieciaki szły po prostu do domu i żaden rodzic przy tym nie asystował. Tego dnia było jakoś inaczej. Dawało się wyczuwać jakiś niepokój i chaos. Lekcje chyba nawet się wtedy nie odbywały. Być może dlatego, że w klasie pojawiło się bardzo mało dzieci. Do domu miałam blisko, bo z Kamiennej Góry nie musiałam nawet przechodzić na drugą stronę Świętojańskiej, ale i tak musiałam czekać, by ktoś z rodziny po mnie przyszedł. W jaki sposób szkoła zawiadamiała o tej konieczności rodziców? Tego nie wiem, bo rzadko kto miał wówczas telefon.

Miałam wtedy 10 lat i chodziłam do V klasy Szkoły Podstawowej nr 27 przy ul. Słowackiego. Obecnie jest to SP nr 51. Naszą wychowawczynią była pani Budnik, którą w tych dniach zastępowała nasza stara wychowawczyni pani Maltowska. Przez kolejne dni szkoła funkcjonowała bardziej jako przechowalnia, bo nic programowego nie robiliśmy. Po jakimś czasie wreszcie i mnie przestano wysyłać na lekcje.

Zostawałam u babci, która mieszkała na Świętojańskiej, trochę poniżej nas, pod numerem 53. Dziś budynek ten funkcjonuje jako tak zwana „kamienica Stankiewicza", posiada status zabytku gdyńskiego i jest podziwiana jako przykład gdyńskiego rozmachu lat 30. Jednak ja już od dziecka doceniałam pomysłowość projektu architekta, Włodzimierza Prochaski i cieszyłam się przestrzenią tego domu. Zarówno w mieszkaniu, jak i na szerokich klatkach schodowych, połączonych wielką przejazdową bramą, prowadzącą na obszerne podwórze leżące u stóp Kamiennej Góry. To był dom mojego dzieciństwa, czas solidarności sąsiedzkiej i niekończących się zabaw na dworze z całą czeredą dzieciaków, głównie chłopców.

Z tych grudniowych dni najbardziej pamiętam tę wilgoć i gryzący, siwy dym wiszący w różnych punktach ulicy. Dym sączył się też powoli zza rogu Em-

piku, czyli od ulicy Żwirki i Wigury, a nawet z niektórych bram prowadzących do klatek schodowych. Pojawiał się wszędzie, gdzie milicja rzucała petardy dymne. Tak było też w naszym domu. Zanim całe miasto zostało zasnute dławiącą oddech siwizną, przypominam sobie wzbierający w oddali odgłos tłumu, który w pewnym momencie przemaszerował środkiem jezdni tuż pod naszymi oknami. Babcia przegoniła mnie wtedy z parapetu. Obawiała się, żeby jakiś kamień nie dosięgnął przypadkiem pierwszego piętra, albo nie padł nawet jakiś strzał w kierunku gapia w oknie.

Dzień po tym pochodzie ulice zapełniły się mężczyznami w hełmach i szarych milicyjnych płaszczach. Dziwnie grubych, biegających we wszystkie strony i rzucających petardy w grupki wyrostków gromadzących się na ulicy. Dźwiękiem, który szczególnie utkwił mi w pamięci był przerażający huk silników i chrzęst gąsienic po bruku, zwielokrotniony echem odbijającym się w ciszy o ściany budynków. Był to odgłos czołgów przemieszczających się nocą ulicą Świętojańską.

Oceny tych wydarzeń w mojej rodzinie były jednoznaczne. Ciocia pracowała z Gdyńskiej Straży Portowej, wujek w Morsie, drugi wujek w Dalmorze. Mieszkanie babci położone w połowie ulicy Świętojańskiej i miało charakter domu otwartego. Tam zawsze wszystkim było po drodze. Dom był nieustannie pełen znajomych, którzy wpadli pogadać, przy okazji wymieniając opinie o zaistniałej sytuacji. Chcąc nie chcąc przysłuchiwałam się przekazywanym informacjom i pogłoskom, tak samo jak osobistym zwierzeniom przyjaciół cioci i wujka, którzy mieszkali razem z babcią.

Mama pracowała w Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej, a ja miałam zwyczaj przychodzenia po mamę przed końcem jej pracy, by razem z nią wracać do domu. Wracając z instytutu trzeba było przejść przez Skwer Kościuszki, obok wozów pancernych i uzbrojonych żołnierzy, stojących w około. Któregoś dnia mama powiedziała do mnie, że ci żołnierze występują przeciwko własnym braciom i że osoby, które dziś uważane są za wrogów, kiedyś będą nazywane bohaterami.

Musiałam doświadczyć dużo lęków w tamtych czasach, bo pozostawiły one ślad w postaci panicznej niechęci do fajerwerków. Tłum, specyficzny zapach prochu i huk wystrzałów wywołują we mnie odruch ucieczki, niekiedy paniki i jak dotąd żadne celebracje w postaci najwspanialszych fajerwerków nie były w stanie tego zmienić. Ten sposób świętowania, szczególnie na Skwerze Kościuszki, powoduje, że serce zaczyna mi walić, a żołądek zaciska się gwałtownie.

Wkrótce po wydarzeniach grudniowych mój ojciec wyjechał z Polski i rodzice się rozwiedli.

A lato 1971 było oddechem po tych smutnych wydarzeniach. Ciocia dostała wczasy w ośrodku wypoczynkowym Zarządu Portu Gdynia nad jeziorem w Łapinie. Udało jej się uzyskać miejsce w domkach kempingowych dla całej rodziny i tak w dziesięć osób spędziliśmy razem jedne z najfajniejszych wakacji. Babcia, mama i ja oraz „oba wujki" z żonami i moim kuzynostwem. Zorganizowane wczasy dawały dodatkowy luksus gotowych posiłków i uczestnictwa w zaplanowanych odgórnie aktywnościach. I tak babcia została zwycięż-

czynią konkursu strzeleckiego, a wujkowie, dopingowani przez żony i całą resztę rodziny, startowali w zawodach pływackich, albo brali udział najróżniejszych konkursach zręcznościowych. Była z tego cała masa śmiechu i radości.

Rodzinka, tym pewniej funkcjonująca, bo w zwartej grupie, zawsze otwarta była na nowe kontakty i nowe znajomości. Ludzie przewijali się przez ten nasz domek w Łapinie i przyłączali się do naszych przedsięwzięć rodzinnych na dłużej lub krócej, ale na pewno bardzo intensywnie. Tak stało się właśnie z ratownikiem kąpieliska, który pracował w ośrodku wczasowym Zarządu Portu Gdynia i mieszkał w malutkim domku przy plaży. Był byłym pracownikiem gdyńskiego portu.

Radość i otwartość mojej rodziny przyciągała. Śmiech i ciągłe żarty w wodzie oraz na pomoście z pewnością musiały zwracać uwagę, więc w trakcie tego lata, ratownik Zbyszek zaprzyjaźnił się ze wszystkimi członkami mojej rodziny. Najbliżej zaprzyjaźnił się z moją z moją mamą i mimo, dzielącej ich różnicy wieku, stali się parą. Nie przeszkadzało mi to w żadnym stopniu. Cieszyłam się nawet z obecności jej nowego mężczyzny w domu. Poza tym dzieliłam postawę swojej matki, która zawsze uważała, że w miarę możliwości należy pomagać tym, którzy znaleźli się w tarapatach. A Zbyszek był w tarapatach.

Zwolniony z pracy, od miesięcy łapał się dorywczych robót, żeby się utrzymać. Szedł za nim wilczy bilet z Grudnia 1970 i zwolnienie z pracy w Porcie Gdynia. Zbyszek pochodził z Wrocławia. Dla dorosłego mężczyzny, żyjącego od lat na własnym rozrachunku, powrót do domu rodzinnego nie wchodził w grę, lecz bez zameldowania na terenie Gdyni nie można było otrzymać pracy. Zameldowanie, choćby w hotelu robotniczym było warunkiem podpisania umowy. Problem polegał na tym, że nigdzie nie chciano go ani zatrudnić, ani zameldować.

Z jakiego powodu władza ludowa, tak bardzo upodobała sobie zaledwie 26-letniego Zbyszka, żeby utrudniać mu życie w każdy możliwy sposób? Zbyszek, lub raczej Włodek, był jedną z osób, która 15 grudnia 1970 złożyła swój podpis na Protokole Porozumienia Pomiędzy Komitetem Strajkowym i Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gdyni.

Zbyszek został zameldowany na ulicy Konwaliowej, w nowym mieszkaniu, które od niedawna zostało przyznane moim rodzicom, a po jakimś czasie zamieszkał z nami na dobre. W końcu znalazł pracę i kojarzy mi się tu słowo – spedycja, choć nie jestem tego do końca pewna.

Nowa praca nie oznaczała jednak uwolnienia od szykan. Któregoś dnia, zapewne nie przypadkiem, ukradziono Włodkowi sprzed domu nowo zakupiony motor, podczas gdy inne motory stały tam nietknięte całymi miesiącami. W pracy zaś koledzy unikali jego towarzystwa. Słyszałam, z jaką goryczą opowiadał o spotkaniu z serdecznym kolegą Mundkiem, na którego natknął się na ulicy. Mundek nie zareagował na powitanie, udając, że się nie znają. Uciekał przed nim, aż do rogu księgarni na Władysława IV, gdzie przystanął i zerkając dla niepoznaki na książki z wystawy, szeptem poprosił Włodka, żeby się do niego nie zbliżał, gdyż prawdopodobnie jest śledzony.

Życzliwi w pracy ostrzegali Włodka przed planowanymi prowokacjami. Miały one polegać na podrzuceniu do jego szafki pracowniczej jakichś kom-

promitujących materiałów. Ostrzeżenia przed prowokacjami skutkowały tym, że Zbyszek musiał organizować sobie fikcyjne usprawiedliwienia częstych nieobecności, aż w końcu po prostu bał się chodzić do pracy. Zdesperowany napisał w tej sprawie list do Gierka. Napisał w nim, że jeżeli sytuacja się nie poprawi, to jedynym rozwiązaniem, jakie widzi dla siebie jest emigracja. Prosił o pomoc. Odpowiedzi na ten list oczywiście nigdy nie otrzymał.

„Solidarność" wybuchła jak wiosna, nagła, ożywcza i przynosząca nadzieję na nowe życie. Każdy kolejny dzień strajku wnosił coś nowego. Radość mieszała się z napięciem i niepewnością. Jak to się skończy? Co z nami zrobią? Nie byłam stoczniowcem, nie pracowałam w porcie, ani innym państwowym zakładzie. Pracowałam w prywatnym zakładzie fotograficznym, a przecież los strajku był tak samo moim losem. Poza tym był dla mnie odmianą w marazmie lat 70. zorientowanym wyłącznie na zewnętrzne znamiona dobrobytu w postaci malucha, meblościanki i kolorowego telewizora marki Rubin.

Pamiętam jak miasto ucichło. Przestały dochodzić dźwięki ze stoczni – te miarowe uderzenia w blachy. Ustało skrzypienie dźwigów w porcie, nie parskały na przystankach autobusy. Wszystko stanęło. Podmiejskie Modraki kursowały nieregularnie. Z Witomina szły co rano tłumy ludzi do pracy i wracały tak samo – na piechotę. Kierowcy mający wolne miejsce zatrzymywali się po drodze i sami z siebie oferowali podwiezienie. Stało się to regułą zarówno dla samochodów prywatnych, jak i dostawczych. Panowała jakaś niespotykana wcześniej życzliwość. Ludzie pomagali sobie we wszystkim, byli wobec siebie cierpliwi i uprzejmi. Pamiętam kolejarza z wielkimi wąsami, który z uśmiechem wychodził na peron i zaglądał na schody sprawdzając, czy wszyscy biegnący do kolejki zdążą.

W końcu można było słuchać na bieżąco o tym, co się dzieje przez radio i chyba przez telefon, a mam wrażenie, że transmisje z obrad można było też oglądać w telewizji gdańskiej. Wówczas po raz pierwszy w życiu usłyszałam tak wprost i bezpośrednio wyrażone słowa, kierowane do przedstawiciela rządu, które bez owijania w bawełnę i łagodzącego uśmiechu nazywały sprawy po imieniu. Jeszcze teraz odczuwam tamto zaskoczenie i podekscytowanie w chwili, gdy usłyszałam jak odważnie brodaty członek MKS-u domaga się uwolnienia więźniów politycznych i opisuje zakłamanie władzy. Bałam się, a jednocześnie czułam jakby się ciężki pułap chmur nagle uniósł i nareszcie można wziąć głęboki oddech.

Stan wojenny zastał mnie spakowaną i gotową do wyjścia na dworzec. Zwlekałam jednak, aż do momentu, kiedy nie można już było wyjechać i trzeba było oddać paszport. Jerzy, z którym wiązałam przyszłość, wyjechał latem i przebywał w obozie dla uchodźców w Austrii. Ustaliliśmy, że do niego dojadę. Z reżimem stanu wojennego, nie umiałam i nie chciałam się pogodzić. Lecz tak trudno było mi rozstać się z domem, z rodziną i przyjaciółmi! Mama od ponad roku mieszkała z Bogusławem, więc całe mieszkanie miałam dla siebie. Z wyjątkiem jednego pokoju, który zawsze był wynajmowany.

Ostatecznie wyjechałam z Polski 2 września 1982 roku, w dzień imienin mamy. Wypłynęłam ze Szczecina statkiem do Lubeki ze świadomością, że nigdy do Polski nie wrócę, że zostawiam matkę, jej całą rodzinę, z którą byłam

tak zżyta, mojego ukochanego kuzyna i przyjaciela Mariusza, z którym łączyła mnie prawdziwa telepatia, białego kota Utanta i wszystko to, co było mi bliskie.

Jechałam nie wiadomo po co, nie wiadomo gdzie. Byle dalej od kłamstwa i przemocy, penetrujących życie jak grudniowa mgła i zatruwająca polskie dusze niczym dwutlenek siarki uwolniony z petardy rzuconej w stronę tłumu. Chciałam się ratować. Miałam 22 lata.

Powodów mojego powrotu jest wiele i długo można by wymieniać. Niektóre z nich ocierają się o patos i pewnie przyjęte byłyby z niedowierzaniem, choć są prawdziwe. Jednym z bardziej racjonalnych było pragnienie, aby mój 6-letni synek poznał moją rodzinę i miał okazję spędzić czas ze swoją babcią, w inny sposób niż w trakcie okazyjnych wizyt.

Zanim mama zmarła, Fryderyk rozpoczął w Polsce szkołę i jakoś tak się stało, że „zapomnieliśmy" o zaplanowaniu powrotu. Pozwalała na to nasza względnie dobra sytuacja finansowa. Na dodatek, po blisko roku dojechał do nas tata Fryderyka, który nieoczekiwanie dla siebie znalazł w Polsce pracę jako native speaker.

Żyłam za granicą prawie dwie dekady. Mój powrót do Polski był moją trzecią wielką emigracją. Był, bo chociaż wracałam do miejsc swojskich i dobrze mi znanych, gdzie obcy język nie tworzył bariery, kraj był inny i ludzie byli inni. Musiałam nauczyć się żyć w polskiej codzienności, tak samo jakbym była tu cudzoziemką.

Kiedyś ciocia zapytała mnie:

– Jagódko, powiedz, w którym kraju czujesz się najlepiej?

– Ja, ciociu, czuję się w każdym kraju tak samo źle, tylko że, w każdym z zupełnie innych powodów – odpowiedziałam pół żartem, pół serio.

Największa trudnością okazała się zdumiewająca i obecna na każdym polu niechęć do rozwiązania najprostszych problemów i oczekiwanie, że ktoś inny powinien się tym zająć. Można by uznać, że ten uwiąd stał się czymś charakterystycznym dla Polski. A ja pamiętam przecież inną energię Polaków. Energię zachwycającą entuzjazmem i wzajemną życzliwością. Wiem, że brzmi to górnolotnie i patetycznie, ale właśnie ta pamięć o Wielkiej Ludzkiej Solidarności pomaga mi w Polsce żyć.

Bożena Wojewska

w latach 80' nauczyciel, pracowała w Ośrodku Szkolno–Wychowawczym w Wejherowie. Była tam Przewodniczącą Koła NSZZ „Solidarność".

Byliśmy młodzi, prosto po studiach i wydawało nam się, że jesteśmy w stanie zmienić cały świat. Człowiek miał tyle energii, że nie patrzył na nic. A ponieważ oboje byliśmy nauczycielami, a w szkole były wakacje, to mieliśmy więcej czasu i mogliśmy wyjeżdżać. W 1979 roku braliśmy ślub i w 80 roku wybraliśmy się na Węgry. To była taka nasza, można by powiedzieć, podróż poślubna. Wracając do Warszawy pierwszy raz w życiu leciałam samolotem. Wiedzieliśmy już, że się coś dzieje, ale nie mieliśmy jeszcze dokładnej informacji o sytuacji.

O rozwoju i zasięgu strajków dowiadywaliśmy się z radia, oczywiście nie tego oficjalnego, polskiego, ale tego, którego nie wolno było słuchać. Mąż ciągle siedział z uchem przy radiu Wolna Europa, a ponieważ że wyszłam za mąż a historyka, to ten historyk na bieżąco informował mnie o rozwoju wydarzeń i tłumaczył sytuację. A jako żona mocno zaangażowanego patriotycznie historyka zostałam jako pierwsza wciągnięta w „Solidarność". Na Osieku organizowała się wtedy „Solidarność" nauczycielska i mąż jeździł tam po ulotki i informacje. Przywoziliśmy to wszystko do Wejherowa. Wiadomo, że były jeszcze wakacje, ale ludzie już postanowili działać, by rok szkolny rozpocząć z zalążkiem nowego związku. Byliśmy prawie pewni, że to się uda, że w stoczni w Gdańsku podpiszą porozumienie i rząd spełni postulaty strajkujących. Stocznie były pierwsze, a potem do strajku dołączyły inne zakłady. Mój tata w tym czasie strajkował w PKS Wejherowo.

Mimo że mieszkaliśmy poza Trójmiastem, to też baliśmy się powtórki Grudnia '70. Przecież wielu stoczniowców i portowców z tamtego okresu to mieszkańcy Wejherowa, Redy czy północnych Kaszub. Kiedy trwały wydarzenia grudniowe miałam może 13, 14 lat. Wiedziałam co się dzieje, ale w tym wieku specjalnie się historią nie interesowałam. To raczej mąż był bardziej świadomy, a ponieważ chodziliśmy razem do jednej klasy, to od trzeciej klasy liceum byłam cały czas przez niego uświadamiana historycznie. W domu z kolei na takie tematy specjalnie za dużo się nie mówiło. Może dlatego, że moja mama pochodziła z Kaszub, w Gdyni co prawda mieli kamienice, ale później komuniści im to zabrali. Koncentrowaliśmy się raczej na tym, co dzieje się na Wejherowie.

Po powrocie z węgierskich wczasów, kiedy zrozumieliśmy, co tak naprawdę dzieje się w stoczniach, portach i innych zakładach, postanowiliśmy tam

pojechać. Oczywiście szykowaliśmy jedzenie i jechaliśmy pod stocznię czy to do Gdyni, czy Gdańska. To właśnie stocznie były najważniejszym symbolem strajków sierpniowych, a historycznie można zaryzykować stwierdzenie, że nadszedł wtedy czas na dokończenie grudniowego protestu.

Jak wspomniałam, mąż jeździł do Gdańska po ulotki i próbowaliśmy też założyć solidarność nauczycielską. Na przełomie sierpnia i września nawiązaliśmy kontakt z Gdańskiem. Pojawiła się w nas taka energia, a że nie mieliśmy jeszcze dzieci, to wydawało nam się, że niczym nie ryzykujemy. Mąż jako historyk myślał i żył nadzieją, że może teraz się coś otworzy. Miał tak duży kontakt z młodzieżą, że mógł im przekazać wszystko. Ale energia to nie wszystko. Szybko okazało się, że w terenie jest inaczej niż w dużym mieście. Tutaj łatwiej zastraszyć i zgnębić niepokornych. A jeśli jeszcze ma się odpowiednie narzędzia, to można to robić w świetle prawa i nikt się o człowieka nie upomni.

Dużo nauczycielek na naszym terenie było żonami milicjantów i wojskowych. Pracowałam wtedy w Ośrodku Szkolno–Wychowawczym w Wejherowie i tam nikt specjalnie nie chciał się w te działania angażować. Jeśli już, to mężczyźni ze szkoły zawodowej, z warsztatów, czyli instruktorzy uczący zawodów. To oni jako pierwsi się dołączyli, a ja zostałam przewodniczącą Koła Solidarności.

W szkole średniej na historii zupełnie nie wspominało się Katynia. Nic nie mówiło się o sprawach patriotycznych, o AK, czy Powstaniu Warszawskim. O tym się milczało. Dodatkowo nauczycielka historii też była „opcji partyjnej", po Uniwersytecie Marksizmu i Leninizmu. Mąż uczył w Liceum Medycznym i naciskano tam na niego, by jako historyk skończył z tymi tematami i milczał. A on miał dostęp do pewnych informacji i do źródeł z biblioteki. Nawiązywał dobre kontakty z młodzieżą, przez co miał kłopoty z radą pedagogiczną, czy z dyrekcją, bo dużo nauczycieli było zazdrosnych. Gdyby odbył się wtedy plebiscyt na najlepszego nauczyciela, to byłby nim Jasiu. Uczenie i młodzież to były jego pasje. W domu podobnie. Jak już mieliśmy dzieci, to on zawsze potrafił wejść w ich świat i miał z nimi doskonały kontakt. Przez to w domu matką był bardziej mąż, a ja bardziej ojcem, który trzymał dyscyplinę. Ja byłam bardziej organizatorem i osobą wyznaczającą zasady.

Na radach pedagogicznych w swoim liceum Jasiu otwarcie mówił prawdę o Katyniu, co nie podobało się niektórym nauczycielom. Twierdzili, że to nie są rzeczy udowodnione i o tym się nie powinno mówić, bo wprowadza się uczniów w stan zwątpienia co do słuszności przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. Jednak ich słowa i zakazy nic nie dawały. Pewne relacje z uczniami zostały już wypracowane i żaden nakaz czy zakaz nie mógł ich podważyć. Mąż potrafił porwać młodzież i ona szła za nim. Pamiętam też, że uczniowie przychodzili do nas do domu i wspólnie przygotowywaliśmy akademie. Najpierw śpiewaliśmy z nimi piosenki. „Bywaj dziewczę zdrowe" – to była moja ulubiona piosenka, ponieważ padają tam słowa: „Ojczyzna mnie woła".

Skoro słowa nie pomagały, to podjęto bardziej radykalne kroki i doszło do tego, że w pewnym momencie odsunęli mojego męża od nauczania historii. Bardzo go to zabolało. Chodziło im o to, żeby mąż nie miał wpływu na młodzież i nie miał z nimi kontaktu, z tymi młodymi ludźmi, którzy chcą go słuchać. I tak go słuchali, więc jeszcze przed stanem wojennym mąż stracił pracę. Cho-

dził wtedy napełniać woreczki ze słomkami kolorową wodą na odpustach. Wiadomo – jeść trzeba, a czasy były pod tym względem trudne. Znajomy namówił go później, by zaczął prowadzić samodzielną działalność. Mama szyła jakieś kloszowe spódnice, a myśmy wycinali jakieś wzory, choć żadne z nas nie znało się na krawiectwie. Mąż chodził wtedy z torbą i oprócz tych spódnic dostarczał nici i zamki do szycia. Do Gdyni też jeździł. Często było tak, że nikt nie chciał tych spódnic kupować i Jasiu wracał do domu ze spódnicami, a nie pieniędzmi. Trwało to jakiś rok, czy półtora.

Ja w tym czasie byłam zaangażowana w „Solidarność", bo związek już u nas powstał. Nie zapomnę momentu, kiedy zbliżał się 7 listopada i polonistka powiedziała, że może coś przygotować na rocznicę Rewolucji Październikowej. Odpowiedziałam jej, że nie mam na to żadnych materiałów i czegoś takiego przygotowywać nie będę. Rozwieszałam za to prowokacyjne plakaty, które dawał mi mąż, przez co byłam wzywana do dyrekcji. Nosiliśmy też symbol Polski Walczącej.

Nie zmuszano mnie wtedy, bym chodziła na Uniwersytet Marksizmu i Leninizmu, ale podsuwano mi jakieś różne formularze do podpisania, a później, już w stanie wojennym, przeszłam weryfikację i próbowano zmusić mnie do podpisania lojalki. Nie podpisałam. W tamtym okresie byłam często wyzwana do dyrektora i na spotkania, w których uczestniczył nasz wejherowski pierwszy sekretarz. Namawiano mnie bym wstąpiła do partii. Tłumaczono mi, że to mnie oczyści. Nic nie podpisywałam i zapewne dzięki temu dostałam wymówienie w pracy. Wiedzieli, że mąż nie pracuje i chcieli przedłużyć mi umowę tylko o rok. Chcieli mnie zwolnić zarzucając, że nie mam odpowiednich kwalifikacji, bo nie chciałam się dokształcać na UML. Miałam gdzieś jeździć i dokształcać się z pierwszym sekretarzem, więc odmówiłam. Miała nawet odbyć się rozprawa, ponieważ napisaliśmy odwołanie. Miałam stawić się na rozprawę, do której co prawda nie doszło, bo nie chcąc rozgłosu załatwili to na sprawie ugodowej. Na moje miejsce przyszła koleżanka. Zwolnili mnie tłumacząc, że nie miałam wykształcenia, mimo że byłam magistrem, nauczycielem matematyki. Argument był taki, że nie zostałam zwolniona ze względów solidarnościowych, tylko że brakowało mi wykształcenia.

Wcześniej był stan wojenny. Szkoła natychmiast została zamknięta. Od razu ferie, tak byśmy nie mieli kontaktów koleżeńskich i nie mieli wpływu na uczniów. Tak jak wspomniałam, w Gdańsku wszyscy byli razem, można było tą „Solidarność" budować nawet w podziemiu. A tutaj? Tutaj każda szkoła gdzieś indziej i wszyscy rozproszeni. Ferie trwały chyba aż do 15 stycznia, więc jak można było cokolwiek zrobić?

Myśmy jednak byli młodzi i chyba właśnie ten duch młodości nami kierował, więc działaliśmy jak mogliśmy. Mieliśmy po 24 lata i choć mieliśmy już syna, to nie czuliśmy jeszcze tak wielkiego strachu i ta młodzieńcza energia kazała nam działać. Mama została wtedy poinstruowana, by nie otwierać drzwi i zakluczać ma wszystkie zamki, bo jak oni wchodzą, to wyciągają ludzi nawet w piżamach. Przy tapczanie zawsze stały buty, żeby w razie czego mąż w te buty wskoczył, żeby nie wyszedł na boso. Baliśmy się tego, że kiedyś wejdą, więc zakopaliśmy wszystkie dokumenty u nas w piwnicy.

Mąż co prawda nie był internowany, ale mogło im na nim zależeć. Został wybrany z Wejherowa przez Zjazd Regionu Solidarności Gdańskiej jako delegat na zjazd krajowy. Reprezentował tam nauczycieli. W sekcji oświaty zajmował wysokie stanowisko. Zawsze podkreślał, że jego wzorem jest prof. Starzyński, człowiek skazany w czasach stalinowskich na karę śmierci, niepokorny żołnierz niezłomny. Na Osieku jest do dzisiaj tablica poświęcona jego pamięci.

Mąż w tamtym czasie bardziej identyfikował się z Gdańskiem niż Wejherowem. W Gdańsku byli ludzie bardziej zaangażowani, ideowi. Spotykał się z nimi i rozmawiał, dzięki temu przyjeżdżał do Wejherowa z gotowymi pomysłami i ideami. W Wejherowie jednak był masowy opór i wszyscy się bali. Kiedy wprowadzili stan wojenny wszyscy czekali na Lecha Wałęsę, ale jego przecież też zamknęli, więc nikt bez wezwania od Lecha Wałęsy nie chciał się w nic angażować. Czuliśmy wtedy taką gorycz, bo był stan wojenny, a nie wiedzieliśmy co mamy robić. Wejherowo w zasadzie spało. Było to dla nas bardzo bolesne, bo nie byliśmy ze stocznią, a władze oświatowe pozbawiły nas kontaktu z młodymi ludźmi. Nie mogliśmy się z tym pogodzić, więc stwierdziliśmy, że będziemy robić coś sami. Przyklejaliśmy plakaty A4 na murze koło PKS w Wejherowie. Sama je robiłam, choć talentu plastycznego nie miałam i malować nie umiałam. Ja kleiłam, a ktoś zawsze stał na czatach. Czy się bałam? Oczywiście baliśmy się, ale i tak roznosiliśmy ulotki i naklejaliśmy te nasze plakaty. Na pewno się baliśmy, ale bardziej drżałam o męża niż o siebie. Przecież tylu mężczyzn zostało wtedy internowanych. Dzięki Bogu nie wpadliśmy i nie mieliśmy rewizji czy wizyty smutnych panów.

Podczas Bożego Ciała nasz dom był zawsze prowokacją. W oknie zawsze wystawialiśmy biało czerwony kształt zwycięstwa, literę V. Pamiętam, że był problem, żeby w ogóle dostać biało-czerwoną flagę. Komuna nawet flag nie dawała, bo to byłby sygnał do walki. Myśmy sami szyli tę literę V i spisaliśmy tekst pieśni religijnej. Staliśmy i patrzyliśmy na reakcje ludzi. Rzeczywiście szli i pokazywali nasze okno. To była dla nas duża satysfakcja, bo chcieliśmy podtrzymać tego ducha wolności.

Nie chcę już teraz tworzyć mitów i legend, ale nasz kolega kiedyś powiedział:

– Jasiu ty jesteś na liście.

Dowodu na to nie mamy, jednak po tych słowach przez dłuższy czas żyliśmy w przeświadczeniu, że kiedyś przyjdą Jasia aresztować. Czuliśmy się tak, jakby ktoś nam przetrącił kręgosłup i to przetrącenie odczuwamy do dziś, ale są pewne rzeczy, z których nie można zrezygnować. Jak się już poczuje tego bakcyla historii, to ta chęć działania wzrasta. Tego nauczył mnie mąż. Na studiach był w jednej grupie seminaryjnej z Arkadiuszem Rybickim, Aleksandrem Hallem i Donaldem Tuskiem. To dawało nam motywację. Z Trójmiasta docierały do nas informacje o podziemiu, o spotkaniach w kościołach, o niezależnych wydawnictwach. Jednak Wejherowem nie za bardzo się to podziemie interesowało. Wiadomo każdy miał swoje problemy.

Mieliśmy poczucie, że „Jaruzel" zniszczył nam życie, ale umacniało nas to to, że mieliśmy polskiego papieża. Jeździliśmy na każde jego spotkanie. Pamiętam dokładnie jak Karol Wojtyła został wybrany 16 października 1978 r. Tego

dnia obchodzę urodziny. Potem przez całe dotychczasowe życie szliśmy z papieżem. Jego słowa wyznaczały naszą drogę. Jeszcze przed Sierpniem '80 organizowaliśmy spotkania akademickie. Do parafii trafił wtedy ksiądz Żurawski, a myśmy czuli się trochę bezdomni. On zaproponował, żebyśmy spotykali się u niego w domu parafialnym lub salce na plebanii. I wtedy zaczęły się dyskusje polityczne. To było takie forum, gdzie młodzi ludzie mogli wymieniać swoje poglądy bez cenzury. To były takie spotkania wolnych ludzi na wolnym terenie.

Staraliśmy się być na wszystkich pielgrzymkach Jana Pawła II. Jeździliśmy na te pielgrzymki i nawet chyba z Berlina też przyjeżdżaliśmy na te pielgrzymki. To było dla nas zawsze wielkie umocnienie. W 79 roku byliśmy najbliżej pod tym słynnym balkonem przy Katedrze Gnieźnieńskiej, kiedy papież śpiewał „Góralu, czy ci nie żal". To było dla nas takie przeżycie, które pozostawiło ślad do dzisiaj. To bliskie spotkanie z papieżem, gdzie się wyczuwało, że taka niesamowita energia, aura wypływała od tego człowieka. On miał w sobie coś niesamowitego. Każde kolejne spotkanie niosło ze sobą poczucie tej wielkiej wspólnoty, która żyje też wspólnymi ideami.

Wspomnę jeszcze naszą sytuację, ponieważ w pewnym momencie zostaliśmy prawie bez środków do życia. Jakiś czas po wprowadzeniu stanu wojennego przebywałam na urlopie macierzyńskim i mąż sam starał się utrzymać rodzinę. Jak straciliśmy pracę w Wejherowie, bo powiedziano, że nie ma dla nas miejsca, mąż jeździł do Pucka do pracy. Najpierw pojechaliśmy do Gniewina, tam spytano nas o naszą przeszłość, więc podjęliśmy decyzję, że tam pracy nie podejmiemy. Później ja dostałam pracę w Wyszecinie, ale na radzie pedagogicznej przydzielono mi organizowanie obchodów rocznicy rewolucji październikowej. Więc wiedziałam, że do tej szkoły już też nie pójdę. Na szczęście mąż znalazł pracę w Pucku. Trudno się to wspomina.

Co by jednak nie mówić, w mojej świadomości „Solidarność" była naszą pierwszą miłością i z nią zostaliśmy do dzisiaj. Mąż strasznie przeżywał, kiedy byliśmy już w Berlinie i przyjechał specjalnie do Gdańska na 25 rocznicę „Solidarności". Siedział wtedy samotnie pod murkiem. Może przez to też, że brakowało nam kontaktów. Mąż tak to przeżywał, że był sam podczas tych obchodów. Ale cóż? Środowisko nauczycieli w Wejherowie było specyficzne. Co ciekawe, jedno z rond w Wejherowie nosi imię dyrektora, który zwolnił nas z pracy.

Na 30 rocznicę „Solidarności" było już trochę inaczej. Zawsze czuliśmy i czujemy, że „Solidarność" to również nasze dziecko, nasze wspólne dzieło, bo myśmy to zakładali. Myśmy to chyba nawet zaszczepili dzieciom. Córka urodziła się już w Berlinie, a syn miał chyba trzy latka jak wyjechaliśmy. Córka w dziesiątej klasie gimnazjum pisząc jakąś pracę za temat wybrała sobie „Solidarność". Nauczyciele berlińscy byli tym bardzo zaskoczeni. A syn Łukasz wybrał w szkole seminarium polityczne i zrobił referat o pułkowniku Kuklińskim. Nauczycielka podeszła nawet do nas i pogratulowała, że syn miał tak piękny referat o pułkowniku Kuklińskim, że oni o tych sprawach nigdy nic nie wiedzieli i podziękowała. A teraz został działaczem związków zawodowych i organizował strajk lekarzy.

Powiedziałam, że „Solidarność" była naszą pierwszą miłością, ale mieliśmy z Jasiem w życiu trzy miłości. Nasza miłość do siebie, „Solidarność" i Jan Paweł II. To są takie trzy wyznaczniki, które wpływały na nasze życie. Na nasze dzieci również.

Bożena Wrzesińska

w latach '80 była zaopatrzeniowcem w Zakładach Radiowych RADMOR. Była w gronie założycieli NSZZ „Solidarność".

Wiosną 1980 roku pracowałam jako zaopatrzeniowiec w Zakładach Radiowych „Radmor". Zmęczona formalnymi problemami utrudniającymi zakupy części do maszyn, pomyślałam sobie, że tak dłużej być nie może. To musi pęknąć, bo nie da się już żyć.

Naprawdę nie dawało się żyć i nie chodziło jedynie o problemy w pracy. Byłam młoda, a perspektyw na normalne życie nie dawało się dostrzec. Miałam narzeczonego, w sierpniu chcieliśmy się pobrać, ale nie mieliśmy gdzie mieszkać. Zarówno moi, jak i jego rodzice mieli małe mieszkanka, gdzie nie mogliśmy się przytulić. Próbowaliśmy coś wynająć, ale oboje mało zarabialiśmy, więc i to było nieosiągalne. Było po prostu beznadziejnie i szaro. W lipcu byliśmy w teatrze na kabarecie Laskowika i Smolenia ze słynnym skeczem o traktorze. Pamiętam ten tekst, że skoro traktor ma trzy koła, to czwarte mu niepotrzebne i tak było z naszym życiem.

Jednak widać było, że coś już pod tą komunistyczną skorupą kiełkowało. W pracy czytałam biuletyny Wolnych Związków Zawodowych i wiedziałam o Radomiu i Lublinie. Skończyłam pierwszy rok prawa na studiach zaocznych Uniwersytetu Gdańskiego, gdzie też odczuwało się małe odprężenie. Mówiło się coraz bardziej odważnie, chociaż dziś myślę, że ci, którzy się nie bali, nie musieli się bać.

Byłam dość sprawnym zaopatrzeniowcem i radziłam sobie, jak umiałam. Na części do maszyn były przydziały, a moja firma ich nie otrzymywała, bo nie były jej potrzebne do produkcji, tylko do napraw maszyn. Zaprzyjaźniłam się zatem z zaopatrzeniowcami z innych firm, które otrzymywały przydziały. Znajomości skutkowały wymianą i to w tamtym okresie było naturalne. Ludzie pomagali sobie wszelkimi sposobami, by jakoś opanować ten biurokratyczny, wszechobecny bałagan.

Współpracowałam między innymi z pracownikami Stoczni im. Komuny Paryskiej, a w szczególności z Działu Zabezpieczenia Ruchu, ale też z osobami z Zarządu Portu Gdynia. W stoczni miałam kolegę Czesława, który obiecał odsprzedać mi dla „Radmoru" jakieś łożyska toczne. Prosił, bym przyjechała 15 sierpnia po odbiór. Wieczorem w domu dowiedziałam się, co wydarzyło się

w stoczni w Gdańsku, więc na wszelki wypadek zadzwoniłam rano do kolegi, by upewnić się, czy sprawa jest aktualna. On powiedział mi tylko tajemniczo, że nie wie, że może później… A później telefon już nie działał. Za to moja koleżanka z pracy powiedziała mi, że mąż w nocy nie wrócił z pracy i się martwi. Pracował w gdyńskiej stoczni. Pocieszyłam ją mówiąc, że nie ma co się martwić. Musimy tylko szybciutko iść do naszej zakładowej kantyny i zakupić coś do jedzenia dla męża i moich znajomych w stoczni. W kantynie była już wielka kolejka, ale ja podeszłam z przodu, oświadczając, że robimy zakupy dla strajkujących stoczniowców i prosimy, żeby nas przepuścić bez kolejki. Nikt nie protestował. Zaopatrzone w żywność udałyśmy się pieszo pod bramę stoczni przy ul. Czechosłowackiej, a tam bramy pilnowali robotnicy. Za bramą był plac, gdzie gromadzili się pracownicy stoczni. Poprosiłyśmy, by wywołać męża koleżanki i mojego kolegę. Mąż niebawem się zjawił, ale kolega nie. Wobec tego poprosiłam go o zaniesienie moich zakupów do biura gdzie pracował kolega.

Potem dowiedziałam się, że żywność ode mnie niemal uratowała życie Czesławowi i jego kolegom w biurze, bowiem na początku strajku zapanował antagonizm między robotnikami a pracownikami umysłowymi. Robotnicy byli dość dobrze zaopatrzeni przez rolników i nie tylko, ale nie chcieli się dzielić z biurowymi. A ci też strajkowali, bo mieli o co. Ich zarobki były niskie, ale szczególnie nie doceniano wtedy zaopatrzeniowców.

Kiedy czekałyśmy przy bramie, moją uwagę przyciągnęła mokra plama i kawałeczki szkła na jezdni. Spytałam robotników, co się stało. Odpowiedzieli mi, że ktoś chciał przemycić skrzynkę wódki i oni rozbili to o jezdnię. Uważali, że to była prowokacja.

W następnych dniach my, pracownicy Zakładów Radiowych „Radmor" nie podjęliśmy strajku okupacyjnego i braliśmy udział w strajku włoskim. Nie podjęliśmy strajku okupacyjnego z powodu dużej ilości pracujących tam kobiet, przeważnie młodych matek. Ich mężowie strajkowali w swoich zakładach pracy, a ktoś musiał zajmować się dziećmi. Czas strajku wypełniałam przepisując na maszynie teksty strajkowych piosenek, a potem niosłam je do stoczni do bramy nr 1. Kolportowano tam biuletyny strajkowe, więc zawsze przynosiłam kilka sztuk dla kolegów w pracy. W „Radmorze" mieliśmy codzienną, niezwykle interesującą relację przez radiowęzeł zakładowy. Relacjonował to nasz przedstawiciel w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym, którego nazwiska niestety nie pamiętam.

Przypominam sobie jeszcze historyjkę z pierwszego dnia strajku w Gdyni. To było już po tym, jak zaniosłam żywność do stoczni. Potem udałam się do Zarządu Portu, do zaopatrzenia. Miałam tam kolegę, który sprzedawał mi oponę do wózka widłowego. Wózek ten za nic nie chciał jeździć na trzech dobrych kołach. Kolegę zastałam w biurze w chwili, kiedy zastanawiał się, co robić, bo biuro nie strajkowało, ale większość pracowników gdzieś zniknęła. Za moją namową Wiesiu poszedł do magazynu elektrycznego, gdzie wcześniej pracował, by tam strajkować z kolegami.

W tym czasie właśnie przyjechała do nas na wakacje moja ciocia z Leżajska z dwoma nastoletnimi synami. Kiedy pociąg przejeżdżał koło Stoczni Gdańskiej, widziała napisy na murach. Zastanawialiśmy się, czy to będą dla

nich udane wakacje, bowiem wszyscy w domu żyliśmy tylko strajkiem. Kuzyni wręcz przeciwnie do naszych obaw, bardzo chcieli zostać i być świadkami wydarzeń. Jeden z nich później ukończył studia historyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Moja mama, która w grudniu 1970 była w tłumie, do którego strzelano i widziała, jak padają zabici ludzie, doradziła, by nie narażali swego życia, skoro nie muszą tu być, bo komuniści zdolni są do wszystkiego. Moi krewni z południa Polski nawet wtedy jeszcze nie mogli uwierzyć w to, co stało się 17 grudnia 1970 roku w Gdyni. Po kilku dniach wrócili do domu.

Tymczasem zbliżał się dzień mojego ślubu. Planowaliśmy tymczasowo tylko ślub cywilny i skromne przyjęcie w domu dla członków najbliższej rodziny, ale w wirze wydarzeń niemal zapomnieliśmy o tym. Mój narzeczony Sławek Marcinkowski tak bardzo zaangażował się w strajk w Stoczni Marynarki Wojennej, że odwołałam ślub dosłownie w przeddzień, kiedy można było jeszcze zadzwonić. Pobraliśmy się niemal rok później, w lipcu 1981, i był to ślub prawdziwy, bo i cywilny i kościelny, choć wesela niestety nie było. Było za to przyjęcie domowe w małym gronie rodziny, przyjaciół i sąsiadów we Władysławowie.

W czasie strajku przebywałam głównie w Gdyni, krążąc każdego dnia między „Radmorem" i stocznią. Byłam uczestnikiem mszy świętych na terenie stoczni, ale stojąc poza jej ogrodzeniem. Kiedyś ktoś w tłumie powiedział, że portowcy widzieli na zatoce sowieckie okręty. Ludzie nie bardzo w to uwierzyli i nie przejmowali się tym. Panowała atmosfera radości. Cieszyliśmy się, że wreszcie solidarnie się zbuntowaliśmy, że nie damy się więcej tłamsić. Po epoce przaśnego Gomułki Gierek dał nadzieję na normalne życie. Było wówczas dużo młodzieży. Powojenny wyż demograficzny wchodził w dorosłe życie i nagle zderzył się z barierami niemożności. Byliśmy jak zamknięci w klatce, a wyjazd za granicę dla większości był niemożliwy.

Znaliśmy inne życie z opowieści, bo mieliśmy przecież kontakt z członkami naszych rodzin, którzy pamiętali inną Polskę, tę przedwojenną. Moja babcia tęskniła nie tylko do tamtej Polski, ale i do stron rodzinnych, które musiała opuścić. Ciągle wspominała swój ukochany Stanisławów i wciąż o tym opowiadała. Takich ludzi w Trójmieście było wielu. Byli też i ci, których przyciągała możliwość dobrych zarobków w stoczniach i poprawy warunków życia. Oczekiwania młodzieży były duże. Młodzież nie chciała się już godzić na byle jakie życie i faktyczną niewolę. Poza tym wpływ na nasze postawy miało wielu nauczycieli. Wśród nich byli powstańcy warszawscy, którzy po wojnie osiedli w Trójmieście. Mnie uczył nawet pewien staruszek, który przed rewolucją chodził do szkoły w Sankt Petersburgu. To nic, że kazano mu uczyć w naszej szkole rosyjskiego, bo on tak naprawdę uczył nas miłości do Polski i tego, jak dbać o godność Polaka oraz kultury osobistej.

Wiarę w to, że coś się zmieni miałam już wcześniej. Miałam ją od pamiętnej daty 16 października 1978 roku. Myłam akurat ręce po dniu bardzo ciężkiej pracy – zalewania wspólnie z ojcem stropu nad piwnicą budowanego domu. Usłyszałam w radiu krótki, suchy komunikat, że nowym papieżem został wybrany Karol Wojtyła.

– Tato, tato! Polak został papieżem! Jak taki cud się zdarzył, to my i ten dom w końcu zbudujemy – wykrzyczałam wtedy. Nasz papież przekazał nam dużo siły i wiary w siebie.

Po 1980 roku wiele artykułów spożywczych było dostępnych jedynie na kartki. Pamiętam, że mięso, cukier, masło, kawa, alkohol były tak wydzielane. Każda dorosła osoba dostawała specjalne kartki. Kiedy robiłam zakupy dla strajkujących kolegów w stoczni, zdziwiłam się, gdy w małym sklepiku na Grabówku kupiłam kawę rozpuszczalną. Ludzie radzili sobie wtedy jak mogli. W „Radmorze" na przykład, przed Wielkanocą ogłosili, że będzie sprzedaż gęsi i oczywiście robiono na nie zapisy. Kiedy przyjechała ciężarówka z ptactwem okazało się, że gęsi były żywe. Przyszło mi z tą żywą gęsią wędrować do domu pieszo, bo w zatłoczonym trolejbusie nie było dla nas miejsca. A potem pojawił się kolejny problem. Co z nią zrobić? W końcu pomógł sąsiad i mieliśmy na święta gęsinę bez kartki. Kiedyś sąsiad kupił pod Puckiem u rolnika kiełbasę z koniny i podzielił się z nami. Jaka ona była pyszna!

Na nasze przyjęcie weselne moja zaradna mama kupiła gdzieś na wsi indyka, bo racje mięsne z kartek były niewielkie. Mój narzeczony kupił skrzynkę wódki, ale dopiero po przedstawieniu zaświadczenia z Urzędu Stanu Cywilnego o zamiarze zawarcia związku małżeńskiego. Sytuację zaopatrzeniową w Gdyni ratowała Hala Targowa i przedsiębiorczy marynarze. Kto miał dolary, to mógł kupować żywność i inne artykuły w „Pewexie" i „Baltonie". No ale kto wtedy miał dolary?

Kiedy podpisywano Porozumienia Sierpniowe nie mogłam pojechać do Gdańska, tak jak planowałam. Moja mama, nauczona doświadczeniem, do końca nie wierzyła komunistom i pod jakimś pozorem zwabiła nas, to znaczy mnie, mojego narzeczonego i mojego brata, do Władysławowa. Bardzo się bała, że znowu będą do strzelać i że nas straci.

Kiedy można było organizować związek, bardzo sprawnie go w „Radmorze" założyliśmy. Ja nie weszłam do żadnych władz i byłam zwykłym członkiem. Zaraz po strajkach dowiedziałam się, że w Zakładowym Domu Kultury przy Zarządzie Portu Gdynia odbędzie się spotkanie z Andrzejem Gwiazdą. Poszłam tam od razu po pracy, bo bardzo ceniłam pana Andrzeja i chciałam go poznać osobiście. Niestety znalazłam się w tłumie ludzi na zewnątrz budynku, więc mogłam go tylko posłuchać. Mówił bardzo ciekawie o nowych związkach zawodowych i o tym, jak je zakładać, ale niestety ciągle mu przerywano pytaniami:

– Panie, a czy za strajk to my będziemy mieli płacone?!

Myślę, że to byli podstawieni prowokatorzy do rozbicia spotkania. Byłam na nich wściekła i żal mi było pana Gwiazdy. Od początku wyczuwałam, że to on był prawdziwym przywódcą strajków, dlatego tak zajadle go zwalczano. Znałam jego nazwisko z biuletynów Wolnych Związków Zawodowych, a tylko raz zobaczyłam tam nazwisko Wałęsy.

Wreszcie dostaliśmy podwyżki. Ja – najniższą wynegocjowaną krajową, co przy mojej niskiej pensji jedynie nieznacznie zmieniło moją sytuację finansową. Dostałam w tym czasie dwie propozycje pracy – jedną ze stoczni, drugą z portu. Ta druga była dużo korzystniejsza finansowo, więc ją wybrałam

i od grudnia 1980 roku pracowałam już w dziale zaopatrzenia Zarządu Portu Gdynia. Przewodniczącym „Solidarności" był tam Henryk Tarasiewicz. W porcie działo się wiele. Kolportowano prasę związkową, odbywały się codzienne audycje w radiowęźle zakładowym. Było tam wielu członków, ponad osiem tysięcy, czyli prawie 80 procent pracowników. Do tego wspaniała atmosfera w miejscu pracy i miłe koleżanki w biurze, które mieściło się w pobliżu biura „Solidarności". Widywałam tam często na korytarzu przewodniczącego, który mi bardzo imponował.

Jakoś wiosną albo na początku lata odbywały się nie tylko wybory do władz „Solidarności", ale też do Komitetu Miejskiego PZPR. Nasz sąsiad płk Marian Rajski był kandydatem na sekretarza i wygłosił ciekawy referat na temat stosunków gospodarczych PRL z ZSRR. Poddał krytyce rubla transferowego i opisał niekorzystną dla PRL wymianę handlową. Wszystkie te informacje uzyskał, studiując wnikliwie oficjalne informacje z artykułów prasowych, głównie z „Polityki". Był nie tylko zawodowym wojskowym, ale z wykształcenia również ekonomistą i inżynierem budowlanym. Jeden z egzemplarzy przemówienia podarował mojemu ojcu. Po przeczytaniu pomyślałam, że może to być ciekawy materiał dla „Solidarności". Oczywiście Rajski przegrał wybory, bo tak naprawdę nie myślał o karierze partyjnej, a jedynie o rozpowszechnieniu wiedzy na temat rubla transferowego. Kiedy przedstawiłam referat Rajskiego Henrykowi Tarasiewiczowi, bardzo się nim zainteresował i postanowił wydać go na I Zjazd NSZZ „Solidarność" w Gdańsku. Byłam z tego powodu bardzo zadowolona. Kiedy wręczyłam Rajskiemu jeden z wydanych egzemplarzy, on stwierdził ze smutkiem, że ktoś wprowadził do tej pracy błędy liczbowe, które czyniły jego wywody bezwartościowymi naukowo. Czyli jego praca została sfałszowana i z tymi błędami w dużej ilości rozdana uczestnikom zjazdu.

„Solidarność" Portu Gdynia korzystała z powielarni zakładowej i myślę, że mogło tam dojść do fałszerstwa. Port był nasycony agenturą już tylko z tego powodu, że funkcjonował w strefie nadgranicznej. Marian Rajski uniknął internowania w stanie wojennym, zaszywając się w górach i, mimo rozesłania za nim listu gończego, jakoś przetrwał do 1985 roku, kiedy to został aresztowany z Czesławem Bieleckim z Warszawy, bowiem związał się z nim działalnością podziemną.

Henryk Tarasiewicz natomiast był internowany, a po uwolnieniu i bezskutecznych próbach podjęcia pracy wyemigrował w maju 1985 roku do Norwegii. Udało mi się powiadomić Tarasiewicza o aresztowaniu Rajskiego i on zwrócił się o pomoc do Parlamentu Norweskiego. Rajski był potem zdziwiony, że upominał się o niego parlament norweski, wszak tuż przed wybuchem stanu wojennego wysłał córkę do Szwecji. Rajski był już po kilku zawałach i to uwięzienie było dla niego zabójcze. Przeżył jeszcze około dziesięciu lat. Zmarł w marcu 1995 roku w Gdyni. Kiedy byłam ostatnio w Polsce, rozmawiałam na jego temat z jakimś jego znajomym. Dowiedziałam się, że Rajski po opuszczeniu więzienia obawiał się o swoje życie. Opowiadał o dwóch ewidentnych próbach zamachu na niego, gdy szedł chodnikiem dla pieszych i wprost na niego wpadała rozpędzona ciężarówka. Za każdym razem udało mu się w porę odskoczyć i nie doznał nawet obrażeń. Był czas, że po kolejnej próbie zamachu ukrywał się u znajomych.

Na lotnisku, w drodze powrotnej, kupiłam książkę „Historia przyznała nam rację". To wywiad Remigiusza Okraski z Joanną i Andrzejem Gwiazdami. Na stronie 210 Andrzej Gwiazda wymienia dziwne wypadki, którym ulegali ludzie niebezpieczni dla układu okrągłostołowego. Wśród nich wymienia Mariana Rajskiego, który jakoby miał utopić się w wannie, piorąc kurtkę. Okazuje się, że Gwiazdowie byli znajomymi pana Mariana i bywali u niego w gdyńskim mieszkaniu na Kołłątaja, gdzie przeniósł się po rozwodzie z żoną, która nie akceptowała jego poglądów i zainteresowań. Byłam na pogrzebie Mariana Rajskiego na cmentarzu w Kosakowie. O jego śmierci dowiedziałam się z prasy, z nekrologu. Wiedziałam o jego kłopotach z sercem i myślałam, że to właśnie była przyczyna śmierci. Nigdy potem nie miałam kontaktu z nikim z jego bliskich ani znajomych i dlatego nie wiedziałam, że być może nie umarł śmiercią naturalną. To jest dla mnie szok!

Dobrze, jeśli więcej osób dowie się o panu Marianie. Miał dwie córki. Starsza Iwona skończyła psychologię i wyjechała do Szwecji tuż przed stanem wojennym. Potem ściągnęła tam matkę. Nie wiem co z młodszą. Jego rodzina nie podzielała jego zainteresowań. Pewnie odszedł w zapomnienie...

Maria Wysocka

żona marynarza, działacza „ Solidarności”

Pochodzę z Warszawy. Moi rodzice przyjechali z Warszawy do Gdańska zaraz po wojnie. Ojciec pracował w banku jeszcze przed wojną, a po wojnie został przeniesiony nad morze. Organizował bank w Gdańsku i tam mieliśmy mieszkanie służbowe. Początkowo mieszkałam u babci i przyjechałam dopiero w 1948 roku, bo nie wiadomo było, czy nie będzie może jeszcze jakiejś wojny.

Byłam najmłodsza, miałam dwie siostry, a różnica między najstarszą a najmłodszą to było osiem lat, więc dość sporo. W domu mało mówiło się o sprawach politycznych. Ojciec zawsze słuchał Radia Wolna Europa. Pamiętam, jak zasłaniało się firany i ten niesamowity szum, z którego wychwytywało się słowa. Nie wiem, czy mój ojciec kiedykolwiek gdzieś należał. Wiem tylko, że w 1948 roku zabrało go UB i siedział blisko miesiąc.

Mieszkaliśmy na ulicy Okopowej. W Narodowym Banku Polskim mieliśmy służbowe mieszkanie, a pięćdziesiąt metrów dalej był UB. Może ojciec coś palnął, coś powiedział? Nie wiem tego do dziś, ale pamiętam jak ubecja szalała, szukała, biegała do banku i dowiadywała się co i jak. Więc tata też swoje przeszedł. Potem pracował w banku do końca życia. Nigdy nie chciał mówić o tym incydencie. Może z mamą rozmawiali, ale myśmy nic na ten temat nie słyszały.

Skończyłam tu szkołę, poznałam mojego męża. Mój mąż pływał, więc nie było łatwo. Z szarej myszki musiałam stać się lwem i przejąć cały dom. Łatwo nie było. Jak się ma dwóch synów i córkę, a tata przyjeżdża do domu co pół roku, to nie jest tak łatwo. Taka jest niestety rola żony marynarza. Zawsze uważałam, że powinnam wyjść za mąż za leśnika, a trafił mi się marynarz... On nie chciał być leśnikiem, więc cóż zrobić?

Wzięliśmy ślub i potem mieszkaliśmy w Sopocie. Musiałam wziąć na siebie wszystkie obowiązki. Nie było mi łatwo, bo nie byłam do tego przyzwyczajona. Zostałam od razu wrzucona na głęboką wodę, a do tego jeszcze pracowałam. W pracy miałam kłopoty, bo nie chodziłam na 1 maja i po każdym 1 maja lądowałam na dywaniku. Musiałam tłumaczyć się albo przed dyrektorem, albo przed kadrową. Zawsze mówiłam, że nie mogę, bo mam troje dzieci i muszę w tym czasie wszystko zrobić. Oni mi tłumaczyli swoje, ja im swoje. W każdym razie nie było mowy o tym, żebym dostała jakąś podwyżkę albo

awansowała – to w ogóle nie wchodziło w grę. Po jakimś czasie po prostu się z tym pogodziłam. Zresztą tak samo było z mężem.

W czasie „Solidarności", kiedy mąż przyjeżdżał, chodziliśmy do Stoczni Gdańskiej, śledziliśmy to i dawaliśmy na to pieniądze. Potem mąż woził pana Lecha Kaczyńskiego i innych. Lech Kaczyński kiedyś się nawet zapytał, czy nie boi się go wozić, a mąż odpowiedział, że nie.

Bałam się o męża, bałam się o siebie, bałam się o dzieci. W naszym domu mieszkał jeszcze kuzyn męża, który działał w „Solidarności". Mąż woził go w różne miejsca i ja o tym wiedziałam, ale uważałam, że jakoś to będzie. Opatrzność Boża czuwa, musi czuwać i koniec. Bałam się tylko jednej rzeczy. Starałam się robić tak, żeby dzieci o niczym nie wiedziały, bo dziecko czasem powie coś zupełnie bezwiednie. Tego bałam się najbardziej. Dzieci były wtedy w wieku 8-15 lat, a wiadomo, że to taki trochę różny wiek.

Jakoś przeszliśmy ten czas. Kartki i wszystko, co się wiązało się z tamtymi wydarzeniami. Potem zmieniłam pracę i pracowałam właściwie już na swoim. Mąż miał ogromne kłopoty ze swoją firmą, więc potem z kolei to ja nas utrzymywałam. I znów nie było łatwo. Mąż nie mógł pływać, bo niestety miał problemy ze zdrowiem, więc trzeba było zacząć sobie ustawiać życie inaczej. To nie było łatwe, bo musiałam się zupełnie przestawić, ale udało mi się.

W zasadzie nie miałam pojęcia o takich sprawach, bo nigdy nie pracowałam w handlu. Ktoś mnie jednak namówił i tak to się fajnie ułożyło, że się udało. Miałam dobrą załogę i jakoś sobie te wszystkie sprawy ustawiłam. Pracowałam bardzo ciężko, bo wstawałam o piątej, a wracałam bardzo różnie. Nie zawsze mogłam też liczyć na to, że ludzie przy mnie wszystko zrobią.

Bardzo dużo pieniędzy szło wtedy na te wszystkie sprawy... Na przykład na utrzymanie biura w Sopocie, ale trzeba było po prostu działać. W pewnym momencie udzieliliśmy naszego biura i telefonu panu Kurskiemu. Pan Kurski narobił długów na 5000 złotych, a ponieważ nie wygrał wyborów, stwierdził, że guzik go to obchodzi... Pamiętam jak bardzo ordynarnie powiedział, że ma to gdzieś i tak dalej. No i kto miał zapłacić ten dług? Myśmy musieli to zapłacić!

W końcu doszliśmy do emerytury i może to Opatrzność tak działa, że mąż dostał tego wylewu, bo mam go dla siebie. Przez pięć tygodni leżał w szpitalu w Warszawie. Byłam tam cały czas, dzieci przyjeżdżały co cztery dni i bardzo dbały o ojca. Najstarszy syn i córka rehabilitowali go dodatkowo poza szpitalną rehabilitacją i wciąż dojeżdżali z Gdyni. Tak to po kolei szło.

Myślałam, że będę miała już trochę spokoju i to się wreszcie już skończy, chociaż na stare lata. Jednak się nie skończyło i się nie skończy, dopóki mąż będzie mógł jeszcze językiem ruszać. Mówić może, bo choroba, dzięki Bogu, nie uszkodziła mu narządów mowy ani słuchu. Miał średnicę wylewu 4,5 centymetra. Pani profesor powiedziała, że jeszcze jeden milimetr i byłaby roślinka. Kiedy leżał przez trzy tygodnie na OIOM-ie, dzieci poprosiły panią profesor i lekarzy, żeby mamusi nic nie mówili. Ale mamusia nie musiała nawet tego usłyszeć – przecież byłam tam cały czas i patrzyłam, więc wiedziałam, co się dzieje.

Miał być spokój, a mój mąż teraz znowu szaleje. Coraz lepiej się czuje, więc telefony od rana do wieczora nie ustają. Na szczęście troszeczkę mniej

jeździ. Mówiłam, że chyba teraz może dać sobie spokój, bo jakoś sobie bez niego dadzą radę, ale on uważał, że musi wrzucić swoje pięć groszy. Teraz muszę go pilnować i to jest dla mnie ważne. Czasem się sprzeczamy, ale normalne w małżeństwie. – Nie licz na to, że nie będę z tobą rozmawiać, bo to byłoby dla ciebie bardzo wygodne – powiedziałam kiedyś mężowi i niech to będzie podsumowaniem moich wspomnień.

Teresa Zajdel

w latach '70 pracowała w Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej. W latach '80 czynna działaczka konspiracyjna. Obecnie na emeryturze.

W 1970 roku pracowałam w Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej na Waszyngtona Obok mieścił się cały sztab wojskowy. Później dobudowali tam nowy budynek i widzieliśmy jak przywozili to ZOMO, czy nie ZOMO. Obserwowaliśmy jak wchodzili klatką schodową do tego jeszcze pustego budynku. Koło nas przejeżdżały samochody wojskowe przewożące broń z Helu, która przypłynęła wojskowym statkiem. Rozładowywali te skrzynki i był taki moment, że wyszłam do piekarni. Wracam i nie mogę już wejść, bo Pułaskiego i Waszyngtona zostało ogrodzone drutem kolczastym. Co ciekawe, dysponowaliśmy dalekopisami i wszelkimi urządzeniami komunikacyjnymi, na które nie nałożono blokady, więc w tym momencie można było nawet coś puszczać i informować.

A później, kiedy padły pierwsze strzały, reagowałam tak jak podczas wojny, bo okres wojny dał mi odpowiednie doświadczenie. Poszłam po służbie do domu i jak każdy chciałam przygotować się do świąt. Wyskoczyłam do spółdzielni, bo teściowa przysłała mi parę groszy na święta. Widząc te zasieki, masę wojska i milicji nie myślałam już o świętach. Pobiegłam do sklepu i nakupowałam świec, zapałek, tak żebym w razie czego miała te konieczne produkty. Później poleciałam do apteki, bo moja mama chorowała na cukrzycę, nadciśnienie i tak dalej. Jak to w takim wieku bywa. Apteka była zamknięta i lekarstwa wydawali tylko przez okienko. Wzięłam lekarstwa dla mamy i biegiem do domu. Samochody jechały Śląską, wieźli już rannych, bo widziałam wyciągane zakrwawione czapki.

Później cały czas latały nad nami helikoptery. Wiedzieliśmy już, że zginęli ludzie. Zadzwoniłam do pracy i powiedziałam, że nie mogę przyjść, bo córka była jeszcze mała i do tego chora mama. Powiedzieli, że nie mam po co przychodzić i nawet nie dam rady, bo wszędzie jest pełno czołgów. Zostałam w domu. I zaczęło się. Później widziałam, jak rozpędzali tłum przy prezydium. Gonili ich nasypem kolejowym, przez Maksymiliana. Część może poleciała lasem na Witomino, a część biegła Śląską... tam, gdzie jest teraz stacja. Za stacją, był stoczniowy hotel robotniczy i ludzie tam też uciekali i wchodzili. Widziałam jak po drugiej stronie strzelali. Obserwowaliśmy to wszystko z mieszkania. Otwo-

rzyłam też drzwi przejściowe na podwórze, żeby uciekający mogli przebiec na drugą stronę, jak już wskoczą na podwórze. Później, kiedy była już godzina milicyjna, poszłam do sąsiadki na piętro i widziałam, co działo się pod stoczniowym hotelem. Otoczono ten hotel, a stoczniowcy rzucali z góry, co mieli. Na tych zomoli fruwało wszystko. A później samochody podjeżdżały i ich wywozili. Powoli, powoli, aż było tam zupełnie pusto. Obserwowaliśmy to w ogromnym napięciu.

Ten obraz Grudnia '70 uzmysłowił mi, że nie wolno popierać komuszej władzy. Postanowiłam być przeciw. Wtedy w Polsce jedynym skrawkiem wolności był kościół. Ksiądz Hilary Jastak i kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa to była moja parafia. Miałam z nim kontakt, bo ks. Jastak nam pomagał i matka odbierała od niego pieniądze. Ja jednak nie chciałam się mieszać, żeby potem nie było jakichś podejrzeń.

A później był stan wojenny i znów przygotowywałam się do świąt. Miałam już załatwionego indyka, śmietanę, jajka i tak dalej. Wszystko załatwiłam u mojej koleżanki w Smętowie za Pelplinem. Jej mąż był organistą i chodził z opłatkiem, więc poprosiłam, żeby to zorganizował, a ja przyjadę i sobie na święta zabiorę. Dzień przed wyjazdem słuchałam do późna w nocy Wolnej Europy. Bardzo często tak siedziałam i słuchałam. Raptem, o dwunastej w nocy nie mogłam nic złapać. Zagłuszali straszliwie. Jakieś szumy, piski, a głosu ludzkiego ani krzty. A później rano słyszę: – Stan wojenny!

Obudziłam córkę, powiedziałam jej, że jest stan wojenny, więc nie wiadomo, co będzie. Ona zaczęła płakać, bo miała chłopaka, który był w Londynie i nie wracał ze względu na to wszystko. Siadła i zaczęła wypisywać swoje żale. Ja natomiast znów zareagowałam jak podczas wojny. O świętach już nie myślałam, ale załatwione zapasy będą w tej sytuacji niezbędne, bo może nastąpić najgorsze. Pojechałam więc do koleżanki, jakoś udało mi się do nie dotrzeć. Tam o stanie wojennym nic jeszcze nie wiedzieli. Dojechałam, ale nie wiedziałam, jak będę wracać. Może jakąś okazją? Wiedziałam jednak, że muszę wracać do Gdyni. Zabrałam przygotowane jedzenie i pojechałam. Wracaliśmy ostatnim możliwym pociągiem. Tłok był straszny, a do tego jeszcze w międzyczasie ogłosili godzinę milicyjną. Na szczęście nie zatrzymali mnie, nie rewidowali, choć obładowana byłam ogromnie i bałam się, że mogę budzić podejrzenia.

W tamtych czasach dużo działałam i zawsze kontaktowałam się z kimś. Najpierw były to Wiesia Kwiatkowska i Zosia Kwiatkowska. Nie pamiętam, gdzie pracowała Zosia, gdzieś na Redłowie, ale wiem, że stanęła na czele strajku. Siedziała, później wypuścili ją, a potem drugi raz aresztowali. Przez to wydarzenie zaczęłam nawiązywać znajomości w kręgach „Solidarności". Miałam dosyć dobry kontakt z Anką Walentynowicz. Anka pochodziła z Równego. Jak mówiłam, że dzwoni rodaczka, to od razu wiedziała kto. Znałam się też z Andrzejem i Anką Gwiazdami. Bywała u mnie też Ewa Kubasiewicz. Jak aresztowali Romana Zwiercana, to do jego sprawy ściągnęłam Zbigniewa Romaszewskiego. Zbyszek najpierw przyjechał sam, a później był u mnie z żoną. Miałam też kontakt z Ewą Tomaszewską, która była od spraw socjalnych w pierwszym Sejmie. Działała w Warszawie razem z Romaszewskim. I jeszcze taka rodzina...

Już nie pamiętam... Wiem tylko, że kobieta miała pseudonim „Pszczoła". Kontaktowałam się z nią, ale nie można było do niej dzwonić, tylko trzeba było innymi sposobami umawiać się na spotkanie. Później wpadła.

Mieszkałam na Śląskiej i miałam bliski kontakt z Frankiewiczem, który stał na czele naszej organizacji w Poznaniu. W pewnym momencie przyjechał z całym plecakiem bibuły, książek i tak dalej. Miałam też podrzuty z Warszawy.

Różnie z tą konspiracją i podziemiem bywało. Kiedyś nawet miała przyjść Alina Pieńkowska, a przyszła Werenstein. Dziś mam pewne niedomówienia... Widziałam się z nią jeszcze dwa razy. Pytałam, dlaczego nie jest podana jako więzień polityczny, dlaczego w ogóle nie ma o niej żadnego śladu? Odpowiedziała, że to są inne sprawy. Myślałam, że to mogły być jakieś wewnętrzne porachunki, więc mając możliwość spotkania się z Ewą Tomaszewską, kiedy pojechałam na mszę księdza Jerzego Popiełuszki, powiedziałam jej o tym. I Ewa dalej nagrała tę sprawę.

Później wciągnęłam do naszej działalności Janka Białostockiego. To krajan i nasze rodziny znały się jeszcze sprzed wojny. Jego dziadek był pierwszym Dowódcą Narodowych Sił Zbrojnych. Janek nawiązał kontakt z Edkiem i za jego pośrednictwem z Romkiem Zwiercanem, a potem organizował nadawanie Radia Solidarność Walcząca.

Jeździłam na każde spotkanie do Kościoła św. Brygidy. W wagonie zawsze był krzyk, śpiew, a na zewnątrz była wywieszona flaga. Człowiek patrzył jak niektórzy pchali się i chcieli wsiąść właśnie do tego wagonu, a inni z kolei uciekali, bo bali się. Był moment, kiedy wyszliśmy od księdza Jankowskiego, szliśmy ze śpiewem i tak dalej. Na ulicy, która prowadzi do św. Brygidy, tam, gdzie był sklep muzyczny, były wykopy, podwyższenie i nierówny chodnik. Pomyślałam, że jak zaczną teraz pałować, człowiek może wpaść do tego rowu, więc poszłam na jezdnię. Oni jednak nie pozwalali nam iść jezdnią. Krzyczeli, żeby zejść. Podeszłam i mówię:

– Przepraszam, proszę mnie przepuścić.

– Tu nie ma przejścia – usłyszałam.

Wtedy rozepchnęłam ich łokciami i poszłam. Próbowali mnie gonić. Nie reagowałam na tłum, myślałam, że oni ruszą i pójdziemy normalnie.

Kiedyś zrobiłam też szopkę, wracając z Kościoła Mariackiego. Szliśmy pod pomnik Sobieskiego, który był otoczony zomowcami. Ponieważ doskonale umiałam mówić po rosyjsku, zaczęłam udawać, że jestem Rosjanką. Zaczęłam pytać co się dzieje.

– Kakaja eto pierestrojka? – mówię, a oni się zbiegli, gęby pootwierali i nie wiedzieli, o co chodzi.

Był jeszcze jeden moment. Byłam w Sopocie na Mszy za Ojczyznę u redemptorystów. Po mieście chodziło trochę zomowców. Przyjechałam do redemptorystów i pytam, o co chodzi. Powiedzieli, że coś szykuje się na jutro. A to był pierwszy dzień wiosny i topienie marzanny. W zanadrzu przygotowana była już kukła Jaruzelskiego. Weszłam na molo razem z Lilą Badurską. Była znaną działaczką „Solidarności" z Gdańska, która musiała założyć kraty w drzwi, bo kiedyś zomowcy ją w domu spałowali. Idziemy i patrzymy, że zomowcy prowa-

dzą jednego z młodych. Zaczęłam biec koło nich i krzyczeć, żeby podał nazwisko. Powiedział. Jego matka była chyba adwokatem z Gdańska. Wsadzili go do budy, która była postawiona koło Grand Hotelu, przy BWA, gdzie były wystawy malarskie. Idę z powrotem, a tam idzie młodzież, więc krzyczę do nich:

– Słuchajcie, waszego kolegę zamknęli w tej budzie, jest sam!

Jeden z ubowców siedział na murze i robił mi wtedy zdjęcie. To był ich człowiek. Później, jak podeszłam do zomoli, którzy kopali i bili pałami tę młodzież, krzyczałam:

– Co robicie? Wy jesteście młodzi i to też jest młodzież! Oni po prostu cieszą się z wiosny!

Nagle ten, który miał aparat, wskazał na mnie. Podeszli, złapali mnie i do tej budy.

– Chwileczkę, muszę wziąć lekarstwa, bo mam wysokie ciśnienie!

Powiedziałam to, bo miałam książkę z drugiego obiegu i kartki z pieśniami. Chciałam zdobyć trochę czasu, żeby to schować do buta, bo wtedy były tylko kozaki, ale nie zdążyłam. Na szczęście miałam taki beret ze sztucznego misia i zdążyłam to wsadzić pod beret.

– A co się pani tak beret skrzywił? – zapytał ten, który mnie złapał. Nie zareagowałam.

Przewieźli mnie i całą młodzież na komisariat milicji w Sopocie. Pod oknem był tam rząd krzeseł i jak tylko weszłam, a nikogo akurat przy mnie nie było, rzuciłam czym prędzej te materiały pod kaloryfery za krzesłami. Ponieważ byłam najstarsza, no i kobieta, to ktoś powiedział, żeby przesłuchać mnie pierwszą. Wtedy podszedł do mnie młody człowiek, ten, którego pierwszego zaaresztowali, podał nazwisko i dał mi numer telefonu. Prosił, żebym zadzwoniła do jego matki, żeby się nie denerwowała. Sądził, że będę zaraz wypuszczona, natomiast trzymali mnie prawie do końca.

Przyszła po mnie kobieta, więc pomyślałam, że będzie osobista rewizja. No i faktycznie, była. Kiedy chciałam do toalety, drzwi zostawiono otwarte, a zomol stał i czekał. Nic u mnie nie znaleźli. Sporządzili protokół i wypisywali, co mam. Musiałam zdjąć rajstopy, bo przecież mogę się powiesić. Wzięli do depozytu biżuterię i inne takie rzeczy, a potem na górę do badania. Po drodze potknęłam się i uklękłam na schodach.

– A gdybym złamała rękę, to co by było? – mówię do nich.

– No to w gips! – odburknął jedne z zomowców.

– O nie! Musielibyście dać mi odszkodowanie. Przecież to przez was – odparłam.

W końcu przesłuchiwali mnie na górze. Zmierzyli mi ciśnienie. Miałam 240/120 i się wystraszyli. Najpierw chcieli, żebym podpisała to, co sporządzili. Powiedziałam, że nie, bo przede wszystkim tam na końcu powinno być napisane „Z", czyli „zakończone", żeby nie można było niczego dopisać w wolnych miejscach. Powiedziałam, że się nie zgadzam, bo tam nie ma oryginalnego numeru paragrafu i nie wiem, z jakiego paragrafu mnie oskarżają. W końcu mnie wypuścili, chyba przez to ciśnienie, i powiedzieli, że będę miała sprawę w Gdańsku.

– Mieszkam w Gdyni, zatrzymujecie mnie w Sopocie, a sprawę będę miała w Gdańsku... Czy ja jestem prostytutka albo pijana? Dlaczego tak? – powiedziałam do nich.

W każdym razie wypuścili mnie, a sprawy nie miałam. Później przyszli do domu, ale ich nie wpuściłam. Pamiętam, że to była sobota i właśnie robiłam pranie. W drzwiach pokazał mi blachę i przyniósł wezwanie na milicję na Portową w charakterze świadka. Poszłam, a oni zaczęli mnie tam przesłuchiwać.

– Przepraszam, ale wy kłamiecie, wprowadzacie mnie w błąd. Tutaj niby świadek, a widzę, że mam być oskarżona – powiedziałam.

Pokazali mi zdjęcie, gdzie uczestniczę w tych mszach świętych. Pytali, czy zajmuję się przechowywaniem bibuły. Odpowiedziałam, że się tym nie zajmuję, że wiem, o co chodzi, bo jak kogoś złapią, pokazują te gazetki i tak dalej, że w telewizji... Przecież to nie jest żadną tajemnicą. Zbijałam ich pytania, jak mogłam i później mnie wypuścili. To była już końcówka komunizmu.

Kiedyś w nocy przyleciał do mnie Edek Frankiewicz. Miał obstawiony dom na Wolności, a stamtąd do mnie miał blisko. Nie zapalałam światła ani nic.

– Edek, oni tutaj przyjdą. Ja mogę cię trzymać, ale boję się, że oni przyjdą – mówię.

Pojechał chyba na swoją budowę. Później był wzywany na milicję. Przyszedł do mnie wcześniej, zrobiłam mu kanapki. Momentalnie zadzwoniłam nie z mojego telefonu, tylko z poczty do Anki. Podałam jej informację, że poszedł i nie wiem, czy wróci, czy nie wróci. Później go wypuścili. Takie bywały rozmaite momenty.

Kiedyś odbywało się spotkanie, na którym była Anka Gwiazda. Andrzej zaś spóźnił się. Przepraszał nas, bo akurat przyjechał do nas ojciec Ryba, którego usunął prowincjał. Daliśmy mu bibułę, ja dałam mu na pamiątkę pięciozłotowa monetę z Piłsudskim. Z tą monetą to oddzielna historia, bo miałam włamanie. Ukradli wszystko, a miałam czterdzieści dwie przedwojenne srebrne monety. Ale gdzieś w domu była jeszcze „piątka", czyli ta pięciozłotowa moneta z Piłsudskim. Dałam ją Rybie na pamiątkę. Przyjechał z Głogowa na nasze spotkanie do Gdańska.

W spotkaniu miał uczestniczyć też ks. Jerzy Popiełuszko. Andrzej Gwiazda spotkał się z Popiełuszką i ściągnął go na nasze spotkanie, ale od drodze zaszli do ks. Janowskiego i Jankowski przytrzymał Popiełuszkę. Pojechaliśmy jeszcze do kościoła, bo Popiełuszko odprawiał tam mszę. Wtedy widziałam go ostatni raz, bo on od Jankowskiego jechał od razu do Bydgoszczy. To były ostatnie momenty jego życia. Później zorganizowano mszę błagalną u ks. Jastaka, bo jeszcze nie było wiadomo, że on nie żyje. Stoczniowcy byli w kombinezonach, kaskach, paliły się świece na prezbiterium. Zbieraliśmy tam podpisy i tę listę dali mnie. Schowałam te podpisy na zakrystii. Później byliśmy w episkopacie i zanieśliśmy te podpisy.

Kolejne wspomnienie? W kościele tam gdzie był ten brzozowy krzyż pamięci Popiełuszki, działała taka Gruba Jaśka, która mieszkała na Świętojańskiej, a później na Starowiejskiej. Była aresztowana i siedziała w Fordonie. Jechałam z nią i jej mężem na pogrzeb Popiełuszki. Chciałam ją sprawdzić, bo Zosia

Kwiatkowska też siedziała w Fordonie. Poprosiłam ją, żeby podpytała i zwróciła uwagę, czy ta Gruba Jaśka faktycznie była w tym Fordonie, bo może jest podstawiona. Zosia potwierdziła, że musiała być. Jaśka miała bratanicę, też taką dosyć grubiutką i małą, która przyjeżdżała i rurą przechodziła na teren stoczni. Przenosiła tamtędy ulotki-nie-ulotki. Potem pojechała do Włoch.

Pojechałam na ten pogrzeb. Potem spotkaliśmy Ankę, która przyjechała z całą grupą. Byli wdzięczni i dali nam akredytacje na wejście na dziedziniec. Z Anką spotkaliśmy się na dworcu i zabrała nas właśnie do tej wspomnianej „Pszczoły". Na miejscu uroczystości stała już trumna, więc w nocy pojechaliśmy, żeby zobaczyć. Trumna była zamknięta, a tłum był straszny, sięgał aż do placu. Podeszliśmy do wpuszczających, pokazałam akredytację, a oni od razu:

– Przepuścić, to Gdańsk!

Weszliśmy we czwórkę. Rano pojechaliśmy na pogrzeb i też nas wpuścili na teren dziedzińca.

Moja córka też angażowała się w podziemie. Przychodziła na msze Popiełuszki i wręczała kwiaty. Później miała kontakty z Janem i Edkiem. Edek posłał ją kiedyś na spotkanie z Andrzejem Kołodziejem, gdzie miała odebrać od niego informacje. Kiedy mnie zamknęli, moją córkę poinformowała ta Petronela. Kiedyś nie chciałam sama jechać do Sopotu i namówiłam ją. Była starsza ode mnie i pochodziła z Włodzimierza Wołyńskiego, mieszkała na Warszawskiej. Sądzę, że już nie żyje, bo na pewno teraz miałaby więcej niż dziewięćdziesiąt lat. Petronela powiedziała córce, że mamę zamknęli, więc córka czym prędzej powynosiła to, co było w domu. Ale szczęśliwie na rewizję nie przyszli.

Później córka wyjechała do Stanów. Marzyła o tym od zawsze, ponieważ w pewnym momencie wyjechało bardzo dużo jej znajomych. Ja nie miałam rodziny, krewnych, nikogo, więc nie miała jak wyjechać. Miałam kontakt z Czesiem Nowakiem i kilka razy u niego byłam, ściągnęłam go nawet do zakładu pracy. Poprosiłam go, czy nie mógłby mi pomóc z tym, żeby córka dostała wizę. On coś organizował, ale chyba nic by z tego nie wyszło.

W końcu córka mojej znajomej, z którą moja córka się przyjaźniła, pojechała do Los Angeles. Pomagałam jej matce pilnować dziecka drugiej córki i oni właśnie przysłali zaproszenie na wyjazd do Stanów. Pozostała jeszcze do załatwienia wiza. Dałam wtedy córce wszystkie dokumenty, które posiadałam. Przede wszystkim te z Żydowskiego Instytutu Historycznego. Powiedziałam jej, że jeśli będą problemy, to ma pokazać, z jakiej jest rodziny. Jak to pokazała, momentalnie podejście się zmieniło. Zostawiła to, a za kilka godzin miała wizę do Stanów.

Była przez jakiś czas w Los Angeles, później musiała stamtąd wyjeżdżać, bo tamta znajoma już nie chciała jej gościć. Ot takie rozmaite, zagraniczne humory. Żeby ktoś czasem nie zarobił więcej i tak dalej. Znałam takiego Szymańskiego, który został wysłany na banicję i pojechał do Stanów, do Chicago z całą rodziną. Dałam córce jego numer telefonu, nawiązała z nim kontakt i poleciała do Chicago. On ją odebrał i wystąpił o przedłużenie, bo kończyło jej się pół roku pobytu. Później dałam jej telefon do siostrzeńca mojego męża, który był w Północnej Karolinie, w Charlotte. Tak się zaczęło. Pojechała tam i została.

Elżbieta Zaręba

w 1980 roku i później w stanie wojennym studentka Politechniki Gdańskiej. Uczestniczka strajków studenckich. Członek NSZZ „Solidarność". Zaangażowana w pomoc studentom zagranicznym i osobom represjonowanym. Współpracowała z ks. Henrykiem Jankowskim. Dyrektor II Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza w Gdyni.

W 1980 roku byliśmy jeszcze studenckim małżeństwem i w końcówce czerwca ruszyliśmy w podróż po Polsce. W połowie lipca trafiliśmy do rodziny męża w Lublinie i tam spotkało nas wielkie zdziwienie. Przyjeżdżamy, a tam strajk!

Dotarliśmy tam w momencie, kiedy strajk zaczął się mocno rozprzestrzeniać, czyli trafiliśmy akurat na eskalację protestu, bo 18 lipca strajkowało już ponad 70 zakładów. Na dodatek znajomi męża pracowali w Fabryce Samochodów Ciężarowych, która też przystąpiła do strajku. Do domu teściowej przychodzili różni znajomi i na bieżąco relacjonowali to, co dzieje się i w samym Lublinie i w województwie.

Pamiętam nasze ogromne zdziwienie, że są ludzie, którzy odważyli się wystąpić przeciwko władzy. Istotną informacją było to, że postanowili zostać w zakładach pracy, nie wychodzić na ulice, tylko ogłosili strajk okupacyjny. Miałam jednak wrażenie, że strajkującym w Lublinie chodzi tylko i wyłącznie o kwestie ekonomiczne. Uzasadniali to tym, że rząd wprowadza podwyżki, że nie da się żyć za tamte pensje, że władza z tego sobie nie zdaje sprawy, że gdyby nie rodziny na wsiach, to nie mieliby co jeść. W tym lubelskim strajku nie widziałam postulatów politycznych. Żeby bardziej zrozumieć ten lubelski protest, mąż wyciągnął mnie do Świdnika. Pojechaliśmy tam pod Wytwórnię Sprzętu Komunikacyjnego. Dla nas, niepracujących jeszcze zawodowo studentów, to był całkowicie nieznany świat. Zobaczyliśmy ludzi ciężko pracujących, którzy żyli byle jak, bo władza tak rządziła krajem, że mimo pracy nie można było zarobić na godziwe życie. Oni musieli ciągle walczyć o swój byt. Żyć od pierwszego do pierwszego, choć i tak czasami nie wystarczało. Wreszcie zrozumiałam te protesty i postrzegałam je przede wszystkim przez pryzmat kwestii płacowych i poziomu życia.

Protesty te były przeciwieństwem Grudnia '70, kiedy robotnicy Wybrzeża wyszli na ulice i dokładnie wiemy czym się to skończyło. Tym razem robotnicy wyciągnęli naukę z tragicznych protestów z przeszłości. Ta odpowiedzial-

ność i mądrość strajkujących w Lublinie bardzo mnie zaskoczyła. Co czułam? Z jednej strony towarzyszyła mi dziwna radość, taka, jakiej jeszcze nigdy nie odczuwałam, z tego, że wreszcie coś się rusza, a z drugiej strach. Obawiałam się, żeby nie było powtórki Grudnia '70. Jakoś niesamowicie utkwiło mi w pamięci zdarzenie z 1970 roku. Byłam wtedy dzieckiem i pamiętam jak wyszliśmy w grudniu na podwórko to zobaczyliśmy kolumnę wojsk rosyjskich. Ojciec powiedział wtedy, że jadą na Gdańsk. I pamiętam tę jego minę, taką pełną przerażenia, troski i przygnębienia. A ci Rosjanie nam dzieciakom rzucali takie przypinki, te ich czerwone gwiazdy. Mieszkaliśmy wtedy w okolicach Białogardu, a tam, w tych bazach ulokowanych w lasach, stacjonowało ponad 25 żołnierzy rosyjskich.

Kiedy 10 sierpnia wróciliśmy do Gdańska, to na początku nie wiedzieliśmy, jaka jest sytuacja. Był strach, że tu znów robotnicy wyjdą na ulice. Są jednak wakacje i masa turystów, więc może władza nie zareaguje tak, jak w ,70 roku. Nie wiedzieliśmy na ile Trójmiasto wie o tym, co dzieje się w Lubelskiem i jak do tego podejdą ci, którzy manifestowali w Grudniu '70. Dla nas studentów było wiele niewiadomych.

Jako studenci mieliśmy zleconą pracę z TechnoSerwisu. Od następnego dnia po powrocie myliśmy okna w Narodowym Banku Polskim w Gdańsku. Praktycznie cały czas wyczuwało się niepokój, jakby coś wisiało w powietrzu. Dobrze pamiętam 14 sierpnia. Wracaliśmy z pracy i dotarło do nas, że coś się dzieje, że Gdańsk się ruszył, a raczej stanął. Oczywiście w sensie zatrzymania pracy w stoczni i proklamowania strajku okupacyjnego. Dotarliśmy do akademików we Wrzeszczu, a tam, mimo tego, że były wakacje, już wrzało. Olbrzymie napięcie, którego jeszcze nie potrafiliśmy zidentyfikować odczuwało się zwłaszcza na dworcu głównym w Gdańsku, skąd kolejką jechaliśmy do Wrzeszcza.

I w ten sposób zaczęło się moje zainteresowanie wydarzeniami sierpniowymi. Codziennie myliśmy tyle okien, ile było trzeba i całą grupą szliśmy pod Stocznię Gdańską. Chodziliśmy pod stocznię, bo chcieliśmy być na bieżąco, wiedzieć, na jakim etapie jest strajk, co z nim będzie dalej, czy dołączają inne zakłady i jak reagują robotnicy w innych częściach kraju. To nas bardzo interesowało. Wiedziałam, że to moja powinność, że muszę iść pod stocznię. Zaczęłam zdawać sobie sprawę z tego, że dzieje się tam coś bardzo ważnego również dla mnie, że jestem świadkiem historii.

Po 20 sierpnia musiałam jechać do swojej rodziny. Tam dowiedziałam się, że strajkują już również w województwie koszalińskim. To było dla mnie niezmiernie ważne. Wcześniej Lublin, potem Trójmiasto, a teraz Koszalin. Zewsząd dochodziły sygnały o strajkach.Ttym razem to się musi udać – pomyślałam. Zbyt wiele zakładów w całym kraju rozpoczęło strajk. Pojawiły się nowe kanały informacji. Ludzie coraz częściej słuchali Wolnej Europy i Głosu Ameryki. Mimo blokad w oficjalnej prasie, radiu i telewizji, ludzie wiedzieli kto i gdzie strajkuje. To było budujące. Do tego dochodziła jeszcze świadomość wsparcia Jana Pawła II, bo to przecież papież Polak, uczulony na krzywdę ludzką.

Po zakończeniu strajku w Stoczni i podpisaniu Porozumień Sierpniowych starałam się być cały czas na bieżąco z wydarzeniami. Uczestniczyłam w wie-

lu spotkaniach. I tych organizowanych w kampusie, i takich, na które udawaliśmy się całą grupą. Pamiętam spotkanie z Lechem Wałęsą.

– Nie dajmy się podzielić! – te słowa z jego wypowiedzi utkwiły mi w pamięci najbardziej.

Wałęsa zrobił wtedy na mnie ogromne wrażenie. Dotąd wiedziałam tylko, że to robotnik pochodzący z chłopskiej rodziny, prosty człowiek, a tu nagle stał przede mną trybun ludowy, który doskonale posługiwał się językiem, a do tego mówił zrozumiale i treściwie. Zdarzały się też sytuacje nerwowe. Po którymś spotkaniu kolega ze studiów „zastrzelił" nas informacją o konfidentach i agentach, o ludziach, którzy pojawiają się na takich otwartych spotkaniach, by sprawdzać, kto na nie przychodzi. Mówił, że mają brązowe buty. Nie wiem, czy to był jakiś wspólny mianownik tych tajemniczych panów, czy określenie wykute po to, by ich wykrywać. W każdym razie mnie to wtedy przeraziło. Tym bardziej że absolutnie nie byli to studenci, choć mogli się pod nich podszywać.

Z jednej strony obawa, ale z drugiej strony ta informacja wyzwoliła w nas pewnego rodzaju podniecenie i odwagę. Mimo tego, iż na sali są ludzie ze służby, to my uczestniczymy w spotkaniach, zabieramy głos, deklarujemy się do konkretnych zadań i co najważniejsze przedstawiamy się z imienia, nazwiska i wydziału, na którym studiujemy. I choć kluby w DS. 3 i DS. 4, czyli w domach studenckich Politechniki Gdańskiej, w których odbywały się te spotkania wielkie nie były, to zawsze pękały w szwach wypełnione po same brzegi. Trudno więc było uchwycić, kto w tym tłumie nie jest studentem. I tak naprawdę dopiero po tych kilku pierwszych spotkaniach wiedziałam, o co chodziło w sierpniowych strajkach. Zaczęłam wtedy jeszcze bardziej interesować się tym wszystkim, co było związane z ruchami niepodległościowymi i opozycją.

Tu przypomina mi się dość znaczące dla mnie wydarzenie. 25 października 1980 roku mieliśmy w Warszawie wesele w rodzinie ze strony męża. Ta rodzina była wojskowa, bardzo wojskowa! My zaś w tamtym okresie mówiliśmy wszędzie pełni zachwytu o Wałęsie. Opowiadaliśmy co mówi, co robi. Wydawało nam się, że jak będziemy wszystkim opowiadać o „Solidarności", o jej celach, o ludziach w nią zaangażowanych, to zarazimy tymi ideami troszkę więcej osób. Stąd pojawiło się przerażenie cioci mojego męża, która wiedząc, że będziemy na weselu poprosiła nas byśmy w ogóle nie wspominali o Wałęsie i „Solidarności", ponieważ na uroczystość zjedzie się wielu wojskowych, w tym część rodziny z Radomia. Bała się, że to zagrozi jej bytowi. Jednak nie udało uniknąć się tego tematu, gdyż to właśnie ta wojskowa rodzina rozpoczęła dyskusję o strajkach, „Solidarności" i Wałęsie. Wtedy okazało się, że oni mają całkowicie inny przekaz, bardzo odbiegający od rzeczywistości. Więc my, pełni zapału, co zrobiliśmy? Mimo próśb cioci włączyliśmy się do rozmowy i opowiedzieliśmy to, czego sami byliśmy świadkami. O spotkaniach z Wałęsą, o wielkim społecznym ruchu, o angażowaniu się setek, a może tysięcy mieszkańców Trójmiasta. O samym Wałęsie przekazaliśmy fakty, że mówi sprawnie, że wie, o czym mówi, że jest przygotowany do rozmowy i potrafi odpierać argumenty, z którymi się nie zgadza. Udowadnialiśmy, że to oni poddali się jakiejś kłamliwej propagandzie i że powinni zweryfikować swoje poglądy na tę sprawę. I tak to „pomilczeliśmy" na weselu pełnym wojskowych.

Co jakiś czas docierały do mnie informacje o studentach zaangażowanych w tworzenie niezależnego od Zrzeszenia Studentów Polskich, czyli komunistycznej przybudówki PZPR, pogardliwie zwanej ZSyPem, związku studenckiego. Słyszałam o Macieju Płażyńskim czy Jacku Jancelewiczu. Jednak mając już wtedy małe dziecko i jednocześnie studiując, bardziej obserwowałam niż przynależałam. Wiedziałam co się dzieje i na tamtą chwilę to mi wystarczało. Mimo tego brałam udział w różnych akcjach. Na przykład w kontrpochodzie pierwszomajowym w 1981 roku. Później już w stanie wojennym też brałam udział w przeróżnych zadymach. Czułam, że muszę tam być. Sama kamieniami nie rzucałam, ale obok było wielu, którzy rzucali. Rzucali dosłownie i w przenośni i to oni odegrali bardzo istotną rolę w drodze do odzyskania wolności. Wydaje mi się, że dziś nie doceniamy tych łobuziaków, którzy wtedy byli na pierwszej linii walki z komunistami, rzucali kamieniami, bili się z zomowcami, walczyli. Oni byli odważni, wiedzieli, że walczą w słusznej sprawie.

Stan wojenny był dla mnie wielkim dramatem. Rektor Politechniki nakazał wszystkim studentom opuszczenie akademików. Zostały zawieszone wszelkie zajęcia. My jako małżeństwo mieszkające w łączniku nie wyjechaliśmy, bo było to fizycznie niemożliwe. Wszystkie mieszkające tam rodziny studenckie zdecydowały się zostać. Dla mnie to było straszne. Mój mąż od 1 września zaczął pracować w Polskich Liniach Oceanicznych. Jako młody pracownik pracował w stoczni na dejmankach. W poniedziałek, 14 grudnia normalnie wybierał się do pracy, założył kożuch i poszedł. Nie wytrzymałam i rozpłakałam się.

– Mamo czemu ty płaczesz? – zapytała wtedy córka.

Powiedziałam jej, że jest stan wojenny, a tata idzie do stoczni, a tam stoją czołgi. Był to dla mnie taki osobisty strach! Potem okazało się, że stoczniowcy wszystkich niezatrudnionych w zakładzie marynarzy poprosili, by opuścili teren stoczni.

W stanie wojennym wszystkim żyło się ciężko, zwłaszcza studentom z zagranicy. My byliśmy nauczeni kombinowania. Zawsze ktoś coś załatwił i dało się przeżyć kolejny dzień, tydzień, miesiąc. Oni nie umieli odnaleźć się w tej całkowicie nowej rzeczywistości. Musieliśmy jakoś zareagować. Jedna moja koleżanka, już nie pamiętam nazwiska, miała brata zakonnika i dobre kontakty z księdzem Henrykiem Jankowskim. Postanowiłyśmy zainteresować ks. prałata losem zagranicznych studentów. Poszłyśmy do niego. Po wejściu na plebanię Św. Brygidy ks. Jankowski przywitał nas słowami:

– Już jesteście namierzone przez SB.

Chodziło o to, że SB miało naprzeciw kościoła jakiś swój punkt obserwacyjny i rejestrowało każdego, kto wchodzi na teren plebanii. Tą informację w dość specyficzny sposób przekazał nam duchowny. Pewnie dla ludzi podziemia ten żargon to było coś normalnego, jednak dla nas młodych kobiet był to szok. Zmroziło nas, no ale jak już przyszłyśmy, to nie wyjdziemy, musimy załatwić sprawę. I udało nam się uzyskać pomoc. Ksiądz kazał nam spisać kto, czego potrzebuje. Również dla nas znalazły się dary, które trafiły do paczek ze słynnych garaży ks. Jankowskiego. Po tym spotkaniu zostałyśmy takimi łączniczkami na linii akademiki – parafia pod wezwaniem Św. Brygidy.

Po jednej z takich wizyt ksiądz ostrzegł nas przed prowokacją, którą szykowała Służba Bezpieczeństwa. Chodziło o to, że ktoś miał dać nam ulotki i jakby nas zatrzymano, to okazałoby się, że studentki pod przykrywką niesienia pomocy roznoszą ulotki, które dostały w Brygidzie. Pilnie wykonywałyśmy polecenia księdza. Dary trafiły do potrzebujących studentów i obyło się bez kontaktu z SB. Myślę sobie, że nie tylko ostrożność ks. Jankowskiego pomogła nam to wszystko zrealizować. Wierzę, że ktoś nade mną i moją rodziną czuwał i czuwa. Pewnego razu moje dziecko zachorowało i wymagało operacji i to właśnie ks. prałat pomógł mi załatwić wszystkie papiery. Szykowaliśmy się do wyjazdu do Berlina i nagle okazało się, że jest dziecko z wadą serca w dużo gorszym stanie i wymagające natychmiastowej interwencji medycznej. Decyzję podjęłam błyskawicznie. Nastąpiła zamiana, ponieważ choroba nie zagrażała życiu mojej córki, a tamta dziewczynka walczyła o każdy nowy dzień. Dla mnie to była bardzo trudna decyzja, bardzo trudna. O moim geście zrobiło się wtedy dość głośno i w środowisku związanym z Brygidą, i wśród gdańskich lekarzy. W pewnym momencie zjawiła się u mnie w akademiku pani związana z kościołem i dokładnie wypytała o stan zdrowia córki. Potem był kontakt z lekarzem w klinice akademickiej Akademii Medycznej. Tam z uznaniem powiedziano mi, że skoro zrezygnowałam na rzecz innego chorego dziecka z operacji w Berlinie, to oni sprawią, że zostanie znacznie przyspieszony termin operacji mojej córki w kraju. I wszystko skończyło się dobrze.

Na wiele rzeczy patrzyłam z perspektywy matki. Że nie mamy dla dzieci mleka, lekarstw, odpowiednich środków higieny i temu podobnych rzeczy. Bardzo dużo pomagał nam kościół. Mieli swoje kartoteki, a w nich zapisane każde dziecko, jego potrzeby, wiek, miejsce zamieszkania. To wszystko było ważne. Wszystko należało zdobywać, bo żyło się ciężko.

Studenci byli bardzo negatywnie postrzegani przez władzę. Stanowiliśmy zagrożenie więc milicja cały czas wymyślała różne sposoby nękania nas. Na przykład często legitymowano nas żądając dowodu osobistego, a tam nie było pieczątki wskazującej na zatrudnienie. Ciężko było takiemu milicjantowi wytłumaczyć, że jesteśmy studentami, bo nie akceptowali legitymacji studenckich. Wyzywali nas od obiboków, niebieskich ptaków i chcieli karać. W stanie wojennym często dochodziło do zatrzymań studentów z byle powodu. Wtedy uświadomiłam sobie, że jeżeli sięgają po takie środki, to musi się to dla nich źle skończyć.

Zdarzyło się tak, że moje dziecko zachorowało, stan był bardzo zły i pomoc była niezbędna, a była już godzina milicyjna. Zebraliśmy się wtedy większą grupą i naradzaliśmy kto ma wezwać pomoc. Telefony nie działały, więc trzeba było iść szukać radiowozu patrolującego ulice. Doszliśmy do wniosku, że ja pójdę jako matka, a ze mną jeszcze jedna studentka. Przecież nie będą bić dziewczyn. Odważyłyśmy się więc wyjść na ulicę i zaczęłyśmy krzyczeć licząc na to, że niebawem pojawi się radiowóz. Wołałyśmy o pomoc. Może wyglądało to dziwnie, ale chodziło o moje dziecko. Po ulicach chodziły wtedy wojskowe patrole i jeden z nich zainteresował się krzyczącymi dziewczynami. Wezwali radiowóz, jednak nie była to wcale taka prosta sprawa i wymagała całego logistycznego opracowania. Zachodziła obawa, że pojawienie się w kampusie milicjantów może wyzwolić w studentach agresję i dojdzie do linczu. Wiele

osób zaangażowało się w akcję i ruszyło po akademikach informując, że przyjedzie radiowóz po chore dziecko, żeby nikt nie wykorzystał tego do zrobienia zadymy. Wystawiliśmy czujki i wreszcie zjawił się radiowóz. Zapakowaliśmy się i zawieźli nas aż na Kołobrzeską. Mało tego, milicjant pożyczył mi dziesięć złotych na antybiotyki. Jak wróciliśmy, zaznajomieni w sprawę stanęli jak tarcze przed milicjantami, a ja pobiegłam po pieniądze, żeby oddać funkcjonariuszowi. Całej sprawie towarzyszyło wspólne przerażenie. Zarówno ich, jak i nasze.

Zdarzały się jednak również sytuacje, w których milicjanci odgrywali bardzo negatywne role. W okresie świątecznym ni stąd ni zowąd rzucali petardami w okna akademików. To coraz bardziej utwierdzało mnie w przekonaniu o tym, że tak dłużej być nie może, że ten system musi się skończyć. Wtedy, na przełomie 1981 i 82 roku, nie zdawałam sobie sprawy, że za siedem lat tak się właśnie stanie.

Pamiętam jeszcze sytuację z 1 maja 1983 roku, kiedy po godzinie jedenastej wyszłyśmy w kilka mam na spacer i na wysokości ulicy Wyspiańskiego pojawiły się wozy opancerzone i takie wyposażone w armatki wodne. Idziemy, a tu zadyma na całego. Trzeba było szybko się ewakuować, bo przecież to nie my jesteśmy ważnie, ale nasze dzieci. I uciekając w Politechniczną dotarliśmy do stadionu Lechii Gdańsk. A tam kolejna niespodzianka! Spod stadionu ruszał właśnie kolejny pochód. Byli to kibice Lechii i cała masa innych ludzi gotowych na walkę z milicją. I tak idąc aż do Hibnera, dziś ul. Do Studzienki, szłyśmy jakby na czele rozkrzyczanego nielegalnego pochodu. Wiedziałyśmy, że za chwilę rozpęta się bezwzględna zadyma i nawet nie ma o czym dyskutować, przecież idziemy w demonstracji antysocjalistycznej pełnej zbuntowanych przeciwników komuny. Szczęśliwie udało nam się w porę dotrzeć do akademików i schować. ZOMO czekało już na demonstrantów na skrzyżowaniu Hibnera z Grunwaldzką. Oczywiście nasi mężowie i wszyscy studenci poszli na tę zadymę. Dla mnie nie było w tym nic nadzwyczajnego. Kobiety z dziećmi zostają w domu, mężczyźni zaś idą walczyć. Strasznie skatowali wtedy mojego kolegę. Miał pęknięty bębenek i urazy głowy. Jak go przytargali do akademika, wyglądał strasznie, cały siny.

W 1984 roku przeprowadziliśmy się na kilka lat do Ostrowi Mazowieckiej, a do Gdyni wróciliśmy po czterech latach. Zapisałam się wtedy do działających w podziemiu struktur „Solidarności" i jestem w związku cały czas. Obecnie uczniowie II Liceum Ogólnokształcącego, którego jestem dyrektorem od wielu już lat, co roku zapalają znicze pamięci wzdłuż ulicy od kładki nad przystankiem Gdynia Stocznia aż pod Pomnik Ofiar Grudnia '70.

Dziś wiem, że to, co robiłam z mężem i znajomymi było bardzo odważne, choć wtedy tego tak nie postrzegałam. Działało się z potrzeby serca. Zwyczajnie, ktoś wymagał pomocy więc się mu pomagało, i już. Bez zbędnego budowania legendy. Sprzeciwianie się złu, jakim była komuna, to taki wewnętrzny imperatyw, z którym się nie dyskutuje.

Zefiryna Zuchowska

w Grudniu 1970 pracowała w Szpitalu Kolejowym w Gdańsku, w Sierpniu '80 w Przychodni Zdrowia w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Organizatorka NSZZ „Solidarność". Przed odejściem na emeryturę Przewodnicząca Komisji Zakładowej.

Do końca sierpnia 1980 roku byłam na urlopie wychowawczym. Oczywiście, wiedziałam i słyszałam o wszystkim, ale nie bezpośrednio. Nie uczestniczyłam w tym, bo byłam wtedy w domu z dzieckiem.

O tym, że stanęła Stocznia im. Komuny Paryskiej w Gdyni dowiedziałam się pocztą pantoflową. Mieszkaliśmy wtedy na Turkusowej i byliśmy sąsiadami z Jurkiem Miotke. Na drugim piętrze mieszkał śp. Stasiu Kaczmarek, z którym później, już w stanie wojennym, trochę współpracowaliśmy. Na parterze mieszkało też kilka innych osób pracujących w stoczni i od nich też czerpałam informacje.

Początkowo pomyślałam jedynie, czy aby nie powtórzy się masakra z grudnia '70. Tym bardziej, że dobrze pamiętam tamten Grudzień. Pracowałam wtedy w Szpitalu Kolejowym w Gdańsku. Pamiętam ten strach i złość. Przywieźli do nas jednego z pierwszych postrzelonych. Tego, który dostał postrzał w szyję. Próbowaliśmy go ratować, niestety bez skutku. Pamiętam, że byliśmy w szpitalu przez ileś dni i przez ten czas nie chodziłam do domu. Rodzice nie wiedzieli, co się ze mną dzieje, bo przecież nie było żadnego kontaktu, telefony były wyłączone. Potem udało mi się jakoś przesłać wiadomość do nich, że jestem w szpitalu i będę jeszcze przez kilka dni. Utkwił mi też w pamięci taki obrazek. Zobaczyliśmy przez okna, że do sklepu przywieźli chleb i któraś ze szpitala poszła, żeby ten chleb zdobyć. Nie kupić, a zdobyć!

Wracając do sierpnia 1980 roku, to wszyscy wtedy jechali pod stocznię. No może bardziej szli, bo komunikacja stała. Korciło mnie wtedy niesamowicie, by tam pójść. Tylko że byłam wtedy w domu z małym dzieckiem i nie miałam go z kim zostawić. Co prawda miałam męża, ale jego też często nie było w domu. Nie pamiętam, gdzie wtedy pracował, czy już w spółdzielni, czy jeszcze z Zarządzie Portu. Korciło mnie więc, ale nie było okazji. Oczywiście, szukałam informacji. Człowiek cały czas na bieżąco tym się interesował. Tym bardziej że wiedziałam, co wydarzyło się w Gdańsku, bo te wiadomości mimo wszystko do nas dotarły. Byliśmy ciekawi, jak to wszystko się skończy. Potem do-

wiedziałam się, że na czele strajku w Komunie Paryskiej stanął dwudziestolatek, ale jak przyszła informacja o samym strajku, to nie wiedziałam, czy jest młody, czy długo pracuje. Ktoś przecież musiał stanąć na czele, więc nie zastanawiałam się, kto temu wszystkiemu szefuje.

Do pracy wróciłam dopiero we wrześniu. Pracowałam w przychodni na stoczni, ale nasza dyrekcja mieściła się jeszcze w porcie na Chrzanowskiego, a placówki były w różnych stoczniach. Ponieważ trwały strajki, naczelna powiedziała mi, że mam zgłosić się we wrześniu do portu. Potem jednak w międzyczasie strajk się skończył i już nie pamiętam, ale chyba telefonicznie dostałam informację, że mam jednak iść na stocznię.

Mój powrót do pracy przypadł na moment tuż po podpisaniu Porozumień Sierpniowych. Oczywiście wciąż odbywały się rozmowy o tym, jak to było, jak się skończyło. Wypytywałam i chciałam wiedzieć jak najwięcej. W pierwszych dniach po podpisaniu Porozumień od razu zdecydowaliśmy, że zakładamy związek u nas w przychodni. Już w 1980 roku mieliśmy założoną Tymczasową Komisję Zakładową. Zresztą mamy krótki numer – 289. Szybko dowiedzieliśmy się, jak to zrobić, bo współpracowaliśmy z Komisją Zakładową Stoczni. I tak zaczęła się moja działalność. Oczywiście wcześniej zapytałam męża czy zgadza się na to moje zaangażowanie. Wiadomo, że zapytałam. W końcu to mój mąż, ale tak szczerze, to taką działalność uważało się wtedy to za normę, za coś naturalnego. To był wielki zryw i nie była do tego potrzebna zgoda.

Pracy związkowej nie było wiele, bo nasza przychodnia nie była duża. Bardziej problematyczna była kwestia tego, żeby skrzyknąć ludzi. Czasem pojawiały się opory, ale trzeba było jakoś to zorganizować. Zdecydowaliśmy, że zakładamy, a później dowiedzieliśmy się, że nie możemy być osobną jednostką tylko jako całość z portowym zespołem, bo dyrekcja była na Chrzanowskiego. Wydelegowaliśmy parę osób, potem jeszcze skrzyknęliśmy się w porcie i tak się zaczęło. Mieliśmy również ten komfort, że u nas wtedy nie było komórki PZPR -u. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Wśród pracowników zaś było trochę obojętności, ale wrogości nie było na pewno, nie przypominam sobie. Nie wiem, jak wyglądało to w porcie, nie pamiętam, ale chyba też nie. Może trochę ze strony dyrekcji, bo tam chyba poprzedni dyrektor był partyjny, ale w naszej przychodni nie. Tu panowała bardziej rodzinna atmosfera.

Nie martwiliśmy się także o wtyczki SB, bo udzie się znali. Na początku byłam członkiem Komisji Zakładowej, a później przez ostatnie lata pełniłam funkcję przewodniczącej. Pracy może nie było za dużo, ale związek stworzył się z niczego i to wszystko trzeba było budować. Zajmowaliśmy się przede wszystkim sprawami pracowniczymi. Do dzisiaj ta komisja działa przede wszystkim na rzecz pracowników, a od polityki ucieka i tak było u nas od zawsze. Na początku problemem były przede wszystkim kwestie płacowe i regulaminy pracy. To wszystko trzeba było uporządkować, bo przecież tego nie było. Zajmowaliśmy się głównie tymi sprawami. Opieraliśmy się o 21 postulatów, które – przynajmniej u nas – zostały przyjęte z wielkim aplauzem. Po jakimś czasie dołączyliśmy do struktur regionalnych, co wiązało się z wyjazdami do Gdańska na narady. Jeździła tam głównie nasza przewodnicząca. My mniej, no chyba że czasami w zastępstwie.

Jako Komisja Zakładowa angażowaliśmy się też w pogotowia strajkowe. Strajków raczej nie pamiętam. Jeżeli, to tylko protestacyjny czy oflagowanie, ale nie to, że stanęliśmy z pracą. Tego u nas jakoś nie było. Jeździliśmy też na akcje protestacyjne do Gdańska, w pewnym okresie jeździło się też do Warszawy.

Święta Bożego Narodzenia 1980 spędziliśmy u moich rodziców. Rodzice mieszkali w Gdańsku i ja pochodzę z Gdańska. Tatuś był ogrodnikiem i chyba wtedy jeszcze mieli fermę listów. Było nam łatwiej, bo to jednak gospodarstwo – świnka, kurki, więc nie było tak źle. A tutaj człowiek ciągle wystawał w tych kolejkach. Przed przychodnią, przed stocznią był taki sklep spożywczy, który został zlikwidowany. Jak rzucili tam masło, jakieś owoce czy słodycze, to tak organizowaliśmy się w pracy, że jedna czy dwie z nas stały w kolejce, a potem wymieniałyśmy się i przez to było nam trochę łatwiej coś złapać.

Ta cała sytuacja z zaopatrzeniem i podobnymi socjalnymi sprawami sprawiły, że wtedy jeszcze nie byłam mężatką. Specjalnie nie braliśmy ślubu, bo były takie kredyty dla młodych małżeństw, ale tylko dla ludzi do 25 roku życia, a my oboje byliśmy już starsi. Jednak taki kredyt mogły wziąć jeszcze samotne matki i stąd brak ślubu. Potem doszła kwestia przedszkola więc nie braliśmy ślubu do momentu, kiedy syn miał iść do szkoły. Dzięki temu kredytowi udało nam się gdzieś tam wystać meble, a mieszkanie dostaliśmy pod koniec 1978 roku. I tak powoli się gospodarowało. Pralkę na przykład wystaliśmy z mężem po nocach na Starowiejskiej. Trafiła nam się dobra, bo były polskie i czeskie. Nam zaś przypadł w udziale czeski Tatramat, który służył wiele lat. Wtedy jeszcze nie było kartek, ale było trudno coś dostać. To gospodarstwo rodziców zawsze jednak nas ratowało.

Choć u nas w przychodni zajmowaliśmy się głównie sprawami pracowniczymi, to jednak tej ogólnej i szerszej działalności związkowej towarzyszyło wiele akcentów politycznych. To zaś bardzo nie podobało się władzy. Właściwie po sierpniu 1980 już było widać, że to może się różnie skończyć. Pojawiały się przypuszczenia, że to się może skończyć się źle i władza znów może sięgnąć po rozwiązania siłowe. I sięgnęła.

O stanie wojennym dowiedzieliśmy się klasycznie. Nagle nie ma Teleranka! A to było niezwykle istotne, ponieważ miałam małe dziecko i on zawsze oglądał. Tak się dowiedzieliśmy. Pojawiło się trochę obaw, trochę strachu i pytań, czym to się skończy. Były obawy, ale w poniedziałek, kiedy szłam do pracy, czułam przede wszystkim ogromny bunt. Taką złość, że widzi się te czołgi przed stocznią. Zatrzymali nas przed bramą, nie chcieli wpuścić. Prawie wynikła z tego awantura, ale przeszłyśmy. Nie pamiętam teraz dokładnie, czy pojechaliśmy do przychodni, czy pojechaliśmy do portu. Pamięć jest ulotna. Czułam złość. To nie był strach, tylko taka wręcz chęć walki.

W tamtym momencie nie mieliśmy jeszcze nawiązanych bliskich kontaktów z sąsiadami. Dopiero w późniejszym okresie stanu wojennego, dowiedziałam się, że w naszej klatce mieszkał Tadzio Pławiński, który tworzył radio podziemne. Aresztowali go, ale uciekł i ukrywał się. Dosyć długo ukrywał się razem z Lisem. Potem zaprzyjaźniłyśmy się z jego żoną. A z bliskich znajomych nie miałam nikogo internowanego. W Komisji w Gdańsku przez jakiś czas pracowała Jagoda Greger, która pracowała u nas na Chrzanowskiego jako technik.

Z tego, co wiem z opowieści, ona w stanie wojennym zakopała chyba u siebie w ogródku wszystkie nasze dokumenty. Zdążyła i dzięki niej, wśród naszej komisji nie było osób internowanych.

W tej nowej rzeczywistości trzeba było też normalnie pracować zawodowo. Pamiętam, że do przychodni prowadziło oddzielne wejście dla pracowników. Jak pacjenci-pracownicy chcieli iść do lekarza, dostawali przepustki i wchodzili drugim wejściem. Tam stali strażnicy i sprawdzali te przepustki. A potem z powrotem, sprawdzali, czy ktoś faktycznie u tego lekarza był.

A później zaczęło się podziemie. Wtedy nawiązałam kontakt z Jurkiem Miotke, śp. Stasiem Kaczmarkiem, który pracował w stoczni, tak jak Jurek. Popołudniami przynosili do mojego mieszkania wszelką bibułę. Nie wiem, skąd oni to brali, to już nie było istotne. Ważne, że to do mnie docierało, a ja, idąc do pracy, zanosiłam to w siatce do przychodni. Tylko nie pamiętam, czy były już te drzwi, gdzie do przychodni wchodziło się poza wartownikiem. Przychodziłam do przychodni, a potem – niby do lekarza – przychodzili do mnie ludzie z wydziału. Pracowałam z doktorem Jarkiem Zychem, który wiedział o tym, że stempluję za niego przepustki. Że ci pracownicy byli niby u lekarza. A oni brali ode mnie bibułę i wynosili na stocznię. I tak to wyglądało przez długi czas.

Zajmowałam się głównie tym. Nie odczuwałam strachu. Miało się siatkę z fartuchami, które się wyprało, ze śniadaniem czy coś i w tej siatce nosiło się te ulotki. Człowiek specjalnie o tym nie myślał. Zresztą u nas prawie wszyscy lekarze należeli do związku. Był doktor Zych, poza tym doktor Franciszkiewicz, która już nie żyje, laryngolog, która była bardzo zaangażowana. Nikt nikomu nic nie mówił i dlatego to działało przez wiele lat. Miałam taką możliwość, że mogłam to spokojnie wnieść do przychodni nie przez bramę. A w środku, w gabinecie nikt o tym nie wiedział, nawet wśród moich pracowników. W przychodni się o tym nie rozmawiało, więc żadna z moich bliskich koleżanek nie wiedziała, że ja to robię.

Podejrzewam, że tych dróg przekazywania materiałów było znacznie więcej. Przychodnia to nie był jedyny kanał. Przecież nie wnosiłam jakichś wielkich ilości na całą stocznię, więc tych kanałów przerzutu na pewno było więcej. Pewnie tak samo szło to do szkoły przyzakładowej, bo tam też było osobne wejście. Do dzisiaj nie wiem, gdzie były inne kanały. Była podziemna poczta, nielegalne znaczki, które były roznoszone między innymi przeze mnie. Dostawaliśmy biuletyny „Solidarności", ulotki, gazetki i jak wychodziły edycje znaczków podziemnej poczty, to też szło to do ludzi. Mój sąsiad i Jurek wiedzieli, że mogę swobodnie to wnieść do przychodni. Oczywiście to nie odbywało się codziennie. Biuletyn „Solidarności" podziemnej wychodził chyba raz albo dwa razy w miesiącu. Zawsze przychodzili ci sami ludzie, bo przecież byle komu nie mogłam tego dać. Żeby dodać sobie sił i wiary powtarzaliśmy między sobą, że trzeba walczyć do końca. I jakoś tak się pracowało. Było wiadomo, że walczymy do końca.

Zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego, w grudniu, zmarła mama mojego obecnego męża. Dostaliśmy ocenzurowany telegram i trzeba było wszystko załatwiać. Mąż jest z Ostrowa Wielkopolskiego, więc trzeba było zdobyć przepustkę, żeby pojechać na pogrzeb. Jak tylko wysiedliśmy z pociągu,

od razu trzeba było iść na komendę, żeby dostać zameldowanie czasowe. Tam na miejscu ludzie za dużo nie wiedzieli o tym, co się działo i byliśmy dla nich wtedy źródłem informacji. Wiadomo, że to była specyficzna sytuacja, bo mama zmarła, ale czegoś tam się przy okazji od nas dowiedzieli.

Z tego okresu pamiętam pewną śmieszną sytuację. Syn miał już trzy lata i był niesamowicie rozśpiewany i umuzykalniony. Bardzo lubił śpiewać i do tego wcześnie zaczął mówić. Pewnego dnia rano mąż szedł z nim do przedszkola. Była zima, więc niósł go na barana, a syn podśpiewywał sobie: – „Jadą, jadą chłopcy, chłopcy-radarowcy..." I w tym momencie na męża wychodzi patrol. Widocznie byli jacyś normalni i nic nie zrobili, tylko przeszli, ale mąż pomyślał sobie wtedy, że to koniec. W tej chwili mogę się z tego śmiać, ale czasy były takie, że mężowi wcale nie było do śmiechu.

Działaliśmy na tyle ile mogliśmy, a dodatkowo angażowaliśmy się również w pomoc rodzinom internowanych i osobom ukrywającym się albo kurierom. Może nie bezpośrednio, bo nie miałam bezpośredniego kontaktu, ale pośrednio nieraz coś tam się pomagało. Czasem na przykład Jurek Miotke albo ktoś inny podsyłał kogoś, komu potrzebne było zwolnienie. A miałam takich lekarzy, o których wiedziałam, że można przyjść i powiedzieć, o co chodzi. Głównie doktor Franciszkiewicz i doktor Zych. Oni wiedzieli, o co chodzi i nie było sprawy. Poza tym, co opisałam, aż tak dużo się nie angażowałam.

Kiedy przyjechał do nas Ojciec Święty była wielka radość. Wielka radość! Pamiętam, że uczestniczyłam z synem i z mamą w wielkiej mszy, która odbywała się w Gdyni na Skwerze Kościuszki. To nas umocniło i liczyliśmy na to, że już będzie szło ku dobremu. Szczególnie później, po pielgrzymce. Ta pielgrzymka była dla nas wielką radością. A jak się śpiewało w kościele „Boże, coś Polskę" to też zawsze było to wielkie wzruszenie. Były takie momenty radości i wtedy człowiek wierzył, że to się dobrze skończy.

Z zaopatrzeniem nadal było kiepsko i choć kartki były na prawie wszystko, to jeszcze trzeba było to wszystko wystać. Nie było wtedy tak, że wchodziło się i robiło zakupy. Obowiązywało wieczne – nie ma! Ale zawsze jakoś się to załatwiało, jakoś się to zdobywało. W bloku zawarły się znajomości – starsi oddawali tym, którzy mieli młodsze dzieci. Niekoniecznie wszystko musiało być nowe. Co ciekawe, najwięcej alkoholu w domu było właśnie w okresie kartek. Ale można to było wymieniać na czekoladę albo na kawę. Cóż? Polak potrafi. W końcu system uczył nas tej „zaradności" przez wiele lat. Jakoś się to zdobywało i nie odczuwało się aż tak bardzo braków. Zresztą człowiek nie był przyzwyczajony do tego, co jest teraz, nie miał przecież tego porównania. Był szczęśliwy, że zdobył i miał, a nie wiedział jak mogłoby i powinno być. Zresztą, nie było aż tak źle.

Przez te wszystkie lata od wprowadzenia stanu wojennego cały czas czułam, oprócz wspomnianej złości i woli walki, taki jakiś dziwny strach. Bezpośrednio nic złego mnie nie spotkało. Fakt, że mając dziecko, człowiek się specjalnie nie angażował. Chwile grozy pamiętam tylko sprzed 1970 roku, kiedy trwały strajki na politechnice. Chodziłam wtedy do szkoły i brałam udział w zadymie przy Hotelu Monopol. A w latach osiemdziesiątych raczej nie miałam takiego bezpośredniego zagrożenia.

Dziś nie oceniam, bo zawsze uważałam, że to, co robię, jest słuszne. To jest pewna kwestia wychowania. Świadomość, że prawda musi być prawdą. Próby mydlenia oczu, którymi nas komuniści karmili obnażyła śmierć ks. Jerzego Popiełuszki. Przeżywaliśmy to przez długi czas. Taka złość, bunt, co te... zrobiły. Był wielki ból, wielki żal i wielka złość. Jakby wtedy coś ruszyło, to człowiek też by ruszył, bo był tak wściekły. Żal, ból i wściekłość!

W pamięci nadal mam jeszcze odsłonięcie pomnika Ofiar Grudnia '70 w miejscu gdzie padły pierwsze strzały, przy stoczni. Mam jego replikę w drewnie. Robił je znajomy z wydziału drzewnego stoczni.

A podsumowaniem niech będą słowa mojego syna. Syn był bardzo bystry i szybko łapał, w szczególności niecenzuralne słowa. Pamiętam, że szłam z nim kiedyś koło tego pomnika i opowiadałam mu, co to jest i dlaczego jest. Powiedziałam, że milicjanci zabili robotników i tak dalej, i że to jest ku pamięci. A Maciek mówi do mnie:

– To chuje były te milicjanty!

Małgorzata Zwiercan

w II połowie lat '70 pracowała na kolei i zajmowała się kolportażem bibuły. W czasie stanu wojennego była łączniczką, kolporterką, redagowała prasę podziemną, działaczka SW. Obecnie Poseł na Sejm RP, Przewodnicząca Sejmowej Komisji Polityki Senioralnej, Wiceprzewodnicząca Parlamentarnego Zespołu ds Dzieci, członek Sejmowej Komisji Zdrowia, przedsiębiorca, terapeuta uzależnień, działaczka społeczna.

Jestem zaprzysiężonym członkiem Solidarności Walczącej, w której działam. Byłam łączniczką, kolporterką, redagowałam prasę podziemną, a po wyjściu z aresztu w 1988 roku Romana Zwiercana, mojego późniejszego męża pełniłam „funkcję" jego prawej „ręki", ponieważ Roman był nieustannie pod ostrzałem ubecji. Zastępowałam go więc w wielu zadaniach. Tam gdzie z różnych przyczyn nie mógł się pojawić, tam udawałam się ja. Wielokrotnie kursowałam pomiędzy różnymi miejscami, przewoziłam zakazane materiały, dostarczałam informacje, robiłam to, co w danym momencie trzeba było zrobić. Śmiało więc mogę powiedzieć, że brałam udział we wszystkim wydarzeniach, które powinny być dziś ważne dla każdego obywatela.

Moja świadomość polityczna zaczęła kształtować się w latach siedemdziesiątych. Można powiedzieć, że zaangażowanie w działalność antysocjalistyczną dojrzewało już od roku 1970, bo Grudzień '70 podarował mi osobistą lekcję życia w PRL-u. Miałam 12 lat i przekonałam się wtedy na własne oczy czym jest komunizm, czy jak nam wtedy mówiono – demokracja socjalistyczna. Aż się chce przywołać słynną zagadkę z tamtego okresu: „Czym różni się demokracja od demokracji socjalistycznej? Tym, czym krzesło od krzesła elektrycznego!"

Tę prawdę zaczęłam poznawać dzięki rodzicom dużo wcześniej. Moi rodzice starali się nam wszystkiego nie mówić, a w najtragiczniejszych momentach wręcz chronić nas przed zewnętrzną rzeczywistością. Pewnych jednak faktów nie mogli przed nami ukryć, bo fakty te wdzierały się w życie rodziny i stawały się jego smutną częścią.

Stawały się częścią naszego życia, ponieważ moja rodzina już wcześniej doznała „dobrodziejstw" przyjaźni ze Związkiem Sowieckim. Mój ojciec pochodzi z Kresów. Urodził się w Niemenczynie na Litwie i został przesiedlony po II wojnie światowej, bo tam po prostu Polska przestała już istnieć. Cała rodzina ze strony taty przyjechała wtedy do Gdańska. Potem tata poszedł do wojska,

później pracował w akumulatorowni gdańskiego MPK, a następnie jako kierowca autobusu. Tam też wstąpił do partii. Po miesiącu poszedł do sekretarza zakładowego i rzucił legitymację. Od tego momentu zaczęły się szykany i represje, bo PZPR nie wybaczała nigdy.

Tata nie mógł już awansować i dostawał najtrudniejsze prace, był traktowany z pogardą, cały czas obserwowany i poddawany szykanom. Wyszydzano go i poniżano. Żadnych premii czy podwyżek. Tak właśnie działała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. My z siostrą wiedziałyśmy o tym, bo nawet jak rodzice rozmawiali w tajemnicy przed nami, to i tak do to nas docierało. Było nam niezmiernie przykro, kiedy widziałyśmy tatę, który chciałby normalnie pracować, a wciąż był szykanowany. Chciałyśmy mu pomóc, choć kompletnie nie wiedziałyśmy jak. Ojciec zobaczył czym jest ta partia i z „czym to się je". Podjął wtedy decyzję, że nigdy nie będzie służył komunistom.

Obserwowałyśmy bezradne i ta sytuacja mocno na nas rzutowała. Widziałyśmy cierpienia ojca, ale widziałyśmy też jak rodzice obawiali się, że represje dosięgną także ich dzieci, że będziemy miały kłopoty z uzyskaniem wymarzonego wykształcenia. Nawet dla dzieci, którymi wtedy byłyśmy, stanowiło to pewien impuls do kształtowania się w nas opozycji do władzy. Wtedy zrozumiałam również, że takich jak my jest dużo więcej. Że są rodziny, zwykli ludzie, które nie mają perspektyw, a władza robi wszystko, by utrudnić im życie. Dostrzegałyśmy z siostrą, że wiele osób nie ma podstaw do takiego normalnego życia.

Kiedyś w naszej kuchni znalazła się ulotka z treścią piosenki pod utwór Maryli Rodowicz „Jadą wozy kolorowe". Leżała na szafce, a ja zmywałam naczynia. Przez krótką chwilę nauczyłam się tej piosenki do muzyki. Szło to tak: „Jadą wozy ciężarowe z gliniarzami, hej stoczniowcy, atakować kamieniami. Może kamień spadający czas odmieni. Trza Gomułkę już wyrzucić, a rząd zmienić". Już wtedy wiedziałam, że jest to ważne, że ci zwykli robotnicy pracujący tak bardzo ciężko nie są w stanie wyżywić swoich rodzin, bo nie starcza im na przysłowiowy chleb. Nie ma takiego normalnego wolnego życia, a ludzie pracy byli traktowani jak wyrobnicy przez komunistyczną władzę.

Poza tym wtedy już rodzice też dużo mi tłumaczyli. Mówili, jak powinna wyglądać nasza wolność, jak władza powinna współgrać ze społeczeństwem. W dużej mierze dotyczyło to warunków życia i pracy. Ludzie pracowali często w bardzo trudnych warunkach, urągających ich godności. Jednak dotychczasowe bunty społeczne były pacyfikowane i ludzi ogarniał strach.

I już wtedy rosła we mnie potrzeba, żeby to zmienić. Ta potrzeba i świadomość sprawiły, że już jako dziecko, a później nastolatka, tam gdzie mogłam, tam gdzie widziałam i tam gdzie byli dobrzy ludzie – angażowałam się w pomoc. To była taka wewnętrzna potrzeba pomagania innym. Nikt mi nie musiał mówić, że mam coś zrobić. Po prostu to robiłam. Poza tym takie osoby potrafiły się jakoś komunikować i spotykać. To było zupełnie naturalne.

Chyba byłam dobrą obserwatorką rzeczywistości, bo chłonęłam ją, do tego stopnia, że stałam się jakby lustrem i działałam na wzór otaczającego mnie społeczeństwa, w którym rósł ogromny sprzeciw. Czułam ten sprzeciw. Sprzeciw, który wybuchł na Wybrzeżu w 1970 roku, a potem nabrał nowych wymiarów i z dużo większą siłą i determinacją powrócił w Sierpniu '80.

Grudzień 1970 roku dał mi pierwszą poważną lekcję życia. Mieszkaliśmy wtedy przy ul. Warszawskiej w Gdyni. Stamtąd do centrum jest kilka minut. Ulica Śląska, tory i już docierało się na 10 Lutego i Władysława IV. Widziałam wtedy tych uciekających przed ZOMO manifestantów, stoczniowców, portowców, po prostu gdyńskich robotników, którzy wyszli na ulice, by zaprotestować przeciwko polityce ówczesnych, komunistycznych władz. Widziałam tych milicjantów, którzy gonili protestujących. W mojej pamięci nadal tkwi bardzo żywy obraz stojących w pełnym umundurowaniu milicjantów czy zomowców i niebieskich „suk" milicyjnych, zaparkowanych wzdłuż ulicy Warszawskiej. Pamiętam, że wśród uciekających z walki w centrum znaleźli się tacy, którzy chcieli przewracać te suki. Także na Warszawskiej rozegrała się regularna bitwa robotników z milicją. Dla dziecka, jakim wtedy byłam, stało się to ogromnym przeżyciem. Oczywiście nie za bardzo rozumiałam, o co w tym wszystkim chodzi, ale zadawałam pytania. Chciałam wiedzieć czemu polscy milicjanci gonią i pałują polskich robotników.

Moja ciocia mieszkała wtedy na Świętojańskiej pod numerem 101 prawie na samej górze przy magistracie i rodzice chcieli dowiedzieć się, co u niej. My mieszkając na Warszawskiej już byliśmy przerażeni tymi gonitwami, w których milicja ścigała i pałowała uczestników demonstracji. Moi rodzice zdawali sobie sprawę z tego, że w samym centrum musi być dużo ostrzej, tym bardziej że wiedzieli o spaleniu Komitetu Wojewódzkiego partii w Gdańsku dwa dni wcześniej. Pobiegli więc na drugą stronę torów, by dostać się do cioci. A tam zadyma na całego! Demonstranci rzucają kamieniami, milicja strzela petardami z gazem łzawiącym. Padają również strzały z ostrej amunicji. Z daleka wyglądało to jak regularna walka na froncie, z tym że odbywająca się w środku miasta. Potem rodzice opowiadali mi o tym. Słyszeli nawet obok siebie świst kul. Żeby uniknąć kul i dostać się na Świętojańską 101, przemieszczali się z klatki do klatki i widzieli co tam się działo. To było jedno wielkie przerażenie i strach. Jak potem gdzieś wychodzili, to we mnie wzbierał taki strach, czy wrócą do domu, czy ich nie zabiją.

Nie rozumiałam wielu rzeczy, ale nauczona doświadczeniami, czułam, że ci protestujący nie wyszli na ulice bez przyczyny. Oni walczyli o chleb, o życie, o szacunek i zrozumienie, a władza, zamiast z nimi rozmawiać, zaczęła do nich strzelać, pałować ich i „częstować" gazem łzawiącym. To była bardzo szybka lekcja demokracji i przede wszystkim pokazania mi, czym jest tamta władza.

Po Grudniu '70 na Wybrzeżu strach był ogromny, ale pojawiła się też nadzieja. Zbyt wiele osób pamiętało i mimo tragedii nie godziło się z tamtym stanem faktycznym. Rodziła się więź, luzie chcieli być razem i stanąć w jednym szeregu, by przeciwstawić się komunistom. Dawało to taki obraz, że ten, kto walczy o wolność, nie jest sam, że ludzka solidarność w sprzeciwie zaczyna kształtować nowe myślenie. Właśnie to jednoczenie się ludzi po Grudniu '70 było najważniejszym procesem społecznym, który wtedy się zaczął i eksplodował w Sierpniu 1980 roku.

W latach siedemdziesiątych docierało do mnie wiele informacji. Jak gdzieś coś się działo, ja o tym wiedziałam. Z różnych źródeł. Dopiero dzisiaj z perspektywy czasu zastanawiamy się jak to było możliwe, że wtedy skupialiśmy się razem i coś w sobie nawzajem kształtowaliśmy, że była ta bibuła, któ-

ra krążyła między ludźmi i w ten sposób rozprzestrzeniała się wolna informacja, z której ludzie czerpali wiedzę nieocenzurowaną i niezależną od tego, co oficjalnie przekazywała władza. To swoiste „po przeczytaniu podaj dalej" dotyczyło nie tylko bibuły trójmiejskiej, docierały do nas gazetki z całego kraju, wydawane przez różne podziemne środowiska i struktury. Wiedzieliśmy komu należy „podać dalej" i to, że te osoby po przeczytaniu przekażą to kolejnym osobom. Wiele tych osób posiadało już swoją szlachetną przeszłość. Byli to żołnierze Armii Krajowej i uczestnicy tragicznych wydarzeń Grudnia '70.

Robiliśmy to wszystko, bo tak należało, bo nie było innej drogi. Dziś jest nam bardzo trudno jednoznacznie pochylić się nad refleksją tamtego okresu, bo lata obecne ciążą rzeczywistością, która jest zupełnie inna. Wtedy zupełnie inaczej podchodziliśmy do walki z komuną, ponieważ nie było tego wszech panującego konsumpcjonizmu.

Aby podsumować Grudzień '70 podkreślę jeszcze, że ludzie ginęli wtedy idąc do pracy. Przecież Kociołek w specjalnym wystąpieniu wręcz nawoływał do podjęcia pracy w czwartek, 17 grudnia. I ludzie odpowiedzieli. Zaufali, a władza zaczęła do nich strzelać. To było niewyobrażalne i budziło ogromny sprzeciw.

Ten sprzeciw w nas tkwił i dojrzewał. Pamiętam jak w drugiej połowie lat 70. zaczęłam pracę na kolei. Mój sprzeciw od razu wziął górę i zaangażowałam się w kolportaż bibuły. Docierały do mnie gazetki z całego kraju. Były przewożone przez maszynistów pociągów towarowych, które szły do Portu Gdynia, a tych pociągów był wtedy ogrom. Z południa Polski szły transporty węgla, rud i wszelkiej masy produktów, które eksportowano do krajów całego świata. Kolejarzy nikt nie kontrolował i dzięki temu jadąc po kraju przewozili masę tytułów z różnych ośrodków opozycyjnych. I mimo tego, że to była głęboka konspiracja, to swój na swego trafił. Bibuła krążyła docierając do mnie. Ja natomiast puszczałam ją dalej. Często pracując jako dyżurna ruchu w Porcie na posterunku wyjazdowym GPW dostawałam przesyłkę opisaną: „Do rąk własnych dla Małgosi". Później, już w latach osiemdziesiątych były to między innymi „Biuletyn Dolnośląski" i „Tygodnik Mazowsze".

Przy przekazywaniu bibuły poznawaliśmy siebie bliżej. Pociągi stały czekając na odjazd i wtedy rozmawiało się i dzieliło informacjami. Tak rozprzestrzeniała się idea. Maszyniści przychodzili na nastawnię. My dostawaliśmy wiadomości z innych regionów Polski, a sami opowiadaliśmy, co dzieje się u nas. To był taki pozaoficjalny obieg informacji, która nie podlegał cenzurze. Mówiliśmy o faktach, wydarzeniach, pomysłach i problemach. Tak budowała się ogromna ogólnopolska sieć ludzkiej solidarności, zanim jeszcze powstała „Solidarność" jako związek zawodowy.

Później pracowałam w Porcie Gdynia i tam też dużo rozmawialiśmy o tym, co się dzieje u nas, w Trójmieście. Tak dotarły do mnie informacje o powstaniu Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Dziś trochę historycznie mieszamy fakty, ponieważ WZZ-ety walczyły przede wszystkim o prawa pracownicze. Dzisiaj zaczynamy dopisywać im szersze historie, w których pojawia się polityka i sprawy niepodległości czy wolności. Wydaje mi się, że Wolne Związki Zawodowe mają tyle zasług w aspekcie walki o godną pracę, że nie ma konieczności

dorabiania ideologii. Sukcesy w walce o warunki pracy, posiłki regeneracyjne, zimne napoje latem, odpowiednia odzież ochronna, to też pola, na których działali ludzie WZZ i udawało im się wygrywać te kwestie z dyrekcjami zakładów. Z drugiej strony trzeba jednak zauważyć, że podziemne pismo „Robotnik Wybrzeża" przekazywał też treści polityczne. Stąd na pewno była grupa ludzi, która widziała w swoich działaniach zalążki walki o zmianę systemu. Na pewno już wtedy rozmawiało się o tym, że być może trzeba prowadzić działania równoległe. Z jednej strony walczyć o prawa pracownicze, a z drugiej przygotowywać się do walki o wolną Polskę. To też wynika z podejścia każdego człowieka. Jak mamy więcej wolności w sferze zawodowej, to czujemy się również wolniejsi w życiu prywatnym. Jednak do Sierpnia '80 WZZ-ty były przede wszystkim poza formalną reprezentacją ludzi pracy.

I przyszedł rok '80. Na początku zaznaczę, że tu też historia pomieszała fakty, ponieważ ten nasz strajk był stricte ekonomiczny. Wtedy nie mówiło się o obaleniu komunizmu. Chodziło tylko i wyłącznie o poprawę warunków pracy i zadośćuczynienie po podwyżkach, które rząd wprowadził od 1 lipca.

Zanim jeszcze nastąpił sierpień, w Gdyni strajki zaczęły się już w lipcu. 23 lipca zastrajkowali pracownicy lokomotywowni w Gdyni Grabówku, a dzień później w Chyloni. Na lokomotywowniach strajk trwał do 26 lipca. Na dwa dni, 29 lipca stanął Port Gdynia, a wraz z nim nasze Posterunki Kolejowe. To wyglądało niesamowicie. Wszystkie tory wyjazdowe zapełnione pociągami, które nie mają zamiaru ruszyć. Tak pięknie stały! – można by powiedzieć. A obsługa stwierdziła – my dalej nie jedziemy! Solidaryzujemy się ze strajkującym portem. Moja nastawnia też przyłączyła się do tego strajku. Byliśmy razem z maszynistami, którzy poparli strajk portowców.

Już wtedy poczułam pierwszy powiew wolności. Ludzie w słusznej sprawie zaczęli siebie popierać i przyłączać się do protestu. Gromadziliśmy się w jednym miejscu i przeżywaliśmy to, co się działo. Czekaliśmy, co z tego wyniknie i co będzie dalej. Nie myślałam wtedy o strachu. Ta międzyludzka solidarność była tak silna, że zaczynaliśmy wierzyć w sukces i naszą siłę. Zastanawiając się nad tym, co dalej, rozmawialiśmy o konsekwencjach. Wtedy chyba po raz pierwszy zaczęło do mnie docierać, że nasz strajk nie jest wyjątkiem, że w Polsce gotuje się już od początku lipca.

I strajk się skończył... Pierwsze uczucie? Ogromny niedosyt. Niby coś tam żeśmy wywalczyli, ale w naszej świadomości plątała się taka myśl, że mogliśmy ugrać więcej, że mogły stanąć stocznie. W każdym razie mieliśmy poczucie niedokończenia. Pewnego zawieszenia czegoś, co tak dobrze wróżyło. I doczekaliśmy się. Dwa tygodnie później stanęła Stocznia im. Lenina w Gdańsku, a dzień później 15 sierpnia Andrzej Kołodziej stanął na czele strajku w naszej gdyńskiej Komunie Paryskiej. Informacje o strajku w Gdańsku dotarły do nas koleją. Maszyniści przyjeżdżający do portu przekazali nam tę informację już rano 14 sierpnia. Potem potwierdzili to pracownicy Portu Gdynia.

Wtedy zrozumiałam, że nasz wcześniejszy strajk to było preludium czegoś dużo, dużo większego. Wreszcie idziemy razem i można coś wspólnie zrobić dla wielkiej rzeszy polskich robotników, stoczniowców, portowców, kolejarzy, ale również górników, hutników, nauczycieli, czy pracowników służby zdro-

wia. Czuło się wtedy, że nareszcie nadszedł ten moment, że tym razem nie wyjdziemy na ulice. I to, co najważniejsze – poparcie społeczeństwa. Ludzie od pierwszych chwil strajku tłumnie zjawiali się pod zakładami pracy, by wyrazić swoje poparcie. I były to nie tylko rodziny członków załogi. To było niesamowite! I wtedy już nie chodziło tylko o kwestie materialne. O to, że dołożą kolejny tysiąc czy półtora tysiąca do pensji. Strajkujący zaczęli głośno mówić o tym, że w Polsce jest źle, że jest zniewolenie i bark wolności w bardzo wielu obszarach życia publicznego. Ludzie postanowili wreszcie walczyć również o wolność. O suwerenną, niezależną przestrzeń, w której nie będzie ingerencji państwa.

Jak stanęła Stocznia Gdynia od razu pojawił się większy entuzjazm, ucieszyliśmy się, bo do protestu dołączył największy gdyński zakład. Mimo radości to był bardzo trudny okres. Pojawiały się wątpliwości, w jakim stopniu władza pozwoli na rozszerzanie się strajku, czy zareaguje siłowo. Przecież już to robiła, już odpowiadała ogniem. Nawet w samej stoczni nie wszytko było jednoznaczne. Ludzie przychodzili i dołączali do strajku. Wracali z urlopów i od razu, nawet czasami w nocy, wchodzili na stocznię i zaczynali strajkować, ale byli też tacy, którzy rezygnowali ze strajkowania lub w ogóle nie pojawiali się w zakładzie. Ta sytuacja doskonale zobrazowana jest w filmie o Andrzeju Kołodzieju.

Na początku było wiele obaw. Dopiero kiedy strajk zaczął rozprzestrzeniać się na inne trójmiejskie przedsiębiorstwa zaczęło do nas docierać, że jest nas tak wiele i tym razem władza musi inaczej podejść do rozwiązania sprawy. Nie mogli przecież zamknąć wszystkich. Nadzieja rosła jeszcze bardziej, kiedy udało się pokonać kryzys w Gdańsku i ukonstytuował się Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. W pewnym momencie okazało się, że chęć wolności jest silniejsza niż strach. Do tego świadomość, że jak zamkną to nie będę sama, czy nie będę sam. Istotne jest też to, że zaczęliśmy patrzeć w przyszłość pod kątem tego, że nie walczymy tylko dla siebie, ale wspólnie walczymy dla całej Polski. I ta cała Polska odpowiedziała. Strajki błyskawicznie rozlały się na cały kraj. Ilość delegacji, które docierały do MKS-u wyzwalała w nas ogromną radość. Informacje szły kanałami strajkowymi, a te były bardzo dobrze zorganizowane.

Podpisanie Porozumień Sierpniowych pokazało, że możemy wspólnie, solidarnie osiągnąć bardzo wiele. Powstała „Solidarność" – pierwsza całkowicie niezależna od władzy organizacja związkowa w bloku wschodnim. Była ogromna radość. Jednak już wtedy mieliśmy świadomość, że to dopiero początek, że strajk sierpniowy zdobył na razie przyczółek wywalczając kawałek wolności. W czasie protestów pojawiło się mnóstwo nowych pomysłów i idei mówiących o niepodległości, przywróceniu prawdziwej historii i przezwyciężaniu komunistycznych ram. Podpisanie Porozumień Sierpniowych z 21 postulatami to dopiero początek walki o prawdziwą wolność. Władza zgadzając się na utworzenie niezależnych związków dała nam możliwość wykreowania przestrzeni, w której samodzielnie będziemy podejmować decyzje. Okazuje się, że ta walka o prawdziwą wolność trwa nadal, walczymy do dzisiaj i jeszcze pewnie trochę to potrwa. Spisanie i upublicznienie tych postulatów pokazało, co jest ważne dla Polaków, każdy mógł to zobaczyć i o tym dyskutować. Później trzeba było dopiero szukać tej drogi, która doprowadzi nas do zrealizowania wszystkich postulatów, co w konsekwencji da rzeczywistą wolność.

W maju 1981 roku urodziłam syna, więc musiałam nauczyć się funkcjonować w rzeczywistości kartkowej, a w sklepach przecież nic nie było. W pewnym momencie pojawiły się kurczaki bez kartek, po których dziewczynki bardzo wcześnie miesiączkowały. Te kurczaki musiały być czymś faszerowane, żeby szybko rosły i żeby można było je rzucić na rynek. Nie tylko żywność była reglamentowana. Również wyprawka dla niemowlaka była na kartki. Było w niej 20 pieluch tetrowych, ręcznik kąpielowy i jakieś środki do pielęgnacji. Dostałam ręcznik koloru biało-czarnego z haftem wizerunku baletnicy. Dla niemowlaka! Ale brało się to, co dawali. Masło i ser żółty były na książeczką zdrowia dziecka. Już jako kobieta w ciąży miałam dodatkowy przydział, później jako kobieta karmiąca również. Odbiór wpisywało się właśnie do tej książeczki.

Pod tym typowo bytowym względem było bardzo ciężko. Jak alkohol też wprowadzono na kartki, to ludzie zaczęli pędzić bimber. Kto nie pamięta słynnego 1410, czyli receptury na „bitwę pod Grunwaldem", która wynosiła 1 kilogram cukru, 4 litry wody i 10 dkg drożdży piekarskich! Czekolada, papierosy, wiele produktów było na kartki. I tak narodził się handel wymienny. Ja nie paliłam papierosów ani nie piłam alkoholu więc wymieniałam te kartki na inne, bardziej przydatne produkty, przede wszystkim na żywność. Zazwyczaj na jakieś pół kilo mięsa czy kiełbasy. Udawało się nam również zdobywać mięso na wsi. Rodzice mieli w Luzinie zaprzyjaźnionych gospodarzy, do których co rok jeździliśmy na grzyby. W okolicznych lasach zbierało się niesamowite prawdziwki. I w trudnych latach osiemdziesiątych zaczęliśmy tam jeździć po jajka, nabiał, mięso. Najczęściej było to pół świniaka. Tata miał starą warszawę, więc było to prostsze. I tak jakoś udawało się nam z żywnością. Nie mogę powiedzieć, że nie mieliśmy co jeść. Zawsze coś było. Było ciężko zdobyć i wystać w kolejkach, ale dokładając do tego handel wymienny i rzeczy ze wsi... Nie mogę powiedzieć, żebyśmy głodowali.

Kiedy byłam w zaawansowanej ciąży i potem po urodzeniu, wiadomości docierały do mnie później niż do innych. Wiadomo, moje, a później również syna zdrowie, były najważniejsze. Oczywiście cały czas interesowałam się tym, co dzieje się w kraju i chciałam być na bieżąco, ale nie zawsze to się udawało. W miarę systematycznie docierała do mnie jednak jakaś bibuła. W pewnym momencie zorientowałam się, że mimo tego, iż zostały podpisane porozumienia, to władza nie mam zamiaru się poddać. Czułam, że komuniści przygotowują się do konfrontacji. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak ona będzie wyglądać. Brakowało zrywu w dążeniach do wolnej Polski. Ludzie byli zagonieni, zmęczeni i wyglądało to tak, jakby władza brała nas na przetrzymanie. Pod koniec '81 roku czuć było coraz większe zniewolenie.

13 grudnia nikt po mnie przyszedł. Ranek zastał mnie u rodziców na Warszawskiej. Zapukał do nas sąsiad i zapytał, czy wiemy, co się dzieje? Tata włączył wtedy telewizor i zaczęliśmy słuchać. Chyba dobrze, że wszyscy siedzieliśmy, bo ten głos Jaruzelskiego, mówiącego o powstaniu Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, o godzinie milicyjnej, o posiedzeniu Rady Państwa, która podjęła decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego, o ograniczeniach, o zawieszeniu wszystkich organizacji, gazet, koncertów, o tych wszystkich represjach, które czekają tych, co nie podporządkują się władzy. To był wielki szok,

smutek i ogromne niedowierzanie, że władza zdecydowała się na taki krok. Ci, którzy to przeżyli chyba do dzisiaj pamiętają tę grozę płynącą z ekranu.

Od razu zaczęliśmy rozmawiać o tym, co możemy zrobić, jak i komu pomóc. Zaczęliśmy się spotykać. Nie wiem, czy to już było podziemie, ale nie akceptując „wojny polsko-jaruzelskiej" postanowiliśmy działać. Zaczęła docierać bibuła, gdańskie „Lewki", „Solidarność" – główne pismo zarządu regionu gdańskiego podziemnej „Solidarności", „Rozwaga i Solidarność", „Portowiec" od Piotra Legieżyńskiego, a później „Gryps" od Witka Marczuka. Potem kolportowałam to dalej. Nie mieliśmy jakiegoś charyzmatycznego przywódcy, który pociągnąłby nas do jakiejś większej walki, ale i tak to, co robiliśmy kwalifikowało się co najmniej na kolegium, choć na początku stanu wojennego na pewno na areszt.

W 1982 roku słyszałam o tej części „Solidarności", która chciała rozmawiać z władzą i szukać porozumienia. W środowisku, w którym się obracałam brakowało iskry, która by nas zapaliła do większego działania. Później dopiero, jak konspirowaliśmy na Brodwinie dotarły do nas informacje o „Solidarności Walczącej" założonej we Wrocławiu przez Kornela Morawieckiego. Systematycznie wtedy zaczęła do nas docierać bibuła SW z Dolnego Śląska.

O Romanie Zwiercanie słyszałam dużo wcześniej, niż miałam okazję go poznać. Mieliśmy wspólnych znajomych na Brodwinie, m.in. Ewę i Romana Kaliszów. Byłam u nich w domu częstym gościem. Ten ich dom był jak tramwaj, gdzie wsiada mnóstwo osób. Codziennie przewijało się tam po kilkanaście osób. Kaliszowie mieszkali na parterze bloku na osiedlu nauczycielskim i znajomi wychodząc np. na zakupy czy wracając z „miasta" odwiedzali Ewę i Romka. Niejednokrotnie przynoszono im ulotki, które brałam i przekazywałam dalej. Wśród nich były również te dotyczące Romana Zwiercana, nawołujące do akcji na rzecz jego uwolnienia. Rozmawialiśmy o nim, o jego działaniach w Solidarności Walczącej. Na początku nikt nie poinformował mnie o tym, że i ja mogę wstąpić do SW. Dopiero jak już poznaliśmy termin zwolnienia go z aresztu, Ewa zaprosiła mnie na kolację.

Spotkanie okazało się wyjątkowym dniem. Ewa zamknęła drzwi od mieszkania, by nikt kto nie był zaproszony nie mógł wejść. Razem ze mną do stołu usiadł jeszcze jeden nasz znajomy, miał na imię Piotr. Już po rozpoczęciu spotkania dowiedziałam się, że ma przyjść również Romek Zwiercan. I przyszedł wieczorem. Był bardzo szczupły z wielgaśną brodą, blady i lekko zgarbiony. Od razu poczułam od niego dużą charyzmę. Tak spotkaliśmy się pierwszy raz. W związku z tym, że dopiero co wyszedł z aresztu, nie chciał sam jeździć samochodem więc poprosił mnie o podwiezienie do kilku miejsc. Jeszcze wtedy nie był ponownie poszukiwany przez milicję. Po dwóch miesiącach jednak wystawiono za nim list gończy.

To wszystko potoczyło się bardzo szybko. Roman potrzebował łącznika. Przykładowo trzeba było pozostawać w stałym kontakcie z Joanną i Andrzejem Gwiazdami. Roman musiał odnowić wszystkie kontakty, bo w więzieniu przebywał rok i osiem miesięcy. Nie wiedział dokładnie, co się dzieje i nie chciał kogoś wsypać. No i takim łącznikiem i zarazem kierowcą zostałam ja. To wszystko było takie naturalne. Mimo tego, że byłam na bieżąco z podziemną prasą, to nie miałam rozeznania w relacjach struktur podziemnych i musia-

łam się też tego nauczyć. Ważne było to, że dla ubecji pozostawałam nieznana. Dotychczasowa moja działalność była, można powiedzieć, bezpieczna. Rozpoczęcie działań wspólnie z Romkiem, który prawie od razu był poszukiwany listem gończym, podniosło poziom zagrożenia i tak stałam się również celem dla Służby Bezpieczeństwa. Wokół nas pojawiały się różne osoby i trzeba było zwracać uwagę na dużo więcej rzeczy. Wciąż „czytać i interpretować" różne sytuacje i to, co dzieje się wokół nas. Nigdy wcześniej tego nie robiłam i musiałam się tego nauczyć. Choćby tego, by być czujna i sprawdzać, czy nikt mnie nie śledzi, czy nie mam ogona. Wszystkiego nauczył mnie Roman.

Poznając Romka wiedziałam w jak niebezpieczną znajomość wchodzę. Co ciekawe jednak – ja przy nim, zresztą nie tylko ja, czuliśmy się najbezpieczniej w świecie. Naprawdę! Romek miał oczy naokoło głowy. Zawsze trzymał w zanadrzu drugie wyjście. Był przewidujący i jakby cały czas krok dalej przed tymi, którzy bardzo by chcieli nas znaleźć i zamknąć. Nawet jeśli chodzi o jego działania związane z konstruowaniem bomb. Można powiedzieć, że Roman to taki wybuchowy chłopak. Wiele razy przynosił do mnie różne elementy do składania tych bomb. Prosił wtedy o to, bym dobrze je ukryła. Nie znam się na broni, ale już np. pistolet potrafię odróżnić, a Roman co rusz coś takiego przynosił. Jakiś pistolet, jeden, potem drugi. Ja to chowałam do kanapy...

W pewnym momencie, choć nie było to od razu, Romek zapytał mnie, czy jestem gotowa na złożenie przysięgi jako członek „Solidarności Walczącej". Osoby wstępujące do organizacji składały tę przysięgę w obecności dwóch jej zaprzysiężonych członków. Odbywało się to, mimo konspiracyjnych warunków, w uroczysty sposób. „Solidarność Walcząca" była jedyną organizacją podziemną stosującą przysięgę i przytoczę tu jej treść.

Wobec Boga i Ojczyzny przysięgam walczyć o wolną i niepodległą Rzeczpospolitą Solidarną, poświęcać swe siły, czas – a jeśli zajdzie potrzeba – swe życie dla zbudowania takiej Polski. Przysięgam walczyć o solidarność między ludźmi i narodami. Przysięgam rozwijać idee naszego Ruchu, nie zdradzić go i sumiennie spełniać powierzone mi w nim zadania.

Złożenie przysięgi „Solidarności Walczącej" wobec Boga i Ojczyzny to był jeden z najważniejszych momentów w moim życiu. Zobowiązałam się walczyć o wolną i niepodległą Rzeczpospolitą Solidarną, poświęcić swój czas, siły, a nawet swoje życie.

Dziś myślę, że słowa tej przysięgi, to jest to cały czas dla nas bardzo mocne przeżycie. Przysięgę składałam przy Romku i Jerzym, a wciąż wydaje mi się jakby to miało miejsce kilka chwil temu. Złożenie tej przysięgi uświadomiło mi, jak ważne jest to, co robimy. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że była to taka wisienka na torcie, takie ukoronowanie mojego zaangażowania i poświęcenia dla sprawy.

Jednym z moich pierwszych zadań było spotkanie z Gwiazdami. Miałam przekazać i odebrać informacje. Roman poinstruował mnie wcześniej, jak mam się zachować, co i jak mówić, biorąc pod uwagę, że ich mieszkanie jest na podsłuchu. Szłam tam, jako dawna znajoma znajomego, a tematem rozmowy miała być przysłowiowa pogoda. Miałam się przedstawić: „Jestem Jolka, przyszłam od Jacka". Oni wiedzieli od kogo jestem. Rozmawialiśmy o nieistotnych sprawach, a ważne informacje w myśl zasad konspiracji pisane były

na karteczkach, które Andrzej na bieżąco niszczył. Wydawało mi się, że ta rozmowa była krótka. Myliłam się. Jak wróciłam do samochodu zaparkowanego daleko od domu Gwiazdów, ujrzałam pełną napięcia twarz Romka. Czekał na informację zwrotną. Moje spotkanie miało trwać kilka minut, a nie było mnie w sumie półtorej godziny. Nie dziwię się więc nerwom Romka, który dopuszczał różne myśli do siebie, z aresztowaniem włącznie. Jednak nie zniechęciło go to do dalszego angażowania mnie w działania podziemia i „Solidarności Walczącej".

Zdarzały się także śmieszne sytuacje. Byliśmy raz u Teresy Komorowskiej na Płycie Redłowskiej, gdzie jeszcze przed aresztowaniem Roman przygotowywał materiały wybuchowe do bomby, którą konstruował. Poszliśmy, żeby odnowić kontakt, bo Teresa też była członkiem „Solidarności Walczącej". I współpraca znów nabrała podziemnego tempa. Któregoś razu będąc u niej zorientowaliśmy się, że esbecja przeprowadza jakąś akcję w bliskiej okolicy. Wyglądało ma to, że namierzają nas albo mieszkanie, do którego weszliśmy. Roman miał skaner w ręku, słuchawkę do nasłuchiwania rozmów milicji w uchu. Słychać było w tym momencie radiostacje ubeckie nawet o bardzo małej mocy,. Świadczyło to o tym, że coś zaczyna się dziać bardzo blisko miejsca, w którym byliśmy.

– Idź odpal samochód, a ja, jak będzie spokój w eterze, to za trzy, cztery minuty wyjdę i od razu ruszymy – poprosił Roman.

Chodziło o to, że jeśli to nas ubecja namierzała, to moje wyjście i uruchomienie auta powinno spowodować wzmożoną wymianę informacji między esbekami. Miało to na chwilę odciągnąć ich uwagę od mieszkania, a wówczas Roman miałby jakąś szansę na ucieczkę. Jak doszłam do samochodu, to z tych nerwów, nie mogłam otworzyć zamka. Nie wiem co we mnie wstąpiło, ale jak sparaliżowana nie mogłam trafić kluczykiem do zamka i tak stałam i stałam przy samochodzie aż nadszedł Romek. W takim tempie raczej nie udałoby się nam uciec przed obławą. Na szczęście okazało się, że był to fałszywy alarm.

Mieliśmy jeden nieuruchomiony offset, który był przechowywany na Olszynce. Mieszkałam wtedy na strychu w trzykondygnacyjnym domku na Meksyku w Chyloni. Pode mną było jedno wolne mieszkanie. Roman wymyślił, że ja mam ten offset przetransportować z Gdańska do tego właśnie mieszkania, które będzie najlepszym lokalem na drukarnię. Przystąpiliśmy więc do realizacji planu. I razem z Jerzym Kanikułą pojechaliśmy po sprzęt. Zapakowaliśmy do auta i wracaliśmy do Gdyni obwodnicą. Jedziemy, jest wesoło i w pewnym momencie zapytałam, co będzie jak nas zatrzyma milicja. Co ja mam powiedzieć? A kontrole były wtedy dość często. A on do mnie, że mam powiedzieć, iż po prostu wiozę pralkę. Przewożąc ten offset zdawaliśmy sobie sprawę z tego, czym to może grozić. Mimo tego, że wszystko się udało i pełni humoru przewieźliśmy maszynę z Gdańska do Gdyni, to na drugi dzień poczułam ciężar tego działania. Bolały mnie wszystkie mięśnie. Nie był to taki ból fizyczny jak po przedźwiganiu się czy przepracowaniu. To był ból fizyczny powstały na skutek nadmiernego obciążenia psychicznego i kurczowego trzymania kierownicy podczas jazdy.

Potem musiałam przywieźć Zygmunta Sabatowskiego, najlepszego specjalistę od sprzętu drukarskiego, do drukarni mieszczącej się pod moim mieszkaniem, bo okazało się, że offset, który przywiozłam z Olszynki nie działa. Naj-

ważniejsze w tym zadaniu było to, że musiałam zataić fakt, iż jest to drukarnia „Solidarności Walczącej". Udało się, przywiozłam go i naprawił, ale nie wiem, czy nie domyślał się czyj to sprzęt.

Braliśmy też udział w budowaniu i wydawaniu „Poza układem". Był to pomysł Joanny i Andrzeja Gwiazdów. Dla nas, dla „Solidarności Walczącej" stanowiło to duże wyzwanie ze względu na to, że był to miesięcznik o dużej objętości, od kilkunastu do kilkudziesięciu stron. Nasza prasa, na bieżąco drukowana, miała najczęściej objętość czterech stron. Wymagało to więc dużego nakładu pracy. Drukiem „Poza układem" zajęliśmy się od trzeciego numeru. Drukowaliśmy to pismo aż do oficjalnego zakończenia działalności „Solidarności Walczącej", a więc do lipca 1990 roku.

Żeby wydrukować, trzeba było zrobić wcześniej makietę, czyli na „czysto" spisany i poukładany na kartkach tekst w formie umożliwiającej dalsze fotograficzne przygotowanie matryc do druku. Dzisiaj w dobie komputerów tekst sam się układa, równa marginesy na stronie, tworzy akapity i tak dalej. A wówczas wszystko robiłam „ręcznie". Pisałam na maszynie licząc poszczególne litery, tak by wyrównać tekst po prawej stronie kartki, aby cały przekazany mi materiał, często w formie odręcznych notatek, zmieścił się w numerze. Wszystko musiało wyglądać jak najbardziej profesjonalnie. Siedziałyśmy nocami, najczęściej z Ewą Kalisz i składałyśmy.

Z Meksyku przenieśliśmy się na Psią Górkę na Małym Kacku, do takiego małego domku z garażem. Garaż był dosyć długi i z tego względu Romek wymyślił, że to doskonałe miejsce na drukarnię. Z przodu miał stać samochód, potem ściana, a za nią drukarnia. Na ścianie wiszące narzędzia, zapasowe części, czyli pełny kamuflaż. Ta drukarnia pracowała do samego końca konspiracyjnej działalności, a więc jak dla nas, ludzi z „Solidarności Walczącej", do lipca 1990 roku. Drukowali w tej drukarni Jerzy Kanikuła, Jacek Parzych i Piotr Komorowski. Powstawały tam również książki sygnowane nazwą Wydawnictwa Solidarności Walczącej „Petit", wydawane w drugim obiegu.

Nazywałam je tortami ze względu na papier, z którym cały czas były ogromne trudności. Ciężko było zapewnić papier na potrzeby druku gazetek czy ulotek składających się z pojedynczych kartek, a wiadomo ile potrzeba było papieru na wydanie książki. Pamiętać przy tym należy, że taka książka też miała swój nie mały nakład. Papier zdobywało się na różne sposoby, bardzo często przepłacając, ponieważ oficjalne kanały zakupu były dla nas niedostępne.

Jako wydawnictwo „Petit" wydaliśmy 17 tytułów, m.in. „Dziennik pisany nocą" Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i „Sowietyzacja LWP", które były jednymi z pierwszych naszych wydawnictw. Później doszły „Zaciskanie pięści, czyli rzecz o Solidarności Walczącej" Alfreda Znamierowskiego, „Akwarium" Wiktora Suworowa, „Narodowe Siły Zbrojne" Siemaszki i pięćsetny numer paryskiej „Kultury".

Z tą „Kulturą" wiąże się ciekawa historia. Nie mieliśmy wtedy kleju introligatorskiego, który pozwoliłby na scalenie kilkuset kartek więc Romek wymyślił, że trzeba zbijać gwoździami. Tak też robiliśmy. Każdy egzemplarz zbijany był 2 gwoździami, które po przejściu na drugą stronę były podwójnie zaginane i wbijane młotkiem z powrotem. Okładka była przyklejana na wierzch. Było to

świetne rozwiązanie. Książka nie rozsypywała się. Potem Edek Frankiewicz, pracujący w Stoczni, załatwiał nam klej całymi hobokami.

Do składania wydrukowanych egzemplarzy angażowałam często mamę i siostrę, a niektóre pozycje miały po 400 stron. Po przycięciu i sprawdzeniu, czy kolejność stron się zgadza, trzeba było włożyć w okładkę, posklejać. Do dziś pamiętam, jak moja mama siedziała i smarowała klejem grzbiety i wciskała w okładki mówiąc do mnie:

– No zobacz! Potrzebny jest nawet ten, co smaruje.

Nie mieliśmy żadnych maszyn introligatorskich, wszystko było robione ręcznie. Takich osób, które nie złożyły przysięgi SW, ale były sympatykami i wspierały nas w działaniu, było sporo. Przy składaniu książek jednocześnie pracowało kilkanaście osób. Oczywiście w różnych miejscach i do tych miejsc, najczęściej ja dowoziłam zadrukowane pojedyncze kartki książek i odbierałam poukładane w tzw. „składki", czyli ułożone już w odpowiedniej kolejności w kawałek książki. Z tych kawałków po kolejnym składaniu powstawała cała książka.

Pamiętam jak organizowałam spotkanie Ani Walentynowicz z Jadzią Chmielowską, która tak jak Romek, była poszukiwana listem gończym, tyle że rok krócej, bo do 1990 roku. Spotkanie odbyło się w domu moich rodziców, na początku 1989 roku. Wtedy nie robiło się tego na zasadzie zadzwonienia i powiedzenia: – Słuchaj Aniu, przyjedź. – To była praca wymagająca ogromnej logistyki. Trzeba było znaleźć taki lokal, z którego były co najmniej dwa niezależne wyjścia. Dom moich rodziców spełniał ten warunek. Główne wejście było od strony Warszawskiej, a przez podwórko można było dostać się na Śląską. Potem przekazywanie informacji przez kurierów, zorganizowanie bezpiecznych samochodów, przewiezienie Ani jakimiś lasami, kluczenie po mieście. Wymienianie się kierowców. Raz jechałam ja, raz Jurek Kanikuła, tak żeby pogubić ogony. Przecież Ania Walentynowicz też cały czas była obserwowana. Dziś kiedy mówię – organizuję spotkanie, każdy myśli o szybkim telefonicznym kontakcie. Wtedy to tak nie działało. W każdej chwili mogliśmy zostać aresztowani. Władza miała na nas oko i inwigilacja odbywała się na każdym kroku. Takie spotkania musiały być skrupulatnie zaplanowane.

Przypomnę tu, że służba bezpieczeństwa tropiła nas jeszcze po „okrągłym stole". Z pewnością miała na to wpływ nasza postawa, czyli niewyrażenie zgody na udział w rozmowach przy okrągłym stole oraz wydarzenia, które miały miejsce kilka lat wcześniej. Władza bała się. Przecież po zamordowaniu ks. Jerzego Popiełuszki, Romek razem z Andrzejem Kołodziejem doszli do wniosku, że trzeba pokazać władzy, że jeżeli będą kolejne akty zbrodni, to my również będziemy reagować i odpowiemy siłą. Romek wcześniej dostał z zagranicy instrukcję zrobienia ładunku wybuchowego, najprostszym, wręcz domowym sposobem. Uzbrojony w odpowiednią wiedzę Roman przystąpił do pracy. Przygotowywał to u Teresy Komorowskiej na Płycie Redłowskiej i dokonał wtedy wielu prób. Zniszczył jej całą wannę eksperymentując z różnymi kwasami i środkami, których połączenie miało w efekcie dać eksplozję.

Stoczniowcy z podziemia zrobili specjalne korpusy, w których umieszczało się taki ładunek wybuchowy. Roman szedł z tym do lasu i tam dokonywał próbnych odpaleń. Kiedy już był gotowy, należało znaleźć odpowiedni cel.

Pierwsza myśl była taka, żeby ten ładunek podłożyć pod Komitet Wojewódzki PZPR w Gdańsku. Jednak Romek zrezygnował z tego z powodu bliskości ciągu komunikacyjnego, z którego korzysta bardzo wielu mieszkańców, co stwarzałoby zagrożenie niebezpieczeństwa dla przypadkowych osób. Nikt nie chciał krzywdzić ludzi i chodziło o to, żeby dać sygnał komunistom: – Będziecie mordować – my mamy środki, aby się bronić.

Wtedy Romek doszedł do wniosku, że najlepszym celem będzie Komitet Miejski PZPR w Gdyni, dziś to siedziba ZUS przy ul. Władysława IV. Tam nie było zagrożenia dla postronnych osób. Budynek położony jest w znacznej odległości od ulicy, bo odsunięty od niej jakieś trzydzieści metrów, a w nocy nikt tamtędy nie przechodził. 27 lutego 1987 roku około godziny 21 Roman zainstalował przy drzwiach wejściowych ładunek wybuchowy z mechanizmem zegarowym. Oddalił się. Zegar był ustawiony na 30 minut i mechanizm zadziałał. Wyleciały wszystkie szyby w komitecie.

Po tym zdarzeniu cały aparat milicyjny i Służby Bezpieczeństwa zostały postawione w stan gotowości bojowej. W nocy na szybko ściągano z całego miasta szklarzy, żeby wstawili nowe okna. Chodziło o to, by jak najszybciej zatuszować całą sprawę. Z uzyskanych później dokumentów dowiedzieliśmy się, że jeden odłamek przeleciał na druga stronę ulicy i wbił się w ścianę w bloku naprzeciwko. Na szczęście nikt nie ucierpiał. To musiało bardzo zaboleć i przestraszyć komunistów, bo tak błyskawicznie to tuszowano. Być może obawiali się naśladowców. Po tym zdarzeniu nie ukazała się chyba żadna oficjalna informacja, ale rozpoczęto śledztwo na szeroką skalę. SBecja zrobiła w ciągu dwóch dni rewizje w kilkuset mieszkaniach w Trójmieście. Nic nie znaleźli…

Romek został aresztowany po dwóch miesiącach. Wpadł, bo miał odebrać kolejny materiał wybuchowy. Kiedy wysiadł z samochodu od razu powalono go na „glebę" i wokół niego pojawiło się wielu esbeków. Potem okazało się, że to spotkanie było prowokacją, ustawioną po to, by go zatrzymać. I takie sytuacje zdarzały się w podziemiu. Potem siedział bez wyroku rok i osiem miesięcy. Na wolność wyszedł w październiku 1988 roku. Już po strajkach sierpniowych, które stały się asumptem do okrągłego stołu.

Jeszcze w 1988 i 1989 roku wspólnie z Romkiem nadawałam audycję radia „Solidarność Walcząca". Pamiętam jak pierwszym razem przyjechał do mnie na Meksyk i powiedział, że wieczorem pojedziemy nadawać audycję radiową. Miałam volkswagena garbusa. No ale do uruchomienia nadajnika potrzebny był prąd i wykorzystywało się do tego akumulator samochodowy. Romek zapytał mnie gdzie w moim aucie jest umieszczony akumulator. Nie miałam zielonego pojęcia. Rozpoczęły się poszukiwania, które trwały bardzo długo. Już prawie zrezygnowany zajrzał pod tylną kanapę i dopiero tam go znalazł. Podłączył nadajnik, a antenę umocował na półce za tylnym siedzeniem.

Pojechaliśmy na Brodwino do Sopotu. Konkretnie do lasu nad osiedlem. Roman znał te tereny bardzo dobrze, bo miał tam wydeptanych wiele ścieżek, choćby dlatego, że ukrywał się wcześniej u Zosi Pawłowskiej w Sopocie Kamiennym Potoku. Zatrzymaliśmy się na wzgórzu skąd było widać całe osiedle i Roman włączył nadajnik. Fale radiowe naszej audycji wchodziły na sygnał telewizyjnej jedynki zagłuszając oficjalny dźwięk. Na zakończenie audycji w eter

poszła prośba, by osoby, które nas odbierają gasiły i zapalały światło w domach. Było już dość ciemno, więc powinno to dać efekt. Myślałam, że to się nie uda, nic się nie zadzieje. A tu jak choinka na święta, światła gasną i zapalają się w wielu wieżowcach na Brodwinie! Efekt wspaniały i duża satysfakcja. Było to ważne, bo dzięki naszym audycjom mieszkańcy otrzymywali wiedzę, że są ludzie, którzy coś robią i nadal walczą o wolną Polskę. Przypominaliśmy im, że „Solidarność Walcząca" nadal istnieje i działa. O nas mówiło się mało. Byli tacy, którzy woleliby byśmy w ogóle przestali istnieć. A tu nagle audycja i słowa: – Tu radio „Solidarność Walcząca" oddział Trójmiasto... Zależało nam, by podtrzymać w ludziach nadzieję i motywować do oporu.

Jednym z działań „Solidarności Walczącej" było organizowanie manifestacji, np. pod pomnikiem Jana III Sobieskiego w Gdańsku. Któregoś razu Romek wymyślił, że przydałby się pochodnie, by osiągnąć spektakularny efekt. Oczywiście pomysł spodobał się nam i przystąpiliśmy do realizacji, która zresztą okazała się nie taka prosta. W sklepach z artykułami gospodarstwa domowego kupowaliśmy trzonki do siekier, mioteł i młotków. Kupowanie tych trzonków wymagało odpowiedniej logistyki. Dokonanie dużego zakupu w jednym sklepie nie wchodziło w grę. Było za bardzo podejrzane i rodziła się obawa, że ktoś z personelu doniesie. Kupowałam więc tu dwa, tam trzy... aż skompletowaliśmy odpowiednią ilość. Owijaliśmy je szmatami i drutem, a potem całą noc moczyły się w jakiejś benzynie czy nafcie. W każdym razie mocno to śmierdziało, no ale musiały być dobrze nasączone.

W dniu manifestacji zapakowaliśmy to w karton po telewizorze i z małą córeczką pojechaliśmy do Gdańska. Romek miał okulary i nieodłączną słuchawka w uchu.

– Nie dość, że ślepy, to i głuchy – śmiali się z niego znajomi.

Od tych pochodni zapanował w samochodzie niesamowity smród, więc jak dotarliśmy na miejsce, to od razu rozdaliśmy je umówionym osobom. Jak tylko zaczęła się manifestacja pochodnie zostały zapalone. My jednak obserwowaliśmy to z daleka, ale Roman nie wytrzymał i stwierdził, że musi to zobaczyć z bliska. Wziął dwuletnią Martusię na ręce i poszedł. Ja oczywiście razem z nimi. Efekt był niesamowity. Ta akcja dodała nam wszystkim wielkiego ducha. Szybko rozniosło się to po Trójmieście.

Przez takie właśnie akcje na manifestacje przychodziło coraz więcej ludzi. Wtedy utwierdzaliśmy się w przekonaniu, że warto, nawet jeśli jest to nielegalne i niebezpieczne. W takich chwilach można było przekonać się na własne oczy, że nadal jest w nas solidarność, ta ludzka solidarność, która powoduje, że chce nam się walczyć o wolną Polskę.

Wspomniałam o tym, że służby bezpieczeństwa tropiły nas jeszcze po okrągłym stole, na co wpływ miała nasza postawa. Milicja i ubecja wiedziały kim jest Romek, doskonale znały jego podejście do „socjalizmu" i zaangażowanie w działanie. Zaś działacze związani z podziemiem solidarnościowym skupieni wokół Wałęsy zaczęli już dogadywać się z komunistami i nie chciano, by na wolności przebywali ludzie przeciwni tym rozmowom, tacy, którzy mogli stanowić realne zagrożenie. Z tego względu deportowano przecież pół roku wcześniej, w kwietniu 1988 roku Kornela Morawieckiego i Andrzeja Kołodzieja,

a za Romanem wystawiono, po 2 miesiącach od wypuszczenia z więzienia, ponownie list gończy.

Tacy ludzie jak Roman musieli po prostu zniknąć z „wolności", by nie przeszkadzać ludziom Wałęsy w dogadywaniu się z komunistami. Znamienne jest, że poszukiwania trwały aż do 1991 roku, a list gończy został uchylony dopiero za czasów rządów drugiego, tzw. solidarnościowego premiera, Jana Krzysztofa Bieleckiego, czyli dwa lata po czerwcowych wyborach. Potem z dokumentów dowiedzieliśmy się, że to nie był list zapomniany. Co trzy miesiące szło w służbach zapytanie, co się dzieje z poszukiwanym Romanem Zwiercanem. Ostatnie zapytanie i odpowiedź poszły na kilka dni przed decyzją o wycofaniu listów gończych w kwietniu 1991 roku.

„Solidarność Walcząca" wiedziała i twardo trzymała się tego, że nie możemy usiąść z komunistami przy jednym stole. Wiedzieliśmy o tajnych rozmowach w Magdalence. Nie znaliśmy wszystkich szczegółów, ale jasne było, że komuniści dogadali się za plecami społeczeństwa z kilkoma swoimi agentami, wylansowanymi na przywódców opozycji, a ci oszukali i przekonali do rozmów przy okrągłym stole uczciwych działaczy. My chcieliśmy pozbawić komunistów władzy beż żadnych warunków, bez gwarancji bezkarności za popełnione zbrodnie, a tym bardziej, beż żadnych profitów. Można powiedzieć, że były to marzenia, bo nie wiedzieliśmy, kiedy i czy w ogóle one się spełnią. Dotyczyło to również wyprowadzenia z Polski wojsk sowieckich.

Mówili o nas, że jesteśmy oszołomy... My jednak wierzyliśmy w to, że Polska może być wolna, że musi nadejść odpowiedni moment. Bojkotowaliśmy to dogadywanie się Wałęsy i jego popleczników z komunistami. Kornel Morawiecki nie usiadł do rozmów przy okrągłym stole. Byliśmy chyba jedyną organizacją, która jako całość nie usiadła do rozmów. Inne radykalne organizacje jak, chociażby Federacja Młodzieży Walczącej zostały przez okrągły stół podzielone. Byli w nich działacze biorący udział w układzie okrągłostołowym i tacy co byli przeciw.

Nie można tu zapominać, że w jego efekcie komuniści zamienili władzę polityczną, którą i tak by stracili, na władzę ekonomiczną. Okrągły stół uwłaszczył poprzedni system i dał pieniądze wszystkich Polaków wąskiej grupie, która przez dziesięciolecia służyła obcemu mocarstwu, czyli sowietom. Okrągły stół dał gwarancje bezpieczeństwa zbrodniarzom komunistycznym. Tym, którzy wydawali rozkazy i strzelali do robotników w Poznaniu '56 roku, na Wybrzeżu '70, Radomiu '76 i podczas stanu wojennego. Dał gwarancje bezpieczeństwa bezkarności tym, co mordowali, katowali i prześladowali przez cały okres istnienia PRL-u. To była gwarancja dla Kiszczaka, Jaruzelskiego i ich ekipy.

Do dzisiaj wszyscy ponosimy konsekwencje tego układu. Ja nadal jeszcze nie czuję, żebyśmy żyli w wolnej, niepodległej i suwerennej Polsce! W takiej, o jakiej marzyłam mając 12 lat, kiedy zetknęłam się z przemocą wobec protestujących stoczniowców w Grudniu '70 i zmywając naczynia w kuchni uczyłam się piosenki „Jadą wozy ciężarowe z gliniarzami..."

Z drugiej strony okrągły stół dał nadzieję i dzięki temu odbyło się bez rozlewu krwi. Wtedy były inne realia. Nikt z nas nie myślał, że za trzydzieści lat będziemy o tym opowiadać i nic nam za to nie będzie groziło.

Janina Żabkiewicz

uczestniczka wydarzeń Grudnia 1970 w Gdyni, ranna. Fryzjerka. Córka chrzestna porucznika Piotra Hulewicz ps. „Jastrząb". Członek Stowarzyszenia Rodzin Ofiar „Grudzień 70".

W 1970 roku pracowałam w zakładzie fryzjerskim na Płycie Redłowskiej. Mieszkałam przy ul. Abrahama. Po grudniowych podwyżkach czuło się ogromne niezadowolenie, sama też nie miałam z czego się cieszyć. Zbliża się Boże Narodzenie, a Gomułka ceny podnosi! No jak tu się nie zdenerwować? Ludzie zaczęli mówić o tym coraz głośniej. Napięcie rosło. Ten przedświąteczny okres stał się bardzo nerwowy.

Moja siostra i szwagier pracowali w Radmorze. Miałam wiadomości, że będzie jakiś manifest, strajk. Czuło się napięcie na ulicach, a w zakładzie pracy też mówiono o tym manifeście. Ludzie byli wzburzeni podwyżkami, a miały to być solidne podwyżki. Poza tym w sklepach już zaczęło brakować produktów. 16 grudnia zadzwoniła do mnie siostra, bo w Radmorze już coś się działo. Ostrzegła i powiedziała, żebym w żadnym wypadku nie wychodziła do pracy.

– Jolu, przecież mam klucze od zakładu pracy. Przyjdą ludzie. Pójdę, bo muszę otworzyć zakład – odpowiedziałam jej.

A wieczorem, chyba o godzinie dwudziestej, wystąpił w telewizji Stanisław Kociołek. Powiedział, że wszyscy mamy normalnie iść rano do pracy, bo będzie spokojnie i wszystko będzie dobrze.

Następnego dnia, koło siódmej, wyszłam z domu na Abrahama, doszłam do 10 Lutego. Tam na rogu 10 Lutego i Świętojańskiej stał już tłum. Dołączyłam do tego tłumu i spotkałam kolegów mojego brata. Brat pracował wcześniej w Stoczni im. Komuny Paryskiej i zginął w wypadku w stoczni. W tłumie byli właśnie jego koledzy, którzy przychodzili do nas do domu. Przychodzili też do mojego zakładu, bo ich strzygłam. Pamiętam, że lubili do mnie przychodzić. Zapytałam, co się dzieje i dowiedziałam się, że tak właściwie, to stoję na końcu, że tak powiem, orszaku pogrzebowego.

– Słuchaj, była strzelanina na pomoście. Niesiemy zabitego robotnika. Idziemy z nim pod Miejską Radę – usłyszałam.

– Dobra, to idę z wami – i dołączyłam do tłumu.

Koledzy niosąc tego chłopaka wymieniali się, więc stopniowo przechodziłam coraz bliżej do przodu. Po latach dowiedziałam się, że ten, którego nieśli na drzwiach nazywał się Zbyszek Godlewski. W balladzie jest „Janek Wiśniewski padł", a to był Godlewski. Szliśmy ulicą Świętojańską i po drodze za-

trzymywali nas zomowcy wychodzący z bocznych uliczek. Pamiętam gaz łzawiący, strzały... Zatrzymywaliśmy się wiele razy i dalej, dalej. Chwilę postaliśmy i do przodu, do przodu.

– Czapki z głów! – krzyknął w pewnym momencie jeden z kolegów.

Wszyscy uważali, że jeżeli idzie się za zastrzelonym, trzeba zdjąć czapkę. Ten kolega jest nawet na tym słynnym zdjęciu, na którym niosą tego zabitego. On tak troszeczkę nami wtedy dyrygował w tym sensie, że mówił: – Uwaga, stajemy! Trochę się cofnijcie, bo zaraz zablokują nam drogę. Szliśmy, a na ścianach były napisy: „Suche bułki dla Gomułki". Ludzie wyglądali przez okna i stali na balkonach. Wciąż z przerwami organizowanymi nam przez zomowców, brnęliśmy uparcie do przodu. Próby zatrzymania i rozpraszania nas, a my do przodu. Mniej więcej przed dwunastą doszliśmy do Miejskiej Rady i stanęliśmy na placu. Stanęliśmy wszyscy, cały tłum, przy Miejskiej Radzie. Drzwi ze Zbyszkiem Godlewskim położono przed Miejską Radą Narodową, a potem śpiewaliśmy pieśni i czekaliśmy, że wyjdzie delegacja i powie, czy będą cofnięte podwyżki, jak ze strajkami i w ogóle. Niestety nikt do nas nie wyszedł.

W pewnym momencie usłyszałam w górze huk, podniosłam głowę, spojrzałam, a tam helikopter. Ktoś otworzył drzwi i zaczął coś wyrzucać. Rzucał gazy łzawiące w tłum. Dostrzegłam jeszcze, że z przodu miał zawieszoną broń. Zaczęły lecieć nam łzy i ludzie rzucili się do ucieczki. Zrobił się chaos i część się poprzewracała. Zostawiliśmy tego zabitego chłopaka na drzwiach i rozpierzchliśmy się, gdzie kto mógł. Ja oczywiście przewróciłam się i dostałam pałą po plecach. Zomowcy wybiegli z ul. Bema i chcieli nas odsunąć na Świętojańską i dalej na Władysława IV. Dobiegłam na drugą stronę Świętojańskiej, a tam przy aptece jest brama, którą można było przejść na Władysława IV. W tamtych chwilach byłam tak ogłuszona, że nawet nie wiedziałam, gdzie jestem, ale w końcu zorientowałam się i przeleciałam przez tę bramę na podwórko i dalej na ulicę Władysława IV, gdzie w bloku na szóstym piętrze mieszkali moi rodzice. Ktoś za mną biegł. Po drodze krzyczałam, bo byłam pokaleczona i leciała mi krew. Jacyś ludzie powychodzili z mieszkań i patrzyli.

– Nie wychodźcie, bo strzelają! – krzyczałam do nich, a oni patrzyli i nie wiedzieli, o czym mówię.

Przyszłam do rodziców i zostałam tam kilka godzin. Widziałam wszystko, co się działo na Władysława IV. Widziałam, jak dwudziestoletni student Waldemar Zajczonko dostał kulę prosto w pierś. Widzę go codziennie. Jako jeden jedyny był w kożuchu. Młodzi stali dalej, a on przeszedł kilka metrów do przodu. Zomowiec wyjął broń i strzelił mu prosto w pierś. Chłopak umarł w drgawkach. Dosłownie na moich oczach. Przerażające! Do tej pory jak zamknę oczy, to go widzę. Ci młodzi mieli trochę kamieni wziętych z torów. Rzucili się na tych zomowców i odsunęli ich aż do małej stacyjki, która tam była. Podjechała karetka i zabrała tego studenta.

Było tam jeszcze kilka innych, takich drastycznych i strasznych sytuacji. Nie mogę zapomnieć tego momentu, jak przy torach został jeden pan o kulach. Młodzi przeskoczyli przez tory i uciekli do lasu. Ten pan został i z tymi kulami chciał przejść przez betonowy murek, który stoi trochę dalej przy torach. Niestety nie dał rady. Nie zdążył! Dopadło go chyba pięciu zomowców i lali go

pałami. Tak bardzo go bili. Moja mama krzyczała, ja krzyczałam... Koszmar! Nie mogę tego zapomnieć.

W ten Czarny Czwartek, jeszcze jak byłam w domu u rodziców, w pewnym momencie zrobił się szum. Zobaczyłam przez judasza trzech panów. Dwóch chyba uciekło na dach, a trzech stanęło w korytarzu na szóstym piętrze. Wyleciałam i mówię:

– Chodźcie tu, do mieszkania!

Zamknęłam szybko drzwi i patrzyłam przez judasza, jak zomowcy lecieli za nimi na to szóste piętro. Nie złapali ich, bo umyli ręce, a trzeba było właśnie pokazać ręce. Jeżeli ktoś miał brudne, to od razu go do Miejskiej Rady. Oni się uratowali. Jeden z nich był taksówkarzem. Usłyszał adres mojego mieszkania i kiedy później w Sylwestra zamawiałam taksówkę od rodziców, specjalnie przyjechał i odwiózł mnie na Witomino, na Bursztynową. Wspominaliśmy sobie tamten dzień. On wcześniej był stoczniowcem. Wyrzucili go ze stoczni i został taksówkarzem. Niestety kontakt z nim się urwał. Do tej pory go szukam, bo chciałabym z nim porozmawiać. Szukałam nawet przez korporację i nie mogłam znaleźć. Kiedyś chciałam nawet dać ogłoszenie do „Panoramy", ale zażyczyli sobie pięćset złotych, a wtedy nie było mnie na to stać.

Tego dnia na własne oczy widziałam jak zomowcy złapali chłopca. Pokazał brudne ręce, a oni targali go za włosy i ciągnęli do Miejskiej Rady. Moja mamcia otworzyła okno, złapała taki wielki kryształowy wazon i chciała rzucić w tego zomowca. Ten taksówkarz, którego szukałam, mógłby opowiedzieć, jak to było.

– Niech pani tego nie robi, bo przyjdą i nas tutaj wystrzelają – poprosił wtedy.

Później, po latach, mama zabrała ten kryształowy wazon i zawiozła go w swoje rodzinne strony do Wieruszowa, do kościoła. Stoi tam do tej pory.

Po Grudniu panowała na ulicach straszna atmosfera. Wszyscy byli smutni. Nie było zaufania, żeby rozmawiać, coś mówić. Dopiero po trzydziestu latach przypomniałam sobie, jaką drogą wróciłam wtedy do mieszkania na Abrahama. Byłam już wtedy mężatką i miałam trzyletnią córkę, więc musiałam dostać się do domu.

Następnego dnia poszłam do szpitala, ponieważ byłam poturbowana i potrzebowałam zwolnienia lekarskiego. Najpierw wyszła pielęgniarka, potem lekarz. Popatrzyłam po korytarzu i pomyślałam, że jakoś tak dziwnie w tym szpitalu. Po korytarzu chodzili panowie w ciemnych płaszczach. Normalnie przecież zorientowałbym się, o co chodzi, ale wtedy to do mnie nie docierało. Lekarz zapytał, co mi jest. Powiedziałam, że byłam przy Miejskiej Radzie. Popatrzył na mnie i pokazał, że mam być cicho. Wziął mnie na bok i mówi:

– Niech pani nic o tym nie wspomina. Nic nie mówi o tym, że była pani przy Miejskiej Radzie, bo tutaj chodzą po szpitalu i zabierają lekko rannych. Proszę iść do domu.

Pracowałam wcześniej w dużym zakładzie fryzjerskim na Placu Kaszubskim, przy rogu Świętojańskiej, po drodze do Dalmoru. Chodziłam wtedy nieraz w białym fartuchu do szpitala i stąd wiedziałam, że jest drugie wyjście na po-

dwórko i zaraz na Abrahama. Szybciutko przeleciałam i do domu! Nie dostałam zwolnienia. Miałam przecież nic nie mówić i nie przyznawać się, że byłam przy Miejskiej Radzie. Przez dwa dni w ogóle nie byłam w pracy, ale nikt o nic nie pytał. Nie wiem, na jakiej zasadzie, w każdym razie było to usprawiedliwione i w tamtym momencie nie miałam żadnych problemów. Kierownik i moje koleżanki z najbliższego otoczenia wiedzieli. Oczywiście nie te koleżanki, które były w partii, a wiedziałyśmy, które to są.

Po 1970 roku zdałam egzamin mistrzowski w Gdańsku i zaproponowano mi objęcie kierowniczego stanowiska. Miałam zostać kierowniczką zakładu na Świętojańskiej, przy kinie Warszawa. Był jednak jeden warunek. Wiadomo jaki. Musiałam zapisać się do partii. Wezwał mnie prezes Fryzjersko-Kosmetycznej Spółdzielni Pracy i przez biurko podał deklarację do podpisania. Siedzę tam i tak się nie pocę, tak byłam cała mokra.

– Nie, panie prezesie. Ja się do partii nie zapiszę, bo u nas w rodzinie nikt nigdy nie był w żadnej partii i ja też nie będę. Absolutnie nie – powiedziałam wreszcie.

– A zdaje sobie pani sprawę z tego, jakie to będą dla pani konsekwencje? – zapytał stanowczo.

– Nie wiem. Przecież jestem dobrą fryzjerką, więc nie sądzę, żeby były – odrzekłam.

– To się jeszcze okaże! – posumował. I okazało się bardzo szybko.

Od tamtej pory był dla mnie osobistym wrogiem. Tak mnie nienawidził, że zabronił sekretarce wpuszczać mnie do biura. Pewnie uraziło go to, że odmówiłam. Myślał, że wezmę i podpiszę. Wiem, że w zakładzie, w którym pracowałam, trwały wtedy zakłady, czy zapiszę się, czy nie. Przychodzę. Wszyscy na mnie patrzą. Cisza. Kierownik podchodzi:

– No i co, zapisałaś się?

– Nie. Nie zapisałam się.

– Niemożliwe!

I jeszcze nawet zadzwonił, żeby się upewnić. Później rzeczywiście zaczęły się szykany. Chcieli mnie wysłać do małego zakładu. Byle chorobowe, byle błahostka i od razu jakieś telefony z biura. Bywało trudno.

Moje pokolenie wierzyło, że to jest początek zmian. Że będzie to zalążkiem czegoś lepszego. Gdynia jest specyficznym miastem. Dużo osób z mojej rodziny pływało na statkach i mieliśmy wiele wiadomości z zagranicy. Była Wolna Europa i tak dalej, więc myśmy wiedzieli o tym, co się dzieje na świecie. Ja też wierzyłam, że ofiara Grudnia '70 nie pójdzie na marne. Potem jak w Ursusie i Radomiu trwały demonstracje, nie oglądając się na nikogo, zaczęliśmy wspierać tamtejsze poszkodowane rodziny. Uważaliśmy to za nasz obowiązek. Zaczęły też docierać informacje o reakcji inteligencji i o tym, że dysydenci powołali Komitet Obrony Robotników i jeżdżą na sprawy sądowe.

Polska budziła się i nagle pojawił się sygnał od samego Boga. W październiku 1978 roku arcybiskup krakowski został papieżem. Dla mnie, mojego męża i mojej rodziny był to chyba najszczęśliwszy dzień w życiu. Dowiedziałam się z telewizji. Bardzo, bardzo, bardzo się cieszyliśmy i wiedzieliśmy, że pa-

pież na pewno obudzi w narodzie ducha wolności i że jakoś to wreszcie pójdzie do przodu. Rok później Jan Paweł II przyjechał do swojej ojczyzny i powiedział słynne słowa: – Niech zstąpi Duch Twój... Można powiedzieć, że to była taka iskierka nadziei. Wiadomo, że dla kogoś, kto jest patriotą, pojawiła się nadzieja, że rzeczywiście przyjdą takie czasy, że uda się obalić komunę i nadejdą czasy wolności. Pochodzę z patriotycznej rodziny i myśmy czekali na tę iskierkę nadziei.

Jeszcze przed sierpniowym strajkiem po Trójmieście krążyły też różne wiadomości i ulotki. Wśród kolegów, których poznałam później, był Stefan Sierakowski. Zasłużony człowiek. To on dostarczał nam najświeższe informacje. Czekaliśmy na to, co się wydarzy, tym bardziej że wiedzieliśmy o strajku lubelskim. Na początku sierpnia zadzwoniła do mnie siostra i zadzwonili znajomi. Koledzy mojego brata ze stoczni przychodzili i mówili, że będzie strajk. I zaczęło się! Mając świadomość, że stocznię i port wspiera dużo ludzi, pomagaliśmy innym na podstawie wiadomości, które nadchodziły z ich zakładów pracy. A wiadomości rozchodziły się różnymi kanałami. Na przykład koleżanka, Ewa Jażdżewska, pracowała na poczcie i tam mieli swoje kanały kontaktowe. To Ewa przekazywała wiadomości, jaki zakład potrzebuje wsparcia. Ile można było, tyle przekazywało się dalej. Wiadomo, że takim źródłem informacji było też Radio Wolna Europa.

W 1980 roku już nie pracowałam, bo na skutek ran odniesionych w Grudniu '70 trochę podupadłam na zdrowiu. Z pracy mnie wyrzucili, a innej jakoś nie mogłam znaleźć, więc siedziałam w domu z dziećmi. A mój mąż jest zawodowym muzykiem. Jakoś na szczęście sobie radziliśmy w tym okresie. Były kartki i puste sklepy, ale moi rodzice bardzo mocno nas wspierali. Mamusia miała kontakt, jeszcze z czasów wojny, w taką przybraną rodziną pod Kaliszem i wiecznie kursowała między wsią a miastem. Zabierała stąd rzeczy, które nie były tam dostępne, bo to był taki handel wymienny. Jeździła tak prawie co miesiąc i przywoziła stamtąd głównie mięso, jajka i masło. Bardzo mnie wspierała, bo w sklepach niczego nie było.

Raz posłałam syna, który miał wtedy chyba dwanaście albo trzynaście lat, żeby stanął w kolejce u rzeźnika za kiełbasą. Miałam do niego dojść, ale nie zdążyłam, bo coś mnie zatrzymało w innej kolejce. Biedny wrócił do domu zapłakany, rzucił kiełbasę na stół i powiedział:

– Nie chcę tej kiełbasy! Nie będę jeść!

Opowiedział mi, że doszedł do lady, a za nim stała jakaś starsza pani. Sprzedawczyni dała mu resztę tej kiełbasy, a ta pani zaczęła mówić, że dla niej nie wystarczyło. On się rozpłakał i chciał zostawić tę kiełbasę, ale sprzedawczyni powiedziała:

– Stałeś w kolejce, to bierz!

Wziął, ale był taki przygnębiony, że powiedział, że nie będzie jeść i więcej nie pójdzie w żadną kolejkę. Przeżył bardzo dużą traumę.

Żeby na święta dostać jakąś wędlinę albo paróweczki dla dzieci, stałyśmy w kolejce na zmianę z siostrą. Siedziałyśmy całą noc w samochodzie na Oksywiu, bo był tam dość dobry rzeźnik, i na zmianę zajmowałyśmy kolejkę, żeby dostać mięso na święta.

Jeśli chodzi o rodzinę, przyjaciół i osoby, z którymi się kontaktowałam, to panowała wśród nich wielka radość. Radość, że jest „Solidarność", że idziemy do przodu, że komuna będzie obalona i wreszcie nastanie demokracja. Ale była też obawa. Obawa, że władza tak łatwo nie odpuści i może powtórzyć się 1970 rok. Ja jednak jestem z natury optymistką, więc wierzyłam. Widząc, co robią koledzy, słuchając wiadomości, które do nas dochodziły, wierzyłam, że prędzej czy później komuna upadnie.

Jednak przeliczyłam się. Władza kamuflowała się i po cichu przygotowywała, aż w końcu nastąpiło uderzenie. Stan wojenny był dla mnie traumą, ponieważ mojego męża nie było w Polsce, był w tym czasie w Norwegii. Nie miałam z nim żadnego kontaktu. Mieszkałam wtedy w domku na Witominie przy ul. Bursztynowej. Któregoś dnia w nocy, chyba o trzeciej, usłyszałam walenie do drzwi. Wyszłam na werandę i zobaczyłam, że wojsko okrążyło całą posesję. Przestraszyłam się niesamowicie. Uchyliłam drzwi, które miałam zamknięte na łańcuch i zapytałam, o co chodzi i czy to trzecia wojna światowa. Powiedzieli, że nie, ale zapytali, czy mąż jest w domu. Odpowiedziałam, że jest w Norwegii. Że jest muzykiem i pojechał tam grać, by zarobić pieniążki. Poprosiłam, żeby byli trochę ciszej, bo na górze spało dwoje dzieci, a oni walili kolbami w drzwi i okna i świecili tymi swoimi lampkami. W końcu poszli, ale nie wiem, po co przyszli. Mąż nigdy nie należał do żadnej partii. Jako student wspierał jakiś strajk studencki. Myślałam później, że może chodziło o to, że chcieli go ściągnąć z rezerwy, ale nie wiem tego na pewno.

Nie miałam kontaktu z mężem i zostałam sama z dziećmi. Odwiedzali mnie mamusia z tatusiem, najbliższa rodzina i koledzy. Wspierali mnie, bo to była Wigilia. Wiedziałam, że w Wigilię miał wrócić jakiś zespół muzyczny, ale nie wrócił. Wszyscy muzycy pozostawali za granicą. Mąż z kolei miał wrócić 3 stycznia. Przyszedł do mnie wtedy szwagier i powiedział, że nie ma sensu czekać, bo wszystkie promy są wstrzymane i nie ma żadnego połączenia z Polską. Pamiętam, że mamusia powiedziała wtedy:

– Jak Tadziulek powiedział, że będzie trzeciego, to na pewno przyjedzie – i pomyliła się tylko o jeden dzień.

Mąż wrócił 4 stycznia rano. Wrócił jako jedyny Polak ostatnim promem kolejowym ze Szwecji. Wszyscy muzycy tam zostali, bo mieli zagwarantowaną pracę, kontrakty, mogli ściągnąć żony i dzieci. Mąż odmówił i powiedział, że wraca do żony i do dzieci. Po drodze go oczywiście zatrzymywali, ale wrócił.

Nie siedziałam bezczynnie i miałam kontakt ze Stefanem Sierakowskim. Na rogu kamienicy, w której mieszkali moi rodzice, mieściła się kawiarnia „Saga" i tam się spotykaliśmy. Przynosił ulotki, brałam je i wsiadałam w kolejkę, do pierwszego albo ostatniego wagonu. Potem leciałam wzdłuż i szybko rozkładałam. Niestety raz mnie złapali, ale miałam szczęście.

– Ja chyba panią skądś znam, kojarzę w takim białym fartuchu – powiedział milicjant.

Mówię więc, że pracowałam na rogu na Placu Kaszubskim, a on na to, że był moim klientem. Zapytał, czy mam dzieci. Powiedziałam, że tak, a on na to:

– No dobrze, ale więcej niech pani tego nie robi – no i mnie puścił.

Ludzie z podziemia mówili na mnie Mała albo Czarna, bo miałam czarne włosy. To przez Stefana, bo stwierdził, że będzie mnie tak nazywał na zmianę. Powiedział, że dzięki temu nie będą wiedzieli, czy jestem mała, czy czarna. A do tego nie będą wiedzieli, czy jest to jedna, czy dwie osoby. I tak zostało.

W pierwszym okresie stanu wojennego było niesamowicie przygnębiająco. Jedyna dobra rzecz to było to, że mąż przywiózł pieniądze i byliśmy zabezpieczeni. I tyle dobrego. Wiedzieliśmy o internowaniach z Wolnej Europy, dodatkowo kontaktowałam się ze Stefanem Sierakowskim, więc wiedziałam wszystko na bieżąco. Bardzo przeżyliśmy tragedię zamordowanych górników z kopalni Wujek. Wiedzieliśmy jednak, że prędzej czy później wyjdzie na nasze. Po kilku latach spotkała nas kolejna tragedia. Ubowcy zamordowali ks. Jerzego Popiełuszkę. To było straszne. Koledzy z Gdyni jechali na pogrzeb. To był szok, straszny szok.

Nad krajem zalęgły się ciemne złe chmury. Władza wyłapywała ludzi podziemia. Przez to wszystko nastąpiła jakaś taka bierność. Ludzie powoli przestawali wierzyć, że „Solidarność" się odrodzi. Czekaliśmy na jakiś znak. I wreszcie znak się pojawił. Dotarła do nas wiadomość, że przyjedzie do nas papież, więc wszyscy z Witomina porozumieliśmy się, że będziemy go witać na Morskiej. Czekaliśmy przez kilka godzin. Widzieliśmy, jak papież jedzie. Pokiwał do nas, pozdrowił... To było bardzo wzruszające przeżycie. Cudowne! Byłam też na mszy, ale musiałam troszeczkę wcześniej wyjść ze względu na sprawy rodzinne. Mamusia była chora.

W 1980 roku wydarzyła się jeszcze jedna bardzo ważna rzecz. Najpierw w postulatach z Sierpnia '80 było o uczczeniu ofiar Grudnia '70, a potem dotarła informacja, że nareszcie powstanie pomnik. Było to moim marzeniem. Dziś jestem w Stowarzyszeniu Rodzin Ofiar „Grudzień 1970". Robimy wszystko, żeby pamięć o chłopcach, którzy zostali zastrzeleni i ponieśli taką ofiarę, nie zaginęła. Należy wciąż o nich mówić i sprawić, żeby było to zapisane w historii. Żeby ich ofiara nie poszła na marne. Gdyby nie Grudzień 1970 nie byłoby wolnej Polski. Jest bardzo dużo osób, które były bezpośrednio zaangażowane w roku 1970 i 1980 i to są właściwie ci prawdziwi patrioci.

Nigdy nie angażowałam się w sprawy symboli politycznych. W tej kwestii zawsze stałam i nadal stoję z boku. Jeżeli się angażowałam, to tylko w to, żeby Polska była wolna. Uważam, że to akurat mam we krwi, ponieważ mój tata urodził się na Syberii, a moi dziadkowie są tam pochowani. Z kolei mój dziadek od strony mamusi uratował życie Piłsudskiemu. Może to górnolotnie brzmi, ale patrzę na wolność i na to, że jest demokracja, a małe mankamenty, takie jak różnice zdań, pozostawiam w milczeniu.

Mam żal do władz miasta Gdyni za organizację uroczystości upamiętniających Grudzień '70. Uważam, że powinno się więcej o tym mówić. Właśnie dlatego wciąż działam. Zawsze, obojętnie z kim rozmawiam, mówię o tych wydarzeniach. Uważam, że młodzieży w szkołach mówi się o tym za mało. Władze miasta powinny troszeczkę bardziej o to zadbać.

Owszem, mówi się o tych, którzy nie żyją, ale o żyjących już absolutnie nic. Jesteśmy odsuwani i wrzucani na koniec. Muszę się przepychać, żeby położyć wiązankę. Uważam, że to jest troszeczkę nie fair. Chyba dwa lata temu

wystąpiłam z prośbą do prezydenta miasta, żeby w tym miejscu, gdzie na moich oczach został zastrzelony dwudziestoletni student Zajczonko, położyć, chociaż jakiś kamień z napisem, jakąś zwykłą tabliczkę, że stało się to w tym miejscu. Niestety nie dostałam odpowiedzi.

Zawsze nazywam tego studenta Kmicic, dlatego że miał taką podniesioną rękę w tym kożuchu i rozwiane włosy. Nie wiem, czy odrzucał gaz łzawiący, czy podniósł petardę, ale wyglądał jak Kmicic.

Jadwiga Żmudzka

żona założyciela „Solidarności" rolniczej w Miastku. Razem prowadzili własną działalność ogrodniczą. W stanie wojennym opiekowała się domem oraz wspierała męża, który brał czynny udział w działaniach konspiracyjnych.

– Zawsze mówią, że Niemcy na Polskę napadli, a o Rosjanach nic nie wspominają – krzyczał w domu często mój ojciec.

Krzyczał na długo przed 1970 rokiem. Ojciec doskonale wiedział, że mamy w Polsce zły system, pełen zakłamania i niegodziwości, ale stanowczo zakazał powtarzać tego w szkole ani nigdzie.

– Bo za to zamkną! – powtarzał.

Dziś, z tak dalekiej perspektywy czasu trudno jest mówić o tym, jak wtedy ocenialiśmy tak zwany socjalizm. Byliśmy przyzwyczajeni do tego, co nas otaczało. I choć w wielu mieszkańcach Trójmiasta i całego Pomorza żywe były wspomnienia Grudnia '70, to jednak okres rządów Gierka wprowadził namiastkę nowego życia. Komuniści próbowali zakryć swoje błędy i wymyślili na przykład sklepy komercyjne, gdzie cukier można było kupić bez kartek, ale nie za 10,5 złotego tylko za 26 złotych. Szynkę i inne wędliny też można było nabyć w komercyjnym. Można było, ale to był system, który stał na głowie. Zwykłym ludziom wcale nie żyło się dobrze. Może i były pieniądze, ale niczego nie można było za nie kupić. A władza miała się dobrze. Jak jej czegoś brakowało, to wprowadzali podwyżki. Wiadomo, że ludzi to denerwowało. W grudniu wyszli przecież na ulice i wiemy jak to się w Gdyni skończyło. Jedna wielka tragedia.

Ale wcześniej czy później robotnicy musieli znów się zbuntować. I stąd był chyba Sierpień '80. Moja ocena systemu dojrzała właśnie wtedy, kiedy zaczęły się strajki na Wybrzeżu w 1980 roku. Dopiero te dni i strajki całkowicie obnażyły tak zwany socjalizm. Przecież strajkowała cała Polska, bo wszyscy mieli dość. No może nie do końca wszyscy. Komuniści nie mieli i za wszelką cenę chcieli utrzymać swoją władzę. Wsadzali ludzi do więzień, zastraszali, mordowali, w niektórych przypadkach przekupywali stanowiskami, mieszkaniem, czy samochodem.

W 1971 roku wyszłam za mąż i staraliśmy się normalnie żyć. I żyliśmy, ale to wszystko naokoło dojrzewało. Gdzieś po drodze był 1976 rok, kiedy to wybuchły strajki w Radomiu i Ursusie. Zbuntował się Lublin i tamtejsi kolejarze. Mówiło się, że pociągi do szyn przyspawali. Było czuć, że ludzie są coraz bardziej zde-

terminowani i źli na władzę, że opowieści o dobrobycie i zakasaniu rękawów już do nikogo nie trafiają. Trójmiasto jednak wtedy milczało. Chyba za bardzo bolało jeszcze wspomnienie Grudnia '70. Można powiedzieć tak jak w znanej piosence: „Kraj się dowiedział, nic nie powiedział". A aparat przemocy był silny i tak dobrze zorganizowany, że ludzie nie ufali sobie. Często bali się nawet wspominać o polityce, bo nie wiadomo czym to by się skończyło. Panowała taka szarość życia.

I tak do 1980 roku. Wtedy dopiero mój mąż zaczął działać. Zakładał „Solidarność" rolniczą w Miastku. Było tam dużo rolników, ogrodników. On działał, a ja musiałam przejąć obowiązki w ogrodnictwie, zajmować się domem i trójką małych dzieci. W gospodarstwie miałam do pomocy ludzi, a przy dzieciach pomagała trochę starsza córka. Musiałam jednak zaakceptować działalność męża. Już wtedy rozumiałam, czym jest socjalizm i to, że władza prowadzi naród donikąd, więc działalność męża była zupełnie usprawiedliwiona.

Sierpień '80 pokazał, że dość mają nie tylko robotnicy, ale również rolnicy, studenci, artyści i jak to się wtedy mówiło – inteligencja pracująca. Strajki w Trójmieście były takim zarzewiem, od którego zapalił się całym kraj. Najpierw Stocznia im. Lenina w Gdańsku, a na drugi dzień Komuna Paryska w Gdyni. Potem zaczęły dołączać inne zakłady. Tego już nie dało się zatrzymać. Przede wszystkim dlatego, że tym razem ludzie nie wyszli na ulice, a zaczęli okupować swoje zakłady, a na to chyba komuniści nie byli przygotowani.

Kiedy już podpisano porozumienia z robotnikami, chłopi zrozumieli, że teraz jest ich czas i wspierani przez robotniczą „Solidarność" zaczęli budować swoje struktury. Wśród nich był także mój mąż. Jako taki działacz ludowy tłumaczył, wyjaśniał, zachęcał ludzi wsi do angażowania się w nowy związek, bo Kółka Rolnicze już dawno przestały służyć chłopom. Musiałam pozwolić mu działać, bo widziałam, że jego praca przynosi efekty. Ludzie szukali pomocy, a on pokazywał im jak wygrywać z władzą. Czasami wolałam, żeby był w domu, żeby przebywał z dziećmi, pracował na swoim. Ale tak miało chyba wiele żon, których mężowie rzucili się w wir pracy związkowej. Dziś bardziej rozumiem, jak to wtedy było ważne i potrzebne. Tym sposobem mąż funkcjonował trochę w domu, a trochę w rozjazdach związkowych. Na swój sposób przyzwyczailiśmy się do takiego życia. I choć nie było lekko, to wiedzieliśmy, że podjął się czegoś ważnego i ma obowiązek w tym trwać. Potem przyszedł stan wojenny.

Mieszkaliśmy wtedy w dwupokojowym mieszkaniu komunalnym. Przyszli do nas w nocy 13 grudnia, krótko po północy, i aresztowali męża tak jak wszystkich. Pamiętam, bo był mróz, zimno, ogrzewanie w piecu szklarniowym niepodłożone, wszystko pomarzło i rury rozsadziło. Pracownicy o tym nie wiedzieli. No bo skąd? Mieliśmy wtedy rozsady pomidorów i wszystko poszło. No i co? Poszło i już! Przyszli i zabrali męża bez niczego. Powiedzieli, że ma się natychmiast zabierać i jechać, więc pojechał. Miał znajomego lekarza, on jeszcze żyje, ma chyba 91 lat, który pomógł mu się z tego wydostać. Wysłał go do szpitala. Mąż poleżał tam parę dni i wiem, że ze szpitala, krótko przed wigilią, zawieźli go na komisariat. Poszłam tam i wypuścili go. Dokładnie nie wiem dlaczego. Powiedzieli, że jak nie będzie działał, to go wypuszczą. Przeżywałam to strasznie. Ner-

wy, strach! Tu dzieci, szklarnie, w których popękały rury, bo był wtedy straszny mróz, straszna zima. Musiałam to wszystko ogarnąć i ogarnęłam. No bo jak inaczej?! Młoda byłam to dawałam radę.

Jednak wspomnienie aresztowania odcisnęło na mnie swoje piętno. Bo niby za co? Za to, że chciał żyć z rodziną w wolnej, szczęśliwej i dobrze rządzonej Polsce?! Za to go aresztowali?! To czego oni chcieli? Zniewalać nas najdłużej jak się da? Prześladować? Mordować? Strzelać do protestujących? Zamykać niepokornych w więzieniach? Chyba właśnie tego chcieli komuniści. Nie umieli rozmawiać z narodem. Może bali się tego narodu? Może nienawidzili wszystkiego, co patriotyczne, szczere, prawdziwe i wierzące w Boga?

Te kilkanaście dni w grudniu 1981 roku całkowicie utwierdziło mnie w przekonaniu, że z tamtą władzą już nigdy nie będzie mi po drodze. Modliłam się tylko, by jak najszybciej wypuścili męża. By dzieci nie zapomniały jak tata wygląda.

Mąż wrócił do domu. Dostał też przepustkę, bo my nie mieszkaliśmy w tym miejscu, gdzie były szklarnie. Musiał dochodzić, podkładać do pieca, więc w nocy musiał mieć przepustkę, żeby móc chodzić po dwudziestej drugiej. To się ciągnęło i ciągnęło. Pamiętam, że później gdzieś rozwoził jakieś ulotki, a potem woził jakiś papier do Gdańska. Pamiętam dokładnie, kiedy to było, bo w sierpniu 1984 roku mąż miał w Gdańsku operację na tarczycę. Leżał tam miesiąc i jakoś tak krótko po tym, zaczął wozić ten papier. Papieru nie można było normalnie wtedy kupić, a oni gdzieś to organizowali. Maż miał koleżankę, która sprzedawała papier, a on to wozili do Gdańska.

Już wtedy się nie denerwowałam. Nie miałam zresztą czasu zbytnio interesować się tym, co robi mąż, bo w 1984 roku urodził nam się syn. W tym samym roku w listopadzie mieliśmy rewizję, ale dokładnie nie wiem czemu. W 1984 roku mieszkaliśmy już w nowo wybudowanym domu i do tego domu przyszło trzech ludzi. Dwóch z UB ubranych po cywilnemu i jeden milicjant, którego znaliśmy z widzenia. Pewnie musieli dodatkowo brać ze sobą milicjanta na rewizję. Przyszli i szukali jakichś ulotek. Szukali, szukali, szperali i szukali, a ulotki leżały w wysuniętej szufladzie biurka. Ten milicjant to zauważył i wsunął tę szufladę, tak, by nie było widać ulotek. Jeden z ubeków poszedł na strych, a że właśnie klika tygodni wcześniej utopili ks. Popiełuszkę, to zapytałam złośliwie, czy będzie na tym strychu Popiełuszki szukał. Strasznie się wtedy zdenerwował i powiedział, żebym nie była taka wredna i złośliwa. Milicjant tylko udawał, że szuka, ale ci dwaj dokładnie przeszukali dom od piwnicy aż po strych, biurko jednak ominęli. Właśnie takie sytuacje pokazywały, kto jest człowiekiem. Okazało się, że milicjant wcale nie musi być wrogiem ludzi i że w trudnych sytuacjach może stanąć po stronie ludzi. Przecież gdyby odkryli, że celowo nie zauważył tych ulotek, to sam mógłby zostać aresztowany i poddany represjom. A on mimo to nie zrobił tego i ubecy wyszli z pustymi rękami.

Jak wspomniałam mąż nie zaprzestał działalności. Zszedł do podziemia. Nie za bardzo mi się to na początku podobało, ale wiedziałam, że w okresie legalnej działalności on już tak mocno w to wszedł i zżył się z pewnymi ludźmi, że oderwanie go od tego graniczyłoby z cudem. Zawsze był w coś zaangażowany. Coś rozwoził, coś załatwiał, z kimś coś ustalał. Oczywiście w domu był pra-

wie cały czas, bo trzeba było żyć, doglądać szklarnie, pilnować by nic się nie zmarnowało, zbierać, dostarczać, zarabiać. W końcu czworo dzieci to nie lada wyzwanie. A roboty za nas nikt nie zrobi. I tak próbowaliśmy łączyć nasze drogi w życiu. Mąż w domu i podziemiu, a ja tylko w domu. Dzieci trzeba było nakarmić, ubrać, zapewnić rozrywkę, by nie mówiły potem, że rodzice ich zaniedbywali. Do tego jeszcze gospodarstwo, szklarnie, praca, wieczne braki w sklepach i te kartki na wszystko. Czasami musiałam się nieźle nagimnastykować, by socjalizm nie zagościł w naszej lodówce, żeby dzieci nie chodziły głodne. Jakoś udawało się. I tak trwało aż do 1989 roku.

Nadszedł rok 1989. Oczywiście wcześniej strajki w Gdańsku, na Górnym Śląsku, w Krakowie. Mówią, że to zasługa Ojca Świętego. Przede wszystkim Msze Święte w Gdańsku i Gdyni w czerwcu 1987 roku. Podobnie jak przed Sierpniem '80. Wtedy też rok wcześniej, w czerwcu, przyjechał papież. Po strajkach w 1988 roku władza chyba zrozumiała, że nie da się już uratować ich socjalizmu i że trzeba się wreszcie dogadać z „Solidarnością". Dziś nie wiem, czy to dobre, że się wtedy tak niby dogadali.

Atmosfera początku 1989 roku udzieliła się również nam. Pojawiła się nadzieja, że wreszcie będzie to normalny kraj i władza w nim zacznie słuchać ludzi. Cieszyliśmy się z tego. Na początku tak jak wszyscy. Mąż biegał, angażował się w Okrągły Stół, wybory i trwało to rok, czy dwa. Latał wszędzie razem z takim lekarzem, który był w „Solidarności" nierolniczej. Na początku wierzyli, biegali, załatwiali, a później...

Powiem tak. O władzy zawsze myślałam źle. Władza jak to władza. Jakoś tak mam wrażenie, że ta niby nasza władza po czerwcowych wyborach w 1989 roku wcale nasza nie była. A jednak Polska zmieniła się. Już teraz nie ma rewizji, w których szukają nie wiadomo czego. Nie ma internowania. Można głośno mówić o tym, co się myśli, można manifestować. Jest masa gazet, stacji telewizyjnych, radiowych i internet. Każdy może sobie swoją gazetę założyć. Nie wiem jednak, czy o takiej właśnie Polsce marzyli robotnicy i rolnicy, kiedy w 1980 roku zakładali „Solidarność".

Nie wiem, czy taką Polskę sobie wyobrażali. Jednak żyć trzeba było dalej. W 1993 roku otworzyliśmy hurtownię warzywną, bo z ogrodnictwa nie szło już później wyżyć. Miałam więc zajęcie praktycznie cały czas. Nadal pracuję, tylko że już u syna. Teraz pomagam szczególnie w szklarniach, bo oni tam pojęcia o tym nie mają. Mąż też pomaga, ale... nadal przy tym biega, załatwia i działa.

Spis treści

5 List Prezydenta Gdyni Wojciecha Szczurka
7 Bez tych kobiet nie byłoby Solidarności
11 Uczestnicy strajku sierpnia 1980 w Gdyni uhonorowani Odznaczeniem „Bohaterom Sierpnia '80 Gdynia" od 2013 do 2019 roku (825 osób)
22 Jadwiga Andrzejewska
27 Zenona Baranowska
33 Sylwia Baryło-Ludwichowska
46 Irena Bejrowska
53 Gabriela Belka
56 Anna Bień
62 Barbara Biniewska-Błażko
68 Julita Bodzińska
76 Irena Chmielecka
84 Małgorzata Chmielecka-Gumoś
91 Teresa Dembowski
96 Beata Denis
102 Katarzyna Doliwa-Dobrowolska
105 Marianna Doliwa-Dobrowolska
113 Stefania Drywa-Klóskowska
120 Dorota Dunst
125 Joanna Falkiewicz
129 Barbara Frankiewicz
135 Jagoda Greger
147 Janina Grundo
150 Wanda Jagieluk
156 Teresa Jastrzębska
159 Krystyna Jezior – dawniej Polak
164 Helena Klajnszmit
168 Krystyna Kmiecik-Baran
172 Izabela Kokowska
179 Alicja Kozicka
186 Barbara Kozicka
190 Halina Krajniewska
196 Elżbieta Kujawa wcześniej Nagengast
201 Ewa Kurpiewska
208 Regina Lejk
211 Regina Ławniczak
213 Anna Maruszczak
218 Aleksandra Mietlicka
227 Małgorzata Miotke
234 Halina Młyńczak

242 Jadwiga Motyka
246 Danuta Mróz-Lisowska
254 Wanda Olkowicz
257 Krystyna Olszewska
263 Zofia Pawłowska
267 Joanna Posmyk
273 Irena Różańska
277 Anna Rytelewska
280 Barbara Rytelewska
286 Danuta Sadowska – dawniej Kędzierska
291 Jadwiga Skąpska
295 Małgorzata Sokołowska
304 Joanna Statuch
311 Halina Stodolska
314 Bogusława Strumiłło
323 Wiesława Suzga
331 Elżbieta Szymańska
336 Aleksandra Szyszkowska
342 Stanisława Tarnacka
344 Joanna Tendera
351 Bożena Tyrka
354 Agnieszka Warmowska
359 Romana Wasilewska
363 Jagoda Wawrowska
368 Bożena Wojewska
373 Bożena Wrzesińska
379 Maria Wysocka
382 Teresa Zajdel
388 Elżbieta Zaręba
394 Zefiryna Zuchowska
400 Małgorzata Zwiercan
415 Janina Żabkiewicz
423 Jadwiga Żmudzka
427 Spis treści
429 Lista ważniejszych dokonań Fundacji Pomorska Inicjatywa Historyczna

Lista ważniejszych dokonań Fundacji Pomorska Inicjatywa Historyczna

Wśród celów statutowych naszej fundacji oprócz dokumentowania historii najnowszej, przywracania należnego miejsca działaniom dla odzyskania niepodległości i godności ludziom, którzy mieli odwagę przeciwstawić się totalitarnemu systemowi komunistycznemu są także działania edukacyjne wśród młodzieży oraz pomoc ludziom, bohaterom walki o niepodległą Polskę a znajdujących się dziś w trudnej sytuacji materialnej. Różnorodność podejmowanych przez naszą fundację działań przybliża lista ważniejszych dokonań FPIH w ostatnich 7 latach działalności:

- Przygotowanie i cykliczne prowadzenie uroczystości rocznicowych strajku sierpniowego 1980 r. we współpracy i pod patronatem Prezydenta Gdyni – zebranie pierwszej listy uczestników strajków 1980 r. w zakładach Gdyni – dla przyznania honorowej odznaki „Bohaterom Sierpnia '80 Gdynia". Pierwsza edycja odbyła się w ramach obchodów 37 rocznicy strajków 1980 r. w Sali konferencyjnej Zarządu Portu Gdynia. Podczas niej Honorowe Odznaczenie wręczono 120 uczestnikom strajków i zaprezentowano II tom albumu „Ludzie Sierpnia '80 w Gdyni". Do 2016 roku odznaczenie przyznano i wręczono 750 osobom;
- Wystawy plenerowe oraz wystawy rotacyjne w szkołach ponadpodstawowych, przedstawiające etapy walki o wolność na Wybrzeżu od Grudnia 1970 roku, poprzez opozycję demokratyczną lat siedemdziesiątych, Sierpień 1980 i Solidarność aż do odzyskania niepodległości (kilkaset ekspozycji w ciagi 7 lat);
- Spotkania z żyjącymi świadkami historii i prelekcje w szkołach powiązane z pokazami multimedialnymi;
- Pozyskiwanie i opracowywanie materiałów historycznych dokumentujących poszczególne etapy walki o odzyskanie niepodległości w celu utworzenia stałej ekspozycji i systematycznych publikacji archiwaliów;
- Tematyczne pokazy filmów dokumentalnych z komentarzem uczestników wydarzeń z lat 1970,1980 i stanu wojennego;
- Opracowanie i wydanie książki przedstawiającej działania niepodległościowe na wybrzeżu w latach 80 XX wieku. A. Kołodziej i R. Zwiercan „... o godność i wolność. Po prostu..." – II wydanie.
- Sporządzanie dokładnej uporządkowanej dokumentacji w/w wydarzeń w formie filmowej oraz w formie nagranych i spisanych relacji. Notacje służą do opracowania publikacji książkowych oraz mają być źródłem

do tworzenia filmów dokumentalnych. Duża część uczestników spotkań i konferencji to depozytariusze unikatowych świadectw przeszłości, nigdy dotąd nieutrwalonych a bezcennych dla narodowej świadomości historycznej i ogromnie ważnych dla badań historycznych;

- Przygotowanie i realizacja Inscenizacji wydarzeń z Grudnia 1970 roku w Gdyni z udziałem kilkuset aktorów i statystów;
- Pomoc znajdującym się w niedostatku działaczom opozycyjnym z czasów zmagań o wolną Polskę. Ludziom zasłużonym w walce o wolność, którzy w wyniku swego zaangażowania tracili zdrowie, środki utrzymania i do dziś nie doczekali się rzeczywistej rekompensaty. Pozyskanie środków na wsparcie materialne kilkudziesięciu uczestników tamtych wydarzeń.
- Opracowanie i prezentacja wystawy „Polegli w służbie Ojczyzny. Smoleńsk 2010";
- Opracowanie i budowa stałej wystawy „Gdyńskie drogi do Niepodległości" przy przystanku SKM Gdynia Stocznia;
- Organizacja Ogólnopolskiej Konferencji Wydawnictw Niezależnych „Wydawnictwa Solidarności Walczącej na tle innych wydawnictw podziemnych w latach 80-tych" w Muzeum Miasta Gdynia;
- Realizacja wystawy „Grudzień 70 w Gdańsku i w Gdyni". Czasowa ekspozycja w Gdańsku, ul. Doki 1, historyczna Sala BHP Stoczni Gdańskiej.
- Opracowanie i prezentacja wystawy plenerowej „Dwa Grudnie".
- Zorganizowanie szeregu Sympozjów m.in. „Polskie Grudnie", „Grudzień 70 Uniwersytet Robotniczy" oraz „Grudzień 81 – Wojna z narodem – lekcja patriotyzmu" w Muzeum Miasta Gdyni, a także „Polskie Grudnie" – Spotkanie z młodzieżą.
- Wydanie pierwszej monografii p.t. „Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża" autorstwa Andrzeja Kołodzieja.
- Cykliczne wydawanie od 2012 roku, kolejnych tomów albumu „Ludzie Sierpnia 80' w Gdyni" autorstwa Andrzeja Kołodzieja, Danuty Sadowskiej i Romana Zwiercana. Do tej pory wydaliśmy 6 tomów.
- Uroczysty Koncert w 32 rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych i 30 rocznicę utworzenia – „Solidarności Walczącej";
- III wydania publikacja książki „Solidarność Walcząca oddział Trójmiasto" autorstwa Andrzeja Kołodzieja i Romana Zwiercana;
- Publikacja książki „Antologia Prasy Solidarności Walczącej w Trójmieście" autorstwa Romana Zwiercana
- Organizacja Obchodów 32 rocznicy podpisania Porozumień Sierpniowych i 30 rocznicy powstania „Solidarności Walczącej" – Sala Konferencyjna Zarządu Portu Gdynia przy ul. Rotterdamskiej 9, w Gdyni. 2 dniowa Konferencja Organizacji Opozycyjnych i Podziemnych „Drogi do Niepodległości", z udziałem 1200 osób z całej Polski;
- Wystawa: „Pamięć Grudnia '70 na ulicach Gdyni" w Urzędzie Miasta w Gdyni;

- Projekcja filmu „Czarny Czwartek" dla uczniów Gdyńskich Liceów oraz spotkanie z reżyserem filmu panem Antonim Krauze i uczestnikami wydarzeń – Henrykiem Mierzejewskim i Jerzym Miotke w Multikinie w Gdyni;
- Zainicjowanie i zorganizowanie uroczystości uhonorowania Odznaczeniami Państwowymi za wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce blisko 150 działaczy organizacji niepodległościowych na Pomorzu przez Prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej (w ciągu 7 lat);
- Uruchomienie i sukcesywna rozbudowa portalu internetowego pod adresem: www.gdynia-1980.pl – elektronicznego katalogu posiadanych zbiorów, dokumentujących dokonania mieszkańców Gdyni w latach przełomu 1980 – 81;
- Stałe gromadzenie dokumentacji związanej z walką o wolność i niepodległość Polski, prowadzonej na terenie Gdyni i Pomorza w latach 1939 – 1989. Zbiory są bezpłatnie udostępniane w lokalu Fundacji.
- Organizacja w Gdyni uroczystości 100-tnej rocznicy urodzin księdza prałata Hilarego Jastaka. Budowa pomnika w centrum miasta, renowacja grobu, zorganizowanie konferencji, przygotowanie wystawy plenerowej, przygotowanie publikacji;
- Prezentacja wystaw poświęconych Żołnierzom Wyklętym „V Wileńska Brygada AK" oraz „II Konspiracja" w Sopocie przed Urzędem Miasta – jako wkład Fundacji w obchody Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych.
- Prowadzenie cyklicznego projektu „Warsztaty Historyczne" – dla młodzieży gdyńskich szkół.
- Z okazji 35-lecia podpisania Porozumień Sierpniowych i 33 rocznicy utworzenia – „Solidarności Walczącej" opracowanie i ekspozycja miasteczka wystawowego w centrum Gdyni. Na miasteczko składał się cykl wystaw ustawionych w kompleks obrazujący „Drogę do Wolności" – („Kontynuacja walki zbrojnej po 1945 roku – „V Brygada Wileńska", „II konspiracja na Pomorzu – procesy stalinowskie", „Grudzień 70", „Solidarna Gdynia", „Solidarny Gdańsk", „Solidarność Walcząca", „Organizacje opozycyjne lat 80' – ROPCiO, KOR, WZZ, Krąg Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego, RMP, KPN, SW, OKOR, PPN, FMW, LDPN Niepodległość, NZS".
- Cykl wykładów „Porozumienie czy zdrada elit" Prezesa Fundacji – Andrzeja Kołodzieja, w USA – na zaproszenie Instytutu Polityki Światowej;
- Przygotowanie i przeprowadzenie konkursu dla młodzieży szkolnej z regionu pomorskiego Pt: „Czym jest dla mnie Dzień Niepodległości". W finale Konkursu „Mój dzień Niepodległości" zaprezentowano ponad 70 prac plastycznych a na scenie wystąpiło prawie 40 wokalistów;
- Przygotowanie i udział w uroczystościach 30 rocznicy powstania Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego – w ramach którego odbył się koncert zespołów rockowych w Klubie Parlament w Gdańsku, prezentacja spektaklu „SOR" w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku, spotkanie z młodzieżą na

scenie Letniej Teatru Wybrzeże w Sopocie oraz przygotowanie i prezentacja wystaw poświęconych RSA – w gmachu Uniwersytetu Gdańskiego oraz wersja plenerowa w Gdyni – Leszczynkach;

- Prowadzenie w Jastrzębiej Górze Ośrodka w którym Weterani działań na rzecz Niepodległego Bytu Państwa Polskiego mogą bezpłatnie spędzić kilkanaście dni w roku, odpoczywając w gronie podobnych im ludzi. Poza noclegiem i wyżywieniem beneficjenci mają zapewnioną opiekę koordynatora, który organizuje czas oraz aktywizuje seniorów. W programie każdego turnusu są wyjazdy do okolicznych miejsc Pamięci – między innymi do Piaśnicy w której Niemcy zamordowali kilkanaście tysięcy Polaków oraz do Muzeum Emigracji w Gdyni. Jedyną formą partycypacji uczestników w programie jest podzielenie się wspomnieniami, które archiwizujemy w formie filmowych notacji. Budujemy w ten sposób bazę wspomnień, która jest i będzie bogatym materiałem źródłowym dla obecnych i przyszłych badaczy historii. W 2015 roku przyjęliśmy 140 osób, w 2016 udało się zapewnić odpoczynek 248 weteranom. W 2017 planujemy liczba ta zostało potrojona. Baza nagrań na dzisiaj to około 400 notacji, od nagrań kilkunasto minutowych do 10 ponad godzinnych.
- Z okazji 35 rocznicy powstania Oddziału Solidarności Walczącej w Trójmieście zorganizowanie dwudniowych ocbchodów ;
- Wystawa Kobiety Walczące, prezentująca kilkanaście działających w strukturach Solidarności Walczącej kobiet na Wybrzeżu;
- Inscenizacja konspiracyjnej drukarni Solidarności Walczącej w Gdyni, ukrytej za zamaskowanym wejściem w przedzielonym garażu. Drukarnia działała w wynajmowanym przez Małgorzatę Zwiercan w latach '80 domku w Kacku, na tzw. „Psiej górce";